

WIERA KAMSZA

CZERWIEN NA CZERWIENI

ODBLASKI ETERNY. TOM I

Wydawnictwo Dolnośląskie



KAMSZA WIERA

Odblaski Eterny #1 Czerwień

na czerwieni

WIERA KAMSZA

I tom cyklu

Odblaski Eterny

Przełożyli

Ewa i EuGeniusz Dębscy

Wydawnictwo Dolnośląskie

GTW

Prolog

Samotny

W mieście niegdyś zwanym Kabitelą, a dziś – Ollarią kwitły bzy. Białe i fioletowe świece, zgodnie z przeznaczeniem płonących świec, były skazane na zagładę. Skazane były również gruchające na dachach gołębie, krzątający się na ulicach ludzie i cały ten świat, ale nieuchronność końca dodawała temu miastu pewnego zabarwionego goryczą uroku. Trudno jest kochać to, co zawsze było i zawsze będzie, natomiast świadomość tego, że „to już ostatni raz”, ożywia stępione uczucia i człowiek zauważa rzeczy, których wcześniej nie zauważał, a jego serce pęka z bólu i miłości.

Samotny po raz ostatni szedł ulicami Ollarii – ten świat stawał się niebezpieczny. Wkrótce stara dobra Kertiana przejdzie we władanie rattonów, minie jeszcze kilka wieków i to, w co zmieni się niegdyś wolny i radosny świat, trzeba będzie zniszczyć. Z Wielkiego Naszyjnika wypadnie jeszcze jeden koralik – nie taka to znowu wielka strata, przecież sama Nić ocaleje.

Idący po kwitnącym mieście gość rozumiał, że nieszczęście wydarzy się nie jutro. To, co dla niego było „wkrótce” – dla śmiertelnych oznaczało niemal „nigdy”. Ludzie śpieszący załatwiać swoje sprawy i dziwnie niezauważający wysokiego obcego zdążą dokochać, dokrzętać się, donienawidzić, tak samo jak ich wnuki i prawnuki. Ale i tak Samotnemu było straszliwie żal pulsującego życiem miasta z jego kasztanami i bzem,

szczebiocącymi szpakami, pokrytymi czerwoną dachówką domami i brukowanymi ulicami.

Ludzie... Samotny uśmiechnął się – on także był człowiekiem. Był, póki nie przeszedł przez płomień Ognisk Eterny. Nikt go nie zmuszał – w płomień Eterny nie można wtrącić ani skusić do wejścia w nie. Sam wybrał sobie taki los, zgadzając się umrzeć, by zmartwychwstać jako Strażnik Zmierzchu, wieczny wojownik i wędrowiec, który złożył przysięgę strzec Naszyjnika.

Samotny nie wiedział, gdzie i jak zaczęła się jego misja – Nic jest długa, a pamięć spłonęła w wichrze fioletowego ognia, ognia koloru przekwitającego bzu. Nie, niczego nie żałował i za nic się nie kajał – niekończący się bój, w którym nie można zwyciężyć, stał się jego przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości i żal, ale w pewnych światach wędrowiec miał ochotę zostać dłużej. Samotny uważał, że te światy muszą jakoś przypominać jego poprzednią ojczyznę, ale, w czym i dlaczego – nie wiedział, i nie mógł wiedzieć. Wszystko, co wydarzyło się przed wkroczeniem przyszłego Strażnika Zmierzchu w fioletowy ogień, zanim piekielny ból podarł na strzępy świadomość, zniknęło.

To było mądre – przeszłość ma zbyt dużą władzę nad człowiekiem. Ci, co trzymają na swych barkach niebo, muszą być wolni od przeszłych związków i długów, ale wiosenna Kertiana upajała i smuciła. Może wszystko zasadzało się na kwitnących kasztanach i bzie, a, może na obcych uśmiechach czy śmigłych ostroskrzydłych jaskółkach...

Samotny wyciągnął rękę, i potężny kasztan wolno pochylił gałęzie na spotkanie obcego. Mocne palce pieszczotliwie musnęły grono kwiatu, i wędrowiec uśmiechnął się, mrużąc oczy niczym kot. Mógł stać się starcem, młodzieńcem, kobietą, lampartem, smokiem nawet, ale wołał pozostać w swojej postaci. Wygląd to jedyna rzecz, jaką pozostawił mu fioletowy płomień. Strażnik Zmierzchu miał nadzieję, że kiedyś ktoś kochał tę postać. Albo nienawidził. Samotny nie wątpił, że zawsze był wojownikiem, ale cała reszta... Nie widział, czy miał co tracić; chciał wierzyć, że miał.

Czasem próbował wymyślić sobie swoją ludzką przeszłość, szczęście, z którego zrezygnował, idąc za wzywającą go adą, ale takie wymysły z czasem topniały niczym obłoki albo paliły jak rozżarzone żelazo. Wieczny wojownik tworzył bajki o wielkiej miłości i wiernej przyjaźni, a one nie chciały się tworzyć. Widział siebie umierającego z powodu ciosu w plecy, widział siebie czekającego na tortury i egzekucję, wędrującego po obcych krainach, idącego przez obcą zawiść, złość, pogardę, ale nie widział siebie szczęśliwego. Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że więcej w jego poprzednim życiu było nienawiści niż miłości, a bólu więcej niż radości, a mimo to Samotny wolałby pamiętać wszystko.

Dźwięk dzwonu oderwał wędrowca od myśli i zmusił do powrotu na ziemię Kertiany. Śmiertelni zawsze i wszędzie proszą mieszkańców niebios o łaskę, nie wiedząc, że bogowie zginęli, a ci, co przejęli ich brzemię, nie mają ani sił, ani możliwości, by zaspokajać prośby ludzi. Obce nie ustaje w usiłowaniach pochłonięcia Naszyjnika, a rosnącemu naporowi sprzeciwiają się jedynie Samotni. Ich domeną jest walka, a póki walczą, śmiertelnym odpowiadają rattony, przeklęte niech będą po trzykroć!

Samotny wypuścił z palców gałąź i wtopił się w strumień wypływających ze świątyni ludzi. Nikt go nie zauważał, nie „nie widział”, a właśnie nie zauważał, natomiast on zauważał wszystko. Przecież patrzył po raz ostatni na Kertianę, na Kertianę, która przez tysiące lat była jego „leśną polaną”, miejscem, do którego tęskniło jego serce. Zaleczywszy rany i nabrawszy sił, przed powrotem do walki zawsze przechodził przez ten świat, zapamiętując kobiecy śmiech i krzyki dzieci. Samotny nie tworzył Kertiany i nie przez nią był stworzony, ale łaknął miłości, kochał ten świat i broniąc Naszyjnika, bronił przede wszystkim świata. Kertiana oddychała i żyła za jego plecami, tak było, ale tak już nie będzie, a on nie może dopuścić, by rattony go wytropiły – Jesień jest zbyt cenna, by nią ryzykować. Jesień jest droższa od Kertiany, a Naszyjnik jest droższy od jednego z koralików.

Kiedy Eterna trwała w całości, walczyli o każdy świat Naszyjnika. Teraz jednak sił starcza zaledwie na utrzymanie Obcego na Nowej Rubieży. Wcześniej Samotni wtrącali się do spraw śmiertelników, nazywających ich to bogami, to demonami. Teraz nawet to odeszło w przeszłość. W przeszłości jest już wszystko poza walką. Gdy padnie ostatni obrońca, przyjdzie koniec i na Naszyjnik, ale rattony nie mogą tego zrozumieć. W ogóle mało, co rozumieją, te uważające się za bogów miernoty. Rozgrywając swoje partie, podgryzają Nić, niechcący pomagając temu czy tym, co rwą się do niej z zewnątrz. Teraz podniosły głowy również w Kertianie.

Samotny wolno przemierzał zalane słońcem ulice, rozkoszując się tym, że stąpa po twardej ziemi, że oddycha pełną piersią, widzi kwiaty i uśmiechy. Błoto, starość, niesprawiedliwość nie zniknęły, ale starał się nie myśleć o nich, tak samo jak i o rattonach. Te stwory jeszcze nie osiągnęły pełnej mocy, Kertiana nie wie, że jest śmiertelnie chora, i na tym polega jej szczęście.

Gdyby mógł ich powstrzymać! Ale każdy powinien robić to, czego za niego nie wykona nikt. Miejsce Samotnego to jego walka na Rubieży. Wewnętrzne Światy przeżywają albo giną same i z własnej winy. Śmiertelni mają wolę i rozum, mogą i powinni dać odpór rattonom, a nie tańczyć jak zagrają, – ale jak im to wyjaśnić? Już kilka razy usiłował powiedzieć to ludziom – nie rozumieli go.

Ulica kończyła się przy starym murze, do którego przykleił się szereg kramów. Ollaria pochłonęła starą Kabitelę. Nowe albo pochłania stare, albo zabija. Kiedyś słały się tu żytne pola, które zostały zdeptane stopami wojowników Franciska Ollara, bastarda, który zapragnął być wielkim władcą – i stał się nim.

Usta Samotnego wykrzywił uśmiech. Skąd ta maniera – uśmiech i nawet śmiech, kiedy na sercu szczególnie ciężko – Strażnik nie wiedział. Możliwe, że było to cieniem jego starego życia. Magia Eterny jest mocna, ale nawet ona nie mogła zniszczyć wszystkiego. Wojownik nie pamiętał, co się z nim działo, ale kusiły go albo na odwrót, odstręczały, pewne dźwięki, zapachy, twarze. Oto na przykład rycerz, któremu powiedział, że sumienie jest ponad honor i prawo, – dlaczego rozmawiał o tym właśnie z nim? Ileż to już lat minęło! Dlaczego do tej chwili tak bolesne jest wspomnienie zakończenia tej rozmowy? Kertianina już dawno nie ma na tym świecie, a on ciągle wyszukuje słowa i dowody, szuka i nie znajduje ich. Ale i tak to, co się wtedy wydarzyło, odebrało rattonom kilka wieków. Dla Naszyjnika to mgnienie oka, dla Kertiany – życie ośmiu czy dziesięciu pokoleń. Szkoda tylko, że ten, kto podarował swojemu światu czterysta lat wolności, nie doczekał się ani wdzięczności, ani zrozumienia...

Tłoczący się na ulicy mieszczanie rozstąpili się, przepuszczając urodziwego jeźdźca na szlachetnej karej klaczy, i Samotny odruchowo zapatrzył się nań. Mężczyzna był szczęśliwy, jak może być szczęśliwy tylko... człowiek, który żyje jedną migotliwą chwilą. Mężczyzna kochał i był kochany – Samotny wyczuł to od razu. Zalany falą cudzej radości, wędrowiec nie od razu wyczuł zdławioną nienawiść. Zakochany był śledzony. Przez kogo? Rywala? Męża? Czy może ta złość nie ma nic wspólnego z cudzym szczęściem? Na to wygląda, bo coś za bardzo jest zimna i wyrachowana.

Strażnik Zmierzchu wruszył ramionami, w myślach życzył nieznanemu jeźdźcowi uniknięcia ciosu w plecy, i od razu zapomniał o nim i o jego wrogu. Ten wieczór miał należeć tylko do niego i chciał go spędzić tak, jakby sam był ciałem z ciała tego świata.

Naszyjnik, Rubież, walka bez nadziei i bez końca, wszystko to nie zniknęło, ale jakby się odsunęło. Samotny czuł się wolnym i śmiertelnym, nawet pozwolił sobie na wejście do tawerny, gdzie usiadł w kącie, do którego natychmiast przyniesiono dzban wina. A potem nikt nawet nie pomyślał, by popatrzeć w stronę dziwnego obcego. Ludzie przychodzili i odchodzili, a Samotny patrzył na nich – pijących, śmiejących się, śpiewających... Skądś wyszedł mały nakrapiany kot, niemal jeszcze kociak, i zatrzymał się, w niezdecydowaniu patrząc na gościa.

Kot nie jest człowiekiem, jego wzroku nie daje się odsunąć. Te małe swobodne stworzenia nie tylko wyczuwają wszystkich władających magią, ale same też mają z nią sporo do czynienia, dlatego rattony ich nienawidzą. A nienawiść ta jest wzajemna. Jeśli zaczyna się przepędzać koty, przeklinać, nazywać nieczystymi stworami, zaprzędanymi Złu – szukajcie w pobliżu rattonów. Samotny uniósł brew i kot, uznawszy to za zaproszenie, wskoczył mu na kolana. W kociaku biła magiczna iskra, malutka i słaba, ale wyraźna. Koty rozumieją, co czeka Kertianę. Koty tak, ale nie ludzie.

Wojownik zdążył zastać stwórców tego świata. Było ich czterech, odpowiedzieli na wezwanie Eterny i odeszli na Rubież, przekazawszy Kertianę swoim wybrancom z grona śmiertelnych. Ludzka pamięć wystarczyła na trzy tysiące lat. Nie tak znowu mało, jeśli się pamięta, że ludzie rzadko żyją dłużej niż siedemdziesiąt...

Prawnukom dzisiejszych radujących się nie będzie łatwo – rattony zabijają cudze szczęście, może dlatego, że same nie są do niego zdolne. Zawiść, złość, strach, to tak, to coś dla nich, ale szczęście jest tym stworom obce. Co najwyżej nieszczęście. Może należy ich żałować, ale Samotny, gdyby mógł, wybiłby ich do nogi. Gdyby mógł... Tutejszym mieszkańcom nawet nie śniła się taka moc, jaką on dysponował. Strażnik Zmierzchu może zniszczyć Kertianę i obawiał się, że to właśnie on będzie musiał wychylić tę czarę goryczy. Ma moc zniszczenia jej, a nie ma siły, by uratować.

Jakże łatwo jest spalić udręczone miasto i powstrzymać tym sposobem zarazę, ale kto podejmie się ratunku, kto odsunie nieszczęście, wyłapawszy wszystkie zadżumione szczury? A rattony są zadżumionymi szczurami Naszyjnika, ich liczba ciągle rośnie, a Samotnych jest coraz mniej!

Kot, wyczuwając jego gniew, drgnął i położył uszy po sobie. Kot wiedział, jak należy walczyć ze szczurami; gdyby jego współplemieńcy byli więksi i silniejsi, gdyby udało się ich zjednoczyć i napuścić na tych, za przeproszeniem, nowych władców, ale – niestety!

Strażnik Zmierzchu chwycił puchar i przysunął do kociego pyszczka. Zwierzak zmarszczył z obrzydzeniem nos i odsunął się. Nie zamierzał kosztować wina, więc Samotny wypił je sam. Za pamięć o pierwszych bogach Kertiany! Byli gotowi umrzeć na Rubieży, a śmierć dosięgła ich w Eternie, która wydawała się najbezpieczniejszym miejscem Naszyjnika. Wtedy zginęło wielu i wraz z nimi umarła nadzieja.

Samotny jednym haustem wypił resztę wina, jakby to jemu, terażniejszemu, mogło jakoś pomóc. Wieczór trwał. Grała muzyka, tańczyła czarnowłosa dziewczyna w purpurowej, mocno wyciętej bluzce, a on widział kulę ryczącego płomienia, potworną gwiazdę zrodzoną ze śmierci Eterny. Nie, to było potem, koń jego losu skręcił ze wspólnej drogi wcześniej.

Stali pod srebrzystym, martwym niebem bez słońca i ptaków, a Morze Popielne leniwie przelewało u ich stóp ciężkie, powolne fale. Wydawało się, że Obce zmęczyło się ruchem, jego napór zelżał. Odchodzący do Eterny żartowali, że odpoczywać można też na Rubieży i że są gotowi zostać. Potem kamienie na mieczach zapłonęły fioletowymi iskrami, uprzedzając, że Obce poruszyło się. Nadchodził bój – jeden z wielu – nic szczególnego, ileż takich już było i ile jeszcze będzie...

Horyzont pęczniał chmurami przypominającymi haradskich itarów, zapowiadając

burzę, którą należało zatrzymać. Sztorm podpełzał wolno i nieodwracalnie, atakujący i broniący się tysięczny raz mieli się zmierzyć, z góry wiedząc, że siły są wyrównane. Strateg pozostających uśmiechnął się złośliwie na powitanie nadpełzającego wroga, niebo obniżyło się, morze z hałasem wycofywało się, obnażając skaliste dno. Ani wodorostów, ani muszli, ani miotających się na mieliźnie ryb. Tylko szary, mieniący się stalowo kamień...

–Czas na nas. – Samotny zapomniał, kto wypowiedział te słowa. – To nie nasza walka.

Rzeczywiście, to nie był ich bój. Oni zrobili swoje i mogli wycofać się do Eterny, ale on wybrał inną drogę. Pałac Archonta, z jego wiecznymi ucztami na cześć powracających z Rubieży i odchodzących na Rubież, był wspaniały, ale Samotny nie lubił uczt, można nawet zaryzykować stwierdzenie, że nienawidził ich. Widocznie to uczucie też wypełzało z jego zabitej przeszłości. Wojownik nie pamiętał, co się wiązało z ucztami, ale każdy uniesiony w wysokich komnatach puchar odzywał się w jego sercu zwierzęcym smutkiem. Samotny kochał swoich towarzyszy, miły mu był widok ad, wierzył Archontowi i Strategom, ale ich szalona wesołość nie przypadła mu do gustu. Wyglądało na to, że stał się Samotnym, zanim to słowo padło z ust ostatniej ocalałej ady. Jakkolwiek było, nienawiść do uczt uratowała go. Uciekając od znienawidzonych uciek, zabłąkał się tu, do Kertiany, gdzie dopadło go Wezwanie.

Rubież wzywała pomocy i nie było czasu na zastanawianie się, co tam się dzieje. Rzucił się do tyłu...

Samotny mocno zacisnął palce na pucharku, przypominając sobie nieznośny ciężar, jakby jemu, bohaterowi legendy, naprawdę przyszło wrzucić na swoje ramiona sklepienie niebieskie. Obok ktoś upadł, ciężar stał się jeszcze większy; zacisnął zęby, zmuszając się do wytrzymania. Spalone Światy, przez które przebiegała Rubież, były martwe, można je było porzucić bez większego ryzyka, ale raz odstąpiwszy, skaże się na ciągle odstępowanie, więc trwał, wszyscy trwali...

Obce w końcu ustąpiło, jak zwykle, rozsypawszy się na stado dziwnych, śmiertelnych stworów, tym razem przypominających latające meduzy. Półprzezroczyste obrzydlistwo samo rzucało się na miecze, jakby chcąc szybciej z tym wszystkim skończyć. Samotnemu wydawało się, że bój trwał dłużej niż zazwyczaj, ale może był po prostu zmęczony.

–W Eternie uznali, że wystraszyliśmy się własnego cienia? – rzucił z irytacją walczący obok niego Strateg, rozcinając śluzowaty grzyb.

–Nie byłem tam. – Samotny odrzucił galaretowatą półkulę.

–Nie rozumiem. Nie słyszą nas? Czy coś się stało z samą Eterną?

Wtedy wydawało im się, że to idiotyzm. Co mogło się stać w miejscu przepętnionym wielką Mocą, miejscu pod władaniem Archonta i jego towarzyszy? Nie, to po prostu niezwykle ciężki bój zagłuszył Wezwanie, które nie dotarło do celu.

–Jakkolwiek jest, muszę porozmawiać z Archontem – rzucił Strateg, wpatrując się spod uniesionej dłoni w srebrzysty horyzont. – I rozmawiam.

Porozmawiać z Archontem Strateg nie zdołał – Eterna już nie istniała. Co się właściwie stało, ocalali nigdy się nie dowiedzieli. Czy był to spisek, nieostrożność, nieszczęśliwy przypadek, czy zadziałało nieznane dotąd prawo wszechświata – nie wiadomo; stało się to, co się stało.

Ci, którzy w chwili nieszczęścia byli poza Eterną, zebrali się na Rubieży. Okazało się, że jest ich więcej, niż się obawiali, i mniej, niż mieli nadzieję. Ci, co przeżyli, mogli utrzymywać Rubież, ale nie mogli tworzyć światów i obdarzać wybranych nieśmiertelnością i mocą. Samotny na wieki zapamiętał oczy Stratega – przepętnione bólem i niepokojem oczy wojownika, który uświadomił sobie, że nie doczeka się ani pomocy, ani rozkazu, że wszyscy patrzą teraz na niego i od dziś od niego zależy wynik wojny... Strateg stał się Archontem, a oni wszyscy – Samotnymi. Tymi, którzy już nie spoglądali w przyszłość dalej niż do najbliższej potyczki.

Wcześniej czy później Obce przełamało obronę i rzuci się na światy wewnętrzne, zresztą ostatnimi czasy Samotny zaczął się obawiać, że rattony zniszczą Naszyjnik, zanim padnie Rubież.

Krzyk zaskoczył go, brzmiał przerażająco. To nie było dosłownie Wezwanie, ale Samotny poderwał się, zrzuciwszy na podłogę rozeźlonego takim traktowaniem kota. Nieopodal trwała nierówna walka – ktoś w pojedynkę bronił się przed sforą zabójców. Strażnik Zmierzchu czuł ich zaciekłość, zdziwienie i nawet strach. Ten, na kogo napadli, był skazany, ale walczył, i to jak walczył! Samotny jak na własne oczy widział wielką, mizernie oświetloną komnatę, wywrócone, połamane meble, miotające się postacie, czyjeś oczy, białe i szalone... Dziwne, przecież odgrodził się od obcych myśli i uczuć, i to odgrodził się dobrze, więc, o co chodzi? Rattony? Nie, to nie ich sprawa.

Strażnik Zmierzchu, ciągle przez nikogo niezauważany, wyskoczył na ulicę. Miasto spało albo udawało, że śpi, było cicho, ale Samotny nie wątpił, że obok kogoś mordują. Więcej – wiedział, kogo chcą zabić: jeźdźca spotkanego wcześniej na placu. Ci, co się za nim posuwali, nie marnowali czasu.

Gdzieś zawył pies, trzasnęły drzwi, w oknie naprzeciwko ktoś zgasił świecę. Wojownik wzruszył ramionami i ruszył szybkim krokiem pustą uliczką. Po co mu to?

Ludzie wiecznie się kłócą, a jeśli nie potrafią pokonać przeciwnika w prawdziwej walce, uderzają w plecy. Kertiana nie jest wyjątkiem, wkrótce i tu zacznie się walka wszystkich ze wszystkimi. Zacznie się wojna, w której nie będzie zwycięzców. Poza rattonami.

Uliczka przeszła w cichą ulicę zabudowaną piętrowymi domami; w jednym z nich ginął człowiek, którego nieujarzmiona radość rozbudziła w Samotnym to, co – wydawało się – odeszło na zawsze. Obu ich połączyła nitka, która doprowadziła obcego do wytwornego domostwa, w którym trwała walka. Trwała, choć powinna już się skończyć. Żałośnie zadzwoniło rozbite okno, przez które wyleciał jakiś odłamek, rozległ się okrzyk i odpowiedziała mu z hukiem zatrzaśnięta okiennica w domu naprzeciwko. Gospodarz tego domu wyraźnie nie chciał niczego zauważać. Znowu brzęk szyby, wściekły wrzask, głuche uderzenia i szamotanina wewnątrz i martwa cisza na zewnątrz. Jakież to ludzkie...

Resztki zdrowego rozsądku szeptały, przekonywały, żądały, by zostawić wszystko tak, jak jest. Samotni nie wtrącają się do spraw śmiertelnych, Kertiana jest zajęta przez rattony, a on nie powinien zostawiać śladów... I nie zostawi ich! Po co tracić Moc, przecież może walczyć jak człowiek! Potrafi to, zawsze potrafił i niech po trzykroć będą przeklęte rattony wszystkich światów i wszystkie zakazy! Samotny wyszarpnął miecz i kopniakiem wysadził z futryny drzwi, które wypadły, żałośnie krzyknąwszy.

Część pierwsza

„Le Temple foudroyé”[1]

On n'est jamais si heureux ni si malheureux qu'on s'imagine[2]

François de La Rochefoucauld

Rozdział 1

Okolice Ollarii

„Le Valet des Epées”[3]

1

Jesień 397 roku kręgu Skał[4] była pochmurna i słotna. Szare niebo, jakby otulone brudnym wołokiem, wisiało nad rozmokłymi drogami. Na wiejskich drogach konie grzęzły niemal po strzemiona, ale i stołeczny trakt był w niewiele lepszym stanie. W taką pogodę podróżuje się albo z konieczności, albo z wielkiej ochoty, która, jak wiadomo, gorsza jest od przymusu. Żli, zachlapani błotem wędrowcy, wymęczone konie i muły, cmokające, grząskie błoto, mokre drzewa na poboczach, gawronie stada na nisko wiszącym niebie – wszystko to zdecydowanie odzierało okolice Ollarii z niejednokrotnie opiewanego przez trubadurów uroku. Ci, co nie mogli usiedzieć w domu i opuścili go z własnej woli, nawet oni rozglądali się dokoła bez żadnej radości, a co dopiero mówić o tych, których w przyszłości nie czekało nic dobrego. Latem jasne słońce i soczysta zieleń przyozdobią każdą szpetotę; jesienią, zwłaszcza tak posępną, nawet wyimaginowane tylko napady wydają się nieuniknione i groźne. Nic dziwnego, że szesnastoletni Richard Ockdell patrzył na świat zgoła nieradosnym wzrokiem.

Młodzian nigdy wcześniej nie był w Ollarii, ale z całej duszy nienawidził i tego miasta, i tych, którzy przymusili go do wyprawy. Jedyne dziecko zabitego pięć lat temu księcia Egmonta do ostatniej chwili miał nadzieję, że matka posłucha krewnych i zostawi go w Nadorze. Niestety, księżna-wdowa była nieubłagana. Król żądał, by Richard Ockdell wraz z innymi młodymi dworzanami przeszedł szkołę giermków, czyli tak być musiało. Krewny i opiekun Dicka, hrabia Ivon Larack, usiłował wybronić cioteczne wnuka – nie udało się, księżna Mirabella dysponowała istic męską siłą woli. Ivon poddał się, chociaż w świetle prawa decydował on i tylko on.

Mateńka długo wyjaśniała synowi i spadkobiercy jego obowiązki, Richard nie słuchał. Los wyposażył spadkobiercę Ockdellów w dość wątpliwy dar – odważny i porywczy Dick potrafił przeżywać wszystkie radości i niepowodzenia, zanim się przytrafiły, przy tym nadchodzące nieszczęścia w jego oczach wyglądały gorzej niż w rzeczywistości. Tak, więc i pół roku nauki w słynnej na całe Złote Ziemie [\[5\] posiadłości Laik, częściej nazywanej Żrebięcym Okólnikiem, wydawało się młodemu księciu gorsze od dżumy i wojny. Zresztą tym razem wyobrażenia i rozsądek były zgodne. Życie wśród wrogów, poniżanie, niemożność odpowiedzi ciosem na cios, – co może być gorsze dla szlachcica?](#)

Dickon nie wątpił – najeźdźcy i zdrajcy zrobią wszystko, by zmienić życie syna Egmonta Ockdella w piekło. Matka, Ivon, ojciec Mateo powtarzają słowa o cierpliwości, która jest „kolczugą silnego”, ale Dick wcale nie pokładał nadziei w tej cnocie – z cierpliwością mężczyźni w jego rodzinie zawsze mieli problemy. Młody człowiek ze smutkiem wpatrywał się w wyrastające z szarej mgły wieże Ollarii, gdzie miał spędzić, co najmniej pół roku. Wytłuczona droga skręcała i prowadziła wzdłuż murów do bramy, przy której zebrał się już spory tłumek.

Wejście do stolicy nie było rzeczą prostą – strażnicy w hełmach i kirysach podejrzliwie przepatrywali wędrowców. Drobnych handlarzy i wieśniaków przepuszczali, pobrawszy za ich towary odpowiednie myto, a szlachta i poważniejsi kupcy musieli podawać pisarzowi swoje imiona i cel pobytu w stolicy. Taki panował obyczaj od czasów Franciska Ollara, kiedy wielka Taligoja upadła dzięki zdradzie. Uzurpator odebrał zwycięzcom nie tylko wiarę i wolność, ale również imiona. Kabitela stała się Ollarią, Taligoja – Taligiem, a ich mieszkańcy poddaniymi obcej dynastii Ollarów. Król Ollar zasiadał na tronie również teraz, choć przez czterysta lat zwycięzcy Smoka wyrodzili się i teraz poradziliby sobie chyba tylko z yzargiem.[\[6\]](#)

–Zapamiętaj, Richardzie. – Hrabia Larack, wysoki, mniej więcej pięćdziesięcioletni szlachcic ze szczupłą, jakby udręczoną twarzą, wyrwał ciotecznego wnuka z niewesołych rozmyślań o przeszłości i jeszcze mniej przyjemnych o przyszłości. – Przyjechaliśmy tu nie dziś wieczorem, a jutro rano. Ockdellom nie wolno pojawiać się w stolicy bez pozwolenia i zatrzymywać się dłużej, niż to konieczne. Mam cię przekazać z rąk do rąk kapitanowi Aramonie i natychmiast wyjechać, ale postąpimy inaczej. Czeka cię miły wieczór i poznanie przyjaciela, ale pamiętaj – przyjmując w tajemnicy syna Egmonta Ockdella, ryzykuje on więcej niż my.

–Nie powiem nikomu – zapewnił go Dickon.

–Nawet, jeśli będziesz miał już przyjaciół, nie powinni wiedzieć o naszym spotkaniu z conseillerem.[\[7\]](#)

–Czyli jedziemy do era [\[8\] Stanclera?](#)

–Do Stanclera, Dick. Ale tak w ogóle to lepiej tego imienia nie wymieniać głośno, a słowo „er” zachowaj sobie dla Ockdella czy... Agarisa. Na Kabitelę, tfu, co ja gadam, na Ollarię wystarczy „pan”.

–Rozumiem. Postaram się.

–Postarać się to za mało. Przypadło nam żyć w czasach padlinożerców, takich ludzi jak August Stancler można policzyć na palcach jednej ręki. Są zbyt cenni dla Taligo, by narażać ich na ryzyko. Nie chcę narażać conseillera na cios, ale on nalegał, żeby nie powiedzieć, że się zaparł.

–Dlatego przyjechaliśmy przed świątą i w cudzych oponczach?

–Tak. Przy Bramie Róż spotka nas człowiek Stanclera i zaprowadzi do niego.

–Brama Róż? No to przecież jest ta!

–Zgoda, dlatego zwolnij. Przyjechaliśmy dokładnie o wyznaczonym czasie...

Richard posłusznie zatrzymał zmęczonego ogiera. Koń nie był z najlepszych, ale aktualne położenie Ockdellów wymagało skromności, żeby nie powiedzieć samoponizenia. Młody człowiek wiedział, że bez protekcji conseillera i królowej żyłoby im się jeszcze gorzej, ale wyobrazić sobie to „gorzej” było niełatwo.

–Czy nie złożycie, wielmożni panowie, ofiary na świątynię Świętej Oktawii Ollarskiej?
– Richard Ockdell drgnął, wytrzeszczył oczy na trzymającego jego strzemię mnicha w czarnym chałacie i pośpiesznie wyjął monetę. Ockdellowie, jak i większość Ludzi Honoru, [\[9\] w tajemnicy wyznawali esperatyzm\[10\] i właśnie dlatego nie odmawiali skąpom bigotom. Prawdziwa wiara w Taligu nie była w cenie, tak samo jak i Honor.](#)

–Święta Oktawia nie zapomni o waszej szczodrości – oświadczył mnich, wkładając suan [\[11\] do opieczętowanego glinianego kubka, i wyszeptał: – Jedźcie wzdłuż muru miejskiego. Znajdźcie karczmę „Wałach i kobyła”, poproście o dwa pokoje z oknami na podwórze i czekajcie.](#)

Ollarianin puścił strzemię Dicka i ponowił swoją litanię o ofiary przed jakimś kupcem.

–Richardzie – w głosie opiekuna słyhać było rozczarowanie – ucz się panować nad sobą, na twojej twarzy wszystko jest wypisane. Zresztą, czego jeszcze można oczekiwać po synu Egmonta?! Jedźmy!

Karczma „Wałach i kobyła” była niewielka i przytulna. Na szyldzie widniała młoda, urodziwa kobyłka, którą ponuro obserwował stary siwy wałach. Szyld sprawiał wesołe wrażenie, oblicze karczmarza również. Ivon Larack zajął dwa zaproponowane mu pokoje i zamówił do nich baraninę, duszone warzywa i czerwone wino. Dick rozkoszował się wypoczynkiem i gorącym posiłkiem, nie za bardzo wierząc, że conseiller Taligu zaszczyci swoją uwagą mizerny przydrożny hotel, ale mylił się. Gdy tylko na pobliskiej wieży zegar wybił dziesiątą, do drzwi ktoś krótko i władczo zastukał. Ivon otworzył – na progu pojawił się jeszcze jeden mnich, leciwy i otyły.

Po wejściu ollarianin odrzucił kaptur, odsłaniając twarz nieładną, opuchniętą, a mimo to sprawiającą wrażenie mądrej i przyjemnej. Głęboko osadzone oczy gościa podejrzenie błysnęły.

–Dickon! Ale wyrósł... Te same rysy, co u Egmonta, tylko włosy ma ciemniejsze. Ivonie, nie należało wyrażać zgody na tę awanturę.

–Byłem przeciwny, ale Mirabella uważa, że Ockdellowie nie mogą odmówić, gdy wzywa ich Taligoja.

–Taligoja. – Gęste brwi conseillera zetknęły się nad nasadą nosa. – Taligoja, czyli Talig milczy. Richarda wezwał kardynał. Nie wiem, co sobie zamyślił czarny wąż[12], ale na pewno nie życzy Ockdellom dobrze. Richardzie – August Stancler uważnie przyjrzał się młodzieńcowi – postaraj się zrozumieć i zapamiętać to, co powiem. Najważniejsze, to nauczyć się czekać – twój czas nadejdzie. Rozumiem, że Ockdellowie nie spuszczają przed nikim oczu, ale ty musisz. Po to, by Talig znowu stał się Taligoja. Obiecuj mi, że posłuchasz mojej rady!

–Obiecuję. – W głosie Richarda nie słyhać było wielkiego przekonania, – ale jeśli oni...

–Cokolwiek by nie było powiedziane, milcz i rób, co ci kazano. Jak z twoim władaniem bronią?

–Z czasem przewyższy Egmonta – wtrącił się Ivon. – Ale na razie gorąca krew bardzo mu przeszkadza.

–Wolałbym, by przewyższył Kruka – westchnął conseiller, – ale to chyba niemożliwe. Richardzie, postaraj się wykorzystać te pół roku na to, by dogonić i przegonić większość swoich kolegów. Patrz na nich, staraj się zrozumieć, jakimi są ludźmi – możliwe wszak, że za jakiś czas od tego będzie zależało twoje życie. Pamiętaj, w Żrebięcym Okólniku nie ma książąt, hrabiów, baronów, nie ma Ockdellów, Savignaców, Priddów. Będziesz nosił tylko imię kościelne. Rodowe

odzyskasz dopiero w dniu świętego Fabiana. Wtedy też zostanie postanowione, czy pozostawią cię w stolicy, czy wrócisz do Ockdellu. Postaram się nie tracić cię z oczu, ale do „okólnika” ani ja, ani moi ludzie nie mają wstępu. Po czterech miesiącach unarowie[13] otrzymają prawo do spotykania się z rodzicami, ale aż do tej chwili będziesz wilczkiem w psiarni. To niełatwa sytuacja, ale jesteś wszak Ockdellem, i dasz sobie radę. Jestem już starym człowiekiem, ale z radością oddałbym wszystkie pozostałe mi lata, żeby zobaczyć na tronie króla Rakana, a Doraca przy katowskim pniu, ale na razie to niemożliwe. Wszyscy cierpią – Jej Wysokość, twoja mateczka, twoi kuzyni, Ivon, a ja to nawet muszę z tymi nikczemnikami pić wino i rozmawiać o pogodzie i podatkach. Wytrzymasz i ty, choć nie będzie ci łatwo. Twoi przyszli koledzy, poza młodym Priddem i parą dzikusów z Torki, należą do wrażliwych rodów. Dowódca „okólnika”, kapitan Aramona, marzy o stopniu pułkownika. Nadskakuje każdemu, kto może mu być przydatny, i odgrywa się na nieprzydatnych i będących w niełasce. Czyli na takich jak ty. Będzie cię drażnił, prowokował, obrażał honor rodu i pamięć ojca. A ty masz milczeć! Od ubiegłego roku pojedynki wśród unarów są zakazane pod groźbą utraty tytułu. Może to jest właśnie powód, dla którego cię wezwano. Zaciśnij zęby i nie odpowiadaj, odpłacisz im, kiedy indziej. Spotkasz też takich, którzy będą się mienili twoimi przyjaciółmi. Nie wierz im. Zaufanie kosztuje Ockdellów bardzo drogo. Żadnych zwierzeń, wspomnień czy – broń cię Prawdziwy[14] – plotek o królu, królowej, pierwszym marszałku i kardynale. Jeśli zaczną ci o nich opowiadać – przerywaj rozmowę. Jeśli ktoś zacznie wychwalać twojego ojca, mów, że strata jest zbyt świeża i ciężko ci o niej mówić. Jeśli rozmówca dobrze ci życzy – zrozumie. Jeśli zaś prowokuje – nic nie osiągnie. Rozumiesz wszystko?

–Wszystko.

–No i bardzo dobrze. – Conseiller uśmiechnął się. Miał dziwnie życzliwy uśmiech. – No to zjedzmy teraz kolację i możemy w tym czasie gadać, o czym tylko dusza zapagnie.

Pomysł był dobry, a i kolacja wyśmienita, ale beztraska i radosna rozmowa nie udała się. Ivon, sztywny jak kopia, milczał i ze smutkiem na twarzy dziobał nożem delikatną jagnięcinę. Conseiller niezbyt zręcznie żartował, a Dickon myślał o tym, że jutro zostanie zupełnie sam... Wilk w psiarni... Tak powiedział August Stancler, a on wie, co mówi.

Młodzieniec znakomicie pamiętał najważniejszych wrogów Taligoi, czyli Ockdellów. Obca dynastia Ollarów i ich pachołki! Z ich łaski wielkie imperium zmieniło się w oparte na strachu i kłamstwie, niemal żebrzące królestwo, w którym dla prawdziwych Taligojczyków nie ma miejsca. Kraj ginie – ojciec to widział, wzniecił powstanie i zginął...

–Nad czym tak myślisz, Dickonie? – Miękka dłoń legła na ramieniu młodzieńca.

–O ojcu, er Auguście...

–Ja także często go wspominam. Walter Pridd – prawdziwy Człowiek Honoru, ale nie zastąpi Egmonta. Taligoja zwraca spojrzenie na ciebie, Richardzie Ockdellu, dlatego musisz wytrzymać wszystko. Każde poniżenie, dowolną niesprawiedliwość. Masz szesnaście lat; dziś twoja młodość jest przeszkodą w naszej sprawie, ale za dziesięć – piętnaście lat staniesz się dorosły, a nasi wrogowie zaczną się wlec pod górkę. Ja raczej nie zobaczę twojego zwycięstwa, ale nie wątpię w nie. Jesteś naszą nadzieją, Richardzie, i piję za ciebie. Za to, byś się stał takim jak Egmont.

–I niech Stwórca będzie dla ciebie bardziej miłosierny niż dla niego – poważnie i smutno powiedział Ivon Larack, unosząc swój puchar. – My ci nie możemy pomóc, mój chłopcze, ale nasze serca będą z tobą.

–Tak będzie![\[15\] – Conseiller osuszył swoje naczynie i odwrócił się do Ivonna. – Zbyt ponuro patrzysz na życie.](#)

–Bo mało w nim radości i kompletnie nie ma sprawiedliwości. – Ivon opuścił siwą głowę. – Egmont nie żyje, syn starego Epine i troje jego wnuków martwi, Gwido foc Kilean-ur-Lombach – nie żyje, a ja, którym nie wart ich małego palca, żyję!

–Wujku Ivonie – Dickon wychylił się do Laracka – nie jesteś winien, przecież nikt nie wiedział...

–Można było się domyślić – z goryczą rzucił Larack.

–Domyślić się, co zrobi Roke Alva, nie sposób – gwałtownie powiedział Conseiller. – Marszałek jest łotrem skończonym, ale takiego stratega Złote Ziemi jeszcze nie miały. Jestem gotów uwierzyć, że naprawdę pomaga mu Obcy.[\[16\] Niech cię Stwórca chroni, Dickonie, byś nie miał do czynienia z tym człowiekiem. Można go zabić, w każdym razie mam taką nadzieję, ale nie sposób zwyciężyć...](#)

–Masz rację, Auguście – westchnął stary rycerz. – Człowiek nie może tak walczyć i człowiek nie może być tak podły.

–Co do podłości, Ivon, nie masz racji – westchnął Stancler. – Roke Alva jest potworem, to prawda. Cudze życie nic dla niego nie znaczy, może jest szalony, ale marszałek jest żmiją jadowitą, lecz nie zdradliwą. Wie, że nie ma sobie równych, lubi doprowadzać ludzi do szału, lubi igrać ze śmiercią i cudzą dumą, i dlatego nie uderza nigdy zza węgła. Alva jest wrogiem, i to wrogiem straszliwym, ale mogę usiąść z nim do stołu, a z kardynałem czy Manrikami nie jadam i nie radzę żadnemu z moich przyjaciół.

Dwa skrzydła Zła! Tak nazwał ojciec Mateo w tajnym kazaniu marszałka Alwę i Quentina Doraca, który przywłaszczył sobie imię świętego Sylwestra...[\[17\] Właśnie](#)

od tych dwóch należy przede wszystkim uwolnić Taligoję.

–Nie udała nam się wesola wieczerza, moi erowie – uśmiechnął się Stancler. – Jesteśmy jak ten leśnik z przypowieści, możemy rozmawiać tylko o niedźwiedziu.

–Bo i czasy niedobre – mruknął Ivon.

–Miejmy nadzieję, że najgorsze już się stało pięć lat temu. Działaliśmy zbyt pospiesznie i przeliczyliśmy się.

–Dziesięć lat temu też się pośpieszyliśmy i też się przeliczyliśmy. – Larack machnął ręką.

–I dlatego już nie będziemy się śpieszyć – niemal krzyknął conseiller. – Będziemy czekali rok, dwa, dziesięć, ale doczekamy się, że wybije nasza godzina! Postąpiliśmy głupio, atakując. Teraz niech zagra Dorac, wcześniej czy później jego hardość podstawia mu nogę i Dorac popełni błąd. Ale, Dickonie, myśmy ci tego nie mówili, a tyś tego nie słyszał. Na mnie czas, przyjaciele moi, i ostatni toast pragnę wznieść za wszystkich Ludzi Honoru, za Taligoję i za jej prawdziwego króla. – Conseiller wstał z wysiłkiem, pozostali podążyli za jego przykładem. – Nad Ollarią, nie, nad Kabitelą jeszcze będzie powiewał sztandar Rakanów. Noc, jakkolwiek długą by nie była, kiedyś się kończy. Za zwycięstwo, moi erowie! Za zwycięstwo!

–Tak będzie! – szeptem powiedział Dickon.

W tym momencie nie wątpił, że zwyciężą, przecież prawda jest po ich stronie!

Rozdział 2

Agaris

„Le Chevalier des Coupes”[18]

1

Starucha pod oknem sprzedawała cytryny. Jej piskliwy głos wywoływał u Robera Epineix,[19] markiza Er-Prieux, uporczywą ochotę uduszenia starej wiedźmy albo wykupienia całego kosza – a nuż się zamknie. Na nieszczęście taligojski arystokrata był biedniejszy od rozwrzeszczanej handlarki. Dach i wikt zapewniał uciekinierowi Jego Świątobliwość, ale z gotówką było katastrofalnie źle. Rober któryś z kolei raz obrzucił nienawistnym spojrzeniem nagie, nierówne ściany, łóżko z wyleniałym przykryciem i kiwający się stół. Powiadają, że lepiej być żywym i biednym niż martwym i bogatym, ale mimo wszystko, czy to jest życie?

Epineixa mdliło z powodu Agarisu i esperatyjskiej gościnności, ale w Taligu byłby wyjętym spod prawa. I tak miał szczęście – bracia i ojciec nie żyją, dziadek ocalał tylko dlatego, że odegrał starcze szaleństwo, włości Epineix przekazane zostały w zarząd odległego krewniaka. Albin jest kompletnym zerem, a jego żoneczka żywcem pożre każdego. Amalia jest z domu Colignar, dlatego Epineix dostało się Albinowi. Biedna mateczka musi siedzieć z tą mszycą przy jednym stole i wysłuchiwać jęków Albina, a pouczeń – od odgrywającej gospodynię Amalii. Colignarowie swego nie darują... Przeklęci „gnojjarze”![20]

Drzwi, obrzydliwie pisnąwszy, otworzyły się. Pewnie, służba w przytułku Esperadora nie trudziła się pukaniem. Przynieśli kolację, czy raczej to, co się tak nazywało. Kończył się kolejny z szesnastu nieścisłych postów i kucharz serwował mieszkańcom gotowane jarzyny i praśne placki. Ryby, nawet ryby nie było. Rober z obrzydzeniem popatrzył na tacę; był głodny, jeszcze jak, ale to!? Chociaż właściwie nie ma wyjścia – wszystko, co można było sprzedać, dawno już sprzedał, a Goganie[21] na kredyt wygnańcowi nie dają i słusznie czynią – Ollarowie trzymają się mocno, a krewniak prędzej się udławi, niżli przyśle cokolwiek.

Pewnie, można przełknąć dumę i stać się najemnikiem albo oświadczyć się bogatej mieszczance, ale wtedy z rodem Epineix koniec! Następcy Wielkich Domów[22] żeńią się tylko z równymi. A Rober nie jest Ramio, zdrajcą, by pluć na tysiącletnie nakazy tylko dlatego, że odrzuca go od gotowanych na wodzie jarzyn. Ograbić kogoś, czy jak? A co, to jest pomysł! Doczekać nocy, nałożyć maskę, zatrzymać jakiegoś mieszczucha z tych grubszych i zażądać trzосу.

Rober Epineix uśmiechnął się, wyobrażając sobie siebie w roli nocnego grabieżcy, po czym z miną męczennika zabrał się za posiłek, który okazał się być jeszcze gorszy, niż myślał. Baba za oknem ciągle zachwalała swoje kwasy, a na dodatek do izby wleciała ogromna mucha i z pogrzebowym buczeniem zaczęła wykreślać koła tuż nad głową jedzącego. Miła bogom strawa nie przyciągała nawet jej.

Przyszły książę dożył marchew i odsunął miskę – lepszy uczciwy głód niż taka spyża. Może gdyby był naprawdę z końskiej rasy, to z przyjemnością chrupałby korzonki, ale ostatni z braci Epineix, choć nosił przezwisko „Inochodziec”, przedkładał mięso nad warzywa. Dobry kawałek mięsa z przyprawami i parę butelek kenallijskiego... Może Alva byli, są i będą nikczemnikami, ale wino z ich włości jest wyśmienite. Najlepsze winnice Żółtych i Purpurowych Ziem i najlepsi dowódcy, niech ich Zielonooki! Gdyby nie Kruk, bracia i ojciec żyliby, a w Ollarii, czyli w Kabiteli, siedziałby nie nikczemny Ferdynand, a Aldo Rakan.

Czy naprawdę Aldo, jak i jego ojciec, dziad i pradziad, umrze w Agarisie? Chłopak urodził się, by być monarchą, a nie pasożytem. To, co jego rodzice odbierali jak obowiązek, dla niego jest torturą. I w ogóle – ile można się rozkładać w tym świętym bagnie?! Stancler pisze, że należy czekać. Czekają, ale z takiego żywota można zwariować albo się zapić. Lepiej, to jasne, zapić się, ale na wino nie ma pieniędzy, nawet na najgorsze z najparszywszych.

Znowu otworzyły się drzwi – służący, zacisnąwszy wargi, dumnie wyniósł rozgrzebane jarzyny. Mszyca blada, nie ma pojęcia o życiu ani o jedzeniu, ale pyskiem kręci! Sądzi z wysokości swojej bogobojności. Z takim pyskiem czy ktoś chce, czy nie, musi pędzić żywot świętobliwy! A jeszcze ta handlarka...

Inochodziec Epineix poderwał się z kiwającego krzesła i fałszywie gwizdząc frywolną piosenkę o czarnych kędziorach pewnej ślicznotki, zatrzymał się przy oknie, starając się nie spoglądać w stronę cytryniarki. Już niechby odtrąbiony został Wieczór[23], [bo nie ręczy za siebie!](#)

–Rober, nie liczyłem na to, że będziesz w domu!

Inochodziec obejrzał się – Aldo Rakan stał w progu i uśmiechał się. Urodzony na wygnaniu książę był młodszy od Robera o pięć lat, ale ta różnica wieku nie przeszkadzała im w przyjaźni.

–A gdzie jeszcze mógłbym być?! – obruszył się Epineix. – Nie mam w kieszeni ani suana!

–Jadłeś kolację?

–Świętoszki uważają, że tak. – W głosie Inochodźca brzmiał szczery smutek. – Ale ja się z nimi nie zgadzam.

W szarobłękitnych oczach Aldo błysnęła kpina.

–Ty masz rację, nie oni. Czas zjeść kolację, i my, niech mnie Czworó, to właśnie zrobimy! Mam pieniądze, Roberze.

–A dużo?

–No, nie tak, żeby bardzo, ale na kolację wystarczy. Sprzedałem swój bursztyn.

–Zwariowałeś!

–Zwariowałbym dopiero, gdybym ci pozwolił umrzeć z powodu niestrawności. Jesteś moim marszałkiem, a nie kozą i nie krową, żeby faszerować się kapustą, poza tym, po licho mi różaniec? Nie znoszę ich... Krótko mówiąc – idziemy.

Nakładając kapelusz z porządnie wyszarganym piórem, Epineix apelował do rozsądku młodego przyjaciela, ale ten tylko roześmiał się głośno.

–Rober, kochany, mam tu Matyldę, a w Kabiteli – Stanclera. Zapewniam cię, wszystko, co potrzebne, oni mi powiedzą i napiszą, ale ja chcę żyć, Epineix! Żyć, a nie zebrać! Jestem księciem krwi Taligoi i będę żył jak monarcha. Albo, jeśli się nie uda, umrę, ale po królewsku! I ty, nawiasem mówiąc – Aldo trzepnął druha w ramię – jesteś taki sam. Po prostu tyś już wszystko sprzedał, a ja jeszcze nie! Nie przejmuj się, nasze będzie zwycięstwo, zobaczysz!

–W to nie wątpię – poddał się Inochodziec i podkręcił wąsa. Epineix nie miał zwyczaju przesadnie długo się zastanawiać; cokolwiek robił i dokądkolwiek się wybierał – czy to na wojnę, ucztę, czy na schadzkę, jakich u urodziwego Robera w przeszłości było mnóstwo. Niestety, Taligojczyk upierał się przy zasadzie swojego rodu – mężczyzna daje i daruje, a nie bierze i wymaga.

Zostawszy bez grosza w kieszeni, Inochodziec popadł w cnotliwy żywot, ponieważ nie potrafił mieć do czynienia z kobietami, nie obrzucając ich jeśli nie brylantami, to choćby różami. Zresztą długo się martwić Rober też nie potrafił. W jego rodzinie wszyscy z nadzieją patrzyli w przyszłość, a nieszczęściom patrzyli prosto w oczy, uśmiechali się do nich i wyciągali szpady. Epineix narzucił pelerynę i puścił do suzerena oko.

–Naprzód, Wasza Wysokość!

–Czekają nas wielkie czyny – oznajmił Aldo. – A na razie poszukamy oberży z gatunku raczej nieczystych. [\[24\]](#)

–A co tam długo szukać? Stary Gaimiol ma takie kury...

Kury Gaimiola rzeczywiście były słynne w całym Agarisie, i nie tylko kury. Sprytny Goganin władał niemal połową „nieczystych oberż”, w których nawet w czasie najsurowszych postów można było zakosztować łyka wina i pocałunku. Uważano, że zakazane uciechy przeznaczone są wyłącznie dla obcokrajowców-marynarzy, chociaż większość stałych gości Gaimiola należała do kościoła esperatyjskiego. Rober i Aldo zastanawiali się chwilę i skierowali na ulicę Spalonej Strażnicy do oberży „Pomarańczowy księżyc”, gdzie mimo postu, a może właśnie z jego powodu, bawiło się mnóstwo ludzi.

Epineix od jesieni nie bawił w tego typu miejscach, pewnie dlatego poczuł się prowincjuszem, który przyjechał do stolicy – wystrojeni ludzie, usługna służba, droga zastawa... Kiedyś żył w takim świecie i nie zauważał tego. Niech to Stwory Zmierzchu! Rober Epineix nigdy nie żał za cudze pieniądze! Uczty z przyjaciółmi się nie. liczą: dziś stawia jeden, jutro inny i nikt nikomu nic nie jest winien, ale żeby tak...

Aldo zrozumiał, dlaczego zazwyczaj wesoły Inochodziec jest tak dziwnie milczący, i umyślnie akcentując słowa, powiedział:

–Władca musi odpowiednio żywić swojego marszałka. Jak sądzisz, ile kosztuje Ollara Alva?

–O to właśnie chodzi, że wcale – burknął szczerze Inochodziec. – Kruk sypie własnym złotem.

–Wasal nie powinien być bogatszy od suzerena – nachmurzył się Aldo.

–Prawdziwym władcą Taligu nie jest Ollar, a Dorac – machnął ręką Rober. – Alva nie jest bogatszy od niego, a Ferdynand to szmata, przy tym brudna.

–Przezacni moi panowie. – Pulchny gogański młodzieniec, niepodobny do zwyczajnego sługi, pochylił się w głębokim i pełnym szacunku ukłonie. – Najpokorniej proszę, byście umyli ręce i podążyli za mną. Ktoś pragnie porozmawiać z wami.

–A któż to taki? – zapytał Aldo, podnosząc głowę znad ociekającego tłuszczem kapłona.

–Przezacni zobaczą sami. To ważni ludzie. Tacy ważni, że można umrzeć.

–Umierać nie trzeba. – Aldo z pewnym wahaniem popatrzył na zastawiony smakołykami stół.

–Przezacni panowie, w izbie spotkań nakryty jest taki stół, że ten przy nim wygląda jak lebioda przy róży i wiosenny jeź przy tuczonym cielcu. – Goganin ucałował własne rozpostarte palce. – Sam czcigodny Gaimiol, dowiedziawszy się, kogo będzie podejmował pod swoim dachem, czterokrotnie i raz jeden wznosił ręce do nieba i stanął przy różnie...

Aldo nic nie rozumiał, Rober również, ale rozumiał, że odrzucenie zaproszenia raczej nie wchodzi w rachubę. Taligojczycy z uprzejmości umoczyli palce w czarach z pachnącą różaną wodą, wytarli je w delikatne nieobrubione płótno [\[25\] i prowadzeni przez tłuściocha, przeszli za szczelną zasłonę dzielącą „Pomarańczowy księżyc” od mieszkania czcigodnego Gaimiola. W nos uderzył dziwny, do niczego niepodobny zapach, pochodzący z ustawionych w szeregu czterogłowych brązowych kadzielnic i Epineix ledwo powstrzymał się, by nie gwizdnąć – pucłowaty Goganin nie przesadzał, działo się coś bardzo ważnego i bardzo dziwnego.](#)

Nawet w najlepszych finansowo dniach Rober nigdy nie był w tej chronionej połowie gogańskiego domu. [\[26\] Jedynymi negoganami, którzy przenikali do tych najważniejszych części domów najbogatszych kupców i lichwiarzy Purpurowych i Żółtych Ziem, byli złodzieje, ale tylko ci najbardziej zuchwali. O tym, jak Goganie ich znajdują, krążyły opowieści tak straszne i dziwne, że chcąc nie chcąc wierzyło się w ich prawdziwość – wymyślenie czegoś takiego było niemożliwe. Aldo i Rober słynęli z odwagi, ale nawet oni poczuli się nieswojo. Wyraźnie czegoś się po nich spodziewano i już wiedzieli, że odmowa zaproponowanego wyróżnienia będzie, delikatnie rzecz ujmując, niełatwa.](#)

Wyłożony żółtymi i czarnymi kafelkami korytarz prowadził do góry – Goganie nie uznają schodów, a wewnętrzne drzwi zamykane są wyłącznie podczas jakichś szczególnych nocy. Kadzielnice zniknęły, czyli są już w sercu domostwa.

Korytarz skończył się przed kolejną zasłoną i przewodnik zatrzymał się.

–Przezacni są tu oczekiwani. Nie mnie, nikczemnemu, przekraczać ten próg. Niech spoczywa na potężnych i mądrych dłoń Kabiocha.[\[27\]](#)

Epineix trochę nieuprzejmie odsunął księcia i wszedł pierwszy. Na wszelki wypadek. W Agarisie mówiło się, że pierwszy obcy, który wchodzi do gogańskiego domostwa, umiera wcześniej niż drugi. Ktokolwiek siedział za zasłoną, marszałek nie zamierzał pozwolić mu skrzywdzić Aldo! Tyle że nikt tam nie siedział.

Pokój, w którym znalazł się Rober, był okrągły. Prowadziło do niej czworo drzwi, ale zwyczajnych dla Taligojczyka okien nie było. W dzień światło przenikało przez otwory w suficie, ale teraz na ulicy było już ciemno, i Goganie zapalili masywne olejowe lampy.

Ponownie zapachniało kadzidłami, ale ta woń była słabsza i nie tak ostra, jak w pierwszym korytarzu. Na środku izby matowo połyskiwała metalowa piramida, co potwierdzało prawdziwość opowieści agaryjskich złodziei. Czyżby złoto? Czy tylko połączona miedź lub brąz?

Zasłona na jednych drzwiach była odsunięta i Rober uznał to za zaproszenie. O ile pierwsza komnata nie miała kątów, to druga miała ich aż za dużo, a miejsce piramidy zajmował ogromny, zastawiony różnymi potrawami stół, przy którym zasiadało pięciu Gogan w średnim wieku w żółto-czarnych kitlach [\[28\]](#) i [jeden w żółtym. Ten widok ostatecznie pozbawił Robera apetytu – Świątobliwego Esperadora i magnusów\[29\]](#) przyszy księżę Epineix widział, choć – co prawda – z daleka, ale seniora Gogan [Złotych Ziem – nie, choć słyszał o Wielce Czcigodnym\[30\]](#) Enniolu Gawinionie [niemało. Człowiek ten, uważano, był zbyt mądry, chytry i bezlitosny nawet jak na Goganina. Co Enniol robi w domu Gaimiola, stojącego w gogańskiej hierarchii o kilka stopni niżej od Najczcigodniejszego z Najczcigodniejszych?!\[31\]](#) [Co robi tu on i Aldo?](#)

–Moja radość nie zna granic. – Enniol mówił niezbyt głośno i wyraźnie. Tak mówią ludzie przyzwyczajeni do bezwzględного podporządkowania. – Niech rozplyną się smutki naszych gości i pomnożą się ich radości. Najpokorniej zapraszam przezacnych i wspaniałych, by przyłączyli się do naszego posiłku. Dopiero zaspokoiwszy ciało, można wznieść się na wyżyny myśli.

Luminarze esperatyzmu twierdzili, że, ograniczając ciało, wzmacnia się ducha i raduje Stworzyciela, ale przegłodzony Rober całkowicie zgadzał się z Goganinem. Tym niemniej nie można było rzucać się na jedzenie, nie dowiedziawszy się najważniejszego, nie można było. Inochodziec chwycił w garść całą swoją wolę i starał się nie patrzeć na najwspanialszy stół Agarisu.

–Dziękuję Wielce Czcigodnemu Enniolowi i jego współplemieńcom za uprzejme zaproszenie – księżę podzielał poglądy swojego marszałka – ale chcemy wiedzieć, w

czym wygnańcy mogą być przydatni waszej wspólnoty.

–Słyszę to, co oczekiwałem usłyszeć – ciągle tak samo, niezbyt głośno, rzekł Enniol. – Czy wygnańcy mogą być przydatni prawnukom Kabiocha i czy mogą prawnukowie Kabiocha ułatwić los wygnańców? Jeśli przezacni się zgodzą, to uzyskamy odpowiedź na te pytania jeszcze tej nocy, ale jestem starym człowiekiem i nie zwykłem patrzeć na młodzież z dołu do góry. Proszę gości tego domu, by opadli w fotele i skosztowali czterokroć po cztery potrawy, by okazać, że ufają gospodarzowi. Ludzie Honoru czczą swoje obyczaje, my, prawnukowie Kabiochowi – swoje, i w tym jest nasza siła i nasz ratunek.

Gospodarzom Rober nie ufał. Nikt, będąc zdrowym na umyśle i przy sprawnej pamięci, nie będzie ufał Goganom, ale zjeść można i nawet należy, skoro zapraszają, i to tak usilnie? Osobiście stanąwszy przy palenisku, Najczcigodniejszy Gaimiol udowodnił prawo do noszenia miana najlepszego kucharza Agarisu i całej Kertiany. Oczywiście towarzystwo gogańskiej starszyny nieco psuło przyjemność, a i okazywanie zastarzałego głodu było niezręczne, ale mimo to Epineix i Rakan złożyli należny hołd poczęstunkowi. Enniol opowiadał o walorach proponowanych potraw, Aldo od czasu do czasu odpowiadał, pozostali milczeli.

Posiłek zakończył się już znanymi czarami do umycia rąk. Słudzy wynieśli stół i zapalili nieodłączne kadzielnice. Rober Epineix widział pełną napięcia twarz swojego suzerena – Aldo rozumiał, że wstępują na chwiejne schody, które mogą zaprowadzić ich zarówno do raju, jak i do piekła.

–Zanim zaproponuję przezacnym to, co chcemy zaproponować – zaczął czcigodny – chcę zapytać, co wie wspaniała Aldo z domu Rakanów o naszej wierze i przeszłości swojego rodu?

–Niemał nic – pokręcił głową Rakan. – Wy nie lubicie się odstawiać, a ja, jeśli mam być szczery, w esperatyzmie mocny nie jestem. Klerycy powiadają (mam nadzieję, że czcigodny mi wybaczy), że modlicie się do demonów, które przegnał Stwórca.

–Słowa przezacnego nie są obrazą – cicho powiedział Enniol. – Tak sądzi wielu i my, prawnukowie Kabiochowi, nie śpieszymy z rozjaśnianiem mroku, w jakim błądzą niewprowadzeni. Ci, co zapomnieli o swojej przeszłości, nie są jej godni. Tylko my przechowujemy w swej pamięci to, co przechowujemy, i gdy słońce wzejdzie na Zachodzie, staniemy się tymi, kim się staniemy, ale ty, przezacny, należysz do rodów wybranych i odsłonimy przed tobą prawdę...

Rober Epineix zacisnął zęby – kazanie po obiedzie, co może być obrzydliwszego? Ale przeklęty Goganin nie przejdzie do sprawy, póki nie nazgarnia tysiąc wiader wędzonych psów.[\[32\] Przyjdzie wysłuchać. Inochodziec ukradkiem zerknął na Aldo – w oczach księcia widniała rezygnacja, ale na obliczu malowała się uprzejma](#)

ciekawość; z natury porywczy, żeby nie powiedzieć szalony, Rakan nauczył się panować nad sobą już w dzieciństwie. Wygnanie i bieda są dobrymi doradcami, nawet przesadnie dobrymi.

–Nie chcę opowiadać przezacnym o wszystkich pokoleniach Kabiocha – wyglądało na to, że Enniol rozumiał, jakiej próbie poddaje swoich gości – i nie zacznę nawoływać ich do przyjęcia naszej wiary. Być może potem przed przezacnymi odsłoni się prawda i wykonają krok od wielkości ziemskiej do wielkości niebiańskiej. Na razie powiem tylko to, co powiem. My, jak i wy, wierzymy, że świat ten powstał w ciągu szesnastu dni, i stworzyciel jego, którego imię brzmi Kabioch, odszedł do gwiazdnej Nici, ale dalej nasza wiedza i wasze błędy rozchodzą się, jak rozchodzi się przetarta droga i ślad ślepego osła.

Goganin zamilkł i uważnie przyjrzał się gościom. Widocznie czcigodny czekał, aż się obruszą, ale książę milczał, a marszałek tym bardziej. Rober Epineix za bardzo nienawidził parzonej marchwi i suchego pyska, by bronić esperatystów. Najprawdopodobniej urodzonemu w Agarisie Aldo gospodarze dopiekli jeszcze bardziej. Epineix wydawało się, że Enniol stłumił uśmiech.

–Postaram się nie nadużywać uwagi przezacnych. Wierzycie, że świat nasz zajęły demony, które rządziły nim przez siedem tysięcy lat i zostały przegnane przez Stwórcę, który powrócił, ale Stwórcą przewyższa wszystkich w Mądrości i Mocy, wszystko dzieje się z Jego woli. Czy mógł On odejść, zostawiwszy to, co stworzył, nikczemnym? Czy mogły demony ośmielić się tak, że przejęły należące do Niego?

Pytania nie wymagały odpowiedzi, ale Rober poczuł, że jest zaintrygowany. Rzeczywiście, jeśli Stwórcą zna przyszłość, jak twierdzą klerycy, to znaczy, że o demonach też wiedział? Wiedział i nie powstrzymał ich?

–Widzę w oczach przezacnych cień wątpliwości i rozwieję go. Czwooro nie demonami było, a pierwszymi z dzieci Kabiocha, najsilniejszymi, najmądrzejszymi i najsprawiedliwszymi.

Enniol zamilkł, surowo i poważnie patrząc na Aldo. Rakan uśmiechnął się uprzejmie.

–Teraz znam istotę waszej wiary, ale ciągle nie...

–Przezacny gość – ostatni w rodzie Rakanów, władców ziemskich, w którego żyłach płynie krew wszystkich synów kabiochowych. Rakanowie są wnukami Kabiocha, Goganie są tylko prawnukami. Czy odżegna się Aldo Rakan od tego, co mu się należy z urodzenia, w zamian za tron Taliga?

Rober uznał, że się przesłyszał, i Aldo, sądząc z jego miny, też. Taligojski tron dla urodzonego w Agarisie następcy Rakanów był czymś w rodzaju mirażu Ziemi Purpurowych. Inochodziec Epineix zakosztował wojny domowej i tylko utwierdził się,

że ich sprawa nie ma szans, i nagle...

–Przezacni goście są zdziwieni? – odezwał się senior Gogan. Mówił tylko on, pozostali tylko zgodnie pochylali głowy, jakby poświadczając słowa Enniola.

–Przyznaję, tak. – Aldo zaniechał kołowania. – Od czego właściwie powinienem się odżegnać i jakim sposobem możecie nam w tym pomóc? Pożyczyć pieniądze?

–Złoto może wiele, ale my jesteśmy silni nie tylko z powodu złota, ale i wiedzy, i z wielu innych powodów, o czym przezacni goście nie muszą wiedzieć. Kiedy Aldo Rakan nałoży koronę, wspomni tę rozmowę, a nałoży ją, jeśli się zgodzi.

–Czcigodny – wygnaniec zajrzał w twarz staremu Goganinowi – do dnia dzisiejszego nic nie wiedziałem o waszej wierze, ale wiem, że niczego nie dajecie za darmo i zawsze dbacie o korzyści.

–Potomkowie Gocha chcą wziąć na swoje barki brzemień porzucone przez niedbałych – błysnął oczyma Enniol. – To, czego chcemy my, odrzucone zostało przez prarodziców przezacnych wiele wieków temu. Aldo z domu Rakanów posiada to, co widzi we snach, w zamian za to, do czego jego serce nigdy nie tęskniło. Niech przezacny przysięgnie, że będąc władcą Taligu, odda w ręce prawników kabiochowych starą Galtarę i relikwie, stworzone w czasach, kiedy Rakanowie nie znali esperatyzmu. I zasiądzie na tronie.

–Galtarę? Ale tam nikt nie mieszka.

–Syn mojego ojca mówi wnukowi twojego dziada, że to, o co prosimy, nie ma wartości w oczach tych, co zapomnieli o swoim pochodzeniu.

–Skorośmy i tak zapomnieli i o niczym nie wiemy, po co wam moje zrzeczenie? – Aldo jakby czytał w myślach Robera. – Za swoje złoto kupicie i ruiny Galtary, i stare przedmioty.

–Szanujemy Prawo Kabiocha i nie chcemy upodabniać się do skupujących kradzione. Tylko prawowity właściciel praw i mienia może z nich zrezygnować.

–A jeśli się nie uda? Nie tak łatwo będzie strącić Ollarów.

–Jeśli się nie uda, to znaczy, że prawnukowie Kabiochowi nie spełnili swojego przyrzeczenia i wypłacą zadośćuczynienie. Jakie jest słowo przezacnego?

Rober patrzył na Aldo, oczekując jego decyzji. Z jednej strony, propozycja była zyskowna, z drugiej – wydawała się... przesadnie zyskowna, chociaż tylko Obcy się pozna na tych fanatykach. Może dla nich naprawdę nie ma nic ważniejszego od owego pierworództwa i starych maneli...

–Zgadzam się – wyraźnie rzeki Aldo. – W dniu mojej koronacji otrzymacie Galtarę i te stare przedmioty, które sobie zażyczycie.

–Proszę, by przezacny potwierdził swoje słowo w Komnacie Jednego i Czterech, i proszę przezacnego gościa zapytać swoją krew o przeszłość.

–Ale, czcigodni, jestem esperatystą.

–Dla Kabiocha i jego prawnuków ważna jest krew przezacnego gościa, ale nie jego myśli.

–Czyli mam przysiąc na krew?

–Taki jest zwyczaj. Ale i prawnukowie Kabiocha złożą przysięgę i wniosą swój zastaw.

–Dobrze – Aldo podniósł się – niech będzie tak, jak chcecie, chociaż krew szlachcica nie jest droższa od jego słowa. Mój przyjaciel powinien zrobić to, co i ja?

–O nie! Niech przezacny Rober z domu Flocha da słowo, że zachowa dla siebie to, co zobaczy – to wystarczy.

–Nie rozgłaszam tajemnic swojego monarchy – odparował Inochodziec, zdumiony właśnie odkrytym pokrewieństwem z jakimś Elochem.

–Zatem proszę, by przezacni podążyli za mną do komnaty Kabiocha.

Nie było już wątpliwości, z czego wykonano ten przedmiot. Złoto! Czerwone złoto, niezapaskudzone żadnymi domieszkami. Rober nigdy nie był chciwy, ale na myśl, ile wuarskich[33] sztabek poszło na tę jedną jedyną gogańską zabawkę, ogarniało go przerażenie.

Enniol uniósł ręce, jedna z zasłon drgnęła, przepuszczając dwie ni to brzemiennie, ni to bardzo grube młode kobiety, odziane w różnokolorowe jedwabie i obwieszone biżuterią. Grubaski prowadziły pod ręce trzecią, niewysoką i szczupłą, owiniętą lekką białą tkaniną. Obojętny na wszelkie obrzędy, ale nie na kobiety, Inochodziec, starając się nie naruszać zasad przyzwoitości, próbował się przyjrzeć kobietom. Goganie ukrywali swoje żony i córki przed obcym wzrokiem, a tu nagle pojawiły się aż trzy.

Mówiło się, że Goganie żenią się z krewniaczkami, nawet z siostrami i córkami. Mówiło się, że prawnuczki Kabiocha są piękne, że mają ciemnorude kędziory i bladą cerę. Mówiło się, że Goganie oszpecają swoje żony, tuczając je niczym gęsi i wstawiając im w nozdrza pierścienie. Mówiło się, że gogańskie kobiety to wyłącznie wiedźmy, że ojciec ma prawo współżycia z żonami synów, a starszy brat z żoną młodszego, ale obcoplemieńca, który zobaczył Goganni[34] bez osłony, czeka śmierć. Ile w tych opowieściach było głupot, a ile prawdy, Epineix nie wiedział, ale grubaski stałyby się prawdziwymi pięknosciami, gdyby ktoś wpadł na pomysł przetrzymania ich miesiąc na gotowanej marchwi. Ciemnorude i białoskóre, z sobolimi brwiami i wielkimi zmysłowymi ustami, mogły uchodzić za siostry, a może nimi były.

Stęskniony kobiecego towarzystwa Inochodziec wybaczył damom ich potrójne podbródki i ciężkie brzuchy w zamian za jasnobrazowe oczy i jaskrawe wargi. Oczywiście w taligojskich sukniach Goganni wyglądałyby jak beczki, ale wielowarstwowe mieniające się odzienia, spod których wysuwały się szczupłe stopki w wytwornych safianowych pantofelkach bez obcasów, naprawiały sytuację. No to są brzemiennie czy nie?

–Innowierca nie może dotknąć ary[35] – wyjaśnił Enniol – ale przysięgę przezacnego przyjmie prawnuczka Kabiocha, wstępująca w okres rozkwitu i do tej chwili niewidząca mężczyzny poza swoim ojcem.

Grubaski zatrzymały się i zdjęły ze swojej towarzyszki białe okrycie. Trzecia Goganni różniła się od swoich koleżanek jak rasowe źrebię różni się od dojnych krów. Odziana w biel dziewczyna była bardzo młoda. Niewysoka, żeby nie powiedzieć malutka Goganni miała ciemnorude włosy, jej gęste, lekko falujące włosy upięte były z tyłu głowy na podobieństwo końskiego ogona, a mimo to sięgały kolan.

Śnieżnobiała cera, delikatnie zarysowane, choć duże usta, wielkie oczy, jaśniejsze niż u towarzyszek, wystraszone, ale zdecydowane... Powiedzieć, że dziewczyna była piękna, znaczyło nie powiedzieć nic! Taką chce się chwycić na ręce i nieść po ukwieconej łące tam, gdzie nie ma ani bólu, ani błota, ani jesieni.

–Młoda Mellit, młodsza córka czcigodnego Gaimiola, doniesie słowo i krew przezacnego do zwierciadła Kabiocha.

Aldo z gracją uklonił się kobietom. Rober znał swojego suzerena – do Kabiocha nie miał nic, ale dla tej piękności w bieli gotów był przelać krew. I nie tylko on... Niestety, Mellit opuści dom dla jakiegoś lichwiarza czy oberżysty. Mężem Goganni może być tylko Goganin, a żoną księcia Epineix – kamienny posąg z przydługim rodowodem. Jak się nie ma w życiu szczęścia, to się nie ma!

Pod zachwyconymi spojrzeniami obcych piękność spąsowiła i opuściła rzęsy. W odróżnieniu od swoich tłustych krewniaczek Mellit nie nosiła wielowarstwowych nieforemnych okryć, miała na sobie tylko białe, ściągnięte w kostkach szarawary i równie białą krótką bluzeczkę, zawiązaną pod piersiami. I tyle. Ani złota, ani biżuterii, zresztą nie pasowałyby do niej. Po co konwalii złoto? Jest piękna sama z siebie.

Dziewczyna uklękła przed Enniolem, a ten władczy gestem chwycił ją za włosy, unosząc twarz. Nie było to okrucieństwem, a początkiem rytuału. Słów wypowiedzianych przez czcigodnego Rober, rzecz jasna, nie zrozumiał. Senior mówił, Mellit słuchała, z lekka rozchyliwszy purpurowe wargi. Jedna z grubasek przyniosła oprawioną w złoto muszlę, druga – sztylet o czterograniastym ostrzu.

–Czy zgadza się przezacny Aldo z rodu Rakanów zadać sobie ranę tym nożem i pozwolić Mellit otrzeć krew?

–Dla oczu pięknej Mellit jestem gotów na wszystko – z galanterią odpowiedział Taligojczyk, ale opamiętał się i szybko dodał: – Jeśli taki jest zwyczaj, zgadzam się. Gdzie i jak mam kłuć?

–Tam i tak, jak uczynię to ja. Niech przekona się nasz gość, że ostrze jest wolne od zła, i niech się stanie krew prawnuczki Kabiocha naszą rękojmią, a krew przezacnego Aldo – jej odpowiedzią.

Rober drgnął, gdy Enniol, ciągle jeszcze trzymając Mellit za włosy, sięgnął drugą ręką po sztylet i ukłuł dziewczynę w dolinkę między piersiami. Trysnęła krew. Purpura na bieli! Ranka nie była głęboka, ale krew popłynęła obficie. Goganin położył zakrwawione ostrze na muszli i puścił Mellit. Dziewczyna wstała z kolan, nie próbując nawet powstrzymać wypływającej krwi, wzięła tacę z nożem i nerwowo mrugając, podeszła do Aldo, pośpiesznie rozpinającego kolet i koszulę. Następca Rakanów czule uśmiechnął się do zakrwawionej piękności, bez wahania chwycił sztylet i się

zranił.

–Niech moja krew odpowiada za moje słowa.

–Niech tak będzie – zamruczeli Goganie. Mellit wzięła z rąk Aldo klingę, na której jej krew mieszała się z krwią innowiercy, i przycisnęła do rany księcia podany przez grubaskę kawałek nieobrubionego płótna. Sprytny Rakan przechwycił tkaninę tak, że jego ręka na mgnienie oka przykryła palce Mellit. Dziewczyna drgnęła, uwolniła palce i zachwiawszy się, zrobiła krok ku złotej piramidzie. Enniol coś do niej powiedział w swoim języku, Goganie i Goganni podchwycili tekst, zalana swoją i obcą krwią Mellit uniosła sztylet, jakby zamierzała wbić go w gładką złotą powierzchnię.

Wprawdzie złoto jest bardziej miękkie niż stal, jednak szczupłe dziewczęce dłonie nie powinny poradzić sobie z wbiciem sztyletu w złoty monolit – jednakże zakrwawione ostrze weszło w piramidę niczym w masło, a nieprzytomna Mellit runęła na ręce grubasek, które wywlokły ją z Komnaty.

Rober omal nie rzucił się za nimi – los dziewczyny dotykał Inochodźca znacznie silniej niż gogańskie głupoty. Musiał uprzytomnić sobie, że Goganni nie jest parą dla przyszłego taligojskiego księcia, a taligojski książę nie pasuje do Goganni. Mellit jest obca, widział ją po raz pierwszy i ostatni.

Inochodziec zmusił się do patrzenia na przeklętą piramidę, a to, co zobaczył, spowodowało, że zapomniał i o nieprzytomnej piękności, i o tym, gdzie i dlaczego się znajduje.

Na zwierciadlanej powierzchni pojawiło się pęknięcie, nie, nie pęknięcie! Błyskawica! Błyskawica Epineix! Oszołomiony podwójnym zygzakiem Rober nie od razu zrozumiał, że to sama piramida zaczęła topnieć, jak topnieją letnie obłoki. Wkrótce po złotym monolicie pozostały tylko ostre kanty, ograniczające pewną wypełnioną złotym jarzeniem objętość, oraz znak Błyskawicy. Jarzenie powoli bladło, przebijały przezeń jakieś cienie – poruszały się, łączyły, rozłączały; jedne znikwały, na ich miejscu powstawały inne, kontury stopniowo nabierały wyrazistości; stawało się jasne, że to są ludzie.

Zadziwiony Rober patrzył na powstający przed nim obraz. Komnata ze sklepieniem sufitem, na ścianach – obicia ze scenami myśliwskimi, ale jakieś pozbawione smaku i prostackie! Zmętniałe okna z gęstymi szprosami, na ścianach płonące pochodnie. Noc albo późny wieczór... Dziwne, komnata wydaje się znajoma, a jednocześnie Epineix gotów jest przysiąc, że nigdy w niej nie był. Złocista mgła rozwiała się ostatecznie, odkrywając przed wzrokiem dwóch wartowników krzyżujących w progu piki masywny stół z ciemnego drewna i siedzącego przy nim człowieka w średnim wieku w fioletowej szacie nałożonej na kolczugę.

Na szlachetnym obliczu nieznanego widoczne było zdecydowanie i pewność siebie i ponownie Roberowi wydało się, że skądś zna te poważne rysy, krótką brodę i uważne spojrzenie. Duża dłoń tarł się o pierś masywny złoty łańcuch, w spojrzeniu widać było inteligencję i troskę.

Marszałek Taligoj? Ale kto to jest i dlaczego jest tak ubrany? Marszałek, o ile to był on, wstał, pozwalając dojrzeć wyhaftowaną na ramieniu ośmiornicę. Pridd! Ale ostatni marszałek z tego rodu zginął tego samego dnia, co Ernani Rakan i Alan Ockdell, i był to... Na Stwory Zmierzchu, kiedyż to było?!

Historia nigdy nie była konikiem Inochodźca Epineix, ale jeśli człowiek w piramidzie jest Hektorem Priddem, to to wyjaśnia wszystko – małe okna, pozbawione gustu obicia, stare szaty, wojownicy z pikami, ale co ma do tego Pridd?

Strażnicy rozsunęli piki, przepuszczając kogoś ciemnowłosego i smagłego. Olśniewający uśmiech, kruczoczarne włosy, zmrużone ze złością oczy – gwałtowna południowa uroda, nietaligojska, obca i nieprzyjemna. Usta wchodzącego poruszyły się, ale z piramidy nie doleciał ani jeden dźwięk. Twarz Pridda zniekształcił gniew, marszałek stuknął pięścią w stół, południowiec roześmiał mu się w twarz i w tym momencie Rober go poznał. Ramiro, zdrajca! Dzisiejszy książę Alva nie był podobny do swojego przeklętego przodka, ale śmiali się jednakowo.

Rober Epineix wiedział, że Ramiro najpierw zabił marszałka Pridda, potem króla Ernaniego Rakana i wpuścił do miasta maragońskiego bastarda.[\[36\] Taligoja upadła nie w uczciwej walce, a dzięki zdradzie właśnie... Teraz Inochodziec widział, jak się to odbyło. Ramiro ciągle jeszcze się śmiał, gdy rozjuszony marszałek poderwał się i chwycił za miecz, jednocześnie machnąwszy ręką do występujących do przodu strażników. W tym momencie z góry uderzyły kusze. Strzelcy nie spudłowali, wojownicy w barwach Pridd niezręcznie zwalili się na podłogę. To było sygnałem. Drzwi otworzyły się, przepuszczając półtorej dziesiątki ludzi w czerni i błękitach.](#)

Marszałek był sam przeciwko nim wszystkim, ale nie zamierzał się poddawać. Rober Epineix zacisnął pięści – co innego wiedzieć o starej zdradzie, od której zaczęły się wszystkie nieszczęścia Taligoj, a co innego – widzieć to na własne oczy. Epineix nie słyszał, co mówi Pridd, ale i tak było jasne co. Mężczyzna i wojownik, który trafił w pułapkę, wie, co rzucić w twarz zdrajcy, a zdrajca... Zdrajca znowu zarechotał! Kenallijskie kruki nigdy nie wiedziały, co to sumienie, nienadaremnie podły potomek otrzymał w spadku od zdrajcy szyderczy śmiech. Ramiro coś powiedział, machnął ręką do swoich ludzi i obnażył miecz.

To u nich rodzinne – wszyscy Alva rodzą się z klingą w ręku i, niczym koty, uwielbiają zabawę ze swoimi ofiarami. Po prostu zabić – to takie nudne! Pridd był niezłym szermierzem, nawet dobrym, ale Rober Epineix dobrze wiedział, jak to się skończy. I marszałek też wiedział, ale walczył do końca! Sam w pierścieniu

Kenallijczyków, już smakujących kolejny triumf swojego wodza. Ale dlaczego, dlaczego, dlaczego nie można rzucić się do przodu, przejść przez złote krawędzie, znaleźć się w przeszłości, stanąć ramię w ramię z człowiekiem, którego morduje niegodziwiec, spowodować, by wszystko potoczyło się inaczej?!

Rober odruchowo skoczył do przodu, ale jego ręka znalazła się w jakichś kleszczach i czyjś głos wysyczał:

–Przezacny widzi tylko cienie cieni. Pamięć krwi Rakanów obudziła się i przemawia... To już było i tego się nie da poprawić...

Nie da się poprawić... Było... Ale dlaczego to tak boli?

Turnieje wyszły z mody całkiem niedawno i Rober Epineix z doświadczenia wiedział, co to dwuręczne miecze, jakimi posługiwali się przeciwnicy. W młodości Inochodziec kilka razy chwycił dziadkowy dwuręczniak i pamiętał, że należy przez cały czas podtrzymywać ruch klingi, żeby jej waga pomagała, a nie przeszkadzała. Nie, z całą pewnością szpady są wygodniejsze, ale w czasach Ramiro i Hektora o tym nie wiedziano.

Na pierwszy rzut oka należało postawić na marszałka – był masywniejszy i jakby silniejszy, a jego espadon był dłuższy od miecza przeciwnika. Dłuższy, ale i cięższy, a wysoki i zręczny Ramiro był młodszy i szybszy od rywala.

Pridd, rozkręcając miecz, usiłował trzymać Alvę na dystans. Wszystko zależało od tego, czy uda się narzucić Kenallijczykowi swój rytm. Wszystko zależało? Hektor Pridd zginął dawno temu, Taligoja padła, na tronie siedzą Ollarowie, a obok tronu stoi potomek zdrajcy. Stoi i się śmieje...

Zacisnąwszy pięści, Inochodziec Epineix obserwował krążących dokoła siebie rywali. Kiedy walczy się na szpady, należy patrzeć przeciwnikowi w oczy, żeby przewidzieć jego uderzenie. Jeśli walka toczy się na miecze, patrz w dół, na nogi wroga. Nawet nie na nogi, a nogę, na której w danej chwili się opiera.

Marszałek, jak się spodziewał Rober, zaatakował pierwszy, zacząwszy atak z wykroku i tnąc z dołu do góry. Celował w głowę Kenallijczyka, ale ten uchylił się w prawo, sparował cięcie Pridda i swobodnie odskoczył do tyłu. Hektor przeprowadził uderzenie z czwartej zasłony do pierwszej, celując w ramię rywala. Rober sam by tak postąpił, ale Alva przyjął uderzenie na blok i lewą ręką chwycił ostrze. Gdyby walka odbywała się na żywo, to dałby się słyszeć brzęk porównywalny z uderzeniem dzwonu, ale wskrzeszonych do walki przeciwników obejmowała cisza.

Zdrajca okazał się mocny, ale czegoż jeszcze można było oczekiwać?! Gdyby Alva nie był pewien swego, marszałek leżałby z bełtem w gardle obok nieszczęsnych wartowników. Ramiro, mimo że dwoma rękami utrzymywał miecz Hektora, odepchnął

go i gwałtownie odskoczył do tyłu. Pridd znowu rzucił się do ataku, jeszcze bardziej rozpaczliwie, kierując na cofającego się przeciwnika cały grad uderzeń, na pierwszy rzut oka bezładnych, ale tylko na pierwszy rzut oka. Epineix rozumiał, że marszałek nastawił się na uderzenie w głowę, ale do tego potrzebna mu była szybkość, którą stracił.

Ciosy skazanego trafiały w pustkę, a potem Alva dostrzegł szansę, kiedy przeciwnik się odkrył, i ciął błyskawicznie, przecinając kolczugę. Smecz! Z pierwszej zasłony w czwartą. Bardzo proste. Proste i skuteczne, szczególnie jeśli przeciwnik nie miał na sobie pancerza.

–Na Stwory Zmierzchu! – jęknął Aldo, o którym Epineix jakoś zapomniał.

Zwycięzca wytarł klingę, machnął ręką do swoich ludzi i zniknął za drzwiami królewskiej sypialni. Rober widział rozpalone południowe twarze i znieruchomiały profil marszałka, niepotrafiącego obronić ani swojego króla, ani swojego królestwa. Dwaj Kenallijczycy podnieśli ciało i wynieśli z komnaty, inna czwórka pochyliła się nad strażnikami, a potem wszystko zniknęło w złocistej mgle.

Rozdział 3

Posiadłość Laik

„Le Cinq des Bâtons”[\[37\]](#)

1

Fosa nie była przesadnie szeroka, ale po jednej jej stronie pozostawali krewni, dom, przyjaciele, a po drugiej Richarda Ockdella nie czekało nic dobrego. Gwardzista w nienawistnym „smoczym”[\[38\]](#) [mundurze uważnie przejrzał listy i wywołał ze strażnicy puciołowatego, woniejącego cebulą sierżanta. Ten, poruszając czerwonymi ustami, jeszcze raz przejrzał papiery, kazał wszystkim poza Diakonem i Ivonem się oddalić i skinął na podwładnego. Zwodzony most, niechętnie skrzypnąwszy, opuścił się, a Psoтник i Mądrala, zezując z obawą, weszły na mokre deski.](#)

Zmieniająca się w błoto droga prowadziła przez ponury park. Wielkie, nagie drzewa oblepione były gniazdami szpaków i kulami jemioly, nad którymi kłębiły się niskie, gotowe do szlochu obłoki. Na gęstych, kłujących krzewach rosnących wzdłuż drogi cudem utrzymały się brudnobiałe owoce wiedźmich łez – w Ockdell ta roślina uważana była za nieczystą. Jeźdźcy minęli ollariańską kaplicę. Dickon nie wiedział, czy są obserwowani, ale przypomniawszy sobie zalecenia Stanclera, bojaźliwie przyłożył prawą rękę do ust i pochylił głowę.[\[39\]](#) [Ivon, zagapiwszy się chwilę, poszedł za jego przykładem.](#)

Park był wielki, chyba nawet można go było nazwać lasem. Z lewej pokazało się coś na kształt jeziora albo wielkiego stawu, za którym widniały rozmyte kontury budowli, która wydała się Richardowi zadziwiająco nieprzyjemna – długa, szara, z malutkimi ślepowymi oknami. Kiedyś znajdowało się tu opactwo Świętego Tankreda.[\[40\]](#) [Francisk Ollar wypędził mnichów, którzy nie uznali go za głowę Kościoła, z ich przystani i oddał ją szkole giermków. Od tej chwili budynek był przebudowywany wielokrotnie, ale nadal przebijał z jego murów klasztor. Rytualny ollariański gest. Esperatyści wykonują to samo, ale lewą ręką. Święty Tankred – jeden z siedmiu twórców esperatyizmu, adept Wiedzy.](#)

Opowiadali ludzie, że w święta kościelne i przed wielkimi nieszczęściami w domu dzwoni niewidzialny dzwon, zwołując martwych braci na mszę o północy. Teraz Richard miał na własnej skórze zweryfikować te opowieści. Młodzieniec rozpaczliwie marzył o zawróceniu Psoтника, ale powstrzymywał się. Kiedy podjechali do budynku, z drzew zerwało się całe stado kruków, obrzucając przybyłych kłótliwymi wrzaskami. Dickon zeskoczył z wierzchowca pierwszy i pomógł Ivonowi. Skądś pojawił się

koniuch o niepozornej szarej twarzy i odprowadził niezadowolone wierzchowce. Ciężkie drzwi otworzyły się, wypuszczając służącego, wyglądającego jak bliźniak koniucha o pociągłej twarzy.

–Jak mam zameldować? – Głos sługi był tak samo bezbarwny jak jego fizjonomia.

–Hrabia Ivon Larack i jego podopieczny.

–Proszę za mną.

Drzwi z hałasem zamknęły się i Richard poczuł się jak mysz, co wpadła w pułapkę. Malutkie okienka raczej nie dawały wystarczającej ilości światła nawet latem, a teraz w budynku było ciemno jak w grobowcu. Sługa zapalił świecę i od razu stał się zadziwiająco podobny do znaku zakonu Prawdy. [\[41\] Bluźniercze porównanie nieco odwróciło uwagę Dickona od posępnych myśli, które od razu powróciły, gdy tylko zobaczył swojego przyszłego mentora.](#)

Kapitan Aramona zasiadał w fotelu pod portretem maragońskiego bastarda. Nie uznał za słuszne, by wstać na spotkanie wchodzących. Skinął na powitanie wielką głową i burknął krótko:

–Proszę siadać.

Niczego na świecie bardziej Dickon nie pragnął, niż cisnąć rękawicę w ten czerwony, zadowolony z siebie ryj, ale przecież dał słowo conseillerowi.

–Czyli księżę Ockdell raczył wstąpić pod moje skrzydła – głos Aramony odpowiadał jego rozmiarom – a mentor nie ma nic przeciwko temu.

–Decyzję podjęła księżna wdowa Mirabella – bardzo spokojnie odrzekł Ivon. – Nie uważałem za słuszne sprzeciwiać się jej woli.

–Ale z własnej woli syna Egmonta do stolicy nie raczył pan wysłać. – Kapitan wpił się spojrzeniem w Laracka, nie usiłując nawet zamaskować pogardy. – Ale to nieważne. Jest tu nasz kapelan. Przysięgnijcie w jego obecności, że przyprowadził pan swojego podopiecznego z dobrej woli.

Okazało się, że w komnacie poza Aramoną i mnóstwem portretów ollarskich wyrodków był też kapelan. Niewysoki elegancki mężczyzna w czerni siedział przy oknie. Dick w pierwszej chwili nawet go nie zauważył.

–Witam was, moje dzieci. – Kapłan odezwał się ciepłym i przyjemnym głosem, ale w ciemnych, ładnych oczach nie było ani ciepła, ani przyjaźni. – Czy wasza decyzja jest przemyślana i dobrowolna? Czy gotowi jesteście obaj przysiąc na Stwórcę naszego, że serca wasze i dusze należą do pana naszego i jego namiestnika na ziemi Taligu,

Jego Wysokości Ferdynanda Drugiego?

Esperador Damian czterysta lat temu ogłosił, że przysięgi złożone pod przymusem są niezobowiązujące. Okłamywanie fałszywych duchownych zawłaszczających prawo do przemawiania w imieniu Stwórcy nie jest grzechem. Richard wraz z opiekunem spokojnie wygłosili słowa przysięgi, wiedząc, że łżą. Kapłan i Aramona też to wiedzieli – Ollarowie utopili Talig w kłamstwie. Ludzie Honoru, żeby wyżyć, zmuszeni byli podjąć narzuconą im grę.

–Teraz w obecności swojego opiekuna młody Richard Ockdell powinien poznać reguły obowiązujące unarów i przyjąć je lub odrzucić. Jeśli zgodzi się na wstąpienie do bractwa Fabiana, [\[42\] drogi powrotnej już miał nie będzie.](#)

–Jestem gotów. – Richard miał wielką nadzieję, że wygłosił te słowa spokojnie i pewnie.

Kapitan Aramona poddał młodzieńcowi oprawioną w świńską skórę księgę. Na początku znajdował się tam wykaz reguł, wedle których żyli wychowankowie bractwa świętego Fabiana, kolejne karty zajmowały podpisy tych, co przeszli przez Żrebiący Okólnik. W księdze, nieco bliżej końca, widniał również podpis Egmonta Ockdella, który zobowiązał się do służby Taligowi i jego królowi i który umarł za Taligoję i dynastię Rakanów, a kilka stronic dalej widniał podpis jego zabójcy...

–Proszę czytać, panie – z pogardą rzucił kapitan Aramona. – Na glos.

Richard przełknął ślinę i wyraźnie przeczytał całe znajdujące się w księdze kłamstwo o wielkości i bogobojności dynastii Ollarów, o rozkwicie Taligu, swojej miłości do tronu i chęci służenia mu „życiem i śmiercią”.

–Zrozumiał pan wszystko, co przeczytał? – zapytał ollarianin.

–Tak, wszystko zrozumiałem.

–Umocnił się pan w zamiarze wstąpienia do bractwa unarów?

–Tak.

–Czy gotów jest pan przysiąc przed obliczem Stwórcy?

–Tak.

–Ivonie Larack, pan, mentor księcia Ockdella, ma prawo go powstrzymać. Czy popiera pan życzenie swojego podopiecznego?

Gdyby w tej chwili do Laik zajrzał choćby nawet Leworęki, Dickon bez wahania

obiecалby mu dosłownie wszystko, byle tylko Ivon zabrał go stąd, ale hrabia wyrzekł „tak”.

–Książę Richardzie Ockdellu, jesteśmy gotowi przyjąć pana przysięgę.

–*Ja – zająknął się lekko Richard – Richard z domu Ockdellów, dobrowolnie wstępuję do bractwa świętego Fabiana i przysięgam czcić Stwórcę naszego i jego ziemskiego namiestnika, króla Ferdynanda, niech Stwórca przedłuży jego wspaniałe panowanie. Klnę się także, że będę posłuszny swoim mentorom, duchownym i świeckim, i w niczym im przeczył nie będę. Odżegnuję się od swojego tytułu i rodowego imienia do czasu, gdy będę już gotów mieczem swym i słowem służyć Stwórcy, Królowi i Taligowi. Będę pilnym uczniem, posłusznym wychowankiem i dobrym towarzyszem dla innych unarów. Nie będę wdawał się w spory z nikim, potulnie wybacząc wrogom swoim. Nie będę miał tajemnic przed swoimi wychowawcami. Nie będę opuszczał posiadłości Laik bez pozwolenia swojego kapitana i nie będę spotykał się z nikim ze swojej rodziny, nie otrzymawszy na to od niego pozwolenia. Jeśli złamię swą przysięgę, niech będę w tym życiu pozbawiony tytułu i szlachectwa, a w życiu wiecznym niech mnie dosięgnie kara Stwórcy.*

–Czyś przygotowany na trudy i próby ku chwale Stwórcy i króla Ferdynanda?

–Jestem gotów. W południe i północ, o wschodzie i zachodzie.

–Niech tak się stanie! – pochylił głowę kapłan.

–Zaświadczam – burknął Aramona.

–Zaświadczam. – Głos Ivona Laracka brzmiał jak głos skazańca.

–Unar Richard, proszę odprowadzić hrabiego Laracka i wracać. Odpowiada się: „Tak, panie Aramona”.

–Tak, panie Aramona.

Ivon wstał, uklonił się staromodnie i pierwszy wyszedł z gabinetu. Dickon ruszył za nim, czując, jak oczy ludzi i portretów dosłownie świdrują jego plecy. Znany już sługa ze świecą czekał na progu. Odebrano im nawet pożegnanie!

W towarzystwie przypominającego szarą mysz człowieczka Richard i Ivon pokonali mroczne korytarze i wyszli pod szare niskie niebo. Mądrała stał przy schodach, niecierpliwie przebierając nogami – jemu też nie podobało się to miejsce.

–Żegnaj, Richardzie. – Hrabia Larack starał się mówić spokojnym, powszednim tonem. – Mam nadzieję, że nie zapomnisz tego, coś obiecał.

Nie mówił o przysiędze, zrozumiał Dick, nie o przysiędze unara, a o wczorajszej rozmowie.

–Tak, panie hrabio. Przysięgłem i wykonam to.

Ivon, jak zawsze z trudem – przeszkadzały mu bolące plecy – wdrapał się w siodło. Mądrala runął z miejsca, nie czekając na komendy, i jeździec musiał ściągnąć wodze, zmuszając ogiera do stępa.

Richard odwrócił się i wolno ruszył za służącym, choć aż boleśnie chciało się skoczyć w pogoń, jeszcze raz objąć Ivona i powiedzieć... Co powiedzieć, nie wiedział. No dobrze, niech będzie, że nie doganiać i nie obejmować, ale choćby zawołać, żeby wuj obejrzał się i machnął na pożegnanie ręką, ale młodzieniec przypomniał sobie słowa conseillera i nie obejrzał się.

Arnold Aramona nienawidził wielu i miał do tego wiele powodów. Niczego dobrego od wszystkich tych książąt i baronów komendant Laik nie zaznał, no i jeszcze można by się zastanowić, kto jest gorszy – stara arystokracja czy „gnojzarze”. Przecież wystarczy im zabrać te ich tytuły i włości, i co zostanie? Ale nieszczęście polegało właśnie na tym, że arystokraci mieli tytuły i pieniądze, a Arnold nie.

Trzydzieści z hakiem lat temu młody prowincjusz pojawił się w Ollarii, zamierzając stać się co najmniej marszałkiem i ukochanym paru księżnych. Nie udało się. Żeby się wybić przynajmniej na pułkownika, należało albo wojować z dziesięć lat w Torce, albo mieć protekcję. Księżne też nie śpieszyły się padać do nóg Arnolda, a służące i mieszczańki pysznego młodziana nie urzędały.

Dalej sprawy potoczyły się jeszcze gorzej. Zaczęła się wojna, i pułk, do którego zapisał się Arnold, został wysłany na przedgórze Torki, gdzie przyszłemu kapitanowi szło bardzo kiepsko. Arnold wcale nie uważał za słusne ryzykować swą jedyną głową dla czegoś, co było mu zupełnie nieprzydatne. Jednakże zuchwałość gwardzistów nakazywała pakować się w ogień, rozpychając kolegów, a wieczorami przy szklanicy wina ze śmiechem smakować dziennie przygody. To było idiotyczne, a Arnold Aramona idiotą nie był, chciał żyć, i to długo i dobrze.

Czarno-biali[43] żyli chwilą obecną, Aramona myślał o przyszłości. W stolicy te różnice nie były aż tak bardzo widoczne; na szczęście ówczesny książę Alva, wykończywszy w ciągu dwu dni czterech przeciwników, zmusił monarchę, by na długo zakazał pojedynków, ale w górach Torki nie było wyboru. Trzeba było chwycić za szpadę i muszkiet. Do pierwszej bitwy Aramona był „jak wszyscy”, ale znalazłszy się pod ostrzałem, nie wytrzymał i ukrył się w porośniętej krzewami niecce. Nie sądził, by ktoś to zauważył, ale zauważono i do Aramony przyłgnęło przezwisko „Dygot”.

Kolejne tygodnie zmieniły się w jedną wielką torturę. Arnold musiał znosić szyderstwa nieszanujących życia durniów, odpowiadać na nie nie zamierzał, za dezercję groził stryżek, no i dokąd miałby uciec? Pewnego dnia niegodziwcy wyciągnęli szamoczącego się Aramonę na wzgórze przed wraźnymi pozycjami. Dwaj trzymali go za nogi, dwaj za ręce, dwaj podpierali z tyłu, a pozostali ryczeli do muszkieterów Gaunau:[44] „Panowie! Nie chcecie może ustrzelić zająca?!”.

Ten dzień był najgorszym w życiu przyszłego kapitana. Przed południem przyszedł rozkaz ataku. Aramona szedł ze wszystkimi, ale potem szeregi się pomieszały, każdy bił się o swoje życie. Wybuchaly granaty, świszczaly pociski, cięli się ze sobą zezwierzęceni ludzie. Znalazłszy się wśród tego koszmaru, Aramona rzucił się na ziemię, odpełził pod osłonę drzew i runął do ucieczki. Znowu mu się nie powiodło.

Egmont Ockdell, będący w tym czasie giermkim Morisa Epineix,omal nie zastrzelił na miejscu porzucającego muszkiet gwardzistę. Arnolda uratowali ludzie z Gaunau, otoczywszy chorążego. Egmont, zapomniawszy o wszystkim, rzucił się, by ratować pułkowy sztandar, a Aramona, zacisnąwszy zęby, legł na plecach, naciągnął na nogę kapelusz i podniósł ją nad przytulną i bezpieczną niecką. Kula z muszkietu przestrzeliła goleń, omijając kość, krew wypełniła cały but. Bolało, ale co tam ból w porównaniu ze śmiercią? Rannych odesłano na kurację do miasteczka Ruksu, gdzie nie było ani Gaunau, ani „towarzyszy”, ani księcia Ockdella. Tam los w końcu stanął do Arnolda twarzą. Postawnego kaprała zauważył pan intendent Północnej Armii, hrabia Credinge. Słyszący ze swych miłosnych sukcesów i miłości do dzieci intendent miał do wydania nieślubną córkę.

Nieco starawa, trochę grubawa i z lekka krzywonoga, ale jakie to miało znaczenie? Aramona w tym czasie wyzbył się już młodzieńczych marzeń i rozumiejąc, że księżnych nie widać w otoczeniu, zgodził się na Luizę Credon. Tata-intendent nie tylko dał za potwora niezłe wiano, ale i szepnął słówko za zięcia tu i ówdzie. Takim sposobem ranny kapral otrzymał stopień oficerski i jako trzeci mentor znalazł się w Laik.

Niestety, róże też mają kolce, a co dopiero krzywonogie babska! Z Luizy wyszła nad podziw chytra i kłótniwa żona. Wiana małżonek nie zobaczył, w zamian aż nadto lyknąwszy z czary innych małżeńskich radości. Żona dopiekała mu zazdrością, wyrzutami, piłowała, kłuła, przezywała wieprzem i leniem. W „okólniku” wcale nie było lepiej. Naczelnik szkoły – stary wojak, po czterech wojnach i bez lewego oka, utraconego w ostatniej kampanii – przyjął narzuconego mu Aramonę ozięble i oddelegował tam, gdzie ten wcale nie chciał. A mianowicie do sali szermierczej.

Szermierzem Aramona zawsze był miernym, i to bardzo miernym, a wśród unarów trafiali się już niemal ukształtowani mistrzowie klingi, z których pierwszym był Roke Alva, który życie mentora zmienił w piekło.

Młodzi, bezczelni unarowie znęcali się jawnie nad Arnoldem, a on ich nienawidził. Za to, co już mieli lub co mieli mieć, a czego nigdy mieć nie będzie tenant [\[45\] Aramona. Za to, że nikogo i niczego się nie bali. Za to, że za murami Laik czekały ich zwycięstwa, stopnie i ślicznotki, a jemu dostało się mentorstwo i obrzydliwa megiera. To trwało osiem lat.](#)

Jedynym wytchnieniem zadręczonego przez żonę i unarów Arnolda stały się wieczorne rozmowy z ówczesnym kapelanem, mającym zupełnie niezłego kucharza i winną piwniczkę. Tak żył tenant Aramona, póki nie umarł pułkownik Duval.

Arnold nieoczekiwanie dostąpił zaszczytu audiencji u kardynała. Do Laik Aramona wrócił, jako kapitan i naczelnik. Po pierwsze, wywalił z posiadłości mentorów i służbę, którzy odnosili się do niego bez należytego szacunku, zastępując ich

nowymi, dla których kapitan był bogiem i królem. Następnie zabrał się Arnold za pokoje Duvala, urządzając je w zgodzie ze swoim gustem. Wykonawszy te niezbędne jego zdaniem czynności, zabrał się za unarów.

Teraz Arnold przez pół roku rozkoszował się życiem w Laik, gdzie wstęp małżonce, jak i innym kobietom, był surowo wzbroniony, a drugie pół roku spędzał przy ognisku domowym, wysiłkiem Luizy zmienionym w ogień piekielny. Jediną radością Arnolda była jego najmłodsza córka. Aramona marzył, że malutka Lupilla wyjdzie za mąż za jakiegoś hrabiego lub markiza. Przyszli potencjalni narzeczeni byli bardzo dokładnie ewidencjonowani, Arnold nawet starannie gromadził plotki o wszystkich ślubach i zaręczynach i oburzał się, dowiadując się o ślubie kogoś godnego Lupilli. Dziewczynka miała zaledwie sześć lat, ale kapitan w każdym nowym unarze widział potencjalnego zięcia.

Laik była jedyną nitką łączącą rodzinę Aramony i arystokrację. To wystarczało, by trzymać się stanowiska rękami i nogami, więc Arnold się starał. Jeśli w zawołany sposób napomykano mu, że jakiś unar należał do niemiłej Jego Świątobliwości rodziny i nie powinien trafić do grona najlepszych, to biedak nie trafiał. Jeśli kapitan dowiadywał się, że nowy wychowanek należy do grona „pożądanych”, to ten natychmiast wyprzedzał „niepożądanych”.

Pojętność kapitana była doceniana. Pobory nie były specjalnie wysokie, ale urzędnicy przymknęli oczy na dość swobodne traktowanie pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie szkoły.

Jedynie, co nie dawało ciągle spokoju Aramonie, to najsurowszy zakaz Jego Świątobliwości przyjmowania podarków od krewnych unarów. Pewnego razu Aramona zaryzykował nieposłuszeństwo. No bo przecież baron, który przywiózł panu kapitanowi wspaniałe siodło, nie miał nic złego na myśli, a jego syn i tak w każdym układzie znalazłby się w pierwszej Ćwiartce kolejnego rocznika!

Chłopak wspaniałe fechtował i wcale nie sądził, że jeszcze coś jest konieczne, by stał się najlepszym. Ale nie! Siodło trzeba było odesłać (prawdę powiadają, mówiąc, że Jego Świątobliwość wie nawet, co się dzieje w sypialniach i ubikacjach), baronowe dziecię ruszyło do domu, nie pobrawszy do końca nauk, a Aramona otrzymał ostrzeżenie. Pierwsze i jednocześnie (kapitan to dobrze zrozumiał) ostatnie. Arnold westchnął i powrócił do skarbcza, z którego nikt mu nie zabraniał czerpać.

Kapitan nie wątpił, że kardynał wie o wszystkim i że to źródło dochodów jest przed mentorem młodzieży otwarte. W każdym razie dopóki spełnia pokładane w nim nadzieje, więc Aramona starał się jak mógł. O tym, że w Laik rządzi Jego Świątobliwość, wiedzieli tylko Aramona i ojciec German. Pozostali sądzili, że to domena Pierwszego Marszałka Taligu. Formalnie tak to nawet było, ale Roke Alva miał w nosie wszystko poza wojną, winem i kobietami. Aramonę taki stan rzeczy

urządzał – za żadne skarby świata nie chciałby mieć do czynienia ze swoim byłym unarem, i nie tylko on. Co by się nie działo w Laik, nikt z wychowanków i ich rodziców nie pogoni szukać obrony u Kruka, a już na pewno nie uczyni tego syn Egmonta Ockdella!

Sącząc grzane wino, Aramona z rozkoszą czytał listę nowych wychowanków. Już wiedział, kto będzie pierwszy, a kogo należy przesunąć, no, może nie na sam koniec, ale do drugiej połowy. Co do pozostałych, to jak się zdarzy. Jak będą zachowywali się odpowiednio – zajmą wysokie miejsca, jak nie – niech mają do siebie pretensje. Ciekawe, jaki jest też synalek Egmonta naprawdę? Zresztą – jakkolwiek jest, ponad dziesiąte miejsce się nie wybije. Oczywiście, jeśli w ogóle dociągnie do zakończenia szkoły, a nie wróci w hańbie do rodzowego zamku... Co zaś do Arnolda Aramony, to kapitan zrobi wszystko, co od niego zależy, by Richard zrozumiał, kto w Laik rządzi.

Z bardzo jasnych powodów kapitan Aramona nie brał udziału w zdławieniu nadorskiego powstania i nie widział, jak umarł człowiek, który niegdyś wystraszył go na śmierć. Stare poniżenie wylegiwało się w przytulnym zakątku i czekało, by wybiła jego godzina. Doczekało się. Syn i następca Egmonta zapłaci ojcowy dług z nawiązką... Tak chce kapitan Aramona, tak chce Stwórca i Jego Świątobliwość.

Ludzie Honoru strzygli się tak, że włosy ledwie przykrywały tył głowy, i nosili krótkie brody i wąsy. Brody Dick Ockdell jeszcze nie miał, ale szczerze ucieszył się ze swojej fryzury, gdy znalazł się w rękach kolejnego myszowatego sługi, pod nadzorem, którego młodzi arystokraci zmieniali się w unarów. „Mysz” niepotrzebnie uzbroił się w nożyce – włosy Dicka były krótsze niż było to nakazane członkom bractwa świętego Fabiana i sługa musiał zadowolić się kilkoma jakoby opadającymi na czoło kosmykami. Jakkolwiek mogło się to wydawać dziwne, jednak wykpienie się cyrulikowi poprawiło mu humor, a może Dickon po prostu zmęczył się oczekiwaniem na nieprzyjemności. Młodzieniec, pogwizdując, skierował się do łaźni, gdzie humoru nie zepsuł mu nawet odłamek szkła zaplątany w ręczniku. Nikt jeszcze od takiego zadrapania nie umarł, pół roku w „okólniku” jakoś wytrzyma, a potem...

Przyszłość rysowała się dość mętnie, ale po spotkaniu z conseillerem Richard nie wątpił, że czekają go wielkie wydarzenia i wielkie czyny dla sprawy Taligoi, a na razie, cóż, trzeba wytrzymać. Odrzuciwszy ubrudzony krwią ręcznik, Dick chwycił przysługujące unarom odzienie – czarne spodnie, pończochy i koszulę, białą kurtkę i czarnobiałą pelerynę z herbem domu Ollarów. Takie noszono czterysta lat temu, gdy maragoński parweniusz stał się taligojskim monarchą. Teraz ubierano się inaczej, choć Ludzie Honoru starali się dochowywać starych obyczajów. Ojciec Mateo powiadał, że zachowując rzeczy małe, chronimy wielkie. Odziawszy się, Dick popatrzył w ogromne stare lustro, niewątpliwie pamiętające jeszcze świętego Fabiana, który za życia był takim samym ollarskim psem jak wylupiastooki Aramona, o ile nie gorszym.

Przyglądając pociemniałe od wilgoci włosy, Richard ze zdziwieniem odkrył, że nie jest sam – za jego plecami widniał ktoś niewysoki, ale lustro było tak mętne, że nie udało mu się przyjrzeć nieznanemu. Dickon pośpiesznie odwrócił się i zrozumiał, że coś mu się przywidziało. Łaźnia była pusta. Na wszelki wypadek młodzian zerknął znowu w lustro i roześmiał się – złudzenie wywoływało fatalne oświetlenie i zafalowania starego szkła, zniekształcające odbicie. Wszystko to razem tworzyło iluzję rozmytej męskiej postaci; pewnie pogłoski o widmach z Laik wzięły się z takich właśnie drobiazgów. A jakby nawet i mieszkwały tu widma – on, Richard Ockdell, potomek w prostej linii Alana, [\[46\] nie będzie się bał cieni esperatyjskich mnichów. One go nie skrzywdzą, – co innego z „gnojaczami”, im takie spotkanie nie wróży niczego dobrego.](#)

Dickon puścił do starego zwierciadła łobuzerskie oko i wyszedł na lodowaty korytarz. Obojętny służący ze świecą poprowadził młodzieńca w głąb budynku, minęli kilka krzyżujących się korytarzy, wspięli się po krętych, niewygodnych schodach, skręcili w lewo, minęli długą galerię bez okien ozdobioną pustymi niszami, w których niegdyś stały posągi świętych, znowu skręcili w lewo, znaleźli się na

schodach, zeszli pół piętra i zatrzymali się w ślepych korytarzu, na który wychodziło kilka par jednakowych niskich drzwi. „Mysz”, pobrzęczawszy kluczami, otworzył jedno z nich.

–Twój pokój, panie. Tu jest wszystko, czego potrzebuje unar. Pana rzeczy do dnia świętego Fabiana pozostaną w magazynku, zatroszczymy się również o wierzchowca.

Dickon rozejrzał się po wąskiej, małej izdebce, którą należało i chciało się nazwać celą. Łóżko bez przykrycia, biurko z zestawem do pisania i Księżą Oczekiwania, [\[47\] krzesło z plecionym siedzeniem i oparcie, przybory do mycia, otwarta skrzynia. W kącie – wizerunek Stwórcy, przed którym plonie kaganek, i kolejny portret maragończyka. I tyle! Chyba nawet nieznajomy mnich miał więcej rzeczy. Ockdell odwrócił się do sługi.](#)

–Dziękuję ci.

Ten uklonił się z godnością.

–Dzisiaj kolacja zostanie tu panu przyniesiona, a śniadać będzie pan już w jadalni. Jeśli mogę coś doradzić, proszę nie opuszczać do rana swojego pokoju – dom nie lubi tych, co chodzą po nocach.

„Dom nie lubi” – święty Alanie, co to jest?! Ale nie było kogo zapytać; sługa odszedł, dokładnie zamknawszy ciężkie drzwi, na których – Dick dopiero teraz to zauważył – nie było ani haczyka, ani zasuwki. Zamykane były tylko z zewnątrz. Przez jakiś czas Richard bezmyślnie wpatrywał się w nieskazitelnie obojętne oblicze Stwórcy wszystkiego żyjącego i wojowniczą fizjonomię Franciska. Dick wiedział, że za życia pierwszy z Ollarów urodą nie grzeszył, ale pędzel malarza zmienił grubiotkiego, haczykonosego człowieczka we wspaniałego rycerza. Richard westchnął i odwrócił się do okna, za którym gęstniał szary, nieprzyjemny zmierzch.

W kącie coś zaszurgotało. Szczur. Ogromny, pewny siebie, bezczelny. Stwór przypomniał Dickowi pułkownika Shrosse, zarządzającego w Nadorze jak w swojej posiadłości. Richard marzył o zabiciu go, ale to było niemożliwe. Śmierć królewskiego oficera dla będącej w niełasce rodziny stałaby się początkiem niezliczonych nieszczęść. Cóż, szczur zapłaci i za swoją bezczelność, i za wyskoki „gnojara”. Dickon gorączkowo rozejrzał się, szukając, czym by tu cisnąć w nieproszonego gościa. Chociaż szczury są jakoby spokrewnione z symbolem Zakonu Prawdy, nienadaremnie mówi się, że myszka trzyma w łapkach świeczkę, a szczur – pogrzebacz.

Pogrzebaczem, nawiasem mówiąc, Dick by nie pogardził – w izdebce nie znalazło się nic, co nadawałoby się do polowania. Młodzieniec wspomniał Leworękiego i dał

sobie słowo, że jutro przyniesie z parku odpowiedni kij. Szara zaraza przylazła raz, przylezie i drugi, ale wtedy sobie pogadają! Szkoda, że nie wpadł na pomysł, żeby zabrać ze sobą ten nieszczęsny kawałek szkła – można by go wsunąć w norę. Dick uważnie przyjrzał się kąтови, gdzie zauważył przypominającego Shrossego gryzonia – w ścianach i podłodze nie było otworów. Widocznie szczur przegryzł deski pod łóżkiem. Młodzieniec spróbował przesunąć ubogie łoże, ale okazało się, że jest przyśrubowane do podłogi. Cóż, nie da się sięgnąć nory, ale przy odpowiedniej dozie cierpliwości i zręczności postawi na swoim.

Richard Ockdell często stawiał przed sobą maleńkie zadanka, których powodzenie miało wróżyć ziszczenie się czegoś wielkiego. Teraz postanowił za wszelką cenę załatwić sprawę szczura. Jeśli to mu się uda, to... To Talig znowu będzie Taligoją!

Noc minęła spokojnie, jeśli nie liczyć skrobienia wywoływanego przez kołyszące się za oknem gałęzie, szelestu deszczu, jakiegoś skrzypienia i szmerów. Dick długo leżał z otwartymi oczami, wsłuchując się w odgłosy domu, który nie lubi, jak po nim się szwendają po nocach. Młodzieniec liczył koty, obmyślał polowanie na szczura, wspominał rozmowę z Augustem Stanclerem, wyobrażał sobie, jak kapitan Aramona potyka się na schodach i jeśli nie skręca karku, to przynajmniej rozkwasa sobie nos (podobna rzecz stała się w Nadorze z podchmielonym kucharzem). Z tą słodką myślą Dick zasnął i nic mu się nie przyśniło.

Rano do drzwi ktoś głośno i bezdusznie zakolała; młodzieniec nie od razu zorientował się, gdzie się znajduje. Potem przypomniał sobie wszystko – przysięgę, zgarbione plecy Ivona, stare zwierciadło w łaźni... Rana podgoiła się przez noc, została tylko cienka czerwona nitka. Żebyż tak kończyły się wszystkie nieprzyjemności!

Do drzwi zastukano ponownie. Dickon pośpiesznie spryskał twarz lodowatą wodą, ubrał się i wyszedł na korytarz, niemal wpadając na dwóch dużych jasnowłosych chłopaków, podobnych do siebie jak dwa ziarnka grochu z jednego strączka.

–Ja robię przeprosiny – rozplynął się w uśmiechu jeden z dryblasów.

–Ta-ta, my robimy przeprosiny – podchwycił drugi.

–Richard Ockdell – przedstawił się Dickon, podając rękę, i zamilkł, przypomniawszy sobie, że nie powinien podawać swojego pełnego imienia.

–Katerschwanz – pierwszy ochoczo odpowiedział na uścisk dłoni; co prawda, mógłby wyrażać swoje przyjazne uczucia z mniejszą siłą – my jest bracia bliźniacy Katerschwanz z Katerhaus. Ja jest Norbert. On jest Johann, ale my nie powinniśmy nazywać swoje imię rodowe.

–Zapomniałem o tym – przyznał się Richard. Bliźniacy (zapewne ci „dzicy baronowie”, o których mówił August) od razu mu się spodobali.

–Musimy udawać, że my się nieznajomi.

–Ta-ta – potwierdził Johann – my być nieznajome, sałkiem nieznajome. – Uśmiechnął się ponownie i huknął Dicka w plecy tak, że chłopak ledwo ustał na nogach.

Norbert coś szybko powiedział do brata w nieznanym, twardym języku.

–Ja mieć przeprosiny – westchnął tamten. – My, baron Katerschwanz, są silni bardzo, my zapominamy, że nie wszyscy są taki.

Norbert powiedział coś jeszcze.

–Ja teraz będę udawany, że źle rozumiem wasz talig. Wtedy nie mówię to, co trzeba milczeć. Mówić będzie Norbert. On podobny do nasza babcia Eretchen, ona jest chytra jak stary kotka. Ta-ta... A ja nie jest chytry. – Johann rozpląnął się w uśmiechu.

–Cicho jest – wtrącił się wnuk babci Eretchen. – Milczeć, tu są idący.

Czy Norbert był chytry jak kot, nie wiadomo, ale słuch miał rzeczywiście koci. Pojawił się bezszelestny sługa i zobaczył trzech młodych arystokratów, stojących nieruchomo na progach swoich izdebek i czujnie wpatrzonych w siebie.

–Dobre rano, panowie – cichy głosik przypominał pisk – proszę zejść do jadalni, gdzie zostaniecie przedstawieni sobie. Proszę za mną.

Jakim cudem „myszek” radził sobie w tych wszystkich korytarzach, pozostawało dla Dicka zagadką, bo minęli co najmniej tuzin wewnętrznych schodów, to wchodząc, to schodząc, aż w końcu znaleźli się w niskiej sali o łukowym sklepieniu, mogącej pomieścić kilkaset osób. W kącie stał osierocony samotny stół. Jako mebel był całkiem spory, ale w ogromnym pomieszczeniu wydawał się być podnóżkiem. Dickon i bracia Katerschwanz, z którymi jeszcze „nie znał się”, grzecznie zajęli wskazane im miejsca, ukradkiem zerkając na tych, którzy przyszli wcześniej.

Naprzeciwko Dicka wiercił się na krześle smagły czarnowłosy młodzieniec. Richard nie widział wcześniej Kenallijczyka, ale był gotów przysiąc, że wiercipięta jest południowcem. Obok wpatrywał się w swoje dłonie młodzian z nieskazitelnymi rysami twarzy, najprawdopodobniej następca domu Priddów, na którego z lękiem zerknął przyszczaty chłopak z zadartym nosem i ostro zarysowaną grdyką. Pozostałych nie udało się Dickonowi obejrzeć, ponieważ pojawił się kapitan Aramona.

Należy sprawiedliwie zauważyć, że naczelnik swoje wejście przygotował wspaniale. Okute brązem drzwi otworzyły się z hukiem, do jadalni wtargnął przeciąg, w ciemnym przejściu ustawili się gwardziści, huknęli o podłogę drzewcami halabard i oczom unarów ukazał się ich naczelnik, za którym podążał poznany wczoraj duchowny.

Wyprostowany, Aramona najbardziej przypominał stojącego na tylnych łapach wieprza, ale spoglądał na świat niczym orzeł. Nakrochmalony kołnierzyk szacownego szlachcica był tak szeroki, że wydawało się, iż zwieńczona kapeluszem z piórami wylupiastooka głowa leży na półmisku, na białym kolecie z herbem pysznił się złoty łańcuch, a pludry [\[48\] nie ustępowały gabarytami dagajskim dyniom. Na tle tej wspaniałości czarny ollarianin wyglądał jak południowy cień rzucany przez udającą](#)

się na spacer beczkę z piwem.

–Wspaniały – wyszeptał któryś z unarów i Dickon ledwo powstrzymał się, by się nie rozejrzeć, kto to.

Aramona uroczyście przemaszerował przez dudniącą salę, ustawił się u szczytu stołu i huknął:

–Unarowie, powstać!

Dick poderwał się wraz z pozostałymi, oczekując ciągu dalszego, a ten nie omieszkał nastąpić.

–Sądzicie, że jestem waszym kapitanem? – zapytał Aramona. – Nie! Przez te pół roku jestem waszym bogiem i królem. Moje słowo jest prawem. Zapamiętajcie to! Nie jesteście książętami, nie jesteście hrabiami i nie baronami. Jesteście unarami! Moimi unarami! Nawet Francisk Wielki nie przekroczył granic posiadłości Laik. Tu jest moje królestwo, tu ja osądzam, karzę i obdarzam łaską. Macie słuchać mnie i zostanieie szlachcicami, gotowymi służyć Jego Wysokości. Tych, co mają zbyt wysokie mniemanie o sobie, wyślę do domów! Zhańbionych! Teraz unarowie po kolei, zaczynając od tego, obok którego stoję, wyjdą na środek jadalni i głośno i wyraźnie wypowiedzą swoje imię. Następnie ojciec Herman pomodli się w intencji zdrowia Jego Wysokości i wszyscy udacie się do sali szermierczej. Śniadanie potem. Chcę wiedzieć, co za konie mi się dostały tym razem. Tak, więc, unarze, proszę wstać i przedstawić się.

Gruby brązowooki chłopak stanął dokładnie na wskazanym miejscu i ryknął:

–Karl.

–Unar Karl. Proszę powtórzyć.

–Unar Karl!

–Następny.

Przypominający fretkę brunet wytwornym ruchem powstał ze swojego miejsca i znalazłszy się obok Karla, cicho powiedział:

–Unar... Alberto.

–Następny.

Wysoki młodzieniec o zuchwałym wzroku poruszał się nie za wolno i nie za szybko.

–Unar Esteban.

–Następny...

Richard usiłował zapamiętać wszystkich.

Blady i chudy – Blanco. Dziwne, imię kenallijskie, a wygląd kompletnie mylący. George ma na prawym policzku pieprzyk. Luigi jest wzrostu siedzącego psa, pryszczaty – to Anatol. Walentyn... Następca Priddów nazywa się właśnie tak, czyli dobrze się domyślił, a Paolo rzeczywiście może być tylko Kenallijczykiem... Imię Arnauld uwielbiają w rodzinie Savignac, tak zwał się poprzedni hrabia, tak zwie się najmłodszy z jego synów. Braci Katerschwanzów Dickon już poznał, nadeszła jego kolej. Młody Ockdell pod nieruchomym spojrzeniem Aramony zastygł obok Norberta.

–Unar Richard.

–Następny...

–Unar Robert...

–Unar Francois...

–Unar Julius...

Konstantyn, Edward, Julien, Makiano, Seweryn... Oto są, jego przyjaciele, bracia, wrogowie – ci, z którymi będzie musiał żyć w dziwnym domu, gdzie słudzy przypominają myszy, a szczury – pułkowników. Dwudziestu jeden, pechowa liczba! Jeśli wierzyć w omen, to ktoś na pewno umrze, ale ojciec nie wierzył w złe wróżby. Książę odjechał z domu podczas pełni po deszczu i nie zawrócił wierzchowca, kiedy drogę przebiegła mu samica dzika z potomstwem. Egmont Ockdell nie wierzył w omen, a Roke Alva utopił powstanie we krwi i własnoręcznie zabił ojca. Dick musi mu za to zapłacić, a w tym celu musi zacisnąć zęby i ścierpieć wszystko – kapitana Aramonę, kenallijskie twarze, ollarian, zimną celę, zimową pluchę, ludzką podłogę...

Rozdział 4

Agaris

„Le Huite des Bâtons” [49]

1

Gotowana marchew i łuszczące się ściany zniknęły w przeszłości. Rober Epineix mieszkał we wspaniałym hotelu, pił wino i jadał mięso. Uważano, że wygrał niemal fortunę w karty.

Umowa z Goganami chowana była w tajemnicy. Nalegał na to Enniol, z czego Aldo i Epineix mogli się tylko cieszyć. Związek z prawnukami Kabiocha zaszczytu nie przynosił – rudyh szanowano, pożyczano od nich pieniądze, ale starano się jednocześnie trzymać od nich z daleka. Gdyby to zależało od Inochodźca, to omijałby dużym łukiem nie tylko „kuny”, [50] ale i „szczury”, [51] lecz jedni i drudzy żyli obecnie w Agarisie pod patronatem Esperadora.

Epineix nie znosił udawania, ale musiał wlec się do przystani, do tawerny „Czarny Lew”, gdzie odbywały się gry w kości na duże pieniądze, i grać z pijanym „armatorem”, który najpierw przegrał do Taligojczyka kupę złota, potem przywieziony z Purpurowych Ziem towar, w końcu statek. Statek i towar od oszołomionego zwycięzcy natychmiast „odkupił” skośnooki Goganin, oczywiście „oszukawszy” prostytutka, kompletnie niemającego pojęcia o komercji. Enniol twierdził, że duchowni natychmiast dowiedzą się o wydarzeniu. Tak się też stało.

Wróciwszy do Przytułku, lekko podchmielonego „farciarza” powitały miodowe uśmiechy, Epineix ledwo powstrzymał się, by nie rzucić jakimś przykrym słowem. Rano ofiarował na miłe bogu sprawy setkę w złocie i przeniósł się do hotelu „Zielony Czyżyk”, którego gospodarz wpadł w szal radości na widok tak hojnego mieszkańca. Teraz Rober miał wszystko, i to nie licząc nadziei na powrót i zwycięstwo.

Enniol powiedział, że potrzebne będą około dwa lata! Nie tak znowu długo, ale dla Aldo każdy dzień był stratą. Rakan wyobraził sobie, że wszystko jest bardzo proste – Goganie dają złoto, oni najmują armię, wiosną lądują w północnej części Priddu i pod koniec lata wchodzą do stolicy. A pewnie! Goganie nawet nie zamierzali myśleć o otwartej wojnie, w każdym razie w obecnej chwili. Aldo był rozczarowany, a Rober, mimo swej przysłowiowej zapalczywości, rozumiał, że „kuny” mają rację. Dowódcy równego Roke Alvie Rakanowie nie mają, a zdławienie przeklętego Kenallijczyka za pomocą przewagi liczebnej nie udało się nikomu. Może gogańskiego złota wystarczy, by opłacić nawet pół miliona żołnierzy, ale należy ich najpierw znaleźć, potem ubrać,

obuć, wykarmić... Takiej armii nie utrzyma nie tylko Talig, ale wszystkie Złote Ziemi razem wzięte, a rzucać się na Kruka, nie mając dziesięciokrotnej przewagi – sprawa beznadziejna. Trzeba było, więc wyczekiwać, choć Rober nie wyobrażał sobie, co można zrobić, chyba żeby udało się zabić taligojskiego marszałka.

Zabić... Takie próby były przedsięwzięte, i to nie raz, ale wydawało się, że Alvę i Doraca chroni sam Zielonooki, chociaż o Goganach mówiło się, że są w stanie oszukać nawet jego. Gdyby przed Roberem Epineix stanął sam Władca Kotów we własnej osobie, Epineix, nie zastanawiając się, przyjąłby jego pomoc, jednak Goganom ufać nie potrafił – coś za bardzo słodka była przynęta i przesadnie nieuciążliwa zapłata.

Galtarska twierdza pod ostrogami Mon-Noir nikomu nie jest potrzebna, chociaż kiedyś Galtara była stolicą wszystkich Złotych Ziemi. Co do starożytnych relikwii, to Epineix w ogóle nie słyszał o czymś takim, co byłoby stworzone przed przyjęciem esperatyizmu. Może w Galarze gdzieś ukryty był skarbiec i Goganie wiedzą o tym, ale dlaczego nie mieliby po prostu go wykopać? Wyposażyć sobie karawanę i do przodu! Oczywiście Mon-Noir jest miejscem ponurym, ale łatwiej i taniej dotrzeć tam przez Yagorę, niż łamać grzbiet całemu królestwu. Gdyby Enniol zażądał w charakterze opłaty czegoś naprawdę cennego, Epineix byłby spokojniejszy.

Inochodziec usiłował pogadać o tym z Aldo, ale ten gwizdał na wszystko. Marzył nie o koronie nawet, a o tym, jak opuści ten zniechęcony Agaris i będzie walczył – dalej księżę wyobraźnią nie sięgał. Pięć lat temu Rober Epineix myślał tak samo, ale wtedy ojciec i bracia jeszcze żyli.

Do drzwi ktoś zastukał. Przyszedł sługa, przyniósł list zapieczętowany szarym woskiem, na którym odcisnięta była mysz ze świecą w łapkach i słowa: „Prawda jest ponad wszystko”. Magnus Clement, żeby go! Do czego „szczurowi” jest potrzebny Inochodziec?

Rober złamał pieczęć i rozwinął szary papier. Magnus Prawdy życzył sobie zobaczyć Robera z domu Epineix, do tego niezwłocznie. Rzeczony Rober wspomniał Zielonookiego i wszystkie jego koty, sięgnął po pelerynę i kapelusz. Clement był jedynym, komu Inochodziec ufał mniej niż czcigodnemu Enniolowi, ale myśląc o seniorze Gogan, Taligojczyk wspominał piękną Mellit, a obok magnusa Prawdy mogli być tylko mnisi, przy tym posępni i nudni. W innych zakonach trafiali się weseli ludzie, mądrzy i wspaniale się bawiący przy stole, „prawdziwcy” zaś podobni byli do siebie niczym szczury ze spichlerza i byli dokładnie tak samo czarujący i urodziwi.

Żeby tylko magnus nie dowiedział się o umowie z Enniolem! Prawników kabiochowych „szczurki” nienawidzą i gdyby to od nich zależało, w Agarisie nie zostałyby ani jeden Goganin, ale Esperador i pozostali magnusowie mieli swoje racje. Dla nich rudzielcy są przede wszystkim kupcami wzbogacającymi Agaris, a dopiero

potem heretykami, przy tym cichymi. Prawnikowie Kabiocha nie pchają się do nikogo ze swoją wiarą, nie to, co „prawdziwcy”.

Inochodziec sam nie rozumiał, dlaczego nie znosi jednego z najbardziej wpływowych zakonów, ale na widok niepozornych ludzików w szarościach zaczynało go telepać. Aldo śmiał się z tego, a on się złościł. Przysięgłszy sobie w myślach zachowywać się z należnym szacunkiem i najpierw myśleć, a dopiero potem mówić, Rober Epineix ciężko westchnął i wyruszył na spotkanie z Jego Świątobliwością.[\[52\]](#)

Jego Świątobliwość zamieszkiwał w opactwie świętego Torkwiniusza,[\[53\]](#) tak samo szarym, jak i jego mieszkańcy. Pozostałe zakony uważały, że Boskie Komnaty powinny wywoływać zachwyt i uwielbienie, i do zdobienia świątyni i klasztorów używano wszystkiego, co najlepsze spośród tego, co można było znaleźć w podksiężycowym świecie. „Prawdziwcy” byli nie tyle skromni, ponieważ skromność też bywa piękna, ale raczej umyślnie bezbarwni. Nawet obowiązujące w esperatyjskiej świątyni szpile, zwieńczone kutym jęczyczkiem płomieni, nie były złożone, a pomalowane na mysi kolor. Uwielbiający jaskrawe kolory Inochodziec uważał to za obrazę wszystkiego, co ważne, ale święty Torkwiniusz miał w nosie jego poglądy.

Stareńki szary mnich cichutkim głosikiem zameldował, że Jego Świątobliwość prosi udać się do gabinetu. Gabinet... Czy to szpital dla biednych, czy piwnica do magazynowania warzyw – szaro, ponuro, mdląco...

Magnus siedział sztywno na twardym drewnianym krześle z wysokim oparciem, ozdobionym ni to wizerunkiem myszy ze świecą, ni to portretem samego magnusa. Rober uczciwie opadł na kolana, podsunąwszy głowę pod błogosławieństwo, ale gdy suche, twarde palce dotknęły skóry, omal nie splunął.

–Bądź błogosławiony, synu mój – zaszeleścił magnus. – I niech nie kryje serce twoje tajemnic przed Stwórcą naszym.

–Serce moje jest otwarte, a myśli czyste – wymamrotał Inochodziec. Może naprawdę nie warto mieć sekretów przed Stwórcą, ale nie zamierza wywracać się na nice przed tą paskudną „myszą”!

–Wstań i usiądź. Czeka nas długa rozmowa. Dotarło do mnie, że uśmiechnęła się do ciebie fortuna.

A więc chodzi o „wygraną”! Świętoszek zażąda ofiary na świątynię albo na coś innego. Niech się udławi, byle się odczepił. Jak trzeba będzie, to „wygra” znowu.

–Tak, Wasza Świątobliwość. Wszedłem do tawerny, jako człek ubogi, a wyszedłem bogaty.

–Obcy na każdym kroku rozstawia pułapki na poczciwych. Bieda i skromność – oto tarcza chroniąca przed jego intrygami.

Rober zmilczał. Niech sam powie, o co mu chodzi.

–Ale złoty deszcz, który cię uszczęśliwił, spłynął z innego obłoku.

Zaiste – z innego! Gogańskiego. Gdzie przejdą Goganie, Obcy nie ma, co robić. No, czego przeciągasz? Mów, ile chcesz, i się odczep.

–Powodzenie, które do ciebie przyszło, jest znakiem z góry. Nadeszła pora uwolnienia Taligoi od najobrzydliwszej z herezji, a ogień trzeba zwalczać ogniem. Pograżeni w grzechu mają góry złota, twardo stoją na ziemi, ostre są ich miecze i przepelnione pychą ich serca. Stwórca nasz w wielkiej mądrości swej posłał nam znak. Nie ma grzechu w tym, by rozmawiać z nimi w zrozumiałym im języku. Złoto przeciwko złotu. Stal przeciw stali.

Teraz to już Inochodziec kompletnie przestał cokolwiek rozumieć. Czyżby „szczury” były w zgodzie z „kunami” i Goganie wykupili ze szczętem najwredniejszy z zakonów? Ale po co im „prawdziwcy”? Sojuszników lepiej by było poszukać w zakonie Chwały, czy w najgorszym razie Wiedzy, ale ci?! A może „szczurkom” dali odstępnę, żeby się nie pchali, gdzie ich nie proszą – ale kiego Smoka nic mu nie powiedzieli?!

–Zwyciężyć Ollarów nie jest łatwo – wypalił Epineix pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. – Próbowaliśmy...

–Za wcześnie zaczęliście swoją sprawę – pokiwał głową magnus. – Serca wasze wypełniała waleczność i zapał, ale nie było dla waszej sprawy błogosławieństwa Prawdy i przegraliście.

–Wasza Świątobliwość! Czy to znaczy, że zakon...

–Tak – uniósł palec magnus. – Młody Rakan stanie się królem ku chwale Prawdy! Ale na razie utrzymuj naszą rozmowę w sekrecie przed wszystkimi poza Aldo, a szczególnie przed Esperadorem, w ubóstwie swym umysłowym niechącego wojny z heretykami. Jeśli ktoś cię zapyta o naszą rozmowę, odpowiedz ciekawskim, że mowa była o ratowaniu twojej duszy i o tym, że postanowiłeś ofiarować opactwu piątą część wygranej.

–Oczywiście, Wasza Świątobliwość!

–Zakon nie bierze, ale daje umiłowanym przez Stwórcę – odciął się Clement, trafiając Epineixa w serce. – Do jednej twojej sztuki złota zakon doda sześć zakonnych, i zostaną one użyte w wielkiej sprawie. Epokę Wiatru Aldo Rakan powita,

jako król Taligoi.

Za drzwiami rozległo się sapanie i drapanie, potem drzwi uchyliły się, przez szparę najpierw wcisnął się mokry czarny nos, potem głowa, w końcu cała Mupa. Księżna wdowa Matylda[54] roześmiała się i pogłaskała pupilkę po głowie. Mupa należała do szlachetnej rasy krótkowłosych dajckich legawych i była psem zaiste królewskim. Wdowa świata poza nią nie widziała i nie przestawała powtarzać, że Mupa jest mądrzejsza i szlachetniejsza od każdego szlachcica. A już na pewno dajta[55] była po tysiąckroć lepsza od Petera Hogberda, czekającego na Matyldę w salonie.

Kiedy powstanie Ockdella zaczęło upadać, Hogberd porzucił buntowniczego księcia i zwiął do Agarisu, chociaż to właśnie on namówił biedaka Egmonta do rozpaczliwego kroku. To był cały Peter – grzebał w palenisku cudzymi rękami, a gdy zaczynało pachnieć spalenizną, wiał w krzaki i niech inni się wykręcą. Odważną aż do szaleństwa Matyldę mdliło na widok Hogberda, ale musiała go znosić i zachowywać się taktownie. Dotyczyło to między innymi przyjmowania gości w odpowiednim stroju.

Matylda Rakan należała do tego rzadkiego rodzaju kobiet, które nie znosiły marnowania czasu na swoją toaletę. Nad wszystkie wyrafinowane pomysły krawców księżna przedkładała męskie myśliwskie stroje, ale mimo pewnej nonszalancji w ubiorze, upodobania do męskich rozrywek, mocnych słów i trunków, przez całe życie miała szalone powodzenie. Jej ostatni kochanek był o dwadzieścia lat młodszy od wspaniałej Matyldy, a uwolniła się od niego z wielkim trudem, oznajmiwszy, że pięćdziesięcioletnia baba musi myśleć jeśli nie o swojej duszy, to o wnuku i polityce.

Księżna z fałszywą surowością odepchnęła od siebie brązowy pysk, półgłosem zaklęła i przy pomocy jedynej w domu służącej zmieniła ulubiony i tak dobrze znany męski kostium na wspaniałą, choć może nieco wytartą suknię z moarskiego aksamitu.

Czarną perukę z puklami Matylda nałożyła sama; nie cierpiała, gdy pomagano jej bardziej, niż potrzebowała. Ozdobiwszy imponujący biust rubinową broszą, cudem ocalała z łap właścicieli gogańskich lombardów, wdowa wypłynęła z sypialni, przeklinając w duchu niewygodną suknię, natrętnego gościa, ubóstwo, namolny jesienny deszcz i obmierzły Agaris.

Rozwalony w obitym wypłowiałym brokatem fotelu Hogberd na widok gospodyni wstał i ukłonił się z szacunkiem. Matylda burknęła coś na powitanie, ale ręki do ucałowania nie podała, za wiele honoru. Peter nie znosił jej tak samo, jak ona jego, ale znaleźli się w jednym zaprzęgu i nie ma od tego na razie ucieczki. Z Ollarami i Sylwestrem można walczyć tylko wspólnie. Księżna nie wątpiła, że Hogberd w snach widzi siebie na stanowisku conseillera, ale conseillerem Taligoi może być tylko

August Stancler.

–Chciał mnie pan widzieć? – Matylda słynęła z tego, że zawsze chwytła byka za rogi.

–Moja księżno, czy wie pani...

To baronowe „wie pani” spowodowało, że Matylda zatrzęsa się – podobnie reagowała na widok jego brody. Zresztą bez brody Hogberd byłby jeszcze gorszy. Gdy pięć lat temu Peter, wyprzedzając swój wizg, przyleciał do Agarisu, jego twarz pokrywała krótka dropiata szczecina. Bojownik o wolność Taligoi, wiejąc, zatroszczył się o zgolenie zdradzającej go brody. Oczywiście zrobił to dla Ojczyzny, która nie zniosłaby śmierci Petera Hogberda.

–Na razie, baronie, nic nie widzę. Proszę siadać i opowiadać. Życzy pan sobie wina?

–Szlachetna Matyldo, ośmielam się podarować pani tuzin butelek białego kenallijskiego. Już są w jadalni. Dostawca zapewnia, że to szczególna winorośl. Wiedząc, że jest pani znawczynią...

Matylda Rakan rzeczywiście na winie się znała. Tak samo, jak na polityce, broni i koniach, a sprawy odwiecznie zajmujące kobiecie głowy tylko ją rozdrażniały. Odmówić przyjęcia prezentu i podać na stół jakieś poślednie wino byłoby głupio, nie zostało więc nic innego, jak podziękować usłużnemu baronowi.

–I co na to szlachetna Matylda?

Białe okazało się bardzo, ale to bardzo niezłe, chociaż Kenalloa słynęła z jeszcze lepszych.

–Niezłe, ale to nie szczyt możliwości Kenallijczyków. Er Peter, przejdźmy do rzeczy. Co się stało?

–Jest mi naprawdę nieprzyjemnie, ale to dotyczy naszego drogiego Aldo.

Od kiedy to Aldo stał się „jego drogim”? Wnuczek to oczywiście niecnota, ale konia od wieprza odróżnia. Dlatego skumał się z Epineixem, a Hogberda nie znosi z całego serca.

–Co mój wnuk nawyprawiał tym razem?

–Och, na szczęście nic, czego by się nie dało naprawić. – Peter wyjął pleciony ze srebrnej nici pugilares z rubinowym zapięciem. Skąd Hogberd, który dociągnął do Agarisu niemal jak go matka urodziła, ma pieniądze, Matylda nie wiedziała, ale baron jakoś potrafił podreperować swoje sprawy – w końcu na jego herbie widział kwiat

tulipana, z którego sypały się złote monety.

–No, to już mi lżej. – Księżna po męsku szybko osuszyła puchar. – I co mam naprawiać?

–Och, zupełnie nic. Wszystko już jest naprawione. – Peter wyjął z pugilaesu stary różaniec z ciemnego bursztynu. – Wykupiłem to od Goganina.

–Za ile?

–Nieważne. Niech era pozwoli mi wyświadczyć malutką przysługę domowi Rakanów.

–Ile? – ponuro powtórzyła Matylda.

–No, skoro era nalega...

–Nalegam!

Jak nie w porę... Ale trzeba będzie się wykosztować. Są tacy ludzie, którym nie należy zalegać z wdzięcznością. Na przykład od Epineixa można przyjąć każdą pomoc, ale biedak Inochodziec sam jest bez grosza. Co robić, skoro honor i złoto nie znoszą się wzajemnie...

–Dwadzieścia sześć wel. – Peter spuścił wzrok. – Goganin wiedział, że w jego ręce trafiła rodzinna relikwia.

Dwadzieścia sześć wel!?[56]

To znaczy, że do lata mięso w tym domu zobaczy tylko Mupa. A niech go, ten różaniec! Matylda sama bez rozgłosu wyprzedala się z niemal wszystkich swoich drogocenności i nie wypada jej złościć się na Aldo. A broszka i tak się jej znudziła...

–Przyślę panu pieniądze już jutro.

–Ereo...

–Baronie Hogberd – księżna wstała i gość zmuszony był zrobić to samo – dziękuję za okazaną troskę, ale proszę mi dać słowo, że więcej nie będzie pan... – Matylda urwała. Chciała w pierwszej chwili powiedzieć „pakował nosa w nie swoje sprawy”, ale Hogberd, choć wstrętny, to jednak był sojusznikiem, z którego nie należało robić sobie wroga. – Nie będzie pan ryzykował swoim majątkiem dla ratowania naszego.

–Ja bym chciał...

–Jeśli pan naprawdę służy domowi Rakanów, to prośba suzerena jest dla pana rozkazem.

–Jestem posłuszny, ereo. Słowo Człowieka Honoru.

Tak. Peter Hogberd – Człowiek Honoru. Z urodzenia. Tyle, że ten honor nawet obok niego nie leżał – aż dziw, że jest spokrewniony z Ockdellami.

–Jeszcze raz dziękuję panu, baronie.

Chwała Stwórcy, poszedł... Ciekawe, czego chciał – oddać przysługę czy zarobić? Hogberd to Hogberd, nie byłoby dziwne, gdyby wykupił bursztyn za dwadzieścia, a „zwrócił” za dwadzieścia sześć. Tylko jedno może cieszyć, że w domu pojawiło się przyzwoite wino, chociaż nie wystarczy go na długo. Księżna wdowa Matylda wypila jeszcze szklaneczkę i postanowiła rozmówić się z Aldo.

Wchodząc po schodach do wieży, gdzie mieszkał wnuk, czcigodna dama przydepnęła sobie połę sukni i rozległ się trzask drącego się materiału. No, tego jeszcze tylko brakowało! Znowu pieniądze wyrzucone na wiatr. Księżna zaklęła pod nosem i wyliczywszy wszystkich krewnych z obu linii Pociętego Smoka, a jednym z nich na pewno był Peter Hogberd, wpadła do ukochanego wnuka.

Aldo leżał na łóżku z jakąś księgą w ręku i na widok babci pośpiesznie wsunął ją pod poduszkę. Matylda wyobraziła sobie, o czym mógł czytać chłopak, i z trudem stłumiła śmiech.

–Czego od ciebie chciał ten wieprz? – zapytał wnuk, który nie wybaczył Peterowi ani jego tchórzostwa, ani jego bogactwa.

Zamiast odpowiedzi księżna cisnęła na stół nieszczęsny różaniec.

–Ta przyjemność kosztuje nas dwadzieścia sześć wel.

Aldo gwizdnął.

–Ja go sprzedałem za dziesięć.

–A żeby cię kawaleria! – Babcia była raczej zachwycona niż oburzona.

–Matyldo, dawno już przewidywałem, że tam, gdzie przejdzie Hogberd, nawet Goganin już się nie pożywi.

–A na co ci były pieniądze? – zainteresowała się księżna-wdowa, siadając na łóżku i ściągając z krótko ostrzyżonej głowy znieawidzoną perukę.

–Na wszystko... Już nie mogłem patrzeć, jak Robera karmiono marchwią. Postanowiłem zaprowadzić go na kolację.

–Słusznie – od razu zgodziła się Matylda. – Przyjaciół należy żywić i za wszystko

płacić. Teraz marchew będziemy my żarli.

–A wcale nie – roześmiał się Aldo. – Wzbogaciliśmy się, ja i Rober.

–Ty i Rober? Coś mi się nie chce wierzyć... Kupcy z was żadni, nawet swoich dusz Zielonookiemu nie umielibyście sprzedać.

–Bo nie handlowaliśmy – roześmiał się Aldo. – Graliśmy w kości. Właściwie Rober grał i wygrał cały statek... Z całym towarem. Od razu żeśmy go Goganom sprzedali. Oczywiście, że nas oskubali, ale i tak dwadzieścia sześć wel nie jest dla nas żadnym problemem!

–Poczekaj, kochany – przerwała mu księżna. – Rozumiem, że ciebie i Inochodźca łączy przyjaźń, ale nie możemy żyć za jego pieniądze.

–Jak to za jego? – poderwał się wnuk i od razu zamilkł. – No... Czy to nie wszystko jedno? Gdybym ja wygrał...

–Gdybyś to... – prychnęła Matyllda. – Najpierw wygraj, a poza tym my to inna sprawa. Epineix są naszymi wasalami, możemy ich utrzymywać i nawet powinniśmy to czynić, ale oni nas – nie...

–Matylldo, ty nie rozumiesz. My...

–Ja wszystko rozumiem. Pieniądze za różaniec, niech będzie, weźmiemy od niego, ale więcej ani suana. Rozumiesz?

Wnuk skinął głową, ale Matyllda widziała, że się nie zgadza. Oczywiście Aldo razem z Inochodźcem zacznie szwendać się po oberżach i przyjaciółkach, ale pieniędzy pożyczać nie będzie. Matyllda szczerze pogardzała szlachtą, żyjącą za pieniądze bogatych przyjaciół, co wcale jej nie przeszkadzało dokarmiać tych, którzy byli od niej biedniejsi.

–Matylldo – po chwili wahania zapytał wnuk – czy ty wiesz coś o Galtarze? Co tam takiego ciekawego jest? Po jakie licho stolicę przeniesiono do Kabiteli?

Chce odwrócić moją uwagę... Aldo już we wczesnym dzieciństwie odciągał uwagę babki od nieprzyjemnych rozmów, pytając o różne drobiazgi, ale, po co chłopakowi te ruiny?

Nadchodziła Noc Wentocha.[57] Nareszcie! Mellit z czułością popatrzyła na wiszącą nad czarnymi dachami połówkę Księżyca. Noc Księżyca – noc wolności! Malutka Goganni zrozumiała to, gdy skończyła siedem lat. Nieważne, jakie męki groziły po śmierci tej, która ośmieliła się złamać reguły Kabiocha, bo na tym świecie nocne spacery były jedynym szczęściem, jakie знаła najmłodsza córka czcigodnego Gaimiola.

Mellit, dorastając, była cicha, zamknięta w sobie i bardzo posłuszna, taka, jaka powinna być córka najmłodsza i na dodatek brzydula. Wypróbowano już na dziewczynie całą masę leków, modlono się o nią, okadzano ją odsuwającymi zło kadzidłami i pojono poranną rosą, ale żadne starania nie pomagały – Mellit ciągle była beznadziejną chudziną, którą niemal zawsze mdliło na widok jedzenia. I to wszystko na dodatek w rodzinie, gdzie siedem starszych siostr było prawdziwymi pięknościami!

Gdy dziewczynka podrosła trochę, choroba minęła sama, ale było już za późno – Mellit została chudziną. W domu litowano się nad nią i obawiano się, że dziewczyna nie znajdzie godnego siebie kawalera. Narzekań rodziców dziewczyna wysłuchiwała w milczeniu, właściwie – nie wysłuchiwała. Bardzo wczesnie nauczyła się kiwać głową i myśleć o czymś innym. Uważano ją za słabą, posłuszną i głupiotką, a ona łaziła po drzewach i dachach nie gorzej od kota i przeczytała wszystkie znajdujące się w domu książki, a było ich niemało.

To, że nikt się nie będzie chciał z nią ożenić, nie przerażało Mellit. Nie kusiło jej życie, jakie wiodła jej matka, i nie zazdrościła urody siostrom. Czego miała zazdrościć? Tego, że na Fanelli nie dopiął się Pas Narzeczonej?[58] Ale Mellit w zamian zobaczy dziś tego, którego chce zobaczyć.****

Kiedy czcigodny Enniol ze wszystkich dziewczyn wspólnoty wybrał najmłodszą córkę Gaimiola, matka i siostry długo płakały. Miały przecież nadzieję, że uda się ją gdzieś komuś wcisnąć, ale słowo najczcigodniejszego i najczcigodniejszych – prawem. Enniol jest sprawiedliwy – ze wszystkich potencjalnych narzeczonych wybrał tę najbardziej beznadziejną i uczynił ją... najszczęśliwszą. Goganni nie może pokochać nie-Goganina, ale stając się Zastawem, uwolniła się od obowiązku małżeństwa, a następca Taligu jest godzien miłości jak nikt inny! Mellit z czułością dotknęła blizny na piersi. Ich krew i ich losy zmieszały się; Aldo nawet o tym nie wie, nie podejrzewa, ale tak jest.

Jeśli Enniol się dowie, że Mellit przeczytała Kubjertę,[59] to nie spuści z niej oka. Ale skąd miałby się dowiedzieć? Kobiety nie czytają, a tylko jedzą i plotkują. Oczywiście Mellit nie wszystko rozumiała, ale Seniorzy i Nauczyciele też rozumieją****

nie więcej niż jedną trzecią Wielkiej Księgi. Na szczęście Mellit jest Zastawem – to wszystko upraszcza. Seniorzy myślą, że mając ją, trzymają w rękach Aldo, ale dla niej Aldo jest największym skarbem świata, jest droższy niż matka, ojciec, obyczaj. Duszę swoją i tak już zgubiła, gdy jako ośmioletnia dziewczynka opuściła w Noc Focha sypialnię i udała się do Komnaty Czterech i Jednego. Od tej chwili wszystkie Noce Księżyca należały do niej, była wtedy wolna i szczęśliwa z powodu swej wolności. Nikt jej nie widział i nie mógł widzieć – wszyscy siedzieli w swoich sypialniach i modlili się do Kabiocha o powrót i wybaczenie. Wszyscy, ale nie ona! Przez pięć dni Mellit była posłusznym jagnięciem, by szóstego zmienić się w dzikiego kota, ale dopiero spotkawszy Aldo, zrozumiała, co to jest życie.

Księżyc wzniósł się ponad dachy i zaplątał w gałęziach platanu. Rozległ się dźwięk gongu, powiadamiający mieszkańców domu, że nadeszła chwila, kiedy z serc wypędza się chwilę obecną i otwiera się je na Wieczność. Mellit odwróciła klepsydrę i ułożyła się na pościeli, objąwszy kolana. Czekala, kiedy ojciec przejdzie się po domu, sprawdzając, czy wszystkie drzwi są zamknięte od wewnątrz, i zamknie je od zewnątrz.

Rozbrzmiały kroki, szczęknął obracający się w zamku klucz. Teraz gospodarz pójdzie na górę, przejdzie po wewnętrznej galerii, wejdzie do siebie i zasunie zasuwę. Czas płynął wolno. Ostatnie minuty ciągnęły się chyba dłużej niż pięć dni, ale wcześniej czy później wszystko się kończy. Dom już zamarł, tylko na wewnętrznym dziedzińcu warczały spuszczone z łańcucha hajfskie psy, a po zewnętrznym murze przechadzali się stróże-innowiercy. Mellit otworzyła okno i niczym wiewiórka przeskoczyła na stary platan, z którego przedostała się na galerię. Drogę do Komnaty odnalazłaby nawet z zawiązanymi oczami.

Ojciec ojca, zanim poszedł do siebie, wypełnił kaganki olejem i rozsunał wszystkie cztery zasłony. Mellit podeszła do ary, a ta wyczuła zbliżanie się Zastawu – złote krawędzie rozjarzyły się i zaczęły wolno topnieć. Pojawił się sztylet, nieruchomo wiszący w złocistej mgłę, krew na czubku klingi nadal była czerwona. Blizna na piersi zaczęła boleć, dziewczyna przykucnęła, mamrocząc niezrozumiałe słowa, wyczytane w Kubjercie. Mellit chciała zobaczyć tego, z którym połączono ją Czterema Łańcuchami i Czterema Przysięgami. I Miłością, wielką i jedyną. Tak, córka Wentocha pokochała syna Rocha, jak Sunilla pokochała Króla Królów, a Egri – Poetę Poetów.

Ranka na piersi bolała coraz mocniej, ale ból to niska cena za prawo zerknięcia na ukochanego. Dwukrotnie Mellit zastawała Aldo śpiącego u siebie w domu – raz pił piwo z szacownym Roberem, a ubiegłej Nocy Księżyca z księciem była kobieta, którą Goganni miała ochotę udusić. Uspokoiwszy się, dziewczyna przekonała samą siebie, że pierwotny swojej przyjaciółki nie kocha, a pomyślawszy jeszcze chwilę, doszła do wniosku, że wszystko nie tak znowu źle się ułożyło. Kobieta była mała i koścista, co dawało najbrzydszej z córek Gaimiola pewną nadzieję. Szykując się do wypowiedzenia zakazanych słów, Mellit zabroniła sobie złości, gdyby Aldo znowu nie

był sam, ale tym razem nie miała żadnych podstaw do zazdrości.

Przez złoto przebiło się ukochane oblicze. Księżę siedział przy stole w ponurej sali ze sklepieniem, a obok krzątali się jacyś ludzie, czy nie ludzie? Dziewczyna z rozpaczą wpatrywała się w rozwiewającą się mgłę, usiłując zrozumieć i zapamiętać. Goganni nie od razu uświadomiła sobie, co robią krzątający się dokoła ukochanego mali mężczyźni w szarych szatach, a zrozumiałszy, z trudem powstrzymała się od okrzyku. To, co się działo, przypominało wypaczone odbicie tego, co zrobił czcigodny Enniol, tylko ci z widzenia działali wprost, bez Zastawu...

Ból stał się nie do wytrzymania, wyglądająca na zagojoną ranę nagle otworzyła się, pojawiła się krew. Dziewczyna usiłowała zatamować krwawienie, przycisnęła do piersi warkocz i z trudem wstała. Nogi uginały się pod nią, w głowie kręciło się, ale upaść i zamknąć oczu Mellit nie mogła, tak samo jak zawołać pomocy. Musiała za wszelką cenę wrócić do swojej sypialni. Jeśli znajdą ją przy arze – będzie się miała z pyszna.

O świcie ojciec czcigodnego Gaimiola odkrył najmłodszą wnuczkę leżącą bez przytomności na zalanej krwią pościeli.

W ostatnich dniach Epineix nie mógł znaleźć dla siebie miejsca, a winni temu byli „prawdziwcy”, a właściwie umowa, jaką zawarł z nimi Aldo. Sojusznicy, niech ich Obcy! To było gorsze od interesu z Goganami, bo ci przynajmniej wyjaśnili, czego chcą. Oczywiście, ollarianie samym swoim istnieniem dręczą esperatystów, ale walka z nimi to domena Esperadora. Od czterech setek lat Święty Tron jakoś toleruje heretyków, a następców Rakanów trzyma o głodzie, a tu nagle – masz! Inochodziec, w odróżnieniu od Aldo, urodził się i wyrósł w Taligu i mimo że był uważany za szaloną pałę, to czasem ową pałę myślał. Ludzie Honoru mogą sobie do woli przeklinać uzurpatora, ale siła jest po stronie Sylwestra i Ollarów, a ludowi jest dokładnie wszystko jedno.

Rober nigdy nie zapomni upalnego lata, zakurzonych dróg, muszych chmar nad głową i uczucia bezsilności. Egmont miał nadzieję, że poderwie północ i północny zachód, ale wieśniacy nadal grzebali w ziemi, a rzemieślnicy robili buty. Ich nie interesowało, kto zasiada na tronie ani jak się nazywa stolica, a religijne subtelności były im zupełnie obojętne. Ale czego można oczekiwać od chamstwa, skoro Roberowi Epineix też wszystko jedno, w jakich szmatach chodzą mnisi i czy Esperador jest, czy nie jest nieomylny. Jeśli jest nieomylny, to Clement, występując przeciwko niemu, sam staje się naczyniem Wroga.

Malutki magnus był niemiły, niezrozumiały i niebezpieczny, znacznie bardziej niż Enniol, który jakoś się Roberowi spodobał. Może dlatego, że zaczął rozmowę od kolacji. Może Goganin i kłamał, a może nie, ale Clement na pewno coś ukrywał, bez wątplenia. A Aldo dał mu słowo. Jak w tej bajce, gdzie demon prosi o to, czego człowiek sam o sobie nie wie. Czego takiego nie wie o sobie Aldo Rakan? Dlaczego przez czterysta lat nikt nie wspominał starej dynastii, a teraz nagle dwa grzybki w barszcz?!

Myślenie nigdy nie było mocną stroną Inochodźca, ale machnąć ręką na przebrzydłe myśli jakoś mu się nie udawało. Widocznie myślowy wysiłek mocno pobruździł czoło Robera, ponieważ Aldo, wpadłszy do izby swojego marszałka, od razu zapytał, czy nie bolą go zęby.

Księżę pałał ochotą natychmiastowego wyruszenia na koński targ, ale gotów też był po drodze zaprowadzić cierpiącego przyjaciela do wyrwizęba. Epineix usiłował bronić się żartami, ale potem wylał na przyszłego monarchę kubek swoich wątpliwości, które nie wywarły na Aldo Rakanie najmniejszego wrażenia. Aldo roześmiał się i poklepał druha po ramieniu.

–Wszystko jest w porządku, er marszałku. Będziemy, jako ten koziołek, co to przeskoczył między lwem i krokodylem, póki ci się bili. Jeśli mam być szczery, to

trochę się bałem Gogan, bo jakoś mało zażądali, ale teraz, jakby, co, wypuścimy na nich zakon.

–Nie jestem zwolennikiem esperatyizmu – pokręcił głową Inochodziec. – Ale o tych, co obiecali dwóm to samo i łżą obu jednocześnie, dobrze jest tam powiedziane.

–Rober – księżę zrobił błazeńską minę – dlaczego uważasz, że łżę? To, czego oni chcą – dostaną, co za problem! Bardziej od klasztoru w Nochs nie potrzebuję tylko, Galtary, a starych dupereli niech sobie szukają sami i sami niech się nimi dzielą. Ale jeśli zarówno „kuny”, jak i „szczury” zechcą zamiast palca chlasnąć mi rękę, to poszczuję ich na siebie wzajemnie. I tyle. Swojego słowa dotrzymam, o ile, rzecz jasna, stanę się królem. Ale wsiąść sobie na głowę nie pozwolę.

–Może byś przynajmniej Matyldzie o tym układzie opowiedział – mruknął, poddając się, Epineix.

–Nie wolno. Dałem słowo, poza tym sam ją dobrze znasz – na pewno by się wygadała. Wystarczy, że się rozzłości na naszego kochanego Hogberda i wypali. Ale jeśli coś się zacznie wykluwać – opowiem, jeśli nie – nie trzeba. I niech ich wszystkich Stwory Zmierzchu! Idziemy czy nie?

–Idziemy, wiadomo. Może wstąpimy po Matyldę? Może coś dobrze doradzić.

–Nie – pokręcił głową Aldo. – Mam dość bycia wnukiem „wspaniałej Matyldy”. Królowi wierzchowca wybierze jego marszałek.

–Życzenie Jego Wysokości jest dla mnie rozkazem – roześmiał się Rober.

Inochodziec Epineix nigdy nie był próżny, ale uznanie jego kompetencji w dziedzinie koni nie mogło go nie radować – konie i wszystko, co się z nimi wiąże, były jedyną dziedziną, która nie mogła się znudzić Epineixowi. Trzykrotnie obszedł cały koński targ, przyglądając się wystawionym tam wierzchowcom, wybrał szóstkę i ruszył w czwarty obchód, po kolei przyglądając się pretendentom. Oko i wycucie przyszłego marszałka nie zawiodły go – najlepszym, w każdym razie dla Aldo, był gniady trzylatek kaimskiej rasy – średniego wzrostu, długi, zgrabny, po prostu stworzony dla księcia. Gniadosz nie był ani przesadnie czuły, ani twardy w pysku i wyglądał na spokojnego konia, co dawało pewne nadzieje.

Aldo był wspaniałym chłopakiem, ale jeźdźcem, zdaniem Epineix, był przeciętnym. Trzymał się, co prawda w siodle pewnie, ale ręce miał dębowe i nie czuł pyska wierzchowca, bez czego, wedle głębokiego przekonania Robera, żadnego konia nie uda się opanować w stopniu przyzwoitym. Na nieszczęście sam Rakan bardzo wysoko szacował swoje umiejętności, uważając, że najważniejszą umiejętnością dobrego jeźdźcy jest umiejętność szalonego cwału i podporządkowanie sobie konia nie za pomocą wiedzy i umiejętności, a za pomocą siły. Rober obawiał się, że Aldo

prędeej czy później natnie się na inaczej myślącego wierzchowca, ale na razie nic nie mógł na to poradzić – poza wyborem dla przyjaciela konia bez jakichś specjalnych problemów.

Epineix podejrzliwie obejrzał nogi wierzchowca – wszystko w porządku.

–Aldo, jeśli mamy brać, to tego.

–Owszem, niezły – protekcyjnie zgodził się książę – ale niziuchny jest, i maść...

–Wzrost ma prawidłowy, nie trzeba większego, a biały koń poczeka. Najpierw musimy zwyciężyć...

–Może, ale obejrzyjmy jeszcze tego.

Pewnie, mlecznobiały morysski rumak był piękny, ale niebezpieczny, w każdym razie dla Aldo. Patrząc, jak koń wygina szyję i zezuje na ludzi, Rober od razu wiedział – smok! Nerwowy, lekko dziki i na pewno pamiętliwy. Gdyby chodziło o wierzchowca dla Epineixa, to Rober może by i zaryzykował – nie ma konia, do którego nie można dobrać klucza – ale Aldo zechce wszystkiego, i to od razu. Najmądrzejszym wyjściem byłoby wziąć białego dla siebie, a gniadego dla Aldo, ale książę na pewno źle by to zinterpretował. Trzeba będzie kołować i oszukiwać.

–Niezły – Rober uśmiechnął się z wyższością, poklepawszy ogiera po atlasowej skórze – ale przy gniadym... Ten go prześcignie w try miga, chociaż do paradowania się nadaje, bez dwóch zdań... Wybacz, kochany, oszczerstwo, ale tak trzeba. Nie będziesz woził księcia, ale za to obaj będziecie cali i zdrowi.

–No to bierzemy gniadego – zdecydował Aldo. – Klaczy nie potrzebuję.

Ogier kosztował niemało, ale pieniędzy aktualnie mieli sporo. Gogańskich pieniędzy. Epineix kończył odliczać wele, gdy targowiskowy chłopak wsunął mu do ręki list.

Szlachetni kawalerowie nie popełnią błędu, jeśli uczczą zakup wspaniałego zwierzęcia w „Śmiałym zającu”.

Liścik jak liścik. Oberżyści mają się różnych sposobów, żeby tylko ściągnąć do siebie bogatego klienta, ale Rober jakoś nie wątpił, że czeka ich nie uczta, a rozmowa, i niewykluczone, że mało przyjemna.

Przyjaciele sterczeli jakiś czas we wspólnej sali, sącząc wino i omawiając zalety gniadosza, potem przy drzwiach ktoś zaczął kogoś tłuc i niemal od razu przebiegł obok ich stołu służący, upuszczając na blat liścik. Szlachetnym kawalerom proponowano w nim, by wyszli przez drzwi kuchenne, więc wyszli. Trafili na konną lektykę, w której siedział czcigodny Enniol we własnej osobie. „Śmiały zając” nie był uważany za lokal gogański, ale należał do prawnuków Kabiocha, chociaż nikomu przy zdrowych zmysłach i dobrej pamięci nie przyszłoby to do głowy.

–Przezacni są zdziwieni? – Pytanie było na próżno. Enniol coś powiedział w swoim języku, konie wolno ruszyły z miejsca. – Sprawa niecierpiąca zwłoki zmusiła mnie, bym zapomniał o małej ostrożności dla większej. Co mogą przezacni powiedzieć o sprawach wczorajszej nocy?

–Wczorajszej nocy? – powtórzył Aldo. – Nic. Noc jak noc.

–Nie stało się z przezacnym Aldo nic dziwnego? Może miał dziwny sen albo czuł się jakoś dziwnie?

–Jeśli coś czułem, to nudę – machnął ręką Aldo. – Do mnie i Robera przyczepili się świętoszkowie. Nagle sparło ich, by ratować nasze dusze. Za wasze pieniądze, oczywiście.

–Niech sobie przezacny przypomni. – Stary Goganin pochylił się do przodu. – Czy tylko o złocie mówił znaczony myszą i czy nie wydarzyło się w trakcie rozmowy coś dziwnego?

–Nie. – Książę zastanawiał się chwilę. – Magnus powiedział, że Stwórca jest po mojej stronie i że wkrótce zajmę tron przodków... Potem gadaliśmy o ollarianach, zgodziłem się, że są heretykami. Przyznaję, że uznałem, iż zapłaciliście im, bo przecież nigdy wcześniej nie udawało się przekonać Świętego Tronu do pomocy nam.

–Prawnukowie Kabiocha nie skalali się umową ze znaczonymi myszą. Czyżby przezacny...

–Nie – przerwał staremu Goganinowi Aldo – uznałem, że nie będę nic rozumiał, ale ze wszystkim się zgadzał.

–Niech i w przyszłości chroni przezacnego dłoń Kabiocha. Nie przelała się aby wczoraj krew?

–Krew? – Brwi Aldo uniosły się. – W Agarisie pojedynki są zabronione, a już na

pewno nie zacząłbym bójkę z magnusem.

–Syn mojego ojca pytał wnuka twojego dziadka o coś innego. Czy nie skaleczył się wczoraj?

–Czcigodny Enniolu – w głosie Aldo dały się słyszeć nutki irytacji – co się stało? Rozumiem, że twoje pytania mają jakiś cel.

–Młodej Mellit, której krew przypieczętowała naszą umowę, otworzyła się rana. To może oznaczać tylko jedno – nieczysty w myślach dokonał zamachu na krew przezacnego, ale uderzenie wzięła na siebie wnuczka Kabiochowa.

–Co z nią? – Oczy Aldo błysnęły. – Żyje?

–Żyje i przed nocą Rocha będzie zdrowa, ale przezacny nie odpowiedział.

–Rzeczywiście, gdzie się ni to podrapałem, ni to zaciałem, ale gdzie i jak, nie pamiętam.

–Syn mojego ojca wie już wszystko, co chciał wiedzieć. Teraz powie to, co powinien powiedzieć. Niech przezacny zgadza się ze wszystkim, co mu powie znaczony myszą, ale nie spełnia obietnic, nie powiedziawszy uprzednio o nich prawnukom Kabiocha. Jeśli przezacny chce nas przywołać, niech otworzy okno i położy na nim książkę.

–Ale co „prawdziwcy” mogą mi zrobić?

–Pod Księżycem istnieje wiele tajemnic, gorzkich jak piołun i ostrych jak brzytwa. Ci, dla których nie są przeznaczone, nie powinni ich tykać. Prawnukowie Kabiochowi obronią przezacnego, jeśli tylko on nie pogardzi ich radami.

–Dziękuję – mruknął Aldo.

–Niech broni nasienia Kabiochowego ręka Jego i niech przezacny będzie ostrożniejszy od jelenia i mądrzejszy od żmii.

Lektyka zatrzymała się, Aldo i Rober zeskoczyli na ziemię. Okazało się, że znaleźli się między jakimiś szopami, ponad dachami, których widniała dzwonnica świątyni Błogosławionego Oczekiwania.

–Rudy smok – mruknął Aldo. – Myślisz, że można mu wierzyć?

–Bardziej niż Clementowi.

–Mnie też się tak wydaje. Szkoda tej dziewczyny, jest milutka...

Milutka? Frywolne określenie wstrząsnęło Roberem. Mellit jest piękna, ale ona jest Goganni, a on następcą rodu Epineix. Zima i lato są sobie bliższe.

–Szkoda, że nie powiedziałaś staremu o Nochu i reszcie.

–Zdążę. Jak myślisz, po jakiego demona jestem im wszystkim tak naprawdę potrzebny?

–Zapytaj o coś łatwiejszego, ale wyraźnie nie działają w jednej drużynie.

–Tak, każdy chce czegoś dla siebie. I, nawiasem mówiąc, naszym kosztem. Słuchaj, Roberze, w cośmy się wpakowali?

Rozdział 5

Posiadłość Laik

„Le Neufdes Coupes” [60]

1

Po raz pierwszy Suza-Muza-Laperuza hrabia Meduza z Putelli dał o sobie znać w pochmurny zimowy dzień.

Kapitan Aramona podniósł pokrywkę wazy z zupą i wyłowił stamtąd ogromną jaskrawo-malinową rękawicę o sześciu palcach. Rękawica była z lewej ręki, co według kodeksu pojedynków oznaczało wyzwanie przesyłane osobie nieobecnej. Że niby wyzywający nie zastał wyzywanego w domu, ale nie chciał odkładać rozwiązania na później.

Jakim cudem rękawica znalazła się w tak lubianym przez kapitana gęstym bulionie, pozostało zagadką, ale była w nim. Oszalały z zaskoczenia i złości Aramona cisnął zdobyczą w bok, ta poleciała nad stołem, znacząc swoją drogę tłustymi bryzgami, i upadła na podłogę pod kominkiem. Myszopodobny sługa szybko sprzątnął wazę i wrócił z nową, w której nie było nic zaskakującego. Kapitan opanował się do tego stopnia, że skończył śniadanie i wyszedł z jadalni, nie patrząc na bezczelną malinową plamę na szarym kamieniu.

Gdy Aramona z mentorami i duchownym oddalili się, unarowie wyskoczyli zza stołu i stłoczyli się wokół sześciopalcego dziwu. Norbert pochylił się i rozprostował ociekającą bulionem rękawicę. Wyhaftowano na niej coś na kształt herbu, na którym pośród skrzyżowanych kopii i sosnowych gałęzi [61] widniał półmisek z leżącą na niej świnią, w brzuch, której wetknięty był obiadowy nóż, a dokoła krawędzi szedł napis informujący, że właścicielem owego herbu jest szlachetny i głodny Suza-Muza-Laperuza. Długo niesądzone było unarom cieszyć się trofeum – wszedł służący i nie odzywając się, obojętnie wziął rękawiczkę z ręki Katerschwanza. Ale to był dopiero początek.

Wysławszy Aramonie formalne wyzwanie, Suza-Muza przystąpił do działań zaczepnych. Pierwszym jego wyczynem stało się zniszczenie portretu w sali do szermierki. Tajemniczy hrabia pokancerował wojownicze Aramonowe oblicze, dorysowawszy mu świński ryj i świńskie uszy. Malarzem Meduza był przeciętnym, ale unarowie mu to wybaczyli, czego nie dało się powiedzieć o Aramonie.

I tak już czerwony pysk kapitana stał się purpurowy, ale, mimo oczekiwań Dickona,

Aramona nie zatupał, a tylko wolno obszedł wszystkich wychowanków, kolejno wpatrując się w każdego wytrzeszczonymi jak u raka oczami. Nie było łatwo wytrzymać to spojrzenie. Nic więc dziwnego, że pryszczaty Anatol spurpurowiał i spuścił wzrok.

Aramona milczał, milczeli unarowie. Ciszę zakłócał tylko lodowaty zimowy deszcz, monotonnie wbijający w parapet wodne gwoździe. Kiedy napięcie stało się nieznośne, kapitan raczył się odezwać.

–Wstępując do fabiańskiego bractwa, wiedzieliście, że za wykroczenie dokonane przez jednego odpowiada albo winny, albo wszyscy. Obiadu dziś nie będzie. Kolacji – też. O ile, rzecz jasna, nie dowiem się, kto podniósł rękę na wizerunek osoby, której ufa nasz monarcha!

–Chrum! – rozległo się wyraźnie gdzieś z lewej. Do nadorskiego zamku kiedyś zawędrował brzuchołowca, który bardzo oszołomił pięcioletniego Dickona. Okazało się, że któryś z kolegów w stopniu zadowalającym włada tą umiejętnością. Aramona rzucił się w kierunku głosu, ale oczywiście nikogo tam nie znalazł. Esteban, Norbert z Johannem, Paolo, Walentyn i Arnoud milczeli. Dick podejrzewał, że kilka osób, gdyby znało prawdę, pobiegłoby z donosem, ale Suza-Muza krył się nie tylko przed mentorami i sługami, ale również przed unarami.

Portret został zdjęty i wyniesiony, Aramona wyszedł za nim, powiedziawszy, że jeśli ktoś chce mu coś powiedzieć, to będzie u siebie. Nikt do niego nie przyszedł i kapitan spełnił swoją groźbę. Unarowie poszli spać na czczo, a rano na paradnych schodach pojawił się napis, głoszący, że świnia powinna być świnia, ale nie kapitanem. Dokonawszy tego wyczynu, Suza-Muza zamilkł i nie dawał znaków życia przez dwa dni, potem do odpoczywającego po obiedzie Aramony zastukał ojciec German. W każdym razie Świn uznał, że to on, i otworzył. Kapłana w progu nie było, a na podłodze radośnie płonęła pozbawiona okładki księga rozchodów. Kapitan w szale skoczył zdeptywać ogień i na oczach zbliżającego się właśnie ojca Germana wpakował się w znajdujący się w miejscu wyjętych kartek zmieszany ze smołą nawóz, starannie zamaskowany kilkoma stronicami, z których na każdej widniała pieczęć Suzy-Muzy. Stało się jasne, że tajemniczy hrabia wykazuje się stanowczością.

Richard nieraz w myślach przyglądał się wszystkim swoim kolegom, zgadując, który z nich kryje się pod maską hrabiego Meduzy i jak mu się udaje wyjść z zamkniętej sypialni, zdobywać różne przedmioty, spacerować po domu. Może hrabia ma współnika? Raczej nie. Nie można było wyobrazić sobie któregokolwiek myszowatego sługi w takiej roli, a nikt poza nimi do budynku nie wchodził. Nawet strażnicy nie wychodzili ze swoich budek na rubieżach posiadłości. Nie, Suza-Muza działa samotnie, ale kto nim jest?

Esteban i Alberto odpadali od razu – obaj byli pupilkami Aramony i zaciekłymi stronnikami Ollarów. Konstantyn, Francois i Seweryn z Anatolem i Makiano też cieszyli się przychylnością kapitana. Walentyn Pridd był zimny i ostrożny, nawet nie rozmawiał z Dickiem, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzewania. Chociaż co innego w dzień, co innego w nocy... Norbert z Johannem mogliby zniszczyć portret, ale na pomysł rękawiczki z herbem by nie wpadli. Arnoud, przeciwnie, mógłby wyzwąć kapitana na pojedynek, ale nie malowałby po ścianach i nie babrałby się z nawozem. Luidgi bał się wszystkiego na świecie, a Karl wszystkiego na świecie poza Luidgim.

Edward? Julius? Paolo? Może... Zwłaszcza Paolo. Czarnooki unar uwielbia wszelkie psikusy i niemal jawnie drażni się z Aramoną i innymi mentorami. Wszystko mu wybaczą – pewnie, Kenallijczyk ze znanego rodu i pewnie krewniak marszałka.

Richard świetnie wiedział, że gdyby to on pozwolił sobie na jedną dziesiątą tego, na co pozwalali sobie Paolo i Esteban, dawno już nie byłoby go w Laik. Aramona nie cierpiał młodzieńca od pierwszego spojrzenia i robił wszystko, by jego życie stało się cierpieniem. Gdy pozostali zajmowali się szermierką czy gimnastyką, Dick stał na baczność ze szpadą w wyciągniętej dłoni, w czasie ćwiczeń przypadał mu zawsze najgorszy przeciwnik, albo odwrotnie, za mocny, młodzieniec był zmuszany do przepisywania po dziesięć razy napisanego, pozostawiano go bez kolacji, rugano za brak pilności i zaniedbany wygląd, chociaż nie wyglądał gorzej od innych.

Zaczepekki sunęły jedna po drugiej i Richard nie wątpił, że Aramona i większość mentorów czekają tylko, kiedy książę Ockdell nie wytrzyma – ale wytrzymawał. Dał słowo matence. Dał słowo Stanclerowi i Iwonowi. Gdyby nie to, Dickon już dawno chlusnąłby Aramonie w twarz jakąś cieczą i odszedłby, trzasnąwszy drzwiami, ale Ockdellowie zawsze dotrzymują słowa.

Zima była ciepła, ale nie było w tym nic dobrego – zgniła wilgoć, mokre pnie rozczochranych drzew, rozkiśła bura ziemia, niekończące się deszcze i nieprzemijający smutek. W dzień unarowie fechtowali, tańczyli, zajmowali się rymotwórczością i arytmetyką, zagłębiali się w ollariański sposób traktowania demonich istot i wspaniałą historię królewskiego rodu. Wieczorami wszyscy byli

zapędzani do cel, choć klasztorne reguły pewnie były nie tak surowe.

Rozmowa z braćmi Katerschwanzami nie miała kontynuacji. Przez pierwsze cztery miesiące unarowie spotykają się ze sobą wyłącznie w jadalni i podczas zajęć w obecności służby i mentorów, a na noc drzwi sypialni są zamykane. Dopiero po okresie wstępnym Fabiańczykom pozwala się wychodzić do miasta, a wieczorem spacerować po parku albo gromadzić się w udającej taras dachu jadalni. Wyjścia do miasta Dick oczekiwał, spotkań i rozmów z kolegami – nie.

Pozostali unarowie jakoś potrafili komunikować się nawet pod czujnymi spojrzeniami innych, Dickowi to nie wychodziło. Bał się okazać przychylność Walentynowi Priddowi i góralom, obawiał się być hardym z „gnojarzami”, bał się powiedzieć coś, co może być wykorzystane przeciwko niemu, bał się, że pozostali się od niego odwrócą, obrażą pamięć ojca albo odwrotnie, zaczną współczuć. Jego towarzystwa zresztą też nikt jakoś szczególnie nie szukał, ale najgorszy był sam dom. Ogromny, na poły pusty, przesycony złością i kłamstwem; nie mogły go ogrzać żadne kominki ani żarciki hrabiego Meduzy, choć bez nich byłoby absolutnie koszmarne.

Wieczorem długo nie mógł się ogrzać. Dick dygotał w swoim łóżku, to analizując w pamięci niedawne wydarzenia, to marząc o tym, jak opuści „okólnik”, to wspominając Nador lub układając wiersze. Dni były podobne do siebie jak krople na szkle i były tak samo zimne i ponure.

Minęła połowa mokrej zimy, kruki w parku darły się jeszcze głośniejsze, dni wydłużały się, przyroda dała znać, że każda, nawet najgorsza pora ma zwyczaj się kończyć. Trzy miesiące z sześciu minęły.

Arnold Aramona miał stopień kapitana, ale na ceremonii Pierwszej Prezentacji następcy Radzie Wojskowej miejsce mentora unarów znajdowało się obok tronu. Gdyby książę Karl urodził się miesiąc później, Aramonie na ceremonii towarzyszyłoby czterech najlepszych wychowanków, ale regulamin bractwa fabiańskiego nie zna wyjątków – podczas pierwszych czterech miesięcy unarowie nie opuszczają Laik. Pan kapitan wyruszył na Prezentację, wzięwszy ze sobą tylko sierżanta i pięciu żołnierzy, których zresztą zostawił na służbowym dziedzińcu.

Sama ceremonia, jak i wiele innych wprowadzonych przez Franciska Ollara, była prosta. Kapitan osobistej ochrony królewskiej wnosił trzyletniego następcę do Sali Triumfu, księcia odbierał stojący przy tronie Pierwszy Marszałek Taligu i wysoko unosił nad głową, pokazując zgromadzonym dowódcom. Ci obnażali klingi, muzycanci grali „Stwórcu, chroń Dom Ollarów”, po czym przyszłego monarchę przekazywano najjaśniejszemu ojcu; królewska rodzina opuszczała Salę Triumfu, wojskowym serwowano wino z rocznika Prezentacji aktualnie panującego monarchy.

Tym razem jednak ceremonia miała w sobie pewną skazę. Dzięki małżonce Aramona był na bieżąco z pałacowymi plotkami i wiedział, że prawdziwym ojcem następcy jest marszałek. Co prawda, zgadzając się w tym, co najważniejsze, plotkarze rozmijali się w detalach. Jedni twierdzili, że Roke Alva omal nie zgwałcił królowej na oczach Jego Wysokości, inni mówili, że wszystkim jest winna nieplodność Jego Wysokości i Alvę do Katariny doprowadził czy to kardynał, czy może sam król, który już wyzbył się nadziei na następcę. Luiza zresztą miała swoje zdanie – megiera uważała, że wszystkim jest winna sama królowa, która zaciągnęła marszałka do swojego łóża. Luiza z sobie tylko znanego powodu nienawidziła Katariny Arigo i nazywała nie inaczej jak szmatą i kłamliwą gadziną.

Wspomnienia o małżonce nie polepszyły humoru, Aramona postarał się więc skoncentrować na tym, co się działo, jednocześnie zastanawiając się, co z tego opowie u siebie w Laik i w domu. Co by nie mówić, następna Prezentacja odbędzie się nie wcześniej niż za jakieś trzydzieści lat!

Stojąc przy tronie, kapitan nie mógł widzieć króla i królowej, ale gapić się na zebranych dokoła dowódców mógł do woli. Znajomych niemal nie było – Aramona dowodził Laik dopiero od sześciu lat, nawet najbardziej szczęśliwi z jego unarów nie przeskoczyli jeszcze stopnia kapitana. Z obecnych Arnold znał tylko z twarzy generałów stołecznego garnizonu, dowodzącego Armią Zachodnią i Roke Alvę, który w swoim czasie wypił sporo Aramonowej krwi. Pierwszy marszałek Taligu stał na drugim stopniu tronu, patrząc gdzieś przed siebie, pyszny i obojętny jak sam Władca Kotów.

Odezwały się trąby, drzwi otworzyły się i do Sali Triumfu, wybijając krok, wstąpił kapitan osobistej gwardii Lionel Savignac z odzianym w biel następcą na rękę. Książę Karl, jaśniutkie, bladziutkie, wystraszone, w niczym nieprzypominające urodziwego ojca dziecię, wyraźnie rozważał pomysł, czy się nie rozplakać. Aramona często widział taki wyraz twarzy, kiedy skoncentrowane i jednocześnie przerażone jego własne dziecko miało być przedstawione gościom.

Savignac zrównał się ze schodami wiodącymi do tronu i się zatrzymał. Roke Alva lekkim krokiem zbiegł na dół, chwycił syna i podniósł wysoko, utrzymując ciągle ten sam obojętnie-ironiczny wyraz twarzy.

–Wojownicy Taligu witają swojego przyszłego monarchę i dowódcę! – oznajmił Savignac.

Błysnęły obnażone klingi, zagrziała muzyka. Aramona wspaniałym gestem wyciągnął szpadę jednocześnie ze wszystkimi i znieruchomił, pochłaniając oczami plecy Roke, unoszącego nad głową niespodziewanie uśmiechniętego chłopczyka. To, że coś poszło nie tak, do zaślepionego wspaniałością chwili kapitana doszło nie od razu. Arnold był mizernym szermierzem, ale szpadę w rękę, choć rzadko, trzymał. Rękojeść była mu znana, ale odczucie było jakieś dziwne, a znieruchomiali z uniesionymi szpadami dowódcy z jakiegoś powodu patrzyli nie tyle na księcia, ile na niego, Arnolda Aramonę, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Kapitan zaczął zezować, usiłując zrozumieć, o co chodzi, i – och, co za koszmar! Czarnobiała rękojeść przechodziła nie w klingę, ale w coś bardzo przypominającego rożen dla ptactwa, i to od dawna, od bardzo dawna nieczyszczony. Suza-Muza!

Gdyby Aramona był w Laik, to pogadałby sobie z nikczemnikiem, ale rzecz działa się w pałacu i stali przed nim nie unarowie, a szlachta, z której najmniej znaczący mógłby zmiażdżyć pechowego kapitana jednym palcem. Muzykanci grali nieskończenie długo, a Arnold, bojąc się nawet poruszyć, wojowniczo ścisnął zabrudzone przypalonym tłuszczem żelastwo. W końcu przeklęty hymn skończył się, klingi wróciły do pochew. Król, siedzący tyłem do Aramony i niewidzący jego wpadki, wstał i pomógł podnieść się królowej.

Marszałek Alva, zręcznie przyklękawszy na jedno kolano, przekazał księcia Jego Wysokości, ten przyjął dziecko i najjaśniejsze małżeństwo opuściło salę. Niczego bardziej Aramona nie pragnął jak wsiąknąć w tłum wychodzących z sali dworzan i zniknąć, ale gdzie tam! Naczelnik unarów powinien być zostać z wojskowymi, nawet, jeśli spadłoby niebo, spłonęłyby buty, spazmy skręciły trzewia, a w pochwie zamiast szpady znalazłoby się kucharskie paskudztwo.

Służba wniosła srebrne kielichy z winem – dar przyszłego Karla Czwartego dla swoich dowódców. Rano Aramona ze smakiem przewidywał, jak postawi królewski

prezent na półkę nad kominkiem; teraz wcale o tym nie myślał.

Kapitan pośpiesznie chwycił podany mu puchar i usiłował wycofać się pod drzwi, ale jego manewr został zauważony.

–Panie – niewysoki, siwawy mężczyzna z purpurową szarfą[62] marszałka zastąpił mu drogę – proszę pozwolić zerknąć na pańską klingę. Chcę poznać imię mistrza.

–O, tak! – wtrącił się do rozmowy urodziwy admirał. – Wydawało mi się, że znam się co nieco na broni, ale pan, panie kapitanie, wstrząsnął mną. To, jak mi się wydaje, stał moryska?

Odmówić przełożonym nie można było i Aramona niepewnie wyjął rożen z pochwy. Tym razem wspaniali wojownicy już się nie powstrzymywali i Salą Triumfu wstrząsnął dziki rechot.

–No tak, starzejemy się – westchnął mocno zbudowany artylerzysta. – Młodzi nas wyprzedzają. Myśmy poza miauczenie i przeciągnięte linki nie wychodzili.

–Ależ przepraszam bardzo, generale – obruszył się marszałek z blizną na policzku. – Ja sam własnoręcznie doprawiałem pierożki mentorów nariańskimi liśćmi![63]

–Ach, więc to był pan? – uniósł brew admirał. – Zawsze bardzo pana szanowałem, ale żeby aż do takiego stopnia... A, Roke, proszę do nas. Wspominamy minione dzionki i omawiamy broń kapitana.

–Bardzo godną, należy powiedzieć. – Na rasowej twarzy Pierwszego Marszałka Taligu pojawiło się coś na kształt aprobaty. – Klinga kapitana zna smak wrażego mięsa. Pamiętam, że pan kapitan znakomicie władał tą właśnie bronią, będąc już tarantem. W posługiwaniu się nim Arnold Aramona nie ma sobie równych. Ja w każdym razie w szranki z nim nie stanę.

–Roke – roześmiał się artylerzysta – czyżby przyznał pan, że na terenie Taligu jest szermierz lepszy niż pan?

–Niestety – wzruszył ramionami Alva. – Przy obiadowym stole – niestety, tak. A tak nawiasem mówiąc, może już pan włożyć rożen do pochwy i wyruszyć do miejsca służby koronie i ojczyźnie.

Przez całą drogę do Laik Aramona wyobrażał sobie, jak własnoręcznie skręca kark Suzie-Muzie, z jakiegoś powodu bardzo przypominającemu Pierwszego Marszałka w wieku młodzieńczym. Niestety, marzenie było nie do spełnienia – po pierwsze, kapitan nie widział, kto kryje się pod maską Meduzy, a po drugie, dotarło doń, że przypadek należy za wszelką cenę ukryć. Jeśli wróciwszy z audiencji, zacznie się wściekać, to wszyscy pojmą, że wpadł w tarapaty. Aramona podejrzewał, że co poniektórzy z mentorów przymierzają się do jego stołka, nie może więc podsunąć im podejrzenia o spadających notowaniach kapitana. Arnold postanowił, że będzie milczał i nawet zrujnował się na szpadę, przypominającą tę zhańbioną.

Posiadłość powitała go posępными wrzaskami kruków, skrzypieniem drzwi, echem i chłodem korytarzy. Kolacja już się skończyła i Aramona, polecivszy nakryć dla siebie w gabinecie, przespacerował się po powierzonym sobie budynku, jak nigdy mocno pachnącym klasztorem, i zapukał do drzwi duchownego. Tego pyszałka, który zastąpił miłego i pojętnego ojca Erazma, kapitan nie znosił, ale kapłan mógł mieć dojścia do kardynała i Aramona ze wszystkich sił starał się zachowywać względem duchownego uprzejmie.

Ollarianin uniósł głowę znad starego foliału – pisał historię fabiańskiego bractwa i dlatego nie przenosił się na służbę do kancelarii Jego Świątobliwości.

–Już pan wrócił, kapitanie? Jak minęła Prezentacja?

–Wspaniale, wasza miłość, po prostu wspaniale. Marszałek był bardzo uprzejmy i wszystkim przypominał o moich zasługach. Przecież był moim unarem, może pan wie?... Chociaż wtedy jeszcze pana w Laik nie było.

–Nigdy nie słyszałem, żeby Alva żywił przyjazne uczucia do kogokolwiek – obojętnie rzucił kapłan. – Widzę, że ma pan nową szpadę?

–Tak, naszła mnie ochota na zmianę.

–Zdarza się – skinął głową ojciec German. – Uczcił pan Prezentację?

–Tak – uczepił się pomysłu Aramona. – Wpadłem na myśl, żeby zrobić sobie prezent!

–A co może sprawić żołnierzowi więcej radości niż broń? Arnoldzie, jutro opuszczę pana na dwa dni. Muszę odwiedzić Jego Świątobliwość.

A to niezbyt po myśli, czarna żmija, [\[64\] może się dowiedzieć o rożnie.](#)

–Obawiam się, że na jutro zapowiada się fatalna pogoda, a drogi po zimie w fatalnym stanie.

–Przecież pan wie, że przedkładałam nad powóz podróż wierzchem – uśmiechnął się ojciec German. – A nie mogę odłożyć swojej wizyty. Proszę mi wybaczyć, ale muszę jeszcze przejrzeć kilka dokumentów.

–Dobranoc, mości panie – burknął Aramona.

Czarna żmija wyprosiła go, nawet nie poczęstowawszy winem... I szpadę zauważył! Gad!

Do stołu Aramona usiadł z obrzydliwym nastroju, ale kolacja i wino nieco go uspokoiły. W garnkach i wazach nie znalazło się nic zaskakującego, mięso było dobrze przysmażone, z pieprzem i solą kucharz utrafił, w pokojach było ciepło i przytulnie, a minione nieprzyjemności nie tyle zostały kompletnie zapomniane, ile jakoś się zamgliły. Aramona posiedział trochę przy ogniu z kubkiem grzanego wina i skierował się do sypialni zażyć zasłużonego wypoczynku.

Pan kapitan rozłożył na nocnym stoliku potrzebne drobiazgi, zastanowił się i przyniósł butelkę wina, niespiesznie rozebrał się i z przyjemnością wpakował pod koc. Niespodziewanie kapitańskie stopy o coś się oparły. Arnold nacisnął – przeszkoda się nie poddawała. Do Aramony dotarło, że kompletnie głupio wpakował się do „saku”!

Szkolny dowcip, stary jak świat! Wierzchnie prześcieradło składa się we dwoje i dolną częścią podwija się pod materac tak, że nie da się w tym nie zaplątać. Aramona zaklął szpetnie i sięgnął do nocnej koszuli, przewidując, że czeka go nowe święństwo. Nie pomylił się.

Suza-Muza był człowiekiem rzeczowym. Nie mógł nie zatroszczyć się o nocną koszulę: starannie zawiązał rękawy i tasiemki przy kołnierzu, na których widniała teraz woskowa pieczęć z herbem tajemniczego hrabiego – świnia na półmisku z wbitym w brzuch nożem.

Wysiłkiem woli powstrzymawszy wrywający się z piersi ryk, Arnold poderwał się i znieruchomiał na środku sypialni, gorączkowo zastanawiając się, nad tym, co jeszcze nawyprawiał tu jego wróg. Pokoje były puste przez cały dzień – czasu Suza-Muza miał do woli. Kaptan westchnął i zaczął przeszukiwać sypialnię. Czynił to bardzo starannie – zniszczył dzieło życia mieszkającego za szafą pająka, znalazł zaginiony pięć lat temu list, kilka monet, jakiś klucz, dwa ogarki świec, kogucie pióro i wyschnięte jabłko. Żadnych więcej śladów przekłętego Meduzy nie było.

Aramona niemal chciał odszukać pułapkę, po uniknięciu, której poczułby się triumfotorem. Nie udało się! Suza-Muza ograniczył się do „saka” i zabrudzonej

koszuli. O czwartej rano Aramona wolno i ostrożnie wysunął najdalszą szufladę komody, gdzie czekało nań pozdrowienie od złośliwego hrabiego. Na zalanych atramentem prześcieradłach leżało posłanie zapieczętowane „świńską” pieczęcią. Suza-Muza-Laperuza w wyszukanych słowach życzył odważnemu kapitanowi Aramonie dobrej nocy i wyrażał zachwyt z powodu wykonanego przezeń własnoręcznie sprzątnięcia pokoju.

Kapitan wydal z siebie coś pośredniego między rykiem i jękiem, starannie zamknął drzwi i okna, jakoś doprowadził do stanu używalności pościel, zgasił światło i położył się. Zmęczenie zwyciężyło i Arnold pogrążył się w poprzedzającym sen błogim i bezmyślnym stanie, z którego wyrwał go wstrętny wrzask, za którym natychmiast rozległ się drugi.

Koty! Koty, niech je Obcy! Zwierzęta wydzierały się na całe gardło o miłości i zbliżającej się wiośnie, Aramona nabrał ochoty wydusić je wszystkie. Nieszczęsny otworzył okno, zamierzając cisnąć w koty pustą butelką. W nos uderzyła ostra, nieprzyjemna woń.

Kocia nalewka! Aramona nienawidził jej z powodu Luizy. Małżonka, uważając siebie za damę wysublimowaną, skarżyła się ciągle na bezsenność, a konował, który usidlił ją swoim zaufaniem, pakował w pacjentkę ekstrakty kociego korzenia, jednak nigdy dotychczas kapitan nie zastanawiał się, dlaczego przeklęte ziele tak się nazywa. Dlaczego tak trafnie się nazywa.

Widok, jaki ujrzały oczy Aramony, robił wrażenie. Dobry tuzin kocurów i kotek z wrzaskiem kotłowało się po oświetlonym księżycem dachu jadalni, latem pełniącym obowiązki tarasu. Zazwyczaj ostrożne stworzenia tym razem kompletnie nie zwracały uwagi na stuk otwieranego okna ani na ciśniętą w ich kierunku butelkę. Koty wyginały się w rozkosznych konwulsjach, podskakiwały, przewracały się na drugi bok, potrząsały łapami, wyginały się w łuk, prostowały z siłą ściśniętych wcześniej sprężyn i wrzeszczały, wrzeszczały, wrzeszczały...

Pośpiesznie obudzona służba przyniosła wodę, zwierzęta trochę się wycofały, ale nie zaprzestały kłębień i wrzasków. Wyraźnie wodę miały w nosie.

–Panie kapitanie – zameldował kamerdyner – pod oknami waszej miłości ktoś rozlał kocią nalewkę. Teraz, póki deszcze tego nie zmyją, koty nie ustąpią.

Ktoś?! Wiadomo kto! Poczekał, aż Aramona skończy z przeszukaniem, zgasił światło, wylazł na dach i rozlał to świństwo.

–Panie – nie ustawał służący – ośmielę się wyrazić przypuszczenie, że złoczyńca sam przesiąkł tym specyfikiem!

Nadzieja rozgorzała i zgasła. Suza-Muza był chytry, jak Leworęki. „Kocim

korzeniem” pachniała jadalnia, sypialnie unarów i prowadzące doń schody. Odszukanie złoczyńcy w zalewających Laik falach aromatu było niemożliwe. Aramona ze smutkiem popatrzył na jaśniejące niebo. Koty ciągle wyły, głowa pękała, a przed sobą miał długi dzień pełen głupich rozmów, obrzydliwych twarzy, dzwonienia szpad, huku odsuwanych krzeseł i oczekiwania na nowe nieprzyjemności.

Schodząc na śniadanie, kapitan nienawidził kociego korzenia, kotów, unarów, służby, ojca Germana, marszałka, króla, Stworzyciela wszystkiego istniejącego i samego istniejącego, i nienawiść ta gwałtownie żądała ujścia.

Zajęcia z piśmiennictwa, historii i geografii Dick niemal lubił, a młodszy mentor, magister nauk opisowych [\[65\] Gerard Chablis, po prostu mu się podobał. Pan Gerard nie cedził przez zęby, nie opuszczał się do unarów z wysokości swojej wielkości, nie miał pupilków i opowiadał wiele ciekawych rzeczy. Właśnie Chablis odkrył dla Dicka świat wysokiej poezji; młodzieniec zupełnie zwariował na punkcie sonetów Samuela Wennena i tragedii wielkiego Waltera Didericha.](#)

Dzień, kiedy za katedrą stanął wąły, blady mężczyzna i przywitawszy się z unarami, zaskakująco niskim głosem, bez żadnego wstępu, wyrecytował sonet o gołębiu i kanconę o zakochanym rycerzu, stał się dla Richarda Ockdella dniem największego odkrycia. Nowe światy kusily, darowały ostre, nieznane dotąd szczęście, obiecywały inne życie, jaskrawe i podniecające. Czy trzeba mówić, że młodzieniec zaczął ukradkiem sam układać wiersze, ale to, co wychodziło spod jego pióra, natychmiast ulegało zniszczeniu? Dick był ze sobą szczery aż do bólu, a geniusz Wennena nie pozwalał mu nazwać swoich twórców wierszami.

Lekcje geografii Richard także lubił, gorzej było z historią. Jakkolwiek dobry by nie był magister Chablis, głosił poglądy, obrażające Richarda do głębi duszy. Zachwalanie maragońskiego bastarda i zdrajcy Ramiro dźgały młodzieńca niczym ostry nóż. Dobrze przynajmniej, że pan Gerard nigdy nie kazał Richardowi odpowiadać z historii. Młodzian podejrzewał, że w głębi duszy mentor wcale nie zachwyca się Franciskiem Ollarem, a tylko, jak większość Taligojczyków, poddaje się sile, nie widząc nadziei na wybawienie. Richard nie potępiał go – Chablis nie należał do Ludzi Honoru i na dodatek był poważnie chory. Dick znał jego chorobę, ta sama toczyła jego młodszą siostrę. Biedna Iris, wystarczy, że zdenerwuje się odrobinę i od razu zaczyna się dusić... Ale mimo to pan Gerard nie został złamany ostatecznie, w innym przypadku nie deklamowałby unarom wierszy o swobodzie i honorze.

Tak właśnie dziś mentor zaczął od starej ballady. Dick upajał się rzeźbionymi wersami, mówiącymi o tym, jak taligojski rycerz podjął wyzwanie maragońskiego bastarda i pokonał go w uczciwej walce. Co prawda Ollarianie cwanie dopisali potem, że sam zwycięzca był ujęty odwagą i szlachetnością przeciwnika i uznał jego zwycięstwo, ale w to już Richard nie wierzył. Na nieszczęście historia nie zachowała imienia zuchwalca, który niewątpliwie zginął podczas oblężenia Kabiteli...

Z przepelnionej szlachetnością i odwagą przeszłości Dicka wyrwał Aramona, który wpadł do audytorium. Od pierwszego wejrzenia było jasne, że gorszego humoru Świn już mieć nie może. Twarz Gerarda skamieniała. Mentor odłożył foliał i uklonił się z dystansem.

–Życzę sobie sprawdzić, co oni wiedzą z historii – oświadczył Aramona.

–Mamy teraz lekcję z historii piśmiennictwa.

–A ja będę ich przepytawał z historii. – Kapitan zwał się na fotel obok katedry i założył nogę na nogę.

–Proszę bardzo, panie, ostatni przerobiony przez nas temat dotyczy Franciska Trzeciego.

Twarz Aramony przybrała niepewny wyraz – imię Franciska Trzeciego najwyraźniej nic mu nie mówiło, ale kapitan nie zamierzał się poddawać.

–Opowiedzą mi o nadorskim buncie.

–Panie kapitanie – zaprotestował mentor – o tych tak bliskich w czasie wydarzeniach nie rozmawialiśmy jeszcze z unarami.

–No to ja to uczynię – ryknął Aramona. – Nie urodzili się wczoraj, powinni pamiętać, co się działo pięć lat temu, to nawet konie wiedzą. Unar Richard – kapitańskie gały błysnęły złośliwie. – Co pan wie o nadorskim buncie? Kto ze szlachty zdradził Jego Wysokość? Jakie państwa namawiały ich do buntu?

Richard milczał. Zbyt dobrze znał odpowiedzi, by udzielić ich głośno. Kłamać i obrzucać błotem imion ojca, braci Epineix i Cavendisha też nie mógł.

–Ta-ak! – zaśpiewał Aramona. – Wspaniale! Unar Richard rósł w lesie i nic nie wie. Proszę tu wyjść i stanąć przed towarzyszami. Zaraz pana czegoś nauczymy. Panowie unarowie, kto odpowie na moje pytanie?

Chętnych było sporo. Seweryn, Esteban, Konstantyn, Francois, Alberto, Anatol... Przekłęci „gnojrze”!

–Unar Esteban! – wywołał kapitan swojego pupilka.

Esteban podniósł się zgrabnie i podszedł do katedry. Nie śpieszył się, nie nadskakiwał, jakby robił przysługę wszystkim – Dickowi, mentorowi, kapitanowi.

–Tak więc, unarze, co można powiedzieć o ostatnim buncie?

–Wzniecił go książę Egmont Ockdell – ledwo widocznie zerknąwszy na Dicka oświadczył! „gnojrze” – i kilku jego wasali. Następnie do buntowników dołączył hrabia Guido Kilean-ur-Lombach, książę Cavendish, syn i następca księcia Epineix i czterech jego wnuków. Ich celem było zabicie Jego Wysokości, wymordowanie najjaśniejszej rodziny i obrońców Korony, zniszczenie, dla dogodzenia agaryjskim heretykom, ollariańskiego kościoła i wprowadzenie do Taligu obcych wojsk. Następnie buntownicy chcieli podzielić Talig na kilka państw, zapłacić za pomoc

militarną nadgranicznymi ziemiami, rozbroić armię, a flotę przekazać do dyspozycji Gaify i jej satelitów.

–Unar Richard, czy pan rozumiał, co powiedział unar Esteban?

Zebrawszy wszystkie siły, Dick skinął głową. Naprawdę wszystko zapamiętał i rozumiał. Kiedyś zapyta i o to kłamstwo.

–Unar Alberto. Kto stał za buntownikami?

–Za buntownikami, panie kapitanie – beznamytnie powiedział ze swojego miejsca Kenallijczyk – stało kilka sił. Popierał ich i namawiał do buntu Esperador i esperatyjskie zakony, o czym świadczy to, że ocalali wodzowie uciekli do Agarisu. Bunt był na rękę szeregowi graniczących z Taligiem państw, mających do nas pretensje terytorialne. W pierwszej kolejności mowa tu o Gaunau, Drixen i Kalanie. Swoje cele miała też Gaifa, spierająca się z Taligiem o pierwszeństwo na Żółtych Ziemiach, która doznała niepowodzenia w przetasowaniu sił na maryjski wschód. Nie mając możliwości zwyciężenia nas na drodze militarnej, siły te postawiły na wewnętrzną rewoltę. Wiadomo, że w Gaunau i Kadanie były zebrane armie, opłacone złotem z Gaify. Przewidywano, że wtargną one do Taligu i połączą się z wojskiem buntowników, ale decyzja księcia Alvy, by zostawić armie Północną i Zachodnią na rubieżach, a na czele Armii Wschodniej przez topiele Renkwahii wyjść na tyły buntowników, uniemożliwiła realizację tych zamysłów wrogom Taliga. Byli oni zmuszeni zwolnić najemników i odżegnać się od swoich związków z buntownikami. Ockdell i jego stronnicy zostali sami przeciwko najlepszemu strategowi Żółtych Ziem i zostali rozbici...

–Unarze Richardzie, czy słucha pan wyjaśnień swoich kolegów?

–Słucham, panie Aramona.

Ileż można o tym słuchać? Święty Alanie, ile?! „Najlepszy strateg”... Przestępca, zabójca, zdrajca, któremu z łaski Leworękiego wszystko się udaje. Tylko szaleniec mógł wpakować się w Renkwahię wiosną, w porze deszczowej. Wszystkie księgi geograficzne wrzeszczą o niemożliwości przebycia tych bagien, ale co tam dla Kruka księgi? Poszedł i przeszedł. I przez niego zginął ojciec i Talig... Ku większej radości „gnojarzy”, którzy utrzymali się przy władzy.

–... i w uczciwym pojedynku zabił Egmonta Ockdella – pisał Alberto, który zastąpił Anatola.

Oni to nazywają uczciwym pojedynkiem! Kruk – pierwsza szpada Taliga, a ojciec po torskiej kampanii mocno przecież kulał...

–Unar Richard, wszystko zrozumiane?

–Tak, panie Aramona.

–Proszę powtórzyć – polecił kapitan, mierząc Richarda złym spojrzeniem.

Pięści Dicka zacisnęły się, świat zmniejszył się do rozmiarów owłosionego Aramonowego pyska. Zdrowy rozsądek, przestrogi, słowo honoru – wszystko leciało w diabły. Dick wiedział, że zaraz uderzy kapitana, i niech się dzieje co chce!

Dziki huk zmusił wszystkich do poderwania się. Stojące obok katedry popiersie wielkiego poety i myśliciela starożytności Isserciala runęło z postumentu kolumny, na której stało przez kilka wieków, i rozpadło się na mnóstwo odłamków. W powietrzu zawisł obłok pyłu, magister Chablis rozkaszał się, łapiąc szeroko otwartymi ustami powietrze i spazmatycznie chwytając za polerowane drewno. Dick, znajdujący się najbliżej katedry, ledwie zdążył go podchwycić.

–Unar... Richard – wychrypiał Chablis. – Pył... Wyprowadź mnie na powietrze...

Norbert już stał na parapecie, zapamiętałe szarpiąc wypaczoną przez wilgoć zimny ramę. Ta nie wytrzymała heroicznego naporu barona z Torki i poddała się – do pomieszczenia napłynęło wilgotne, zimne powietrze. Dickon włókł wczepionego w siebie mentora do okna i rozglądał się w poszukiwaniu czegoś ciepłego.

–Dziękuję, unarze – cicho powiedział Gerard. – Wszystko w porządku.

Wieczorem, kiedy unarowie przyszedli do jadalni na kolację, zobaczyli podwieszane na pozostałym z dawnych czasów sufitowym haku pantalonny Aramony wraz z pludrami. Czymś nabite, wyniośle i wolno kręciły się na Aramonowym złotym łańcuchu przewleczonym przez rozcięcia. Na stronie, którą prosty lud nazywa tyłkiem, znajdowało się coś na kształt świńskiego ogonka ozdobionego wspaniałą purpurową kokardą. Widok wstrząsnął wszystkimi. Wszyscy, dwudziestu jeden młodych ludzi, jak na komendę zadarli głowy nie mogąc oderwać spojrzenia od przejawiającej samowolę części toalety swojego kapitana.

–Na Przeciętego Smoka – z nabożeństwem wyszeptał Walentyn. – Kto to zrobił?

–To jest duży fajnie – sapnął Johann. – Ta-ta, chciałem uściskać rękę, która powiesiła ta hrosse poteks![\[66\]](#)

Norbert gwałtownie ofuknął brata i Richard, nieco rozumiejący już język torskich wybrzeży, zrozumiał – mądry brat woli nie wiedzieć, kto kpił z kapitańskich pantalonów. Dowcip się udał, ale koniec nie musiał wcale być wesół. Richard nie wątpił, że to był numer Paola. W to nikt nie wątpił. Unarowie skonfundowani popatrywali na siebie – zaczęło do nich docierać, że ich kolega przesadził. Anatol, zerknąwszy do góry, wyszeptał wystraszony:

–To nie ja!

–I nie ja! – zahuczał Karl.

–A pewnie – skrzywił się Seweryn. – Ty byś nawet na krzesło nie wlaź, a co dopiero na sufit. To zrobił wyśmienity gimnastyk.

–I, jak mi się wydaje, nie sam – zauważył Esteban. – Ciekawe, co przedsięwzięmie pan kapitan?

–Nałoży inne pantalonny – wzruszył ramionami Alberto. – Sądzę, że ma.

Kenallijczyk nie pomylił się. Minutę później wpadł do jadalni kapitan, był całkowicie ubrany. Postępując zgodnie ze świńskim obyczajem, nie popatrzył do góry, a tylko niczym rozszalała beczka, przyturlawszy się do milczących unarów, ryknął:

–Pojawił się tu złodziej! Dziś po obiedzie okradziono mnie! Tutaj! Ale ja go znajdę! Kradzież łańcucha zakonu – to zdrada! Nikt stąd nie wyjdzie, słyszycie mnie?! Nikt. Osobiście przeszukam wasze pokoje... Wiem, kto tu nienawidzi mnie i monarchę. Zła krew. Schwytam złodzieja, jakem kapitan Aramona!

Suza-Muza mógł być z siebie dumny – zadziwiająca kapitańska cierpliwość pękła z wielkim hukiem. Arnold tupał, pryskał śliną i wrzeszczał niczym zarzynany, wyrzucał z siebie skomplikowane groźby i przekleństwa. Czerwonomordy szalejący grubas aż się prosił na szyld konowała, mającego za podstawę swej działalności upuszczanie krwi, czy handlarza pijawek, ale znieruchomiałym w szeregu „żrebakom” było nie do śmiechu. Aramoną można było do woli pogardzać, ale teraz był nie tylko śmieszny, ale i straszny.

Wszyscy rozumieli, że tym razem dowódca tak zwyczajnie się nie uspokoi, tym bardziej, że ojciec German gdzieś zniknął, a podczas nieobecności ollarianina Aramona zawsze pozwalał sobie na więcej.

Wywrzeszczawszy się i ochryplszy nawet lekko, Aramona ostatni raz zagroził winnemu Zanchą [\[67\] i zamilkł. Zrobiło się cicho i martwo, powszechnej nieruchomości nie poddawały się tylko ogień w kominie, zegar z wahadłem i Aramonowe spodnie, ciągle wolno obracające się nad głową nic niepodejrzewającego właściciela. Kapitan głośno sapał, wściekle łypał nalanymi krwią oczami i niemal grzebał stopami w kamiennej podłodze. W końcu zdecydował się i wskazał palcem nieszczęsnego Luidgiego:](#)

–Ty! Odpowiadaj, co ci wiadomo o kradzieży!

Mały unar zatrzepotał długimi rzęsami, uniósł oczy do góry i pisnął:

–Tam!

–Zamilcz! – Kapitański bas zmienił się w jakiś rodzaj pienia, a spopielony spojrzeniem dowódcy Luidgi zapadł się w siebie i stał się jeszcze mniejszy. – To jest herezja! To zamach nie tylko na mnie i na władcę, ale również na Stwórcę, a wy mi za to zapłacicie! Unar Arnoud, co pan wie o przestępcy?

–O przestępcy, panie Aramona, nie wiem nic. – Arnoud mówił spokojnie, choć wargi miał zbiele. – Ale unar Luidgi ma rację. Zaginione przedmioty są na górze. Proszę pana kapitana, by popatrzył na hak lampy...

Pan kapitan popatrzył i w tym momencie wszyscy pojęli, do czego zdolne jest ich dowództwo. Wszystkie poprzednie wrzaski były niczym w porównaniu z tymi, które wypłynęły z kapitańskiej paszczy na widok utraconej własności. Zapomniawszy, że wyżej głowy nie podskoczy, Aramona wykonał nieprawdopodobny dla swojej tuszy wyskok, ale cel pozostał poza jego zasięgiem, a sam Arnold, lądując, wykonał tak niewiarygodny piruet, że gruby Karl nie wytrzymał i roześmiał się głośno. Biedak zasłonił sobie usta dłonią – nie pomogło. Strach i napięcie znalazły ujście w dzikim rechocie, który zarazil resztę. Drugą ofiarą padł Johann, potem Paolo; nie minęła minuta, jak śmiały się, właściwie rechotały, wszystkie „żrebaki”. Ostatecznie

straciwszy głowę, Aramona wyszarpnął szpadę i zaczął nią machać, ale jakoś po babsku. Właśnie tak jego małżonka, zastawszy męża w objęciach kucharki, wymachiwała znalezionym na miejscu przestępstwa wałkiem, ale w tym momencie Arnold nie myślał o swoim podobieństwie do krzywonogiej Luizy.

Któryś z unarów gwizdnął, ktoś zachrzakał, ktoś wrzasnął. Szereg zmienił się w wydzierający się tłum, ale tracący resztki rozsądku Aramona nie zwracał uwagi na „żrebięta”. Nie odrywając szklistego spojrzenia od szyderczo wirujących pantalonów, pan kapitan przy akompaniamencie pohukiwania unarów i własnych ochrypłych wrzasków wytańcowywał jakiś szalony taniec, zaciekle wymachiwał szpadą i wykonywał jakieś kompletnie bezsensowne ruchy, coś na kształt półpokłonów, przytupywań i gwałtownych zwrotów.

–Heja-heja! – zawył któryś z unarów. – Bierz go!

–Do boju, nie uciekną!

–Bierz żywcem!

–Za Talig i krew Ollarów!

–Tnij!

–Bij!

–Kluj!

Ogarniające jadalnię szaleństwo przerwała służba, przynosząc drabinę. Aramona, głośno dysząc, cisnął szpadę do pochwy i zwałił się na fotel. Unarowie pośpiesznie zajęli miejsce w szeregu. Kapitan uważnie przyglądał się czubkom swoich butów, jego oblicze z wolna zmieniało barwę z czerwonego na białą. Między dowódcą i „żrebiętami” krążyli służący z drabiną. Niestety, tankredianie lubili wysokie sufity. Zdjąć nieszczęsne pantalone mógł zespół dwóch bardzo wysokich ludzi, z których jeden stanąłby na najwyższym stopniu, a drugi wdrapałby mu się na ramiona. Przyszło więc budować piramidę z dwóch stołów, większego i mniejszego. Na górnym stanęła potężna, okuta żelazem skrzynia, a dopiero na niej stanęła drabina.

Widocznie wyższe siły stanęły po stronie Aramony, ponieważ konstrukcja wytrzymała. Nieszczęsny element kapitańskiej toalety został zdjęty i z ukłonem przekazany prawowitemu właścicielowi, który z rykiem, będącym jednak tylko żalonym echem poprzednich wrzasków, odrzucił od siebie wypchane jakimś świństwem pantalone. Te, ślizgając się po gładkiej podłodze, dotarły do kominka, gdzie legły, sprawiając dość nieprzyjemne wrażenie – w purpurowym poblasku od ognia wydawało się, że w kałuży krwi leży dolna część ludzkiego ciała.

Służba rozebrała piramidę i cicho, po mysiemu, zniknęła. Aramona siedział, unarowie stali. Szaleństwo zastąpiła lodowata nieruchomość, wskazówki zegara chyba przymarzły do tarczy. W jadalni zawisła taka cisza, że cykanie wahadła uderzało w uszy jak koński tętent w nocy.

Drzwi otworzyły się, kiedy milczenie i bezruch stały się nie do wytrzymania. Jeden ze służących ze spuszczoneymi oczami przydreptał do pana kapitana i coś do niego szepnął. Kapitan drgnął i pochylił ucho do ust służącego, a w okrągłych oczkach błysnęło coś na podobieństwo myśli. Więcej, myśl ta była bardzo przyjemna, ponieważ groźne szczyrzenie zębów zastąpił uśmiezek, obiecujący znacznie więcej nieprzyjemności niż najbardziej szalona z posiadanych w arsenale Aramony min.

Na razie kapitan milczał, ale znające swojego dowódcę „źrebięta” były pewne – rozkoszuje się swoim nadchodzącym triumfem.

W duszy Dicka zapanował smutek: niech nawet Paolo będzie sobie po trzykroć Kenalijczykiem, ale jednak miał tyle hartu, by wszcząć wojnę z szubrawcem. Oni wszyscy przeżykali Aramonowe poniżenia, ale Paolo jak potrafił, tak walczył, o siebie i innych. I wpadł... Richard przysiągł sobie, że odprowadzi Paolo i niech wszystko plonie ogniem zmierzchu! Na pożegnanie poda Kenalijczykowi swoje imię i tytuł i zaprosi do Ockdell, mateńka i Ivon zrozumieją.

Richard bardzo chciał znaleźć się w Nadorze, daleko od Laik i od tego, co się zaraz wydarzy. Żeby tak móc wrócić do starego zamku i zapomnieć o wszystkich tych aramonach i hermanach. Czyżby ktoś znalazł dowody? Wygląda na to, że tak – „myszaty” nie odważyłyby się wejść, gdyby nie miał czegoś miłego dla kapitana. A Paolo nigdy nie słynął z zamiłowania do porządku. I teraz coś złego się wydarzy.

Dowódca, jakby czytając w myślach Dicka, skończył się zastanawiać, wolno i satysfakcją podkręcił wąsy, wziął się pod boki i ociekając władzą, ruszył wzdłuż szyku wychowanków. Zrównawszy się z Diakonem i Paolo, zatrzymał się, znacząco wciągając powietrze.

–Mam podstawy sądzić – rzekł Aramona – że wszystkie przestępstwa tak zwanego hrabiego Meduzy to sprawka unara Richarda, zatem przyjdzie mu odpowiedzieć zarówno za swoją bezczelność, jak i za swoje kłamstwa i usiłowania ukrycia się za plecami kolegów.

Dick był pewien, że się przesłyszał. Nienawidził Aramony, to prawda, ale z Suzą-Muzą nie miał kompletnie nic wspólnego. Zresztą nawet nie mógłby tego wszystkiego zrobić.

–Unarze Richardzie – ryknął Aramona – proszę wyjść przed szereg i popatrzeć w oczy swoim kolegom, którzy przez ciebie poddani zostali karze!

Richard podporządkował się, właściwie – podporządkowało się jego ciało, które wykonało odpowiednie dwa kroki i zwrot. Okazało się, że można być jeszcze bardziej samotnym, niż był wcześniej. Dwudziestu ludzi stało ramię przy ramieniu, a on był niczym odcięta pajda. Sądząc z tego, jak opuścili spojrzenia Julien i Anatol, Dick zrozumiał, że naprawdę został osądzony już za cudze sprawki. Tłusty kapitan znalazł jednak sposób, by przypodobać się Diracowi i pozbyć się syna Egmonta.

–Unarze Richardzie, czy przyznajesz się do winy?

–Nie.

–No to jak wyjaśnisz, że w twoim pokoju znaleziono pieczęć tak zwanego hrabiego Meduzy, węgiel do szkicowania, rybi klej i... – Aramona z jakiegoś powodu przestał wyliczać przedmioty i zakończył: – inne dowody? Wszyscy są wolni i mogą odejść. Unar Richard zostaje.

No i koniec... Żałował Kenallijczyka, a ten zrozumiał, że przesadził, i podłożył świnie komu innemu.

–Wszyscy są wolni – powtórzył Aramona.

–To nie jest prawidłowa – rozlegający się w sali ryk Johanna spowodował, że Dick drgnął. – Hrosse poteks wieszał ja.

–My – poprawił brata Norbert i mówił dalej z potwornym akcentem: – to jest nasza głupi dowcip w tradycja dzika Torka...

–W Torce tak się nie dowcipkuje – wystąpił przed szereg Alberto. – To ja zrobiłem.

–Nie ty, a ja – przerwał mu Paolo. – A potem wystraszyłem się i ukryłem wszystko w pokoju Dicka.

Serce Dickona podskoczyło do gardła – trzech z czterech kłamało, ratując go. Trzech, o ile nie cała czwórka! Dick odwrócił się do Aramony.

–Pan kapitan ma całkowitą rację, to ja zrobiłem!

–Łzesz – przerwał znowu Paolo. – Ty z tym swoim głupim Honorem nawet słowa „portki” nie wypowiesz, a co dopiero...

–To ja zrobiłem! – krzyknął Dick.

–Nie gadasz taką głupota – to zrobił my.

–Nie, ja...

–Ja i nikt poza mną.

–Proszę wybaczyć – odezwał się Arnoud – ale to moja sprawka.

**–Dość! – ryknął Aramona. – Wy, cała ta szóstka! Do Starej Galerii! Do rana!
Pozostali – spaaać!**

Rozdział 6

Posiadłość Laik

„Le Huite des Épées” [\[68\]](#)

1

Sześciu pretendentów do tytułu Suzy-Muzy po kolei przecisnęło się przez wąskie drzwi, a te z obrzydliwym zgrzytem się zamknęły. Na pierwszy rzut oka niczego straszego w Starej Galerii nie było – po prostu długi sklepiony korytarz z kominkiem pośrodku i niszami, w których wcześniej stały posągi esperatyjskich świętych. Niewielkie okna pod samym sufitem raczej nie dawały wiele światła, a w zimowym zmierzchu galeria w ogóle tonęła w mroku, na dodatek było tu zimno i przeraźliwie wilgotno. Dickon nawet sobie nie wyobrażał, co czują południowcy, skoro on sam od razu rozszczękał się zębami.

Paolo myślał krótko. Wstrząsnąwszy ramionami i założywszy ręce za plecy, Kenallijczyk zaczął wystukiwać butami wściekły rytm na kamiennej posadzce.

–Hej, wy tam – zawołał – dalej, w koło, bo zamarzniecie.

Po chwili jeńcy Aramony płasali, jak kto umiał. Taniec pomógł – najpierw zrobiło im się ciepło, potem nawet gorąco.

–Teraz siadamy razem, ramię przy ramieniu – zasapał Johann. – Tak długo zachowamy nasze ciepło.

„Słusznie prawi”, uśmiechnął się Arnoud.

–Siadajmy, jak zaproponował mój brat, bo to rozsądny pomysł, i obgadajmy naszą małą sprawę. W tym gronie ufamy wszyscy sobie. Ja uważam, że Richard nie ma nic wspólnego z tym zuchwałym żartem.

–No pewnie – zgodził się Alberto – po prostu Świn go nienawidzi. Ale niech będę po trzykroć przeklęty, jeśli spodnie skradł któryś z nas. Psoтник okazał się dość tchórzliwy, co należy sobie otwarcie powiedzieć.

–Richard – huknął Johann – ty myślałeś, że kto to robi?

Richard zastanawiał się, oczywiście, ale... Norbert i Johann na pewno nie. Dla Arnoulda dowcip z portkami był zbyt grubiański. Kenallijczyki wszyscy razem albo

jeden z nich mógłby być Suzą-Mużą, ale nie podrzuciliby do niego dowodów, a gdyby podrzucili, to by się nie przyznali. Wyglądało na to, że Suzy-Muzy wśród nich nie ma.

–Na wszelki wypadek – podniósł rękę Arnoud – jeśli któryś z nas to zrobił, to teraz jest akurat dobry moment, żeby się przyznać.

–Nikt – głośno westchnął Johann – ale Karl i Luidgi też tego nie mogli zrobić. Karl jest za gruby, Luidgi za drobny.

–Blanco też nie ma nic wspólnego – wypalił Dickon. – I Anatol...

–Potrzebny jest ktoś mądry, żeby myśleć, zręczny, żeby wykonać, i podły, żeby rzucić to na Richarda – wtrącił się Johann. – Norbert mógłby wymyślić, ja mógłbym zrobić, ale myśmy tego nie zrobili.

–Mówimy o tych, którzy tego nie zrobili – zauważył Alberto – a powinniśmy o tych, którzy mogli. Ja stawiam na Estebana albo Walentyna.

–Walentyn nie! – zawołał Dickon. – On przecież...

–Jest Człowiekiem Honoru i następcą Priddów – prychnął Paolo. – Też mi, tajemnica Leworękiego! Jeśli jest taki wspaniały, to dlaczego go tu nie ma?

–Ponieważ... On nie ma prawa... Obiecaliśmy... – Dickon umilkł w pół słowa.

–Obiecaliście nie osłaniać siebie wzajemnie? – uniósł brew Alberto. – No to co tu się dziwić, że Ludzi Honoru od czterech wieków tłucze kto chce. Przekleństwo, co za ciemności!

–A ty myślałeś, że Świn przyśle nam świece i kolację ze swojego stołu? – rzucił rozeźlony Paolo. – Czekaj, niech się całkiem ściemni.

–Alberto – zapytał Richard, wyraźnie wymawiając słowa – co miałeś na myśli, mówiąc o Ludziach Honoru?

–To, że gdyby nie byli tacy wspaniali, Ollar nie dotarłby do stolicy. I po jego zwycięstwie też było cicho – ani buntów, ani egzekucji. Czyli pomyślemy – naród aż tak bardzo kochał Rakanów?

–Nie kochał bardziej niż teraz Ollarów – westchnął Paolo.

–Tego nie można porównywać!

–Niby dlaczego, Richardzie? – ze smutkiem zapytał Arnoud. – Można porównywać wszystko, a czasy są rzeczywiście podobne, tyle, że nie widać nowego Franciska. Niestety.

–Sylwester jest mądrym człowiekiem – zauważył Alberto. – Nie jest ważne, na kim siedzi korona, ważne, czyja to głowa.

–Dorac jest niegodziwcem i mordercą. Taligoja potrzebuje króla Rakana!

–Też mi dobrzy królowie – rzucił Paolo. – Do ojczyzny na cudzych kopiach usiłują wjechać.

–Paolo!

–Richardzie Ockdell!

–Do usług.

–Richard, Paolo! Nie wariujcie. To nie pora na pojedynek.

–Walentyn postąpił mądrze, ale niegodnie – pojednawczo odezwał się Arnoud – ale ja obstawiam Estebana. To jest numer dokładnie w jego stylu, a od bezczelności do odwagi, jak od kapłona do kruka.

–Esteban nie miał powodów – wzruszył ramionami Paolo. – Aramona go nie tykał.

Nikt nie zdążył zaproponować.

–Riiii-cha-a-a-ard! – Głos, rozlegający się z góry i z boków, brzmiał dziwnie, niby był znany, ale nie do końca. I był niby szeptem, ale szeptem głośnym jak krzyk. – Riiii-cha-a-a-ardzie... Ockdellu-u-u... Nie żyje-e-e-esz czy co-o-o?

–Nie. – Pierwszy oprzytomniał Paolo. – Nie umarł, a ty gdzie jesteś?

–W kominie-e-e... – syknął głos, i od razu się poprawił: – Znaczy-y-y-y nie dokłaaaadnie-e-e, a na góóórze-e... Jak tam wa-a-m?

–Kto ty jest? – Norbert już się otrząsnął z zaskoczenia, ale podniecony zaczął mówić jak fohann. – Nie wiemy, kto ty.

–Su-u-u-za-a-a-Mu-u-u-uz-a-a-a – rozległo się z góry. – Tyle że ja nic Dickowi nie podrzuciałem... Zaraz podam Świnowi dowód, że jestem na wolności, a potem ogłoszę swój nieodwołalny zgon.

–Ktoś ty? – zawołał Paolo. – Powiedz nam, jesteście ciekawi!

–W dniu Świętego Fabiana! – zachichotał Suza-Muza. – Zimno tam?

–Sam sprawdź!

–Spakowałem wam kolację. Ze stołu Aramony. Wypijcie za spokój mojej duszy, i kapitanowej przy okazji! Dickonie, chwytaj, spuszczam. Tylko ostrożnie. Tam jest butelka, ciężka, zaraza... Pamiętaj, że to wszystko za wyrządzone ci przykrości. A dziel to już, jak zechcesz.

W kominie coś zaszurgotało, Dickon wszedł do kamiennej paszczy. Wewnątrz było czysto i zimno, jeszcze zimniej niż w galerii. Kapitan Aramona nie uważał za słuszne ogrzewać opuszczone skrzydło i jego poprzednicy, jak się zdawało – też tak uważali. Kiedyś w opactwie mieszkało kilkuset mnichów, teraz liczba wszystkich mieszkańców posiadłości Laik, łącznie ze służbą, nawet w najbardziej „urodzajne” na unarów lata ledwie sięgała setki – po co tu grzać, skoro pieniądze ze skarbcza można wydać na przyjemniejsze rzeczy? Szmer rozległ się bardzo blisko, z komina wyłonił się spory worek.

–Ostrożnie – powtórzył Suza-Muza. – Dotarło?

Worek był ciężki i niewygodny, ale Dickon poradził sobie.

–Dotarło, dzięki!

–Dobra, jeńcy niewinni, idę. Północ za chwilę, a ja mam jeszcze sporo do zrobienia. Powodzenia tam...

Richard pożegnał się, ale Suza-Muza już się nie odezwał, widocznie odszedł. Dickon poprawił chwyt na worku i wylazł z komina.

–Oto – powiedział – nasza kolacja.

–Która jeszcze niedawno była kolacją Aramony – roześmiał się Alberto. – Ale kto to był? Wycofuję swoje słowa o Priddzie i Estebanie, to do nich niepodobne.

–Dobrze myślisz – skinął głową Arnoud. – A my mieliśmy szczęście. Pozostali, jak mniemam, poszli spać na czczo.

–Bardzo dobry myślisz – radośnie potwierdził Johann. – Ja jest strasznie głodny.

–Ty byś tylko żarł! – Paolo przyjaźnie huknął Katerschwanza w ramię. – Chociaż to niezły pomysł. I patrzcie, jak się wpakował Aramona! Szóstka szlachetnych potomków zapędzona do ciemnicy z powodu fałszywego oskarżenia, a przestępca hula na wolności! Szkoda, że hrabia umiera.

–Szkoda – zgodził się Arnoud – ale chyba rzeczywiście już pora kończyć. Teraz, jeśli Suza nie spasyje, to Świn go złapie za rękę. Bo to albo Edward, albo Julius, więcej nie ma nikogo.

–Może będziemy jeść kolację i zastanawiać się – zaproponował Norbert. – Dickonie, tyś tu gospodarz. Otwieraj.

Suza-Muza myślał rozsądnie, nocną ucztę zafundował jak się patrzy. Po pierwsze, domyślił się, by włożyć do wora świece i krzesiwo, po drugie, nie pożałował jedzenia, i to nie w postaci rozgotowanego grochu, niegdyś leżącego w pobliżu mięsa, ale zaserwował wspaniałą wędlinę, ser, świeży chleb, pierożki z jabłkami i mięsem. Ale najważniejszym trofeum bez wątpienia była ogromna, starannie zapieczętowana butla.

Dickon bardzo życzył sobie, by Suzą-Muzą okazał się Walentyn Pridd, ale Walentyn wyrażał się inaczej niż Suza-Muza. Czyli następca Priddów stchórzył? Ale Priddowie nie tchórzą i nigdy nie tchórzyli. Walentyn wykonał rozkaz Stanclera i tyle. Nie wtrącać się, cokolwiek będzie się działo. Nie wtrącać się i czekać na swój czas! Jego kolegom z ciemnicy łatwo jest osądzać – nie wiedzą, co to królewscy żołnierze w rodowym zamku, nawet Arnoud... ród Savignac nie przyłączył się do powstania.

–Ta-ta – pokiwał głową Johann, spoglądając na rozłożone na podłodze smakołyki – jestem zupełnie rady, że nas tu zamykali. I jeszcze bardziej będę rady jutro widzieć ten poteks z wąsami, który nasz kapitan nazywa swoją twarzą. Richard, ty masz otwierać to wino, a my mamy pokroić chleb, szynkę i ser.

–To nie tak – wtrącił się Norbert. – Wino należy otwierać później, żeby nie zwietrzało.

–Tylko jeśli jest młode – wtrącił się Paolo. – Czerwone wino dobrego gatunku otwiera się wcześniej, tylko na tym zyskuje. Trzeba wytrzymać pół godziny, a jeszcze lepiej przelać do specjalnego dzbana.

–Od razu poznać Kenallijczyka – uśmiechnął się Arnoud. – Jednak nie mamy ani specjalnego dzbana, ani zwyczajnego, poza tym nie wytrzymamy pół godziny. Dick, do ataku!

Richard uśmiechnął się i sięgnął do butelki, ale przygotowania do uczyty zostały przerwane odgłosem dzwonu, głuchym i drżącym, jakby dzwon był pęknięty albo bardzo, bardzo stary. Dickon przez chwilę sądził, że się przesłyszał, ale nie! Szóstka unarów jak jeden mąż odwróciła głowę na ten dźwięk. Dickon odnotował, że Paolo uszczypnął się, a Johann złożył wskazujące i serdeczne palce, odsuwając zło. Potem świeca czy to sama zgasła, czy ktoś ją zdmuchnął.

Dzwon dzwonił ciągle. Starą Galerię wypełniło równe, metalowe dudnienie, a potem w jej odległym końcu pojawił się zielonkawy ognek; nie, nie ognek – ogniki!

Pierwszy, patrząc prosto przed siebie, kroczył siwy czarnobrewy opat w obszernej szarej szacie z zakonną sową[69] na piersi. Za przeorem parami maszerowali mnisi ze świecami płonącymi niedobrym zielonkawym światłem – tak świeci w lesie spróchniałe drewno, tak błyszczą w mroku kocie oczy.

Widma, o ile były to widma, zbliżały się. Unarowie, nie uzgadniając, cofnęli się, przylgnęli do lodowatych kamieni ścian, żałując, że nie mogą w nich zniknąć. Na szczęście jeńcy Aramony urządzili kolację przy wystającym ze ściany kominku, którym służył jako mizerna, ale jednak, osłona, tak więc zbliżający się tankredianie nie mogli widzieć unarów, a ci – tankredian.

Dzwon rozbrzmiewał bez końca, zagłuszając inne dźwięki, o ile takowe były, i w rytmie jego uderzeń waliło serce Dicka – tak bardzo nie bał się jeszcze nigdy w życiu. Młodzian oczywiście słyszał o widmach z Laik, które przy dźwiękach pogrzebowego dzwonu przemierzały lodowate korytarze w kierunku byłej świątyni, dziś służącej jako sala do szermierki, by odprawić mszę w intencji zmarłych i tych, którzy mieli umrzeć. Mówiło się, że pod spojrzeniem martwego opata spod warstw tynku wyłaniają się stare freski, a bezkrwiste usta poruszają się, wyliczając tych, co są zdrowi, weseli i pewni dnia jutrzejszego, nie wiedząc, że jutro już dla nich nie nadejdzie...

Procesja wolno wypływała zza kamiennego występu. Dickon, gdyby chciał, mógłby dotknąć szaty przeora. Mrok w galerii zgęstniał jeszcze bardziej, stając się czymś w rodzaju tła[70] esperatyjskich ikon,[71] a wolno idący mnisi z upiornymi świecami wydawali się być ożywionymi freskami, ale zamiast czci i uwielbienia wywoływali zimne, przenikliwe przerażenie. Richard w jakimś osłupieniu patrzył na tankredian, a ci szli i szli jeden za drugim, jednakowo trzymając jednakowe świece, patrząc przed siebie, nie zatrzymując się i nie myśląc kroku.

Przeor z sową dawno już powinien był zderzyć się z przeciwległym końcem galerii, ale ziemskie przeszkody dla widm nie istnieją. Przy akompaniamencie drżącego, niemilkącego dzwonu szara rzeka wolno płynęła przed siebie; jakże wielu było tych mnichów, znacznie więcej niż przegnanych czy zabitych przez Franciska. Dick pomyślał, że przed nim defilują cienie wszystkich wymordowanych przez Ollara esperantystów albo wszystkich tankredian zamieszkujących opactwo od pierwszego do ostatniego dnia jego istnienia. Byli różni – starzy, młodzi, przystojni, pokraczni, grubi, chudzi i byli jakoś jednakowi w swoich kitlach z niebielonego płótna, w sznurkowych sandałach i z martwymi świecami. Młodzieńcowi wydawało się, że od chwili, kiedy obok przepłynął lodowaty profil opata, minął wiek albo i kilka wieków, i że razem z przyjaciółmi będzie tak tu stać, a obok, nie zauważając żyjących, będą maszerowali umarli, i tak będzie wiecznie.

Za rogu kominka pojawił się kolejny mnich – chudy i leciwy, z jakiegoś powodu był sam. Za tankredianinem pojawili się dwaj młodzieńcy z takimi samymi zielonymi świecami, ale w czarnobiałych unarskich szatach, identyczni jak bliźniacy, i jeszcze dwaj inni, i inni, a za nimi szli dwaj bracia – młodszy, mniej więcej szesnastoletni, w odzieniu bractwa fabiańskiego, a starszy – w rycerskim pancerzu, ale jego metalowe buty stąpały po kamiennej posadzce bezszelestnie.

Dick z dziwną ciekawością wpatrywał się w przepływające obok twarze. Dwaj, zawsze po dwóch... To bracia, to ojcowie z synami, to dziadkowie z wnukami. Młodzi w fabiańskich strojach, starsi ubrani różnie – jedni do walki, inni na bal, ktoś jakby został wyrwany z pościeli, jeszcze inny – jakby wyszedł z więzienia. Żebracze łachmany mieszały się z królewskimi szatami i stałą pancerzy i tylko świece się nie zmieniały, oblewając idących jasnym, martwym światłem. Richard nie miał pojęcia, kim byli owi ludzie i dlaczego ich cienie skazane były na przemarsz za szarymi mnichami. O Laik opowiadano różne rzeczy, ale o widmowych rycerzach i unarach młodzian nie słyszał, a ci kontynuowali swój bezdźwięczny przemarsz.

Pewnie każde przerażenie ma swoje granice. Dickon sam nie rozumiał, jak udało mu się przekroczyć rubież, za którą lęk zmienia się w ciekawość. Odprowadziwszy spojrzeniem człowieka w brązowych szatach, jakimś sposobem przypominającego Ivona, młodzieniec z zaciekawieniem odwrócił się na spotkanie kolejnemu widmu i zobaczył... ojca, obok którego z taką samą świecą w dłoni szedł on, Richard Ockdell, w znieawidzonych unarskich szmatach.

Dziwne, ale w tym momencie to, co się działo, nie wydawało mu się ani majaczeniem, ani złudą. Miał przed sobą ojca, takiego, jakim go pamiętał, albo niemal takiego. Krótka ostrzyżone jasnobłond włosy, krótka bródka, przecinająca brew blizna. Książę był poważny i skoncentrowany, jakby nie było dlań rzeczy ważniejszej niż zachowanie swojego bagiennego ognika. Egmont Ockdell, jak i jego poprzednicy, bezszelestnie przepłynął obok Dicka. Zaskoczony młodzian nie mógł oderwać oczu od ukochanego mężczyzny, z którym nie zdążył się pożegnać, a ten odchodził, by za chwilę zniknąć w ślepym, lodowatym murze.

Świadomość Dicka jakby się rozdzieliła – z jednej strony świetnie rozumiał, że ma przed sobą ducha, że należy przyciąć się w swoim schronieniu, a pierwszego dnia wolności pobiec do kapłana-esperatysty, ale co tam rozum, gdy odchodzi ojciec? Może gdyby księcia przesłoniły inne postacie, Dick by się powstrzymał, ale Egmont Ockdell szedł jako ostatni i Richard rzucił się za nim.

Dźwięk dzwonu umilkł, w uszach chłopaka niczym grzmot zabrzmiał odgłos jego własnych kroków, ale odchodzący ani myśleli się odwracać i wtedy Dick wrzasnął, głośno i rozpaczliwie, jednak ojciec nawet nie drgnął.

–Richard! – Ktoś silnie chwycił go za ramię. – Durniu, stój! Stójże, qualdeto

cera![\[72\]](#)

Dickon szarpnął się, widząc tylko oddalające się plecy w czarnozłotej pelerynie, ale obcy wczepił się w niego jak drikseński bykołap.[\[73\]](#)

–Richard, ocknij się! Co ci się stało?!

Ojciec zniknął, wszystko zniknęło... Stał w ciemnej galerii, a Paolo potrząsał go za ramię. Nie miał już sił się wyrwać, nie miał już sił na nic.

–Życie ci się znudziło? – zapytał ze współczuciem Kenallijczyk.

–Jako ostatni szedł mój ojciec. – Dick nie poznał swojego głosu.

–Bzdury – przerwał mu Paolo. – To nie ojciec, po prostu to nie mógł być on! Przywidziało ci się... Wiesz co? Może w końcu wypijemy!

Richard pozwolił się zaprowadzić do kominka, gdzie Norbert już wykrzeszał ogień i zapalił zgaszoną świecę.

–Zapal inne też – poradził Arnoud. – Dick, otwieraj to swoje wino.

–Trzeba zapalić cztery świece – wtrącił się Johann – zawsze cztery, żeby nie było zła.

–Tak – potwierdził skinieniem głowy Alberto – cztery, jakichkolwiek by o tym głupot szarzy i czarni nie mówili. I postaw w kwadracie. Galeria idzie z północy na południe, tak?

–Tak – potwierdził Arnoud. – Błyskawica będzie akurat przy kominie. Richard, no co tam?

–Ja... – Dickon rozpaczliwie usiłował opanować drżenie rąk. – Już, zaraz!

–Dawaj tu. – Paolo odebrał mu charakterystyczną butlę. – Na Stwory Zmierzchu!

–Co znowu?

–Nic, drobiazg! Już otworzyłem! – opędził się Paolo, zlizując z palca kroplę krwi. – Dick, pij pierwszy, to w końcu twoje.

–Począć trzeba – wtrącił się Johann – najpierw polać trochę na świece. Niech Cztery Fale odegną zło przekleństwa od nas wszystkich, ile by ich powstało.

–Niech Cztery Wiatry rozpędzą chmury, ile by ich nie było – wyszeptał Berto i Paolo.

–Niech Cztery Błyskawice padną czterema mieczami na głowy wrogów, ilu by ich nie było – dodał Arnoud.

–Niech Cztery Skały obronią przed obcymi strzałami, ile by ich nie było – zakończył Dick zaklęcie odsuwające nieszczęście. Ojciec Mateo i mateńka bezlitośnie rugali starą Nan, która czy trzeba było, czy nie, szeptała te słowa i co rusz usiłowała zapalić cztery świece. A on sądził, że stare zaklęcie pamiętają tylko w Nadorze!

W to, że któryś z zamkniętych w Starej Galerii naprawdę jest obrzydliwie szkodliwym Suzą-Muzą, pan kapitan nie wierzył. Więcej nawet, gdy sługa szepnął o znalezieniu w pokoju Ockdella dowodów, Aramona ani przez sekundę nie myślał, że to naprawdę Richard jest winny, ale jakie to miało znaczenie? Kapitan już rozumiał, jakiego durnia z siebie zrobił, wpadając w szal na oczach unarów.

Na wstawiennictwo Jego Świątobliwości nie było co liczyć – jeśli Aramonie zostaną przedstawione poważne zarzuty, kardynał go wyrzuci i nie kichnie nawet. Znaleźć zastępcę to tyle co splunąć. Mało w armii oficerów, marzących o dobrym karmniku, a on, Aramona, będzie musiał pełzać na kolanach przed Luizą i teściem, wyprasząc każdego miedziaka. Nie, zdecydowanie kapitan nie chciał rozstawać się z Laik, musiał zatem znaleźć winnego, i to takiego, za którym nikt się nie wstawi, i w hańbie wysłać go do domu. Arnold akurat zastanawiał się, kogo by tu wybrać na kozła ofiarnego, kiedy Jok, czy może Jet, Obcy ich tam odróżni, powiadomił o znalezisku. Richard Ockdell! O lepszym kandydacie nie było nawet co marzyć!

Udowodnić Richard nic nie zdoła, dowody – oto tu są. To, co w przypadku Colignarów czy Manrików uszłoby za psikus, w przypadku Ockdella wyrośnie na rokosz, Jego Świątobliwość już jesienią dawał do zrozumienia, że wolałby uniknąć przedstawienia syna Egmonta na dworze, a jeśli się tego uniknąć nie uda, to chce go przynajmniej widzieć wśród ostatnich na liście. Kardynał będzie zadowolony i o występkach Aramony nikt nie będzie pamiętał.

Kapitan niemal ucieszył się z wydarzeń, ale nagle wpakowały się do zabawy te górskie niedźwiedzie, a potem i inni! Najgorsze było to, że zarówno Katerschwanzowie, jak i Alberto i Paolo byli z rodzin „potrzebnych”, za spór, z którymi nikt Aramony nie pochwali. Co robić – nie wiadomo. Czy wypuścić wszystkich i udać, że nic się nie stało, czy upierać się przy swoim, twierdząc, że Suza-Muza to Richard Ockdell? Ostrożność podpowiadała pierwsze, duma – drugie.

Powalony rozterkami Aramona upił się.

Siedział w swoim pokoju, żuł ociekające tłuszczem smażone kielbaski i popijał mocnym winem. Jeszcze wiedział, na jakim świecie się znajduje, i nawet (gdyby bardzo było trzeba) mógłby się podnieść, ale tinta [\[74\] zrobiła swoje – przed północą morze sięgało Aramonie do kolan albo najwyżej do pasa, nikogo i niczego już się nie bał. Dlatego gdy ktoś zastukał do drzwi, kapitan huknął kubkiem o stół i polecił niewywanemu gościowi zabierać się do wszystkich brudnych wieprzy. Nieznany jednak gość zinterpretował to po swojemu, drzwi otworzyły się, na progu pojawił się ojciec German w zachlapanych błotem butach do konnej jazdy i mokrej pelerynie.](#)

Rzuciwszy rękawice i palcat na stół, ollarianin skrzyżował ręce na piersi i uważnie przyjrzał się Aramonie. Gdyby kapitan nie był w tym stanie, pod wzrokiem kapłana zaczęłyby pleść jakieś bzdury, ale Arnold był pijany i dlatego ryknął:

–Czego potrzeba?!

–Pan jest pijany, kapitanie – twardo rzekł kleryk. – I to pijany jak świnia. Teraz nic pan nie zrozumie, porozmawiamy jutro. – Ollarianin chwycił rękawiczki i już zamierzał wyjść, gdy Aramona, którego nagle ogarnęła chęć rozmowy, odezwał się:

–Tak – powiedział. – Jestem, hik! Pijany... Ale mam do tego, hik... powody. – Kapitan jeszcze raz huknął kubkiem o blat. – To bydlę... Suza-Muza... dokonał zamachu, hik! na mój honor!

–Na pański honor? – Kleryk uśmiechnął się subtelnie. – Wcale pan nie przypomina damy, zwłaszcza takiej, co to by wywołała pożądanie hrabiego.

–Na Pociętego Smoka! – ryknął Aramona. – Pan z byka spadł, czy co? Ta gadzina ukradła moje, hik! moją szpadę i moje, hik, spodnie. I powiesił je, hik. W jadalni!

–Czyli na różnie się nie skończyło? – pokiwał głową duchowny. – Tak też przewidywałem... Czyli świętuje pan połączenie ze swoimi wielce szanownymi pantalonami? Nie będę przeszkadzał.

–Żmija – z wyrzutem powiedział Aramona, w duszy, którego złość zmieniła się na litość do swojej osoby. – Żmija z całą pewnością. Nikt mnie nie rozumie... Tylko każdy usiłuje wydrwić... A ta szóstka, żeby ich... Tak dobrze, hik, było. Schwyciłem tego, hik, synka... I Jego Wysoko... świątobliwość też chciał... A tu ci... sześciu... Przecież kłamią. Wszyscy mi tu kłamią... A Suza-Muza... I marszałek, hik! Też... Przy wszystkich... Nikt mnie...

–Proszę przestać jęczeć i iść spać.

–Nie mogę – zaskakująco twardym głosem oświadczył kapitan i chytrze popatrzył na Germana: – Ja, hik! jestem na służbie. Mam sześciu aresztowanych rokoszan. Muszę urządzić, hik-kh! przesłuchanie. – Kapitan usiłował się podnieść, ale jego tyłek nie raczył oderwać się od krzesła. – No to... hikkh!... niech ich przyprowadzą do mnie. Są w Starej Galerii.

–W Starej Galerii?! – Ironia i obojętność błyskawicznie zniknęły z oblicza duchownego. – Zwariował pan?! Osioł! Kogo tam pan zamknął?

–Nie jestem pańskim osłem – uniósł tłusty palec Aramona. – Jestem... hik! Kapitanem gwardii królewskiej! A zamknąłem tam przestępców! Tego tam, syna Egmonta, zamknąłem tych, jak ich tam...

Ale ojciec German już nie słuchał. Kapłan jak oparzony wypadł z gabinetu Aramony, tylko drzwi trzasnęły. Arnold przez jakiś czas tępo gapił się w ślad za swym gościem, potem zaklął imieniem Obcego z jego potworami i już sięgnął po kubek, ale rozmyślił się, tępo zamrugał i zwałił się głową na stół, szczęśliwie omijając patelnię z ocalałą samotną kiełbaską. Rozległo się ogłuszające chrapanie.

Unarowie jeszcze takiego ojca Germana nie widzieli. Nie dość, że duchowny był może i w czarnym, ale kompletnie świeckim ubraniu, to na dodatek był blady jak kreda.

–Co tu się działo? – Oczy ollarianina spoczęły na Paolo. – Coście widzieli?

–Nic – odważnie skłamał Kenallijczyk, starannie zasłaniając resztki uczyty i z lekka podchmielonego Dicka. – Kompletnie nic.

–Nic? – Na twarzy kleryka niedowierzanie walczyło z ulgą.

–Nie, tu jest wielkie spokojnie – powiedział Norbert – tylko wystarczająco zimno.

–W żadnym wypadku nie macie tu nic do roboty. – Ojciec German uniósł wyżej świecę, ale żalosny żółty płomyczek nie był w stanie rozwiać wiekowego mroku. – Teraz udacie się do swoich pokoi. Rano z wami porozmawiam. Ze wszystkimi po kolei. Idziemy.

Kapłan szedł pierwszy. Zamykający pochód Paolo, rozejrzawszy się na boki, zdołał wsunąć pustawy worek w paszczę kominka – ojciec German tego nie zauważył. Duchowny osobiście rozprowadził chłopców po pokojach i odszedł; Richard słyszał, jak w zamku obrócił się klucz. Młodzieniec trochę postał na środku pokoju, potem usiadł na brzegu łóżka. W głowie mu szumiało, ale spać mu się nie chciało. Dziwne, w Galerii niemal nie marzył, a teraz cały dygotał.

Przypomniawszy sobie, co opowiadał komendant nadorskiego zamku, kapitan Rut, Dick pośpiesznie posłał łóżko, rozebrał się, cisnął przesiąkniętą wilgocią Galerii ubranie na krzesło i nagi owinął wełnianym kocem. Weteran miał rację, drżenie powoli ustąpiło.

Która teraz może być godzina? Do świtu daleko, to pewne. Gdyby niebo było bezchmurne, Dick dowiedziałaby się tego z gwiazd, ale ich nie było. Ani jednej.

Czyżby ojciec stał się jednym z widm Laik? Uczył się tu, zgoda, ale dusza Egmonta Ockdella należy do Nadoru, powinien wrócić do domu, a nie tutaj, do tego koszmarne klasztoru z jego zębem i złością. Dlaczego ojciec go nie usłyszał? I kim są ci dworzanie, którzy szli przed nim? Jak on sam się tam znalazł?

Ten, kto spotka swój cień, umrze, ale Dick dopiero teraz przypomniał sobie, co widział, a i to z niepojętą obojętnością. W myślach dominował książę Egmont Ockdell. Dlaczego tylko on widział ojca? Norbert z Johannem przysięgają, że ostatni rycerz miał na sobie fioletową pelerynę książąt Neumarinen, Arnoud widział

purpurową szatę, a Alberto i Paolo w ogóle widzieli tylko mnichów.

W bajkach widma rozmawiają z krewnymi – proszą spełnić przysięgę albo pomścić – ale Egmont Ockdell nie zauważył syna. Nie zauważył, nie usłyszał, nie obejrzał się. Gdy Dick dowiedział się o śmierci ojca, udało mu się nie rozplakać. Może dlatego, że obok byli ludzie, dla których od tej chwili to on stawał się księciem Ockdell, a Ockdellowie nie płaczą. Matka nie wybaczyłaby mu słabości, więc wytrzymał, ale dziś Dick był sam i nie opuściło go jeszcze poczucie, że jest czemuś winien, że coś zrobił nie tak, nie rozumiał, nie potrafił...

Przeklęte łzy, nie licząc się z rodzinną dumą, usiłowały wypłynąć. Dick wczepił się zębami w poduszkę. Nie będzie ryczał. Nie będzie i koniec! Ockdellowie nie płaczą. Należy myśleć o czymś przyjemnym, o dniu, kiedy wróci do domu, zobaczy matkę, siostry, Ruta z jego nieodłączną tabakierką, starą Nan, rude ockdellowskie gończe...

–Richardzie, śpisz?

–Paolo?!

–Nie masz nic przeciwko?

Przeciwko? Wręcz przeciwnie! Paolo okazał się porządnym chłopakiem i ta noc... Czy nigdy się nie skończy?

–Cieszę się, wchodź, siadaj.

–Nie mam czasu, muszę pilnie wyjechać, ale muszę ci coś powiedzieć. To jest stare. Bardzo stare, ale należy do ciebie.

–Wyjeżdżasz? – Dickon nic nie zrozumiał. – Z kim? Dokąd?

–Tak wyszło – uśmiechnął się Kenallijczyk. – Zapamiętaj: *Jest ich czterech. Zawsze czterech. Na wieki czterech, ale serce winno być jedno. Serce Zwierza, patrzącego w Zmierzch.*

–Kogo?

–Nie trzeba niczego wyjaśniać. – Obok Paolo w drzwiach stanął ojciec German, ciągle w tym samym czarnym ubraniu.

–Rej Kaljawera, czas na nas. Proszę za mną.

Kenallijczyk szybko zerknął na Dicka – chciał coś powiedzieć, ale ollarianin nie dał mu możliwości. Pod nieruchomym spojrzeniem kapłana Paolo pochylił w pożegnaniu głowę i wyszedł. Kleryk ruszył za nim, ale na progu się obejrzał.

–Najlepiej, tanie Ockdellu, jeśli położy się pan spać i o wszystkim zapomni. Nic nie widzieliście, nic nie słyszeliście, nic nie wiecie! I bądźcie, na imiona Czterech, bądźcie ostrożni. Żegnaj. Postarajcie się zrozumieć, że nie ma nic cichszego od krzyku i bardziej mglistego od oczywistego. Jeśli to jakoś pojdziesz, to może uda ci się uratować cokolwiek. Albo uratować siebie.

Drzwi zamknęły się i nastąpiła cisza, zwyczajna cisza nocnego domu ze skrzypieniem, szmerem gałęzi za oknem, jakimiś stukami i szelestami. Dickon położył się, ale nie dlatego, że tak mu kazano, ale dlatego, że nagle ogarnęło go zmęczenie. Młodzieniec leżał i patrzył na płonąca świecę, póki ta nie zgasła i Dick znalazł się w kompletnych ciemnościach, może nawet bardziej nieprzeniknionych niż te w Starej Galerii.

Nie, to być nie może, po prostu długo patrzył w ogień, a ten zgasł. Zaraz przywyknie do ciemności i wszystko będzie w porządku. Dick odwrócił głowę w stronę niewidocznego okna i w tej samej chwili noc przeciął złocisty błysk. Gwiazda! Jedna, jedyna. Richard usiłował sobie przypomnieć, co za gwiazdozbiory zaglądają do jego okna w tym czasie, ale myśli plątały się, a gwiazda ruszyła i pomknęła w dół najpierw szybko, potem coraz wolniej, stopniowo stając się podobna do zerwanego przez wiatr złotego klonowego liścia, wirującego w swoim pierwszym i ostatnim locie. Liść krążył i krążył, stając się ze złotego purpurowym, a potem zapłonął. Dziwny ogieniek, zbyt czerwony jak na zwykły płomień... Płomień? Nie, serce! Serce ociekające krwią.

Purpurowe świecące krople spływały w dół po aksamicie nocy i topniały, a serce jakby topiło się, stawało przezroczystym, aż w końcu został po nim tylko mały biały punkt, ostry i zimny, który rozsypał się na setki i tysiące swoich sióstr, podchwyconych przez wiatr i niesionych w dziwnym tańcu ku chwale wielkiej zimy. Śnieżynek było coraz więcej, połyskująca pamięć wyciemniła przerażający mrok, pustkę, rozpacz, wyciemniła wszystko. Przez zamieć na spotkanie białego wiatru poderwał się i zaraz zniknął czarny cień. Ptak? Nie widać...

Poranek zaczął się od wizyty służącego. Jedna „mysz” otworzyła drzwi, druga przyniosła tacę ze śniadaniem i powiedziała, że dziś zajęć nie ma; słudzy odeszli, nie zapomniawszy zamknąć drzwi. Dick z obrzydzeniem popatrzył na ugotowaną na wodzie owsiankę i kawałek czerstwego chleba. Głowa mu pękała, młodzieńca zemdliłoby na widok najlepszego na świecie jedzenia, a co dopiero na widok Aramonowego żarcia, ale najgorsze było, co innego – sen i jawa ostatecznie splątały się w jego głowie. Teraz Dick już nic nie rozumiał. Co mu usiłował powiedzieć Paolo? Czego od niego chciał kapłan? Dlaczego nazwał go tanem, a Kenallijczyka rejem? Tak, więc, po co i dokąd odjechali, kiedy wrócą i czy wrócą?

Tak czy owak, trzeba było wziąć się w garść i podnieść; brakowało tylko, żeby Aramona przyłapał go nieubranego i zmieszanego. Dick, starając się możliwie mało ruszać głową, jakoś doprowadził się do porządku, przełknął kilka łyżek obrzydliwej brei i zaczął czekać. Czekał długo, ale nikt nie przyszedł – widocznie dowództwo miało inne sprawy na głowie, a unarowie, jak i on sam, siedzieli zamknięci. Wypuszczono ich dopiero na obiad. Siadając pod uważnym spojrzeniem „myszy” przy wspólnym stole, Dick przyglądał się kolegom – wszyscy wyglądali nie najlepiej.

Nie chcieli rozmawiać przy służbie i młodzieniec, wpatrzywszy się w pusty hak, usiłował zrozumieć, co się zmieniło. Coś było nie tak, czuł to, ale co właściwie? Zegar irytyjąco tykał, odliczając minuty, ale ani pan kapitan, ani ojciec German nie pojawiali się. Z trzech młodszych mentorów żaden nie odważył się zarządzić jedzenia i wszyscy w milczeniu siedzieli nad pustymi talerzami. Minęło około godziny, w końcu rozległy się kroki i do sali wpadł Świn, blady i opuchnięty, jak zawsze po spędzonej w towarzystwie tinty albo piołunówki nocy. To, że Aramona wczoraj się upił, było całkiem naturalne.

Przemaszerowawszy na swoje miejsce, dowództwo rozwaliło się w fotelu i chwyciło za serwetkę, ale rozmyśliło się i wstało. To było nie tylko głupie, ale i haniebne, mimo to serce Dicka zaczęło rozpaczliwie łomotać.

–Panowie unarowie. – Aramona ochryple odkaszlnął, a ten szczekliwy dźwięk odezwał się w duszy Dicka wczorajszym koszmarem. Młodzieniec znowu zobaczył siebie stojącego na środku ogromnej sali. Oskarżono go o to, czego nie zrobił, a on tonął w morzu kłamstwa i samotności. – Panowie unarowie! Ojciec German wczoraj w nocy odjechał w ważnych sprawach, dlatego odwołana jest dzisiejsza wspólna modlitwa. Przed jedzeniem każdy odmówi modlitwę w duchu, tak jak się to czyni w czasie działań bojowych. Teraz mam dla was trzy nowiny. Po pierwsze, historia z tak zwanym hrabią z Putelli szczęśliwie zakończyła się; po drugie, za trzy tygodnie otrzymacie przepustkę i prawo do wyjścia poza Laik; po trzecie, unar Paolo musiał nas opuścić. Dziś zajęć nie będzie, ale jutro w Laik wszystko będzie się toczyło po

staremu. A teraz – modlić się i jeść obiad! Jok, podawać!

Teraz Dick zrozumiał, co go niepokoiło – kątem oka zobaczył puste miejsce przy stole, ale głowę miał zajętą, czym innym i zapomniał o wyjeździe Kenallijczyka. Szkoda, że Paolo został wywieziony – mogliby zostać przyjaciółmi... Czyżby to jego oskarżono o bycie Suzą-Muzą? Nie, raczej nie. Aramona by się wygadał. Prawdziwy Suza-Muza przyniósł im kolację do Galerii, obiecał „sprawić przyjemność” kapitanowi i „pożegnać się”. Należy przypuszczać, że słowa dotrzymał.

Dick grzebał w rozgotowanym grochu, gdzie, czy to z powodu niedopatrzenia kucharza, czy to Aramony, w obfitości wielkiej trafiały się zazwyczaj nieobecne włókna mięsa, i myślał. Ollarianin wywiózł Paolo i sam odjechał, a przed wyjazdem poradził Dickowi być ostrożnym. Co miał na myśli? Dick życzył sobie, by czarny kapłan wrócił możliwie szybko, może coś wie o widmach.

„Myszy” wyniosły resztki grochu i, dziw nad dziwy, przyniosły pierożki z rodzynkami, z czego można było wnioskować, że Aramona urządził unarom ucztę. Niby dlaczego?

–Panie kapitanie. – Oczywiście, to musiał być Arnoud. – Proszę o pozwolenie zadania pytania.

–Zezwalam. – Albo Dickowi się wydawało, albo w głosie Aramony słyhać było niepewność.

–Panie kapitanie, kiedy wróci ojciec German?

–Powinien wrócić przed wieczorem – odburknął kaptan, zdejmując serwetkę. – Do kolacji wszyscy macie wolne.

Przed wieczorem kapłan nie wrócił. Nie wrócił w ogóle. Po tygodniu w Laik pojawił się inny kleryk, ojciec Ionas. Starszawy, przygarbiony i łysy, w niczym nie przypominał wysublimowanego ojca Germana. Znowu zaczęły się msze, zajęcia, spowiedzi, tylko liczba unarów zmniejszyła się o jednego.

Dwudziestu jeden – pechowa liczba, zły omen. Paolo był dwudziesty pierwszy, po jego wyjeździe wszystko powinno było pójść lepiej. Na pierwszy rzut oka może tak i było. Suza-Muza nie dawał oznak życia, ale i Aramona niemal przestał się czepiać i coraz częściej radował wszystkich swą nieobecnością. Sądząc po wymiętej fizys kapitana, przedkładał on ponad towarzystwo unarów kompanię butelek, z czego wychowankowie szczerze się cieszyli. Esteban i jego przyjaciele też się uspokoili, może dlatego, że piątka pretendentów do roli Suzy-Muzy starała się trzymać razem.

Richard fechtował, kuł kłamiwą historię i heretyckie modlitwy, rozmawiał z Katerschwanzami, sprzeczał się z Arnoudem, kłócił się i godził z Alberto i liczył dni

do wolności. O Starej Galerii i nocnej rozmowie młodzian starał się nie myśleć. Życie płynęło dalej i większa jego część była przed nimi.

Rozdział 7

Agaris

„Le Six des Épées” [75]

1

Pomysł wizyty u astrologa wpadł do głowy Aldo w „Wielkim kurczaku”, a następcą Rakanów był z tych, co nie odkładają do jutra tego, co sobie wbili do głowy dziś. Gdyby na wizytę u liczygwiazdy namawiali go jacyś tam hogberdowie, księżę dotarłby do celu gdzieś po pięciu latach. Dziś natomiast Aldo, złożwszy w ofierze wino i milutką pokojóweczkę, pociągnął Robera do „Mądrego Domeciosa”, którego zachlapany gwiazdami szylid wisiał naprzeciwko drzwi oberży.

Sam „mądry Domecius” – długi, niezgrabny mężczyzna w średnim wieku, przypominający pozbawiony puszku dmuchawiec, na widok świetnych gości poderwał się, omal nie wywróciwszy filiżanki z shaddi. [76]

Aldo nie krążył i nie owijał w bawełnę, a od razu cisnął na stół pięć złotych monet.

–Potrzebuję horoskopu.

–Wedle życzenia Jego Wysokości.

–Znasz mnie?

–Byłoby dziwne, gdybym mieszkając w Agarisie, nie znał Aldo Rakana, ale potrzebuję dokładnej daty urodzin Jego Wysokości i czasu jego pierwszego okrzyku, jak również dokładnej daty i czasu dwóch wydarzeń, które Jego Wysokość uważa za ważne.

–Urodziłem się pół godziny przed północą dwudziestego trzeciego dnia Wiosennych Fal 374 roku. A wydarzenia... – Aldo nachmurzył się i poruszył wargami, coś podliczając. – Noc z pierwszego na drugi dzień Jesiennych Fal minionego roku i wieczór czternastego dnia Zimowych Wiatrów tego roku.

–Natychmiast zabieram się do sporządzenia natalnego horoskopu – zapewnił go liczygwiazda. – Ale już teraz mogę powiedzieć, że dwa wspomniane wydarzenia przeczą jedno drugiemu, ponieważ znajdują się dokładnie w kwadraturze, słońce w tym czasie odbywa...

Co to „kwadratura”, Rober nie wiedział i sądząc po zmarkotniałej minie Algo, uświadomił sobie, że przyjaciel podziela jego ignorancję. Zresztą suzeren nie wyróżniał się cierpliwością:

–Kiedy wszystko będzie gotowe? – przerwał rozpędzającemu się astrologowi ksiązę.

–Odłożę wszystkie sprawy i mam nadzieję wykonać wszystkie obliczenia w ciągu czterech dni.

–Jak cztery to cztery – skinął głową ksiązę, kierując się do wyjścia. Rober ruszył za nim, ale na progu Aldo odwrócił się. – Mój drogi, jeśli ktoś cię zapyta o naszą wizytę, to odpowiadaj, że pytałem o horoskopy pięciu ludzi, ale wszyscy już nie żyją.

–To by było wspaniale! – powiedział z mocą astrolog.

–Wspaniale? – nie zrozumiał Aldo.

–Kiedy człowiek umiera, jego wola przestaje wpływać na los, a dokładna data śmierci przy nieznaney dacie urodzin pozwala ze wszystkich wariantów okazanych przy urodzeniu wyliczyć te, które się nie zmarnowały. Kiedy i gdzie urodzili się ci ludzie i kiedy zmarli?

–A po co ci to?

–Jeśli zaczną mnie wypytywać, zapytają zapewne i o to. Oczywiście mogę przemilczeć albo skłamać, ale najlepszym kłamstwem jest na czas wypowiedziana prawda.

–No, cztery osoby umarły jednego dnia w Ollarii. Trzeciego dnia Jesiennego Wiatru 399 roku kręgu Błyskawic, a piąta tu, w Agarisie. Chyba na początku Letnich Błyskawic 31 roku naszego kręgu, ale kiedy kto się urodził, naprawdę nie pamiętam...

–Przypomniałem sobie tę datę. – Domecius promieniował zadowoleniem. – Czy mam rację, sądząc, że Jego Wysokość ma na myśli swojego przodka króla Ernaniego, jego małżonkę, jego zabójcę i zabójcę jego zabójcy? I kto w takim razie jest tym piątym?

–Marszałek Pridd. Zdrajca wykończył go, zanim zabił monarchę.

–Horoskopy uczestników tej tragedii były układane i interpretowane niejednokrotnie. Odwołam się do prac najgodniejszych moich poprzedników. – Domecius znacząco popatrzył na Aldo, jakby czekając, że ten coś powie. – Oczekuję Jego Wysokości za cztery dni.

–Pamiętam – zapewnił go książę, ale Rober wcale nie był pewien, czy do wyznaczonego terminu jego towarzysz nie zapomni całkiem o swoim pomysle.

A spotkania z Enniolem dały efekt, Aldo zaczął zacierać ślady. Ciekawe, po co doczepił dziś nieżyjącego przodka.

**–Aldo – okrzyk przyjaciela oderwał księcia od wpatrywania się w milutką kwiaciarke
– dlaczego nagle dziś przypomniałeś sobie o Ernanim?**

–Sam nie wiem – uczciwie przyznał książę. – Po prostu przyszedł mi do głowy. Po pijaństwie u Enniola co rusz go wspominam.

Gdyby nie Mupa, Matyldzie do głowy by nie przyszło się budzić, ale dajta, ku przerażeniu jedynej cameristy księżnej wdowy śpiąca na pościeli, zaczęła się ruszać. Matylda przez sen odsunęła psi pysk i okryła się po czubek głowy, ale Mupa nie ustawała. Matylda zaklęła półgłosem, napomykając coś o Władcy Kotów, i ziewając, usiadła. Był środek nocy, wiatr za oknem kiwał latarnią, po ścianach i suficie pląsały dziwaczne cienie. Księżna zaklęła raz jeszcze i z wyrzutem popatrzyła na dajtę.

–Zwariowałaś? Masz przynajmniej pojęcie, która godzina?

Mupa wtulała nos w dłoń pani, potem zeskoczyła na podłogę, wolno, krok po kroku podkraśniała się do drzwi prowadzących do garderoby i zamarła w stójce. Matylda cicho gwizdnęła i chwyciła leżący na nocnym stoliku pistolet. Miły zwyczaj sypiania z pistoletem powstał jakieś trzydzieści lat temu, kiedy pewien oszalały z miłości Moryjczyk porwał małżonkę Anestiego Rakana. Matyldzie udało się uwolnić i uciec z gotowego do odpłynięcia okrętu, ogłuszając pilnującego jej eunucha dzbanem z wodą do mycia. Rok później odrzucony shad [\[77\] przysłał Matyldzie parę wspaniałych pistoletów.](#)

Aldo często żartował, że babcia żałuje swojej ówczesnej odwagi, i nie był wcale bardzo daleki od prawdy. Księżna, co wieczór przeładowywała inkrustowane macicą perłową i srebrem pistolety, zajmujące w jej sercu trzecie, po wnuku i dajcie, miejsce. I oto się przydały. Czcigodna wdowa wyszła z łóżka i tak jak stała, w nocnej koszuli, dołączyła do Mupy. Pies nie pomylił się – w garderobie naprawdę ktoś był.

Matylda była kobietą odważną, nie przyszło jej nawet do głowy wołać o pomoc. Szarpnąwszy, otworzyła drzwi i ryknęła:

–Kto tu?

Zamigotała i zgasła nocna latarnia, dał się słyszeć cichy szelest i wszystko umilkło. Wdowa pokręciła głową, wpatrując się w mrok i przeklinając samą siebie, że nie zapaliła świecy. Mupa stała obok pani i głucho warczała. Bose stopy księżnej zaczęły marznąć – złodziej wlaźł przez okno i nie raczył go zamknąć.

Z prawej coś stuknęło – złoczyńca albo postanowił zaatakować, albo przebiec obok Matyldy w kierunku okna, ale kobieta nie dała mu takiej możliwości. Zagrzmiął wystrzał, rozległ się urwany okrzyk, na podłogę zważyło się coś ciężkiego i miękkiego.

Księżna cisnęła rozładowany pistolet, przełożyła drugi do prawej ręki i wsłuchała się – było cicho.

–Mupa – rozkazała Matylda – biegnij! Szukaj.

Suka zniknęła między wypełniającymi pokój szafami, skrzyniami i parawanami, rozległ się cichy skowyt przechodzący w krótkie wycie.

–Na Pociętego Smoka! – mruknęła kobieta. – Trafiłam, żeby tak twoją kawalerię!

–Moja erea! Żywa?

–Jak widzisz. – Matylda wcisnęła świecę w dłoń cameristey. – Skoro przyszłaś, to poświecisz.

–Dokąd? – tamta nie zrozumiała słów pani. – Co?

–Twoją kawalerię! Złodziej był. W manelarni. Postrzeliłam go. Chyba...

Pokojówka nabrała powietrza do płuc, żeby zacząć wrzeszczeć, ale Matylda, znająca Pacettę od czterdziestu lat, spoliczkowała ją. To pomogło – camerista zacisnęła z urazą usta i ruszyła za panią.

Najpierw zobaczyły strumyczek – ciemny i błyszczący, wypływał zza przedziurawionego parawanu z pawiami, spod dolnej krawędzi wystawała niezręcznie wykręcona noga w bucie bez obcasa. Pacetta zachrząkała i zasłoniła usta dłonią. Księżna odebrała służącej świecę.

–Zawołaj Aldo i Franco. Niech skoczą po strażę.

–Erea...

–Kompletnie nie ma z ciebie pożytku.

Pokojówka wybiegła, a Matylda, podkasawszy koszulę, zajrzała za parawan. Nocny gość spokojnie leżał na podłodze twarzą do dołu – pocisk oderwał mu połowę czaszki, tak więc był martwy ostatecznie i bezpowrotnie. Był to niewysoki szczupły mężczyzna w szarym ubraniu. Liny, wiązki kluczy, jakieś metalowe drobiazgi i worek nie pozostawiały wątpliwości co do rodzaju jego zajęć. Złodziej. Fuj! Też sobie znalazł miejsce na kradzież! O ile w salonie i jadalni ocalały jakie takie skarby, to stara garderoba dawno zmieniła się w skład najprzeróżniejszych maneli.

Matylda podniosła worek, w którym znajdowało się coś twardego, i wytrząsnęła to na podłogę. Łup był, delikatnie mówiąc, skromny. Złodziej skusił się na starą szkatułkę z królewskimi herbami. Kiedyś rzeczywiście przechowywano w niej skarby, ale Rakanowie przez czterysta lat sprzedali niemal wszystko, co udało im się zabrać podczas ucieczki, wpasowane w pokrywę lustro rozbiło się i rozeschnięta relikwia dożywała swego wieku pośród podobnego jej chlamu.

Trzasnęły drzwi, wpadł Aldo i wpił się wzrokiem w trupa.

-Kto to?

-Złodziej – poinformowała go babcia. – I to głupek, który nie wiedział, gdzie się pakować.

-Zawołać strażników?

-Franco po nich skoczy. – Wdowa pogłaskała Mupę. – Odwróć go, co?

Wnuk bez zbędnych pytań wykonał prośbę, chociaż jego oblicze pozieleniało z lekka. Młodość... Księżna uważnie przyjrzała się złodziejowi. Twarz z ostrymi rysami, blada, była jej kompletnie nieznana.

-Matyldo – Aldo rozejrzał się, szukając, o co można by wytrzeć ręce, i wybrał babciną koszulę. – Ja go chyba widziałem.

-Co ty robisz, paskudo!

-I tak masz cały dół we krwi.

-Patrzcie go, jaki mądry. – Księżna wdowa pochyliła się, przyjrzała swojej koszuli. Rzeczywiście... – Widziałeś, powiadasz? Gdzie? Kiedy?

-Gdzie, nie powiem, ale niedawno. Chyba w pobliżu domu.

-Przygotowywał się – uznała babcia. – Dobra, chodźmy, wypijemy po kieliszku, i tak noc już zmarnowana.

-A zdążył coś ukraść?

-Nie, chyba, że tę trumienkę. – Matylda wskazała walającą się na podłodze szkatułkę.

-A dlaczego ja tego nie pamiętam? – Aldo przykucnął, przyglądając się przedmiotowi, który skusił złodzieja. – Jak myślisz, ile to ma lat?

-Leworęki wie! Dużo.

-Matyldo!

-Hę?

-Oddaj mi ją.

-Będziesz się bawił w antykwariusza?

–Oddaj, chyba mi nie żałujesz?

–A bierz – machnęła ręką babcia. – No dobra, masz zamiar siedzieć tu całą noc?

–Idę już. Jaka ciężka! – Aldo chwycił wygodniej szkatułkę i powlókł się za Matyldą.

–No bo mówię – trumna! – zgodziła się księżna wdowa, nalewając wina do kielichów, ale nie dane im było wypić.

Rozległ się hałas i dzwonięcie, do pokoju wpadli prowadzeni przez Pacettę i Franko strażnicy i znieruchomieli, widząc dumną damę w zachlapanej krwią nocnej koszuli z pełnym kielichem w dłoni.

–Proszę o wybaczenie. – Dama odstawiła kielich i naciągnęła na siebie jakąś pelerynę. – Nieboszczyk bawi w garderobie.

–Pani – oficer z całej siły usiłował zachować spokój – przeżyłaś wielki wstrząs.

–Brednie, młody człowieku. Nikt mną nie wstrząsnął. Obudził mnie pies, wzięłam pistolety i poszłam popatrzeć. W pokoju ktoś był...

–I strzeliła pani?

–Oczywiście – z godnością odparła księżna wdowa. – Jestem w tym wieku, że od mężczyzny w sypialni nie oczekuję niczego dobrego.

Rober Epineix dokładnie pamiętał, że nie zamawiał żadnego wina, ale mógł to uczynić Aldo. W każdym razie zdobyć w Agarisie dobre kenallijskie było dużym sukcesem i Inochodziec kazał słudze wpuścić pomocnika franimskiego [\[78\]](#) handlarza, który tuż przed nocą przyniósł próbki.

Franimczyk był malutki, wydawało się, że obszyty żaglowym płótnem kosz złamie go na pół i Rober, sam nie wiedząc dlaczego, pochwycił ciężar i ustawił na stole.

–Dziękuję przezacnemu. – Dobiegający spod kapelusza głos, niski, piersiowy, wprawił Inochodźca w osłupienie, a handlarz pośpiesznie zdarł z głowy koszmary kapelusz i nieśmiało się uśmiechnął. Przed Roberem stała miedzianowłosa Goganni, o której Taligojczyk z całych sił starał się nie pamiętać.

–Niech przezacny wybaczy mi oszustwo i wysłucha mnie.

Jakże ona pięknie się rumieni. Zorza na śniegu, nic innego nie da się powiedzieć...

–Pani, jestem szczęśliwy, że cię widzę. – No i masz, czasem uprzejme zwroty nie są kłamstwem. – Ale wydaje mi się, że śnię. Pani tutaj, w męskim odzieniu, sama... Coś się stało? Słyszałem, że chorowałaś.

–Jestem zdrowa – pokręciła głową Goganni. – Ale szpony fatum wiszą nad nami wszystkimi. Córka mojego ojca nie może powierzyć tego, co wie, żadnemu z prawnuków Kabiochowych i prosi przezacnego, by ją wysłuchał.

–Jestem do usług pięknej Mellit.

–Przezacny naigrywa się z nieszczęsnego brzydactwa...

–Pani – Rober omal nie stracił daru mowy – klnę się na Honor, nie spotykałem dziewczęcia piękniejszego od pani.

–Przezacny żartuje. Przezacny widział moje siostry, opatrzone pieczęcią prawdziwej urody, a ja w porównaniu z nimi...

–Niczym łania w porównaniu ze świniami – przerwał dziewczynie Epineix. – O ile, pani, siostry przez miesiąc nie jadłyby, to nie przeczę, stałyby się bardzo urodziwe, ale żadna nie wytrzymuje porównania z panią.

–Przezacny nie kłamie – powiedziała cicho Mellit – ale moje serce nie wierzy, a moje oczy widzą żalostną muszkę, a nie wspaniałego motyla.

–A moje widzą konwalie – Inochodziec błysnął oczami – i niech tu stanie ktoś, kto

się ze mną nie zgodzi!

–Miła mi jest ta rozmowa, ale zhańbiłam noc Flocha w innym celu. Czy może przezacny wysłuchać niegodnej?

–Będę szczęśliwy. Ale proszę, pani, usiądź. Niestety, nie oczekiwałem gości, ale to można naprawić. Jesteś, pani, głodna?

–Przezacny nie powinien wzywać sług. Szlachcic nie będzie jadł kolacji z mizernym handlarzem, a niegodna przyszła porozmawiać o sekretnych sprawach.

–Proszę mi wybaczyć, pani, straciłem głowę na pani widok. Zgoda, zachowuję się głupio, ale co robić, skoro Mellit jest tak piękna.

–Franski młodzieniec przyniósł na sprzedaż wino. Najlepsze gatunki Kamporaises i Garignente. – Dziewczyna otworzyła kosz i jedną po drugiej wyciągnęła pół tuzina zakurzonych butelek. – Trzy gatunki „krwi” [\[79\] – Czerwona, Ciemna i Czarna i trzy „łyzy” – Wdowia, Dziewicza i Zła! Przezacny będzie kosztował, a niegodna mówiła.](#)

–To są wina bezcenne. – O tym, że w rączkach Mellit nawet piwo z Torki wydawałoby mu się „Czarną krwią”, Epineix przemilczał.

–Ceny nie ma tylko miłość, wszystko pozostałe można kupić i można sprzedać.

–Pozwolisz, pani, że i tobie naleję.

–Dzieci Gocha nie piją wina, ale niegodna będzie wdzięczna, jeśli dostanie wody.

Epineix jak we śnie chwycił kryształowy dzban, błogosławiąc w duchu właściciela gospody. Goganni z wdzięcznością przyjęła szklanekę i lekko zmarszczyła gęste brwi, namyślając się, od czego zacząć. Przebrana za franskiego handlarza, wydawała się hrabiemu jeszcze piękniejsza niż w ojcowym domu, co przeszkadzało mu skoncentrować się na rozmowie.

–Przezacny wybaczy mi – zaczęła dziewczyna, ale Taligojczyk przerwał jej zdecydowanie.

–Pani, będę bardzo wdzięczny, jeśli przestanie mnie pani nazywać przezacnym. Mam na imię Rober. Jeśli przyszedł do mnie, znaczy ufasz mi jak przyjacielowi, a do przyjaciół człowiek zwraca się po imieniu.

–Rober – posłusznie powtórzyła Goganni – ale prawnukowie Kabiochowi nie mogą znać pierwotnych imion.

–W takim razie rezygnuję z tego głupiego pierworództwa. – Rober uniósł kielich. –

Piję za to, żeby pani nazywała mnie Roberem i pozwoliła mówić do siebie Mellit.

–Ja... Ja pozwalam, ale w takim razie nie trzeba „pani”. To zły omen.

–No to precz z nim!

–Roberze – Goganni lekko zająknęła się – wszystko idzie źle, bardzo źle.

–Czyżby naprawdę wszystko?

–Niech przezacny... Roberze, nie przerywaj mi, i tak jest mi trudno. Muszę powiedzieć tak wiele i o tak wielu rzeczach, a czasu jest tak mało. Właściciel oberży...

–Właściciel oberży zrozumie, że kenallijskie wina należy próbować bez pośpiechu, żeby nie zabić drugiego smaku. Właściciel wie, że między poszczególnymi winami należy robić przerwy, żeby nie pomieszać wrażeń. Mellit, jeśli na czymś się znam, to na koniach i na winie. Dobrze to wymyśliłaś!

–Długo się zastanawiałam – cicho powiedziała dziewczyna – i rozumiałam, że powinnam znaleźć... ciebie, bo jesteś przyjacielem pierwszego z pierworodnych. W naszych domach są sekretne wyjścia, mamy też schowane cudze odzienia, przecież dzieci Gocha czasem muszą uciekać od okrutnych i występnych.

–A jak mnie znalazłaś?

–Wiedziałałam, dokąd mam iść – odpowiedziała, nic nie wyjaśniając, dziewczyna. – A w nocy Flocha prawnukowie Kabiocha nie opuszczają sypialni. Mogłam spokojnie sobie pójść. Roberze, proszę, pozwól mi powiedzieć...

Pozwolił i wysłuchał, nie przerywając, i nawet zrozumiał, co mówi, chociaż przypominało to majaczenie, straszne bajki, jakie w dzieciństwie serwował im sługa-ogrodnik. W nich tajemnicze piękności, wyssawszy życie i młodość z ufnych wędrowców, o świcie zmieniały się w bagienne pnie, królowie-ojcowie rozdawali na prawo i lewo jeszcze nienarodzone dzieci, a zabójcy i zabici stawali się widmami i całymi wiekami wlekli się jeden za drugim po zamkowych galeriach.

Wszyscy się bali, a Rober – nie. Chodził w nocy na cmentarz, mając nadzieję na okiełznanie cmentarnego rumaka, i kręcił się nad bezdennym stawem, czekając na pojawienie się topielic. Mając jedenaście lat, definitywnie przestał wierzyć w cuda i od tej pory nie wierzył ani w ślepego jeźdźca, ani w przekłętę pierścienie, ani w szczurzą królową, ani w dziki gon. I w to, co mówiła Mellit, Taligojczyk też nie wierzył, bo za bardzo nieprawdopodobnie to wyglądało.

Enniol sprawił, że jeśli Aldo złamie daną Goganom przysięgę, to albo umrze, albo

będzie skutą magicznym łańcuchem. Te pęta można zerwać, Mellit wie jak, ale w tej chwili książkę potrzebuje tarczy przed obcą magią. Istnieje ktoś obcy i zły, był z nimi podczas rozmowy z Clementem i usiłował czytać z krwi Rakanów, ale przeszkodziła mu Mellit. Mellit i Aldo są połączeni więzami krwi, a ona czuje skierowaną przeciwko niemu magię...

W głowie się kręciło. Jedyne, co Rober Epineix zrozumiał i co ostrym nożem chlasnęło jego duszę, to to, że Mellit kocha Aldo.

–Roberze...

Na Stwory Zmierzchu, co za oczy!

–Roberze, przysięgnij, że nic nie powiesz Aldo, ale bądź obok niego. Powinieneś strzec pierwszego z pierworodnych i powstrzymać go od pochopnych działań i właściwych młodości szaleństw.

Na Przeciętego Smoka, a kto mówi o szaleństwach młodości i komu! Inochodźcowi Epineix! Ależ przez całe życie prorokowano mu, że przez głupotę skręci sobie kark i nawet tego nie zauważy.

Inochodziec ucałował szczupłe palce.

–Klnę się, że będę bronił Aldo Rakana dla Taligoi i naszej przyjaźni.

–Aldo nie może wiedzieć o... o mnie!

–Nic mu nie powiem, ale już jest późno – pozwól, że cię odprowadzę.

–Nie – pokręciła głową dziewczyna – jestem ukryta przed cudzym wzrokiem, a oczy prawuków Kabiocha zwrócone są ku wieczności. Handlarza winem nie zauważą, ale mogą pójść za tobą. Nie obawiaj się o mnie. Strzeż Aldo.

Nie bać się? Łatwo powiedzieć! O kogo w takim razie ma się bać? Dziewczyna ma odważne serce, ale lód pod nią jest kruchy.

Epineix nie wierzył w przeczucia, ale patrząc na idącą przez plac malutką postać z ogromnym koszem, dygotał z obawy. Nie o siebie – o obcą, piękną dziewczynę, która rzuciła wyzwanie całemu światu z powodu miłości do obcokrajowca, który o niej niemal zapomniał. Rober wiedział jedno – gdyby Goganni tak wymawiała jego imię, wyrzekłby się wszystkiego – przodków, korony, wiary, obowiązków – i poszedłby z nią choćby na skraj świata, choćby za jego skraj. Z Mellit byłby szczęśliwy nawet w piekle, ale córka Gaimiola oddała serce jego przyjacielowi i suzerenowi, suzerenowi i przyjacielowi.

Mellit dawno wróciła do domu ojca, a Taligojczyk do rana stał przy oknie, ściskając w ręku pusty kielich, i myślał o rudowłosej Goganni i o tym, że po raz pierwszy w życiu on, Rober Epineix, zazdrości Aldo Rakanowi. Zazdrości przyjaźnie, gorzko i beznadziejnie.

Rozdział 8

Ollaria i Laik

„Le Dix des Bâtons” [80]

1

Psoтник, tupnąwszy kopytem o miękką wiosenną ziemię, radośnie zarżał, a Richard poczuł, że zaszczypało go w oczy. Niech tam, może deresz nie był najlepszym wierzchowcem świata pod księżycem, ale urodził się w Ockdell i poznał pana, poznał, choć go nie widział przez cztery miesiące. Młodzian ledwo powstrzymał się, by nie objąć ogiera; może by i objął, ale obok stał Esteban ze swoimi kolegami. Po co podkładać się pod kolejny niewybredny żart, który na długo zepsuje mu humor. Richard nie okazywał, jak go dotykają obraźliwe zagrywki „gnojarzy”, ale przeżywał je bardzo silnie.

Esteban z gracją wskoczył na siodło i wart dziesięciu Psoтников rudy linaryjczyk [81] zatańczył w miejscu, rozbryzgując rzadkie błoto, które nie wiadomo dlaczego leciało w stronę Dickona.

–Naprawdę nie sądziłem, że nie dasz sobie rady z takim spokojnym konikiem. – Alberto umiejętnie powstrzymywał karego moriska niezwyklej urody, przy którym rudy wydawał się jagnięciem, a już jak wyglądał Psoтник, nie chciało się nawet myśleć.

–Pozwoliłem Goganinowi trochę poruszać – szybko, zbyt szybko zareplikował Esteban. – Zastał się.

–Goganom lepiej nie popuszczać – uśmiechnął się Kenallijczyk. – Nie urządzimy sobie wyścigu do bramy?

Esteban nie życzył sobie wyścigu. Przegrywać nie lubił, a tu przegrana były wypisana wielkimi literami. Dickon nie wątpił, że Esteban z przyjemnością przegoniłby wierzchowca galopem przez ogromną, odbijającą obłoki kałużę, ale nie chciał wdawać się w rywalizację z Alberto.

Kenallijczyk odprowadził wzrokiem oddalających się jeźdźców i odwrócił się do Richarda.

–Ktoś po ciebie przyjedzie?

–Nie wiem... Może... – Conseiller niby obiecywał, że nie spuści go z oka, ale ma tyle zajęć... Może nie wie, że dziś unarom pozwolono opuścić „okólnik”?

–Jeśli jesteś sam, to możemy pogapić się na Ollarię razem, chociaż czego można oczekiwać po mieście, zbudowanym z dala od morza?

–To ty jesteś z Marikjary? – rozpromienił się Dick. Jak mógł się nie domyślić?! Wyspa na Morzu Pomarańczowym słynęła ze swoich żeglarzy. Marikjarczycy niemal nie różnili się wyglądem od Kenallijczyków, ale nie nosili znamienia zdrajców[82]. – [A ja sądziłem, że jesteś Kenallijczykiem...](#)

–Zdarza się – roześmiał się Alberto i od razu spochmurniał. – Kenallijczykiem był Paolo... Ludzie to nie konie, nie należy sądzić o nich wedle ich rodowodu.

–Pogadamy o tym, jak podamy sobie pełne imiona.

–Raczej nie będziemy mieli na to czasu... Ja swojego sądu nie zmienię. Twojego ulubionego Walentyna stawiam na równi z Estebanem.

–Walentyn... – zaczął Richard.

–Jest Człowiekiem Honoru? – przerwał mu Alberto. – Cóż, tym gorzej dla niego. I dla ciebie też, nawiasem mówiąc. Szlachectwo przodków nie usprawiedliwia podłości potomków. U nas się mówi – szlachetne imię dla nikczemnika, to to samo, co ładna spódnica dla staruchy.

–Walentyn nie zrobił nic złego, nie to, co Esteban.

–Priddowie są w tarapatach, Colignarowie zaś są u szczytu powodzenia. Gdyby było odwrotnie, Walentyn byłby Estebanem, a Esteban – Walentynem. Nasze imiona, jak sądzę, są sekretem tylko dla ciebie, Richardzie. Niby słusznie, po co Ludziom Honoru wiedzieć, ile dzieci mają „gnojzarze” i jak się zwaą. Ale swoich też nie rozpoznałeś.

–Powiedziano mi tylko o Katerschwanzach i o Walentynie...

–Człowiek, który cię przyprowadził, jest bardzo ostrożny.

–Nie pozwolę tak mówić o...

–Nie ty decydujesz, o kim mogę mówić. Udanej przejażdżki życzę... książę!

Kary jednym długim susem przesadził kałużę, nie musnąwszy tafli nawet czubkiem kopyta, i pogalopował przed siebie. Humor został zepsuty. Alberto nie powinien był tak mówić o Auguście!

Chociaż skąd niby miałyby wiedzieć o conseillerze? Tak naprawdę to Stancler się pomylił – nie wszyscy w Laik okazali się wrogami. Ojciec kiedyś powiedział, że lepiej uwierzyć niegodziwcowi, niż nie uwierzyć przyjacielowi.

–Jaki ty dobry jest, że doczekać nas zechciałeś! – Dick drgnął, ryk Johanna, jak zawsze, zaskoczył go.

Bracia byli bardzo starannie ubrani i uczesani i prowadzili za wodze potężne lewenbergskie wierzchowce, czarnego i białego.

–Babcia Gretchen nam je podarowała – uroczyście oznajmił Johann. – Śmiała się, że w walce nie ma czasu na pytanie o imię. Ja jestem czarny jeździec, Norbert – biały.

–Jesteśmy ostatni – zauważył „biały” – ale najważniejsze to nie odejść, a wrócić. Aramona przesunął zegary w domu o czterdzieści minut. Jeśli my przyjdą w odpowiedni czas, to on krzyżeć – my spóźnieni. On to zrobił dla ciebie, ja myślę.

Dickon myślał tak samo. W ostatnim tygodniu kapitan, wcześniej już jakby trochę spokojniejszy, nagle znów zerwał się z łańcucha. Do dnia świętego Fabiana został miesiąc, trzeba być po trzykroć ostrożnym. Aramonie nie udało się ani zwalić na syna buntowniczego księcia wyczynów Suzy-Muzy, ani wyprowadzić go z równowagi. I nie uda się! Dick wytrzyma, powstrzyma chęć potraktowania pięścią tłustego kapitana. August miał po trzykroć rację, uprzedzając o niebezpieczeństwie, ojciec German też to mówił... Po prostu Alberto nie wie, jak to jest być synem Egmonta Ockdella. No nic, wieczorem się pogodzą.

–Jeśli mamy wcześniej wracać, to trzeba wcześniej jechać – oświadczył Johann.

–Jedziemy – skinął głową Richard.

Czeka na niego ktoś czy nie? Jeśli nie, dołączy do Katerschwanzów, posiedzą sobie gdzieś, potem razem wrócą i zagrają Aramonie na nosie.

Strażnicy bez słowa opuścili most i Dick znalazł się na wolności. Za murem „okólnika” ziemia była tak samo mokra i czarna, co wewnątrz, ale młodzian miał wrażenie, że wolności i błota jest mniej i słońce jaśniej świeci.

–Richardzie! – Dick nie od razu uświadomił sobie, że to jego wołają. – Richard!

–Ktoś chyba po ciebie przybył – uśmiechnął się Norbert.

Kto to? Dickon ze zdziwieniem patrzył na pulchnego młodego człowieka siedzącego na krągłobokiej bułanej kobyle. Twarz grubasa wydawała się znajoma.

–Dick, no co ty? Kompletnie mnie nie poznajesz? Przecież jestem Nal. Nal Larack.

–Na Pociętego Smoka! Kuzyn!

Kuzyn Nal... Reginald Larack. Co za spotkanie! Chociaż w rzeczywistości syn Ivona nie jest mu kuzynem, a stryjecznym wujem, to z powodu wieku bardziej przypominają braci. Ale jakże on przytył!

Dickon pamiętał Nala, jako niezgrabnego osiemnastolatka, chudego i wysokiego jak ojciec, a teraz... Podobny do matki, cioteczka Aurelia zawsze była gruba.

–Poznałeś! – Nal uśmiechnął się szeroko, ale szybko opamiętał się i z godnością zbliżył się do braci. – Richard, przedstaw mnie swoim przyjaciółom.

–Bracia Katerschwanz. Norbert i Johann. Oni są z Górskiej Marchii.

–Podaliście sobie swoje imiona? – Teraz Dickon miał możliwość rozpoznać krewniaka – taką minę mógł zrobić tylko syn Ivona.

–Tak – roześmiał się. – Ale, jak widzisz, na razie wszyscy żyjemy. Dokąd jedziemy?

–Widzisz... – Nal zawahał się.

–Rozumiecie, panie – odezwał się skonfundowany Norbert, w głosie, którego nagle znowu dziwnie pojawił się obcy akcent – my bardzo przepraszać powinni, ale my mieć sprawy wielką i ważną. My chcemy pokłonić się i życzyć wam wszystkiego najlepszego.

Johann chciał zaprzeczyć, ale przechwyciwszy spojrzenie „mądrego” bliźniaka, pośpiesznie pokiwał głową i trącił karego piętami.

–Przyjaźnisz się z takimi niedźwiedziami?

–Tak. – Dick poczuł się urażony. – Ale to nie są niedźwiedzie. Katerschwanz to szlachetny ród, spokrewniony z fok Warzowon. Mówił mi o nich er August.

–Dobrze się stało, że mają jakieś sprawy, bo z nami jechać nie mogli. Pewnie już się domyśliłeś, kto na nas czeka?

Stancler wyglądał fatalnie – blady, opuchnięty, pod oczami wory. Widać było, że conseiller jest chory i bardzo, bardzo zmęczony. Dick poczuł macki strachu na sercu – jeśli z erem coś się stanie, Taligoja nie zmartwychwstanie, to wiedzieli wszyscy Ludzie Honoru. Widocznie myśli młodzieńca znalazły odbicie na jego twarzy, bo August roześmiał się.

–Nie jest tak źle, jak myślisz, Dickonie. Siadaj, mamy o czym porozmawiać. Ty, jak widzę, nie nauczyłeś się maskować.

–Nauczyłem się – uśmiechnął się Dick – ale tak jestem rad, że was widzę...

–Aramona jeszcze cię nie zadręczył?

–Nie.

–Ale usiłował?

–Tak, oskarżył mnie, że to ja jestem hrabia Meduza.

–Zadziwiasz mnie. Co to za Meduza, nie znam takiego nazwiska? Kto to jest?

–Suza-Muza – wymamrotał Dick i zrozumiał, że plecie bzdury. – Er Stancler, to jest tak naprawdę któryś z unarów. Wymyśla różne psoty i podpisuje się hrabia Meduza. Warto byłoby zobaczyć, jak się wściekał Aramona!

–Wyobrażam sobie – dość oziębło rzucił conseiller. – Łobuzy! Nawet jakby niebo się waliło, to byście jeszcze usiłowali psocić. I kto był tym hrabią?

–Nie wiem... Aramona powiedział, że to ja, ale on tak w ataku szału.

–Jak więc udało ci się udowodnić swoją niewinność? To, że się udało, widzę, bo inaczej, ku radości Doraca, już byś był w Nadorze.

–A... Oprócz mnie przyznało się pięciu innych.

–Czyli? Dziwne rzeczy dzieją się w Laik... I nikt nie został ukarany?

–No... Najpierw zamknięto nas w Starej Galerii, widzieliśmy widma, potem przyszedł ojciec German i kazał nam wracać do swoich pokoi. W nocy Paolo i ojciec German wyjechali, a z pozostałymi wszystko w porządku.

–Coś kiepsko rozumiem. Jakie widma?! Jak to komuś opowiedzieć?

-Nigdy w to nie uwierzysz, er Auguste.

-Uwierzę. Opowiadaj.

-Procesja ze świecami. Najpierw opat z sową, potem po dwóch mnichów, za nimi rycerze i unarowie, a na samym końcu ojciec i ja.

-Nie może być. – I tak zmęczony conseiller postarzał się o dobre pięć lat. – To po prostu być nie może. Musiało ci się przyśnić.

-Wszyscy to widzieli – przepaszającym tonem rzekł Dick. – Tylko każdy trochę inaczej. Ojca i siebie widziałem tylko ja, Arnould mówi, że ostatni szedł któryś z Epineixów.

-A pozostali?

-Johann z Norbertem widzieli księcia Neumarinen, a Alberto i Paolo tylko mnichów.

-Szli parami?

-Poza opatem i ostatnim mnichem. I przez cały czas dzwonił dzwon.

-Opisz mi rycerzy.

-No, byli różni, jedni starzy, inni młodszy, bogaci, biedni i odziani różnie. Pierwsi jak z czasów uzurpatora, a ostatni jak obecnie.

-To wszystko?

-Nie. – Dick wahał się chwilę, ale kto mu pomoże, jak nie er August? – Zanim odjechali, przyszli do mnie Paolo i ojciec German i powiedzieli coś dziwnego.

-Co mianowicie?

-Paolo powiedział, że musi mi przekazać coś starego, co należy do mnie. – Dick zamyślił się. – To nie on wymyślił, ludzie tak nie mówią... Coś jakby „ich było i zawsze będzie czterech, ale serce mają jedno, a ono spogląda na Zmierzch”.

-Serce spogląda? Nic nie przekręciłeś?

-Nie wiem... Może.

Oczywiście był lekko podchmielony i bardzo zmęczony, ale Paolo naprawdę powiedział coś o jednym sercu na czterech.

-A co mówił ollarianin?

–Żebym był ostrożny, i jeszcze coś takiego, że nic nie jest cichsze od krzyku.

–I koniec?

–No, gadał dłużej, przecież to kapłan, ale sens był taki właśnie.

–Teraz pomilcz chwilę – gwałtownie powiedział conseiller. – Muszę pomyśleć.

Dick posłusznie umilkł. Erowi Augustowi wierzył, jeśli conseiller nie zrozumie, o co chodzi, to nikt nie zrozumie. Stancler myślał dość długo, potem westchnął i uważnie przyjrzał się Dickowi.

–O mnichach Laik wiem. Wszyscy o nich wiedzą, ale mało kto ich widział, to nie Baltazar z Nochi, który ukazuje się co noc. Nie słyszałem, żeby widma pokazały się jednocześnie sześciu osobom, i nigdy nie widziano z nimi żadnych rycerzy. Mam tylko jedno wyjaśnienie: tankredianie zostali jakoś obudzeni, i to umyślnie, ale kto to zrobił i po co – nie mam pojęcia. Jedyna rzecz, co, do której jestem pewien, to ta, że nie widziałeś siebie, a ojca. Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem, mogłeś się sam domyślić, chociaż mnie jest łatwiej. Znałem Egmonta w młodym wieku, ty jesteś jego odbiciem. Ale – mam nadzieję – umiesz myśleć? Zawsze po dwóch, parami. Rycerz i unar. Dwa cienie. Pierwszy – młodzieniec, który przybył do Laik, drugi – on, ale w chwili śmierci. Dlaczego tak jest – nie wiem, trzeba by było porozmawiać z tankredianami.

–Erze Auguście, a dlaczego każdy widział, co innego?

–Dickonie, nie jestem adeptem Wiedzy. Mnie bardziej niepokoi historia z klerykiem i unarem. Obawiam się, Richardzie, że obaj już nie żyją. Nigdy bym nie pomyślał, że będę żałował ollarianina, ale on radził ci być ostrożnym, i wygląda na to, że wiedział, co mówi.

–Skąd możesz wiedzieć? – zawołał Dick, rozumiejąc, że sam w głębi duszy uważał obu za martwych, ale odpędzał od siebie tę myśl. – Przecież dopiero, co o tym powiedziałem!

–Richardzie Ockdellu – pokręcił głową conseiller. – Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, ale mam bardzo poważne powody uważać, że chcą cię zabić. Nie wiem, jak w to zamieszani zostali ollarianie i Paolo, ale w naszych czasach ludzie tak prostu nie znikają. Zajmę się tą sprawą. Na szczęście na dwa zniknięcia w jednym turnusie nie pozwoli sobie nawet Dorac, ale za murami Laik musimy być bardzo ostrożni. O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Dzień Fabiana tuż-tuż. Zdecydowałeś już, co chcesz robić dalej?

–A czy to ode mnie zależy?

–Od nas zależy nawet wtedy, gdy się wydaje, że nic nie zależy. Przecież wiesz, że w dniu Fabiana unarów przedstawia się Jego Wysokościom i Wysokiej Radzie, gdzie Najlepsi Ludzie[83], niemający giermków, wybiorą tych, których potrzebują. Jeśli, oczywiście, potrzebują. Ludwig Kilean-ur-Lombach i Gui Arigau gotowi są wziąć ciebie. Co o tym myślisz?

–Nie wiem... Wolę do domu...

–„Wolę do domu”... Ile masz lat, Dickonie? Szesnaście czy pięć? „Wolę” – to dla Kruka, Ockdellowie powiadają „powinienem”. Jesteś potrzebny w Ollarii, Richardzie. Potrzebny mnie, królowej, Rakanom, całej naszej sprawie.

–Erze Auguście – niepewnie wymamrota! Richard – ja... Co ja mogę?

–Pożyjemy – zobaczymy, ale potomek Alana i syn Egmonta może to, co powinien. Nie można stać się wojownikiem, nie będąc na wojnie. Nie można stać się taligojskim rycerzem, zamykając się w starym zamku. Napisałem do twojej mateczki, a ona cię błogosławi. Jaki kolor bardziej ci odpowiada – akwamaryna czy purpura?[84]

–Mnie jest wszystko jedno.

–Nie powinno ci być „wszystko jedno”. Od tych słów zaczynają się porażki i kunktatorstwo.

–W takim razie... Pewnie purpurowy.

–Kolor królowej – uśmiechnął się conseiller. – Rozumiem. Katarina Arigau urodziła się za późno – wiek prawdziwych rycerzy niestety minął, a szkoda. W czasach Ernani Dziewiątego[85] wszyscy Ludzie Honoru nosiliby purpurowe wstęgi i kruszyli kopie na cześć Taligojskiej Róży[86]... Niestety, Jej Wysokość zmuszona jest żyć w tym samym bagnie, co i my. A skoro już mowa o kopiach, kiedy odbędzie się walka końcowa?

–Za dwa tygodnie.

–Na jakie miejsce liczysz? Jeśli nie uwzględnić Aramony i jego podłości.

–Jeśli uczciwie...

–Ockdell nie może być nieuczciwym. Nie jesteś pierwszy, ale mam nadzieję, że nie ostatni. Kto z unarów cię wyprzedza?

–Esteban i Alberto. Potem Katerschwanzowie i chyba Arnould. Z Edwardem i Walentynem jesteśmy równi.

–Czyli szósty albo siódmy. Nie tak znowu źle.

–Erze Auguście. Staram się, ale nie zdołam dogonić Estebana i Berto.

–I nie musisz. Jestem niemal rad, że nie jesteś najlepszym, chociaż dla naszej sprawy mogłoby to być przydatne. Bycie najlepszym wojownikiem, Dickonie, to rzecz niebezpieczna. Broń deprawuje, ludzie przyzwyczajają się do zwycięstw, a twoje zwycięstwo to cudze poniżenie i cudza krew. Nieważne, po czyjej stronie jest racja, ważne, kto lepiej macha klingą. Zwycięzca zaczyna czuć się dobrze, zaczyna kusić los, patrzeć na innych jak na pył pod swoimi stopami. Wszyscy się go boją, a on się śmieje. Kruk zaczynał od zwycięstw w Laik i nie wiem, na czym skończy, jeśli się go nie powstrzyma. Rozumiesz, o czym mówię?

–Rozumiem, erze Auguście.

–Kłamiesz. Mając szesnaście lat i nie utarłszy nosa wszystkim swoim krzywdzicielom, nie można tego zrozumieć. Ale uwierz, staremu: stając się najlepszym wojownikiem, nie stajesz się najlepszym człowiekiem. Jeśli nie udaje ci się zwyciężyć Estebana i Alberto klingą, to pomyśl, jak można ich ograć. Słowem. Czynem. Rozumem. Dobra, zagadałem cię na śmierć, dość tego filozofowania. Przekażę Gui Arigau twoją decyzję, a teraz – obiad... Przy okazji opowiesz staremu o swoich przyjaciółach.

Rozdział 9

Ollaria i Laik

„Le Roi des Deniers” [87]

1

Jego Świątobliwość Sylwester wielkodusznym gestem zwolnił padającego ze zmęczenia posłańca, ale gdy tylko kardynał został sam, maska została odrzucona. Szczupłe oblicze Jego Świątobliwości stało się twarde – nie wiedział, co pisze agaryjski szpieg, ale w Agarisie nic dobrego się nie dzieje, to pewne. W każdym razie nic dobrego dla ollariańskiego Taliga. Kardynał wziął ze stołu bogato zdobiony sztylet, umyślnie niespiesznie zdjął pieczęcie i przeciął chroniącą przywiezioną paczkę skórę. Wewnątrz znajdowała się wąska szkatułka z podwieszonym na kunsztownym łańcuszku koronkowym kluczykiem. Gdyby Sylwester umyślił skorzystać zeń, musiałyby, otwierając oporny zamek, z siłą przekręcić klucz. Przy tym ruchu malutki zadziór – jakby niedopatrzzenie mistrza – przekłułby mu skórę. Szybciej niż po minucie draśnięty byłby martwy, a wpadające do otwartego puzdra powietrze zniszczyłoby złoty inkaust, zmieniając sekretne posłanie w bezużyteczny arkusz papieru.

Kardynał taligojski i maragoński dobrze znał sekrety szkatuły. Nie miał najmniejszego zamiaru korzystać ze wspaniałego kluczyka; przyłożył jeden z licznych swoich pierścieni do rzeźbionego monogramu i tylna ścianka szkatuły otworzyła się z cichym trzaskiem. Sylwester wytrząsnął zwitek na kratę z brązu, umocowaną nad niewielkim paleniskiem, rzuciwszy na tłocze się węgle kilka kryształków w tym samym kolorze, co nici, którymi obszyta była paczka. Cierpko pachnący dym zasłonił posłanie, utrwalając atrament. Następnym razem szpieg zastosuje inny skład, który będzie wymagał innego utrwalacza. Sylwester wiedział, że nie ma większej głupoty niż lekceważenie drobiazgów, właśnie dlatego jego człowiek już piąty rok czyści buty Peterowi Hogberdowi i nikt nie podejrzewa w głupkowskim kamerdynerze przyszłego ollariańskiego biskupa, a może, Obcy go wie, nawet kardynała.

Najemnego szpiega łatwiej jest przekupić niż człowieka ambitnego. Michael Zewan rozumiał, że w Taligbi to on będzie czyścił buty, a w Taligu – jemu. Quentin Dorac nigdy nie wyróżniał się specjalną ufnością, ale dla tych, czyje interesy były zgodne z jego interesami, robił wyjątek. O kardynale mówiono, że wierzy sobie do obiadu, a po obiedzie nie ufa już nikomu. Zemanowi Sylwester ufał do śniadania.

Zielonkawy dym rozwiął się, kardynał wyjął list i rozwinął. Niewtajemniczony

człowiek zobaczyłby bezsensowny zestaw wielkich i małych liter oraz cyfr, w rzeczywistości była to jednak trzecia i ostatnia rubież obrony. Ktoś sprytny mógłby otworzyć szkatułkę bez klucza, mógłby, gdyby miał wystarczającą wiedzę, zręczność i szczęście, zachować zapis, ale rozgryźć osobiste szyfry Jego Świątobliwości mógłby – może – najwyżej Władca Kotów, gdyby chciało mu się zajmować takimi drobiazgami. Sylwester chwycił świeżo zaostrome pióro, zaczął stawiać znaczki od razu na marginesie listu i robił to tak długo, póki nie ułożyły się one w słowa: „... i zostali ci, co nic nie stworzyli, strąceni”. Kardynał uśmiechnął się z zadowoleniem, przysunął do siebie ciężki tom heretyckiej Esperacji i otworzył go na Artykule mówiącym o wygnaniu przez powracającego Stworzyciela Zwierzodemonów, które zajęły Kertianę. Z tego właśnie Artykułu korzystał Zewan, tworząc epistołę.

Jak dobrze się składa, że esperatyści uważają za najstraszliwszy z grzechów najmniejszą zmianę w kanonicznym tekście, a każdy prawdziwie wierzący, nawet niepiśmienny, musi trzymać przy wezglowiu swoim Esperację. Gdyby nie to, wymiana tajnych listów byłaby utrudniona.

Sylwester zażądał od dyżurującego w poczekalni mnicha grzanego wina, pociągnął duży łyk i zajął się rozszyfrowywaniem. List był długi – gdy Jego Świątobliwość postawił ostatnią kropkę, minęła północ. Kardynał przymknął zmęczone oczy i westchnął – jego dzień wcale się nie skończył. Święty ojciec niemało trudu włożył, by przechwycić wszystkie liczne nici, na których wisiało ogromne państwo, ale chwilami ten ciężar go przytłaczał. Ferdynand bez wątplenia jest najwygodniejszym z monarchów, a Roke Alva – najlepszym z dowódców, ale myśleć i decydować musi on, Quentin Dorac.

Ferdynand jest beznamiętny jak krowa, Roke interesuje wojna i tylko wojna, chociaż, jeśli wszystko będzie dalej tak szło, to marszałek nawojuje się do woli... Sam Sylwester nie pragnął wojny, ale Gaifie i Drixenowi była potrzebna. Na szczęście Święty Tron wkrótce będzie miał się czym zająć i zapomni o polityce zewnętrznej. Czytając powtórnie list przyszłego biskupa, kardynał poczuł krótkotrwały przyływ dumy – wszystko rozwijało się dokładnie tak, jak przewidywał. Esperador jest chory, i to, jak się wydaje, poważnie, a magnusowie, kardynałowie i stojące za nimi rzesze szykują się do kolejnej awantury o Jasną Pelerynę. [\[88\] Najważniejsi pretendenci to magnus Sławy Leonid i magnus Wiedzy Diomidos. Pierwszy nawet we śnie widzi wyprawę na Purpurowe Ziemie, drugi więcej myśli o handlu niż o zwycięstwie nad Moriskami. Ktokolwiek zwycięży, kupiec czy generał, dla Taligu mało co się zmieni. Agaris był i zostanie wrogiem, ale poza podżeganie i sprzyjanie zbiegłym buntownikom się nie posunie.](#)

Sylwester nie wątpił, że buntownicy, uciekinierzy pod płaszcz Esperadora, związani są z conseillerem i rodziną królowej, ale bezpośrednich dowodów na to nie miał, a jak bardzo by się przydały! Ferdynand musi się rozwieść z Katariną i ożenić z córką drikseńskiego cesarza. Czas kończyć wojnę, a za Augustem szubienica płacze. Póki

Stancler żyje, spokoju w Taligu nie będzie, ale conseiller jest chytry jak Leworęki. Zostaje tylko mieć nadzieję na głupotę jego sojuszników. Egmont nie żyje, ale Hogberd i młodszy Epineix uciekli; prędzej czy później skontaktują się z tutejszymi spiskowcami, a ci też wcześniej czy później dostarczą poszlak przeciwko Stanclerowi i rodzinie Arigau. Nie można też zapominać o młodym Rakanie – jego ojciec i dziad siedzieli cicho, ale Aldo wdał się w swoją żywiołową babkę.

Młody Rakan jest odważny, przystojny i wierzy w to, że będzie królem – donosił szpieg. – Księżna Matylda osiągnęła niezłe wyniki, rozpalając w młodzieńcu poczucie miłości własnej i to, co ona uważa za poczucie sprawiedliwości, a wszyscy ci z buntowników, którzy w Agarisie znaleźli schronienie, wśród których za najważniejszego należy uznać Robera Epineix, obudzili w Aldo to, co on nazywa „miłością do ojczyzny”. Wszystko to nakłada się na umiejętnie hodowaną niechęć do rządzącego dziś monarchy, marszałka Roke Alvy, w którym widzą przyczynę porażki dwóch ostatnich rokoszy, i do Waszej Świątobliwości.

Już w tej chwili w tawernach Agarisu, gdzie zbierają się zwolennicy Rakanów, rozbrzmiewają wezwania do „wywieszania «gnojarzy» „, a jeśli uwzględnimy niepowodzenia Gaify w bójce z Moriskami i obfitość uzbrojonych ludzi chcących możliwie drogo sprzedać swoje szpady, można rozważyć ewentualność wojny. Oczywiście, o ile Rakanowie znajdą na nią pieniądze.

Wszystko, co wyłożone jest wyżej, raczej nie będzie zaskoczeniem dla Waszej Świątobliwości, ale w Agarisie dzieją się rzeczy, które raczej trudno jest wytłumaczyć i o których uważam za swój obowiązek donieść.

Osobiście wątpię w błyskawiczne wzbogacenie się Robera Epineix, który jakoby ograł nietutejszego armatora. Udało mi się wywiedzieć, że wygrany przez niego statek w rzeczywistości należał do innego człowieka, a mianowicie do gogańskiego kupca z Wassory. Ładunek natomiast przeznaczony był dla również Goganina o imieniu Pelial, który wykupił od Epineixa jego „wygraną” mniej więcej za dwie trzecie rzeczywistej wartości statku i towaru. Sam się nasuwa wniosek, że Goganowie w sekrecie finansują Rakana.

Nie udało mi się wyjaśnić, czy Epineix i Rakan biorą gogańskie złoto, mając świadomość, co czynią, czy uważają „wygraną” za uśmiech losu, ale ciekawość wzbudza ich nieoczekiwane zainteresowanie przeszłością Taliga. To nie jest normalny dla młodych ludzi pociąg do wojennych czynów i przeszłych bitew, ponieważ i Rakana, i Epineixa interesują dwie rzeczy. Wydarzenia, związane z upadkiem Kabiteli i początkiem panowania Franciska Ollara, oraz informacje o starej taligojskiej stolicy Galtarze i przyczynach, dla których Ernani Pierwszy ją porzucił. Udało mi się przeczytać list Robera Epineix do matki i jakoby szalonego dziadka, w którym pisze, że okoliczności zmieniły się na lepsze i prosi przypomnieć sobie wszystko, co im wiadomo o spuściźnie zabitego czterysta lat temu Ernani

Jedenastego i o klasztorze w Nochu.

Więcej, Aldo i Rober odwiedzili astrologa i poprosili o sporządzenie horoskopów dla uczestników starej tragedii – króla Ernani, królowej Blanche, Ramiro Alvy, Hektora Pridda i Alana Ockdella. Interesujące, że swoje poszukiwania młodzi ludzie trzymają w sekrecie przed księżną Matyldą. Z kolei poza waszym pokornym sługą, Epineixa i Aldo śledzi od niedawna szóstka szpiegów. Sądzę, to wiąże się z Goganami i z okazującym zainteresowanie młodym Rakanem magnusem elementem, ale nie wykluczam też istnienia trzeciej czy nawet czwartej strony.

I ostatnie nowiny. Esperador zaszczycił rozmową kolejno postów Kagety, Gaunau, Drbcen, Agarii i Klawii. O czym była mowa, nie udało się dowiedzieć. Peter Hogberd i Matylda są zatroskani poszukiwaniami sojuszników w granicach królestwa. W imieniu Aldo napisali podżegające listy, które będą wysłane do Taliga. Niestety, wykazu tych, do których będą adresowane, nie otrzymałem.

To wszystko, czym dysponuję na dziś. Niech otacza Waszą Świątobliwość błogosławieństwo Stwórcy.

Jego Świątobliwość cisnął zapisany arkusz do kominka, a szkatułkę zatrzasnął i zabrał do biura. Swoje pierwsze zadanie wykonała, zachowawszy powierzoną jej tajemnicę. Jaki będzie dalszy jej los, określi potrzeba. Może posłuży jako skrytka na miłosny list albo prezent i otworzą ją ręce Aldo Rakana, ale tego typu środki należy wykorzystywać w odpowiednim czasie. Śmierć księcia może pomieszać karty przeciwnikowi, a może mu pomóc, ponieważ młody ambitny człowiek jest niczym innym, jak tylko orężem w cudzych rękach.

Zanim na polu walki zejdą się, o ile się zejdą, armie, zacznie się niewidzialna dla nikogo wojna, w której zetrą się odwieczni rywale: on, kardynał Sylwester, i ktoś jeszcze mu nieznan. Czyżby rzeczywiście Goganie?

Dorac potrząsnął dzwoneczkiem i w zamyśleniu potarł nasadę nosa. Spać mu się nie chciało, na dodatek rano zbiera się Wysoka Rada. Sylwester mógł nie spać po kilka nocy, ale po krótkim, gwałtem przerwany śnie czuł się jak gotowana brukiew. Zdecydowane – nie kładzie się spać.

–Wasza Świątobliwość. – Biedak-sekretarz na pewno jest słowikiem, śpi w marszu.

–Zaparz mi shaddi, i to mocnej. I przynieś kroniki początku panowania Franciska Ollara.

–Wasza Świątobliwość chce przygotować kazanie? To może będą potrzebne też żywot świętego Fabiana i posłanie Franciska Ollara do Esperadora?

–Jak będą potrzebne, to ci powiem. A teraz potrzebuję tylko kronik, i to napisanych przez zwolenników Rakanów.

2

Ollariańskie kroniki nazywały zwycięstwo Franciska sławnym i wielkim, zapisy przegranych krzyczały o podłej zdradzie, ale Jego Świątobliwość interesowały właśnie te, przecież Aldo Rakana nie interesował horoskop zwycięzcy. To, czego szukał książę, było związane z ostatnim królem Rakanem Ernani, jego małżonką Blanche, marszałkiem Priddem, kenallijskim księciem Ramiro i zabójcą zdrajcy Alanem Ockdellem. Z jednym z nich czy ze wszystkimi?

Sylwester słyszał ze swojej umiejętności czytania między wierszami, ale na pierwszy rzut oka niczego tajemniczego w tej piątce nie było, a kroniki potwierdzały tylko to, co Dorac i tak pamiętał.

Francisk Ollar wtargnął do Taligoi wiosną i szybkim marszem pokonał odległość od

maragońskich granic do pola Akon, gdzie stawiała mu czoła armia pod dowództwem marszałka Hektora Pridda, mająca wyraźną przewagę nad przeciwnikiem. Kronikarz Franciska twierdził, że Taligojczyków było cztery razy więcej, latopis domu Epineix mówił o przewadze dwukrotnej. Jakkolwiek by nie było, maragoński bastard zagrał na dumie rycerskiej a może – jak uważał Sylwester – głupocie, oszukał i rozbił Pridda. Wszystko skończyłoby się już pod Akoną, gdyby nie drużyny Charlesa Epineix, które osłoniły ni to uciekających, ni to wycofujących się „z rozwiniętymi sztandarami” Taligojczyków.

Epineixowi udało się zniszczyć przeprawy przez wezbraną Wiborę. Pridd i resztki jego armii, oderwawszy się od pościgu, wycofały się pod stolicę, gdzie przybył ze swoimi ludźmi kenallijski książę Ramiro Alva. Ollar pokonał Wiborę w wyższym jej biegu i w środku lata doszedł pod mury Kabiteli. Podjęto kilka prób szturm, ale miasto obroniło się, po czym Francisk przeszedł do oblężenia. Taligojczycy na czele z królem Ernani przysięgli zginąć, ale nie poddać się, przy czym żony zdecydowały, że podzielą los mężów. Obroną dowodził marszałek Pridd, jak twierdzili kronikarze, doświadczony dowódca i wspaniały żołnierz.

Pridd był ucieleśnieniem honoru rycerskiego, ale epoka rycerstwa odeszła w zapomnienie. W mieście wybuchł bunt, który jakoś udało się zdławić. Tego samego wieczoru chorowity Ernani zwołał Pełną Radę i w obecności wszystkich znajdujących się w Kabiteli Ludzi Honoru z żonami i następcami oznajmił, że nie jest w stanie dalej nieść na swoich barkach brzemienia władzy i przekazuje ją do końca oblężenia regentowi, którego wybierze Rada. Pojawiły się dwa imiona – Alana Ockdella i Hektora Pridda, większość popierała tego ostatniego. Radę przerwała wiadomość o ultimatum Franciska, w obraźliwej formie żądającego poddania Kabiteli i uznania go za władcę.

Oblężeni odpowiedzieli zdecydowaną odmową. Książę Alva jako ochotnik miał przekazać decyzję Rady Ollarowi i wykorzystał tę okazję, żeby dogadać się z wrogiem. W nocy Alva i jego żołnierze weszli do pałacu. Regent i król zostali zabici, a zdrajca przez podziemne przejście wprowadził do Kabiteli żołnierzy Ollara, który wraz z ludźmi Alvy zaskoczyli obrońców miasta i otworzyli bramę. Królowej z następcą, hrabią Michaellem fok Warzowem, i Alanem Ockdellem udało się zbiec przez inne sekretne przejście, o którym wiedziały tylko taligojskie królowe.

Kiedy Blanche z synem byli już bezpieczni, Ockdell zostawił ich i wrócił do miasta, żeby ukarać zdrajcę. Udało mu się zabić Alvę, ale sam Alan został ujęty i tego samego dnia egzekucja została wykonana, a kronikarze wszelkiego rodzaju zanurzyli pióra w kałamarzach i wywiedli: *Trzeciego dnia Jesiennego Wiatru 399 roku kręgu Błyskawic Francisk Ollar zajął stolicę królestwa taligojskiego Kabitelę...*

Wszystko jasne jak słońce, poza jednym – co zmusiło Aldo i Robera do przypomnienia sobie tej historii? A przecież coś musiało być, by dwaj próżniacy

siedzieli teraz nad starymi papierami. Najprościej byłoby przyjąć, że szukają skarbu, ale jakiego? Co mogło zniknąć trzeciego dnia Jesiennego Wiatru? Francisk był koronowany tą samą koroną, co i Ernani, rodzinny miecz Rakanów do tej pory wisi w sali tronowej, wiadomości o tym, że z pałacu zniknęło coś cennego, nie zachowały się. Żadne tajemnice nie wiązały się z zabitym królem, jego abdykacja i testament były ogłoszone na Pełnej Radzie, ich tekst znajduje się w wielu kronikach. Może Aldo szuka tajnego przejścia? Ale jeśli o „Drodze Królów” ktoś coś wie, to musi to być Matylda, a zresztą komu ona jest potrzebna, nawet jeśli się zachowała? Wątpliwe, by Epineix z Rakanem zamierzali we dwóch przedostać się do pałacu, zabić Ferdynanda i przejąć władzę, tym bardziej, że pokoje Ollarów znajdują się w nowej części pałacu. Może Aldo chce porównać swój horoskop z horoskopem przodka? Ale po co mu wtedy zdrajca i pozostali i dlaczego nie ma zwycięzcy i Charlesa Epineix?

Świtało, gdy kardynał z rozdrażnieniem odsunął od siebie zakurzone zwoje; zostało mu tylko tyle czasu, by dojechać do pałacu Rouge, gdzie zbierała się Wysoka Rada. Noc została zmarnowana, o ile nie liczyć tego, że Jego Świątobliwość wypił morze shaddi i dwadzieścia z hakiem razy przeczytał to, co i tak wiedział. Żadnego tropu tajemnicy, wszystko proste i zrozumiałe, a jednak... Mimo wszystko następca Rakan czegoś szuka, a następca Epineix mu pomaga. Sylwester nie znosił, kiedy czegoś nie rozumiał, a w tym przypadku nie rozumiał nic.

Sala Wysokiej Rady od czasu Franciska zmieniła się niewiele, może tylko doszły zdobyczne sztandary i w kącie pojawił się wielki zegar w skrzyni z czarnego drewna. Oczywiście zasłony i obicia ścian zmieniały się kilkakrotnie, ale nowe dokładnie powtarzały poprzednie. Wchodząc do wyłożonej purpurowym morysjkim jedwabiem sali ozdobionej ollariańskimi symbolami, kardynał przyłapał się na tym, że myśli o umarłych dawno temu ludziach. Wdowa po Alanie Ockdellu przeklęła Ollarów, przyobiecując, że zwyciężający za pomocą zdrady od tejże zdrady sami zginą. Nieprzyjemne życzenie... Szkoda, że zmarnował tyle czasu na stare baśnie, można by sądzić, że nie ma nic innego do roboty.

Kardynał pochmurnie przyjrzał się zebrany. Wysoka Rada... jeszcze jeden twór Franciska Ollara, przypominający i nieprzypominający istniejącą za Rakanów Pełną Radę. Tamta mogła odsunąć władcę od władzy i wyznaczyć regenta, ta wysłuchiwała podpisanych przez jego Wysokość praw i edyktów i czasem „najuprzejmiej prosiła”.

Francisk był wielkim człowiekiem, rządził przez dwadzieścia sześć lat, ale tego, czego dokonał, wystarczyło na czterysta, bez mała czterysta... Stwory Zmierzchu, co to się dziś z nim dzieje?! Kardynał, złościąc się przede wszystkim na siebie, rozejrzał się po zebranych urzędnikach. Jak zawsze, Ludzie Honoru ze swoimi bródkami usiedli pod oknem, potomkowie niemogących się wykazać rodowodami współtowarzyszy Franciska zajęli miejsce pod obiciem przedstawiającym Zwycięzcę Smoka, a chytry i tchórzliwi rozsiedli się na środku. Zegar wybił dziesiątą, conseiller Stancler podniósł się, żeby ogłosić posiedzenie Wysokiej Rady za otwarte, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się i na progu pojawił się Pierwszy Marszałek Taliga, Roke Alva.

–Przepraszam, panowie!

Kardynała zawsze zadziwiała umiejętność Kenallijczyka do wygłaszania uprzejmych zwrotów w taki sposób, że stawały się obraźliwe. Ten człowiek upajał się cudzą nienawiścią tak, jak inni bogactwem czy władzą.

–Niewątpliwie, książę, zatrzymały pana sprawy wagi państwowej – oschle rzucił conseiller.

–Można i tak to określić. – Błysnąwszy zębami, Alva siadał już między conseillerem i Gui Arigau. Roke był konsekwentny – ci dwaj nienawidzili go bardziej od innych. Zresztą kardynała Sylwestra nienawidzili jeszcze mocniej. Urodziwy marszałek tylko ich obrażał, kardynał nimi rządził.

–Ku chwale króla i Taliga ogłaszam posiedzenie Wysokiej Rady za otwarte. – Widać było, że spokój kosztował Augusta Stanclera wiele trudu. – Jego Królewska

Wysokość Ferdynand Ollar podpisał edykt...

Posiedzenie szło swoim trybem. Królewski lektor [\[89\] głośno i monotonicznie odczytywał kolejne dokumenty – najpierw manifesty i edykty, potem doniesienia posłów, pisma ze skarbcza i innych resortów, wojskowe raporty, skargi, wnioski – słowem wszystko, co w ciągu dwóch tygodni przeszło przez królewską kancelarię i uzyskało najwyższy podpis.](#)

Wielmoże spali z otwartymi oczami. Jednym było wszystko jedno, drudzy i tak wszystko wiedzieli. Sylwester wiedział, ale jadł uszami, nie opuszczając ani słowa. Wysoka Rada o niczym nie decyduje, ale ogłoszone podczas Rady staje się prawem. Dziesięć lat temu lektor poplątał kilka słów. Nikt tego nie zauważył i siedmiu buntowników uniknęło kary. Kiedy „błąd” został wykryty, szczęśliwcy pędzili już konie w stronę granicy, zyskawszy ponad dobę. Od tej pory Jego Świątobliwość osobiście uczestniczył w posiedzeniach Rady, a lektorzy przestali się mylić, ale i tak nie wolno sobie pozwolić na popuszczanie wodzy, zwłaszcza teraz.

Urzędnik wyraźnie i obojętnie odczytywał raport marszałka Wolfganga fok Warzowa. Lektora nic nie obchodzi sytuacja w Bergmarku i Gaunau, jego sprawa to prawidłowo wymawiać obce taligojskiemu uchu nazwy i nie mylić się w cyfrach. Raport był rzeczowy i sensowny – Warzow słusznie uważany był za wyśmienitego dowódcę, nigdy nieproszącego o więcej niż potrzebował. Kiedy Sylwester czytał doniesienie z Turki po raz pierwszy, nie wiedział o wydarzeniach w Agarisie, ale i tak marszałek otrzymał to, o co prosił.

Na święto świętego Fabiana Warzow przybędzie do Agarisu, trzeba będzie wypytać go o pewne drobiazgi. Stary wojak jest spostrzegawczym człowiekiem i powinien być zadowolony, że wszechmocny kardynał spełnił jego prośby. Wolfgang jest bodaj czy nie jedynym z Ludzi Honoru, któremu można zaufać.

-... proszę także władcę i Wysoką Radę, by w dniu świętego Fabiana zwolnić ze służby giermków braci Katerschwanz, synów barona Rudolfa Katerschwanza, przyznać im poza kolejnością stopnie kornetów i przekazać do mojej dyspozycji. Napisane w 2 dniu Zimnych Fal 398 roku kręgu Skał Rotwalde. Data. Podpis. Zalecenie Jego Wysokości – „wykonać w całości”. Napisane 17 dnia Zimowych Błyskawic 398 roku kręgu Skał w Ollarii.

Urzędnik odłożył przeczytany dokument i podniósł kolejny:

–Hrabia Gotfryd Urban...

Sylwester podniósł rękę, przerywając lektorowi, i ten zamilkł, mrugając niczym wyciągnięta w dzień z dziupli sowa.

–Panowie. – Oczy Sylwestra po kolei zatrzymywały się na siedzących pod oknem. –

Marszałek Warzow przypomniał nam o wojnie i dniu świętego Fabiana. Oczywiście wszyscy Najlepsi Ludzie niemający w danej chwili giermków mają prawo wybrać dla siebie takowych z grona kończących szkolenie unarów, ale usilnie radzę po trzykroć to przemyśleć, zanim wymieni się imię księcia Ockdella. Obecność tego młodego człowieka na dworze wydaje się być bardzo, ale to bardzo niepożądana. Mentor unarów ocenia młodzieńca, jako osobę przesadnie gorącą i ogromnie przywiązaną do rodzinnych przesądów, co może doprowadzić do smutnych konsekwencji. A teraz proponuję powrócić do listu hrabiego Urbana...

Rozdział 10

Laik i Ollaria

„Le Roi des Épées” [90]

1

Kuzyn z wierzchowcami czekał już przy moście. Zazwyczaj spokojny, nawet flegmatyczny Reginald był podniecony. Z całych sił starał się tego nie okazywać, ale Dickon zbyt dobrze znał młodego Laracka. Ten, jak i jego ojciec, był małomówny. To, że Nal bez przerwy paplał o jakichś drobiazgach, sztucznie się śmiał i z przesadnym zachwytem wspominał Nador, w którym nie pojawiał się przez tyle lat, budziło czujność. Dickon nie rozumiał, o co idzie, ale nie miał wątpliwości – stało się coś złego i kuzyn stara się to ukryć. Coś w domu? Ale gdyby tak było, to Reginald nie wspominałby Nadoru...

W końcu Dick nie wytrzymał. Wyczekawszy, aż Larack przestanie zachwalać zalety ockdellovskich gończych, gwałtownie zatrzymał Psoтника. Zdziwiony Nal poszedł w jego ślady.

–O co chodzi, Dickonie?

–To ja powinienem zapytać, o co chodzi. Nie przypominasz samego siebie. Papłasz jak sroka...

–No, rozumiesz... Tyle nowin...

–Nie kłam – ofuknął go Richard i Nal, choć był starszy o dziewięć lat, zmieszał się.

–No... No, widziałem wczoraj era Stanclera. Wezwał mnie... Chodźmy, wstąpimy gdzieś.

Jadłodajnia, do której weszli, nazywała się „Prawo pana”. Na szyldzie dziarsko podkręcał wąsa szlachcic w bogatej pelerynie, przed którym stały trzy skonfundowane wieśniaczki w ślubnych sukniach – blondynka, brunetka i ruda.

–Która ci się bardziej podoba? – roześmiał się Reginald.

–Żadna. Co chcesz mi powiedzieć?

–Widzisz... Poczekaj, zamówię kolację.

Kuzyn przestał wykręcać się dopiero wtedy, gdy sługa przyniósł zapieczone z serem mięso i chleb.

–Widzisz, Dickonie... Wyślą cię z powrotem do domu, do Ockdellu. Aramona donosi, że jesteś niepewny.

–Wyślą? – nie zrozumiał Richard. – Ale er August mówił, że Arigau i Kilean-ur-Lombach gotowi są mnie wybrać.

–Byli gotowi – opuścił głowę kuzyn – ale... Wiesz, kto jest prawdziwym władcą w Taligoi. Quentin Dorac! Odbyło się posiedzenie Wysokiej Rady... Krótka rzecz ujmując, kardynał dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, by Richard Ockdell pozostał w stolicy. Kilean-ur-Lombach i Arigau są Ludźmi Honoru, i tak są podejrzewani, nie mogą stawiać wszystkiego na jedną kartę. Wreszcie, Dickonie, w Nadorze nie jest tak źle. Ojciec mówił, że nie chciałeś jechać do Laik. Przyjmijmy, że tak było. Nie opuszczaj Nadoru i już. Czekać nie będziemy znowu tak długo, za kilka lat spróbujemy...

Kuzyn miał rację. Dick naprawdę nie chciał być giermkim. Niczym. Jeszcze wczoraj, gdyby ktoś zapytał młodego Ockdella, czego chce tak naprawdę, odpowiedziałby – wrócić do domu, ale co innego zrezygnować z zaproponowanego zaszczytu, a co innego dostać kopniaka w tyłek! Jego, księcia Ockdella, Człowieka Honoru, potomka świętego Alana, wyrzucają jak stary but, i to kto? Samozwańczy kardynał, który kręci mizernym królem!

–Dick. – Kuzyn wyglądał na przestraszonego. – Co ci?

–Nic – wykrztusił młodzieniec.

–Proszę cię... Er Stancler też cię prosi, zachowaj spokój. Teraz nic nie osiągniesz. Trzeba czekać!

Trzeba czekać. Święty Alanie, ile można tego słuchać! Richard Ockdell czeka od tego po trzykroć przeklętego dnia, kiedy ojciec odszedł na swoją ostatnią wojnę. Wcisnęli go do tego koszmarnego „okólnika”, namawiali, by wytrzymał, przekonywali, że musi się zgodzić na służbę u Kileana-ur-Lombacha albo Arigau, że jest tu potrzebny... I teraz ci sami ludzie mówią zupełnie co innego. Richard zrozumiał, że chcą go jakoś pocieszyć, ale to było takie obrzydliwe! Może i winien jest kardynał, ale przecież kłamie Reginald.

–Dick...

–Idź do kotów! – rzucił Dick, podrywając się od stołu.

Ale Reginald nie poszedł, żądał, żeby Dick nie robił głupstw. A czy to głupstwo

powiedzieć podłemu, że jest podły, a „gnojarczy”, że jest „gnojarczy”? Wszyscy jak jeden mąż gadają, że za nieszczęścia Taligoi odpowiadają Dorac i Alva. Czy jest zatem głupotą zabić choćby jednego z nich?

–Dickonie, obiecaj, że nie...

**–Dobrze! Przysięgam na świętego Alana, że nie zrobię żadnego głupstwa! Ja...
Chyba zatrzymam się w Ollarii na kilka dni.**

–Obawiam się, że wyślą cię z eskortą pojutrze rano. Dorac nie chce niespodzianek, to bardzo mądry człowiek.

Pojutrze rano? Ale jutrzejszego dnia nikt mu nie odbierze!

Kogo więc jutro zabije? Króla, kardynała, marszałka? Trzeba wybrać jedną ofiarę, więcej nie zdąży. Dick bardzo chciał pomścić ojca, ale sądząc ze wszystkiego, Kruka nie zaskoczy. Er August powiada, że najważniejszym wrogiem Taligoj jest kardynał Dorac. Jeśli zabije monarchę, to na tronie zasiądzie syn Katariny Arigau i... tegoż Kruka. Czyli albo kardynał, albo marszałek... August Stancler wybrałby kardynała, ale Egmont Ockdell nie był jego ojcem. Chociaż marszałek Alva dla Doraca jest niczym nóż dla zabójcy i do tego... To Dorac i nikt inny zażądał od Wysokiej Rady, by odrzuciła Richarda Ockdella. Jutrzejsze poniżenie zawdzięcza bluźniercy i intrygantowi. Zabiwszy kardynała, nie tylko wybawi Taligoję od głównego wroga, pomści honor Skał, a marszałek bez Doraca nie będzie już tak straszny. Er Stancler wymyśli, co z nim zrobić...

Dickon już wiedział, co powie podczas rozprawy. Powie, że los i obowiązek Ockdellów to uwolnienie Taligoj z rąk nikczemników. On, Richard Ockdell, syn Egmonta, potomek Alana, w imieniu wszystkich Ludzi Honoru żąda zwrotu korony prawowitemu następcy domu Rakanów. Taligoja jest zmęczona Ollarami i otaczającymi tron nikczemnikami, którzy zmienili potężne i wolne państwo w ostoję mroku i gwałtu.

Od układania swojej przemowy odciągnął młodzieńca szczur, ten sam, który przyszedł pierwszego dnia pobytu Dicka w Laik. Szarobure bydlę z długim, nagim ogonem stało słupka na progu, skrzyżowawszy na piersi łapki, aż do obrzydzenia przypominające ludzkie rączki. Był u siebie w domu i nikogo i niczego się nie bał, ale przesadził! Młodzieniec wolno, wolniutko cofnął się do stołu – Księga Oczekiwania w swojej skórzanej oprawie z miedzianymi zapinkami była może nie najlepszym pociskiem, ale broń wydawano unarom dopiero o świcie.

Serce chłopaka tłuło się wściekle: pół roku temu zamyślił sobie – jeśli uda mu się zatłuc przekłętego zwierzaka, to Taligoja będzie wolna. Jeśli dziś zabije szczura, jutro uda mu się zabić kardynała... Oto i księga, ciężka i niewygodna. Młodzieniec wolno, jak myśliwski pies, ruszył wzdłuż ściany, nie spuszczać oka ze zdobyczy. Szczur nie uciekał, choć należał do plemienia słynącego z ostrożności. Światło lampy odbijało się w koralikach oczek, twarde jak u Aramony wąsy bezczelnie sterczały na boki. Richard zrobił jeszcze krok – szczur nie poruszył się. Nie było sensu dalej kusić losu, ciśnięty pewną ręką ciężki wolumin z hukiem trzepnął w podłogę tam, gdzie mgnienie oka temu widniała ogoniasta bestia. Młodzieniec nawet nie wiedział, czy trafił – zwierz, czy to oszalały ze strachu, czy ranny, skoczył na swojego krzywdziciela, celując mu w gardło. Uratował go znenawidzony strój unara, uszyty z bardzo grubego płótna. Richard oderwał od siebie kąsającego zwierzaka, mocno trzepnął nim o ścianę, cisnął na podłogę i dołożył ciężkim podkutym butem. Koniec – zwierzak ze złamanym kręgosłupem szarpnął się i znieruchomiał.

Z trudem oderwawszy wzrok od burego ciała, młodzieniec zajął się swoją ręką – przeklęty szczur zdołał go jednak ugryźć. Najpierw Dickon chciał tylko przemyć rankę, ale potem przypomniał sobie, że ukąszenia szczurów są trujące, rozgrzał więc na ogniu kaganka nożyk do ostrzenia piór. Ból był piekielny, ale wytrzymał go. Dobrze, że podczas ceremonii będą mieli na sobie rękawiczki – musiałyby tłumaczyć wszystkim razem i każdemu z osobna, co mu się stało w rękę. Żeby tylko ranka i oparzenie nie przeszkodziły mu w wykonaniu zamysłu, mógł przecież, przeklęty szczur, ukąsić go w lewą! Młodzieniec z nienawiścią popatrzył na trupa wroga – ten zniknął. To ci dopiero żywotna zaraza! Dick gotów był przysiąc, że przetrącił mu kręgosłup.

Dziwne, że szczur przyszedł tylko w pierwszą i ostatnią noc w „okólniku”, ale zdarzają się nie takie przypadki. Kłaść się głupio, i tak z tym oparzeniem nie zaśnie, a zresztą już świta. Dickon ubrał się, zgasił lampę i usiadł na parapecie, obserwując, jak do starego parku napływa ranek. Dzień miał być piękny, długo oczekiwany dzień, kiedy uwolni się od kapitana Aramony, od szmat z herbem Ollarów, znieprawionego pokoju, gotowanego grochu. Estebana z jego przydupasami. Tylko że zamiast tego „okólnika” czeka go inny. Wszyscy żyją w „okólniku”, ponieważ Quentin Dorac decyduje, kogo hrabia Kilean-ur-Lombach i hrabia Arigau mogą sobie wziąć za giermka, a kogo – nie...

Po zniknięciu szczura decyzja o powtórzeniu czynu Alana Ockdella straciła połowę swojego uroku. Zły omen! Może i zabije Doraca, ale sam...

Skrzypnęły drzwi i Dickon zobaczył braci Katerschwanzów. Norbert i Johann, kompletnie ubrani i niezwykle poważni, weszli do pokoju i Johann zahuczał:

–My widzimy, ty nie tak!

–Tak, Richardzie – pokręcił głową Norbert -. wróciłeś wczoraj bardzo niezadowolony. Co złego ty się dowiadywałeś?

–Nic – usiłował uśmiechnąć się Richard, chowając rękę za plecy. – Po prostu jestem zmęczony.

–My być twoi przyjaciele – błękitne oczy Johanna patrzyły z wyrzutem – a ty jest zły kłamca. Wyjechałeś z jedną twarzą, a wróciłeś z drugą.

Richard popatrzył na bliźniaków. Powiedzieć? Katerschwanzowie, choć nie należą do grona Ludzi Honoru, to są wasalami fok Warzowa i prawdziwymi przyjaciółmi.

–Wyślą mnie do domu.

–Ale czy to źle? – Na twarzy Johanna pojawiło się zdziwienie. – Tyle razy mówiłeś o życzeniu wyjazdu do Ockdell, do zamku Nador. Czy ja nie tak?

–Tak, Johannie, ale już się zgodziłem zostać w Ollarii. Dwaj Ludzie Honoru mieli mnie wziąć, ale im zakazano. Dorac zakazał.

–Nie rozumiem. Imiona giermków będą krzyczeć na plac. Ta-ta... to wszyscy wiedzą. Jeśli krzykną ciebie, nikt nie powie „nie wolno”. To jest złamanie porządku.

No tak, Johann ma rację. Zabronić członkowi Wysokiej Rady wziąć sobie giermka, młodzieńca stojącego na placu Świętego Fabiana, nie może nikt. Przecież stary Epineix wybrał Egmonta Ockdella, chociaż sugerowano mu, że powinien wziąć „gnojara”. A fok Warzow z przekory wywołał Roke Alvę, chociaż rozmawiali z nim i Stancler, i Pridd...

Jedenastu Ludzi Honoru nie ma giermka, czyżby mieli dopuścić, żeby syna Egmonta w hańbie wyprawiono do posiadłości rodowej? Reginald, jak i Ivon, wiecznie przewidują najgorsze. Ojciec żartował, że jeśli świeci słońce, to hrabia Larack nie uspokoi się, póki nie spadnie deszcz.

W końcu, co takiego powiedział Reginald? Ze podczas Wysokiej Rady Dorac wspomniał, jakoby nie chciał w stolicy Richarda Ockdella? No to co? Co jest droższe – „rada” fałszywego kardynała, czy słowo Honoru? A szczura przecież zabił, i ten polazł gdzieś tam sobie zdychać...

–Masz rację, Johannie. – Richard uśmiechnął się do herosa. – A wy się nie rozmyśliliście?

–Nie – pokręcił głową Norbert. – My nie możemy się rozmyślić. Bergmark to klucz do Taliga. Heinrich Tłusty chce wojny, jesteśmy potrzebni na rubieżach. Marszałek fok Warzow napisał do Jego Wysokości. Przyjedzie sam, jeśli będzie mógł zostawić armię. A my nie możemy być giermkami Warzowa, on ledwie dwa lata temu brał młodego Rocksleya, a nas jest dwóch. My nie możemy być jeden – tu, drugi – tam, my – bliźniacy Katerschwanz i my musimy bywać razem i wojować z Heinrichem. Ale my nie będziemy umierać jutro, my się jeszcze obowiązkowo zobaczymy i zwyciężymy. Jak mówicie wy, Ludzie Honoru – tak będzie! Coś ty zrobił z ręką?

–Sparzyłem się.

–Trzeba opatrzyć i smarować leczniczym balsamem. My mamy dobry balsam. Johann ci zaraz go dostarczy...

W dniu świętego Fabiana Arnold Aramona patrzył na świat oczyma generała, o ile nie marszałka. W paradnej pelerynie i kapeluszu ze wspaniałymi piórami siedział na ogromnym białym koniu, promieniejąc dumą i zadowoleniem, ale jego wychowankowie nie mieli szczęścia widzieć swojego mentora. Dwadzieścia „źrebiąt” znieruchomiło na brukowanym białymi i czarnymi płytami placu Świętego Fabiana plecami do władcy „okólnika” i twarzą do Króla i Wysokiej Rady.

Jego wysokość Ferdynand Drugi, Jej Wysokość Katarina i Jego Świątobliwość Sylwester w otoczeniu dworaków zasiadali na zadaszanej galerii, owiniętej girlandami z cedrowych gałęzi i purpurowych goździków.[\[91\] Żeby móc dobrze przyjrzeć się Najlepszym Ludziom, trzeba było zadrzeć głowę do góry, a to z kolei było najsurowiej zabronione przez dowodzącego ceremonią generała Manrika. Sam Manrik w towarzystwie giermka i gwardyjskich oficerów dokonał przeglądu skamieniałych młodzieńców i cofnął się do podnóża Kolumny Fabiana. Dick widział nieładną długą twarz, otoczoną rzadziejącymi ciemnorudymi włosami – w tej rodzinie wszyscy mieli takie włosy. Manrikowie nie należeli do Ludzi Honoru. Ich przodek, być może będący synem gogańskiego kucharza, przysłał do Franciska Ollara, kiedy ten nosił jeszcze obraźliwe miano Bezdomnego Króla. Jak ma na imię ten właśnie Manrik, Dickon nie pamiętał – imiona i drzewa genealogiczne „gnojarzy” nic Ludzi Honoru nie obchodzą.](#)

Generał machnął chustą, hejnaliści odegrali „Chwała królowi Taligu”, rozległy się werble i dźwięki fletu. Wystąpił przed wszystkich człowiek w czerni i bieli, w rękach którego widniał duży zwój. Kolejny zwój został uroczyście rozwinięty na przenośnym sekretarzyku, przed którym stanął wysoki łysiejący pisarz, gotowy do zapisywania, kto z Najlepszych Ludzi wyrazi życzenie wzięcia giermka i którego. Werble umilkły, herold zaczął czytać. Głos miał donośny, dobrze wyszkolony.

–Czcigodny kapitan Arnold Aramona jest szczęśliwy, mogąc oświadczyć swojemu władcy i całemu Taligowi, że powierzeni jego pieczy młodzi dworzanie zakończyli obowiązujące szkolenie i oczekują rozkazów od króla naszego Ferdynanda Drugiego. Będzie zatem wiadomym, że oznaczeni dworzanie czczą Stwórcę i namiestnika Jego na ziemi, władają szpadą i piśmem i są pełni zapału.

Kapitan Aramona ręczy za wierność i waleczność młodzieńców, których wywołuje jednego po drugim, zgodnie z ich wojskowymi osiągnięciami i pilnością.

–Hrabia Esteban Sabwe, następca książąt Colignar.

–Norbert Katerschwanz z Bergmarku, wierny wasal margrabięgo Bergera.

–Markiz Louis Alberta Salina z domu Sagnara.

–Księżę Richard Ockdell.

–Johann Katerschwanz z Bergmarku, wierny wasal margrabiego Bergera.

–Wicehrabia Arnould Se, młodszy brat hrabiego Savignac.

–Szlachetny Edward Fensoi, wierny wasal hrabiów Arigau.

–Hrabia Walentyn Wasspard, następca książąt Pridd.

–Wicehrabia Konstantyn Manro, następca hrabiów Manrik.

–Szlachetny Julien Goroi, następca baronów Goroi.

–Szlachetny Julius Aue, wierny wasal hrabiów Gogenloez-ur-Adlerberg.

–Baron Seweryn Zal.

–Wicehrabia Francois Rafie, następca hrabiów Rafiano.

–Szlachetny Blasco Delgado, brat markiza Diegarrona.

–Baron George Gayar, wierny wasal księcia Epineix.

–Baron Robert Lou, wierny wasal hrabiów Rocksley.

–Szlachetny Luidgi Fariani z domu Fukiano.

**–Baron Karl Trotta-ur-Froshenbach, wierny wasal hrabiów Lasterhaftuwer-Niksh –
Baron Anatol May, wierny wasal książąt Colignar.**

–Szlachetny Makiano Tamazini, wierny wasal hrabiów Manrików.

A więc jednak Aramona zapisał go na czwartym miejscu. On, Richard Ockdell, czwarty z dwudziestu! To sprawiedliwe – Norbert i Esteban z Alberto są lepsi. Johann jest też silniejszy, ale w ostatniej walce Berger przegrał z Ockdellem. Richard starał się opędzić od myśli, że Katerschwanz umyślnie z nim przegrał, bo bez tego zwycięstwa majtałby się w najlepszym przypadku na końcu pierwszej dziesiątki, a tak... Kilean-ur-Lombach i Arigau nie będą musieli rumienić się za księcia Ockdella.

–Dwudziestu odważnych arystokratów proponuje swoje życia, honor i szpadę tym, na barkach których trzyma się królestwo – oświadczył herold. – Kto z Najlepszych Ludzi wybierze ich na swoich giermków?

Znowu odezwały się fanfary, a potem z galerii rozległ się ochryply, pewny siebie głos:

–Ja, Wolfgang fok Warzow, marszałek Taligu i dowódca Górnej Marchii Bergmarku, proszę Najlepszych Ludzi zwolnić braci Katerschwanz do rodzinnych ziem, gdzie ich miecze i odwaga potrzebne są, by powstrzymać napór Heinricha Gaunau.

–Najlepsi Ludzie słyszą prośbę marszałka – oznajmił herold.

Znowu fanfary i znowu głos. Admirał Ramon Almeida wybiera Alberto Salinę. Nic dziwnego. Alberto wyrósł na morzu, a wyspiarze trzymają się razem.

Pomocnik głównego intendenta Fridrich Zack wziął do siebie Juliusa, a generał Rocksley, jak zamierzał, młodego Pridda.

–Ja, hrabia Ludwig Kilean-ur-Lombach, komendant Ollarii, proszę i wybieram Estebana Sabwe, najlepszego z fabiańczyków.

Estebana? „Gnojarka”, bezczelnego nikczemnika?! Człowiek Honoru i potomek Colignar?! Dickon z trudem powstrzymał się, by nie wykrzyknąć tego na głos.

Esteban z gracją wszedł po schodach na galerię i zniknął z oczu, ale słowa wygłaszanej przezeń przysięgi były wyraźnie słyszane. Dickon nie wątpił, że „gnojarka” łże. Przysięgi i Honor dla Estebana nie istniały, czyżby Kilean-ur-Lombach nie rozumiał, kogo wybiera, czy... Czy to zapłata za to, że Arigau, nie posłuchawszy kardynała, wypowie imię Richarda Ockdella? Bez wątpienia. Nie czas na spory, er August nie raz i nie dwa o tym mówił.

–Ja, Leopold, książę Fiesco, proszę i wybieram szlachetnego Blasco Delgado.

–Ja, Gui, hrabia Arigau, proszę i wybieram szlachetnego Edwarda Fensoi.

Edwarda Fensoi, swojego wasala! Fensoi zawsze byli giermkami Arigau, to prawda, ale przecież hrabia dał słowo! Czyli Reginald miał rację – Taligoją rządzi Quentin Dorac, a Quentin Dorac boi się i nienawidzi Ockdellów.

Richard nie miał nic przeciwko Edwardowi, to był niezły chłopak. Młodzieniec usiłował zrozumieć Arigau i Kileana, nawet rozumiał ich, ale to nie przynosiło ulgi. Tu, na królewskim placu, Dickon pojął cały bezsens swojego wczorajszego zamysłu. Może zabić kardynała, dopiero stanąwszy obok niego, a na to się nie zanosilo – nie ma po co wchodzić na galerię, jest zbędny. Gwardziści pochwycą go na pierwszym stopniu, a po ceremonii od razu przystawią do niego strażników. Przeklęty szczur...

Następca Władców Skał stał i patrzył, jak jego przyjaciele i wrogowie jeden po drugim wchodził po stopniach i wygłaszając słowa przysięgi. Odchodzili do wielkiego życia, w którym nie było miejsca dla Richarda Ockdella.

Kiedy rozległ się oznaczający południe wystrzał z armaty, na czarnobiałym prostokącie została szóstka. Grubas Karl, pryszczaty Anatol, wracający do swoich gór bracia Katerschwanz, mikrus Luidgi oraz syn i następca wielkiego Egmonta. Dick z całej siły starał się zachować spokój. W końcu kuzyn go ostrzegł.

Wezwanie do stolicy i „kształcenie” były kolejnymi z serii szyderstw z rodziny Ockdellów. Ich służba nikomu nie jest potrzebna! Teraz ma dwie drogi – wrócić do zrujnowanych włości i wraz z matką i Ivonem prowadzić życie ni to prowincjonalnego ziemianina, ni to więźnia, albo uciec do Aldo Rakana, narażając rodzinę na odwet. Trzeciej możliwości nie było.

Ostatni raz odezwały się fanfary, oznajmiające, że sześciu odważnych szlachciców proponuje swoje życia, honor i szpady tym, na barkach których spoczywa królestwo. Ale kto zaryzykuje wziąć do siebie syna zabitego Egmonta? Kuzyn zapewniał, że w głębi duszy Ockdellom współczuje wielu, w pierwszej kolejności królowa i conseiller. Na nieszczęście król patrzy na świat oczami Doraca i marszałka, a dla tych dwóch nie ma winy większej niż pokrewieństwo z Egmontem. Tylko wstawiennictwo Stanclera i Esperadora uratowało rodzinę buntowniczego księcia przez starciem z powierzchni ziemi. Od wyginięcia, ale nie od poniżeń i właśnie jedno z nich musi przeżyć z wysoko uniesioną głową.

Richard, zadarłszy podbródek, stał na zalanym wiosennym słońcem placu pośród słabeuszy i wyrodków, słuchając, jak jego usługi proponuje się członkom Wysokiej Rady. Wiedział, że go nie wybiorą, ale wiedzieć i odczuwać swoją zbyteczność i bezużyteczność – to różne rzeczy.

Herold ponownie podał światu do wiadomości imiona szlachetnych młodzieńców, gotowych zaproponować swoje usługi ostojom królestwa. Brak chętnych! Odziany w barwy Ollarów pisarz wszedł na galerię. Zaraz Francisco podpisze dokument i wszystko się skończy. Żeby tylko wytrzymać! Nikt nie może się dowiedzieć, że syn Egmonta został obrażony i poniżony.

Nad placem zawisła cisza, gotowa pęknąć po armatnim salucie i ryku fanfar. Dickon zaczął w duchu liczyć do stu.

–Richard, książę Ockdell – usłyszawszy swoje imię, młodzieniec drgnął z zaskoczenia. Głos, pięknie brzmiący leniwy baryton, był mu nieznany. – Ja, Roke, książę Alva, Pierwszy Marszałek Taliga, przyjmuję twoją służbę.

Pierwszy Marszałek?! Kenallijski Kruk! Zabójca ojca, potomek zdrajcy... Stać się jego giermkim – to było marzenie niemal wszystkich „żrebiąt”, nawet tych nienawidzących ollariańskich fagasów, ale Alva nie brał nikogo. A teraz wybrał Dicka

Ockdella. Dlaczego? I co on ma robić? Odmówić? Rzucić niktzemnikowi w oczy wszystko, co o nim myśli? Wykorzystać przypadek i wykonać to, co zaplanował? Ale giermków bierze na służbę nie er, a Taligoja, a chora ręka do niczego się nie nadaje... A giermek komendanta Ollarii stoi niżej od giermka Pierwszego Marszałka!

„Król może nie mieć racji, Taligoja – zawsze ma” – mawiał ojciec. Dick Ockdell zostanie w stolicy, nie będzie musiał wracać do zamku, gdzie się nie żyje, a dożywa, rana zagoi się i wtedy robi to, co powinien... A Esteban pewnie gryzie łokcie z zawiści...

Starając się nie potknąć, Richard wszedł po wyłożonych purpurowymi dywanami schodach. Fotel Roke Alvy stał tuż obok fotela Ferdynanda Ollara, przeciwko któremu powstał książę Egmont! Powstał i znalazł śmierć od szpady Kruka. Pod setkami spojrzeń Richard, uklękłszy przed swoim nowym erem, popatrzył mu w twarz.

Mawiano, że pewna dama z domu Alva zgrzeszyła z samym Władcą Kotów. Może tak było, może nie, ale odstraszające piękno jej potomków mogło rywalizować jedynie z ich podłością. Nigdy jeszcze Richard nie widział człowieka piękniejszego i... bardziej odrażającego. W żyłach Alvy płynęła krew Morisków południowej Digady, ale Roke odziedziczył po nich jedynie białe zęby i kruczoczarne włosy. Zbyt duże dla mężczyzny oczy marszałka miały kolor jasnoniebieski, a cera była wcale nie jaśniejsza niż u Taligojczyków czystej krwi. Na pierwszy rzut oka Kruk nie wydawał się silny, ale o jego wytrzymałości i umiejętności władania bronią krążyły legendy.

–Książę Ockdell przysięga – oznajmił herold.

–Ja, Richard z domu Ockdellów – usłyszał Dickon swój głos – dziękuję Pierwszemu Marszałkowi za okazany mi honor. Przysięgam wykonywać jego wolę i służyć mu, a w jego imieniu służyć Taligowi. Od dziś walka księcia Alvy jest moją walką, jego honor moim honorem, jego życie – moim życiem. Niech mnie pokarze Stwórca, jeśli złamię przysięgę. Niech złamie się moja szpada, a imię zostanie zhańbione, jeśli zdradzę swojego pana. Obiecuję iść za nim i służyć mu, póki mnie ze służby nie zwolni.

Trzy lata można wytrzymać, potem otrzyma rycerski łańcuch i wolność i wtedy policzy się z Krukiem za wszystko!

–Pierwszy Marszałek Taliga słyszał twoją przysięgę i przyjął ją – oznajmił herold.

Alva obrzucił swojego giermka znudzonym spojrzeniem i wyciągnął upierścienioną dłoń, dłoń, która zabiła Egmonta! Richard Ockdell dotknął ustami gładkiej skóry, wyczuwając ulotny aromat wonności. W rodzinie Ockdellów uważano za hańbiące przekraczanie granicy oddzielającej schludność od pozerstwa. Kruk miał na ten

temat inne zdanie.

–Pozostań tu – rzucił książkę i odwrócił się do monarchy, a Dickonowi nie zostało nic innego, jak tylko stanąć za fotelem człowieka, który stał się powodem nieszczęść całej jego rodziny. Mógł zasztyletować Kruka. Nie, nie mógł – prawa ręka spuchła mu jak poduszka, a ciosy lewą nigdy mu się nie udawały, poza tym – przecież przysięgał! Teraz młodzian żałował, że nie odrzucił tego, co w ollariańskim Taligu uważano za zaszczyt najwyższy, ale było już za późno. Ockdellowie dotrzymują słowa.

Żeby jakkolwiek uporządkować swoje myśli, Dickon zaczął dyskretnie przyglądać się tym, wśród których przyjdzie mu żyć. Giermek stał za fotelem marszałka i nie widział ani jego oblicza, ani oblicza monarchy, ale mógł rozkoszować się delikatnym profilem Jej Wysokości, niebiorącej udziału w rozmowie.

Richard wiedział, że Katarinę Arigau wydano za mąż za nikczemnego Ferdynanda Ollara, żeby umocnić kruchy pokój. Mateczka i Ivon współczuli dziewczynie, która poświęciła siebie dla ratowania innych, i jakże zasługiwała ona na to współczucie! Uroda taligojskiej królowej nie uderzała w oczy i nie wprawiała w przerażenie. Kardynał mówił o niej jako o Taligojskiej Róży, ale Dickowi wydawała się raczej bladym hiacyntem czy fiołkiem. Obok Katariny siedział August Stancler, którego umysł i upór całymi latami przeciwstawiały się złej woli kardynała. August, przechwyciwszy spojrzenie młodzieńca, uśmiechnął się ciepło, Richardowi ulżyło. Mateczka, nalegając, by wyjechał do Ollarii, miała rację – przy tronie znajdowali się nie tylko szubrawcy.

Część druga

“La Roue de Fortune”[\[92\]](#)

Il a des méchants qui seraiene moins dangereux

s'ils n'avaient aucune bonté[\[93\]](#)

François de La Rochefoucauld

Rozdział 1

Ollaria

„La Dame des Coupes”[\[94\]](#)

1

Na dziedziniec pałacu wjechał Oliver Rocksley na spienionym wierzchowcu, brzęcząc ostrogami wszedł po schodach do ojca i niemal od razu giermkowie pognali do wasali Ockdellów. Następnego ranka pojawił się pierwszy oddział – przyprowadził go baron Glin, malutki i grubiotki jak przekarmiony suseł. Dick przemierzał galerie wypełnione pobrzękującymi bronią żołnierzami, czując się mniej potrzebnym od ostatniego giermka. Wszyscy szli na długo wyczekiwaną wojnę, a on, następca rodu Ockdellów, miał siedzieć z matką i siostrami. Ivon mu współczuł, może dlatego, że sam też zostawał. Chore plecy nie pozwalały rycerzowi spełnić marzenia całego swojego życia – obnażyć miecz za Taligoję i króla Rakana.

Gdzieś głośno i kapryśnie zarzął koń i Nador zniknął – Richard Ockdell był w Ollarii, w domu Roke Alvy. Mówi się, że pierwszy zobaczony w nowym miejscu sen jest snem proroczym, ale dlaczego śni mu się to, co już się wydarzyło?

Noc zrobiła młodemu księciu psikusa, znowu przeżył zachwyty i nadzieję, rozbite przy przebudzeniu. W życiu też już się rozbiły – powstanie stłumione, jedni zginęli w walce, inni zostali ujęci, zabici albo uwięzieni, niektórym udało się uciec do Agarisu, a sprawcą pogromu i porażki był jeden jedyny człowiek. Pierwszy Marszałek Taligu Roke Alva, który wczoraj został erem Richarda. Zresztą Pierwszym Marszałkiem Kruk wtedy jeszcze nie był – czarnobiałą szarfę otrzymał w nagrodę za zabita nadzieję Taligoj. I za głowę Egmonta Ockdella.

Młodzieniec wstał, z nienawiścią zerknąwszy na niebieski kolet, do noszenia,

którego przez trzy lata został zmuszony. Niebieski i czarny – barwy Alvy, nienawistne wszystkim uczciwym ludziom królestwa. Teraz w plecy będą mu uderzały pogardliwe okrzyki, na które nie wolno odpowiedzieć, ponieważ są uzasadnione, i nie wolno nie odpowiedzieć, bo przecież złożył przysięgę swojemu erowi i powinien jej dotrzymać, a jego czas dopiero nastąpi. Najbardziej na świecie Dick chciał się zobaczyć z conseillerem, ale jak to zrobić, nie zwracając na siebie uwagi? Wczoraj August patrzył na niego z niemaskowanym współczuciem, pomoże wytłumaczyć mateńce i Ivonowi, jakim to sposobem następca Ockdellów nałożył niebieski kolet.

Trzeba za wszelką cenę odnaleźć Stanclera i jakiegokolwiek lekarza. Na rękę strach było patrzeć – zachwalany balsam z Torki wyciszał ból, ale nie leczył. Młodzian z trudem nałożył rękawiczkę, która w tej chwili działała jak rękawica do tortur, wyszedł z pokoju, trochę pobłądził po korytarzach w poszukiwaniu schodów i... wpadł na swojego era. Roke miał na sobie lekko zakurzony strój do konnej jazdy – albo nie nocował w domu, albo zdążył już dokądś pojechać i wrócić.

–Pan, młodzieńcze, widocznie należy do szacownego plemienia sów? – zainteresował się Alva, podając kapelusz nadbiegającemu służącemu. – Proszę za mną, musimy porozmawiać.

Dickon postarał się przybrać obojętną minę i ruszył za marszałkiem, w głębi duszy czując się wiejskim niezgrabą, złościąc się z tego powodu i na siebie, i na Kruka. Ojciec, Ivon, przyjeżdżający do Nadoru Ludzie Honoru ubierali się umyślnie skromnie, nosili krótkie brody i unikali ozdób poza rodowymi pierścieniami oraz książęcymi i hrabiowskimi łańcuchami. Richard dorastał w przekonaniu, że ogoleni, spryskani pachnidłami parweniusze nie mają prawa nazywać siebie mężczyznami i szlachcicami, ale Roke Alva, mimo braku wąsów, brody, mimo długich włosów nie wydawał się ani żaloszny, ani kobiecy, nawet jeśli zapomni się, ilu już zabił w pojedynkach i ile odniósł zwycięstw.

Wyzywający przepych, jakim otaczał się marszałek, był policzkiem dla wszystkich Ludzi Honoru, ale Dickon nie miał czym nań odpowiedzieć. Znalazłszy się w cudzym, urządzonym bogato gabinecie, Richard poczuł pałący wstyd za przeżarte kornikami podłogi nadorskich sal, wytarte dywany, mętne okna z małutkimi szybami. Władcy Skał dożywali swojego wieku niemal w nędzy, a potomek zdrajcy, który przywiódł do zniszczenia wielką Taligoję, tarzał się w złocie. To było niesprawiedliwe, ale czy w ogóle sprawiedliwe jest, że ojciec zginął, na tronie siedzi Ollar, a prawowity potomek Rakanów kryje się w Agarisie, oczekując najemnych zabójców?

–Siadaj, młodzieńcze – zezwolił Alva, rzucając się na pokryty błyszczącą czarną skórą fotel. – Czyli tak, zaczniemy od obowiązków. Nie masz ich i nie będziesz miał. Mniej niż giermka potrzebuję tylko duchownego, którego na szczęście nie mam. Tym niemniej przez trzy lata będziesz musiał mieszkać pod moim dachem. No to żyj sobie na zdrowie. Możesz dysponować swoją osobą do woli, ale ponieważ jesteś moim

giermkciem – książę przysunął do siebie dzban i nalał do wysokiego kielicha ciemnoczerwonej ciecchy – będziesz musiał odpowiednio się ubierać. O odzienie zatroszczy się służba. Oczy masz szare, a włosy ciemnoblonde, tak więc czarny i niebieski cię nie oszpeci, choć nie powiedziałbym, że to twoje kolory. – Książę popatrzył pod światło na wino. – Pieniądze masz? O ile mi wiadomo, sprawy w Ockdellu nie mają się najlepiej...

O ile mi wiadomo?! Można pomyśleć, że wojsko do Ockdellu wprowadził chan koptyjski!

–Mam pieniądze, panie.

–Kiedy się skończą, a pieniądze w Ollarii mają zwyczaj kończyć się szybko – powiesz mi. Skoro już jesteś przy mnie, to nie życzę sobie słyszeć od innych, że mój giermek musi się liczyć z pieniędzmi. To, jak sądzę, wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Radzić, jak nie popełnić jakiegoś głupstwa, nie będę – i tak je popełnisz. Konia masz?

–Tak – wykrztusił oszołomiony Dick.

–Z nim do Paco. Ze wszystkimi innymi sprawami – do Juana. – Kruk łyknął i odstawił kielich. – I jeszcze jedno, młodzieńcze. O twoich uczuciach do mojej osoby i mojego rodu mam pojęcie, więc proszę nie robić dobrej miny do złej gry. Na nieszczęście w tym królestwie odbywa się pełno ceremonii, podczas których giermek musi towarzyszyć swojemu panu. To nieszczęście, mam nadzieję, przeżyjesz. W twoje stosunki z moimi wrogami wchodzić nie zamierzam, chcesz mieć z nimi do czynienia – miej. Mnie to w żaden sposób nie dotknie, a czy dotknie ich to, że przysięgałeś mnie – nie wiem. Myślę, że wybaczą ci z dobroci serca... – Alva przetarł oczy od nosa w kierunku skroni. – Możesz odejść, młodzieńcze. Jeśli mi się coś z tego, co robisz, nie spodoba, to ci powiem. Jeśli nagle staniesz się mi potrzebny, też powiem. Żegnam.

–Do widzenia, panie. – Richard pośpiesznie chwycił kulę z kości służącą za klamkę i z trudem powstrzymał okrzyk.

–Co ci się stało w rękę?

–Którą?

–Prawą. Podejdź no tutaj.

Richard nie miał innego wyjścia jak podejść.

–Zdejmij rękawiczkę.

Dickon spróbował i niemal zawył.

–Dobra, zostaw to. – Marszałek chwycił giermka za ramię i dosłownie cisnął na fotel.

– Kładź rękę na stole.

Ból był gwałtowny i krótki. Kruk zdarł rozciętą rękawiczkę, odrzucił wytworny sztylet i gwizdnął.

–Ockdellowie są, rzecz jasna, uparci i głupi, ale tym, młodzieńcze, przebiłeś nawet swojego ojca. Siedzieć mi tu! – Uchwyt dłoni Kruka był żelazny. – Od kiedy to?

–Od wczorajszego poranka.

–Kłamiesz, przez jeden dzień tak by się nie zapaprało, chyba, że... Co cię ukąsiło i gdzie?

–Szczur... W „okólniku”, znaczy w posiadłości Laik... Przypaliłem ranę, a potem jeszcze potraktowałem balsamem...

–Czyli Aramona nawet szczury ma jadowite. – Kruk wstał i podszedł do szafy z ciemnego drewna. Zmieszany Dickon patrzył, jak nalewa coś do emaliowanego kubka.

–Pij, i to do dna!

Oczy Richarda omal nie wypadły z orbit, ale posłusznie wypił coś, co przypominało ciekły ogień. Od razu zrobiło mu się gorąco, ból nieco ustąpił, ale głowy odyńców na przeciwległej ścianie zaczęły drżeć i się dwoić.

–Zamknij oczy. Jak będziesz chciał krzyzczeć – krzycz.

Dickon bardzo chciał krzyzczeć, ale wytrzymał.

Nie wiedział, co mu robi Kruk. Święty Alanie, w ogóle przestał cokolwiek wiedzieć. Został tylko ból i pamięć o tym, że nie wolno krzyzczeć.

–Koniec – usłyszał z oddali. Dick usiłował otworzyć oczy – wszystko przed nim falowało i kołysało się, potem w nozdrza uderzyła mocna, wstrętna woń i w głowie pojaśniało.

–Jutro trzeba będzie zmienić opatrunek, przyślę lekarza, a teraz idź do siebie i kładź się. – Książę szarpnął pleciony sznur, na progu pojawił się dyżurny paź. – Odprowadź pana giermka do jego pokoju, jest chory, i przyślij kogoś, żeby tu posprzątał.

–Do widzenia, panie – wymamrotał Dick, wypełzając z gabinetu.

Lekarz, szczupły starzec z orlim nosem, zachowywał się z istic królewską godnością. Dickon, przygryzając wargi, patrzył w sufit; bolało, ale bez porównania mniej niż w gabinecie księcia. W końcu lekarz nałożył opatrunek i pokiwał z zadowoleniem głową.

–Miał pan szczęście, młody człowieku, że osobiście zajął się panem monsignore, w innym przypadku straciłby pan rękę, i to w najlepszym razie. W Ollarii nie znajdzie się nawet dziesięciu ludzi, którzy potrafią powstrzymać zakażenie tego typu, nie uciekając się do amputacji. Więc powiada pan, że ukąsił pana szczur?

–Tak, ale przypaliłem ranę, a potem posmarowałem balsamem.

–Nie przypalił pan, a oparzył wierzchnie tkanki, co tylko pogorszyło sytuację. Cóż, proszę odpoczywać, odwiedzę pana jutro.

Przyszło mu odpoczywać cztery dni. Ani marszałek, ani nikt inny nie pamiętał o Ockdellu, chociaż młodzieniec oczekiwał, że odszuka go kuzyn albo Stancler. Widocznie żaden z nich nie potrafił się zmusić do przekroczenia progów Kruka. Samego księcia młodzieniec widział kilka razy przez okno, gdy ten wyjeżdżał z dziedzińca na karym ogierze niespotykanej urody. Richard bardzo by sobie życzył, by gwałtowność i wytrzymałość rumaka ustępowała jego urodzie, a w ogóle dobrze by było, gdyby zrzucił jeźdźca, ale to, co młodzian słyszał o Kenallijczyku, nie dawało większych nadziei. Sława Roke jako jeźdźca ustępowała może tylko sławie Roke – szermierza i Roke – stratega.

Gdyby na miejscu Dickona był którykolwiek z unarów, może poza Walentynem, promienieliby ze szczęścia, ale Richarda Ockdella patronat zabójcy ojca i potomka Ramiro nie cieszył. Żeby tylko nie odwrócili się od niego Nal i er August! Bo przecież mogą sobie pomyśleć, że unika ich umyślnie, a o ręce wiedzą tylko bracia Katerschwanzowie, którzy już jadą do swojej Torki. Dick wyobrażał sobie ogromnych baronów – jednego na białym koniu, drugiego na czarnym... Nawet się ze sobą nie pożegnali... Alberto też pewnie już wyjechał ze swoim admirałem, a i Arnould nie będzie siedział w stolicy, jego er pilnuje zachodnich granic. Dlaczego przyjaciele oddalili się o setki horn?[\[95\]](#)

–Panie Ockdell. – Smagły, trzynastoletni może paż pochylił głowę w pełnym szacunku ukłonie. – Monsignore polecił się panu ubrać i zejść na dół. Szaty są przygotowane. Pomóc panu przy ubieraniu?

–Nie! Odejdź.

Tak w ogóle to niepotrzebnie odmówił. Czarnoniebieski strój nie przypominał ani

odzienia unara, ani tego, które Dick nosił w Ockdellu, i młodzieniec nie od razu połapał się w kroju – zapięcia okazały się tak ciasne, że jedną ręką nie mógł sobie z nimi poradzić. Pomógł mu sługa, który przyszedł ponaglić giermka i nie pytając o pozwolenie, dobrał się do przeklętych haftek.

Dickon oczekiwał, że Kruk obsztorcuje go za spóźnienie, ale marszałek, nie powiedziawszy ani słowa, wskoczył na siodło, wywołując u Dicka mieszane uczucia zachwytu i złości. Dickon dużo był dał za takie mistrzostwo i za takiego rumaka, obok którego Psoтник wydawał się wieśniaczym konikiem. Na dodatek Ockdellowy ogierek w obecności karego moriska zdenerwował się i Dick chwilę dreptał w miejscu, obawiając się, że spadnie. Ręka ciągle go jeszcze bolała, a ironiczne spojrzenia marszałka i kenallijskich służących pozbawiały pewności siebie.

Sytuację uratował Paco, wzięwszy Psoтника za kantar. Dopiero siedząc w siodle, Dick odetchnął i odważył się popatrzeć na swojego era. Alva, nie odzywając się ani słowem, skierował się do bramy. Karosz miał ochotę na trochę ruchu, ale podporządkował się i ruszył stępą, pięknie wygiąwszy błyszczącą szyję. Dick, przypomniawszy sobie, że miejsce giermka jest po lewej i o pół długości konia z tyłu, wysłał Psoтника za ogierem marszałka, utrzymując dystans, ale Roke wstrzymał swojego ogiera.

–Powinieneś, młodzieńcze, posiedzieć jeszcze przez kilka dni w domu, ale dziś są urodziny królowej. Wedle etykiety Najlepsi Ludzie zjawiają się po kolei w pałacu w towarzystwie rodziny i giermków z paziami. Przed pierwszym Leworęki mnie strzeże, ale ty będziesz musiał trochę pocierpieć. Po ceremonii możesz sobie iść, gdzie oczy poniosą, tylko nie zabłądź: Ollaria to duże miasto.

–Słucham era.

–Richardzie Ockdell – przerwał mu Alva. – Nazywaj mnie monsignore albo panem Pierwszym Marszałkiem. Mnie jest wszystko jedno, ale inni cię nie rozumieją. Dla Ludzi Honoru jestem nie erem, a wrogiem i nikczemnikiem, a dla drugiej strony wrogami są wszyscy, który wymawiają słowo „er”, więc obrażasz i jednych, i drugich.

–Słucham, monsignore.

–Dobrze – skinął głową Kruk i lekko ruszył wodzami. Rozmowa była skończona. Dick westchnął i ruszył za monsignore.

Tak więc obowiązków świeżo upieczony giermek nie ma, wtrącać się do jego spraw Kruk nie zamierza, można robić, co się chce, i spotykać, z kim mu się podoba. Wszystko działa się dobrze, że lepiej nie można, ale w sercu z jakiegoś powodu rosła uraza.

Budowniczy Nowego Pałacu cieszył się łaską Stwórcy. Przepych nie dławił. Wyrafinowane płaskorzeźby, wspaniałe posągi, wyszukane połączenia kolorów i wzorów nie oszałamiały, nie poniżały, a wywoływały drżący zachwyt. Niczym polana kwitnących konwalii wiosną albo pociągnięty pozłotą brzozy zagajnik w dni Jesiennych Wiatrów. Dick, co rusz miał ochotę zatrzymać się i przyjrzeć obrazowi albo freskowi, które zwróciły jego uwagę, ale marszałek obojętnie maszerował, monosylabami odpowiadając na pełne uniżenia powitania. Kruka nic nie obchodziły ani otaczające go piękno, ani zagadujący go ludzie, z których większość ubierała się tak jaskrawo i z takim przepychem, że Richard wkrótce poczuł, że bolała go oczy.

–Dzień dobry, Roke. – Ktoś leciwy i otyły zastąpił im drogę. – Mieliliśmy nadzieje, że choćby dziś zdradzicie czarny kolor.

–Witam pana, markizie – lekko pochylił głowę Alva. – Zapewniam cię, że mogę wyrazić swoje umiłowanie Jej Wysokości innym sposobem.

W oczach markiza błysnęło coś obrzydliwego.

–Bój się Stwórcy, Roke. Nikt w to nawet nie śmie wątpić.

–Cieszę się, że w tym królestwie jest coś, w co nikt nie wątpi – rzucił w zamyśleniu Kruk. – Moje uszanowanie, markizie. Chodźmy, Richardzie.

–Ach, właśnie – nie ustępował grubas. – Masz w końcu giermka. Wszyscy byli dosłownie porażeni...

–Ja też byłem porażony – zapewnił go Alva. – Jednością Najlepszych Ludzi i szacunkiem, jaki owi żywią do Jego Świątobliwości.

–A jednak. – Markiz płonął z ciekawości. – Po co ci giermek? Czy chodzi tylko o jego nazwisko?

–Chcesz spaść ze schodów? – zapytał z miłym uśmiechem marszałek.

–Stwórco! Oczywiście, że nie! Ale, Roke, wydawało mi się, że nie uważasz mnie za swojego wroga.

–Nie uważam – zgodził się Kruk. – Dlatego zapytałem. Gdyby tak nie było, już byś leciał. Idziemy, Richardzie.

Dick wykonał polecenie z największą gotowością – grubas z jego chytrymi, otłuszczonymi oczkami był wstrętny, ale wychodzi na to, że Kruk wziął go na złość

Doracowi? Jakże to?! I co ma do tego jego nazwisko? Alva i Ockdellowie są wrogami od czterystu lat. Młodzieniec zrozumiał, że zaplątał się ostatecznie. Jedyna nadzieja – po ceremonii jest wolny, może uda się porozmawiać z erem Augustem.

Odechciało mu się patrzeć na boki. Teraz Richard maszerował, nie odrywając wzroku od ozdobionego szafirami sztyletu za plecami swojego era, którego miał nazywać monsignore. W końcu dotarli do obszernej sali wypełnionej wystrojonymi dworzanami, którzy pośpiesznie rozstępowali się przed Pierwszym Marszałkiem Taliga. Roke, nie rozglądając się, szybko szedł przez tłum i Dick, nie wiedząc, czy dobrze postępuje, posuwał się za nim.

Przed nimi ukazały się bogato zdobione dwuskrzydłowe drzwi, przy których stali nieruchomo, krzyżując lekkie halabardy, czarno-biali gwardziści. Na widok marszałka zrobili po kroku w bok, trzasnęli obcasami i wyprężyli się, robiąc przejście. Roke z depczącym mu po piętach Dickiem znaleźli się za drzwiami i młodzieniec zrozumiał, że to poczekalnie Jej Wysokości.

Marszałek, nie zatrzymując się, minął stadko dam dworu w ceremonialnych sukniach i niedbale odsunawszy białą, haftowaną purpurą zasłonę, wszedł do niewielkiego pokoju. Katarina Arigau siedziała przy zwierciadle, a dwie służące coś robiły z gęstymi, popielnego koloru włosami królowej. Dick nie widział jej twarzy – tylko odbicie. Widocznie Jej Wysokość również zobaczyła ich w lustrze. Królowa drgnęła, choć, być może, przyczyną tego była niezręczność cameristy.

–Panowie. – Głos Katariny brzmiał młodo, w ogóle wydawała się zbyt młoda i krucha dla tej czarnobiałej sukni i skomplikowanego wysokiego uczesania. – Zawsze jesteśmy radzi widzieć Pierwszego Marszałka Taliga i jego giermka.

–Giermka? – Roke obejrzał się i popatrzył na Dicka. – Rzeczywiście, giermka. Kazałem mu iść za sobą i zapomniałem powiedzieć, żeby został w poczekalni.

–O – szybko powiedziała królowa. – Cieszę się, widząc tego młodzieńca. Nie wątpię, Alva, że nie będziesz żałował swojej decyzji.

–Jej Wysokość może być pewna. Ja, jak wiadomo, nigdy niczego nie żałuję.

–To nam dobrze wiadomo. – Dickowi miał wrażenie, że królowa westchnęła. – Ale proszę mi wybaczyć, jeszcze nie dokończyłam toalety.

Dick myślał, że teraz wyjdą, ale Roke nie miał zamiaru tego robić.

–Miałem nadzieję, że Jej Wysokość jeszcze nie wybrała biżuterii. Mam nadzieję, że ten kamień posłuży Waszej Wysokości właśnie w tej chwili. – W ręku Kruka zapłonęła purpurowa gwiazda. Purpura, kolor domu Arigau, który nosiłyby i Richard, gdyby księżę Gui nie ustąpił przed wolą Doraca.

–Dziękujemy za tak szczodry dar. Kenalloa obfituje w drogocenne kamienie.

–Jak również w wina, konie, broń i odważne serca. – Głos brzmiał miło, ale widząc, do kogo należy, Dickon zacisnął pięści. – Wojownik, jak widzę, znowu wyprzedził mnicha. Roke, sądziłem, że purpurowe roje to bajki.

–Większość bajek jest w takim czy innym stopniu prawdziwa, Wasza Świątobliwość. Wody Kaossy naprawdę podmywają skały Despery i niosą zdobycz ku morzu. Jeden z poszukiwaczy kamieni miał szczęście – to żaden cud. Nie ma też cudu w tym, że ogłupiały z radości kopacz przyniósł zdobycz do mnie, a ja ją kupiłem.

–Pierwszy marszałek jest niesłychanie szczodrym człowiekiem. – Głosik królowej był spokojny i smutny. Przesadnie smutny jak na kobietę, która stała się posiadaczką ozdoby, o której już krążyły legendy.

–Alva noszą tylko szafiry i brylanty... Purpurowe roje mu nie są potrzebne. – Zapatrzony w królową Dick nie zauważył pojawienia się conseillera, choć od kilku dni myślał tylko o tym, jak go znaleźć.

–Prawda, że to smutne? – błysnął oczami Kruk. – Do mnie należy to, co mi nie jest potrzebne, a inni potrzebują tego, co do nich nie należy.

–Jeszcze smutniejsze – oziębło powiedział Stancler – kiedy do kogoś nie należy to, co powinno należeć właśnie do niego.

–To znaczy, że jest głupi, tchórzliwy albo leniwy – wzruszył ramionami marszałek.

–Albo, że jego przodków ograbiono.

–Jedno drugiego nie wyklucza. Przodkowie mogli być głupi, a potomkowie – tchórzliwi i leniwi. – Oczywiście Roke chłodem i twardością mogły konkurować z szafirami na jego sztylcie. Dick miał wrażenie, że wspaniały, obity białym jedwabiem pokój zasypuje nienawiścią niczym śniegiem.

Conseiller uśmiechnął się.

–Talig bez wątpienia ma szczęście, że jego Pierwszy Marszałek ma tak skrytalizowane poglądy.

–Talig ma szczęście – z nie mniej miłym uśmiechem wtrącił się Dorac – że conseiller ma poglądy równie określone. Ale najbardziej Taligowi powiodło się w tym, że ma tak szlachetną i piękną królową... Płonę chęcią wręczenia Jej Wysokości mojego skromnego podarunku.

Jego Świątobliwość, świetny i wspaniały w swoim czarnym stroju, ożywionym

złotym kapłańskim znakiem, wolno zbliżył się do Jej Wysokości. Królowa szybko poderwała się i dygnęła. Dorac uroczyście błogosławił kobietę i dopiero potem wziął z rąk idącego za nim ollarianina wytworną, płaską szkatułkę i otworzył ją efektownym ruchem.

–Święta Oktawia – wyszeptwała Katarina – w moim pokoju w Arigau była jej ikona. Często się przed nią modliłam, bardzo często, ale...

Królowa zamilkła, jak się wydawało Dickowi, przestraszona – widocznie powiedziała więcej, niż zamierzała. Richard wyciągnął szyję, starając się zobaczyć prezent, ale Jej Wysokość trzymała ikonę tak, że widać było tylko złoto i perły sukni ikony.

–Wasza Świątobliwość – zauważył conseiller – proszę przyjąć moje gratulacje, zadziwiające dzieło. Malarz, jak sądzę, jest absolwentem Akademii?

–Tak – żywo odezwał się Dorac. – Ten młodzieniec to Albrecht Richter. To jego nowe dzieło.

Dorac, er August i Roke o czymś rozmawiali i uprzejmie się uśmiechając, przyglądali się drogocennym prezentom. Jej Wysokość nie brała w rozmowie udziału. Zwolniwszy pokojówki, królowa znieruchomiała w swoim fotelu, złożony na kolanach ozdobione masywnymi złotymi bransoletami ręce. Jej myśli znajdowały się gdzieś daleko od tej wspaniałej komnaty i nienawidzących się wzajemnie mężczyzn.

Zasłona poruszyła się znowu i na progu pojawił się blady, otyły mężczyzna w białym aksamicie i czarnym jedwabiu. Katarina poderwała się znowu i przysiadła w niskim ukłonie. Roke i conseiller przyklękli, Dorac ukłonił się, nie tracąc przy tym swojej dumnej postawy.

Król! Ten człowiek to Ferdynand Ollar, ale jakże mało przypomina władcę wielkiego państwa. W dniu świętego Fabiana Dickowi nie udało się popatrzeć na monarchę, teraz zaś młodzieniec był wstrząśnięty, widząc, jak niepozorna to postać. Otluszczony, pulchny, z przypominającą pobieloną gruszkę twarzą, samym swoim widokiem obrażał pojęcie władzy królewskiej. Każdy z trzech znajdujących się w buduarze królowej arystokratów na tronie wyglądałby znacznie bardziej na miejscu.

Ollar obrzucił pokój sennymi rybimi oczami i zatrzymał na Dicku mętne, beznamiętne spojrzenie.

–Jakoś nie mogę się przyzwyczaić do widoku pana z giermkim, Roke.

–Tym niemniej, Wasza Wysokość, przez najbliższe trzy lata będzie przy mnie ów godny w każdym calu młody człowiek. – Mimo grzecznych słów Dick miał wrażenie, że został obrażony. Król zresztą też.

–Pańska sprawa. – Wątpła iskierka zainteresowania zgasła, a Ferdynand zwrócił się do małżonki: – Wasza ręka, pani. Oczekują nas.

Królowa pośpiesznie podniosła się i zajęła miejsce obok Ferdynanda, który mógłby uchodzić za jej ojca, jeśli nie dziadka. Dick wiedział, że Katarina Arigau kończy dwadzieścia pięć lat, a Ferdynand Ollar jest starszy od niej o czternaście lat, ale jej nie można było dać więcej niż osiemnaście, a jemu mniej niż pięćdziesiąt. Kiedy koronowana para mijała Dicka, królowa westchnęła, a młodemu człowiekowi zamarło serce ze współczucia i czułości. – Katarina była tak samo samotna i związana z nienawistnym jej człowiekiem, jak i on, ale Richard Ockdell za trzy lata będzie wolny, a Katarina na wieki została przez Stwórcę i ludzi oddana siedzącemu na tronie żaloszemu grubasowi.

Ollar i królowa opuścili buduar jako pierwsi. W poczekalni z najjaśniejszą parą zrównał się przebierający różaniec Dorac – szlifowane granaty w długich, białych palcach wydawały się skamieniałymi kroplami krwi, krwi, której na kardynale było nawet więcej niż na Kruku. Conseiller Taliga i Pierwszy Marszałek szli o dwa kroki za Ich Wysokościami, Dickowi zaś nie pozostało nic innego, jak iść za swoim erem. Z tyłu rozległ się szelest – do procesji dołączyły tłoczące się w poczekalni damy i dziewczęta. Młodzian plecami wyczuwał na sobie zaciekawione kobiece spojrzenia i gotów był zapaść się w wspaniałą czerwony dywan, pokrywający równie wspaniałą parkiet, ale musiał iść, dostosowując krok do kroku Roke. Znalazłszy się w pałacu Ollarów, syn Egmonta Ockdella powinien pokazać każdemu i wszystkim, że niczego się nie boi i nie potrzebuje tych wszystkich „gnojowych” łask.

Młodzian twardo zdecydował, że przejmie od Roke jego chód i jego sposób trzymania głowy. Właśnie tak powinien chodzić człowiek, którego nie obchodzi, co o nim myślą, gardzący tymi, którzy usiłują gardzić nim samym.

Pochód zatrzymał się na osłoniętym dywanem podwyższeniu, z którego otwierał się wspaniały widok na salę, bez wątpienia będącej dumą budowniczego pałacu. Wysoką, na poły przezroczystą kopułę podtrzymywały dwa poziomy śnieżnobiałych kolumn przedzielonych lekką galerią, otoczoną kutą srebrzystą kratą, tak delikatną, że z dołu wydawała się być z koronki. Parkiet zdobiły wspaniałe, wyszukane i proste jednocześnie ornamenty. Mistrz, wykorzystawszy drewno zapewne wszystkich znanych sobie drogich gatunków, osiągnął nieprawdopodobną płynność kolorystycznych przejść. Między kolumnami wisiały wytworne żyrandole, tak delikatne, że aż nieważkie, choć poszło na nie niemało kryształu i brązu.

Ich Wysokości usiadły w obitych aksamitem połączanych białych fotelach, Dorac zajął czarny. Conseiller i Pierwszy Marszałek ustawili się za plecami Ferdynanda, a Dickon, ciągle nie wiedząc, co ma robić, przysunął się bliżej marszałka. Przed podwyższeniem widać było posłów obcych krajów, za nimi tłoczyli się arystokraci – między wygolonymi głowami „gnojarzy” widniały bródki Ludzi Honoru. Dickonowi

wydawało się, że dojrzał księcia Pridda. Ciekawe, gdzie jest Walentyn?

Ferdynand Ollar odkaszlnął i monotonnym głosem zaczął perorować o swojej życzliwości dla zebranych. Król mamrotał, a Dickon patrzył na toczoną szyję Jej Wysokości, lekko pochyloną, czy to pod ciężarem ozdobionego sznurami pereł uczesania, czy pod ciężarem samotności i smutku.

Rozdział 2

Agaris

„Le Deux des Épées” [\[96\]](#)

1

Rober setny raz przyjrzał się sławetnej szkatułce i odłożył ją na stół. Urodą relikwia rodu Rakanów się nie wyróżniała – złuszczone miniaturki wydawały się obrzydliwe nie tyle z powodu treści, co wykonania. Niegdyś dębową skrzynkę zdobiły szlachetne kamienie, ale dawno już zostały sprzedane, a na ich miejscu ziały dziury, odbierające szkatule resztki przyzwoitego wyglądu.

–No i co? – Aldo z zainteresowaniem obserwował manipulacje przyjaciela. – Oddajemy?

–Żeby Enniol nie uznał, że sobie z niego kpimy.

–No – roześmiał się książę – czcigodny sam przyczepił się do nas z rodzinnymi rupieciami, więc niech sobie to paskudztwo zabiera. Najważniejsze, żeby nie było tu żadnych skrytek, bo będzie nam głupio.

–Wygląda na to, że nie ma sekretów – z pewnym powątpiewaniem rzekł Inochodziec i znowu zajął się relikwią. Ta, poza pokrywką, wydawała się wydłubana z jednego większego kawałka drewna. Wewnątrz zachowały się śladu lakieru, z zewnątrz drewno było inkrustowane mało kunsztownymi złotymi i srebrnymi symbolami Wielkich Domów – Fali, Skały, Błyskawicy i Wiatru. Dziwne zawijasy i zygzaki otaczały medaliony z emalii z fruującymi jaskółkami, walczącymi ogierami, morskimi potworami i jesiennymi odyńcami, na pokrywce zaś starożytny rzemieślnik przedstawił coś w ogóle niezrozumiałego. Pośród przypominających poduszki obłoków szybował jakiś wielobarwny zwierz, czterooki i bezsensowny. Jakiś szaleniec do ptasiego korpusu dołożył cztery węzowe szyje, między którymi wiły się macki, a szyje kończyły się czarnymi i białymi łbami koni i dzików rzygających piorunami.

–Co za potwór – westchnął Epineix. – Jak się przyśni, to można się nie obudzić.

Stukanie do drzwi powiadomiło o przyjściu służącego, który przyniósł list od handlarza końmi. Aldo i Rober wymienili się spojrzeniami, potem Inochodziec zawinął dębowe brzydactwo w pelerynę, wziął pod pachę i przyjaciele wyszli, głośno rozmawiając o zaletach moriskiego ogiera. Ogier istniał naprawdę i musieli go

„kupić” – Enniol nie znosił lekkomyślności nawet w detalach.

Morisk naprawdę był piękny i całkowicie odpowiadał swojemu imieniu. Prawdziwy Shad! Oczarowany Epineix tak się wciągnął w rozmowę z koniuchem o zwyczajach rudego urodziwca i nawiązywaniem dobrych stosunków z nim samym, że gdy otworzyły się sekretne drzwi, z trudem przypomniał sobie, o co chodzi. Przyszło zostawić przychylnie chrupiącego marchew konia i zająć się polityką. Tym razem Taligojczycy znaleźli się w ciasnym pokoju znajdującym się pod stajniami. Czcigodny Enniol, jak się wydało Inochodźcowi, postarzały dziwnie, witał ich z już znaną wymyślną uprzejmością.

–Przezacni chcieli widzieć dzieci Gocha, obyśmy byli w stanie usunąć trudności i rozwiązać wątpliwości.

–Mamy jeden problem – bez owijania w bawełnę oświadczył wnuk Matyldy. – Znalazłem pewną rzecz, wykonaną przed nadejściem esperatyzmu, ale dość nieładną. Nie chcielibyśmy, byście uważali, że z was kpimy.

–Niech przezacny nie myśli o drobiazgach. – W brązowych oczach Goganina zapłonął chciwy ognek. – Gdzie jest ta rzecz?

Rober posłusznie rozwinął pelerynę i położył dębową trumienkę na pokryty żółtym aksamitem stół. Enniol nabożnie dotknął pokancerowanej ścianki.

–Znaki Czterech i Zwierz, który zapomniał imię swoje. Przezacni nie rozumieją?

–Nie – szczerze przyznał Aldo. – Jakieś bezsensowne...

–W czasach, kiedy pamiętano dziś zapomniane, Zwierz był znakiem władców ziemskich.

–Wychodzi, że to – Epineix zająknął się – to... stary herb Rakanów?

–Można i tak powiedzieć. – Starzec wolał rozmawiać z Aldo. – Zwierz zdobił tarcze pierworodnych, sztandary z nim powiewały nad złotą Galtarą, a ich cień zakrywał cały świat.

–Jeśli o mnie chodzi, to dobrze, że teraz go nie ma – wymamrotał Aldo. – Strach bierze, jak się na to patrzy.

–Dzieci Gocha z radością uwolnią przezacnego od niemilego mu.

–Czcigodny – Aldo wyraźnie się wahał – a co to za Zwierz i dlaczego był w naszym herbie?

–Zwierzta powołały dzieci Kabiocha. Kertiana nie rodziła stworzenia piękniejszego i silniejszego, ale wszystko mija, skały stają się piaskiem, morze – pustynią, ogień – popiołem, a po wietrze nie zostaje nawet ślad. Nasienie Pierworodnych zapomniało to, co najważniejsze, potem umarło to, co mniej ważne, a dziś nie ma już niczego.

Enniol podniósł się, ostrożnie trzymając w suchych, powykręcanych rękach szkatułę, wydającą się Epineixowi znacznie mniej bezsensowną niż godzinę temu.

–Przezacni dotrzymują swego słowa, a dzieci Gocha płacą za złoto złotem, a za smołę smołą. Wkrótce z Sagrańskich Gór oderwie się pierwszy kamień, poruszy inne, i wrogowie przezacnych zginą pod lawiną.

Ciekawe, jak Hogberd to robi, że z dnia na dzień jest coraz bardziej obrzydliwy? Księżna wdowa, z trudem maskując niechęć, podała grzecznemu baronowi rękę.

–Nie oczekiwałam pana tak wcześnie, Peterze. Czyżby otrzymał pan odpowiedź?

–Nie. Wasza Wysokość – srokata broda poruszyła się – listy w najlepszym razie przybędą na początku przyszłego tygodnia. Przyszedłem oznajmić, że rano Esperador miał wylew. Lekarze uważają, że można już liczyć nie tyle dni, co godziny.

To była jednocześnie dobra i zła nowina. Umierający Adrian był zdeklarowanym zwolennikiem pokoju z Taligiem, ale bronił przy tym wszystkich, którzy schronili się pod jego skrzydłami. Doracowi nie udało się ani Esperadora przekonać, ani zmusić go do wydania powstańców, a i samej księżnej Adrian w swoim czasie bardzo pomógł. Właśnie on, będąc adeptem zakonu Sławy, połączył węzłem małżeńskim młodzieńką pielgrzymkę z urodzonym na wygnaniu Honesty Rakanem. Ojciec, marzący o tym, by wydać Matyldę za księcia Gaunau, wyrzekł się niepokornej córki i więcej już nie zobaczyła porośniętych jodłami Gór Alał, powolnego Kaina, sterczących na szczytach wzgórz zamków z kunsztownymi kogucikami na wieżach...

–Jak zwykle, wszystkie nowiny znacie pierwszy. – W niskim głosie Matyldy nie było nic poza naturalnym dla zabawiającej się polityką kobiety zainteresowaniem. – Kto zostanie następcą Adriana?

–Trudno powiedzieć – rozłożył ręce Hogberd. – Mam nadzieję, że Lucian, ale obawiam się, że Leonid albo Diomidós, ale najprawdopodobniej magnusowie i kardynałowie wybiorą Juniusa.

–Przecież on jest starszy od Adriana. – Matylda dawno już pojęła, że mężczyznom, zwłaszcza tym, których zamierza się oszukać, należy zadawać głupie pytania.

–Właśnie dlatego. – Peter runął głową do przodu w pułapkę. – Siły stronników Leonida, Diomidosa i Luciana są mniej więcej równe. Żaden nie może być pewien sukcesu, ale każdy z nich ma nadzieję przeciągnąć na swoją stronę wahających się, a przede wszystkim tego szaleńca Honore. Najwygodniej jest, więc podpisać tymczasowy rozejm i oddać Jasną Pelerynę Juniusowi. Stary i tak za kilka lat umrze, jego wybór to tylko opóźnienie właściwego wyboru.

–Czyli przez dwa lata nic się nie zmieni?

–Moja księżno – z galanterią rzekł baron – jest pani najmądrzejszą z kobiet!

Wiadomo, że nie głupszą od ciebie, tchórze obżarty! A Adriana mimo wszystko

szkoda, odejdzie z nim jeszcze jeden kawałek minionego życia. Matylda starała się możliwie rzadko wspominać swoje małżeństwo. Urodziwy Honesty okazał się człowiekiem słabym i smutnym, a na widok jego przyjaciół miała ochotę chwycić albo za bat, albo za truciznę dla szczurów. Natomiast Moryjczyka Matylda od czasu do czasu wspominała – ten był odważny, zuchwały, pewien siebie. W głębi duszy księżna sądziła, że jej ucieczka tylko roznamiętni Shada, ale ten już nie wrócił, a Honesty zdradzał ją z pokojówkami... Księżna dowiedziała się o tym po wielu latach i od razu zrozumiała, że jej męża przyciągały pokorność i słabość.

„Wspaniała Matylda” była dla księcia-wygnańca zbyt głośna, zbyt uparta, zbyt jaskrawa. Po co więc dochowywała wierności Honesty? Zresztą, zostając wdową, trochę wyrównała swoje krzywdy...

–... dla nas wygodny – podniósł głowę Hogberd i zamilkł, pytająco patrząc na rozmówczynię.

–Ma pan w dużym stopniu rację – znacząco powiedziała księżna wdowa. – Ale nie możemy sobie dziś pozwolić na błąd.

–Sądzi pani, że to pułapka? Ale Adgemar nie pójdzie na sojusz z Ollarami.

–Raczej Dorac nie pójdzie na sojusz z tym lisem – rzuciła Matylda, zapomniawszy, że należy być głupszym od rozmówcy. – Adgemar, jeśli mu dobrze zapłacą, własne uszy sprzeda, a co dopiero sojusznicze.

–Ma pani całkowitą rację, ryzykować następcą Rakanów nie możemy. Adgemar nie jest tym, komu można ufać. Jednocześnie jednak jego propozycje wydają mi się kuszące. Na szczęście mamy Robera Epineix, on może zastąpić Aldo.

Twoją kawalerię! Rozmarzyła się i opuściła to, co najważniejsze, stara idiotka.

–Epineix sam może decydować, dokąd i po co ma jechać – rzuciła Matylda. – Nie chcę go rozłączać z Aldo. Jeśli Adgemar czegoś chce od Rakanów, niech się zwraca do Rakanów. Bardzo sobie cenię pana przyjaźń i pomoc, baronie, ale im więcej pośredników, tym więcej niezrozumienia.

–Czyli co – poseł Adgemara może złożyć nam wizytę?

–Oczywiście, baronie. Właśnie to mam na myśli.

Znakomicie. Poseł w każdym przypadku będzie musiał opowiedzieć wszystko od początku, a ona weźmie się w garść i nie będzie fruwała w obłokach, tym bardziej, że obłoki dawno już zostały rozwiane przez wichry.

–W takim razie proszę mi pozwolić złożyć uszanowanie. Już późno.

–Do widzenia panu.

Kto to powiedział, że wizyty Petera Hogberda mają swój urok? Że niby radość, jaką odczuwa się, gdy za baronem zamykają się drzwi, jest większa niż rozpacz, jaką wywołuje widok jego fizys. Ale czy naprawdę Adrian umiera? A niby, czemu nie? Esperador choruje od dawna i ma już prawie osiemdziesiątkę. A wtedy? Ile miał wtedy? Ona – siedemnaście, Honesty – dwadzieścia sześć, a Adrian... Trzydzieści siedem albo trzydzieści osiem. Chciał, żeby Matylda została w Agarisie, a ona, kretynka, nie zrozumiała. Jej był potrzebny tylko Honesty, jego błękitne oczęta i marudzenie, a teraz już za późno... Shad nie wrócił, a Adrian został Esperadorem i teraz umiera. Jemu już jest wszystko jedno i jej też.

Matylda cicho gwizdnęła, przywołując Mupę. O polityce pomyśli jutro, a dziś uczci wspomnienia młodości starym kenallijskim. I w ogóle – nie ma nic głupszego od wzruszonych staruch. Co minęło, to minęło.

Za drzwiami rozległ się straszliwy wrzask i Epineix z przyjemnością obudził się. Najgorsza jawa była lepsza od snu, w którym był jedną z głów kretyńskiego Zwierza. Przed nim stała ogromna dębowa szkatuła, wypełniona gotowaną marchwią. Musiał ją zjeść na cześć zwycięstwa Rakanów, ale mimo uporczywego przeżuwania marchwi nie ubywało.

Kiedy nieznamąca kobieta wyrwała Inochodźca z objęć koszmaru, czuł jeszcze w ustach znienawidzony słodkawy posmak. Rober poderwał się i skrzesał ognia, myśląc tylko o tym, czym by zapić wysnzione majaki. Za oknem wisiała gęsta błękitna mgła; wyglądało na to, że noc dopiero weszła w drugą połowę, można jeszcze spać i spać. W kredensie znalazła się butelka „Dziewiczych Łez” – ostatnia z przyniesionych przez Mellit, ale otworzyć jej Rober nie zdążył. Wrzask powtórzył się, do niego dołączył drugi i trzeci. Teraz wrzeszczał cały dom. Taligojczyk zaklął Pociętym Smokiem, Stworami Zmierzchu, Leworękim i czym tylko jeszcze mógł i sięgnął po koszulę.

Inochodziec ubierał się przy wtórze niemilkających krzyków, dziwnych jakichś. Epineix w swoim życiu bywał w różnych opałach, ale niczego podobnego do tych krzyków nie słyszał. Przypasawszy szpadę i sztylet, Taligojczyk wyskoczył na korytarz i zderzył się z tłustym gospodarzem, na szyi, którego wisiała jego chuda czarnobrewa małżonka. Kobieta darła się z zapalem, mężczyzna wydawał się rozdrażniony i lekko przestraszony.

–Co się dzieje? Pożar?

–Szczury, panie – nieco niepewnie wymamrotał oberżysta. – Zwariowały.

–Szczury? – potrząsnął głową Inochodziec.

–Właśnie... Milcz, Anito. Proszę popatrzeć przez okno, sam pan zobaczy...

Rada wydała się Roberowi rozsądna, podszedł więc do niewielkiego, czyściutkiego okna, na którym stała doniczka z pstrym, rozgałęzionym kwiatkiem. Do świtu było daleko, ale Agaris słynął ze swoich latarników, tak więc światła było dość. Najpierw Taligojczyk nic nie widział, potem zobaczył – ulicę wypełniały szczury.

Gryzonie płynęły zwartym szeregiem w dół, ku miejskim bramom. Widok był na tyle dziwny i nieprzyjemny, że Epineix uszczypnął się w ucho, żeby się obudzić. Ból nie pomógł – szczury nie zniknęły. Anita znowu się rozdarła, i Rober rozzłościł się, najpierw na nią, potem na siebie. Widok żywej rzeki był wstrętny i nawet przerażający, ale przyzwyczajony do ścierania się z własnym strachem Epineix zszedł na dół.

Drzwi frontowe były zamknięte i przywalone dębowymi krzesłami, Taligojczyk skorzystał więc z prowadzących na podwórze drzwi dla służby, uprzednio odsunąwszy duży kufer.

Podwórko było puste, o ile nie liczyć sterty beczek i pary tłustych kotów, czujnie znieruchomiałych przy zamkniętych i podpartych wywróconą furmanką wrotach. W Agarisie, jak i we wszystkich esperatyjskich ziemiach, towarzyszy Leworękiego nie czczono, ale oberżyci i kucharze, wybierając między kotami, [97] które kiedyś obrażyły Stwórcę, i pożerającymi zapasy myszami, woleli te pierwsze, a duchowni, wyłączając może tych najbardziej zapalczywych w wierze, przymykali na to oko. Uważano, że koty, jak i myszy ze szczurami, rozmnażają się same, nie tak, jak inne zwierzęta, i że nie da się ich wytępić. Epineix, prychnąwszy na widok tłustych żółtookich drapieźników, wskoczył na furmankę, chwycił się krawędzi muru, podciągnął i usiadł na grubym drażu bramy. Szczury defilowały ulicą, nie zwracając żadnej uwagi ani na Epineixa, ani na krzyki rozzwierające, co rusz ciszę nocy, ani na migocące w domach ognie.

Rober wiedział, że gryzonie opuszczają skazane na zagładę okręty, ale dlaczego uciekają z miasta? Podobno północ Siwych Ziem zamieszkują jakieś przypominające myszy istoty, które czasem wariują i tysiadcami topią się w morzu. Może agaryjskie szczury też zwariowały? Następca rodu Epineix z niezdrowym zainteresowaniem wpatrywał się w zadziwiające widowisko. Nie wiedział, ile czasu minęło, ale czas się chyba zatrzymał, bijący o mury domów i płoty szary strumień płynął i płynął, w nocnej mgłę opuszczające miasto szczury zlewały się ze sobą.

Gdzieś uderzył dzwon, odpowiedział mu drugi nad miastem, mieszając się z kobiecymi piskami, płynął żałobny, uroczysty dźwięk, podsuwający myśli o przemijaniu bytu i słabości człowieka. Szczury wciąż szły, ale zrobiło się ich znacznie mniej, nie napierały już na siebie, a wkrótce rzeka w ogóle rozdzieliła się na dwa strumyki – gryzonie zeszły z drogi i teraz biegły, ocierając się o mury domów. Zbliżał się świt, ale na pozieleniałym bezchmurnym niebie migotały gwiazdy, ostre jak koniuszki szpilek. Rober ostatni raz zerknął na ulicę i zeskoczył na ziemię. Odechciało mu się spać, więc Epineix, jak zawsze, gdy go coś niepokoiło, wpadł do stajni.

Konie nie spały – denerwowały się. Morisk Robera natychmiast wyczuł pana i zarżał. Epineix podszedł do ogiera, Shad tupnął i wyciągnął głowę w kierunku człowieka. Byli ze sobą niezbyt długo, ale Epineixowi udało się zdobyć serce moriska.

–Takie sprawy, panie. – Koniuch, który usłyszawszy kroki, wyjrzał zza przegrody, aż się palił do rozmowy. – Nie inaczej, jak Wielki Sąd nadchodzi, w życiu czegoś takiego nie widziałem.

–Szczury? – Taligojczyk podał Shadowi marchew.

–O nich mówię, ścierwa, całą noc szły. Nocowałem tu. Malwa niedługo ma się żrebić, a te jak się nagle nie rzucą ze wszystkich stron, jak nie pobiegną, prosto na mnie. I na podwórze! Najpierw pomyślałem, że się palimy, ale nie! Przeszedłem się po stajni – ani dymu, ani ognia, a koniki niespokojne. Ja do gospodarza, budzę go, znaczy. On mnie najpierw obszczał, a potem jak popatrzył w okno! Matko kochana! Szczury, i to takie wielgachne, pałacowe widać. Szczurzą matkę na grzbiecie niosły, tfu, zaraza!

–Szczurzą matkę? – zapytał Rober. – Myślałem, że to bajki!

–Jakież tam bajki – poderwał się staruch. – Nawet muły wiedzą, że w każdym miejscu szczury mają królową. Wielka jak pies!

–I ty ją tak w mroku wypatrzyłeś?

–Wypatrzyłem, panie miły. Dokładnie jak pies, a przy niej ze dwa tuziny sług. Ci trochę mniejsi, ale i tak i tak – koszmar. Nie na dobre to, oj, nie na dobre! Och, wybacz, panie, Malwa!

–Pomóc?

–Dzięki powiemy, panie miły. Moich gamoni teraz się nie dowołam. Ale czy to nie dyshonor?

–Przestań, Julio, wychowałem się w stajniach. Mam w herbie konie, a ty pytasz, czy nie dyshonor. Idziemy...

Spędzili dobre trzy godziny obok Malwy; kiedy poród się skończył, po szczurach zostało tylko wspomnienie, na ulicach było pusto i cicho. Esperador jednak zmarł, dlatego odezwały się dzwony – mógł się od razu domyślić.

Na znak żałoby handel uliczny został zabroniony. Zmęczony Rober trochę postął w otwartej bramie – milcząca Kalia Merkana wydawała się taką samą uludą jak wcześniejsza, wypełniona gryzoniami. Kto by pomyślał – szczurza matka! Choć jedna bajka okazała się prawdą, i to dobrze. Szkoda, że nie widział, ale przecież nie będzie teraz pędził za szczurzym pochodem. Teraz to czarękę ponczu i spać. Do wieczora!

Postanowił, że wróci do siebie przez bramę dla służby i po drodze omal nie nadepnął na kota, warującego przy leżącym na boku buciorze, widocznie zgubionym przez któregoś ze służących. Wielgachny rudzielec ze złością prychnął na człowieka i uciekł. Dziwiąc się sobie, Epineix podniósł but i dobrze nim potrząsnął. Do stóp Taligojczyka spadł zakrwawiony szczurek, widocznie nie zdążył ze swoimi, wpadł w łapy kota i jakoś się z nich wydostał. Najmądrzejszym wyjściem było dobić go, ale

dobijać, nieważne, kogo, Inochodziec nie potrafił. Rober rozejrzał się – kot zniknął, ludzi też nie było widać. Taligojczyk na głos nazwał siebie durniem i ostrożnie podniósł żalosne szaroczerwone ciało.

Rozdział 3

Ollaria

„Le Neufdes Épées” [\[98\]](#)

1

Żądając osiodłania Psotnika, Richard obawiał się, że go nie usłuchają, ale koniuszy, jak gdyby nigdy nic, wykonał polecenie, a odźwierny otworzył bramę. Giermek Pierwszego Marszałka rzeczywiście mógł robić, co mu się żywnie podobało. Dick nie wiadomo, po co powiedział, że jedzie do miasta i wróci przed wieczorem – służący beznamiętnie pochylił głowę i młodzian, opuściwszy willę Kruka, pojechał w stronę Ogrodowego Przedmieścia.

Psotnik niespokojnie zerkał na przechodniów; Ollaria się nadorskiemu ogierowi nie podobała i Dick zgadzał się z nim całkowicie. Młodzian żałował, że wziął młodego i nieco dzikiego Psotnika, zamiast spokojniejszego Rufusa, na którym można było jeździć bez obaw. Stolica i dla Richarda, i dla jego konia była zbyt hałaśliwa. Hałaśliwa i obojętna, król okazał się istotą żalospną i obrzydliwą, er – ironicznym i złym, ale królowa...

Er August miał rację mówiąc, że czasy rycerzy przeminęły... W przeszłości Ludzie Honoru byliby szczęśliwi, mogąc umrzeć za Katarinę Arigau, a teraz taka istota jest sama w otoczeniu wrogów i niktzemników. Nawet on, Richard Ockdell nosi czarne i niebieskie barwy. Ale i tak Jej Wysokość powiedziała, że wierzy w niego. Właściwie powiedziała może niezupełnie to, i w ogóle jej słowa były skierowane do Roke...

Richard już w Laik dowiedział się, że Pierwszy Marszałek jest kochankiem królowej, ale wtedy młodzieniec jeszcze nie widział Katariny. Czy to prawda? Nie może być, to niemożliwe, niesprawiedliwe, wstrętne! Dobro nie może należeć do Zła, a Światło do Mroku. Jak kobieta z domu Arigau mogła zejść się z potomkiem zdrajcy – przyczyny upadku Taligoi, z człowiekiem, który zdławił wzniecone przez Ludzi Honoru powstanie, w którym uczestniczyli również bliscy krewni Arigau, nie mówiąc już o suzerenach! [\[99\]](#)

Chłopak rozumiał, że jego er jest piękny, silny i szczęśliwy, ale przecież są w życiu rzeczy ważniejsze. Richard nie chciał wierzyć w plotki. Katarinę obrzucono oszczerstwami, jak obrzucono i jego samego, nazywając Sużą-Muzą! Ale przecież on, syn Egmonta Ockdella, zabitego przez Roke Alvę, przysięgał jego zabójcy. Katarinę, jak i jego, mogli zaskoczyć, ale to nie jest miłość! To nie miłość! Królowa nie wydawała się szczęśliwa na widok Roke Alvy, nawet prezent jej nie ucieszył. Jej

Wysokość boi się marszałka. Marszałka i Doraca. Zakładniczka na tronie...

Richard starannie odsuwał od siebie ten obraz, ale wyobraźnia uparcie podsuwała widok Pierwszego Marszałka, zapinającego na szyi Katariny, cienki złoty łańcuszek. W rzeczywistości takie coś nie miało miejsca – królowa zapięła podarek sama, ale tylko z powodu etykiety. Roke jest szalenie przystojnym mężczyzną, i królowa kocha go. Kocha go, a on podarował jej kamień, który wart jest więcej niż zamek w Nadorze ze wszystkimi jego mieszkańcami. Dick zrozumiał, że kompletnie się już zaplątał, i pomoc mu może tylko conseiller. Nie udało się porozmawiać z nim w pałacu – Stancler oddalił się z królem, nawet skinieniem głowy nie pożegnawszy się z Dickiem, a marszałek niedwuznacznie oświadczył giermkowi, że jest wolny. Musiał więc odejść.

Dopiero po wyjściu z pałacu Richard uświadomił sobie, że nie ma dokąd pójść – znajomych i przyjaciół w stolicy Władca Skał nie miał. Poza Nalem. Ale gdzie mieszka kuzyn, Dick nie wiedział. Musiał wrócić do domu Alvy. Richard całą noc stał przy oknie, czekając na swojego era, ale ten nie wrócił. Richard sądził, że wie, gdzie nocuje Roke, ale przekonywał siebie, że w dniu urodzin Jej Wysokość nie będzie sama, a marszałek pewnie gra w karty albo pije z innymi wielmożami. Przed świtem w głowie chłopaka kotłowała się tylko jedna jedyna myśl – znaleźć era Augusta i wypytać. Nie mógł przecież myśleć tylko o królowej. Smutna młoda kobieta we wspaniałej, ciężkiej sukni ciągle stała się przed oczami Dicka. Radosne poranne miasto ze wszystkimi swoimi handlarzami, pokojówkami, dzikim winem na murach, pstrymi szyldami, pałacami i kościołami nie było w stanie oderwać młodzieńca od wczorajszego krótkiego spotkania.

Jakkolwiek było to dziwne, jednak mieszkanie conseillera Richard znalazł od razu. Dwupiętrowy przysadzisty dom, jako żywo przypominał samego Augusta – pewne, nierzucające się w oczy, ale robiące wrażenie domostwo. Odźwierny długo przyglądał się młodemu szlachcicowi na wysokim wierzchołku z obciętym ogonem, a potem powiedział, że pana Stanclera nie ma w domu. Richard westchnął i wolno pojechał wzdłuż kamiennego muru, nie bardzo wiedząc, co może robić dalej – czekać w jakiejś oberży czy wrócić do Willi Alvy. Nazwać tego miejsca swoim domem nie mógł.

–Paniczu! Proszę poczekać... Paniczu!

Dick obejrzał się – doganiał go służący w szarozielonej liberii.

–Co się stało?

–Paniczu, proszą, by panicz wrócił.

Dick, kompletnie zmieszany, zawrócił. Znany już odźwierny przywitał go

zaniepokojonym spojrzeniem, ale furtkę otworzył, przekazawszy gościa w ręce stajennego i pokojowca. Pierwszy zaczął uspokajać rozdrażnionego Psotnika, drugi zaprowadził chłopaka do nieco mrocznego pokoju, bardzo przypominającego pokoje Nadoru. Conseiller nie nurzał się w pokazowym przepychu.

–Rad jestem cię widzieć, chłopcze!

–Er August... Pan w domu?!

–Dla nikogo poza tobą mnie nie ma. Przypadkowo zobaczyłem cię za oknem i posłałem za tobą służącego. Postąpiłeś nieroztropnie, zjawiając się tutaj... Przecież cię uprzedzałem...

–Ale... Ja muszę pilnie z panem porozmawiać... A w pałacu się nie udało.

–Oczywiście, porozmawiamy – westchnął Stancler. – W pałacu nie mogło się udać. Jestem conseillčrent a ty – giermkim. Gdybyś nie przyszedł dziś, to ja znalazłbym cię jutro. Umówmy się tak – przychodzisz do mnie tylko w przypadku naprawdę wielkiej potrzeby.

–Proszę mi wybaczyć, erze Auguście.

–Dobra, wszystko w porządku. Jak ci się spodobał pałac i Ich Wysokości?

Pałac? Ich Wysokości? Katarina Arigau i obrzydliwy grubas, trzymający ją za rękę? Krwawa gwiazda w ręku marszałka... Krwawa gwiazda na szyi królowej.

–Erze Auguście... Czy to prawda, że... Że Jej Wysokość i... No, mówi się, że Roke Alva...

Conseiller uważnie przyjrzał się Dickowi i westchnął.

–Czasem mam ochotę udusić twoją mateńkę, chociaż jest wspaniałą kobietą. Gdyby się urodziła pięćset lat temu, byłaby skarbem, ale dziś nikt już nie żyje wedle kodeksu rycerskiego. Siadaj – August wskazał młodzieńcowi głęboki fotel – możesz z nogami. Nasza rozmowa, Richardzie, będzie długa i niemiła. Masz prawo znać prawdę, ale proszę cię o jedno – nie sądź pośpiesznie. Dobrze jest być czystym, ale niełatwo. Oczywiście, jeśli żyjesz w wolnym kraju, jeśli sam jesteś czysty i silny, to takim pozostaniesz. Jeśliś słaby, to nikt cię nie potrzebuje, jesteś zesłany na prowincję, to nie ubrudzisz się nawet w dzisiejszym Taligu, ale w stolicy... Tu skręcisz sobie kark i podstawisz pod topór tych, którzy ci ufają, albo nauczysz się może nie kłamać, ale przynajmniej milczeć. Rozumiesz mnie?

–Tak, er... Znaczy – nie całkiem.

–W Nadorze mylą życie z balladami, ty nie powinieneś tego robić. Nie zgadzam się z Ivanem i twoją matką, Dickonie, chociaż pozwalałem sobą kierować. Powinniśmy byli opowiedzieć ci wszystko od samego początku, a myśmy czekali... Oto, więc doczekaliśmy się, że znalazłeś się u Roke. Krótko mówiąc, ja będę mówił, a ty pytaj, jeśli czegoś nie będziesz rozumiał. Ciebie, młodą, gorącą głowę, martwi sprawa honoru królowej? No, więc źle się przysłużysz Katarinie, jeśli zaczniesz rzucać się na każdego, kto papie o jej związku z marszałkiem.

–Czyli to prawda?

–Prawda i nieprawda. Dzieci królowej, cała trójka – z Krukiem. Ferdynand nie może być ojcem, a Dorac potrzebuje następców. Katarina Arigau była zmuszona... Od początku wiedziała, na co się zgadza, obyśmy my byli tak mężni! A poza tym Kruk, co by o nim nie mówić, jest mimo wszystko Władcą Wiatrów. Lepsza krew Alvy niż Ollarów, chociaż ciągle mam nadzieję na powrót prawowitego króla. Mam nadzieję, ale szykuję się na najgorsze. Nawiasem mówiąc, w jakiś sposób Dorac też ma rację. Jeśli będziemy uważali dzisiejszą dynastię za prawowitą, a ona się skończy, to na tronie powinni zasiąść książęta Alva. Gdy jedyny syn uzurpatora był chory, Francisk Ollar napisał testament, w którym wyznaczał na swoich następców pasierba i jego potomków. Taka była wola Franciska, której nikt nie zmienił. Co jeszcze słyszałeś?

–Król... On też...

–Jest kochankiem marszałka? Też prawda, i to nie tylko król. Kruk czasem zabawia się z mężczyznami. Zresztą tu nie o żądzę chodzi, a o jego przewrotny charakter. Roke uwielbia igrać z ogniem i poniżać innych, szczególnie Ludzi Honoru. Kilka lat temu... Krótko mówiąc, była taka sprawa z młodzieńcem z dobrego domu. Kruk go zbezcześcił po prostu z nudów, chociaż chłopak też był winien – nie wolno zapominać, kim się jest. – Conseiller machnął ręką. – Im mniej będziesz myślał o tym bagnie, tym lepiej. Mamy, o czym gadać i bez tego. Robiłeś głupstwa, Dickonie, ale nie robić nie mogłeś. Boję się o ciebie.

–Myślicie, że Kruk...

–No nie, ciebie Kruk nie zabije, chociaż lepiej nie wpadaj mu w oko, kiedy jest pijany. Inna sprawa, że pomocy i obrony od takiego era też się nie doczekasz. Będziesz musiał pogodzić się z jego obecnością, ale ludzie powinni widzieć, że syn Egmonta tylko spełnia przysięgę. A właśnie, wykorzystaj okazję, by uzupełnić swoje wykształcenie – ojciec Alvy miał wspaniałą bibliotekę, a teraz, o ile wiem, nikt z niej nie korzysta.

–Erze Auguście, byłem ranny w rękę i Roke Alva mnie wyleczył.

–Nic dziwnego, Kenallijczycy znają się na ranach nie gorzej niż Moriskowie. Miałeś

naprawdę szczęście, ale cała reszta...

Dickon wpatrywał się pilnie w Stanclera. Ten westchnął.

–Mam nadzieję, że nie zapomniałeś, od czego zaczęła się nasza rozmowa?

–Erze Auguście!

–Richardzie, ja się bardzo obawiam, że tak czy inaczej spróbują cię sprzątnąć. Dorac spróbuje. Jakkolwiek śmiesznie to brzmi, najbezpieczniejsze dla ciebie miejsce to willa Alvy, ale nie możesz tam siedzieć bez wyściubiania nosa na zewnątrz. Jeśli będziesz niczym ogon wszędzie łaził za Krukiem, to wcześniej czy później, a raczej wcześniej niż później, zaczną gadać, że Kruk zbezczescił syna Egmonta Ockdella.

–Erze Auguście!

–Milcz! Rozumiem, że to niemożliwe, ale plotkarzom tego nie wytłumaczysz. I sam Dorac się postara, natomiast Kruk, jak i poprzednim razem, nie będzie mówił ani tak, ani nie, ale w taki sposób, że wszyscy uznają – tak było. Musisz prowadzić normalne życie młodego człowieka, Dickonie – bywać w mieście, spotykać się ze swoimi rówieśnikami, adorować młode kobiety. Ale niech chroni cię Stwórca od starców z młodymi draniami typu Esteban czy Seweryn. I żadnych pojedynków! Słyszysz, żadnych! W każdym razie póki nie znajdziesz sobie przyjaciół, którzy będą gotowi obnażyć za ciebie szpady.

–Rozumiem.

–Mam nadzieję. Postaraj się nigdzie nie chodzić bez Reginalda. Esteban, na nieszczęście, został w Ollarii, a on cię nienawidzi, bo zazdrości.

–Mnie? – Dick był zdziwiony. – Esteban był pierwszym unarem. Jest bogaty, dobrze urodzony...

–No to, co? Za to ty jesteś księżę Ockdell, a on tylko Colignar. „Gnojzarze”, jakkolwiek by nie zadzierali nosa, w głębi duszy zazdroszczą prawdziwym arystokratom, niechby nawet po trzykroć biednym i odsuniętym. Mało tego, Esteban nienawidzi cię z powodu marszałka. On był pierwszy w Laik, śpi i widzi siebie we śnie takiego jak Alva, a ten wziął Richarda Ockdella! Ze strony Estebana możesz oczekiwać wszelkich świństw... Najważniejsze – to wyzwanie, a sam mówiłeś, że on jest lepszym szermierzem, czyli nie możesz się z nim bić w żadnym wypadku!

–Ale pojedynek to sprawa honoru – wymamrotał Richard.

–Honoru, ale nie głupoty, a syn Egmonta nie powinien wyglądać głupio. Syn Egmonta nie powinien przegrywać. Syn Egmonta musi przeżyć i pomścić. Dlatego

nie powinieneś się spotykać z tymi, którzy mogą narzucić ci pojedynek. Na razie.

–Narzucić?

–Przecież nie wytrzymasz, kiedy zaczną obrażać twojego ojca albo... Albo królową.

Dick westchnął. Jeśli „gnojarz” ośmieli się powiedzieć choćby słowo o Egmoncie Ockdellu lub Katarinie Arigau, rzeczywiście – nie wytrzyma.

–Nie lubisz kłamać i odpowiadasz za swoje słowa. To dobrze, ale i niebezpiecznie. Obiecaj mi, że nie będziesz nigdzie chodził bez Reginalda i tych, których on ci przedstawi, że będziesz unikać sprzeczek z „gnojarzami” i trzymać się od swojego era możliwie daleko. To ostatnie nie będzie trudne. Roke szybko zapomina o swoich zabawkach. Nic go nie obchodzi poza własną osobą.

To była prawda, er zaczął rozmowę ze swoim giermkim tylko dwa razy – pierwszy, kiedy opatrywał mu rękę, drugi – kiedy jechali do pałacu.

–Erze Auguście, a dlaczego...

–Dlaczego w ogóle cię wziął?

–Tak.

–Dlaczego Roke Alva coś robi, nie wie nawet sam Roke Alva. Marszałek od dawna stąpa po krawędzi szaleństwa. Najprawdopodobniej chciał się zabawić. Albo zemścić.

–Zabawić? Erze Auguście, gdy byliśmy na audiencji, przyczepił się do nas taki gruby markiz...

–Markiz Farnebie, Markus Farnebie.

–Chyba tak... On rozmawiał z Roke... Zrozumiałem, że Kruk wziął mnie na złość Doracowi.

–To też. Gdyby Alvie Stwórca nakazał jedno, a Obcy – co innego, on wymyśliłby coś trzeciego, obrażającego obu. Ale w szaleństwie Alvy jest pewna zasada – on zawsze robi to, czego nikt nie oczekuje i co uderza we wszystkich. Wziąwszy cię, nazwał wszystkich Ludzi Honoru tchórzami, pokazał Doracowi, że ten nie może mu rozkazywać, i odplacił Arigau za jego, powiedzmy to sobie szczerze, głupotę. A ja uprzedzałem Gui...

–A co zrobił hrabia Arigau?

–Kupił u myśliwych z Mon-Noir żywego kruka, trzyma go w klatce i uczy mówić. Oczywiście Alvie o tym natychmiast doniesiono. Wszyscy oczekiwali, że ten przez

krewnych Morisków zdobędzie dla siebie irbisa[100] i zacznie go prowadzić na smyczy, ale Alva wołał wziąć na smycz syna Egmonta Ockdella, najlepszego przyjaciela Gui

–Nie wiedziałem...

–I nie powinienś był wiedzieć. To ja jestem winny. Powinienem był, jak to zrobił fok Warzow, publicznie poprosić Najlepszych Ludzi o zwolnienie Richarda Ockdella do domu. Do chorej mateńki.

–Ale mateczka jest zdrowa.

–Czasem trzeba oszukiwać, Dickonie. Nie chcę być obłudny, nawet gdybym nie miał giermka, po słowach Doraca na Radzie nie wziąłbym cię. Nie możemy my, Ludzie Honoru, otwarcie występować w tej chwili przeciwko Doracowi, po prostu nie możemy... Dobra, co się stało, to się nie odstanie. Ale trzeba pomyśleć, jak będziemy żyć dalej.

Wszyscy astrologowie w jakimś sensie są szaleni, ale to, że zwariował właśnie ten, do którego chadzali Aldo Rakan i Rober Epineix, kardynałowi Taligu bardzo się nie podobało. Co takiego wygrzebał jakiś tam Domecius w horoskopach od dawna nieżyjących ludzi? Czy przyczyna jego szaleństwa kryje się w czymś innym? Zbieg okoliczności? Lęk? Urok?

Uczeni mężowie od wielu wieków sprzeczą się o to, co może i czego nie może magia. Teoretycznie udowodniono, że możliwe są zaklęcia i rytuały, za pomocą, których można naprawdę zabijać, doprowadzać do szaleństwa, wmawiać miłość i nienawiść. Tomasz z Gaify dowodzi w swoich dziełach możliwości tworzenia amuletów neutralizujących czary i amuletów pozwalających zmieniać ludzi w zwierzęta, ptaki, nawet w przedmioty nieożywione. Faustus Bom pisze zaś traktat za traktatem o tym, że czarowanie jest możliwe tylko w niektórych, przepelnionych szczególnymi właściwościami miejscach. Szkoła nafańska upiera się przy tym, że w każdym człowieku można odnaleźć bliskość do jednego z kierunków magii, przy tym nigdy nie opanuje on innych. Z nimi polemizują magowie Drixen, twierdzący, że czarowanie to prerogatywa wybrańców. Zresztą zgadzając się do co sedna, drikseńscy kruszą kopie pomiędzy sobą – jedni uważają, że zdolności do czarów mogą być tylko i wyłącznie dziedziczne, inni uważają, że o wszystkim decyduje rozkład gwiazd w chwili pierwszego okrzyku, a trzeci uważają, że dokładnie jednakowo ważne są oba warunki.

Niem mało zwolenników ma też legenda o „pamięci krwi”, obudziwszy, którą, jakoby można było dowiedzieć się o wydarzeniach, świadkami, których byli przodkowie dziś żyjącego. O próbach poznania, tym czy innym sposobem, przyszłości nie ma nawet, co wspominać, – co drugi magiczny foliał mętnie i zawile opowiada o proroczych snach i widzeniach albo o wypatrywaniu przyszłych wydarzeń z kart, ze stopionego wosku, lotu ptaków, kształtu wieczornych obłoków.

Twierdzenia magów promieniowały mądrością, były obfite w słowa i układały się w zgrabne schematy, ale Sylwester nie potrafił przypomnieć sobie, by któryś z nich osiągnął kiedyś jakiegokolwiek zadowalające wyniki. Legendy i podania wypełniały przepisy na miłosne mikstury, przeszyte szpilkami woskowe figurki, zaczarowane pierścienie, ale w życiu magowie okazywali się zwyczajnymi oszustami. Uważano za udowodnione, że magią posługują się Goganie i Moriskowie, ale jedni i drudzy nie śpieszyli się z uruchamianiem magii: pierwsi osiągnęli, co chcieli za pomocą złota, drudzy – mieczem.

Wynika z tego, że agaryjski astrolog oszalał, bo tak mu się chciało? Szpieg donosi, że nic podejrzanego w domu i w okolicach się nie wydarzyło, po prostu człowiek nagle uznał siebie za szczura. Szczura, na którego ktoś poluje.

Wśród papierów Domeciosa na samej górze leżały prace znanych astrologów, badających horoskopy Ernani Rakana i tych, którzy w ten czy inny sposób związani byli z jego śmiercią. Sylwester zażądał, by przyniesiono mu te księgi, i odkrył, że interesował się nimi zaginiony w okolicach Laik German. W Laik zaś kształcił się potomek Alana Ockdella, którego wziął do siebie potomek Ramiro Alvy, tam też przechowywane były pełne dane o życiu i śmierci wszystkich byłych unarów. Chyba właśnie to stało się przyczyną zamknięcia się tam Germana, ale czego ten szukał, nadal nie było wiadomo. Po co utalentowany i dobrze urodzony mężczyzna zamyka się za życia w Laik? Sylwester nie rozumiał, ale nie przeszkadzało chłopakowi grzebać w starych księgach, mając nadzieję, że ten wcześniej czy później się opamięta.

Kardynał nieźle znalazł się na astrologii, ale do Germana było mu daleko. Quentin Dorac i przyszła matka Germana Liliana Esten razem dorastali i Jego Świątobliwość poważnie zajmował się karierą syna przyjaciółki z młodości, tym bardziej, że chłopak rokował wielkie nadzieje zarówno jako scjentyfik, [\[101\] jak i polityk, ale pewnego pięknego dnia German postanowił, że przeniesie się do Laik i zajmie historią posiadłości. Młody mężczyzna niezachwianie wierzył, że nie ma sekretów, których nie da się wyświetlić, i miał nadzieję, że przerzuci pomost od magii teoretycznej do praktycznej. Czyżby German został zabity z powodu swoich penetracji? Na to wygląda.](#)

Jako ostatni widział kapłana kapitan Aramona. Jeśli wierzyć słowom tego durnia i pijaka, to kapelan Laik ubrany był jak do podróży, bardzo się śpieszył i był przy nim jeden z unarów. Następnego dnia wierzchowce, na których odjechali German i chłopiec, zostały znalezione nieopodal przeprawy przed Danar, ale jeźdźcy jakby się pod ziemię zapadli. Szpiedzy kardynała przeszukiwali okręg przez dwa miesiące – nic, jeśli nie liczyć, że poszukiwania ściągnęły na siebie zainteresowanie ludzi conseillera. To jakby pośrednio uniewinniło Stanclera, ale w żaden sposób nie wyjaśniało, co zaszło.

Sylwester skłaniał się ku zabójstwu, ale, po co ktoś zabijałby duchownego i młodzieńca, i jak przestępcom udało się ukryć ciała tak, że nikt ich nie odkrył? W księgach i notatkach Germana wiele dotyczyło wydarzeń sprzed czterech wieków. Syn Liliany niemal minuta po minucie odtworzył ostatnie dni Kabiteli. Były tam też horoskopy, ale German poszedł dalej niż Domecius, śledząc losy potomków Rakanów, Alvy, Priddów, Ockdellów. Szczególnie interesował go zaginiony w Mon-Noir wnuk Ramiro Alvy i... Egmont Ockdell.

Raczej nie można uznać za przypadek, że w Agarisie traci rozsądek astrolog, grzebiący w życiu Rakanów na zlecenie następcy, a w okolicach Ollarii w tym samym czasie znika kapłan i uczonego, pochłonięty tą samą epoką. Tylko, kto mógł wiedzieć o zainteresowaniu fabiańskiego kapelana, skoro jego studia były nowością nawet dla kardynała? Pozostało tylko jedno – krok po kroku pójść drogą Germana, usiłując zrozumieć, co oznaczają notatki na marginesach starych rękopisów.

Sylwester łyknął mocnej shaddi, przysunął okazałą księgę i pochylił się nad rysunkami, na które zręczna ręka naniosła to, co działo się na niebiosach w chwili urodzenia i śmierci pięciu ludzi. Astrologia to nie wróżenie ze świecami i nie kolorowe obrazki; to nauka, w której wszystko zależy od obliczeń. Inna sprawa, że gwiazdy nie rozkazują, a radzą, i że życie człowieka to zderzenie jego woli z losem. Niebiosa wytrząsają na nowo narodzonego stertę możliwości, a jakie zostaną uruchomione, zależy od mnóstwa okoliczności. Ta sama jakość może przejawić się w krańcowo różny sposób.

No to jeszcze raz, Ernani Rakan – ostatni taligojski monarcha. Przeżył czterdzieści osiem lat i trzy miesiące. Horoskop przypisywał mu przenikliwość, rozum i umiejętność przewidywania, ale miał słabe zdrowie i potulny charakter bardziej przystający pustelnikowi niż panującemu. Dalej szły kombinacje i wyliczenia, które można było interpretować tak i owak. Niebiosa groziły zmarłemu monarsze brakiem potomstwa, możliwą śmiercią pierwородnego między dziewiątym i dziesiątym rokiem życia, rozpustą owego i brakiem szacunku. Ernani mógł być samotny, ale mógł się też ożenić, czekała nań niesłychana zdrada i tak samo niespotykana do tej pory wierność. Król miał przeżyć do dziewięćdziesiątego szóstego roku życia, gdyby nie umarł z powodu ciężkiej choroby w dwudziestym drugim roku życia, w wieku lat trzydziestu czterech i lat czterdziestu, ale jakby na złość gwiazdom został zdradziecko zabity w czterdziestym ósmym roku życia, kiedy to niebo przewidywało dla niego tylko wygnanie albo wyczerpującą chorobę.

–Wasza Świątobliwość. – Stojący w progu sekretarz wyraźnie bał się swojego patrona. – Przybył marszałek Warzow.

–Proś. – Kardynał z uczuciem uczniowskiej ulgi schował foliał do dolnej szuflady.

Marszałek należał do tego świata, z nim wszystko jest jasne i zrozumiałe, będzie mówił o armiach Gaunau i Drixen, moździerzach, zimowych butach. Nie obchodzą go ani przeczucia, ani stare zagadki, i ma rację – należy myśleć o terażniejszości i przyszłości, a nie o przeszłości.

Na pieczęci widniała dębowa gałązka i topór. Nal! Kuzyn zapraszał na wyprawę z nim i jego kolegami do słynnej na całą Ollarię tawerny „Ostra ostroga”, żeby popatrzeć na walki kogutów. Nal obiecał, że będzie czekał pod bramą o piątej po południu, bo przekroczenie progu domu Alvy przekracza jego możliwości. Czasu było mało i Richard, odłożywszy na później list, zaczął się zbierać. Walki kogutów nie zachwyciły Dicka, a mateńka i Ivon w ogóle uważali je za rozrywkę „gnojarzy”, ale er August powiedział przecież, że powinien zachowywać się jak jego rówieśnicy. Rówieśnicy wysiadują w „Ostrej ostrodze”, czyli i on też tam pójdzie. Ciekawe, czy Ivon wie, w jakim towarzystwie obraca się jego syn? Raczej nie. Czyli o ich wyprawie w Nadorze nie będą wiedzieli.

Dick popatrzył na swoje czarnoniebieskie odbicie, kolejny raz żałując, że nie może nosić barw Arigau, i wyszedł. Kuzyn uprzedzał, że w „Ostrej ostrodze” nie ma stajni, ale Dicka to tylko ucieszyło. Psotnik nie tylko nie przyzwyczaił się do stołecznego gwaru i krzątaniny, gorzej – z każdym wyjściem stawał się coraz bardziej nerwowy, dostarczając swojemu panu masę nieprzyjemnych doznań. Była też i druga przyczyna – ogier wyraźnie przegrywał porównanie z moriskami i linarczykami, których dosiadali młodzi arystokraci, a Dick nie życzył sobie stawać się przedmiotem pośmiewiska, tym bardziej, że siodło i uprząż pamiętały jeszcze dziada Richarda. Natomiast strój giermka był znakomity, psuł go tylko herb Alvy.

Nal szybko obejrzał krewniaka, ale nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się i przedstawił swoich towarzyszy. Wysoki, rumiany Dietrich Lasterhaft zapytał Dicka, którą bojową rasę przedkłada nad inne. Richard zawahał się, Nal szybko wtrącił swoją opinię o tym, że lepszej rasy od szarej z Tarnau nie ma. Brązowooki Leon Duga sprzeciwił się, owszem – Tarnau jest wyraźnie lepsza od innych, ale do czerwonych z Wernigerode ma daleko.

–Tylko szary! – Nal odwrócił się do Dicka. – Stawiaj na szarego i nigdy nie przegrasz.

–Bzdura! – odciął się Leon. – Richard, nie rób głupstw, nie stawiaj na szarego. A tym bardziej na czarnego albo niebieskiego. Kogut bojowy to wyłącznie kogut czerwony! Czerwony załatwi wszystkie inne!

–Poza szarym – upierał się przy swoim Nal.

–Trzeba patrzeć nie na kolor, a na samego koguta – rozsądnie zauważał Dietrich. – Bo jeszcze powiecie, że Kruk wszystkich tłucze, bo ma czarne włosy.

–Też mi porównanie!

–A jaka to różnica? Alva samego Leworękiego pokona, natomiast piękniejsia Askaniu można miotłą zatłuc, a maść mają tę samą. Powiem ci tak, Dick: wybierając koguta, patrz nie na jego kolor, tylko na grzebień i ostrogi. No i nie zawadzi znać dokładną wagę.

Richard skinął głową z wdzięcznością, szacując, ile ze swoich dość nieznacznych środków przyjdzie mu zostawić w „Ostrej ostrodze”. Tali albo i dwa może zaryzykować, ale nie więcej. Leon i Nal nadal się spierali, a Dietrich ciągnął wykład. Dickon dowiedział się niemało o wyborze i sposobie wyboru treningu kogutów i postarał się, co nieco zapamiętać na wypadek, gdyby ktoś go kiedyś zapytał o opinię.

Kiedy dotarli do „Ostrogi”, w głowie Richarda mieszało się czerwone z niebieskim, pstrym, szarym... Sługa w kurtce, na której widniał haft w kształcie głowy koguta, radośnie powitał młodych paniczów i zaprowadził w głąb budynku. Nal, Leon i Dietrich, co rusz komuś się kłaniali; było jasne, że są tu częstymi gośćmi. Pomieszczenie do walk okazało się większe, niż Dick sądził, i było czymś w rodzaju amfiteatru z pokrytym żółtym sukniem postumentem wysokości kilku [beau\[102\] na środku. Tam, jak wyjaśnił Dietrich, wpuszczano tych, co prowadzili walki i mogli podniecać koguty. W środku pola znajdowały się linie wyznaczające pole walki, dokoła sceny ustawiono ławki zajęte przez możnych, wyżej i z tyłu tłoczyło się pospólstwo.](#)

Z ławki, do której doprowadził ich służący, wspaniale było widać miejsce przyszłego boju. Dick z dziwnym uczuciem patrzył, jak ważą koguty, mierzą im piersi, dzielą na pary i ponownie wsadzają do koszy. Wszystkie ptaki wydawały się młodzianowi jednakowe, ale znawcy już doszukiwali się przyszłych zwycięzców. Ktoś zachwalał nogi, inny ostrogi, ktoś patrzył, czy dobrze podcięte są ogony, skrzydła i „korale”, ktoś inny coś krytykował. Wcześniejsza sprzeczka o kolory ptaków była przynajmniej zrozumiała, a to?...

Najpierw były się młode koguciki. W pierwszej walce czerwony i czarny, w drugiej – dwa niebieskie. Walki były krótkie, najwyżej dziesięć minut, a zakładów niemal nie było. Potem wypuszczono dwa agresywne koguty – czarnego i niebieskiego. Te wytrzymały na arenie dobry kwadrans, porządnie przetrzepawszy sobie wzajemnie pierze. W końcu niebieski zadał czarnemu decydujący cios, ten padł martwy i został wyniesiony.

–Teraz patrz dobrze – szepnął Nal. – Czwarta walka jest pierwszą z walk wieczoru.

Dick już wiedział, że wieczór to szesnaście walk, ani więcej, ani mniej, a najlepsze koguty są wypuszczane w czwartej, ósmej, dwunastej i szesnastej walce. Pomocnicy sędziego wyjęli z koszy i wysoko unieśli rywali – szarego i czerwonego. Dietrich zauważył, że oba są dobre – grzebień płoną, ostrogi ostre i długie, zagięte w dół,

jak powinno być u rasowych wojowników.

–Ile waży? – zawołał otyły szlachcic w średnim wieku, siedzący na pierwszej ławce.

–Dwie i pół pessany[103] – padła odpowiedź.

–Tarnau jest większy! – szepnął Nal. – Ma ze trzy lata, a ostrogi, zobacz jego ostrogi! Ostrzejszych nie ma.

–Ostrogi – przedrzeźniał go Leon. – Czerwonego, żebyś wiedział, przez ostatnie dwa miesiące trenowano, a potem dano mu odpocząć. On aż się pali do walki.

–Głośno kukurykać, to nie znaczy mocno uderzać! – odpowiedział przysłowiem kuzyn.

–Tarnau trzyma się lepiej i upierzenie ma lepsze – wtrącił się do rozmowy siedzący obok gwardzista.

–Bzdury, to nic nie znaczy – obruszył się Leon.

–Prawda. To nie kosz przynosi szczęście, a kogut.

Nal i Dietrich jednak połączyli się w opinii, że należy obstawić szarego, który rzeczywiście wyglądał lepiej od rywala, ale Richard postanowił, że zaryzykuje. Jeśli postąpi jak kuzyn, pomyślał, że nie ma swojego zdania i tańczy, jak mu Nal zagra. W końcu tali to nie pieniądze, dokładniej nie takie znowu wielkie pieniądze, w każdym razie jak na stolicę. Nic sensownego za to się nie kupi. Kiedy obstawiano zakłady, Richard lekko skrzywił usta, jak to czynił jego er, i postawił na wernigerode.

Organizatorzy jednocześnie postawili ptaki na linii i cofnęli się. Koguty otrząsnęły się i zaczęły wrogo i uważnie spoglądać na przeciwnika, a potem jak na komendę poderwały się i rzuciły do przodu, zderzywszy się piersiami. Poleciało pierze.

–Dobrze jest... – sapnął gwardzista. – Równe... Leworęki by je trafił!

–Tarnau tchórzy! – zakrzyknął Leon.

–Też mi coś! – poderwał się Nal. – Jeszcze nawet nie zaczął.

Koguty, nie zwracając uwagi na wrzaski dwunogich i bezskrzydłych, tłukły się zawzięcie. Przez dobre dziesięć minut walka toczyła się z równym powodzeniem, potem szary runął do przodu i zaczął bić czerwonego.

–Tarnau, do boju! – ryczał kuzyn.

–O, już na nim siedzi...

–Mądrała!

–Na Pociętego Smoka! Co to się dzieje?!

–I już po twoich pieniążkach!

–Orzeł!

–Daj mu bobu!

Tarnau rzeczywiście dosiadł wernigerode, tłukąc go ostrogami. Dick przez moment pożałował swojego straconego talia, ale pojedynek wciągnął i jego. Sędzia uderzył w niewielki gong, pomocnicy rozłączyli wojownicze ptaki, uwolnili zakrwawione ostrogi szarego z piór czerwonego. Sędzia po kolei obejrzał ptaki i skinął głową. Pomocnicy wzięli pokaleczone koguty i ustawili na linii. I tarnau, i wernigerode nie wyglądały najlepiej – zakrwawione i postrzępione, wydawały się być żalospną parodią wspaniałych ptaków, pokazanych widzom ćwierć godziny temu. Przeciwnicy stali tam, gdzie ich postawiono, zezując na siebie raczej ze smutkiem niż ze złością, i nie przejawiali ochoty do wznowienia boju.

Sędzia zaczął odliczać – dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści...

–Jeśli na „sto” koguty nie ruszą do walki – wyjaśnił Dietrich – będzie się je podniecało. Jak nie pomoże – ogłoszą remis.

Sędzia skończył liczyć, uderzył w swój gong. Pomocnicy chwycili ptaki, jeszcze raz obejrzel je i znowu postawili na arenie, tym razem nie na linii, a dziób w dziób. Koguty stały chwilę jak pijane, potem wernigerode rzucił się do przodu – jeden cios dziobem i tarnau zwał się na bok, i tak został, nawet nie usiłując się podnieść.

–Nowicjuszom zawsze fortuna sprzyja. – Nał uśmiechnął się do Dicka. – Dobrze osiem taili wygrałeś, a może i dziesięć. O, patrzcie, ten też się tu pojawił!

Dick, lekko oszołomiony podnieceniem i wygraną, popatrzył tam, gdzie wskazywał Nał, i zobaczył Estebana. Tego tylko brakowało! Młodzian udawał, że nie poznał swojego wroga, ale radość od razu uleciała, a przypomniały się słowa era Augusta o ostrożności. Conseiller ma rację, nie ma potrzeby spotkania się z Estebanem.

–Nał!

–Co?

–Idę...

–Dlaczego? Z powodu „gnojara”?

–Er August polecił mi go unikać.

–Czekaj, idę z tobą!

–Nie trzeba, bo się od razu domyśli.

–Ale pójdę... Przecież nie masz nawet konia.

–To nic. Nał, proszę cię...

–No to jak chcesz. Odbiorę twoją wygraną? Oddam ci przy spotkaniu.

–Oczywiście. – Dick ostrożnie wyszedł z sali. Nikt na niego nie zwrócił uwagi, w końcu ludzie wchodzą i wychodzą. Zebranych nie to interesowało – z koszy wyjęto dwa nowe koguty.

Oberżę udało się opuścić bez problemów; przed sobą miał noc i długą drogę, wcale niewyglądającą na niebezpieczną. Wiał lekki wiaterek, świecił księżyc, miasto spokojnie spało, wszystko było zwyczajne i normalne.

Dick oszacował, że do domu Alvy dotrze za jakieś półtorej godziny. I tak pewnie wcześniej niż księżę. Na myśl, gdzie i z kim teraz jest jego er, Dicka zabolalo serce. Richard zacisnął zęby i szybko poszedł w dół po wijącej się między niskimi domami ulicy, która zresztą wkrótce się skończyła. Żeby trafić do Starego Miasta, trzeba było przejść między opactwem świętej Oktawii i opactwem świętego Franciska.

Hałaśliwe i ożywione w dzień, po zachodzie słońca miejsce to było kompletnie puste. Richard energicznie maszerował po mokrym od rosy bruku, czując się jakoś niepewnie. Pełny księżyc na niebie, ciemne korony za wysokimi murami, dziwne poruszające się cienie wywoływały z pamięci a to straszne bajki, a to conseillera, zabraniającego Dickowi rozłączania się z Nalem. Teraz myśl o opuszczeniu „Ostrogi” nie wydawała się Dickowi tak rozsądna – Esteban raczej nie zaczepiłby go na oczach wszystkich, w końcu już nie są unarami, a giermkami najznakomitszych arystokratów królestwa. Kilean-ur-Lombach jest Człowiekiem Honoru, a Esteban zawsze potrafił podlizać się temu, od kogo zależał.

Od rozmyślań o Estebanie i komendancie Ollarii oderwał Dicka kolejny cień, sprawiający wrażenie ciemniejszego od innych. Takie cienie widział już kilka razy i za każdym razem alarm był fałszywy. Richard miał wielką nadzieję, że i tym razem tak będzie, ale im bliżej podchodził, tym bardziej podejrzenie cień wyglądał.

Postraszony przez conseillera młodzieniec zdjął pelerynę, a dłoń położył na rękojeści szpady. Należało sprawdzić, jak wysuwa się z pochwy stal, ale jeśli to rzeczywiście zasadzka, przedwcześnie ujawni swoje przygotowanie, a to działa na jego niekorzyść. Szpada jest w porządku, w każdym razie powinna być w porządku, chociaż niepotrzebnie we wszystkim polega na Paco, broni należy pilnować samemu. Jeśli się uda, to już nigdy nie będzie się tak wygłupiał. Czy musiał opuszczać oberżę bez Nala i jego przyjaciół, i to na piechotę? Na dodatek obok „Ostrogi” była inna oberża, gdzie na pewno można było wynająć konia albo portechaise.

Niespodziewany poryw wiatru Dick wykorzystał do tego, by udać, że zgubił kapelusz, i się rozejrzeć. Albo mu się wydawało, albo w niszy, którą dopiero, co minął, też ktoś stał. Czyli wracać nie można, trzeba iść do przodu. Tak, tylko do przodu! Jeśli to zasadzka, to odwrót został odcięty, a jeśli nie – wyjdzie na głupka. Richard wolno poszedł wzdłuż ulicy, udając, że rozkoszuje się nocnym chłodem i niczego nie podejrzewa.

Cień rozdziwił się. Nie, to nie cienie, to ludzie stojący w cieniu, a od takich na pewno nie można oczekiwać niczego dobrego. Rozum podpowiadał Richardowi, że trzeba do końca udawać niewiedzę, ale nerwy nie wytrzymały i wyszarpnął szpadę. Księżycowe światło błysnęło na klindze i w tej samej chwili zbóje runęli do przodu. Na szczęście Dick zdążył cofnąć się pod mur, zabezpieczając sobie tyły. Napastników było trzech, wyglądali na włóczęgów, a ich uzbrojeniem były nie klingi, a pałki, ale to nie polepszało sytuacji Dicka.

Bandyci zaatakowali jednocześnie, nawet nie zażądawszy portmonetki. Szpada Dicka zakreśliła półkole – jeden ze zbójów odskoczył z przekleństwem na ustach, drugi odwrotnie – skoczył do przodu, celując w głowę Richarda. Ten zrobił wypad – bardzo prosty, ale sztych sięgnął celu. Przypomniawszy sobie lekcje kapitana Ruta, nadorczyk cisnął w napastnika peleryną, w której ten się zaplątał.

Teraz wykorzystamy przewagę, jakkolwiek mata by się nie wydawała. Richard skoczył w bok i zadał cios. Szpada trafiła w coś miękkiego, rozległ się jeszcze jeden wrzask, zbój wypuścił pałkę i zachwiał się. Niestety, na tym sukcesy Dicka się skończyły. Ostrożny bandyta nie marnował czasu, a Richard, podniecony powodzeniem, odsunął się od zbawczego muru, odsłaniając plecy. Na szczęście dla niego, obawiający się stali zbój bardziej myślał o swojej skórze niż o sukcesie i uderzył niezbyt mocno. Dick odskoczył, jeszcze bardziej oddalając się od muru, i zauważył, że do trzech napastników dołączyło jeszcze dwóch. W następnej chwili mrok rozdarła błyskawica, za którą błysnęła druga. Coś runęło na ziemię, ktoś krótko i przeraźliwie wrzasnął, rozległ się cichnący tupot nóg...

Nie minęła nawet minuta, gdy na pustej drodze pozostał tylko Richard Ockdell i dwa nieruchome cienie. Dick rozejrzał się oszołomiony. Bandyci uciekali w dół po ulicy, a nieproszony zbawca, kimkolwiek był, jakby pod ziemię się zapadł. Richard postął chwilę, wsłuchując się w nocne odgłosy – nikogo nie było. Zebrawszy się na odwagę, młodzieniec podszedł do leżących – tajemniczy strzelec strzelał bez pudła, zbóje byli martwi.

Hałas z tyłu spowodował, że młodzieniec znowu chwycił za szpadę, ale wybiegający zza rogu ludzie nie przypominali bandytów. Z prawej coś zaszeleściło, Dick kątem oka zdążył zauważyć, jak zakołysały się gałęzie na oblanej księżycowym światłem topoli. Tajemniczy strzelec, jeśli to był on, zeskoczył na tamtą stronę muru i zniknął w zakonnym sadzie.

–Dickon!

Nal! Chwała Stwórcy...

–Dickonie, wszystko w porządku? Co się tu działo? Jesteś ranny?

–Bandyci – poinformował go zmęczonym głosem Dick. – Nie jestem ranny. A ty skąd się tu wzięłaś?

–Wiesz, co, jak poszedłeś, to jakoś mi się dziwnie na sercu zrobiło. Postanowiłem cię dogonić, a Marius uprzejmię zgodził się pójść ze mną. A, pozwól sobie przedstawić: Marius Komin, tenant Północnej Armii.

–Na Stwory Zmierzchu! To ci strzały! – Marius, w którym Richard rozpoznał ich sąsiada z sali, tego, który obstawiał czerwonego koguta, przykucnąwszy, przyglądał się trupom. – Nie uwierzyłbym... Można panu pogratulować...

–Nie mnie – uczciwie przyznał Dick, chociaż bardzo go kusilo wieloznacznie wykrzywić usta i rzucić coś o przewadze drikseńskich rusznikarzy nad innymi. Może by się poddał pokusie, gdyby miał przy sobie pistolety, ale była to zbyt droga przyjemność.

–A kto?

–Nie wiem. Ja się bilem... Najpierw z trzema; dwóch drasnąłem, niezbyt mocno, potem do nich dołączyli jeszcze dwaj... Było mi, szczerze mówiąc, nie do śmiechu. I nagle – strzały!

–A ci zbóje? – żywo zapytał Nal.

–Uciekli.

–Trzeba przeszukać zabitych – rzeczowo oświadczył Marius.

Przeszukali ciała bardzo starannie, ale nocni niegodziwcy nie mieli przy sobie nic szczególnego. Tenant uznał, że Dicka napadła zwyczajna uliczna banda, a uratował go jakiś szlachcic, który podążał do swojej kochanki i dlatego nie ujawnił się. Nal zgodził się pozornie z tym tokiem myślenia, ale Richard widział, że kuzyn w to nie wierzy, przynajmniej, jeśli chodzi o zbójców.

Rozdział 4

Agaris

„Le Huite des Coupes”[\[104\]](#)

1

Rober z nienawiścią patrzył na dropiatą brodę Petera Hogberda. Broda poruszała się, przez twarde włoski widać było wielkie wilgotne usta z mocnymi zębami. Peter perorował. Ten bydlak zachowywał się tak, jakby był monarchą, a nie żarł z gogańskiego karmnika. Barona Petera Hogberda, ozdobę i nadzieję Taligu, kupili Goganie. Z bebechami.

Prawnukowie Kabiochowi znali cenę wszystkiego i wszystkich, Hogberd z jego ważną miną, tulipanem w herbie i gęstym, pouczającym głosem nie kosztował ich znowu tak wiele. Wstrętne było, co innego – to, że jemu, Roberowi Epineix, przychodzi grać w obmierzłą grę, która zwie się polityką. Inochodziec świetnie wiedział, że Goganie zapłacili monarsze kaletańskiemu, czy jak on tam się u nich zwie, za to, że zacznie robić świństwa na taligojskiej granicy, ale przychodziło mu z mądrą miną słuchać, jak Peter peroruje o braterskich uczuciach żywionych przez Adgemara Kagetańskiego do Aldo Rakana i nienawiści narodu kagetańskiego do dynastii uzurpatora i najeźdźców. Chciano, by uwierzyli, że Adgemar sam zaproponował pomoc. Ha! Ten siwy szubrawiec ma mniej w sobie altruizmu niż ślimak włosów!

–Nie wątpię; że wspaniale wykonacie swoją misję, markizie. Na dodatek jest pan wojskowym i może słowem i czynem udzielić pomocy kaletańskiemu wojsku, płonącym ochotą wprowadzenia na tron Taligoi prawowitego następcy tronu. Przyjaźń, wiążąca nasze mocarstwa...

Rober słuchał jednym uchem. Osobiście podejrzewał, że przyjaźń nawet tu nie nocowała, a Kageci płoną, owszem, życzeniem – grabić przygraniczne ziemie ile się da, ale Hogberd, a raczej, Enniol, miał rację w jednym. Przylegająca do Gór Sagranny Warasta jest spichlerzem Taligu. Jeśli zostanie spustoszona, Dorac będzie miał problem, zwłaszcza, jeśli Goganie zatroszczą się o wywindowanie cen na zboże i przekonanie kapitanów, by nie wozili ziarna do Taligu. Poprzednim razem powstanie zostało stłumione właśnie z tego powodu, że prostym ludziom było wszystko jedno, kto nimi rządzi. Głód i rosnące ceny zawsze rodzą niezadowolonych, Sylwester będzie musiał tłumić bunty, ale im więcej będzie wieszał, tym więcej pojawi się chętnych do zobaczenia jego samego na latarni. Czyli trzeba dogadywać się z

Kageta, nawet nie dogadywać – to już dogadane i zapłacone – a działać.

Epineix wolałby pojechać z Aldo, lecz księżę został zaproszony na ceremonię wyboru Esperadora, a obrażanie Kościoła lekceważeniem jest głupotą. Po raz pierwszy od dwustu lat Rakanowie będą uczestniczyć w największym esperatyjskim działaniu wraz z głowami innych dynastycznych domów. Wydaje się, że Clement naprawdę zaczął pomagać emigrantom, – co by to mogło znaczyć? Przypomniawszy sobie magnusa Prawdy, Epineix stłumił uśmiech. Znalezione w bucie szczurek błyskawicznie zdrowiał, ale zdecydowanie odmówił opuszczenia swojego zbawcy. Zwierzak był strasznie zabawny i sprytny. Kiedy po czwartym przeniesieniu go do piwnicy szczurek wrócił do pokoju Robera, ten poddał się i zostawił znajdę u siebie, tym bardziej, że jego krewni odeszli, a koty zostały.

Przez jakiś czas ogoniasty psotnik żył bez imienia, ale po wczorajszej powtórnej rozmowie z Clementem Inochodziec nazwał włożącego do jego talerza gryzonia imieniem magnusa. Imię pasowało, chociaż ogoniasty Clement był znacznie milszy od swojego imiennika. A do tłustego kota z oberży bardzo pasowałoby imię Hogberd, a potem by się mu dopasowało kilka, co bardziej zajadłych psów...

–Wierzę w pana, markizie – wzniósł głos Peter.

–I ja też, Roberze – dodała, zakołysawszy niemalym biustem, Matylda, której udało się niezauważonej wejść do pokoju – chociaż nie podoba mi się, że rozstajecie się z Aldo.

–Moja księżno – Epineix poderwał się pośpiesznie. – Aldo nie może jechać, a ja nie mogę nie jechać.

–Właśnie – pochyliła krótko ostrzyżoną głowę księżna wdowa – skoro pojawiła się szansa, to należy ją wykorzystać, choć wiele bym dała, by wywiedzieć się, z jakiej to okazji Adgemar postanowił nam pomóc.

Rober nie zgadzał się z Enniolem i Aldo, trzymającymi Matyldę w niewiedzy, ale przysiągł, a poza tym był tu Hogberd.

–Kagetańczyk raczej nie da się skrzywdzić.

–Twoją kawalerię! Kto jak kto, ale Lis nie popuści zdobyczy. – Ręka wdowy legła na głowie Mupy, której udało się wślizgnąć do gabinetu. – Póki rozmawialiście sobie, zarządziłam kolację. W końcu to nasz ostatni wieczór, chociaż Aldo, kiedy wróci z rezydencji Esperadora, odwiedzi cię.

–Kiedy wybory?

–Jak tylko przybędzie magnus Miłosierdzia, kardynał Drixen i biskup Honore. –

Rober zadał pytanie Matyldzie, ale odpowiedział Hogberd. – Siły rywali są równe, tak, więc w zwycięstwo Juniusa nie można wątpić.

–Tak – przytaknęła ruchem głowy Matylda. – Jest na to wystarczająco chory. Proponuję zakończyć naszą rozmowę przy stole.

Hogberd podniósł się ze stęknieniem i wyprzedziwszy Epineixa, zaproponował księżnej rękę, na której ta się wsparła. Rober uważał, że ze wstrętem. Mupa widocznie też odkryła w baronie podobieństwo do kota, bo w odpowiedzi na jego galanterię w stosunku do gospodyni nieuprzejmie warknęła. Epineix uśmiechnął się do siebie, choć nie z powodu zachowania Mupy. Tak więc on, zakochany w Goganni, usynowił rannego szczura i stał się posłem. Wspaniała kariera; pomyśleć tylko – kilka miesięcy temu Inochodziec siedział w kościelnym przytułku, tykał gotowaną marchew i uważał, że nie ma większego nieszczęścia w życiu. Słusznie mówią, miłość to nie marchewka! Miłość – to coś jak żmija czy ten, jak mu tam... nietoperz-wampir.

W każdym razie – jemu przypadła właśnie taka.

Żółte linie odpędzające zło, natrętny zapach kadzideł odpędzających zło, żółte zasłony, haftowane czarnymi, odpędzającymi zło znakami i samotność, samotność, samotność...

Mellit siedziała na łóżku, objawszy kolana, i opierając na nich podbródek, myślała o swoim księciu. Dziewczyna dawno już wyzdrowiała, ale co z tego! Myśli Mellit wciąż wracały do mrocznego pokoju, gdzie poza ludźmi był ktoś jeszcze – obcy, nieprzyjazny, niebezpieczny i ten ktoś przyszedł po Aldo. Księżcia i dziwnego gościa dzieliła tylko magia Enniola, magia przywiązana do jej życia, ale o tym Mellit wcale nie myślała. Bez miłości życie nie ma sensu, bez Aldo Mellit nie potrzebuje ani nocy, ani dnia, ani gwiazd, ani róż. Jest szczęśliwa, jako tarcza ukochanego. Jeśli Taligojczyka ktoś uderzy za pomocą magii, to ona to poczuje, a zakłęcie Enniola stanie między czarnoksiężnikiem i ofiarą, ale czarowanie to tylko jedna z dróg, a do celu wiedzie ich mnóstwo. Dziewczyna wiedziała, że przyjaciel Aldo wyjeżdża do Kagety. Księżę zostanie sam...

Mellit wygięła się jak kotka i zwinęła w kłębek na łożu. Krewni są przekonani, że ciągle jest chora, więc nikt nie przypuszczał, że ta chora nocami chodzi po domu, podsłuchując i podglądając. Mellit walczyła o życie i rozsądek Aldo, co czyniło ją zuchwałą i ostrożną jak kuna, będąca symbolem jej narodu. W Agarisie nikt nie wie, że najważniejsza świątynia wspólnoty znajduje się w domu skromnego Gaimiola i że starszyzna prowadzi tu tajne pertraktacje. Starszyzna zaś nie wiedziała, że córka Gaimiola śledzi ich, a Aldo Rakan nie wiedział, że to wszystko dzieje się dla jego dobra. Dwukrotnie w Noc Księżyca Mellit wybrała się do miasta.

Goganni nie odważyła się wejść do domu księcia, ale z jego przyjacielem rozmawiała. Był człowiekiem dobrym i wiernym, Mellit ufała mu, a teraz, niestety, go tu nie będzie. Dziewczyna westchnęła – Noc Księżyca dopiero za jakiś czas, kiedy ten, którego zwą Inochodźcem, będzie podjeżdżał już do Maoski. Niedobrze, gdy odjeżdżają przyjaciele. Niedobrze, kiedy ukochanemu grozi niebezpieczeństwo, ale najgorsze, kiedy nie wiesz, z jakiej chmury i kiedy uderzy grom...

Zadzwończy odpędzające zło dzwonki, przekręciła się kunsztownie kuta klamka, Mellit zwinęła się jeszcze bardziej, udając śpiącą. Weszła stara Falli, a z nią ktoś jeszcze.

–Wstań, ty, która zwiesz się Mellit, i przywitaj najczcigodniejszego.

Dziewczyna drgnęła, jak drga nagle obudzony człowiek, policzyła w myślach do siedmiu i poderwała się, mrugając gwałtownie.

–Nie wstawaj z łoża swojego, dziecię moje. – Enniol przemawiał do niej delikatnie,

jak przemawia się do chorych ludzi i wystraszonych zwierzątek. – Chcę cię tylko zapytać o to, co czujesz. Twoja choroba się przeciąga...

Pewnie, przecież to wiąże się z Aldo. Jeśli ona jest słaba, to oznacza, że na niego skierowana jest obca magia, niech, więc szukają i niech strzegą Aldo od wszelkiego zła, ile by go nie urodziła ziemia. Enniol jest mądry, ale nawet mądry nie zrówna się w przebiegłości z kobietą, która kocha i walczy o ukochanego.

–No, wasza szczurzość – Rober Epineix blazeńsko skłonił się przed zajęтым pochłanianiem kawałka sera Clementem – jutro wyruszamy. Mam nadzieję, że w Kagecie przyłączysz się do swoich współplemieńców.

Szczur oderwał się od sera, uważnie popatrzył na Taligojczyka, kichnął i wyczyścił i tak czyste wąsy.

–Żenić się trzeba, wasza szczurzość – rzekł Rober. – Spotkasz jakąś długoogoniastą ślicznotkę, zakochasz się...

Clement nie słuchał, wróciwszy do kawałka sera, na pierwszy rzut oka za dużego jak na tak małą istotę, ale apetyt wychowanek Epineixa miał zadziwiający – w ciągu dnia potrafił zjeść więcej niż sam ważył. Rober uśmiechnął się i zajął pakowaniem, które nie trwało długo. Bagażu zresztą miał nieprzyzwoicie mało, a i ten w przeważającej większości kupiony był za gogańskie złoto. I tym lepiej, samotny człowiek nie powinien zapuszczać korzeni, szczególnie na obczyźnie. Jeśli rudzi naprawdę pomogą i Rakanowie zrzucą Ollarów, Rober Epineix po śmierci dziadka będzie musiał prowadzić życie taligojskiego księcia, ale najpierw musi pokonać trzy góry i cztery śmierci.

Obejrząwszy obcy, choć bogato urządzony pokój, Rober zrozumiał, że wolałby wyjechać już teraz. Wyjechałby nawet, ale z Agarisu w nocy nie wypuszczano bez specjalnego zezwolenia, a poza tym z Matyldą i z Aldo należy się pożegnać. Rober machnął ręką i zajął się bronią, jedyną rzeczą poza rodzinnym sygnetem, która wiązała go z domem – o ile oczywiście nie zapomni się o pamięci.

I szpada, i sztylet były w znakomitym stanie, ale Inochodziec lubił dotykać starej stali. Sztylet z błyskawicą na ostrzu należał do marszałka Charlesa. W rodzinie różnie o nim mówiono. Z jednej strony właśnie on osłaniał wycofywanie się rozgromionego księcia Pridda, z drugiej – ocalał w czasie zajęcia Kabiteli i przyjął zaproponowane przez uzurpatora stanowisko. Dziadek i ojciec uważali to za haniebne i Rober się z nimi zgadzał, ale fok Warzow uważał, że przodek miał rację. Że niby sprawą wojownika jest bronić swego kraju przed wrogami zewnętrznymi, a nie wojować ze swoimi. Fok Warzow był uparty jak byk, nie zdradził ich, ale i nie poparł... Raczej nie spodoba mu się, że Rober Epineix będzie negocjował z Adgemarem rujnowanie Warasty, ale Goganie mają rację. Ollarowie nie cofają się ani przed przekupstwem, ani przed zdradą, ani przed ciosami w plecy, czyli przeciwko nim dozwolone są wszystkie środki.

Usłużne stukanie do drzwi oznajmiło przybycie służącego, za którym widniała mała postać w wielkim kapeluszu. Mellit! Nie miał nadziei... Inochodziec z trudem poradził

sobie ze swoimi uczuciami. Chwała Stwórcy, w pokoju paliła się tylko jedna świeca, a on siedział w cieniu. Sługa pomógł „gońcowi” rozpakować kosz, uklonił się i wyszedł. Epineix pośpiesznie zamknął za nim drzwi.

–Mellit! Ryzykujesz...

–Ale ty wyjeżdżasz. – Goganni uwolniła się od potwornego nakrycia głowy i przerzuciła warkocz na pierś. – A ja nie mogłam nie przyjść. Księżyc jest po mojej stronie. Noc Flocha jeszcze nie blisko, ale chciałam się pożegnać.

–Mellit... – Roberowi było wszystko jedno, kim jest Floch, ale musiał o coś zapytać. O coś, żeby Mellit odpowiedziała, a on mógł w tym czasie milczeć, patrzeć na nią i myśleć o niej. – Mellit, kim jest Floch? Rozumiem, że nie rozmawiacie o swojej wierze z obcymi, ale przecież sobie my ufamy.

–Rober... – Zająknęła się lekko, używając jego imienia, ale jednak je wypowiedziała. Słowa „przezacny” nie mógł znieść z jej ust. – To jest proste. Ale wyjaśnienie jest długie. Opowiadać?

–Oczywiście.

–Będę mówiła ładnie, jak w książkach. Zrozumiesz?

–Oczywiście. – Na Stwory Zmierzchu, dlaczego słowa znikają właśnie wtedy, kiedy są najpotrzebniejsze? Zazwyczaj gada jak trubadur, ale kiedy widzi tę Goganni, staje się tępym pniakiem.

–To długa historia – niepewnie powiedziała Mellit. – Zmuszają nas od dziecka, byśmy ją powtarzali. Dużo imion, trudno ci będzie to zapamiętać.

Nawet nie będzie próbował. Po co mu gogańscy bogowie? Ale cienie rzęs na bladym policzku, opadające na czoło ciemnorude loki, lekki puszek nad uniesioną wargą – wszystko to zostanie na zawsze. W Mellit piękne jest wszystko, ale serce dziewczyny jest jeszcze piękniejsze niż jej twarz. I oddała je innemu.

–Czcigodny Enniol opowiedział wam o synach Kabiocha – zaczęła Mellit – ale imiona ich zostały przez was zapomniane, a zwali się Floch, Roch, Olloch i Wentoch. Odchodząc, zostawił Ich, by rządili światem w Jego imieniu i przy pomocy praw Jego. I tak było, póki nie upłynął Okres i nie wezwał Kabioch synów swoich, i odeszli. Oni gwiazdną nicią, ale przed odejściem każdy wybrał dla siebie dziewicę i zrodził następcę. I stali się synowie swoich ojców wielkimi władcami ziemskimi, przepelnionymi mocą i mądrością. Syn Flocha otrzymał władzę nad ogniem ziemskim i niebiańskim i zostawił mu ojciec konia, rudego jak ogień. Synowi Ollocha podporządkowały się Wody i podarował mu ojciec barana, jak piana morska białego. Ale Rochowi urodziły się bliźnięta, a Wentochowi – córka o imieniu Garelli. I

zdecydował Roch, że pierwszy, który wyszedł z łona matki, będzie władać kamieniami, piaskiem i płodną ziemią I otrzyma byka, czarnego jak ziemia, a młodszy, imieniem Goch, przeżyje całe Życie, jako zwykły śmiertelnik. Ten sam los spotkał córkę Wentocha. I było tak, jak było, ale mądrość Kabiocha jest ponad mądrością synów Jego. I spotkał Goch, syn Rocha, córkę Wentocha, i pokochali się wielką miłością, i od nich zaczął się nasz ród, ród Gochchonów, co oznacza „dzieci Gocha”, prawnuki Kabiocha. To o nas. Teraz o Wentochu. Znowu poszedł on do śmiertelnej dziewczyny i w określonym czasie urodziła ona syna, i przekazał mu Wentoch władzę nad wiatrami i sforę psów, szybkich jak obłoki pędzone przez burzę. I opuścili Floch, Roch, Olloch i Wentoch ten świat, nakazawszy swoim synom rządzić wedle praw Kabiochowych, ale potomkowie zapomnieli o prawdzie i odżegnali się od przodków swoich, zmarnowawszy moc swoją. Tym sposobem stracili prawo do spadku i tylko my, pamiętający i wierni, mamy do niego prawo. Tak mówią czcigodni. – Mellit przepraszająco zerknęła na rozmówcę. – Ale Aldo z rodu Rakanów nie powinien wyrzekać się swojego pierworództwa. To mu przyniesie niepowodzenie i nie przyniesie nam szczęścia.

–Nie wierzysz swoim mędrcom? – I niech nie wierzy, żeby tylko jemu wierzyła, żeby nie odchodziła.

–Jest taka przypowieść. – Złote oczy Mellit jakby ściemniały. – Pewien człowiek zakopał w piwnicy swego domu wino z czerwonych jagód. Polecił w testamencie synowi, by wypili to wino w dniu urodzin wnuka, ale temu zrobiło się żal wina, i jego synowi było żal, i jego synowi... Minęło czterysta lat i ostatni z rodu postanowił je wypić. Zaprosił przyjaciół i wykopał naczynie, ale przetrzymane wino stało się trucizną. Obawiam się, że trucizną stała się też spuścizna Rakanów, nie powinno się tego ruszać. Odchodzisz do złego kraju, którego władcyka jest chytry i chciwy, a wojownicy okrutni. Zaczynasz wojnę, ale czy będziesz mógł ją zatrzymać?

–Nie chcesz, żebym jechał? – pochylił się do przodu Epineix.

–Nie chcę, ale pojedziesz. Chcesz nałożyć na głowę Aldo koronę i on też tego chce. Nie ma mężczyzny bardziej urodziwego, godniejszego i szlachetniejszego niż Aldo z domu Rakanów. Macie prawo z racji krwi i lubicie zwyciężać, ale po śladach Wiktorii chodzą wściekle psy i lecą stada kruków. Czcigodny Enniol nie kłamie, ale i nie mówi wszystkiego. Przezacny Aldo nie powinien oddawać prawnukom Kabiochowym tego, o co oni proszą, nie przekonawszy się uprzednio, czy nie niosą ze sobą nieszczęścia.

Oto kobiece serce! Miłość ponad wiarę i pomyślność rodu! Chociaż dlaczego kobiece? Czy on nie posłałby do Obcego spryciarza Adgemara, nie chwycił Mellit na siodło i nie popędziłyby tam, gdzie ich nikt nie znajdzie, gdyby tylko skinęła paluszką? Ale Goganni kocha Aldo, a Rober Epineix pojedzie do Kagety zdobywać dla księcia tron. Na Pociętego Smoka! Następca domu Błyskawic zakochał się w

córce gogańskiego karczmarza i gotów dla niej na wszystko, a przecież nie tak dawno śmiał się i mówił, że nie miłość jest w życiu najważniejsza i że nie ma ona szans w walce z polityką, wojną, przyjaźnią.

–Rober – Mellit chyba była zaniepokojona – czy ja cię zmartwiłam? Nie wolno przed podróżą odbierać wędrowcowi celu. Nie miałam prawa. Zapomnij moje słowa.

Słowa już zapomniał, przecież nie było w nich nic poza miłością do innego, ale jak zapomnieć samą Mellit? Może pomoże podróż i wojna, ale... Ale powinien jej powiedzieć o swojej miłości i o tym, że na świecie nie ma kobiety ponad nią, lepszej...

Drzwi skrzypnęły i otworzyły się, przyczajony za nimi przeciąg poruszył zasłonami, coś szybko zaszeleściło. Czyżby Clement?

–Rober – wesoło zawołał od progu przyszły władca Taligoi – podobno znowu ci przeniesiono kenallijskie? O Stwórco! Piękna Mellit. Roberze, ty przecież...

–Mellit przyszła się pożegnać – szybko powiedział Inochodziec.

Żeby tak Obcy wziął tego Aldo! Po raz pierwszy w życiu Epineix nie ucieszyła wizyta przyjaciela, zresztą Aldo tego nie zauważył. Książę nie cierpiał na nadmierną spostrzegawczość, a Mellit widziała tylko jego i od razu Rober przestał dla niej istnieć.

–Mellit powiada – chyba udało mu się opanować – że nie powinniśmy oddawać jej współplemioncom wszystkiego, czego chcą.

–Słusznie, bo i nie oddamy – zapewnił go książę – ale, pani, jakże jestem rad panią widzieć. W czerni jest pani jeszcze bardziej do twarzy niż w bieli!

Na Leworękiego i wszystkie jego potwory! Czyżby on też kiedyś plótł takie banalne i niewybredne bzdury? A Mellit słucha, i to jak słucha! Dla niej słowa, jakie Aldo wypowiadał i jeszcze po tysiącokrotnie wypowie, to objawienie, święta prawda, ważniejsza od Esperacji czy co tam Goganie mają.

–Pani, przyszłaś tu sama, ale z powrotem cię samej nie puszcę. Odprowadzę cię...

–Jeśli taka wola przeznacznego...

Roberowi Epineix nie pozwoliła iść za sobą i miała rację, ale miłość zabija rozum. Aldo wolno wszystko i tylko Władca Kotów wie, dokąd książę ją zaprowadzi.

–Rober, jedziesz jutro?

–Tak. Rano.

–Wrócę jeszcze, ale najpierw odprowadzę damę do domu. Mellit, skoro przyszła pani pożegnać mojego marszałka, to wypijmy za jego pomyślność.

Dziewczyna opuściła rzęsy, co zostało zinterpretowane jako zgoda i było zgodą. Zachcianka Aldo była dla niej najwyższym prawem.

Rober w milczeniu postawił na stole trzy kieliszki, Aldo sięgnął do kosza z butelkami, ale cofnął rękę patrząc ze zdziwieniem na szczerzącego zęby Clementa.

–Szczur! – zawołała dziewczyna. – Ukąsił przezacnego!? To zły omen.

–Bzdury! – roześmiał się Aldo, przyciskając do ręki chusteczkę. – To przyjaciel Robera. Marszałku, skoro tak się sprawy mają, to nalewaj sam i zabierz swojego zwierza.

Clement sam uciekł, na pożegnanie szczęknąwszy zębami.

Obraził się. Epineix wsunął rękę do kosza i na chybił trafił wyjął butelkę. „Łzy dziewicy”, ale Mellit nie powinna płakać. Nie powinna, ale zapłacze, ponieważ kocha całym sercem, a Aldo po prostu igra z nią. Nie dlatego, że jest zły, a dlatego, że ruda Goganni jest dla niego jedną z wielu. Rober nie powinien puszczać ich razem, ale i zatrzymać nie może.

–Drugi toast pijemy za naszego pięknego gościa – z galanterią oświadczył Aldo. – Ale pierwszy za odjeżdżającego. Powodzenia, Roberze.

–Niech twa droga doprowadzi cię do szczęścia – bardzo poważnie dodała Goganni.

Szczęścia? Raczej nie... Do zwycięstwa – może; powodzenie, obca zawiść, czyste sumienie, bogactwo, honory, to wszystko jest osiągalne. Ale szczęście? Inochodziec duszkiem wypił wino i cisnął kielichem o ścianę.

–Tak będzie, Mellit! Tak będzie!

Rozdział 5

Ollaria

„Le Cinq des Deniers” [\[105\]](#)

1

Kary Moro nie zwracał uwagi na Psotnika, a Roke na Dickona. Wojskowy obóz, skąd wracał Pierwszy Marszałek, znajdował się nieopodal Merami, dużej wsi, gdzie w Dniu Karla odbywał się słynny jarmark i karnawał. Dickon już z dala zauważył szybujące po niebie latawce z ogonami i usłyszał dudnienie bębna i wycie trąb. Młodzieniec strasznie chciał skręcić do jaskrawych, kuszących namiotów, ale Kruk miał w nosie zarówno chęci giermka, jak i wesołość innych ludzi. Richard otwarcie bał się swojego era, chociaż ten zwracał na giermka mniej uwagi niż na swojego wierzchowca. To lekceważenie było jeszcze bardziej przykre niż otwarte szyderstwo, którego Kruk używał w stosunku do każdego, z kim w ogóle raczył rozmawiać. Richard Ockdell nie znajdował się w tym gronie.

Towarzystwo marszałka rekompensowało tylko to, że w czasie pałacowych uroczystości Dick mógł widzieć Katarinę, ale tym razem królowej nie było – w Małej Radzie Miecza kobiety nie uczestniczą. Dickon stał kilka godzin za fotelem Roke, wysłuchał raportów dowódców, ale niewiele z tego zrozumiał, ponieważ głowa Władcy Skał zajęta była wyłącznie Jej Wysokością. Richard miał nadzieję zobaczyć królową choćby przez chwilę podczas wieczornej uczyty, ale Roke nie raczył zostać. Richard nie wątpił, że er nie miał żadnych ważnych spraw, po prostu kolejny raz musiał pokazać, że nikogo nie potrzebuje.

Marszałek skręcił w główną ulicę i wjechał w pośpiesznie rozstępujący się tłum. Dickowi wydawało się, że słyszy za plecami szept: „Kruk”. Co się wydawało Psotnikowi, pozostało niewiadome, ale ogier Ockdella nagle zadygotał i wytrzeszczył oczy.

No pewnie! Dokoła było strasznie. Wiatr rozwiewał jaskrawe chorągwie i sztandary, kręcił wiatrakami, kiwał zwisającymi z dachów na sznurkach słomianymi demonami, wśród tłumu przechadzali się ludzie w pstrych szatach z naszytymi dzwoneczkami, trzeszczały terkotki, grzechotały grzechotki, a obok coś głośno wyło i stukało. Mało tego, przed nimi pojawił się ogromny wóz, zaprzężony w parę obwieszonych dzwonkami mułów. Psotnik stanął jak wryty, nie zwracając uwagi na wszystkie próby Dicka, a potem wykonał rozpaczliwy skok, niemal rozsmarowawszy jeźdźca na murze pobliskiej oberży. Szyld lokalu cicho zabrzączał uderzony porywem wiatru, poturlało

się wywrócone wiadro. Biedny Psotnik podskoczył wszystkimi czterema nogami i cofnął się, omal nie przewróciwszy wystrojonej grubej jejmości. Ta się rozdarła. Ostatecznie oszalały z przerażenia koń ogromnymi skokami pognał przed siebie w pola.

Zaskoczony Dick wypuścił wodze i oszalały wierzchowiec popędził na złamanie karku w kierunku widniejącego na horyzoncie lasu, ale w połowie drogi zrezygnował, stanął dęba, młócąc powietrze przednimi nogami. Młodzieniec wczepił się z całej siły w grzywę, myśląc tylko o tym, jak utrzymać się w siodle, a potem w uszy uderzył stukot kopyt i wypielęgnowana dłoń przechwyciła uzdę Psotnika przy kielźnie. W Kruku oszustwem było wszystko – nawet jego delikatność. Wierzchowiec, nie ośmielając sprzeciwić się stalowej woli i stalowej ręce władcy Kenalloi, posłusznie opadł na nogi i znieruchomiał, drżąc całym ciałem. Roke puścił wodze i roześmiał się.

–Co należy powiedzieć, młodzieńcze?

–Dziękuję, er Roke, ale sam bym sobie poradził.

–Ten koń jest za młody i został źle ułożony, potrzebujesz innego.

–To jest koń z Nadoru...

–Tak myślałem. Możesz go sobie zostawić, jako pamiątkę, ale jeździć na takim śmieciu mój giermek nie będzie.

–Er Roke – tak naprawdę Richard nigdzie się nie wybierał, ale duma wymagała, by powiedział cokolwiek – czy mogę dziś być wolny?

–Oczywiście – wzruszył ramionami Kruk – ale jutro o siódmej proszę czekać na mnie w westybulu. Będziesz mi potrzebny.

Nal, widząc krewniaka, zdziwił się i niezbyt ucieszył. Dickon zrozumiał, że kuzyn zamierzał spędzić wieczór po swojemu, ale Dick nie miał wyboru, chyba, że szwendałby się bez celu po Ollarii, czego kategorycznie zabronił mu conseiller. Wrócić do willi Kruka Dick nie mógł, ponieważ oznajmił, że ma wiele spraw do załatwienia i wróci późno, a nie zamierzał dawać powodu do kpin.

–Wybierałeś się gdzieś?

–W sumie tak – uśmiechnął się Nal – ale nie ma spraw, których nie można odłożyć. Ale w domu nie mam nic do jedzenia, więc przyjdzie nam zjeść kolację w jakiejś oberży.

–Ale na pewno nie przeszkadzam?

–Na pewno – zapewnił go kuzyn. – Na razie nie jestem jeszcze conseillerem, beze mnie Taligoja jakoś przeżyje jeden wieczór, więc idziemy. Znam tu jedno miejsce, gdzie pieką mięso na kagetański sposób, musisz spróbować.

Tak, Nal zawsze lubił dobrze zjeść, w tym przypominał swoją mateczkę. Ivon miał kłopoty z trawieniem, od kiedy Dick pamiętał, hrabia jadł tylko chude i niesolone, a i tak co kilka miesięcy czuł się kiepsko. Natomiast Reginald, jeśli tak dalej pójdzie, za kilka lat nie przejdzie przez żadne drzwi. Sam Dickon nie zwracał przesadnej uwagi na jedzenie – wolałby popatrzeć na słynne tancerki czy jeszcze raz zajrzeć do „Ostrogi”, ale Nal po wydarzeniu ze zbójami odbył długą rozmowę z erem Augustem, po której stał się bardzo nieufnym. Dick przez cały tydzień złościł się, że kuzyn i conseiller zakazali mu kontaktów z gwardzistą Mariusem, którego uważali za podejrzanego.

Richard uważał napad za przypadek – siedł sam, dobrze ubrany i wyglądał na łatwą zdobycz. Reginald zgadzał się, ale wzdychał przy tym jak pluton mnichów, a potem Mariusowi skończył się urlop i wrócił do szeregów. Richarda to zmartwiło – gwardzista mu się spodobał, w jego towarzystwie było weselej niż w towarzystwie Nala. Patrząc na okrągłe oblicze krewniaka, młodzieniec myślał, że trzeba było po prostu samemu pójść do „Ostrogi”. Albo nie do „Ostrogi”, skoro tam bywa Esteban z kolegami, a gdzie indziej. W końcu Richard jest już dorosły, jakoś da sobie radę bez nianiek...

–Dobra – westchnął chłopak, szykując się na kolejną pouczającą rozmowę. – Chodźmy jeść kagetańskie mięso.

–Oni moczą je w winie – zaczął z zapalem Nal – a potem nabijają na takie specjalne przybory i pieką na węglu.

No i niech sobie pieką... Richard marzył o tym, by posłać Nala ze swoim mięsem do Leworękiego, ale ten już nakładał kapelusz i przypasywał szpadę, która nadawała mu zadziwiająco bezsensowny wygląd – Ivon w swoim niezmiennie ciemnym odzieniu, chudy, z ciemnosiwymi włosami wyglądał jak prawdziwy rycerz, choć może niecieszący się błogosławieństwem losu, a Reginald bardziej przypominał kramarza. Dick jeszcze raz zerknął na kuzyna i zawstydził się swoich myśli: Nal jest prawdziwym przyjacielem i Człowiekiem Honoru, można na nim polegać jak na kamiennej górze, a to jest najważniejsze. Esteban jest przystojny i zręczny, ale jest szubrawcem, który, gdy dorośnie, stanie się nowym Krukiem; dobrze by było, żeby przynajmniej bez jego przywódczego talentu.

–Oto jest „Słońce Kagety” – oznajmił kuzyn, wskazując szczył, na którym zza szpiczastych i jednakowych gór wylaniało się coś czerwonego, okrągłego i naszpikowanego ni to promieniami, ni to kopiami. – A właśnie, podają u nich też całkiem niezłe młode wino. Oczywiście pijaństwo nie prowadzi do niczego dobrego, ale mięso tu się popija winem, więc kilka szklanek nam nie zaszkodzi.

Wypili tylko po jednej, kiedy do „Słońca” wpadł Esteban Colignar z kilkoma kolegami. Kuzyn zbladł i rozejrzał się jak zaszczute zwierzę.

–Wybacz mi, Dickonie, nie miałem pojęcia, że oni... Nigdy ich tu nie widziałem. Muszą nas śledzić. Ciebie śledzą... Musimy wychodzić, er August...

–Richard Ockdell – Esteban z czarującym uśmiechem stał obok stołu – co za spotkanie! Wydaje mi się, że niedawno widziałem pana w „Ostrej ostrodze”, ale widocznie się pomyliłem.

–Nie pomyliłeś się – odparował Dick i uświadomił sobie, że też powinien przestać tykać Estebana. – Miałem niecierpiące zwłoki sprawy.

–Ale dziś chyba ich pan, mam nadzieję, nie ma? – przeciągle wyśpiewał „gnojarsz” najuprzejmiejszym tonem z możliwych.

–Nie – odpowiedział Dick, za co zarobił kopniaka od Nala i pośpiesznie dodał: – Monsignore zwolnił mnie na cały wieczór.

–No to proponuję po kolacji przenieść się do „Ręki losu” i zagrać w kości.

–Nie możemy – rzucił Reginald. – Mamy ważne spotkanie.

–Może pan nie może – Esteban z niemaskowaną pogardą popatrzył na Nala – ale też ja pana nie zapraszałem. Richardzie, dziś wszyscy Ockdellowie stali się ostrożni i szacowni jak ślimaki?

–Nie mam nic przeciwko spędzeniu wieczoru przy kościach. – Dick starał się

sprawić wrażenie zmęczonego i obojętnego.

–Czyli jesteśmy umówieni – skinął Esteban, odchodząc od stołu. – Najpierw mięso, potem – kości.

–Oszalałeś! – syknął Nal. – Przecież on ma sterty złota, może sobie ryzykować, a ty? Przypomnij sobie, co się dzieje w Nadorze. Ojciec i księżna Mirabella mówią, że kości to zabawa „gnojarzy”, a ty jesteś księciem Ockdellem. Tobie nie wypada nawet przy jednym stole z nim siedzieć...

–Dałem słowo – pojednawczo powiedział Dick – a ty sam zaprowadziłeś mnie na walki kogutów.

–To zupełnie inna sprawa – obruszył się Reginald. – Tam trzeba myśleć, nie pozwoliłbym ci postawić na beznadziejnego koguta. A kości – gra dla durniów, a oszukiwać można z łatwością niebywałą. Odmów.

–To niemożliwe! Esteban powie, że albo stchórzyłem, albo nie mam pieniędzy.

–Ale przecież ty rzeczywiście nie masz pieniędzy.

–Mogę przegrać dziesięć talów, obiecuję ci, że nie więcej.

Richard przegrał czterdzieści dwa, wszystko, co miał. Może nowicjuszom fortuna sprzyja, ale dla Ockdella zrobiła wyjątek. Wygrał tylko za pierwszym razem, a potem wszystko poleciało Leworękiemu pod ogon. Dick raz za razem rzucał kości, mając nadzieję, że wcześniej czy później powodzenie odwróci się do niego twarzą, ale ciągle wygrywał bank, który trzymał Esteban. Nie wiodło się nie tylko Dickowi, również innym, usiłującym schwytać swoje szczęście. Nal ciągle buczał mu do ucha albo namawiając do przerywania gry, albo czyniąc aluzje do banku, który nie może wygrywać z taką stałością. Sam Reginald, jak i Seweryn, w grze nie uczestniczyli. Jakiś młody rudzielec w jednej grze przegrał trzydzieści tali, machnął ręką i pogwizdując, wyszedł. Richard miał zamiar pójść jego śladem, ale Nal zbyt głośno zaczął lamentować nad niepowodzeniami Ockdella, a pozostali jak na złość umilkli i ostatnie zdanie kuzyna zawisło w kompletnej ciszy.

–Proponuję by wszyscy biedni ale dumni skończyli grę – uśmiechnął się Esteban, więc Dick zdecydowanie chwycił kości.

Tym razem mu się powiodło, nieco się odegrał, potem powiodło się jeszcze bardziej i chłopak odegrał osiemnaście tali z czterdziestu dwóch przegranych.

–Dość – pociągnął go za rękaw Nal – chodźmy. Już późno, marszałek czeka, będzie niezadowolony...

–„Będzie niezadowolony i odetnie sobie coś” – zaśpiewał frywolną piosenkę gwardzistów Seweryn.

Dick ze złością wyszarpnął rękę. Kuzyn zamrugał oczami, a widzowie się śmiali, a Esteban uprzejmie zapytał, czy księżę Ockdell gra dalej.

–Tak – rzucił Dick, starając się nie patrzeć w stronę Reginalda. Wygrał, ale to było ostatni raz, po czym porwał go czarny strumień. Odegrane złoto skończyło się, ale zatrzymać już się Dick nie mógł. Pieniądzy już nie miał, więc postawił Psotnika.

–Czy ty wiesz, co robisz? – zaczął swoje Nal. – Przecież to koń z Ockdell. Co powiesz matence? Na czym będziesz jeździł? Ja... Ja, jako starszy, zabraniam ci dalej grać!

–Zabraniasz? – Nal mówił zbyt głośno, cóż, sam sobie winien. – A kim ty jesteś, żeby mi zabraniać? Ja jestem głową rodziny, ja, a nie ty i nie twój ojciec, co zechcę, to zrobię!

–Hańbisz nas wszystkich!

–Proszę go nie słuchać, księżę – wtrącił się jakiś nieznajomy. – Te tłuste i tchórzliwe prosięta wszystkich hańbią, a pan zachowuje się jak przystało na szlachcica. Jeszcze trochę i Dziewica Fortuny pana doceni.

–Potwierdza pan swoją stawkę? – sprecyzował Esteban. Richard Ockdell skinął głową. Upadły i poturlały się po stole kości i Psotnik stał się własnością następcy Colignarów. Dziewica Fortuny wcale nie zamierzała zwrócić swojego spojrzenia na Władcę Skał. Nie miał już więcej nic, nie pozostało mu nic innego jak wstać i wyjść. Dick tak właśnie uczynił, ale gdy wstawał od stołu, jego wzrok napotkał wzrok Estebana.

–Pana stawka, księżę.

Dick rozumiał, że popełnia nawet nie głupstwo, ale czyn podły i haniebny w stosunku do wszystkich – matki, Ivona, Augusta, ojca, ale zerwał z dłoni rodowy sygnet i cisnął na stół.

Bez pieniędzy jakiś czas przeżyje – dach, wyżywienie i ubranie giermkowi daje jego er. Co prawda teraz już nie ma dokąd wyjść, nawet do kuchni. Widzieć Nala po wczorajszym wieczorze Dick nie chciał; sam rozumiał, co narobił, a wysłuchiwać niekończących się pouczeń i lamentów nie miał sił. Reginald miał we wszystkim rację, ale na Stwory Zmierzchu, po co przy wszystkich pchał się ze swoimi radami? A teraz sługa „gnojarka” będzie jeździł na ockdellovskim koniu, a sam Esteban będzie się przechwalał pierścieniem Władcy Skał. Zobaczą to wszyscy – conseiller, który na pewno napisze do matki i Ivona, Kruk i... królowa.

Er Estebana jest komendantem Ollarii, stale musi bywać na dworze, tak więc komendantowi giermek będzie miał okazję pochwalić się swoją wygraną. Trzeba coś zrobić, ale co? Pieniądzy na wykup Richard nie miał i nie zapowiadało się, by miał w przyszłości. Ukraść? Kraść nie umiał, poza tym wszystko byłoby zbyt oczywiste. Wyzwać Estebana? Zabić albo zginąć samemu i zakończyć wszystko za jednym zamachem?

Richard myślał całą noc i cały dzień, ale nic nie wymyślił. Można było jedynie poprosić o pomoc conseillera, ale przyznanie się nienawidzącemu gier hazardowych Stanclerowi do swojego postępu było ponad siły Richarda. Kiedy nadszedł czas przebierania się przed wyjazdem do pałacu, Dickon poważnie wyobrażał sobie, jak umiera od uderzenia wrażego kindżału, zasłaniając sobą królową albo conseillera, i na tym jego smutki się kończą. Tym niemniej przyszło mu włożyć zniechęcony niebieski kolet i doprowadzić do porządku stojące jak zwykle dęba włosy. Jakoś poradziwszy sobie z niepokornymi kędziorami, Dick starannie wymalował przed lustrem na obliczu pogardę do wszystkiego na tym świecie, zbiegł po schodach i stanął przed oczami swojego era.

Alva, częstujący czymś Moro, powitał giermka kocim uśmiechem.

–Dzień dobry, młodzieńcze. Nie jestem w stanie wyrazić, jakem wzruszony pana niesprzeciwianiem się, ale wziął pan moje słowa zbyt dosłownie. Pański krótkoogoniasty konik nie obciążał w żaden sposób mojej stajni. Można było go spokojnie zostawić.

Dickon zarumienił się aż po cebulki włosów. Brakowało tylko, żeby Alva uznał go za drobnego nadgorliwca, który rozstał się z ockdellovskim ogierem tylko z powodu kaprysu swojego era.

–Przegrałem Psoтника w kości! Nigdy w życiu bym...

–Oczywiście, to zmienia postać rzeczy – zgodził się Alva. – Przegrać ojcową pamiątkę w kości to znacznie bardziej honorowe, niż wyrzucić wedle wskazówek

utytułowanego szubrawca. Jestem dumny z pana, Richardzie Ockdellu. Co pan jeszcze przegrał? Poza pieniędzmi, rzecz jasna. Nie sądzę, by od razu rzucił się pan do przegrywania koni.

–To pana nie dotyczy.

–Mnie dotyczy wszystko to, co mnie dotyczy – mgliście wyjaśnił marszałek i roześmiał się. – jest pan zuchwały, młodzieńcze, ale wybaczam panu, i tak został pan ukarany. Kto jest, tak przy okazji, właścicielem krótkoogoniastego?

Dick wpatrywał się w czubki swoich butów. Odpowiadać na pytania Kruka ciągle nie potrafił. Godne odpowiedzi przychodziły mu do głowy z reguły w nocy albo następnego ranka.

–Czekam na odpowiedź.

Coś w leniwym głosie spowodowało, że młodzieniec burknął:

–Esteban Colignar.

–No to wspaniale – zachwyił się nie wiedzieć, czemu książę. – No więc, co jeszcze przegrałeś? Sztylet, widzę, jest, szpada – też, a pierścień... Niedobrze, młodzieńcze. Rodowe pierścienie są dla Ludzi Honoru droższe od złota, czyżby pańska czcigodna mateczka nie powiedziała tego panu? Co za przeoczenie. Pene! – Młodszy stajenny pojawił się w mig i Richard zacisnął zęby, zrozumiał, że ten wszystko słyszał. – Osiodłaj Soro. To jest wspaniały ogier, Ockdell, więc niech panu nie przyjdzie do głowy go przegrać. A nawiasem mówiąc, Soro jest sprytny, proszę być czujny.

Kruk z gracją wskoczył na tańczącego z radości moriska i zdmuchnął z rękawa nieistniejący pyłek. Pene przyprowadził bułanka Soro. Gdyby nie wpadka z Psołnikiem i uraza do całego świata, Richard byłby szczęśliwy, mogąc tylko się przejechać po mieście na tak pięknym wierzchowcu. Dick Ockdell był niezłym jeźdźcem, ale pod ironicznym spojrzeniem marszałka omal nie pokazał się z fatalnej strony. Soro zaś, jeśli nawet był urażony zdradą swojego pana, to nie okazał tego.

Roke znowu się uśmiechnął, ściągnął czarną, haftowaną srebrem rękawiczkę i zdjął jeden ze swoich licznych pierścieni.

–Proszę nałożyć. Na mnie jest za duży, a na Ockdella będzie chyba w sam raz.

–Ja nie...

–Dość! – krzyknął Alva. – Swoje wyczyny zakończyłeś wczoraj. Póki nie odzyskasz sygnetu ojca, będziesz nosił mój. Uważaj to za karę. Przypomnieć ci przysięgę?

Dickon westchnął i nałożył pierścień. Kamień, czarny i wydłużony, nieco przypominał przegrany. A Alva i Ockdellowie nosili ten sam kolor, tylko Władca Skał miał czarne pole herbu, a u Władców Wiatru czarny był sam znak.

–Jedziemy – rzucił Kruk i młodzieniec nie zrozumiał, do kogo skierowany był rozkaz – do konia marszałka czy do jego giermka. Minęli bramę i Aldo puścił Moro w kłus po ulicy. Dickon niezbyt dobrze znał Ollarię i nie od razu zrozumiał, że jadą wcale nie do królewskiej rezydencji. Książę, chwala Błogosławionemu, milczał, ale myśli młodzieńca i tak krążyły wokół wczorajszego nieszczęścia. Pierścień i Psotnika należy ratować, ale jak? Teraz Richard nie rozumiał, jak dał się wciągnąć w tę szaloną grę. Kości w Ockdell były surowo zabronione, ojciec uważał je za zabawę pewnych siebie parweniuszy i Dickon do wczoraj zgadzał się z nim całkowicie.

Kim w końcu jest ten Esteban, że on, następca Ockdellów, bał się, że wyjdzie w jego oczach na skąpca czy żebraka? Wszyscy wiedzą wszak, że Colignarowie są potomkami szewca, który za coś tam otrzymał od Franciska Ollara tytuł hrabiego. Ludzie Honoru uważają za dyshonor nawet rozmowę z takim, a co dopiero grę, a już bać się opinii „gnojara”?! A przecież Nal ostrzegał... Ale nie, on, Richard, postanowił, że sam sobie jest panem. No i pokazał.

–Wracaj na grzeszną ziemię, młodzieńcze – półgłosem zawołał go Roke. – Jesteśmy u celu. Skoro już zacząłeś, panie, grać, to musisz zobaczyć, jak to się robi. To jest dom ślicznotki Marianny i jej bardzo spolegliwego małżonka. Tu się gra ostro i w kości, i w karty. To ostatnie jest znacznie bardziej ciekawe. Kości są dla tępaków. Jeśli nie ma w nich oszustwa, to i tak od gracza nic nie zależy, a w kartach można samemu złapać powodzenie za kołnierz.

Oczywiście Dickon słyszał o kartach i nawet trzymał je w ręku. Po tym, jak Nickolaos Ewangellatu wynalazł urządzenie do druku, kolorowe obrazki szybko stały się modne. Inna sprawa, że do gry w tonto czy wjeharrop trzeba było mieć doświadczenie i spryt. W każdym innym czasie Richard byłby zachwycony, mogąc popatrzeć na grę, ale po tym, co nawyprawiał, to była tortura. Zresztą Roke nie pytał giermka o zdanie, Kruk miał kaprys zamiany audiencji u Ich Wysokości na wieczór karciany u kurtyzany i Richard mógł się tylko cieszyć, że pojawi się przed Stanclerem i królową bez pierścienia jeszcze nie dziś.

Usłudni słudzy zajęli się wierzchowcami. Moro zdążył pokazać im swój charakter, ale księciu nawet nie przyszło do głowy obejrzeć się na wściekłe rżenie i wrzaski służby – wszedł po prostu do jasno oświetlonego domu. Dickon szedł za swoim erem jak przystębnowany i wcale nie chodziło tym razem o rozkaz. We wspaniałym, wypełnionym ludźmi domu, wychowany w rozgrabionym zamku młodzieniec czuł się zagubiony, zresztą – zawsze nieco onieśmiały go hałaśliwe towarzystwa. W tłumie wystrojonych obcych ludzi Alva był jedyną znaną mu osobą, w dodatku w obecności Kruka nikt raczej nie będzie próbował zagadywać jego giermka o jakieś nieprzyjemne sprawy.

Roke, niedbale kłaniając się, wchodził po schodach, jakby nie widząc zdziwionych i rozdrażnionych spojrzeń. Alvy nie kochali ani Ludzie Honoru, ani „gnojzarze”, ale mało, kto odważał się wyrazić marszałkowi te uczucia. Zło było świetnie chronione przez stal i złoto.

–Marszałku, czy ja dobrze widzę? – Wątlą mężczyzna w różowym atłasie pośpieszał w ich kierunku, uśmiechając się miodowo.

–Oczywiście, książę.

–Jak pan się dowiedział?

–O czym, jeśli mogę wiedzieć? – Kruk pstryknięciem poprawił koronkę mankietu. – Ollaria jest wielka, a świat jeszcze większy, wiele rzeczy się w nim dzieje.

–O tym, że cudowna Marianna już niedługo zmieni protektora.

–Noo – przeciągle powiedział Alva, mierzając spojrzeniem obity jedwabiem pokój – protektor cudownej Marianny niewątpliwie jest hojny bardzo. Czymże sobie zasłużył na karę?

–Och, niczym... Ale Walme zbyt siedzi w szponach hazardu. O trzeciej zasiadł do gry z Kileanem. – Tonto?[\[106\]](#)

–Oczywiście. Kochany wicehrabia przepuścił już wszystko, co miał, i...

–Postanowił zagrać o kochankę i swoje prezenty? – uniósł brew Roke. – Nie powiedziałbym, że to szczyt elegancji.

–Zgadł pan. Kilean od dawna już szczyrzy zęby na tę brzoskwinę, a Walme nigdy potrafił się zatrzymać na czas.

–W takim razie grają ostro. Idziemy, Richardzie, to musi być, co najmniej zabawne.

Roke Alva potrafił we wszystkim znaleźć zabawne strony, ale Dickowi zrobiło się żal nieznanego Walme, który nie potrafił się zatrzymać. On sam też nie potrafił. Pod spojrzeniem dziesiątków oczu przyznać się do porażki, powiedzieć, że nie ma się czym zapłacić, łatwiej już umrzeć!

–Mam nadzieję, młodzieńcze, że już wiesz, o co chodzi? – błysnął szafirowymi oczami marszałek. – Obecny, że tak powiem, mecenas baronowej stał się z naszym drogim komendantem. Walme jest bardzo bogaty, ale w tonto gra się tylko z „wypłacalnością”, czyli przegrany, wstając od stołu, natychmiast płaci albo zostawia zastaw. Słowo honoru i weksle się nie liczą. Walme zabrakło gotówki, więc postawił swoją kochankę. Marianna jest wiele warta, ale jak się nie wie, to się nie wie.

–Roke – Raimon Saligan, jak zwykle ubrany niedbale, zamasyście potrząsnął ręką Kruka. Richard wzdrygnął się z obrzydzenia. – Myślałem, że jesteś u... hm, Jej Wysokości.

–Sytuacja się zmieniła – obdarzył go uśmiechem książę. – Tu, jak słyszę, odbywa się starcie, co się zowie?

–Raczej pogrom. Kampania beznadziejnie przegrana.

–Nie ma beznadziejnych kampanii, są tylko beznadziejni głupcy.

–Co do wojny nie będę się wypowiadał – mruknął Salinga – pan się na tym lepiej zna, ale tu mamy do czynienia właśnie z pogromem. Chce pan popatrzeć?

–Właśnie, drogi hrabio. Zamierzam pokazać temu młodzieńcowi, jak się przegrywa majątki. To jest wielce pouczające.

Richard wstrzymał oddech, oczekując, że er opowie o wczorajszym wydarzeniu, ale ten spokojnie ruszył dalej. W kącie pojawiły się zdziwione oczy Walentyna Pridda, ale nie podszedł – witanie się z Krukiem było ponad jego siły. Alva szedł dalej, ludzie rozstępowali się przed uśmiechniętym księciem tak, jakby szedł z obnażoną szpadą, ale za ich plecami rozlegał się cichy szmer komentarzy. Dickon nie wątpił – goście Marianny rozmawiają na temat pojawienia się marszałka. I – jakkolwiek się zdziwił –

było to przyjemne. Święty Alanie, żyć, nie zwracając uwagi na nikogo i ze wszystkich się śmiejąc – jakie to musi być potworne i zachwycające!

–Wszechpotężny i Wszechmiłościwy! – Pulchna brunetka o aksamitnej skórze i ogromnych oczach klasnęła w otoczone bransoletami rączki, jednej, z których Alva nie omieszkał ucałować.

–Szczęśliwy jestem, mogąc złożyć uszanowanie gwieździe Ollarii.

–Nie, to ja jestem szczęśliwa. – Richard zrozumiał, że to właśnie jest osławiona Marianna. Naprawdę była ładna, ale przed oczami młodzieńca stanęły błękitne oczy i włosy koloru popiołu Katariny Arigau. Wspaniała róża i blady hiacynt... Komu potrzebne są róże!

–Straciłam już nadzieję, że zobaczę pana w tym domu.

–Rozpacz to głupie uczucie, ereo – zauważył Kruk. – Zresztą miłość, wiara i nadzieja są jeszcze głupsze. Nieważne zresztą, jak to jest – jestem tu. Pani, jak widzę, śledzi grę. Czy wspaniały Kilean-ur-Lombach rzeczywiście wygrywa?

–O tak – kobieta roześmiała się, ale Dickowi wydawało się, że raczej chce jej się płakać. – Ma już chyba ze trzydzieści tysięcy...

–Współczuję. Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli ze swoim giermkiem siądziemy sobie przy kominku?

–Każę podać wina. Pan, jak wiem, pije tylko „Czarną Krew”?

–Plotka, jak zwykle, przesadza. Rzeczywiście przedkładam to wino nad inne, ale jeśli go nie ma...

–Jest. I będzie, póki jestem gospodynią w tym domu. – Wargi kobiety zadrżały.

–W takim razie będę tu częstym gościem. Pani sługa uniżony. – Księżę znowu złożył pocałunek na dłoni baronowej, a ta odeszła. – Jest zraniona, ocieka krwią, ale nie opuszcza flagi – zauważył Kruk. – To rzadka cecha, młodzieńcze. Szczególnie u kobiet.

W głowie Dickona wirowały i tłoczyły się dziesiątki pytań, odpychające nawet jego osobiste nieszczęście, ale pytać marszałka się nie odważył. Było jasne, że w domu Marianny odbywa się coś zakazanego, skandalizującego i niezwykłego, nawet jak na stołeczne warunki. Richard spokojnie siedział przy ogniu, obserwując swojego era. Lekko zmrużywszy oczy, Alva obserwował grających i ciekawskich, czasem upijając łyk wina. Dickon nie rozumiał, co oni tu robią. Młodzieniec miał ogromną ochotę przyłączyć się do zwisających nad karcianym stołem obserwatorów, ale nie poruszył

się, zadowolając się wychwytywaniem poszczególnych wyłaniających się z gwaru słów.

Walme przegrywał. Kilean-ur-Lombach zbierał punkty. Cyfry, jakie padały, wprawiały chłopaka, który przegrał onegdaj cztery setki, w nabożne drżenie. Nagle gwar rozmów ustał. Ktoś jęknął ostatni raz, ktoś zaklął i nastąpiła całkowita cisza.

–Czterdzieści dwa tysiące, panowie – oznajmił rasowy niski głos. – Jak się umawialiśmy, Walme, ma pan czym zapłacić, czy wycofuje się pan?

–Niestety. – Drugi głos był znacznie wyższy i słychać w nim było gorzkość porażki. – Jeśli nie raczy pan...

–Gramy w tonto, drogi panie – zaproponował pierwszy. – Karty nie lubią, kiedy odstępujesz się od reguł. Czy zatem poddaje się pan?

–Tak – odpowiedział przegrany. – Marianno, naprawdę ogromnie żałuję...

–Sądzę – zdecydował pierwszy – że czas na obiad. I tak nastąpiła ogromna zwłoka...

–Proszę poczekać – lekko zachrypnięty głos należał do baronowej – karty naprawdę wymagają zachowania rytuału. Ludwig, pan powinien zapytać, czy może ktoś z obecnych chce przejąć przegraną Walme?

–Cóż, zawsze gram wedle reguł. Tak więc, drodzy panowie, czterdzieści dwa tysiące. – Dickon nie widział twarzy Ludwiga, ale gotów był się założyć, że ten uśmiecha się triumfalnie. – Nikt nie chce powiesić sobie tego kamyczka na szyi?

–Generale – odezwał się ktoś w ciemnozielonym stroju, stojący plecami do Dickona – raczej nikt tutaj nie nienawidzi nas tak silnie, by mogło to przełamać pańskie powodzenie.

–I duszy Obcemu nie sprzedawaliśmy – dodał podpierający ścianę szlachcic.

–Proszę się lepiej przyznać – zauważył zwycięzca – że obawia się pan o swoje złoto, bo ja nie uważam pieniędzy za najważniejszą rzecz w życiu.

–Złote słowa, hrabio. – Roke przekazał niedopity kielich Dickonowi i wstał. – Złoto jest wspaniałym sługą, ale obrzydliwym panem. Może byśmy zegrali? Sądzę, że jestem w wystarczającym stopniu znienawidzony, by zaspokoić najkapryśniejszą z Dziewic Fortuny.

–Naprawdę chce pan grać, książę? – W głosie Ludwiga pojawiło się niemaskowane i szczere zdumienie. – Nigdy nie widziałem pana przy kartach.

–Z obnażoną szpadą też mnie pan na razie nie widział... Tak więc, jakież to kamyczek spada na moje kruche barki?

–Czterdzieści dwa tysiące – usłużnie podpowiedział niechlujny jegomość, który pojawił się tu nie wiadomo, kiedy i jak.

–No tak, moja reputacja powszechnie nielubianego zostanie poddana poważnej próbie. Cóż, podejmuję.

W martwej ciszy rozległ się brzęk. Gospodyni upuściła kielich. Dickon widział jej twarz – natchnioną, jak u modlących się na freskach starej kaplicy.

–Pańskie warunki?

–Nie mam zwyczaju zniżać stawek – rzucił Ludwig.

–Ale – ciemna brew nieco się uniosła – może chce je pan podnieść?

–Oszalał – rzucił jakiś frant – poważnie, oszalał i nie ma co robić z pieniędzmi.

–Kruk zawsze może narzucić Kileanowi sprzeczkę – szeptem odezwał się ciemnozielony.

–Prościej by było powiedzieć „pugilares albo życie” – roześmiał się ktoś inny. – Walczyć z Krukiem? Strzeż Wszechpotężny, chyba, że mu oczy zawiążą.

–I odetną prawą rękę – poparł go pierwszy.

–Wtedy, Herbert, zabiję pana lewą – rzucił, nie oglądając się, Alva. – Proszę się nie obawiać, Ludwigu, nie zamierzam oskarżać pana o oszustwo, ale świec poproszę rzeczywiście więcej. Nie należy dawać pretekstów do plotek.

Słudzy pośpiesznie przytargali dwa kandelabry i podali tacę z nierozpieczętowanymi taliami.

–Richardzie – machnął ręką Alva – proszę zostawić ten nieszczęsny kielich, podejść tu i wybrać talię.

Dickon wcisnął kielich z winem jednemu ze służących, podszedł do karcianego stołu, przyjrzał się jednakowym klocom zawiniętym w opieczętowaną lakiem skórę i pośpiesznie chwycił pierwszy z brzegu.

–Dziękuję. Czyli ile mamy za punkt? Pół talia czy cała?

Cała?! Tali za punkt z uznaniem for w wysokości czterdziestu dwóch tysięcy?!

–Wcześniej nie miałem pana za szaleńca, Alva.

–W takim razie jest pan miłym mi wyjątkiem. No więc tali czy pół?

–Graliśmy po ćwierć.

–Phi! – pokręcił głową Roke. – Przeliczmy pańskie punkty na pieniądze?

–Jak pan sobie życzy.

–Czyli przeliczymy. To będzie...

–Dziesięć i pół tysiąca tallów.

–Dla równego rachunku liczymy jedenaście.

–Proszę zaspokoić moją ciekawość: czy przyniósł pan ze sobą taką sumę?

–Stary Jordan wycenił „Gwiazdy Kenalloa” na trzydzieści sześć. Mam co przegrywać, mospanie. Na szczęście nie jesteśmy żebrakami. Proponuję od tej chwili podnieść stawki. Tali za punkt? Czy pół?

–Zmusza mnie pan do wyboru między chciwością i wielkodusznością. Oddaję panu wybór.

–Wielkoduszności nie lubię – błysnął oczami Roke. – Tali. Rozegramy rozdanie. Pański giermek może nam pomóc?

–Nie biorę go w takie miejsca.

–Ach tak? Czyli biedny chłopiec musi się bawić sam. Panowie, pomoże nam ktoś rozegrać rozdanie? Może pan, wicehrabio? Reszka czy orzeł?

–Reszka. – Ludwig jako Człowiek Honoru nie mógł powiedzieć inaczej – herb Ollarów był mu nienawistny.

–A dla mnie, jak widzę, smok – roześmiał się Alva. – Właściwie to, co z niego zostawił Zwycięzca. Proszę rzucać.

Złoty krążek mignął w powietrzu i upadł.

–Reszka, Roke – przepaszającym tonem powiedział Walme. – Widocznie nie tylko pana nienawidzą, ale i kochają.

–Co za niefart – wzruszył ramionami Kruk – ale żywię nadzieję na uczucia prawdziwych Taligojczyków. Proszę rozdawać...

Partia zaczęła się spokojnie, nawet nudno. Niektórzy widzowie, westchnąwszy z rozczarowaniem, przeszli do innych sal. Pozostali tylko znawcy, rozumiejący, że gracze badają siebie wzajemnie, nie myśląc w tej chwili o punktach. Kileana w działaniu widziało wielu, ale Kruk jako gracz był dla nich lisek w norze.[107] Marszałek grał bardzo ostrożnie. Gdyby nie potworne fory przeciwnika, byłoby to działanie rozumne, ale przełamać taką partię bez ryzyka było niemożliwe. Tak sądzili wszyscy, do takiego też wniosku doszedł stojący obok Dicka ciemnozielony jegomość. Richard też tak uważał, ale po godzinie z hakiem młodzieniec w szarym kolecie, zerknąwszy na zapis, drżącym głosem oznajmił, że Kruk odegrał tysiąc dwieście.

Trafiła kosa na kamień. Ludwig grał dobrze, nawet bardzo dobrze, czuł karty, miał wspaniałą pamięć, ale zapalał się i uganiając się za punktem, zapominał zatrzymać odpowiedni kolor, który w końcówce kolo[108] decydował o zwycięstwie. Roke ważył przeciwnika, pozwalał mu na początku odbierać wszystko, co można i czego nie można, i odgrywał się w ostatnich ruchach, pozbawiając hrabiego punktów premiowych, pięć – albo i dziesięciokrotnie przewyższających punkty początkowe. Gra błyskawicznie nabierała tempa, marszałek nie popełniał najmniejszego błędu, nie zapominał wykorzystać każdego błędu rywala, a błędy te zaczynały się mnożyć. Po jednym, szczególnie burzliwym kolo, które przyniosło Krukowi osiemset osiemdziesiąt punktów, a Ludwigowi – trzydzieści, Walme nie wytrzymał:

–Nie pojmuję, Roke, z czego pan jest zrobiony – ze stali czy z lodu?

–Nie wiem – wzruszył ramionami Kruk, tasując karty – krew mam czerwoną.

–Ale pije pan „Czarną”.

–Z reguły – zgodził się marszałek i poszukał wzrokiem służącego. – Kochanieńki, czy w tym domu jest jeszcze „Czarna Krew”?

–Tak, proszę pana.

–Przynieś.

–Roke, czy warto? – wtrącił się odziany w ciemną zieleń, czy to sympatyzujący z Krukiem, czy może nieżyczący powodzenia jego rywalowi.

–Sam za siebie odpowiadam – rzucił Kenallijczyk.

–Ja też się napiję – burknął Kilean. – Niepotrzebnie oddałem panu ostatni kirk.

–Owszem, głupi błąd – zgodził się marszałek, tasując karty. Z boku wydawało się, że jest mu obojętne – wygrywa czy przegrywa. Oburzona taką obojętnością fortuna jak prawdziwa kokietka zwróciła uwagę na nieuprzejmego kawalera. Przewaga topniała, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Przeliczając punkty na pieniądze, Ludwig zmniejszył swoje fory czterokrotnie. Na początku gry wydawało się to sensowne, teraz mądrzy gracze znacząco kiwali głowami, potępiając hrabiego za przesadne skąpstwo. Dickon widział, że Kileana zaczyna ogarniać szal.

–Proszę nie mieć nadziei, że znowu się panu tak powiedzie. – Ton, jakim zostało to powiedziane, nie pozostawił wątpliwości, co do uczuć Ludwiga, ale Roke otwarcie rozkoszował się cudzym gniewem.

–Najdroższy hrabio – Kenallijczyk wziął kielich z rąk służącego. – Dziękuję, mój drogi. Tak, więc, najdroższy Kileanie, gdybym liczył, że mi się powiedzie, utonąłbym w studni w niewinnym wieku trzech lat, nie zgrzeszywszy ani razu. Oczywiście drugi raz tego wieczora takiego błędu pan nie popełni. Pan rozdaje.

Ludwig rozdał, gra szła dalej. Ollaria spała, w domu też było cicho – niemal wszyscy zgromadzili się przy stole i wstrzymując oddech, obserwowali nieprawdopodobny pojedynek. Kilean przegrywał, i to przegrywał błyskawicznie. Niepowodzenie trzęsło nim jak gończy zającem.

–Tylko dureń może ciągnąć grę, kiedy fortuna odwróciła się tyłem i wierzga – półgłosem zauważył ktoś stojący obok Dicka.

–Bo i dureń ją ciągnie – wysyczał Walme, oczekujący porażki swojego pogromcy.

–Widzisz, Richardzie, jak pewien młody człowiek wyglądał wczorajszej nocy? – wymamrotał, nie odrywając wzroku od kart, książkę, podając giermkowi pusty kielich. – Proszę nalać.

Richard nalał, Roke podziękował krótko i rzucił kilka kart. Ludwig Kilean pochłaniał wzrokiem rywala, mając nadzieję, że z jego twarzy odczyta, co mianowicie ów rzucił, a Roke smakował „Czarną Krew”, zagadkowy jak dziesięć demonów.

Kilean wykladał kartę za kartą. Roke odpowiadał: trójka Skał, piątka Błyskawic, Serce Fal...

Oczy Ludwiga błysnęły szaleństwem, cisnął Królową i Rycerza Błyskawic. Roke niedbale odkrył dwie ostatnie swoje karty Król Błyskawic i Serce Wiatru. Richard miał wrażenie, że słyszy zgrzyt zębów Kileana.

–Nie wydaje się wam, że Alva ma teraz zielone oczy? – zauważył jakiś szlachcic w brązowym stroju.

–Czemu nie, jeszcze trochę i będzie Władcą Kotów...

–Jednej kotki – roześmiał się Salinga – ale czarującej.

–Jeszcze jednej – poprawił go brązowy. – Na Pociętego Smoka, fortuna wzięła Krukowi na kolana, jak...

–Jak, powiedzmy, Królowa Błyskawic – przerwał mocno już podchmielony Walme – i nie zejdzie, póki...

–Czy pan wie, hrabio, że wkrótce pana dogonię? – leniwy głos zmusił wszystkich do zamilknięcia.

–Panu, mój przyjacielu, wyraźnie się nie wiecie... Może tylko w ostatnim kole, kiedy grał pański kolor, a i tak... – Alva odstawił kielich i zaskakująco gwałtownie rzucił: – Gram lepiej od pana i fortuna jest po mojej stronie. Jak każda wywłoka, lubi szubrawców i wojskowych, a ja jestem jednym i drugim. Kończmy grę, Ludwig. Póki nie jest za późno. W tej chwili jestem panu jeszcze winien dwa tysiące. Proszę zabrać i odejść.

W świetle świec rzucone na obrus kenallijskie szafiry rzeczywiście wyglądały jak niebieskie gwiazdy, ale oczy Kruka płonęły mocniej.

Kilean milczał, milczeli pozostali. Wszystko działo się jak wczoraj, tylko na miejscu Richarda Ockdelia był inny Człowiek Honoru, a miejsce „gnojarka” zajął potomek zdrajcy Ramiro. Dickon znał wszystkie myśli Ludwiga – wczoraj myślał tak samo. Też go powstrzymywano, gdy skończyły mu się pieniądze i kiedy postawił najpierw Psoтника, a potem, przerażony tym, co czyni – pierścień. Ludwig był starszy od Dicka o dobre dwadzieścia lat, ale jakie to miało znaczenie! Był graczem i ciężko mu było pogodzić się z przegraną. Był Człowiekiem Honoru i wzdragał się przed przegraną z pomiotem zdrajcy. Był szlachcicem i nie chciał zyskać sławy ostrożnego skąpca.

–Proszę rozdawać, Alva!

–Nie idzie panu i nie ma pan siedemnastu lat. Nalegam, żeby pan odszedł i nie narobił głupstw.

–Rzeczywiście, Ludwigu – pojednawczym tonem wtrącił się ktoś w barwach Domu Fal. – Alva dziś jest wysoko w siodle i niech go tam.

–Nie wiecie się w kartach, powiedzie w miłości – zauważył, uśmiechając się, szary kolet.

–Na Pociętego Smoka! Kileanowi powiedzie się w miłości, tylko, jeśli powiedzie się

w grze! – zarechotał Walme.

–Ludwig, czy nie chce pan utrzyć nosa Krukowi?

–Ale naprawdę, przecież w końcu musi się to komuś udać!

–A pewnie, może panu.

–Na Stwory Zmierzchu, Roke zaryzykował swoje „Gwiazdy”... Kto ryzykuje, temu Obcy podpowiada!

Goście byli już pijani. Kilean też. Gwałtownie odwrócił się do uśmiechniętego marszałka.

–Proszę rozdawać!

–Proszę bardzo. Dickonie, wina!

Następne kolo przyniosło hrabiemu nadzieję. Kilean grał bardzo wolno i bardzo ostrożnie, nie słuchał ani rad, ani ponagleń. Roke otwarcie się nudził i popełnił kilka błędów. Ludwig zaryzykował i odgadł. Zaryzykował ponownie i znowu wygrał. Alva poprosił o więcej wina i zrzucił kilka kart, niemal nie patrząc na nie; widocznie plotki o tym, że Kruk się nie upija, były jeszcze jedną bajką.

Stojąc wśród widzów, Dick sam nie wiedział, czego pragnie. Ludwig był Człowiekiem Honoru, ale zagranie Kruka nie mogło nie zachwycić. Kilean zaryzykował zrzuć czterech kart – wygrał i zaczął ryzykować na całego. Trochę wygrał, dużo przegrał, zażądał wina, wypił i zaczął szaleć. Ogarnęło go znane większości graczy szaleństwo – hrabia przestał uważać na punkty, szacować, jakie kolory zostały w ręku przeciwnika, zapamiętywać te, który miał sam. Kruk zaś już się nie mylił, uśmiechał się jak poprzednio, popijał wino, mimochodem odpowiadając na wtręty gości, ale kiedy Dickon przypadkowo przechwycił niebieskie spojrzenie, ogarnęło go przerażenie.

Zegar w kącie wybił trzy kwadranse na czwartą, kiedy wicehrabia Walme wyszeptał z nabożeństwem:

–Dogonił!

–Tak – zgodził się Roke. – Wiekowa nienawiść to wielka rzecz. Cóż, drogi hrabio. Wynik zrównał się i nie jestem już panu nic winien, ale nasz drogi Walme coś jest winien mnie. Ale nic to, jakoś się rozliczymy.

–Ma pan rację – zgodził się Kilean. – Już późno. Na tonto – późno. Ale możemy zakończyć wjeharronem.[\[109\]](#)

–Możemy – błysnął oczami Roke.

–Tylko może przekąsimy coś przedtem, pan pojawił się później, a ja...

–Oczywiście, w moich planach kompletnie nie leży zagłodzenie komendanta Ollarii.

–Marszałku – odezwał się któryś ze stronnictwa Alvy – niech pan nie spłoszy fortuny. Przerywanie gry to zły omen.

–Głupstwa – machnął ręką Kruk, wstając od stołu. – Fortuna to nie wróbel, a kobieta. Nigdzie nie ucieknie.

Kucharz jakimś cudem zdołał uratować kolację, choć musiał ją podawać o pięć, czy może nawet sześć godzin później. Dick stał za krzesłem swojego era, usługującego baronowej. Marianna niemal nic nie jadła, siedzący naprzeciwko niej Ludwig też nie okazywał zainteresowania kulinarnym arcydziełem, natomiast widzowie korzystali na całego, komplementując urodę i gościnność gospodyni i roztrząsając wielkie karciane batalie.

–Baronowo – Roke dolał damie wina – obawiam się, że nasze towarzystwo jest pani nie tak przyjemne, jak pani nam.

–Jestem rzeczywiście nieco zmęczona – przyznała baronowa.

–Noce mamy duszne, czyż nie?

–Tak, a ja z trudem znoszę duchotę. Przedwczoraj omal nie zemdlałam, ale, książę, błagam, proszę nie zwracać uwagi. Śmierć z upału mi nie grozi.

–Mam nadzieję, że dziś nie będzie się pani czuła źle.

–Och, zapewniam pana, że to nie jest najbardziej gorąca noc w moim życiu – roześmiała się Marianna. – Kobiece omdlenie to nie powód dla mężczyzny do zakończenia wojny czy gry. Ale zbyt wiele mówimy o moim zdrowiu, ono nie jest tego warte.

–Ależ co też pani mówi, jest warte więcej niż wszystkie skarby ziemskie. Sądzę, że powinniśmy z hrabią wracać do stołu. Czyż nie, Ludwigu? Pan chyba nieco przesadził ze swoim głodem?

–Widocznie. – Kilean łyknął wina i podniósł się. – Cóż, książę, kontynuujmy. Niepotrzebnie rywalizowałem z panem w tonto, pan jest przecież niezrównanym strategiem, ale we wjeharronie wszyscy są równi.

–Tak pan sądzi? – zainteresował się Roke, poprawiając koronki.

–A pan nie?

–Nie wierzę w równość i nigdy nie wierzyłem. Walme, niech pan będzie tak uprzejmy i rzuci monetę? Czy nadal obstawia pan reszkę, hrabio?

–Staram się nie zmieniać swoich zasad.

–To godne szacunku. Ja też, przecież nigdzie nie jest powiedziane, że można zmieniać to, czego się nie miało i nie ma... Dziękuję, Walme. Cóż, tym razem ja będę

rozdawał.

To była inna gra, ale gracze pozostali ci sami. Roke był spokojny, Ludwig co rusz napalał się i przegrywał, choć niewiele. O piątej komendant Ollarii był winien Pierwszemu Marszałkowi dziewięćset tallów. Zgromadzeni przy stole widzowie powoli rozeszli się, zostało może dziesięciu najwytrwalszych.

–Proponuję najwyżej trzy partie i rozjem. – Ludwigowi zaczęły kleić się oczy.

–Zgoda – szybko odpowiedział Roke.

–Proszę przełożyć.

–Już. Moje dziewięćset.

–I jeszcze dziesięć. Pańskie słowo?

–Zmieniam.

–Ja tak samo.

–Moje dwadzieścia.

–Odpowiadam.

–Zmieniam jeszcze raz.

–Ja zostaję przy swoich i jeszcze dwadzieścia.

–Odpowiadam.

–Odkrywamy.

–Proszę.

Na niebieskim suknie legły karty. Król, Królowa, i Rycerz Fal i Roke. Królowa i Księżę Skal u przygryzającego wargi Ludwiga. Trzydzieści osiem przeciwko dwudziestu pięciu. Kilean ponuro rzucił: – Pana dziewięćset czterdzieści.

–Moje. Proszę rozdawać.

Ludwig przetasował talię i wyciągnął w kierunku Roke.

–Proszę przełożyć.

–Już. Marianno? Co z panią?

Baronowa, ciężko dysząc, wczepiła się w brzeg stołu.

–Nic, nic. Wszystko w porządku.

–Walme – Roke wyglądał na zdenerwowanego – odprowadź damę do okna. A my zaraz uwolnimy was od swojej obecności.

–Grajcie – wyszeptała Marianna, opadając na fotel. – Ze mną wszystko w porządku. Grajcie...

–Hrabio – przypomniał sobie Roke. – Pan, jak pamiętam, nosi przy sobie sole trzeźwiące. Może pomogą baronowej znieść naszą obecność jeszcze przez jakiś czas.

–Ach, racja! – Ludwig pośpiesznie wyjął pozłacany flakonik. – Jestem szczęśliwy, mogąc oddać przysługę naszej gospodyni.

–Dziękuję, hrabio. – Policzki baronowej barwą przypominały kredę. – Już mi lepiej, nie musi się pan niepokoić. Odchodzenie od stołu podczas gry to zły znak.

–Richardzie, weź od pana hrabiego flakonik.

Palce Kileana były gorące, Marianny – lodowate. Naprawdę czuła się źle, ale nie odeszła. Zresztą zostały już tylko dwie partie. Ludwig rozdał karty. Roke otworzył pierwszy, hrabia po nim.

–Moje dziewięćset czterdzieści.

Z oblicza Alvy nie dałoby się nic odczytać.

–Odpowiadam. Wymieniamy?

–Możemy.

–Moje.

–Jeszcze dziesięć.

–Jeszcze dwadzieścia.

–Proszę bardzo. Życzy pan sobie wymiany?

–Nie...

–Cóż, nie to nie. Podwajam.

–Ach tak? – Uniosła się ciemna brew. – Cóż, odpowiadam i jeszcze tysiąc.

–Odpowiadam i jeszcze półtora.

–Odpowiadam i jeszcze dwa. A przy okazji, hrabio, jaka jest pańska stawka?

–Stawka?

–Oczywiście. Najpierw graliśmy o grzechy Walme i „Gwiazdy Kenalloa”, potem suma była śmieszna, ale teraz nie odrzuciłbym możliwości zerknięcia na pańskie aktywa. Teraz w grze jest, jeśli się nie mylę, sześć i pół.

–Ta zapinka pana urządza?

–Nie znoszę szafirów – skrzywił się Alva. – One wzmacniają cnotę. Na dodatek te nie są warte więcej niż cztery.

–No to – to!

–Brylant Kileanów? Ludzie Honoru stają się ludźmi ryzyka. Przyjęte. Ile za ten odłamek Światła dałby cwany Jordan?

–Co najmniej osiem.

–Proszę mu nie wierzyć, Roke – wtrącił się któryś z gości. – Najlepsza cena to pięć i ćwierć.

–No, może pięć i pół – zgodził się Walme.

–Honor musi kosztować drogo, bo inaczej nikt go nie kupi – zauważył Alva. – Zgadzam się na siedem.

–Doceniam pańską uprzejmość, ale nie mogę z niej skorzystać. Niech brylant idzie za pięć i ćwierć, ale dodaję szmaragd.

–Pańska wola. Tak więc, moje sześć i pół.

–Odpowiadam siedmioma.

–Moje i jeszcze pięćset.

–Jest. I jeszcze tysiąc.

–Roke – głos Ludwiga drgnął lekko – a teraz to ja zapytam o pański zastaw. „Gwiazdy” czy dług Walme?

–Na wszystko przyjdzie czas – roześmiał się Roke. – Najpierw dziesięć, potem dwadzieścia...

–No więc dług czy „Gwiazdy”?

–Dług.

–Otwieramy.

–Po panu!

Ludwig odstłonił swoje karty. Z całych sił starał się zachować spokój, ale nie mógł – zbyt wiele kosztował go ten szalony wieczór. Dick z dziwną mieszaniną zachwyty i współczucia patrzył na Serce I Króla Fal oraz Władcę Kotów. Czterdzieści cztery! Fortunie znudziło się bieganie z Krukiem i wróciła do Kileana-ur-Lombacha. Ktoś gwizdnął, ktoś zaklął, ktoś wspomniał Obcego, ktoś wszystkich Świętych.

–Pan, Roke, teraz też będzie mówił, że wszyscy pana nienawidzą? – Komendant stolicy nie krył swojego triumfu.

–Będę – potwierdził Alva, ze znudzoną miną rzucając na obrus karty. – Dickonie, wina!

Richard ruszył w kierunku kredensu, ale nie wytrzymał, popatrzył na stół i wypuścił kielich z rąk. Nikt tego nie zauważył.

–Triada! – wrzasnęła Walme. – Żebyś pękł! Stwory Zmierzchu! Pocięty Smok! Wszystkie koty i wszyscy święci tego świata. Triada!

Triada – trzy Serca – Czterdzieści Pięć! Jedyna kombinacja mogąca przebić karty Kileana. Hrabia patrzył na leżące przed nim obrazki, jak patrzy się na ducha albo jadovitą żmiję. Dick widział, jak otworzył i zamknął oczy, mając nadzieję, że wszystko się zmieni, ale triada nie zniknęła – wiły się złote macki Ośmiornicy, groźnie błyskały kły Odyńca, walczył z huraganem Kruk!

–To być nie może – wymamrotał Kilean – po prostu nie może...

–Wszystko się może zdarzyć – światowym tonem zauważył Roke, wpatrując się w mankiety. – Nie uwierzy pan, ale pewnego razu...

–Książę. – Głos hrabiego drżał nieprzyjemnie. – To. Być. Nie. Może.

–Panie... – Alva był chłodny i spokojny jak lodowiec. – Rozdawał pan.

–Ale...

–Panie – powtórzy! Roke. – To pan rozdawał.

–Co prawda, to prawda, Ludwig – wtrącił się jakiś gwardzista. – Skąd może pan wiedzieć, czego być nie może, jeśli pan nie oszukiwał?

–Oczywiście, że nie – potwierdził marszałek. – Hrabia Ludwig Kilean-ur-Lombach jest Człowiekiem Honoru, po prostu jest nieco zdenerwowany. Bezsenna noc, tak mniemam. A przy okazji, jest pan mi winien więcej, niż warte są pana kamienie, nawet jeśli uwzględnimy ich szlachetne pochodzenie.

Kilean-ur-Lombach drgnął, jakby mu za kołnierz wrzucono kawałek lodu, miał oczy nalane krwią, wydawało się, że rzuci się na pogromcę, ale tak się nie stało. Wysiłkiem woli zapanowawszy nad ogarniającym go szałem, komendant Ollarii przekazał biżuterię Pierwszemu Marszałkowi Taligu i rzekł:

–Proszę o pozwolenie złożenia panu jutro wizyty.

–Po co? – zainteresował się Roke, obracając w palcach wygraną.

–Żeby domówić się co do wykupu i zwrotu długu.

–Ja nie sprzedaję swojego powodzenia – pokręcił głową Alva, chwytając krawędzią brylantu płomyk jednej ze świec. – Ten pierścień jest wart sześć tysięcy tallów, ale jestem gotów zapłacić dziewięć, a szmaragd może pan sobie zostawić.

–Po co mi dziewięć tysięcy? – uniósł brew Kenallijczyk. – Nie jestem aż tak ograniczony w środkach, a cnota mi w ogóle nie jest potrzebna.

–Panie. – Kilean z trudem powstrzymywał wybuch gniewu. – Przegrany ma prawo do wykupu swojej własności.

–Nie przeczę.

–Proszę więc wymienić swoją cenę.

–Pierścień.

–Przepraszam, drogi panie?

–Pierścień. – Kruk zostawił w spokoju mankiety i patrzył teraz rywalowi prosto w oczy. – Bardzo stary, wielki kwadratowy karaś, oprawiony w złoto. Na obwodzie – napis: „Twardy i niewzruszony”, na samym zaś kamieniu wyrżnięty znak Skał. Zagłębienie zalane złotem.

–Pan opisuje rodzinny pierścień Ockdellów. – Ludwig nie krył zdziwienia.

–Całkowicie słusznie.

–Proszę ograć więc swojego giermka.

–Giermka? – zapytał marszałek, nie odrywając wzroku od rywala. – Ja, drogi panie, nie szukam łatwych dróg. Albo pan przyniesie wspomniany pierścień, przy okazji przyprowadzając pewnego bardzo średniego krótkoogoniastego konika, albo ja ofiaruję tę wygraną na miłą bogu ofiarę. Sądzę, że pierścień będzie dobrze wyglądał na palcu Jego Świątobliwości. Sylwester lubi brylanty...

–Roke – gdyby Ludwig Kilean potrafił zabijać spojrzeniem, księżę Alva byłby już martwy – pan mi proponuje, żebym ogrął pańskiego giermka?

–Jego albo jakiegoś innego – wzruszył ramionami Alva. – Mnie cudze gry nie interesują. Powtarzam. Albo do południa będę miał pierścień i szkapę, albo wieczorem kardynał będzie nauczał trzódkę swą, błyskając brylantem Kileanów. Żegnajcie, panowie. – Roke z leniwą gracją wstał z fotela. – Wedle obyczaju powinienem poczęstować was kolacją, ale teraz byłoby to już śniadanie, a nie uchodzi pić z rana. Jeśli baronowa zgodzi się przyjąć nas wszystkich wieczorem, będę szczęśliwy, mogąc uczcić dzisiejsze wydarzenie.

–Och, drogi księżę – Marianna uśmiechnęła się karminowymi ustami. – Zawsze jestem rada widzieć swoich przyjaciół.

Rozdział 6

Ollaria

„Le Six des Coupes” [110]

1

Dickon nie był w gabinecie swojego era od pamiętnego dnia, kiedy księżę opatrywał mu dłoń, ale z tego pobytu, ogłupiały z bólu i zaskoczenia, młodzian zapamiętał tylko głowy odyńców na ścianach. Nie było to raczej obrazą dla domu Ockdellów, ale wspomnianie myśliwskich trofeów marszałka było mało przyjemne. Tym niemniej Richarda powitały właśnie zabite odyńce, a sam Alva raczył patrzeć przez okno, chociaż drzwi stuknęły dość głośno. Richard przestępował z nogi na nogę tuż za progiem, wpatrując się w plecy marszałka i nie wiedząc, co robić. Zegar odliczał minuty, obojętny jak sam czas monotony dźwięk mieszał się z odgłosem deszczu.

–Młodzieńcze – nie odrywając spojrzenia od mokrych dachów, rzucił w końcu Roke – byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zwrócił mi pan mój pierścień i zabrał swój. Leży tam, na półce nad kominkiem, a pański krótkoogoniasty cud już jest w stajni.

–Er Roke, ja... nie mogę tego wziąć.

–Będzie pan nosił pierścień Ockdellów, Richardzie. Co do osławionego inochodźca, to nie życzę sobie, żeby mój giermek jeździł na takim, hm, zwierzęciu. Najlepsza rzecz, jaką możemy dla niego zrobić, to wysłać go z umyślnym do pańskich włości. – Alva oderwał się od tłukącego w szyby deszczu, podszedł do stołu i nalał sobie wina. Nie było czemu się dziwić, er August ostrzegał, że marszałek sporo pije. – Jest pan kompletnie bez pieniędzy?

–Nie potrzebuję!

–Coś tam nawet „prawdziwcy” potrzebują. Oczywiście nie umrze pan z głodu w moim domu, ale też powinien pan mieć trochę na swoje łobuzerstwa.

–Więcej grał nie będę.

–Będzie pan – ziewnął księżę. – I następnym razem przerznie pan sztylet albo szpadę, co będzie już w ogóle tragedią. Nigdy nie będzie panu sprzyjała fortuna w kartach, młodzieńcze.

Dick powinien był rzucić coś dumnego, ale zamiast tego w najgłupszy z możliwych

sposobów zapytał:

–Dlaczego?

–Dlatego, że pan jest zbyt poważny. Powodzenie uśmiecha się do tych, którzy się śmieją. Proszę mi kiedyś przypomnieć, żebym nauczył pana się uśmiechać – teraz nie mam nastroju. Krótka więc – oto pugilares i jest pan wolny.

–Nie mogę tego wziąć.

–Na Stwory Zmierzchu! – Alva wolno podniósł oczy na swojego giermka. Dick ciągle nie mógł przyzwycząć się do kociego spojrzenia marszałka, złego, ironicznego i wszystkowiedzącego. – Mam w nosie ockdellofskie fanaberie, ale mój giermek nie będzie się liczył z groszem i ograniczał się jak prowincjonalny szlachetka.

–Proszę o wybaczenie, monsignore. – Tego wysokiego służącego jeszcze Dick nie widział, zresztą dla niego wszyscy Kenallijczycy byli podobni do siebie jak dwie krople wody.

–Wybaczam. Co tam?

–Posłaniec od Jego Świątobliwości. Chce pana widzieć.

–No to zobaczy. Możesz odejść, młodzieńcze. Soro jest do pana dyspozycji. Tylko proszę nie pozwalać mu się kąsać i kopać, to nierozsądne...

Richardowi nie pozostało nic innego jak ukłonić się i odejść. Deszcz nasilał się, dzień dopiero się zaczął, ale w gabinecie było ciemno jak wieczorem, wystające ze ścian głowy dzików w półmroku wyglądały jak żywe i smutne.

–Richardzie Ockdellu! – Okrzyk zastał Dicka już przy drzwiach. – Proszę wrócić.

Richard ponuro popatrzył na swojego era.

–Co należy powiedzieć, młodzieńcze?

–Słucham, monsignore!

–Wspaniale. Postanowiłem udzielić panu lekcji. Tak na wszelki wypadek. – Marszałek chwycił Dicka za rękę i mocno ścisnął ją w pięść. – Kciuk powinien być od dołu. O tak. Teraz można uderzać. Jeśli chce pan obrazić – proszę celować w oko albo w nos. Lepiej w nos – będzie morze krwi. Jeśli zaś bijesz się pan poważnie – uderzaj w gardło albo w szczękę. Zrozumiano?

–Tak, monsignore.

–Proszę tylko nie wyobrażać sobie, że jestem przepiękny szlachetnością. Kiedy się rozstaniemy, z czystym sumieniem będziesz mógł przegrywać do różnych małych dowolne pierścienie i upadać we wszystkie kałuże po kolei, ale póki jesteś przy mnie, nie będziesz cudzą zdobyczą. To proszę przekazać swoim kolegom.

–Nigdy tego nie powiem. Nie jestem tchórzem – wypalił Dickon i zamilkł zmieszany.

–Ale inni są tchórzami – zamknął sprawę Alva. – Jako Człowiek Honoru powinien pan uprzedzić ich o niebezpieczeństwie. Zresztą może pan nie uprzedzać. Tak nawet będzie śmieszniej. Koniec, młodzieńcze, odejść w pokoju...

Poranek był paskudny, a opuchnięte stawy złośliwie uprzedzały, że niepogoda potrwa dłużej. Jego Świątobliwość zakończył wcieranie w przeguby sporządzonej na żmijowym jadzie maści i skrzywił się – zapach był nie tyle nieprzyjemny, ile bardzo ostry. Kardynał z nienawiścią popatrzył na zwałone na stos stare księgi – coraz mocniej grzął w „sprawie zabójstwa Ernani Jedenastego i zniknięcia kapłana Germana i unara Paolo Kunio”. Udało się przechwycić listy starego Epineixa i jego synowej. Inochodźcy uczciwie napisali do Agarisu wszystko, co wiedzieli o zdobyciu Ollarii i ustanowieniu dynastii Ollarów. Niczego nowego Sylwester się nie dowiedział, ale to tylko umocniło go w przekonaniu, że sprawa nie jest czysta. Z niewiadomego powodu wydarzenie w Laik i szaleństwo astrologa Domeciosa niepokoiły kardynała bardziej niż wojenna kampania przeciwko Gaunau, kolejny spisek, przedstawione przez conseillera rachunki i wybór Esperadora.

–Wasza Świątobliwość. Przybył Pierwszy Marszałek Taligu.

–Niech wejdzie.

Kruk był wierny sobie – czarny aksamit, srebro i szafiry. Nie znosi złota, nigdy go nic nie boli i jeszcze długo nie zaboli. Kardynał spędził bezsenną noc nad papierami, marszałek – przy karcianym stole, dziwne, że tym razem obeszło się bez pojedynku. Chociaż co w tym dziwnego, samobójstwa wśród Ludzi Honoru ostatnio nie cieszą się powodzeniem.

–Proszę siadać, Roke. Pierwszą rzeczą, jaką dziś usłyszałem, był meldunek o pańskich wyczynach.

–Czuję się zaszczycony, ale to naprawdę było zabawne. Pan komendant tak długo przymierzał się do zawładnięcia Marianną i nagle takie rozczarowanie.

–Tak, mówią, że Ludwig szaleje.

–Zaiste.

–Tak więc pierścień i koń wróciły do młodego Richarda.

–A Marianna wyspała się we własnym łóżu i nie przeszkadzali jej komendanci. Naprawdę, był to cudowny wieczór, znaczy – noc.

–Pańskie zwycięstwo raziło obecnych w samo serce. Czterdzieści pięć! Rzadka kombinacja, za mojej pamięci mało, komu się udało ją mieć.

–Zamierzałem złożyć wyrazy szacunku Ich Wysokościom – tonem światowca

oświadczył Alva, jakby to coś wyjaśniało.

Sylwester westchnął – czasem doskwierała mu chęć dosypania do kielicha Pierwszego Marszałka zawartości swojego pasterskiego pierścienia.

–Co przynosi panu zaszczyt, marszałku, ale co mają do tego pańskie karciane wyczyny?

–Zazwyczaj noszę kolet, ale wczoraj miałem na sobie pałacowy strój, a dziś moda na koronki, już nie wspomnę o mankietach na rękawach wamsów i innych kieszeniach.

–Roke Alva – kardynał uważnie przyjrzał się urodziwej twarzy rozmówcy – chce pan powiedzieć, że oszukiwał?

–Raczej, że parowałem cudze uderzenie.

–Jeśli nie chce pan znaleźć się w Bagerlee, [\[111\] to proszę przestać nadużywać mojej cierpliwości. Co pan zrobił?](#)

–Zamieniłem talię, kiedy pan hrabia częstował uroczą Mariannę solami trzeźwiącymi. Była, widzi pan, bliska omdlenia.

–Jeszcze lepiej. Książę wstąpił w układ z kurtyzaną.

–Nie ja, Kilean. Kochana baronowa, choć bez przyjemności, podporządkowała się panu komendantowi, ale potrafiła uczynić aluzję, bym nie przejmował się, jeśli nagle poczuje się gorzej. Marianna nie płonie życzeniem znalezienia się pod opieką cnoty, woli widzieć nad sobą grzech.

–Grzech ma, w odróżnieniu od cnoty, bardzo ładne oczy, tak więc baronową rozumiem. Zatem ta ślicznotka zakomunikowała panu, że Kilean zamierza szachrować?

–O nie – błysnął zębami Roke. – Ona tylko potwierdziła moje domysły. Hrabia zdecydował się zmienić tonto na wjeharron, ale to zbyt doświadczony gracz, by nie zrozumiał, że tego wieczora los mu nie sprzyja. Kilean nie mógł liczyć na powodzenie, wziął więc sprawy w swoje ręce. Przerwa była mu potrzebna, by się przygotować. A ja poszedłem w jego ślady.

–I jakież miała przebieg owa bitwa gigantów?

–Najpierw uczciwy. Ja trochę wygrałem, hrabia odpowiednio przegrał, potem zobaczyłem, że on zaczyna „zbierać” talię na Serce Błyskawic. Robił to bardzo umiejętnie, gdybym nie oczekiwał czegoś takiego, nie zauważyłbym. Zaproponowano mi przełożenie, przełożyłem i nagle Marianna poczuła się źle. Oczywiście zdjęte karty

wróciły na poprzednie miejsce, a ja przypomniałem sobie, że Ludwig nosi ze sobą sole trzeźwiące. Z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku przekazał flakonik Diakonowi, a ja, póki wszyscy patrzyli na Mariannę z rozpiętym gorsetem, zamieniłem talie.

–Bardzo pouczające. I hrabia wpadł?

–A co miał biedak zrobić? Wszystkie talie u Marianny są identyczne, dostał swoje czterdzieści cztery z wymianą. Skąd miał wiedzieć, że mam nie czterdzieści dwa, a czterdzieści pięć?

–A gdyby on szykował talię nie na Błyskawice, a na Skały?

–Wasza Świątobliwość. – W głosie Roke słychać było wyrzut. – Przecież pan wie, jak poważnie traktuję odwody. Miałem przygotowane cztery talie. Najbardziej się bałem, że się popłaczę.

–No tak, armia Taligu jest w pewnych rękach.

–Czego nie można powiedzieć o stolicy. To, że Ludwig oszukuje, nie jest najgorsze. Gorzej, że on przy tym przegrywa. Gdyby miał w głowie cokolwiek, to przypomniałby sobie, że do Serca i Króla powinien dokupić Obcego, a on do Serca i Obcego dokupił Króla. Nie mogłem przecież nosić na sobie ośmiu talii, to by była przesada... Nie, Wasza Świątobliwość, Kilean jest marnym komendantem.

–Ciekawa obserwacja, Roke. Zastanowię się nad nią, ale zaprosiłem pana nie z powodu wczorajszej batalii. Pański ojciec, jak pamiętam, uwielbiał stare przedmioty i książki. Czy są w jego zbiorach książki o Galtarze?

–O Galtarze? – W niebieskich oczach pojawiło się coś na kształt zainteresowania. – Co mianowicie?

–Dlaczego Rakanowie ją zostawili? Pamiętam, że najpierw był Ernani, już nie pomnę, który z kolei, przyjął esperatyzm, ale dlaczego przeniósł stolicę?

–Kabitela ma dogodniejsze położenie.

–W naszych czasach. Ale wtedy więcej myślano nie o handlu, a o obronie, a Pierścienie Galtary były niedostępne.

–Teraz też są nie do zdobycia. Widziałem je. Dziesięć lat temu. Dobrze, poszukam książ. Pamiętam, była taka jedna legenda, mój nieboszczyk brat był na tyle głupi, by mi ją opowiedzieć. Miałem pięć lat i strasznie się przerażiłem.

–Co to za legenda?

–Wasza Świątobliwość, przecież pan nie ma pięciu lat.

–A jednak.

–Pod Galtarą leżą ogromnie jaskinie, w których zamknięte są Pierwotne Stwory. Są na poły rozumne, na poły szalone i marzą o gniewnym świecie i ciepłej krwi, ale powstrzymują je nałożone w niepamiętnych czasach zaklęcia. Gdyby pan wiedział, jak naciągałem w nocy koc na głowę, wyobrażając sobie, jak te bestie wyłażą spod łóżka i rzucają się na mnie... Sądzę, że wtedy wykorzystałem całą przydzieloną mi dole strachu.

–Czego gratuluję. I co było z tymi potworami dalej?

–A tego właśnie nie pamiętam. Chyba jakoś się wydostały, ale zapędzono je z powrotem, jednak przy tym albo zaginął, albo zginął monarcha, a jego brat przeszedł na esperatyzm i przeniósł stolicę.

Jeśli Dick odczuwał wdzięczność do swojego era, to po rozmowie zniknęła ona bez śladu. Kruk kolejny raz udowodnił, że ludzie są dla niego niewiele więcej warci niż psy i konie. Pewnie, jego giermkowi nikt nie będzie grał na nosie, a poza tym, niech go ziemia pochłonie. Ale jednak pierścień i Psotnik wrócili do właściciela, można, więc nie zastanawiać się, jak wytłumaczyć się przed mateńką i Ivonem. Gdyby jeszcze udało się ukryć wczorajszą historię przed conseillerem i Katariną, ale to niemożliwe. Richard nie znał aż tak dobrze zasad wielkiego świata, ale nie wątpił – wieczór u Marianny będzie pasjonował Dwór, co najmniej przez tydzień. Kruk zrobił wszystko, by zmienić grę w kolejny skandal, bez których żyć nie może... Mimo to młodzieniec bardzo chciał wiedzieć, jak komendant odebrał Estebanowi jego wygraną i o czym rozmawiali Roke i Kilean rano.

Richard trochę myślał, czym by Się zająć – najmniejszą ochotę miał na rozmowę z Nalem albo erem Augustem i właśnie dlatego to postanowił uczynić. Książę Ockdell nie jest tchórzem, umie odpowiadać za swoje postęпки, poza tym jeśli nie przyjdzie i nie opowie conseillerowi o wczorajszych wydarzeniach, zrobią to za niego inni. Stancler pomyśli, że Dick kryje się za plecami marszałka, ale to nie tak! No i grać Richard Ockdell już nie będzie, cokolwiek by o tym Roke nie mówił. Święty Alanie, nigdy już nie dotknie ani kości, ani kart. Mateczka miała rację, kiedy mówiła, że gry to zabawy „gnojarzy”. Ojciec nie grał nigdy, a wszyscy go kochali i szanowali i bez tego, a kto szanuje i kocha Kruka? Boją się go, nadskakują mu, ale czy można to porównać z tym, jak się ludzie odnoszą do conseillera albo Katariny?

Wszystko to było słuszne i jasne, póki młodzian nie przypomniał sobie wydłużonej twarzy i wyłysiałych zakoli swojego niedosłego era. Kilean-ur-Lombach był Człowiekiem Honoru i przyjacielem Stanclera, ale Dick był rad, że nie stał się giermkim tego człowieka. Już lepszy Kruk! O, to jest miejsce w sam raz dla Estebana, dobrze mu tak! Ludwig okazał się człowiekiem niedobrym, zimnym, a baronowa... Baronowa bardzo nie chciała mieć z nim do czynienia.

Richard westchnął i zaczął się zbierać. Pójdzie do conseillera właśnie teraz i odbierze to, na co zasłużył. I tak już er August wszystko wie albo się dowie lada chwila... Młodzieniec strzepnął pelerynę, kiedy służący przyniósł list od Nala. Obrażony, ale przepelniony poczuciem obowiązku kuzyn czekał na krewniaka na ulicy, żeby odprowadzić go do era Augusta, który chciał widzieć Richarda w swoim domu. Już sama ta wiadomość przygnębiła Dicka. Stancler zapomniał o swojej niedawnej ostrożności i otwarcie zaprasza go do siebie. Z jakiegoś powodu Richard wiedział, że nie zapowiada mu nic dobrego. I miał rację. Przystąpiwszy próg gabinetu, młodzieniec zobaczył nie starszawego dobrodusznego pana, a zimnego i niedostępnego wielmożę, przed którym człowiek czuje się jak szczeniak, który właśnie nabroił.

–Proszę wejść, książę – rzekł conseiller, podnosząc głowę znad papierów. – I siadać.

–Erze Auguście...

–Richardzie Ockdellu, proszę mnie tak więcej nie tytułować.

–Ale...

–Nie sądziłem, że posunie się pan do tego, by przegrać rodzinny pierścień i rzucić się po pomoc do Roke Alvy.

–Nie prosiłem go o nic.

–Ach tak? Czyli dowiedział się o wszystkim sam?

–Ja... On zapytał mnie, gdzie jest mój koń...

–Przegrał pan pierścień, konia i pieniądze, które matka i Ivon odjęli od ust sobie i siostram. I dla kogo? Jak pan w ogóle trafił do tej spelunki i usiadł do gry z Estebanem Colignarem? Czy pan wie, do czego to doprowadziło?

–No...

–A doprowadziło oto, do czego. – Stancler gwałtownie odepchnął od siebie papiery. Jeden zwój upadł na dywan, ale conseiller nawet nań nie popatrzył. – Człowiek Honoru, nasz przyjaciel, przyjaciel pańskiego ojca, został zhańbiony. I przez kogo?! Przez Roke Alvę! Sądzi pan, że marszałek postanowił panu pomóc? Nie, wykorzystał pańską głupotę, że nazwę rzecz po imieniu, żeby wyrównać stare rachunki z hrabią Kileanem-ur-Lombachem i z nami wszystkimi przy okazji. Wpadł do domu kurtyzany, zmusił Kileana, by postawił rodzinny skarb, wygrał go i zażądał zamiast wykupu pierścienia Ockdellów. Wszyscy, którzy to widzieli, nie wątpią, że pański pierścień i konie były u Kileana! O Estebanie nie wie nikt, Alva tak to wszystko obrócił, jakby to Ludwig ograł syna swojego przyjaciela, a Kruk zmusił niegodziwca do zwrotu wygranej.

–Ale przecież... zwrócił...

–I tak by zwrócił, gdybyś wpadł na pomysł i przyszedł do mnie szczerze się pokajać. Znaleźlibyśmy sposób na Estebana i nikt by o niczym nie wiedział. A przy okazji, pan wie, że Alva nigdy nie przegrywa?

–Ale... Czy to możliwe?

–Wyobraź sobie.

–Przecież on nigdy nie gra.

–Kruk nie gra właśnie dlatego, że ma naturę gracza. Po co rzucać kości, skoro wiadomo, jak to się skończy? Kruk łąknie ryzyka, a złota ma aż nadto. To ziemie Ludzi Honoru rujnowane są podatkami i postojami wojska, a w Kenalloa królem jest nie Ferdynand, a Alva, nie mówiąc już o tym, że na jego usługi otworem stoi królewski skarbiec.

–Alva zna kocie słowo?[\[112\]](#)

–Może i zna. Tylko nie radzę pytać go o to.

–Erze Au... Panie Stancler... Przecież to nie honor ciągle wygrywać.

–Wolałbym, żeby Kruk ogrywał młokosów w pańskim rodzaju, ale on gra w inne gry. Proszę być czujnym.

–Pamiętam, kto zabił mojego ojca.

–Mam nadzieję. I na przyszłość, jeśli coś się panu przytrafi, proszę zwracać się do mnie po radę. Roke Alva nie musi wiedzieć o problemach Richarda Ockdella. Nie warto fundować Krukowi takich rozrywek. Prawdę mówiąc, dziwią mnie wasze stosunki. Czego on pana uczy? Jakie ma pan tam obowiązki?

–Obowiązki... – Dickon poczuł, że się rumieni. – No... Marszałek, kiedy tego wymaga etykieta, bierze mnie ze sobą.

–Dużo to zajmuje czasu?

–Różnie. Rzadko go widuję.

–Tak myślałem. Dlatego się szwendasz, gdzie i z kim chcesz. Dziwne, że nie przegrałeś niczego już wcześniej. Często spotykasz Walentyna albo Seweryna? Oni przecież są w Ollarii. Ale oni są kształceni, mają swoje obowiązki. Sposobi się ich do służby Taligoi. Alva, gdyby naprawdę chciał panu pomóc, mógłby zrobić z pana dowódcę. Wojenny talent ma we krwi i wystarczającą wiedzę. Czy choćby porozmawiał z panem o strategii i taktyce?

–Nie.

–Co było do udowodnienia. Nalewa pan marszałkowi wina i ściąga mu buty. Jest pan giermkim, a nie lokajem, Dickonie. Bez wątpienia Kruka bawi to, że służy mu syn Egmonta, ale pan się na to godzi?! Czyżby nie poniżało to pana, nie mówiąc już o... – August przerwał w pół słowa. – Dobrze, Richardzie. Będziemy uważali to, co się stało, za nieporozumienie, ale Roke trzeba trzymać na dystans. Nie trzeba, żeby

wasze imiona były jakoś łączone.

–Ale, erze Auguście, przecież jestem jego giermkim.

–Jesteś giermkim Pierwszego Marszałka, a nie paziem Roke Alvy. Niech on i inni widzą, że dostrzegasz różnicę między tymi pojęciami. Twój obowiązek to osłonić go w boju, ale nie spać w przedpokoju na jego płaszczu w domu jakiejś kurtyzany.

–On mnie nie brał do kurtyzan. – Dickon nie wiadomo dlaczego poczuł się urażony.
– Tylko ten jeden raz...

–To jeszcze gorzej. – Oczy conseillera wypełnił niepokój i od razu stał się strasznie podobny do Ivona. – Richardzie, postaram się sprawić, żebyś wrócił do Ockdell, ale do tego czasu proszę cię – bądź ostrożny. Trochę jednak zboczyliśmy z tematu. Złożę wizytę Kileanowi-ur-Lombachowi i przekażę mu przeprosiny, choć to niczego nie naprawi. – Teraz przed Dickiem siedział dobrze mu znany dobry człowiek, któremu było bardzo niewesoło. – Dickonie, może popełniam błąd, opowiadając ci o niektórych sprawach, ale jesteś już dorosły, jesteś synem Egmonta, a twój ojciec zawsze rozumiał innych i współczuł im. Powiedz uczciwie, hrabia Kilean spodobał ci się?

–Erze Auguście... – zaczął Dick i zamilkł w pół słowa.

–Nie spodobał – cicho powiedział conseiller. – On mało komu się podoba, zwłaszcza na pierwszy rzut oka. Ludwig jest wspaniałym człowiekiem, mądrym, dobrym, wiernym, ale nie umie być miły. Widocznie sprawa polega na nieśmiałości i wyglądzie zewnętrznym. On, w odróżnieniu od Kruka, niestety nie jest urodzonym mężczyzną. Ludwig jest samotny, całego siebie oddaje sprawie uwolnienia Taligoi, ale jest żywym człowiekiem. Tak wyszło, że zakochał się w Mariannie. Gdyby ta, za przeproszeniem, dama nie miała męża, hrabia zaproponowałaby jej swoją rękę i serce, mimo jej zachowania i rodzaju zajęcia, ale niestety, ślicznotka jest zamężna. Aktualny protektor Marianny, wicehrabia Walme, jest młodszy, przystojniejszy i bogatszy od Kileana, a kobiety w większości przypadków są interesowne, niezbyt mądre i cenią galanterię i wygląd, a nie duszę i honor. Oczywiście, jest twoja mateczka albo Jej Wysokość, ale to perły w stercie owsa. Ludwig Kilean nie ma szans, Dickonie. Owszem, postąpił bardzo głupio, zwłaszcza, jeśli się uwzględni jego wiek i sytuację, ale jedyna rzecz, w jakiej ma przewagę nad Walme, to umiejętność gry w karty i postanowił wygrać swoją miłość. I wygrał, ale w tym momencie pojawił się Kruk, który ma wszystko to, czego nie ma Ludwig, ale nie ma ani sumienia, ani krzty współczucia. Przydarzyła mu się okazja przejścia w podkutych butach przez cudzą duszę, więc z niej skorzystał. Roke swoim zwyczajem nie zostawił przeciwnikowi ani cienia szansy. Bo co ten miał zrobić? Wyzwać Kruka na pojedynek? To równe samobójstwu, a życie hrabiego Kileana-ur-Lombacha należy nie do niego, a do Taligoi. Odjechać do swojej posiadłości? Komendant nie może opuścić

powierzonego mu miasta bez pozwolenia króla i Pierwszego Marszałka. Udać chorego? Dla Człowieka Honoru to wykluczone. Teraz rozumiesz, co spowodowała twoje głupota?

Richard rozumiał. Znaczenie lepiej, niż się to wydawało erowi Augustowi. Wiedział, co to beznadziejna miłość. Biedny Ludwig...

–Mam nadzieję, Richardzie, że wszystko, co tu zostało powiedziane, pozostanie między nami. Nie będę wracał do twojego występku, ale nie radziłbym ci kumać się z Colignarem i przyjmować przysługi od Kruka.

–Muszę oddać Kileanowi to, co...

–Nie. Co się stało, to się nie odstanie. Pierścień Ockdella powinien być u Ockdella.

Reginald oczekiwał Richarda w przedpokoju, młodzian skinął głową krewniakowi i w milczeniu skierował się do drzwi. Padający od rana deszcz ani myślał się skończyć. Dick nie ubrał się odpowiednio do pogody, ale było mu wszystko jedno. Nał, który swój gniew zastąpił współczuciem, wyskoczył za nim, coś mówił, wyjaśniał, radził, ale Richard ledwo powstrzymywał się, by znowu nie wysłać troskliwego krewniaka do Leworękiego. Stać się powodem czyjegoś nieszczęścia, rozbić cudzą miłość, co może być gorszego?! Ojciec sprzeciwiał się zamordowaniu Alvy, ale jakże się mylił! Dopiero żyjąc obok Kruka, Dick tak naprawdę zrozumiał, co to Zło. Nie to niewidzialne i powszechne, o którym gadają duchowni, a prawdziwe – dyszące, przechadzające się wśród ludzi, naigrywające się ze wszystkiego, co święte, dla zabawy kruszące cudze życia.

Rozdział 7

Cochonnet i Ollaria

„Le Huite des Deniers”[\[113\]](#)

1

Dla kapitana Aramony nie było większego święta niż dzień urodzin teściowej. Teściowa zięcia nienawidziła, chociaż wyszukał go jej były kochanek, i Aramona był zwolniony z wizyt u kapryśnej staruchy. Luiza z dziećmi wyjeżdżała, a zuchwały kapitan uderzał w hulankę, choć ostrożną. Cochonnet jest miasteczkiem niewielkim, wszyscy tu wszystko widzą, a przyjaciółeczki Luizy – szkoda, że wszystkie straszne jak śmiertelny grzech – jakby miały po tuzinie oczu i uszu, a węch jak u gończych. Dobry człowiek ani wypić jak należy, ani dziewczki pościskać nie może – od razu wywęszą, a służące Luiza wybierała takie, że nawet przez drzwi człowiek nie miał ochoty ich dotknąć. I mimo tego, korzystając z nieobecności małżonki, dość miło pobrykał z pewną wdówką z ulicy Ryglowej.

Dwa tygodnie przeleciały jak jeden dzień, jutro wieczorem Luiza miała wrócić i Arnold nie wątpił, że od razu doniosą jej o Gawocie, ale raz się żyje! Wkrótce wróci do Laik i na pół roku – żegnaj, życie rodzinne ze wszystkimi torturami i guzami. Tym razem ma być unarów więcej, ale, chwała Stwórcy, obejdzie się bez książąt. Aramona nie zamierzał popełniać błędów z ubiegłego roku; skoro już raz się upiekło, nie należy kusić losu i oczekiwać, że uda się po raz drugi. Trzeba być ostrożniejszym. I tam, i tu.

Przed przyjazdem małżonki Aramona poruszył całą służbę, sprawdził każdy garnek i każdą pierzynę. Luiza uwielbia wsuwać nos we wszystkie nocniki, niech się przekona, że również podczas jej nieobecności dom był utrzymywany w znakomitym stanie. Najważniejsze – pierwszy wieczór, zwłaszcza noc. Jeśli wszystko pójdzie gładko, to nawet donosy od przyjaciółeczek przejdą bez większej burzy. Powie, że te brzydule ze złości go obgadują. Bo on, jak wierny mąż i znawca kobiecej urody, na żadną nawet nie popatrzył, no i dlatego tak się wściekają.

Arnold nie wykluczał, że zazdrosna Luiza może wyjechać wcześniej i jak sokół spaść na dom rano, dlatego nie tylko został w domu, ale nawet odmówił sobie wieczornej butelczyny. To był błąd – organizm Aramony namolnie domagał się prawowitej porcji. Sen nie nadchodził, Arnold leżał z otwartymi oczami na ogromnym łożu, myśląc raz o Gawocie, drugi o żonie albo o malutkiej Cilli, za którą kapitan szczerze tęsknił, albo o ukrytym w stajni antańku z tintą. Przed północą łaknienie

stało się potworne i kapitan już zamierzał wstać i wychylić szklaneczkę, ale nagle w domu coś głucho huknęło i jakby w odpowiedzi na to – zaskrzypiało. Nic szczególnego, przeciąg jak przeciąg, ale Aramona nagle poczuł przerażenie. Wydawało mu się, że przy wezglowiu stanął ktoś przerażający i bezlitosny, stanął i na coś czeka.

Ponad wszystko na świecie Aramona pragnął zerwać się, zapalić świece, zawołać służbę, nalać wina, ale wiedział: jeden ruch i koniec. Noc ciągnęła się bezlitośnie. Padał deszcz, ulubione drzewo Luizy co rusz tłukło w ścianę, cicho trzeszczały deski podłogi – czy to ktoś po nich stąpał, czy to zwyczajne nocne szmery. Lato tego roku było upalne, ale Aramona nawet pod kołdrą dygotał z zimna. Wcześniej nie mógł zasnąć z powodu komarów, dziś gdzieś się podziały, bez ich natrętnego brzęczenia było cicho jak w mogile.

Niechby przynajmniej psy zaszczekały czy co, ale dwa ogromne, przysłane przez teściową brytany milczały, jakby ich w ogóle nie było. Arnold nigdy nie był przesądny, na to brakowało mu wyobraźni. Kapitan bał się muszkietów, szpad, kindżałów, donosów, przełożonych, ale wyśmiewał stare bajki i znaki. Martwy wróg nic ci nie zrobi, jego po prostu nie ma. Jest gnijąca kupa mięsa i kości, leży sobie spokojnie tam, gdzie ją zostawiono, i nikogo nie rusza. Bać się należy żywych i silnych... Martwi nie wracają. Bać się należy nie Egmonta Ockdella, a jego syna, o ile ten oczywiście ocaleje i stanie się mocny.

–Wstawaj, kapitanie. – Głos, który rozległ się w ciemności, zmusił Aramonę, by jeszcze mocniej wczepił się w prześcieradło.

Zapłonęła świeca, druga, trzecia. Luiza marudzi, jak się pali za dużo świec...

–Wstawaj! Nie śpisz, to jasne. Mam cię podnieść siłą? Aramona wypuścił zbawczą kołdrę – ojciec German, ubrany jak do drogi, stał w drzwiach ze świecznikiem w ręku.

–Pan?! – wykrztusił kapitan. – Żywy! No to... Gdzie pan był?

–Moje sprawy pana nie dotyczą – odparł duchowny. – Ale musi pan udać się ze mną.

–Dokąd? – zamrugał Aramona.

–Do Laik. Proszę doprowadzić się do przyzwoitego wyglądu. Mamy mało czasu.

–Ale... Ojciec święty, ja... Pan... Mnie...

–Wszystko, czego mogłeś dokonać, już dokonałeś. Zbieraj się, siodłaj konia, czekam na dziedzincu. I proszę bez zwłoki.

Nocy gość odwrócił się i wyszedł. Czyli German żyje? Nieprawdopodobne. Jechać Aramona się bał, ale nie jechać było nie sposób. Jeśli nie posłucha przeklętego klechy, nieprzyjemności będzie kupa, a może nawet... Przecież nikt nie widział, jak wrócił. Chce, żeby Aramona z nim pojechał, to pojedzie. Też mi coś, kapłan!

Strach rozplynął się tak samo nagle, jak zaatakował. Wyjaśnimy, o co chodzi świętoszkowi, i jeśli jest niebezpieczny, zrobimy tak, żeby znowu zniknął, tym razem na zawsze. To nie takie trudne, German to nie Roke, zdmuchnie się i – gotowe!

Kapitan szybko się zebrał, zostało tylko siodłanie koni. Stajennego nigdzie nie było, ale może i lepiej, świadkowie nocnej wyprawy nikomu nie są potrzebni, żeby tylko wrócić przed przyjazdem Luizy. Gniadosz Aramony miotał się w stajni, wyraźnie czuł się nieswojo i kapitan z lękiem wyobraził sobie, jak chwyta i siodła rozjuszonego wierzchowca. Z końmi Aramona nigdy specjalnie dobrze sobie nie radził, może dlatego, że w młodości oberwał mocno kopytem.

Przeklęty German, skoro już się zjawiał, mógłby pomóc! Arnold zaklął i ruszył po uprząż, ale przechodząc obok boksu, do którego teść, odwiedzając rodzinę, wstawiał swojego linearczyka, odkrył całkowicie osiodlaną srokatą kobyłę. Nie było czasu zastanawiać się, skąd się tu wzięła, Aramona chwycił wodze i kobyła spokojnie wyszła za nim na zewnątrz.

Jak to się stało, że się przeziębził w środku lata?! Sam sobie winien, nie trzeba było ganiać w ulewie. Nocny kaszel i ból głowy można było jakoś wytrzymać, ale wykwity, które jakoś wcale nie chciały zniknąć... Richard ze smutkiem popatrzył na spuchniętą twarz z czerwonym nosem i łzawiącymi oczyma. Wargi obrzydliwie spuchła, kupiona u cyrulika maść zupełnie na wypryski nie działała. Z takim wyglądem do pałacu?! Pociągać nosem na oczach Katariny! Młodzian zamoczył tampon w słodko pachnącej tynkturze i przycisnął do kącika ust, do oczu napłynęły łzy, ale Dick wytrzymał. Na jakiś czas zaczerwienienie zniknie, dobre i to. Richard sam nie wiedział, czego pragnął – być blisko Jej Wysokości, czy zniknąć, żeby królowa, zbaw Stwórco, nie zobaczyła w nim pryszczatego młodziaka. Zresztą – jaki on ma wybór, giermek towarzyszy swojemu erowi podczas wizyt w pałacu, jeśli oczywiście er uzna to za konieczne. Dziś Alva kazał Richardowi jechać z nim. Richard starannie posmarował wszystkie wypryski maścią w kolorze skóry, zdobytą na jego prośbę przez współczującego Nala, ostatni raz wysmarkał się, narzucił opończę i poszedł do marszałka.

Roke w czarnym wamsie w skupieniu wertował jakąś księgę. Dick cicho pociągnął nosem i zatrzymał się przy drzwiach, oczekując, kiedy Kruk oderwie się od postrzępionych kart, ale wyglądało na to, że Alva poważnie przejął się treścią. Dick czekał, gorączkowo zastanawiając się, co lepsze – wytrzymać do ostatniej chwili, wyciągnąć chusteczkę czy upodobnić się do jakiegoś wieśniaka czy handlarza i wytrzeć nos rękawem.

–Jakim to świństwem raczył pan siebie oblać? – nie podnosząc wzroku zapytał marszałek. – Pachnie pan jak kram truciciela.

–Do dest dalewka badiodiki – powiedział Dick, po czym przypomniał sobie, z kim rozmawia, i dodał: – Bodsidiore.

–Pan jest nie do podrobienia, Ockdell. – Roke przewrócił stronę. – I gdzie pan dostał ten koszmar?

–Brzynióś bi Dal... Regidald Lorac, bój kudzyn.

–Co za szczęście, że nie mam rodziny. Dawno tak pana kosi choroba?

–Od dydodnia.

–Do tego stopnia przejął się pan niepowodzeniem Kileana, że się pan z tego smutku przeziębził? – Księżę oderwał się od księgi i obrzucił giermka krytycznym spojrzeniem. – Tak, Richardzie, rzeczywiście – wprost rozkwitł pan. Czy naprawdę pan sądzi, że wezmę go ze sobą? To niemożliwe. Oczywiście gdyby był pan zakaźnie

chory, należałoby odprowadzić pana do jego kochanego conseillera, albo jeszcze lepiej do komendanta. Cieleśne cierpienia z reguły odsuwają na plan dalszy te duchowe, ale z pana w tym momencie nie ma żadnego pożytku.

–Bodsiniore...

–Na razie, póki cierpi pan na tę, hm, chorobę, proszę mówić do mnie „er”. „Bodsiniora” sobie nie życzę, a na razie nikt nas nie słyszy. – Roke zatrzasnął księgę i zaczął naciągać rękawiczki. – Nie wyjdzie pan z domu, póki nie przestanie pan przypominać jednocześnie kalafior i Jeanneau Mokrego,[\[114\] ale manionika to przesada. Paco pójdzie do lekarza i przyniesie coś mniej obrzydliwego. A pan, młodzieńcze, niech się uda do biblioteki i wyszuka dla mnie wszystko, co się wiąże z Galtarą i przeniesieniem stolicy do Kabiteli. Przy okazji może pan sobie poczytać książki. Jest ich tam wiele.](#)

Podróżna karoca, skrzypnąwszy, zatrzymała się przy zamkniętej bramie. Woźnica, mrużąc pod nosem, zlął z kozła i zaczął dobijać się do masywnej furty – Aramonowie nie żyli biednie, dlatego ich brama i mur były zbudowane solidnie. Inna sprawa, że w biały dzień w dobrym mieście Cochonnet drzwi się nie rygluje. Luiza z narastającą złością patrzyła na własny dom, do którego nie mogła się dostać. Popłakująca młodsza córka oberwała po głowie i wystraszona zamilkła – kapitanowa była matką surową i jej potomstwo wiedziało, kiedy należy siedzieć cicho, a teraz właśnie pani Aramona była wściekła. Nie wątpiła, że wszystkiemu jest winien ten antałek wina, którego narzucił jej ojciec na męża. Co znowu ten przeklęty wieprz nawyprawiał tym razem, że się boi nawet drzwi otworzyć?

Za bramą coś zaszleściło. Woźnica rozdarł się, żeby otwierali, ale szelest umilkł, potem rozległ się dźwięk, przypominający jednocześnie szloch i śmiech, i to ostatecznie wyprowadziło Luizę z równowagi. Rozjuszona kobieta wylazła z karocy i przyłączyła się do woźnicy, obsypując przekleństwami Arnolda i innych szubrawców i leni. Za płotem znowu ktoś zachichotał, rozległy się szybkie, lekkie kroki i wszystko umilkło, natomiast cicha zazwyczaj uliczka Białej Gęsi zaczęła wypełniać się ludźmi. W sąsiednich oknach pojawiły się zaintrygowane twarze, na ganek narożnego kramu wylazi nieprawdopodobnej tuszy właściciel, kilku przechodniów zatrzymało się obok Aramonowego domostwa, wyraźnie zamierzając obejrzeć do końca darmowy spektakl. Luiza podparła się pod boki i odwróciła do sąsiadów, zamierzając wysłać ich gdzieś daleko, ale widząc wśród nich kilku silnych chłopaków, rozmyśliła się.

Na propozycję kapitanowej, by przestali się gapić i pomogli otworzyć bramę nieroby się zgodziły. Zręcznie wdrapali się na dach karocy, skąd jeden podsadził drugiego na mur. Ten chwilę stał na szczycie, potem zeskoczył, rozległ się szurgot odsuwanej zasuw, brama otworzyła się i Luiza Aramona z dziećmi, domownikami i ciekawskimi weszła na podwórze. Było pusto, ani ludzi, ani psów, ani nawet kota czy wróbla. Otwarte drzwi stajni żałośnie zaskrzypiały, ale dom był zamknięty.

–Mamunia – odezwała się starsza córka – gdzie papcio? Gdzie wszyscy?

–Pić mi się chce – rozjęczała się młodsza.

–Droga Luizy – Georgetta były znaną plotkarą, zawsze musiała wiedzieć więcej niż inni. – Dziwne to wszystko... Może wyprowadzić dzieci? Ja bym posłała po strażę.

–To już lepiej po kapłana – wtrąciła się odwieczna rywalka Georgetty, Tessina. – Nieczysto tu, oj, nieczysto.

W słowach sąsiadki była jakaś racja, ale Luiza nie chciała wynosić z domu więcej śmieci niż musiała.

Żalotne rzenie, które rozległo się pośród ciszy, wydało się rajską muzyką. Cokolwiek się stało, choćby jedno żywe stworzenie tu było. Woźnica i dwaj młodzieńcy rzucili się do stajni i od razu wyszli. August prowadził spienionego ogiera, koń ledwo przestawiał drżące nogi.

–Och – zrobiła krok w jego kierunku Luiza. – Co mu się stało?

–Nieczysty na nim jeździł, nie inaczej – odezwał się wyższy z młodzieńców. – Patrzcie, jak go zaganiał.

–Ani chybi nieczysty – potwierdził koniuch. – Niechby pani popatrzyła, co się dzieje w środkowym boksie.

Pani Aramona nie należała do kobiet nieśmiałych, coś się w stajni działo, a stajnia była jej. Kapitanowa, odsunąwszy wczepioną w swój rękaw Tessinę, nieustającą w przywoływaniu duchownego, weszła do wnętrza. W twarz uderzył ją chłód i woń zgnilizny i grzybów, jakby z upalnego wiosennego dnia weszła w jesień. Wlewające się przez otwarte drzwi światło pozwalało zobaczyć wnętrze pomieszczenia. Z lewej i z prawej wszystko było jak zwykle, ale środkowy boks!

Nowiutkie belki i deski zgniły i szerniały, dach w kilku miejscach zawalił się, oślizłe krokwie porosły jadowicie zieloną pleśnią, podłoga spróchniała, a na spulchnionej ziemi widniało odbicie końskiego kopyta z podkową bez śladu gwoźdźcia.

–Cmentarny koń! – rozdarła się piskliwie Tessina. – Cmentarny koń! Kapłan! Gdzie kapłan?!

–Głupia! – warknęła Luiza, nie mogąc oderwać spojrzenia od straszliwego śladu.

Na Jedynego! Cmentarny koń zostawia tylko jeden ślad, to wiedzą wszyscy. Stajnię trzeba będzie spalić, to wiadomo... Pobladła kapitanowa, odepchnąwszy przyjaciółkę, runęła do domu.

Drzwi, choć szczelnie przymknięte, nie były zamknięte. Dom wydawał się być pusty, wszystko tu było na swoim miejscu, a jednocześnie coś było nie tak. Kobieta nie od razu zrozumiała, że chodzi o wypalone do cna świece, zamknięte okiennice, rozkopane łóżka. Dom zasnął, ale się nie obudził.

Jeszcze godzinę temu Luiza Aramona przywoływała na głowę męża gromy niebieskie i była gotowa własnymi rękami zadusić potwora, a teraz mąż przepadł. Przeżyli razem piętnaście lat, był ojcem jej dzieci i, co najważniejsze, był, a teraz Arnold Aramona zniknął. Pozostała zmięta pościel, nocny szlafrok, szlafmyca, zrzucona kołdra, rozbity dzban...

Luiza stała w wyiębionej sypialni, nie mogąc odezwać wzroku od wystającego spod

łóżka zielonego pantofla z zagiętym noskiem. Arnold zniknął, jak ona ma teraz żyć?

–Pani. – W drzwiach stał tenant z rudymi wąsami i czarnymi wyłogami, któryś z sąsiadów wezwał mimo wszystko straż. – Proszę nam pozwolić przeszukać dom.

–Szukajcie – rzuciła zobojętniała na wszystko kobieta.

–Ile ludzi było w domu, poza pani małżonkiem?

–Odźwierny, koniuszy z pomocnikiem, czworo służby pokojowej. Kucharz i ogrodnik z pomocnikami przychodzą rano – tak samo obojętnie wyliczyła Luiza.

Przyjdą i pójdą. Strażnicy i sąsiedzi też odejdą, a co ma zrobić ona?

–Coś zginęło?

Zginęło? Co mogło zginąć, jeśli brama była zamknięta od wewnątrz, a skoro wszyscy spali... Kapitanowa znowu popatrzyła na skotłowaną pościel – odrzucona kołdra, koszula, szlafmyca, buty... kołdra, koszula, szlafmyca... Kobieta rzuciła się do garderoby. Brak opończy, butów, munduru! Szpada też zniknęła. Wygląda na to, że jednak uciekł?

–Pani, znaleźliśmy ich...

–I Arnolda?

–Nie, pan kapitan zniknął, ale pozostali są w piwnicy. Pani, bardzo mi przykro, ale słudzy powariowali. Wszyscy. Im się wydaje, że są szczurami i ktoś na nich poluje. Ojciec Maksymilian zaraz przyjedzie, ale nie radziłbym pozostawać pani w tym domu z dziećmi, zwłaszcza na noc. Czy może pani wrócić do swojej mateczki?

–Oczywiście.

Dokąd poniosło Arnolda? Może poczuł, że coś złego się święci, i zwał? Do Laik? Do najbliższej karczmy? Do jakiejś ślicznotki?

A niechby dokądkolwiek, byle żył! W wezglowiu łóżka Arnold zrobił skrytkę ze złotem; myślał, że żona o niczym nie wie, ale ona wiedziała. Jeśli małżonek uciekł, to wziął pieniądze ze sobą. A jeśli nie, to cóż, przydadzą się jej i dziewczynkom. Czy może lepiej nic z tego domu nie brać?

Luiza odwróciła poduszki – były zimne i ciężkie, jakby przez całą zimę przeleżały w zamkniętym, nieogrzewanym domu. Ukryta sakiewka była na miejscu. Zresztą Luiza tak podejrzewała. Rozległy się szurające kroki – pojawił się kapłan, stary, gruby, wystraszony. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

–Ojcie świętobliwy – Luiza znalazła wartość pieniędzy, ale wolała stracić pieniądze niż głowę i duszę – to są oszczędności mojego męża, proszę przyjąć je na miłą bogu ofiarę.

Jeśli będzie trzeba, to będą jeść chleb z wodą, ale z tego domu ani ona, ani dzieci nie wezmą nic. Nic!

Rozdział 8

Agaris i Kageta

„Le Valet des Bâtons” [\[115\]](#)

1

Enniol nie oszukał ich, w umówionym miejscu na Robera czekał przewodnik Goganin, dwaj szlachetni Kageci – jeden wysoki, wesoły i gruby, drugi malutki i łysy. Była też eskorta honorowa – dwudziestu siwych czarnowąsych przystojniaków w czerni, do siodła, których mimo upału przytroczone były peleryny ze skór górskich irbisów. Rober Epineix z pewnym zdumieniem przyglądał się beznamiętnym obliczom, które wydawałyby się piękne, gdyby nie drapieźnie wykrojone nozdrza i dumny wyraz twarzy.

Oczywiście Inochodziec wiedział, że na osobistą gwardię kagetańskiego monarchy, czyli, jak mówili Kageci, kazara, składają się Biriezyjczycy, ale co innego przelecieć galopem zapiski kilku podróżników, a co innego jechać przez szyk nieruchomości patrzących ciemnych oczu. Biriezyjczycy gardzili wszystkimi, nawet monarchą, któremu służyli. Był to dziwny lud, od dawna władający Górami Sagrann, na szczęście zbyt nieliczny, żeby wyruszyć na długą wyprawę.

Mnich, który odwiedził Kagetę i opisał ją, napisał, że Biriezyjczycy bardzo przypominają Morisków, ale mieszkańcy Purpurowych Ziem gotowi są uszanować obce męstwo i zdolni są do uznania zwycięstwa obcego, jeśli ten udowodni to z mieczem w dłoni. Biriezyjczycy uważają siebie za potomków Boga-Irbisa i nie istniała taka zasługa ani taki czyn, który wzniosłby w ich oczach człowieka równin do ich górskiej wysokości. Epineix jechał na spotkanie z kazarem Adgemaremlo-Wardgewaze i nie zamierzał mierzyć się brawurą z jego gwardzistami, ale i tak czuł się nieprzyjemnie w ich gronie, niczym koń między ogromnymi kotami.

Inochodziec osadził Shada, czekając, aż ktoś się doń odezwie. Wysoki wyszczał coś powitalnego i przyjaznego, mały – uśmiechnął się, między ogromnymi wąsami błysnęły śnieżnobiałe zęby. Kageci, jak i Biriezyjczycy, nie nosili bród, tylko wąsy. Siedzący na gniadym mule Goganin uklonił się z szacunkiem i zaczął:

–Kageta rada jest powitać przezacnego...

–Przezacnego? – zapytał Inochodziec. – Tu nazywa się obcych tak, jak czynią to prawnukowie Kabiochowi?

–Przezacny wybaczy tłumaczowi. Kazaron Wissif powiedział, że Kageta kwitnie na widok gościa.

–Odpowiedz im, że ja też kwitnę na ich widok – zapewnił go Rober. – Tylko błagam, nie nazywaj mnie przezacnym. Jestem Rober, Rober Epineix. Przy okazji, przekaż to gospodarzom.

Tłumacz dość długo czekał, przenosząc spojrzenie z jednego kazarona na drugiego. Co za język, można zwariować, Moriskowie i Goganie dziwnie gadają, ale w ich językach choćby poszczególne słowa można wychwycić. Robera strasznie złościło, że musi zależeć od tłumacza. Nie to, żeby nie wierzył współplemieńcowi Enniola i Mellit, przeciwnie – dzieci Gocha wydawały się Inochodźcowi bardziej szczerze i uczciwe od Hogberda czy Clementa, ale przekład to przekład. Na dodatek bez tłumacza będzie głuchy i niemy.

–Kazaron życzy rozkwitu twojemu domowi i wielu lat twojej matce i ojcu – przetłumaczył Goganin.

Ojcu? Ojciec od sześciu lat spoczywa w mogile, a matka siedzi na dobrą sprawę w więzieniu. Właśnie dlatego Rober tu jest.

–Ciężko mi rozmawiać, nie znając waszych imion.

–Mojego? – zdziwił się tłumacz.

–Tak. – Epineix poklepał Shada po szyi.

Kageci mają niezłe konie, ale z moriskami nie mają porównania.

–Imię moje Kalliol, syn Gmaola.

–Kalliolu, proszę cię, powiedz im to, co przyjęte jest mówić w takich przypadkach.

–Wszystko już powiedziałem. Powinieneś, panie, jechać na czele oddziału między kazaronami. Pierwszy zwie się Wissiflo-Lallion z rodu Parasksidi, jest z dolnej Kagety. Drugiego – Seronlo-Giskular z rodu Szarimletaj, to bliżej Sagranny. Ja będę jechał za panem, eskorta dwie końskie długości z tyłu. Do Rawpatu dojedziemy w ciągu tygodnia, ponieważ będziemy musieli nocować w zamkach kazaronów. Ośmielę się poradzić przezacnemu powstrzymywanie się od jedzenia po drodze, w przeciwnym wypadku będzie mu trudno wytrzymać wieczorną gościnność.

–Zwracaj się do mnie Rober.

–Proszę wybaczyć niegodnemu, trudno zapomnieć to, co zawsze wiedziałem. Przyjdę do Robera, kiedy już odeśle nocną piękność.

Zderzywszy się z zaszczytnym spojrzeniem Epineixa, Goganin wyjaśnił: każdy kazaron przyśle gościowi dziewięć piękności, z których ten może sobie zostawić wszystkie, a może tylko jedną. Nie przyjąć ani jednej kobiety oznacza śmiertelną urazę gospodarza. Niech przezac... Niech Rober się nie martwi, kobiety w zamkach kazarów są zdrowe, młode i ładne.

Jak by nie były ładne Kagetki, nie będą piękniejsze od Mellit, ale dyplomacja to dyplomacja. A poza tym – nie jest przecież mnichem i nie ma żony, nie ma kochanki. Dla Mellit Rober Epineix jest tylko przyjacielem i poddanym jej księcia – to nawet bardziej beznadziejne niż nikt, a skoro tak, zostawi sobie całą dziewiątkę i niech poddani Adgemara robią co chcą: zachwycają się albo pękają z zawiści.

Przed północą stało się to, co wydawało się Inochodźcowi Epineixowi niemożliwym – nienawidził mięso. Rober czule wspominał esperatyjską ruinę i posępnego służącego z miską gotowanej marchwi. Jakże był wtedy szczęśliwy i nie zdawał sobie z tego sprawy! A przechodzący w kolację obiad ciągnął się, ryzykując, że płynnie przeciągnie się do śniadania. Ogromny stół trzeszczał pod ciężarem potraw, w ogromnej większości smacznych, ale było ich nieskończenie dużo, a przeklęty kazaron żądał, by gość kosztował wciąż nowe potrawy.

Mięso kozłęcia zostało zastąpilo mięsem nienarodzonego jagnięcia, potem szły prosięta, cielęcina, baranina taka, baranina siaka i baranina owaka. Kaczki, gęsi, kuropatwy zwyczajne i kamienne, gołębie, biegusiki, przepiórki, zające, bażanty, rzeczne i morskie stwory – wszystko to ociekało tłuszczem, rozłączało aromat nie do opisanania i wymagało miejsca w żołądku.

Zebrawszy siły, Rober przełknął kawałeczek jakiejś zapieczonej w ogniu piekielnym istoty, a gospodarz, postawny przystojny mężczyzna, będący jakimś dalekim krewnym czy to Wissifalo-Lalliona z rodu Paraskside, czy to Seronalo-Giskulara z rodu Szarimletaj, wyszczeł nowy rozkaz i podły służący z brzękiem postawił przed Taligojczykiem kolejne danie z obrzydliwie uśmiechniętym rybim potworem o wymiarach delfina. Rober wspomniał w duchu wszystkie znane sobie Stwory Zmierzchu i niezauważalnie popuścił pasa. Kiedyż nastąpi koniec? Zapytać tłumacza nie można – któryś z krewniaków gospodarza przez jakiś czas żył w Gaifie i rozumiał zarówno gai, jak i talig, chociaż mówił w tych językach z potwornym akcentem.

Rober tęsknie dziabnął nożem szczerzącą zęby rybę, Kaget zaczął coś mówić o ziołach, na łożu, z których leżał wodny potwór, który okazał się być słonecznym pstrągiem, a na podejściu czekał kolejny niktzemnik, trzymający długie, bardzo długie naczynie z patyczkami, na które było nanizane coś zdecydowanie obrzydliwego.

–Nektóre uważacz mięso nasze dużych ślimakuf twarde i bezsmaczne – huknął gospodarz. – Ale to nie tak. Duży ślimak bardzo dopry.

–A mały? – tonem skazańca zapytał Inochodziec.

Posel musi nie tylko jeść, ale też podtrzymywać rozmowę.

–Mały ślimak ma mała mięso, je trudno nadziewacz na szpikul!

Jakie one mile, te małe ślimaki, po co w ogóle wyrastają?! Niechby sobie były takie malutkie, wszyscy by się cieszyli.

–Te ślimaki maczany jedne w osiem winach białe, inny w osiem wina czerwone, piekle w swoich dumach, potem wydubywały i nasadzały na szpikul! Niech nas goszcz powie, jakie bardziej dobrze?

Z ponurym i dumnym uśmiechem skazańca przekonanego o niemożności ułaskawienia Inochodziec strząsnął z patyczka pierwszy z pięćdziesięciu połyskujących kawałków i wsunął do ust. Smaku nie poczuł, poczuł przerażenie, słysząc: „wypróbować ślimak można tylko po sześć sztuków każdy”.

Ułaskawienie dopadło go niespodziewanie. Ogromne drzwi otworzyły się, nosowo zabuczał jakiś miejscowy instrument, do niego dołączyły liczne fujarki, miarowo i rytmicznie odezwały się bębny. Siedząca obok kazarona kazaronna, nad podziw chuda i blada, wstała, za nią wstały również inne obwieszone złotymi brzękadełkami megiery. A może nawet nie megiery – Epineix za dużo zjadł, by zobaczyć w gospodyni potwornego stołu coś atrakcyjnego.

Kobiety oddaliły się, po czym do sali wpadli tancerze i objawszy jeden drugiego za ramiona, runęli w jakiś barbarzyński tan. W ręku Robera znalazł się oprawiony w pozłacany brąz czerep jakiegoś zwierzęcia z długimi zębami, wypełniony po brzegi winem. Należało je wypić, więc wypił, ale po takiej kolacji można wychłęptać rzekę, nie upijając się. Tancerze odskakali swoje i oddalili się, a zastąpiły ich dziewczęta w długich jaskrawych sukniach i przezroczystych woalkach. Gospodarz ponownie podsunął Roberowi czerep z winem – tym razem ofiarą był inny zwierz, przypominający czaszką szakala albo ogromnego lisa. Chociaż lisa raczej nie, w herbie Adgemara widniał biały lis w złotej koronie – poddani kazara raczej nie ośmieliliby się tak niekurtuazyjnie pić z lisich czerepów.

Kazaron klasnął w zatłuszczone dłonie, zagrzmiała muzyka i różnokolorowe piękności zawirowały w powolnym tańcu, po kolei zrzucając najpierw chusty, potem wierzchnie suknie, pod którymi ukazały się inne, prześwitujące, też po kolei zlatujące na podłogę. Pozostawszy w krótkich, haftowanych złotem koszulkach, tancerki wyginały się i wiły w dość jednoznacznym tańcu. Goganin miał rację – dziewczyny były piękne, ale Rober marzył tylko o jednym – dojść, zrzucić znieawidzony pas i spać, spać, spać. Kagetańska hojność okazała się gorsza od agaryjskiego skąpstwa, ale trzeba było klaskać w takt szarpiącej uszy muzyki, śmiać się z żartów gospodarza, a potem wstać i obejść szyk gotowych do użytku piękności. Epineix czuł się nie Inochodźcem, a gotową do porodu kobyłą, ledwie taszczącą swój wzdęty brzuch, ale był posłem Taligoi i nie mógł sobie pozwolić na obrażanie przeklętego kazarona. Rober z udawanym zachwytem zagapił się na ósmą, a może na dziewiątą dziewczynę, gospodarz skinął ręką i ta natychmiast odeszła na bok. Zrozumiawszy, czego się od niego oczekuje, Epineix jeszcze kilka razy udał zachwyt, po czym tanecznice zniknęły. Pozostali mężczyźni wysiorbali jeszcze po dobre pięć czerepów i pierwsza część tortury zakończyła się.

Do przygotowanych dlań pokoi Rober dotarł dość twardym krokiem, rozważając zamknięcie drzwi na zasuwę, ale zasuwy nie było, a było sporo innych rzeczy. Pośród ogromnej sypialni wznosiło się ogromne łoże, zavalone białymi skórami i poduszkami ze złotogłowiu. Takie same skóry, tylko rude i szare, wały się na podłodze. Na ścianach ozdobionych malowidłami ptaków i róż wisiała droga broń, a po freskach spacerowały hordy rudych wąsatych żuków, jak dwie krople wody podobnych do nadmiernie rozrośniętych i wyzbytych wrodzonego strachu taligojskich i agaryjskich karaluchów.

Przy wezglowiu łoża stał stół, na którym widniała cała armia talerzy i pucharów. W świetle pochodni groźnie połyskiwały noże, matowo błyszczał stygnący tłuszcz, lśniła skórka nieznanych ogromnych owoców, zwisały gałązki więdnącej zieleniny. Clement by się tu przydał ze wszystkimi swoimi współplemieńcami, którzy uciekli z Agarisu. Rober miał nadzieję, że Goganin-tłumacz zatroszczy się o Jego Szczurowatość, którego towarzystwo wydawało się w tej chwili znacznie przyjemniejsze niż obiecanych dziewczyn.

Epineix podejrzliwie przyjrzał się zaścielającym łoże futrom – wydawało mu się, że w białej sierści coś się porusza, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i w pokoju pojawiło się dziewięć ślicznotek. Rober gotów był przysiąc, że wybrał nie więcej niż cztery, ale kagetańska gościnność rządziła się swoimi regułami.

Dziewoje owinięte były w kolorowe peleryny, pod którymi, sądząc ze wszystkiego, nic już nie miały. Rober, chociaż uprzedzony, zmieszał się i w milczeniu usiadł na brzegu łoża. Widocznie zgadzało się to z jakimś miejscowym obyczajem, ponieważ dziewczyny rzuciły się do niego i na niego jak strzygi ze strasznych bajek. Dwie rzuciły się do zdejmowania z Taligojczyka butów, trzecia chwyciła za i tak rozpięty już pas, czwarta wyciągnęła czerwone szpony w kierunku koletu. Przypomniawszy sobie, że szlachcic powinien godnie znieść to, czego nie może zmienić, Inochodziec obrzucił spojrzeniem sufit, pozwalając robić ze sobą wszystko, co w tych okolicach uważano za słuszne.

Droga do Rawiatu zajęła nie tydzień, a trzy dni. Wybierając między nieuprzejmością i śmiercią, Rober wybrał pierwsze i tłumacząc się esperatyjskim postem, opuścił włości ni to krewniaka Wissifalo-Lalliona, ni to ciotecznego kuzyna Seronalo-Giskulara, prosząc o jazdę bez postojów. Inochodziec wiedział, że drugiej tego typu nocy z następującym po niej świtem nie wytrzyma.

Obudziwszy się pod dachem pożeracza ślimaków, Rober omal nie zabił Goganina-tłumacza, kiedy ten po nocy uczciwie spędzonej na pilnowaniu Clementa przed miejscowymi kotami i psami odwiedził go rano w sypialni. Obaj oni, Kalliol i szczur, byli obrzydliwie zadowoleni, nie bolała ich głowa, nie mdliło ich, żadne dziewoje nie przeszkadzały im spać. Właśnie w tym momencie Rober postanowił, że weźmie się za bary z miejscową gościnnością, bardzo zatroskawszy gościnnego gospodarza. Przeklęty kazaron z samego rana wyglądał na nieco zmożonego, co nie przeszkadzało mu rozprawiać o szesnastu rodzajach dziczyzny, moczonyj w winogronowym occie na wieczorną ucztę. Teraz, podjeżdżając do stolicy, Epineix zastanawiał się – pożałował przygotowane ślimaki i inne dania sam, czy zatrzymał na gościńcu jakichś niewinnych podróżnych i zapędził do swojego zamku.

Towarzyszący Taligojczykowi kazaroni byli wyraźnie niezadowoleni z pośpiechu i wymuszonego umiarkowania, natomiast ochroniarze-irbisy zaczęli spoglądać na obcego nieco przychylniejszym wzrokiem. Epineix czuł się zaszczycony. Tak naprawdę Roberowi bliżsi powinni być wierzący w Stwórcę Kageci, ale ich szczekliwy język, nieprawdopodobne imiona i nadmierna gościnność wywoływała u Taligojczyka tylko jedno życzenie – wracać możliwie szybko. Biriezyjczycy przynajmniej milczeli i nie usiłowali wykończyć go za pomocą smażonego mięsa i wina. Ale mimo wszystko gdyby nie Kalliol – Epineix pod koniec podróży zaczęłby kąsać wszystkich.

Goganin, którego zaakceptował nawet Clement, łaskawie zajmujący jedną z sakw przy siodle tłumacza, jak potrafił, tak bawił gościa, chętnie odpowiadając na jego pytania. Co prawda nie na wszystkie, ale Epineix i bez pomocy z zewnątrz zauważył, że Kageta nie żyje wcale tak wspaniale, jak mogłoby się wydawać na podstawie wizyty na zamku przeklętego obżartucha. Brudu i biedy było aż nadto; Rober nie od razu przyzwyczał się, że w Kagecie całą szlachtę zwą kazaronam, i wśród nich trafiają się zarówno na poły monarchowie, jak i na poły żebracy, których całym majątkiem jest żona, dziesiątka dzieci, para wieśniaków, kulawa klacz i horda karaluchów.

Kazaroni, nawet ci najbiedniejsi, uważali siebie za równych wielmożom i usilnie pogardzali handlarzami, rzemieślnikami i wieśniakami, a Biriezyjczycy gardzili wszystkimi Kagetami hurtowo i detalicznie, ale – dziwna sprawa – przez całe wieki jedli im z ręki.

Rober wiedział, że sojusz irbisów i kazarii jest wymuszony. Gdyby nie biriezyjskie klingi, Kagetę już dawno stłamsiłaby Holta albo sułtanat Nuchu. Gdyby nie kageckie mięso i wino i kupiona za rawiackie pieniądze gaifska broń, Biriezyjczycy musieliby sami paść kozy i owce, a siwi wojownicy uważali pracę na roli za największą hańbę. Teraz irbisom zaproponowano zrujnowanie spichlerza Taligu, co zdaniem Enniola powinno zachwiać tronem Ollarów. Gra wydawała się pewna, inaczej kazar nie zgodziłby się na nią. Sprytu i cwaniactwa Adgemarowi pozazdrościć by mógł każdy lis.

Kagetańskiego przywódcę nazywano Białym Lisem, nie tylko z powodu wspaniałej siwizny i rodowego herbu. Adgemar jawnie szczyił się swoim przezwiskiem, co nie przeszkodziło mu stracić jakiegoś kazarona, który przezwisko Jego Wysokości skomentował głupio, że niby każdy lis trafi w końcu na wilka albo myśliwego. Może tak naprawdę było, może nie, Epineix wcale nie przejmował się tym, że ktoś kiedyś skręci kark kazarońskiemu monarsze, byle tylko Adgemar spełnił to, za co mu zapłacono.

Nad uchem Epineix rozległ się ryk Wissifa i oderwał Robera od kolejnego przelewania z pustego w próżne. Wyglądało na to, że w głowie miał tylko dwie myśli – o Mellit i o tym, że ma Kagety po uszy, dosłownie i w przenośni.

–Kazaron powiada – przetłumaczył Kalliol – że zaraz zobaczymy mury Rawiatu.

–Odpowiedz kazaronowi, że jestem szczęśliwy – burknął Inochodziec.

Tłumacz albo nie zrozumiał ironii, albo uznał, że nie powinien jej rozumieć i coś szybko powiedział po kagetańsku. Wissif radośnie odpowiedział, Goganin przetłumaczył, Epineix wygłosił kolejny graniczący z obrazą komplement. To był początek ożywionej rozmowy.

Rozdział 9

Ollaria

„Le Deux des Coupes” [\[116\]](#)

1

Posłańcem szczęścia stał się conseiller, chociaż Dick, który po raz pierwszy wyszedł na ulicę po chorobie, nie rozumiał, o co chodzi, a zrozumiawszy, nie uwierzył własnym uszom. Jej Wysokość zaszczyciła go osobistą audiencją. Osobistą! Dzisiaj! Teraz! Dickon wbił spojrzenie w era Augusta i ten musiał się uśmiechnąć.

–Byłem przeciwny, Dickonie, ale Katarina się uparła. Chce porozmawiać z tobą sam na sam i musiałem jej obiecać, że zorganizuję spotkanie, inaczej byłoby jeszcze gorzej.

–Gorzej?

–Katarina ryzykuje, w tajemnicy przyjmując młodego człowieka, i to nie jakiegoś tam „gnojara”, a księcia Ockdella. Usiłowałem jej to wytłumaczyć, ale bez powodzenia. Do dnia dzisiejszego Jej Wysokość zachowywała chwalebny w jej sytuacji ostrożność, unikając spotkań sam na sam z kimkolwiek, ale do syna Egmonta Ockdella ma stosunek wyjątkowy. Mam nadzieję, że będziesz wystarczająco mądry i nikomu nie opowiesz o tym spotkaniu.

–Przysięgam na Honor!

–Nie wątpię w dobre zamiary, ale możesz przypadkowo się wygadać. Jeśli na przykład za dużo wypijesz.

–Nie piję. Mateczka mi mówiła.

–Zupełnie nie pić to też nierozumne, Richardzie. To stwarza barierę między tobą i innymi ludźmi, inna sprawa, że nie wolno tracić umiaru. Jeśli wieczorem wypijesz butelkę czy dwie, to nic ci się nie stanie, ale o winie porozmawiamy potem. Teraz udamy się do opactwa Świętej Oktawii, gdzie raz w tygodniu modli się Jej Wysokość, a potem odpoczywa w klasztornej ogrodzie. Przeorysza jest naszym przyjacielem, chociaż jest ollarianką. Ona rozumie, że nie mamy innej możliwości spotkania się bez świadków. Wszyscy ryzykujemy, ale najwięcej królowa, Dorac szuka pretekstu do rozvodu.

–Ale, erze Auguście, czy Jej Wysokość nie życzy sobie... – Dick uświadomił sobie, że przekroczył wszystkie możliwe granice, i zamilkł, ale conseiller tylko się uśmiechnął.

Nie wiadomo dlaczego uśmiech ten zabolął młodzieńca.

–Najbardziej Katarina Arigau chciałaby wrócić do swojego rodzinnego zamku, Dickonie, ale nikt jej nie puści. Odrzuconą królową najpierw czeka hańba, potem – mnisi habit albo trucizna. Ale nawet gdyby nie czekała ją śmierć, tylko wolność i miłość, zostałyby do końca. Byłbym dumny z takiej córki, ta dziewczyna wie, co to obowiązek. Mam nadzieję, że ty też, a teraz chodźmy. Kiedy będziesz wychodził z karety, dobrze zasłoń się peleryną – masz za bardzo rzucające się w oczy barwy.

Siedzieli w pobrzękującej karecie, za oknami hałasowało i szumiało miasto, a Richard myślał o królowej. Widział Katarinę Arigau osiem razy, a z bliska tylko raz, w dniu jej urodzin, ale wtedy w buduarze były caméristey, er August, Roke, Dorac, król, a teraz będzie sama. Co ona mu powie? Conseiller nie wie, on w ogóle nie chciał tego spotkania, ale Katarina nalegała...

Kareta zatrzymała się na brzegu Danaru, klasztor zwiślał nad urwiskiem. Nierzucająca się w oczy furtka w bocznej ścianie niczym nie przypominała pompatycznej arki przy głównym wejściu, zdobionej rzeźbami i światłami. Tłusta kobieta w czarnym habicie długo przyglądała się gościom przez kratę i dopiero przekonawszy się, że stoją przed nią ci, których oczekuje, otworzyła. Dickon nie wiedział, co ma mówić i czy ma cokolwiek mówić. Z jednej strony należałoby poprosić o błogosławieństwo, z drugiej – przeorysza pewnie wie, że jest esperatystą, a nie ollarianinem.

–Bądź radosny i spokojny, synu mój, oczekując powrotu Jego.

Dick drgnął, słysząc z ust ollarianki te słowa, ale conseiller położył dłoń na ramieniu młodzieńca i westchnął.

–Zapomniałem ci powiedzieć, że matka Monika jest prawdziwą przeoryszą, w tajemnicy błogosławioną przez samego Esperadora.

–Od Stwórcy naszego nie ma i nie może być tajemnic – rzekła mniszka – kłamstwo, wypowiedziane przez odstępcę i kłamcę, nie jest grzechem w Jego oczach. Książę Ockdell, proszę iść wzdłuż muru do żywopłotu, będzie w nim przejście. Kiedy Jej Wysokość pana zostawi, proszę wrócić tą samą drogą.

Dick obejrzał się na conseillera, ten skinął głową zachęcająco i młody człowiek na sztywnych nogach ruszył wzdłuż wysokiego muru z cegieł porośniętego winoroślą; do tego muru przylegał drugi – zielony, spleciony z jakiegoś klującego krzewu z drobnymi ostrymi listkami. Richard nie od razu odkrył niszę w starym murze, będącą

tym właśnie przejściem, o którym mówiła Monika, przejściem do ogrodu, gdzie oczekiwała go królowa.

To było jak sen – kwitnące akcje, brzęczenie pszczół, samotny obłok, topniejący w niebiosach, i najpiękniejsza kobieta tego świata, w zamyśleniu wpatrująca się w koronkowe korony drzew. Modlitewnik i różaniec królowej leżały na ławce, a w ręku trzymała gałązkę akacji. Richard Ockdell stał w cieniu krzewów, nie odważając się zakłócić samotności królowej swoich snów. Gotów był patrzeć na nią przez całe życie, ale królowa chciała z nim rozmawiać i mieli na to mało czasu. Richard wolno ruszył do przodu. Szedł bardzo cicho, Jej Wysokość nie zauważyła gościa, póki do jej nóg nie upadł cudzy cień. Katarina pośpiesznie odwróciła się, Dickon pamiętał ten gest – pełen gracji i lęku jak ruch spłoszonej łani.

–Księżę Ockdell!

–Wasza Wysokość chciała mnie widzieć?

–Tak, tak – uśmiechnęła się przepraszająco – proszę siadać. Słyszałam, że chorował pan?

–To tylko niewielkie przeziębienie.

–Księżę Alva tak mi powiedział, ale ja... Nie bardzo mu uwierzyłam. Powiedział, że zabronił panu opuszczać dom, to prawda?

–Tak, Wasza Wysokość.

Królowa zamilkła. Obłok stopniał całkiem i nad klasztornym ogrodem lśniła przenikliwie błękitna kopuła. Słoneczne promienie zmieniały popielaty warkocz owinięty dokoła głowy królowej w złotą koronę.

–Richardzie Ockdellu – w głosie królowej rozbrzmiał metal – znałam pańskiego ojca i zachwycalam się nim, ja... Ja żądam, żeby pan powiedział mi prawdę, jakakolwiek by ona nie była.

–Przysięgam na Honor – wypalił Richard, nie odrywając spojrzenia od twarzyczki Katariny Arigau.

–Księżę Ockdell, jakie stosunki wiążą pana i Pierwszego Marszałka Taligu?

Stosunki? Jest giermkim, Roke – jego erem, ale mało się widzą i niemal nie rozmawiają. Richard stał zmieszany, milczał, wpatrując się w jasne i surowe oczy.

–Proszę odpowiedzieć – zażądała królowa.

–Mało się widzimy, Wasza Wysokość, i niemal nie rozmawiamy. Pewnego razu Roke pomógł mi... Ale er August powiedział, że...

–Znam historię z pierścieniem Ockdellów. Książę, czy pan nie kłamie?

–Przysięgam na Honor. Ale, Wasza Wysokość, nie rozumiem...

–Boję się o pana, Richardzie, bardzo się boję. Zawsze zachwycalam się Ockdellami. Święty Alan był moim ulubionym bohaterem, póki... Póki nie stał się nim Egmont Ockdell, a syn tak go przypomina! Może pański ojciec zginął, ale i tak zwyciężył, i jego zabójcy to rozumieją. Nie wiem, co książę Alva wymyślił w stosunku do pańskiej osoby, ale syna Egmonta tak po prostu nie pominie. – Królowa zawahała się, ale jednak dokończyła: – Obawiałam się, że Alva pana zdemoralizował. Tak samo jak Justina Pridda.

–Brata Walentyna? Tego, który zginął na polowaniu ubiegłej zimy?

–Nie zginął. Rodzina, jak tylko potrafiła, ukryła hańbę, ale Ludzie Honoru nigdy nie potrafili kłamać. Młody Justin został kochankiem Marszałka. Najsmutniejsze jest to, że chłopak nie tylko popadł w grzech – na dodatek zakochał się w tym nikczemniku! Roke zabawiał się z nim dość długo, ale potem krewni otrzymali obraz przedstawiający Marka i Lakoniusza[117]. [Malarz odtworzył wszystkie detale. Lakoniusz miał czarne włosy i bardzo jasną cerę, ale był widoczny tylko z tyłu, a Mark... To nie mogło być przypadkiem – głos Katariny drgnął – miał pieprzyki i niewielką bliznę... Roke Alva zażartował sobie kolejny raz.](#)

–Ereo – Richard poczuł, że jest przerażony, nie wierzył, nie mógł uwierzyć, że człowiek, nieważne jaki ten człowiek jest, może zrobić coś podobnego. Jego er był złym, szyderczym, okrutnym człowiekiem, ale są granice każdej podłości – może obraz posłał kto inny? Ktoś, kto nienawidził obu?

–Kto? Roke Alvę nienawidzi cała Taligoja, ale nie znam nikogo, kto ośmieliłby się tak sobie z niego zażartować, a poza tym on sam mi to opowiedział. Później. Roke nigdy nie ukrywa tego, co robi. Proszę go zapytać o ojca, opowie panu prawdę. Ze wszystkimi szczegółami. Pytałam i lepiej, bym tego nie uczyniła! Czasem brak sumienia i współczucia tak łatwo jest pomylić z odwagą. Kruk opowiedział o Egmoncie Ockdellu z tym samym przeklętym uśmiechem, co przy opowieści o Justinie Priddzie. Co prawda, marszałek nie sądził, że chłopaka zabije jego własna rodzina. – Gałązka z trzaskiem pękła i Katarina, jakby ocknąwszy się, popatrzyła na to, co zrobiły jej ręce. – Pewnie nie jestem godna należeć do domu Arigau, ale nie mogłabym zabić brata, cokolwiek by zrobił. Wszyscy jesteśmy grzeszni, a mając szesnaście lat, tak łatwo jest się pomylić... To dla was, mężczyzn, honor jest wszystkim, a dla kobiet najważniejsza jest miłość. W młodości miałam taką nadzieję...

Jej Wysokość ostrożnie odłożyła złamaną gałązkę na ławkę i zamilkła, patrząc gdzieś w dal. W młodości miała nadzieję, że spotka miłość, ale przyszło jej być żoną króla i kochanką marszałka. Dla Taligoi. Conseiller ma rację, Katarina jest perłą, nawet nie perłą – gwiazdą świecącą nad ruinami. Gdyby Richard Ockdell mógł swoją śmiercią ulżyć jej losowi, umarłby bez wahania, i to umarł szczęśliwy, ale jego śmierć i jego życie niczego nie zmieniały w losie kruchej kobiety z warkoczami barwy popiołu.

–Dickonie – cicho odezwała się królowa – czy mogę tak pana nazywać? Stancler powiada, że tak do pana zwracają się przyjaciele. Przecież możemy być przyjaciółmi?

–Wasza Wysokość!

–A pan niech mnie nazywa Katari, oczywiście, gdy jesteśmy sami. Przez całe życie marzyłam o młodszym bracie, starsi bracia zawsze są zajęci wojnami, polityką i polowaniami, oni nie mają głowy do młodszej siostry... Nie rozumiesz, jakie to straszne, przez całe lata nie wypowiedzieć ani jednego szczerego słowa? Niemal jestem rada tej głupiej plotce, inaczej nigdy bym się nie odważyła na sekretne spotkanie z młodym człowiekiem.

–Er Stancler uprzedził mnie, jak pani ryzykuje.

–„Ty”, Dickonie, „ty”... A ryzyko, cóż, ty ryzykujesz nie mniej... Wybacz, sama dziś nie jestem sobą, wspomnienia mi szkodzą. Porozmawiajmy o czymś innym. Czyli byłeś chory i zamknięto cię w domu?

–Tak, Wasza Wysokość.

–Katari...

–Tak, Katari. Przeziębłem się i monsignore zakazał mi wychodzić z domu.

–Choroba jest taka nudna.

–No, ja się nie nudziłem. Księżę kazał mi wyszukać księgi mówiące o Galtarze. To było ciekawe.

–Galtara? – dziwiła się Katarina. – Stara stolica? Po co?

–Chyba monsignore ktoś o to poprosił. Oddałem mu to, co znalazłem, a on kazał słudze zanieść to gdzieś.

–A co tam było o Galarze? Wiesz, Dickonie, ja lubię bajki – uśmiechnęła się przepraszająco Katarina. – A to się wydarzyło tak dawno, że stało się bajką.

–Galtara była ogromnym miastem – posłusznie zaczął Dick, przypominając sobie oprawiony cętkowaną skórę foliał, jedyny, który przeczytał, pozostałe były niezrozumiałe. – Została wzniesiona przy udziale wielkich mocy w starożytnych czasach...

Richard nigdy nie był dobrym bazarzem. Bardzo chciał przekazać Katarinie powiew tajemnicy i smutku po mocy i pięknie, które odeszły, te uczucia zawładnęły nim w starej bibliotece, ale nie wiedział, od czego zacząć.

„Kertiana będzie tyle żyła, ile będzie stał Pierścień Galtary” – głosił napis na wrotach wewnętrznej Cytadeli. Wrotach, które otwierały się tylko przed tymi, którzy należeli do Wielkich Domów. Cztery Wielkie Domy, Cztery Znaki Mocy, Cztery Górne Miasta, Cztery Wieczne Wieże rozmieszczone na tysiącach Pasada [118]... Kiedy człowiek wchłania te dziwne stare słowa, napisane na pożółkłych stronicach, zawłaszczają go one, wiążą, ale wystarczy zacząć o tym mówić i czar pryska.

–Wiesz, dlaczego Rakanowie porzucili Galtarę? – postarała się pomóc mu Katarina.

–No... Powiedziane tam było, że król Eridani miał dwóch braci. Średni zwał się Rinaldi, młodszy – Ernani. Rinaldi był bardzo dumny i zakochał się w księżnej z domu Wiatru.

–Dom Wiatru – mruknęła Katarina. – Dom Alvy, przeklęty dom.

–Wtedy to nie byli Alva – ojciec mawiał, że należy być uczciwym nawet w stosunku do wroga – młoda Beatrice była żoną dowódcy Lorio Borrasca i kochała swojego męża. Rinaldi skorzystał z nieobecności męża, który był na wyprawie, w masce przeniknął do sypialni Beatrice. Ta wzięła go za złodzieja i zaczęła krzyczeć, zbiegli się słudzy, w czasie szamotaniny maska upadła, księżna poznała księcia i kazała go puścić. Rinaldi uznał, że to oznaka afektu, ale Beatrice powiedziała, że woli należeć do ostatniego sługi czy psa niż do księcia, który zapomniał o swoim honorze. Rinaldi odszedł, ale on nie przywykł do przegranych. Brat króla porwał Beatrice...

O tym, co zaszło między księżną Borrasca i Rinaldi Rakanem, Richard czytał mnóstwo razy. Rinaldi obciął swojemu więźniowi włosy i pozbawił ją szat... Trzymał księżną w sekretnym schronieniu przez osiem miesięcy. Póki kobieta na zaszła w ciążę, porywacz zabawiał się z nią codziennie, potem oddał sługom, potem specjalnie ułożonym psom, a sam ze swoją kochanką przyglądał się poniżeniu tej, która go odrzuciła.

Starożytny autor był bardzo szczery i nie wstydził się szczegółów, a w zamku Ockdellów tego typu książek nie trzymano. Stara legenda stała się dla Dickona oknem do zakazanego świata, podniecającego i haniebnego. Właśnie dlatego nie mógł opowiedzieć tego, co przeczytał, Katarinie, ale ta wszystko zrozumiała bez słów.

–Wiem, co czuła Beatrice, nawet lepiej niż ty – wyszeptała królowa. – Umarła, czy zmusili ją, by żyła?

–Szukali jej w całym imperium, a Rinaldi trzymał ją w Galtarze. Księżę chodził do niej codziennie, póki ona nie... Póki nie stało się tak, że miała urodzić dziecko.

–To dla mnie lekcja. – Ręce Katariny szarpały czarny jedwab sukni. – Nie wolno uważać się za najbardziej nieszczęśliwą. Nigdy...

–Proszę mi wybaczyć.

Jak on mógł tak czytać po wielekroć tę historię? Jak?! Przecież na miejscu Beatrice mogła być Katarina... Księżna mogła przypominać królową, nawet na pewno przypominała – delikatna, krucha i dumna.

–Mów, Richardzie. Chcę wiedzieć, co się stało z obojgiem – księżną i księciem.

–Termin Beatrice zbliżał się, Rinaldiemu znudziła się zemsta i zamierzał zabić brankę, ale jeden ze służących, tajny esperatysta, pomógł księżnej uciec. Chciał ukryć ją przed swoimi współwyznawcami, ale Beatrice Borrasca zdecydowała inaczej. Naga, ze śladami bata i psich ukąszeń na ciele, w biały dzień przeszła przez całą Galtarę do królewskiego pałacu i zażądała od Eridani Rakana sprawiedliwości. Rinaldi usiłował zaprzeczać swojej winie, ale został zdemaskowany przez służbę i kochankę. Według Złotego Prawa należący do Wielkiego Domu mógł przyjąć śmierć tylko z ręki równego sobie. Ofiarowano mu miecz i walczył po kolei z innymi szlachcicami. Pierwszy powinien był skrzyżować z nim ostrze księżę Borrasca, a uważany był za najlepszego szermierza Złotych Ziem. Księża czekała szybka i honorowa śmierć, ale to było zbyt lekką karą za czyny... Lud Galtary i Wielkie Domy zażądały od monarchy, by zachować życie niegodziwca i zamknąć go pod Cytadelą, i Eridani zgodził się.

–Pod Cytadelą? – Oczy Katariny rozszerzyły się.

–Tak – Dick odsapnął. Problemy się skończyły, dalej można było mówić bez skrępowania. – Pod Cytadelą były jaskinie, w których żyły straszliwe potwory. Ci, co stworzyli Galtarę, uczynili tak, żeby nie mogły one wyjść na powierzchnię. Najgorszych przestępców zamykano w tych kazamatach, i tak też postąpiono z Rinaldim.

–To sprawiedliwe – twardo powiedziała królowa. – Ten, kto znęcał się nad kobietą, nie powinien żyć, ale śmierć jego nie może być lekka.

–Tak, Wasza Wysokość, ale Rinaldi należał do rodu Rakanów, a Rakanowie byli następcami stworzycieli Galtary. Eridani i jego bracia władali starymi tajemnicami. Kiedy księżę był wleczony do wejścia do podziemi, krzyczał, że zemści się na całych

Złoty Ziemiach i jego zemsta będzie straszna. Wtedy uznano, że chce za pomocą grózb i przekleństw przyspieszyć swój koniec. Eridani zabronił łucznikom strzelać. Król, jego brat Ernani, Lorio i Beatrice widzieli, jak przestępcę wepchnięto do podziemi. Lorio opuścił kratę i Eridani własnoręcznie zatrzasnął Pułapkę Losu.

–Pułapkę Losu?

–Zamek, który może otworzyć tylko ten, kto go zamknął. Inny, dotknąwszy Pułapki, zmienia się w kamienny posąg i pozostaje nieruchomy, póki nie minie odmierzony mu przez niebo okres.

–To niemożliwe!

–Księża mówi, że w starożytnych czasach wykonano szesnaście tego typu zamków, strzegących wyjść z podziemi Galtary.

–Czyli po wykonaniu wyroku Rinaldi Rakan postanowił porzucić starą stolicę?

–Nie. Skazany książę znalazł jakiś sposób, by się zemścić. Jakimś sposobem otworzył drogę zamkniętym w podziemiach potworom i wyrwały się one na wolność. Potwory wydawały się nie do pokonania, ale Eridani uruchomił właściwą Rakanom magię. Uratował miasto, ale sam zginął. Koronę przejął Ernani, ostatni z braci Rakanów. Ani nowy monarcha, ani jego lud nie chcieli pozostawać w Galarze i Ernani przeniósł stolicę do Kabiteli, a sam wyrzekł się starej wiary i podległych jego rodzinie mocy i przysiągł, że Rakanowie nigdy nie dotkną rodowych talizmanów.

–Ernani postąpił słusznie – pokiwała głową Katarina. – W naszych czasach zbyt wielu gotowych jest oprzeć się o zło. Dobrze, że starożytne sekrety zaginęły na zawsze.

–Człowiek, który zapisał legendę, myślał, że Ernani nie ośmielił się zniszczyć relikwii, a może nie mógł. One są gdzieś ukryte. Może w Galarze, a może w nowej stolicy.

–Na szczęście dla nas nie znajdują się tutaj – wolno powiedziała królowa. – Gdyby Rakanowie władali wielkimi mocami, Francisk Ollar nie zwyciężyłby. Będziemy mieli nadzieję, że talizmany, gdziekolwiek się znajdują, będą tam leżały do końca czasu. Dziękuję ci, Dickonie. To najbardziej przerażająca i najpiękniejsza legenda ze wszystkich, jakie słyszałam. Wyobraź sobie, że niemal w nią uwierzyłam.

–Wasza wysokość...

–Katari, Dickonie!

–Katari, sądzisz, że to wymysł?

–Co się tyczy księżnej i księcia – nie, tego się nie da wymyślić, ale cała reszta... W Esperacji powiedziano, że nie ma Mocy przewyższającej Stwórcę, a on nie ścierpi na ziemi Kertiany obrzydliwych stworów. A poza tym ja w młodości pasjonowałam się magią. Bardzo chciałam nauczyć się zmieniać świat na lepszy, ale magia jest niemożliwa, Dickonie. Nawet najprostsza. Ludzie nie mogą latać ani oddychać pod wodą i żyją z tym, czasem nawet szczęśliwie. Należy pogodzić się z tym, że nie potrafimy czarować, że nie jest nam to dane. Gdyby „starożytne sekrety” naprawdę istniały, to na pewno zostałyby ponownie odkryte. Przecież Goganie jak tylko mogli strzegli sekretów papieru i prochu, a mnich Klaus i tak je odkrył. To samo stałoby się z magią, gdyby istniała.

W istocie wszystko szło lepiej niż nieźle. Jego Świątobliwość sam nie rozumiał, dlaczego ostatnio irytuje go wszystko albo niemal wszystko.

Sylwester czuł, że traci bezcenny czas, a panujący aktualnie w Taligu spokój nie oznacza nic dobrego. Wyjaśnić przyczyn swojego niepokoju kardynał nie mógł nawet sobie, nie wspominając o innych. Powiadają, że nierozumne stwory czują nadejście trzęsień ziemi i obudzenie dyszących ogniem gór, wyczuwają i odchodzą, a ludzie do ostatniej chwili czepiają się swojego dobytku i giną pod jego odłamkami. Może tak jest i z nim – przeczucie wrzeszczy o niebezpieczeństwie, a kardynał Taligu zajmuje się codziennymi drobiazgami.

Sylwester zażądał shaddi, ale nie pił. Sekretarz postawił tacę na stole i wyszedł. Dorac siedział, patrząc, jak nad wytworną filizanką unosi się aromatyczna para. Miał do przejrzania kupę papierów, miał zaprosić na rozmowę głównego skarbnika i wychowawcę następcy, napisać sześć listów, ale zmusić się do działania Quentin Dorac nie potrafił.

Z Agarisu? Raczej nie, w świętym grodzie wszystko idzie jak idzie. Esperadora ciągle nie ma, a magnusowie i kardynałowie rozsiedli się dokoła pustego tronu i szykują się do bójki o spuściznę. Można sądzić, że tej rozrywki wystarczy im na długo, a na razie na tron wpakują Juniusa. Staruszek rzeczywiście rozsypuje się w oczach, sprawdzono to niejedyn raz. Nie, Agarisu można się na razie nie obawiać. Drixen i Gaunau? Jeszcze śmieszniejsze. Oni nawet z Bergmarkiem sobie nie poradzą, a ich sojusznicy w Taligu siedzą potulnie jak baranki.

Od pogromu Ockdella minęło za mało czasu, wątpliwe by Ludzie Honoru dojrzeliby do nowego buntu wcześniej niż za jakieś dziesięć lat. No to o co chodzi? O Aldo Rakana? Gogańskie złoto? Głupią historię z zaginionym Aramoną i oszalałą służbą? Sylwester wyciągnął ze sterty dokumentów rozkaz, który na kapitana Laik wyznacza Claude'a Dessaridge'a. Wstawił się za nim fok Warzow, a Roke albo swoim obyczajem podpisał papier, nie patrząc nań, albo złośliwie nie przyszedł się poradzić, chociaż głowę fabiańskiego bractwa wybiera kardynał, a marszałek tylko formalnie go zatwierdza.

Całkiem możliwe, że Alva umyślnie dąży do kłótni, z nudów po prostu, ale kłótni nie będzie, ponieważ decyzja jest ze wszech miar słuszna. Wolfgang fok Warzow nie tylko jest dobrym żołnierzem, ale też jedynym z Ludzi Honoru, któremu można ufać. Nie licząc Roke, oczywiście, ale potomkowi Ramiro Ludzie Honoru z rozkoszą przegryzą gardło, a Wolfgang jest dla nich swoim, dlatego jego służba jest szczególnie cenna. No i Warzow zna się bardzo dobrze na ludziach; należy sądzić, że ten Dessaridge oddany jest Taligowi i swojemu marszałkowi, że jest odważny i

niegłupi – stary wojak tchórzy i durniów nie znosi.

Kardynał chwilę przygryzał wargi i odłożył rozkaz do czarnej safianowej teczki na dokumenty zaakceptowane. Claude Dessaridge może przystępować do pełnienia obowiązków. Kiedy się oswoi, trzeba będzie go wypytać, świeże oko może zauważyć coś ciekawego. Niech poszuka śladów Aramony. W to, że pijaczyna i nikczemnik został żywcem wzięty do nieba, kardynał nie wierzył, ale na ziemi go nie odnaleziono, chociaż dowiedziawszy się o zniknięciu Arnolda, Jego Świątobliwość puścił jego śladem najlepszych tropicieli.

To samo nieszczęście, co z Germanem i Paolo, ale w tamtym przypadku kardynał dopuszczał możliwość ucieczki. Ucieczki nie przed władzą, a nieznanym zagrożeniem, tu natomiast było to wykluczone – Aramona był zbyt głupi, by zniknąć, nie zostawiwszy śladów. W to, że do jego zniknięcia przyczyniły się moce nadnaturalne, uwierzyć było trudno, ale słudzy jednak co do jednego z jakiegoś powodu zwariowali, nowa stajnia zmieniła się w przegniłą ruinę, a w Agarisie, proszę sobie odnotować, oszalał astrolog, pracujący dla Aldo Rakana. Aldo...

Jego Świątobliwość chwycił filiżankę z shaddi i wylał resztkę do kominka. Moriskowie uznaliby go za bluźniercę, którym tak naprawdę był. Jak większość duchownych, nawiasem mówiąc. Z Agarisu donoszą, że tam się jednak jeden świątobliwy objawił. Biskup Sonore z zakonu Miłosierdzia naprawdę wierzy w to, co głosi. Ciekawe, kiedy i kto tego nawiedzonego otruje, oczywiście ku chwale Stworzyciela z nieodłączną po fakcie kanonizacją? Sylwester sam by z przyjemnością powiększył tym sposobem grono świętych, ale jak na złość nikogo tam odpowiedniego pod ręką nie miał.

No, jak się nie da, to mówi się trudno, nie powiodło się ze świętym, powiedzie się z grzesznym. Dynastia Rakanów powinna przejść do historii. Wybacz, Aldo, ale czasy nadchodzą ciężkie i niepojęte, a ty wdałeś się w jakąś dziwną grę – dać ci ją dograć byłoby przesadą. Kardynał potrząsnął dzwoneczkiem i obojętnym głosem polecił sekretarzowi, by zaparzył jeszcze shaddi i zaprosił dyżurnego kuriera. Sekretarz rzucił się do wyjścia, ale zatrzymał go na progu okrzyk Jego Świątobliwości:

–Najpierw shaddi!

Najlepszy sposób na dochowanie tajemnicy to nie nadawać jej większej rangi. Jeśli filiżanka naparu jest ważniejsza od rozmowy z kurierem, to niczego ważnego nie będzie wiozł. Zresztą kilka minut w jedną czy drugą stronę naprawdę roli nie odgrywa. Jeśli Rakan sam, a jeszcze lepiej z babką i najlepszym przyjacielem, stanie przed obliczem Stwórcy o tydzień czy nawet miesiąc później, niebo się nie zawali. Sylwester uśmiechnął się i na chybił trafił otworzył jedną z przysłanych przez Alwę ksiąg.

Pouczająca historia. Jeszcze raz udowadnia, że wrogów powinno się sprzątać po cichu, nie urządzając przy tym sądowych igrzysk. Gdyby Eridani Rakan wpadł na pomysł i otruł braciszka, sam pozostałby przy życiu, Pierwotne Stwory siedziałyby tam, gdzie powinny, w Taligoi do dziś czczono by Czterech, a władza opierałaby się nie na pikach i muszkietach, a na starożytnych mocach. O ile oczywiście naprawdę istniały, co do czego Jego Świątobliwość miał sporo wątpliwości, tak samo zresztą, jak i co do przyszłego nadejścia Stwórcy, kowań Leworękiego i tego typu rzeczy, które nagle przypomniały o sobie, i to jeszcze tak dziwnym sposobem.

Gdyby German żył, można by z nim przedyskutować i stare bajki, i dzisiejsze zadziwiające rzeczy. Okazuje się, że Rinaldi Rakan, wleczony na kaźń, przeklął swoich braci i ich potomstwo. Wymyślnie przeklął, ale mocno, choć mógł to wymyślić jakiś minstrel...

Wszedł sekretarz, wniósł tacę z czystymi filiżankami i przykrytą czystą ściereczką dzbanuszkami. Sylwester własnoręcznie nalał sobie czarnego aromatycznego naparu, zdjął jeden z pierścieni, potrzymał nad parą, żeby przekonać się, że kamień nie zmieni barwy. Oczywiście sekretarz nie ośmielił się w biały dzień dodać do shaddi trucizny, a i sappiat wykrywa przecież nie wszystkie trucizny, ale istnieją reguły, od których się nie odstępuje.

Shaddi była znakomita, Sylwester rozkoszował się każdym łykiem, jednocześnie wertując pożółkłe stronicę w poszukiwaniu miejsca, które mu się przypominało. Grafika przedstawiająca księcia-gwałciciela i króla-sędziego była dobra, choć powstała wiele wieków później. Sądząc po ubraniu i uczesaniu bohaterów legendy, malarz żył jakieś trzysta lat przed nadejściem Franciska Ollara. Te czasy uważano za złoty wiek Taligoi, kiedy pod pieczęcią silnego mocarstwa kwitły nauki, sztuki i rzemiosła. Inna sprawa, że mistrzowie wiele myśleli o pięknie i mało o tym, jak to naprawdę było wiele lat temu. Tym sposobem Rinaldi Rakan zmienił się niemal w Leworękiego, a jego bracia stali się ponurymi ciemnowłosymi herosami, chociaż Rakanowie nigdy nie wyróżniali się mocarną budową ciała.

Natomiast Beatrice się udała – malarz w zachwycie skorzystał z możliwości ukazania nagiej kobiety i przyłożył się do tego, chociaż zamiast ofiary gwałtu wyszła mu jakaś kurtyzana. Malarze w ogóle uwielbiają malować kobiety upadłe, a kościół im przeszkadza. Zabawny obrazek...

Brzęknął dzwoneczek, obwieszczając przybycie kuriera. Kardynał łyknął jeszcze raz i pociągnął za biały sznur, pozwalając wejść. Tego kuriera znał jak i zresztą innych. Pilny, oddany, wierny, ale nie za bardzo lotny. Taki, jaki miał być.

–Josephie Karrigan – kardynał uważał, że powinien nazywać swoich ludzi po imieniu – powinien pan w ciągu ośmiu dni dotrzeć do Sagra-Any i dostarczyć wdowie po hrabim Zappo prezent na jej imieniny. Hrabina jest osobą wielce czcigodną i oddaną

córką Kościoła, a jej małżonek był ostoją królewskiej rady. – Nieboszczyk hrabia Zappo był durniem i rogaczem, a jego dziś oddana cencie żoneczka w swoim czasie oddawała się miłości z połową Najlepszych Ludzi i nie jej wina, że drugiej połowy jej wdzięki nie skusiły. – Proszę nie zapomnieć do szkatułki z różańcem i żywotem świętej Oktawii dodać trzy tuziny królewskich goździków. Pieniądze na wydatki proszę pobrać w skarbcu na podstawie tego listu. – Kardynał niedbale napisał kilka słów. – Czy wszystko jasne?

–Tak, Wasza Świątobliwość.

–Proszę, zatem iść i nie pomylić kwiatów. Trzy tuziny.

Trzy tuziny goździków dla podstarzałej hrabiny. Znak szacunku, nic więcej. Inna sprawa, że widząc je, wyznający esperatyzm major – domus hrabiów Zappo „w tajemnicy przed władzami” odwiedzi Agaris i przez trzy dni będzie stawiał po trzy świeczki w małej świątyni zakonu Miłosierdzia. Kto powinien, ten zrozumie...

Ciekawe, czy dogrzebał się Aldo Rakan do tego, że jest tym właśnie „ostatnim z rodu”, na głowę którego powinno zwalić się przekleństwo Rinaldiego?

Niechaj ostatni z nasienia waszego czterokrotnie przejdzie drogę, jaką mnie zgotowaliście, mnie, osądzonego przez was, niech cierpienia jego przewyższą moje, jak jesienna burza przewyższa letni wiatr. I niech wie on, niewinny, ale ukarany, komu ten los zawdzięcza. I niech upadną jego przekleństwa na dusze wasze, gdziekolwiek by się nie znajdowały. Ładnie powiedziane, niech go, nieznanego poetę, Stwory Zmierzchu! Młody Rakan, żeby nie był ostatnim z rodu, powinien się szybko ożenić, ale raczej nie zdąży. Zeman robi, co należy, i urodziwy Aldo uda się do swoich przeklętych przodków, o ile oczywiście po śmierci coś gdzieś jest. Jego Wysokość uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie, co powiedziałby temu, kto ośmieliłby się wypowiedzieć takie heretyckie przypuszczenie przy świadkach.

Nieważne, czy jest życie pozagrobowe, czy nie – najważniejsze, by wnuk Matyldy przestał kusić amatorów spisków, chociaż ci mogą nawet ogłosić następcą Aldo młodego Ockdella.

Że też podkusił Leworęki Alvę, by zostawił przy sobie tego wilczka!

Nie mieli z kuzynem szczęścia, a może Reginald miał rację, mówiąc, że są śledzeni. Gdy tylko rozsiedli się w przytulnej salce „Wiosennego kwiatka” i zamówili obiad, drzwi otworzyły się i do tawerny wpadł Esteban Colignar z koleżkami, z których Dick znał tylko nieodłącznego Seweryna.

–Na Pociętego Smoka! – zaklął Nal. – „Gnojarcz” wyczuwa cię szóstym zmysłem, nie inaczej. Chodźmy stąd, żeby coś się znowu nie wydarzyło.

Richard sam tak pomyślał, ale po słowach kuzyna tylko pokręcił głową.

–Raz już odszedłem i do czego to doprowadziło? Niech oni wychodzą.

–Dickonie, ich jest siedmiu! Siedmiu! I sam mówiłeś, że Esteban jest lepszym szermierzem.

–Nie wyjdę. Nie obawiaj się, do gry już mnie więcej nie wciągną.

–No to przynajmniej przesiądź się na moje miejsce, może cię nie zauważą.

–Proponujesz, bym się krył przed „gnojarczami”?! – Richard głośno uderzył pięścią w stół i krzyknął: – Gospodarzu! Kenallijskiego!

–Dickonie – Oczy kuzyna wylazły z orbit. – Przecież to szalone pieniądze, weźmy zacnego epskiego.

–Ja płacę! – odciął się Dick. – Na Stwory Zmierzchu! Będziemy pili kenallijskie, inne wina to nie wina, a napoje.

–Przysłali ci pieniądze? – zdziwił się Nal.

–Mam czym płacić, reszta to nie twoja sporawa. – Dick wyjął pugilares i rzucił na stół tali. – Gospodarzu, dwie butelki najlepszego!

Gospodarz „Kwiatka” nie należał do tych, którzy nie zauważają takich klientów.

–Monsignore raczy sobie „łzy” czy „krew”?

–Jest czarna?

–O – oberżysta znacząco popatrzył na barwy Dickona. – Tylko dla panów. Zostały akurat dwie. Ubiegłoroczne zbiory.

–Przynieś.

Oberżysta zagarnął złoto i zniknął, machnąwszy białym ręcznikiem jak skrzydłem.

–Dickonie – wyszeptał Nal – tylko mi nie mów, że bierzesz pieniądze od Kruka. To niemożliwe.

–A dlaczego nie? – odparował Dick. – Er powinien utrzymywać swojego giermka. Nie ja jestem jego dłużnikiem, tylko on moim. Z posiadłości Ockdell z jego łaski wszystkie soki wyciągnięto.

–A ty bierzesz od niego datki. O tobie i tak mówi się...

–Co?

–Nic. – Nal zamknął się jak wystraszona ostryga. – Dobrze, jeśli chcesz, możemy się napić. Ja o „Czarnej krwi” tylko słyszałem.

Dick mógłby powiedzieć, że on z kolei tylko ją widział, ponieważ częstować giermka tak znakomitym winem Alva nie zamierzał, ale tylko z mądrą miną pokiwał głową. Przybiegł gospodarz z dwiema bezcennymi butelkami i tonem królewskiego mistrza ceremonii oznajmił:

–Pańskie wino, monsignore!

–Dziękuję ci, kochany – machnął ręką Dick. Rozumiał, że postępuje głupio, i wyobrażał sobie, co mu powie er August, ale nie mógł się powstrzymać. Nal z jakimś nabożnym zachwytem upił ze swojego kielicha.

W ciemnych szatach z ostrożnym, żeby nie powiedzieć wystraszonym obliczem, wydawał się być prowincjuszem, śmiesznym i głupim. Kuzyn liczył każdego suana i na pewno nigdy wcześniej nie pił kenallijskiego wina.

–Zaiste wspaniałe – wymamrotał.

–Widzisz. – Dick klepnął krewniaka w ramię. – Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć.

–Patrzcie, patrzcie! – Znienawidzony głos Richard rozpoznał od razu, chociaż rozległ się za jego plecami. – Czy to nie Ockdell?

–Na Stwory Zmierzchu, on – radośnie potwierdził ktoś nieznajomy.

–Wygląda na to, że Kruk znowu się nudzi?

–No, musi jednak co jakiś czas spełniać dług przed koroną. Jej Wysokość była bardzo niezadowolona, kiedy Alva – mówiący te słowa zrobił wstrętą pauzę – uczył żyć Justina Pridda. Naprawdę, bardzo niezadowolona...

–A pewnie, spada marszałka należy do króla i królowej, a nie do jakichś tam giermków – zarechota! Esteban.

–To zależy, o jakiej szpadzie mowa – wtrącił się do rozmowy Seweryn. – Bo jeśli o tej, co się nosi na boku, to tak. Ale co do broni spomiędzy ud...

–Obaj nie macie racji! – zdecydowanie oświadczył nieznany Dickowi chłopak z długim nosem. – Wspomniana broń dobrze służy naszym najjaśniejszym rządzącym, niech im Stwórca pośle możliwie dużo wszelkiej pomyślności.

Richard odwrócił się gwałtownie. Oczywiście, Colignar i jego kompania ulokowali się przy sąsiednim stole. Było ich siedmiu i wyraźnie szukali zwady.

–Witam pana – uśmiechnął się długonosy. – Kiedy będziemy mogli obejrzeć nowy obraz? Już pan pozuje?

–Nie powinien pan wypaść gorzej od Justina – przeciągle wymawiając głoski powiedział kolejny młodzian, bardzo przystojny w lawendowym wamsie.

–Lepiej – rzucił Esteban. – To w końcu Władca Skał, biedy Justin stałby się Władcą Fal za lat co najmniej dwadzieścia, nie wcześniej.

Poblady Richard odsunął od siebie bezcenną butelkę i wolno się podniósł.

–Dick, uspokój się – zatrajkotał Nal, podrywając się. – Źle ich zrozumiałeś, oni nie mieli na myśli nic takiego... Justin to Justin, a ty to ty.

–Milcz, Reginaldzie – usłyszał własny głos Dick. Był całkowicie spokojny i znakomicie rozumiał, co teraz uczyni. Kciuk powinien być pod innymi palcami, tak chyba tłumaczył Roke. Tak, właśnie tak! A bić należy w oko albo nos, ale lepiej w nos...

Richard Ockdell odsunął bezsensownie paplącego kuzyna, wybijając krok obcasami podszedł do Estebana i bez zbędnych słów uderzył. Bryznęła krew, oszalały z zaskoczenia Colignar niezręcznie odsunął się i uderzył głową o krawędź kredensu. Widząc, jak twarz wroga zalewa krew, Dick pomyślał, że Alva rzeczywiście zna się na uderzeniach.

Esteban ostrożnie chwycił podsuniętą przez kogoś chusteczkę, usiłując zatamować krwotok, przybiegł służący z miednicą, zaczął gromadzić się tłum. Seweryn ruszył w kierunku Dicka, a ten, wyprzedzając wydarzenia, rzucił lodowatym tonem:

–Gdzie i kiedy tylko chcecie.

–Richardzie – zasyczał do ucha Nal – przecież ich jest siedmiu, nie możesz bić się

ze wszystkimi. To niemożliwe! Nawet Roke...

Miał rację, ale Dick już nie panował nad sobą. Wszystkie przełknięte krzywdy i urazy, niesprawiedliwości, podłości, wszystko to, co zważyło się na niego w ciągu ostatniego roku, ucieleśniło się w Estebanie Colignarze i jego pieczeniarczach. Uwolniwszy łokieć, Richard przytrzymał szpadę i odwrócił się do krzątających się przy swoim wodzu „gnojarzy”.

–Mam nadzieję, że wszystko jest jasne. Jestem gotów bić się z tak wami wszystkimi jednocześnie, jak i z każdym po kolei, w tym porządku, jaki ustanowicie. Kiedy pan Colignar dojdzie do siebie, przekażcie mu moje wyrazy szacunku i przekażcie, że spotkam się z nim w dowolnym miejscu w wygodnym dla niego czasie. Mam nadzieję, że długo czekać mi nie będziecie. My z kuzynem będziemy po drugiej stronie ulicy w „Prawie pana”, tu zbytnio zajeżdża nawozem.

Wszystko zostało powiedziane, zostało tylko rzucić oberżyskie kilka tallów i wyjść. Niezadowolony Nal włókł się za nim. Najtrudniej było zmusić kuzyna do milczenia. Reginald prosił, przekonywał, groził, ale w końcu poddał się, obiecawszy zachować pojedynkę w sekrecie. Potem zjawiał się Seweryn. Esteban proponował spotkać się jutro o szóstej w Nosze, byłym esperatyjskim opactwie, dziś, poza dwoma świątyniami, niemal opuszczonym.

–Mnie to urzęda – skinął głową Dick.

–Dickonie, to szaleństwo. Ja nie mam zamiaru w tym uczestniczyć. – Nal aż dygotał z oburzenia.

–Twoja obecność nie jest konieczna. Jeden Ockdell jest w stanie porozmawiać z siódmką „gnojarzy”. Będę bez sekundanta, panowie.

–Szkoda – skrzywił się Seweryn. – Esteban chciałby rozliczyć się na całego.

–I zostanie tak właśnie rozliczony! – rzucił, podnosząc się, Dick. – A teraz, panie, muszę pana opuścić. Muszę poszukać odpowiedniego mydła, bo – widzi pan – nieźle uświłem sobie rękę.

Esteban pewnie wymyśliłby odpowiednio obraźliwą ripostę, ale Seweryn wolno myślał, więc Dickowi udało się opuścić pole walki, zostawiwszy za sobą ostatnie słowo. Trochę zepsuł efekt Nal, do twarzy którego przykleiło się przerażenie. Kuzyn szedł za Dickiem i marudził, że trzeba coś zrobić, walczyć nie wolno, ponieważ zginie, a Ockdell nie może zostać bez następcy. Trzeba uciekać do Stanclera, a jeszcze lepiej wyjechać do Agarisu albo Drixen. W końcu Richard nie wytrzymał i chwycił krewniaka za klapy na piersi.

–Albo się zamkniesz, albo nie wiem, co z tobą zrobię. Tchórzez nieszczęsny!

–Trzeba odróżnić tchórzostwo od zdrowego rozsądku – wysapał Reginald. – Siebie nie oszczędzasz, to wspomnij Ockdell...

–Nic mi nie będzie – odciął się Dick, choć na duszy wcale nie było mu wesoło. Szał minął, ale nie było gdzie się wycofać. – Do domu napiszę. Na wszelki wypadek, a ty daj mi słowo, jakby, co, że ożenisz się z Iris albo Dee.

–Ja?! – Nal aż stracił oddech. – Przecież jesteśmy krewnymi. A poza tym, co ze mnie za księżę i w ogóle... Kocham inną!

–Pomyślałby ktoś, krewni! Kościół nie na takie związki zezwala, a miłość... Sam mi marudziłeś o obowiązku. Z Iris ci się ułoży.

–Jest wspaniała – zgodził się Nal. – Ale, Dickonie...

–Jeśli coś mi się stanie, ożenisz się z Iris i zostaniesz panem Nadoru i Władcą Skał – wyskandował Dick. – Zostawię kopertę na twoje nazwisko, tam będą listy do era Augusta i Jej Wysokości. Przekażesz je.

–Przysięgam, ale...

–Zostaw mnie w spokoju!

Nal westchnął, popatrzył psim wzrokiem i odszedł. No i Leworęki z nim! Jęczy i jęczy jak stara baba. Chociaż czego od niego wymagać, sekretarz, i to wszystko tłumaczy. Księżę z niego, rzeczywiście, żaden... Władca Skał, który nie wie, jak się trzyma szpadę. Może rzeczywiście uciekać? Nie, Ockdellowie odpowiadają za swoje słowa. Umrze, ale honoru i pamięci ojca nie zhańbi. Jeśli zaś ucieknie, Esteban zmiesza jego imię z błotem, wszyscy uznają, że „gnojzarz” ma rację, Katarina pomyśli, że jest tchórzem, a Roke będzie szydził z Najlepszych Ludzi i pil wino. Nie, trzeba walczyć! Może go nie zabiją, a tylko zranią. Straci przytomność, „gnojzarze „uciekną”, ktoś go znajdzie, ktoś się dowie... Jeśli przeżyje, to nikt nigdy nie będzie go podejrzewał o tchórzostwo. Siedmiu na jednego, takiego czegoś nie zaliczył nawet Roke.

Rozdział 10

Ollaria

„Le Un des Bâtons” [\[119\]](#)

1

Noc się skończyła, a z trzech zaplanowanych listów gotowy był tylko jeden, i to nie ten najważniejszy. List do Katariny Arigau Richard zaczął pisać jeszcze za dnia. Doszedł do końca, podpisał, przeczytał, podarł i chwycił nowy arkusz. Trzy razy docierał mniej więcej do środka posłania i dziesięć razy potykał się o drugie zdanie.

Napisać do domu było łatwiej. Richard Ockdell po męsku i krótko informował księżną wdowę, że musiał wyzwać na pojedynek siedmiu „gnojarzy”, ponieważ został zszargany jego osobisty i rodzinny honor. Rozumie, że jego śmierć zasmuci drogą matczkę i siostry, ale Ockdellowie ponad dyshonor przedkładają śmierć. Ma nadzieję, że kuzyn Reginald stanie się godnym Władcą Skał i dobrym mężem jednej z sióstr, i zapewnia bliskie mu osoby w swojej do nich miłości i wierze w zwycięstwo sprawy Rakanów.

Zapieczętowawszy zwitek i napisawszy na nim imię Mirabelli Ockdell, Dick dokładnie zniszczył w ogniu zmarnowane arkusze i nałożył ubranie, w którym przybył do Ollarii. Ockdell nie powinien umierać w kruczych piórach!

Za oknem budził się świt – zapowiadał się szary dzień, ale deszcz nie padał. Richard starannie owinął się peleryną i zszedł na dół. Miał szczęście – brama była otwarta, więc nie musiał tłumaczyć się odźwiernemu. Richard rzadko wychodził na ulicę tak wcześnie i poranne życie stolicy było mu nieznane. Zaczynający pracę jeszcze w ciemnościach handlarze i służba trochę rozpędzili mroczne myśli, ale w miarę zbliżania się do porzuconego esperatyjskiego opactwa obawy i krzywdy zdominowały myśli Ockdella.

Kuzyn dotrzymał słowa i nic nikomu nie powiedział, choć był szczerze zmartwiony i wzburzony. Reginald jest prawdziwym Człowiekiem Honoru, będzie godnym księciem, ale teraz Dick wolałby, żeby Larack był mniej delikatny; conseiller, gdyby wiedział o pojedynku, potrafiłby go uniemożliwić... W myślach zbesztawszy się za niegodne syna Egmonta tchórzostwo, młodzieniec przyspieszył. Bardzo nie chciał umierać, ale innego wyjścia nie widział. Życ z piętnem kochanka Kruka Richard Ockdell nie może.

Nocha powitała młodzieńca gołębim gruchaniem, wrzaskiem wróbli i ciężkimi,

zimnymi kroplami, zwisającymi z prętów zardzewiałej furtki. Furtka była otwarta, Dickon wszedł do środka. Czekano na niego. Cała siódemka, z której dwaj byli znacznie lepszymi szermierzami niż ostatni z Ockdellów.

–Już myśleliśmy, że pan nie przyjdzie – uśmiechnął się Esteban.

–Wybacz, drogi panie, ale przychodzenie przed czasem jest równie niegrzeczne jak spóźnianie się – powtórzył Dickon bardzo w czas przypominane sobie powiedzonko marszałka.

–Na spotkania z damami należy przychodzić pierwszym, śmierć to też dama.

–Ja przyszedłem na spotkanie z panami. – Dickon postarał się włożyć w uśmiech możliwie dużo ironii. – Oczywiście, jeśli macie siebie za damy, to jestem gotów przeprosić. Co do śmierci, to nie wiem, komu będzie dziś sprzyjać.

–Oczywiste, że nam – zauważył Esteban. – Śmierć to jedyna kobieta, na przyjaźń, której może liczyć przyjaciel mężczyzny.

Jedyną godną na to odpowiedzią była obnażona szpada. Krew uderzyła do głowy, wypchnąwszy z niej strach i wątpliwości. Zaatakował dość udanie, ale Esteban bez trudu sparował pchnięcie w pierś. Dickon musiał cofnąć się i odwrócić, by parować uderzenia dwóch dołączających do walki „gnojarzy”. Pozostali na razie czekali.

Szpady zetknęły się z brzękiem i w tym momencie na scenie pojawiła się nowa persona. Nigdy jeszcze Richarda Ockdella nie ucieszył tak widok swojego era. Roke Alva zeskoczył z wierzchowca i z leniwym zaciekawieniem rozejrzał się po otoczeniu.

–Wspaniale! – Piękne usta poruszył ten właśnie uśmiech, który Dickon usiłował zaprezentować kilka minut temu. – Siedmiu. Jaka nieostrożność, dlaczego jest was tak mało?

Esteban i jego koledzy milczeli, a Richard poczuł niewyobrażalną ulgę. Nikt nie zginie, będzie żył, Ukarze się ich, na pewno, ale to można przetrzymać. W końcu giermkowie nie mogą przeczyć marszałkowi – z Krukiem żarty się nie oplacają...

–Dziwne, że stanęliście twarzą w twarz. – W leniwie cedzonych słowach rozbrzmiewało zdziwienie. – Takie ustawienie jest charakterystyczne dla pojedynku, a nie dla zabójstwa.

–To był pojedynek – wykrztusił Esteban.

–Pozwoli pan, że nie uwierzę. Często walczyłem w pojedynkach i zabijano mnie z pięć razy. To, co tu zastałem, przypomina właśnie zabójstwo. Richardzie, co tu się szykowało?

–Pojedynek! – Na Pociętego Smoka, dlaczego tak zachrypł?!

–Jakże odstałem od życia – poskarżył się Alva. – Siedmiu na jednego teraz nazywa się pojedykiem. Richardzie, jakim to sposobem uraził pan tych czcigodnych szlachciców, że uznali za słuszne wyzwać pana na pojedynek?

–To on nas wyzwał – pośpiesznie rzucił Seweryn.

–Siedmiu? – Alva gwizdnął. – Proszę przyjąć moje gratulacje, Ockdell. Pan niewątpliwie czyni postępy. Czwooro kiedyś wyzwałem, zgoda, ale siedmiu to nowa jakość w życiu naszej wspaniałej arystokracji. No i kimże ona jest?

–Ona?

–Ta dama, z powodu, której walczycie? Coś nie mogę sobie przypomnieć w tym królestwie ani jednej ślicznotki godnej takiego pobojowiska.

Przekłęta twarz, dlaczego tak plonie?!

–My... nie bijemy się z powodu kobiety. Uszczerbek... uszczerbek naniesiono mojej czci.

–Oskarżono pana o nieuczciwą grę?

–Nie! – krzyknął Ockdell. – To... Nie mogę powiedzieć... Erze marszałku, naprawdę nie mogę.

–Cóż, będę musiał uwierzyć na słowo, że naprawdę pana śmiertelnie obrażono, ale dlaczego bez sekundanta? Skoro pański kuzyn jest takim przeciwnikiem pojedyneków, to mógłby wysłać liścik do młodego Pridda.

–Zgodziłem się na takie warunki. – Czyli to Reginald! Jednak go zdradził. To... To jest podłość, ale ta podłość go uratowała. Tylko dlaczego Roke, a nie conseiller?

–A pomyślał pan, w jakim fatalnym świetle stawia pan swoich przeciwników? – zainteresował się Alva. – Jeśli pan zginie, nie będą mogli udowodnić, że to był pojedynek, a nie zabójstwo. Słyszał pan, że uczestnik pojedyunku może zaprosić na sekundanta dowolnego szlachcica, nie podając mu powodu pojedyunku?

–Nie pomyślałem o tym.

–A o tym, że każdy szlachcic, stając się świadkiem nierównej walki, zobowiązany jest poprzeć słabszego, też pan zapomniał?

–Er Roke...

–Dobra, młodzieńcze – mruknął marszałek, zrzucając pelerynę i kolet. – Następnym razem będzie pan mądrzejszy. Cóż, jak walka, to walka. Do dzieła, panowie!

–Erze marszałku!

–Spokojnie, młody panie. My jesteśmy stroną obrażoną, czyż nie tak, Estebanie? I mamy prawo stanąć plecami do słońca, ale z tego prawa nie skorzystamy. Zresztą słońca i tak nie ma.

–Panie?

–Gotowi, panowie?

Niebieskie oczy już się nie uśmiechały.

To, co się wydarzyło potem, wyglądało nie jak pojedynek, a jak wizyta lisa w kurniku. Dick zdążył zrobić nie więcej niż pięć wypadów i wszystko było skończone. Kruk rozrzucił przeciwników w kilka minut. Ci, co nie domyślili się rzucić od razu broni, otrzymali rany, niezbyt głębokie, ale poniżające, a Esteban zginął od cięcia w szyję. Kruk obrzucił oszołomionych i zmiażdżonych młodzieńców ciężkim spojrzeniem i włożył szpadę do pochwy.

–Nie zatrzymuję panów. Proszę złożyć wyrazy szacunku hrabiemu Kileanowi. Mam nadzieję, że latem wybierze sobie godniejszego giermka. Proszę nie zapomnieć przysłać kogoś po ciało. – Roke wskoczył na siodło i podał Diakonowi rękę w czarnej rękawiczce: – Wskakuj, Ockdell, jesteś mi potrzebny.

Opieranie się Krukowi na oczach „gnojarzy” było głupie. Richard, starając się zachować beznamiętne oblicze, usiadł za plecami marszałka. Roke puścił Moro kłusem i brukowany spękanymi szarymi płytami placyk z trupem został z tyłu. Richard milczał, póki mogli być usłyszani, ale gdy tylko kopyta zastukały na bruku, wypalił:

–Nie prosiłem o pomoc!

–Czy mi się wydaje, czy jesteś arogancki, młodzieńcze? – nie odwracając się, rzucił Alva. – Zazwyczaj bawią mnie plotki o moich wadach i haniebnych czynach, ale zbliżenie z własnym giermkiem? Wypraszam sobie!

–Ale i tak... – nie mógł powstrzymać się Richard. – Powiedziałem, że będę sam, i powinienem był być sam. Honor wymaga, żeby...

–Akurat – przerwał mu Roke. – Ludzie Honoru nie pakują się w nierówne bójkę. Załatwiają to przy pomocy pary kuszników na dachu.

Marszałek ponaglił Moro, ten przeszedł w galop i rozmowa została przerwana. Dick rozumiał, że postępuje głupio. Kruk lubił się z nim drażnić, conseiller ma rację – jest dla marszałka zabawką, wilczkiem na smyczy. Trzeba to ścierpieć i czekać, kiedy nadejdzie wolność, ale cierpliwość nigdy nie należała do cnót Ockdellów. Dickonowi wystarczyło cierpliwości, by milczeć tylko do willi Alvy, ale znalazłszy się na twardym gruncie, nie wytrzymał:

–Pozbawił mnie pan możliwości obrony swojego honoru!

–Naprawdę sądzi pan, że temu służą pojedynki? – Szafirowe oczy wpiły się w młodzieńca z leniwym zaciekawieniem. – Ciekawe... Ja, jak wiadomo, nie mam honoru i nigdy go nie miałem, ale hurtowo i detalicznie wykończyłem w pojedynkach całe stado najszlachetniejszej arystokracji. Czy to mi zwróciło honor? Wiadomo, że nie... A moje rywalczyki potraciły żywoty, tyle, że honor został z nimi!

–Pan...

–Jestem – na razie – twoim erem, tak więc bądź łaskaw przyjąć moją pelerynę i kapelusz!

–To się kiedyś skończy!

–Kiedyś wszystko się kończy – skinął głową Roke. – I to nie może nie cieszyć.

–Er Roke, kiedy uwolnię się od pańskiej opieki, zażądam satysfakcji!

–Dobrze zrozumiałem – spytał księżę, poprawiając kołnierz – że to wyzwanie?

–Tak!

–Cóż – wzruszył ramionami marszałek. – W takim przypadku przyjdzie panu pożegnać się z miłym przyzwyczajeniem pętania się wieczorami z kuzynem po tawernach i wysypiania się rano. Jutro o siódmej czekam na pana na podwórzu.

–Może pan być spokojny, będę!

–Młodzieńcze – księżę uśmiechnął się tym zniechęconym przez Dickona uśmiechem – coś się panu myli. Ja się nie odżywiam dziećmi i nie ganiam za jeleniami i łaniami. Jeśli polować, to na dzika. Kto uczył pana trzymać szpadę? Nie mam na myśli Aramony, bo to nie szermierz, ale małpa.

–Kapitan Rut.

–Stary, wierny sługa...

–On nie jest sługą, tylko przyjacielem! – Po co to mówi? – Uczył mojego ojca...

–To smutne... Pański ojciec był uczciwym człowiekiem, do takiego stopnia uczciwym, że nie od razu zgodził się nasłać na mnie zabójców, ale władał szpadą najwyżej średnio. Jeśli chce pan za trzy lata pograć ze mną jak równy z równym, potrzebuje pan innego nauczyciela. Nieszczęście polega na tym, że ze znanych mi szermierzy żaden się nie nadaje, tak więc przyjdzie mi uczyć pana samemu.

–Er Roke...

–To polecenie, młodzieńcze. Jutro o siódmej, i tak codziennie.

Z konieczności odpowiadania zwolnił Dicka wspaniały jegomość, który zwrócił uwagę na dom księcia Alvy. Jegomość był bardziej niż skromnego wzrostu, ale godność, z jaką się trzymał, sprawiała, że wyglądał na znacznie wyższego. Twarz, obramowana starannie ułożonymi i wypomadowanymi lokami, wydała się Richardowi znajoma, ale gdzie i kiedy widział tego człowieka, Dick nie pamiętał.

Jegomość tymczasem zauważył Kruka i uśmiech rozjarzył jego oblicze. Drobnymi kroczkami, w pantoflach z ogromnymi sprzączkami, przeciął brukowany morskimi kamieniami dziedziniec i zdjęwszy kapelusz z ogromnym żółtym piórem, zamiótł nim kamienie przy marszałkowych butach.

–Monsignore – głos jegomościa dorównywał wspaniałością jego ogólnemu wyglądowi – proszę wybaczyć mi bezczelność, z jaką nachodzę pańskie domostwo. Nie mając nadziei, że mnie pan pamięta, śpieszę nazwać swoje skromne imię. Jestem baron Kapul-Gizajl.

–Małżonek wspaniałej Marianny-Josephiny? – uniósł brew Roke. – Cóż, baronie, proszę wejść. Proszę wybaczyć mi mój wygląd, ale właśnie wróciliśmy z moim giermkiem, hm... z porannej przejażdżki.

Kocia uprzejmość Kruka wywołała w Richardzie strach, żeby nie rzec przerażenie. Ręce księcia Alvy unurzane były po łokcie we krwi, ale on śmiał się i pił wino, a Richarda trzęsło i na wspomnienie trupa na zalanych krwią kamieniach do gardła napływały torsje. Wszystko skończyło się szczęśliwie, nadal żył, a Esteban umarł. Śmierć byłego wroga nie była pierwszą za pamięci Dickona Ockdella, ale nigdy jeszcze nie zabijano człowieka na jego oczach. Młodzieniec pragnął udać się do swojego pokoju, zamknąć się w nim, ale musiał przebrać się w niebieskie i czarne kolory, stać za fotelem era, nalewać jemu i baronowi „Czarną Krew” i słuchać niekończącej się wymiany uprzejmości, przeplatanej rozmowami o pogodzie i zdrowiu ogromnej ilości znanych osób. To z trudem dałoby się wytrzymać w zwykły dzień, a dziś...

Czerwone plamy na szarych, wyszczerbionych płytach, obojętne spojrzenie zabójcy, pobladłe z przerażenia twarze niedawnych wrogów... Kruk uratował go od niechybnej śmierci i podeptał przy tym wszystko, co dotyczyło „spraw honorowych”. Pojedyńki są niesprawiedliwe! W nich wszystko zależy od sprawności walczących, a nie od ich racji! Kruk wykończył Estebana dokładnie tak, jak Egmonta Ockdella. I to, i tamto było pojedyńkiem wedle wszelkich reguł, i jednocześnie i to, i tamto było zabójstwem. Ale przecież Esteban i jego koledzy też zamierzali zabić. Właśnie zabić! Teraz już Dick w to nie wątpił, a czego chciał Kruk – uratować giermka, czy wykończyć młodego Colignara? Czy za coś nienawidził Estebana, czy tylko chodzi o Kileana-ur-Lombacha, którego giermkim był Esteban? Na myśl o hrabim Dick znowu poczuł ukłucie sumienia. Biedny Ludwig, kocha Mariannę, a jego nikt nie kocha...

–Nie chcę nadużywać pańskiej uwagi – wyrzekł od dawna oczekiwane słowa Kapul-Gizajl. Dick z trudem powstrzymał westchnienie ulgi, jak się okazało – przedwczesnej, albowiem nie ma narodu, który nie ułożyłby przysłowia o tym, o ile stojący gość jest gorszy od siedzącego.

–Drogi książę – tokował baron – nie wyobraża pan sobie, jak ja i moja małżonka jesteśmy zrozpaczeni, że nie śpieszy pan spełnić swojej obietnicy. Pan obiecał uszczęśliwić nasz dom, ale nie przybył pan, i oto dziś zaryzykowałem...

–Ma pan całkowitą rację – Richard nie widział twarzy Roke, ale gotów był przysiąc, że Kruk naprawdę jest zadowolony z wizyty Niziołka w loczkach – zachowałem się nieprzyzwoicie. Jeśli znajdzie pan kilka minut, napiszę do baronowej liścik i wybłagam u niej przebaczenie za nieodpowiednie zachowanie.

Czasu przemiły baron miał sporo, ochoczo zwałił się z powrotem w fotel i sięgnął po wino, a Kruk usiadł przy biurku i przysunął do siebie gagatowy kałamarz. Z listem, należy przyznać, uwinął się błyskawicznie.

–Richardzie!

–Tak, monsignore.

–Jedź z baronem, przekaż ten list pani baronowej i przywieź odpowiedź. Tylko postaraj się tym razem uniknąć przynajmniej przelewu krwi. – Roke przetarł oczy od nasady nosa do skroni. – Chyba w najbliższym czasie nie uda ci się powtórzyć porannego wyczynu.

–A co zrobił ten czcigodny młody człowiek?

–To, co robią wszyscy czcigodni młodzi ludzie – błysnął zębami Alva. – Wdał się w walkę z równie czcigodnymi młodymi ludźmi. Richardzie, zabierz list i oddaj się na rozkazy barona i baronowej.

Dick ponuro zerknął na Kapul-Gizajla. Najmniej ze wszystkiego chciało mu się teraz jechać do willi Marianny, gdzie niewątpliwie rozmowy będą dotyczyły gry. Baron znowu się podniósł i Richardowi nie pozostało nic innego, jak wyruszyć razem z nim. Kapul-Gizajl sięgał Dickowi do ramienia, ale nie przeszkadzało mu to zwracać się do młodzieńca protekcyjnym tonem; dobrze, że Dick nie musiał podtrzymywać rozmowy – małżonek Marianny perorował za dwóch. Okazało się, że zajmował się tresurą żółtych moryjskich wróbli i uważał je za najdoskonalsze stworzenia na ziemi.

–Nie uwierzy pan, kochany Richardzie – baron szczebiotał nie gorzej od swoich moryskilli – te malutkie psotniki posiadają doskonały słuch muzyczny i nieprawdopodobny dar naśladownictwa. Oczywiście nie kopiują, na podobieństwo papug czy szpaków, wulgarnych ludzkich słów, ale pieśń dowolnego śpiewającego ptaka, proszę zauważyć, dowolnego, odtworzą z niezwykłą łatwością. Uczę je śpiewać razem z moimi lutnistami i harfiarzami i osiągnąłem niezwykle wyniki. Więcej – moje moryskille śpiewają w nocy, przy świecach, a uważano, że jest to niemożliwe...

Kapul-Gizajl paplał, a Dick myślał o Mariannie i Kileanie-ur-Lombachu. Roke drwił z uczuć hrabiego, ale może wszystko da się jeszcze naprawić, jeśli uda się porozmawiać z Marianną? Ona nie powinna się bać Ludwiga, trzeba jej opowiedzieć, jakim jest w rzeczywistości wspaniałym człowiekiem. Er August ma rację – kobiety, poza Katariną, nie są zbyt mądre, one łakną urody i bogactwa, a nie serca, ale może...

Richard Ockdell nie miał ochoty wspominać porannego pojedynku, zaczął więc przygotowywać w myślach przemowę, z jaką zwróci się do Marianny, jeśli uda mu się porozmawiać z nią na osobności. To było łatwiejsze niż list do królowej i kiedy przed młodzieńcem i baronem otwarto drzwi willi Kapul-Gizajli, Richard wiedział już, co powie.

Baronowa pojawiła się, szeleszcząc pomarańczowymi jedwabiami. Piękność otulała obłok niepokojącego aromatu, ogromne czarne oczy lśniły, jaskrawopurpurowe usteczka uśmiechały się, była olśniewająca, ale i tak niewarta nawet rękawiczki z ręki Katariny Arigau.

Richard z ukłonem przekazał kobiecie list zapieczętowany niebieskim woskiem z odcisniętym na nim krukiem. Marianna złamała pieczęć, przeleciała wzrokiem tekst i podała list mężowi.

–Proszę przeczytać, panie.

Ten przeczytał i uśmiechnął się.

–Jaki miły człowiek, nieprawdaż, kochanie?

–O tak. Richardzie, bo mogę wszak tak pana nazywać? Pan Pierwszy Marszałek oczekuje odpowiedzi na swój list i zapewnia, że pan mu ją dostarczy, ale muszę trochę pomyśleć, a na razie, jeśli nie ma pan nic przeciwko, zjemy obiad.

Pod dach Alvy Richard Ockdell wrócił dopiero następnego wieczora, i to wrócił jako inny zupełnie człowiek; świat też stał się inny – bardziej jaskrawy, niebezpieczny i zrozumiały. Baronowa została w swojej willi, nic nie obiecała, niczego nie proponowała i nawet nie wyszła, by go odprowadzić, zrobił to przepelniony przyjaznymi uczuciami baron. Kapul-Gizajl zapraszał, by bywać u nich często, i błagał, by wysłuchać śpiewu jego ptaszków. Potem były różnokolorowe zatłoczone ulice, dźwięk dzwonów, willa z Krukiem na frontonie, niezadowolone oblicze Juana. Ten wydawał się jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj, ale Richard miał w nosie humory Kenallijczyka. Przez całą drogę z domu Marianny do willi Alvy zastanawiał się, jak wytłumaczyć mu, gdzie siedział przez dwa dni, ale Roke gdzieś wyjechał.

Starannie wymyślane kłamstwo okazało się niepotrzebne – nikt go nie szukał, nikt o niego nie pytał. Richard Ockdell mógł zniknąć nie na dwa dni, a na zawsze i nikt by tego nie zauważył. Ani Nal, ani er August, ani marszałek nie pamiętali o nim, a Katarina... Po tym, co się wydarzyło, nie ma prawa nawet myśleć o królowej. Teraz Dick sam nie rozumiał, jak mógł zapomnieć o honorze, obowiązku, miłości, służbie i pozostać z kobietą, która go w ogóle nie obchodziła.

Minione wydarzenia wydawały się snem, w którym błoto mieszało się z nieznanymi dotąd uczuciami, duma z poniżeniem, a prawda z wymysłem. Z przesłaniającej dwa dni złocistej mgiełki niewyraźnie wyłaniało się i znikало oblicze barona, odbijające światło świec oczy baronowej, szczebiot moryskilli, miotające się cienie i przesłaniający wszystko strach, zmieniający się w cud lotu.

To było zaskakujące, jak upadek z urwiska; Richard nigdy nie myślał o Mariannie, niemal nie myślał, chociaż wiedział, kim jest. Wiedział, ale nie wyobrażał sobie, choć w „okólniku” dużo mówiono o takich kobietach, zwłaszcza Esteban, który przechwalał się swoim doświadczeniem. „Gnojarz”, zachłystując się, opowiadał o Mariannie Kapul-Gizajl, wyjaśniając pozostałym, jaka to „droga zabawka”, z powodu, której dochodzi do tarć między najznakomitszymi ludźmi królestwa. Dick nie zapomniał szkolarskiego gadania, ale kiedy po raz pierwszy zobaczył baronową, kompletnie je zlekceważył. Czarnowłosa piękność, z jej pomarańczowymi jedwabiami, karminowymi ustami, wspaniałym biustem, niskim, podniecającym śmiechem była obca, nieodgadniona i nieprzyjemna. Może dlatego, że młodzieniec był wtedy owładnięty myślami o przegranej. Święty Alanie, nie myślał o Mariannie również rano, kiedy znalazł się w jej willi w dniu pojedynku.

Jedyne, co chciał, to opowiedzieć baronowej o miłości Kileana, wziąć list i wrócić z nim do swojego era.

Marianna wysłuchiwała go, nie przerywając, a potem opadła na poduszki i roześmiała

się. Należało uklonić się i wyjść, ale Dick nie wyszedł, a w najgłupszy z możliwych sposób wpił się wzrokiem w wykończony koronkami dekolt, do którego przypięta została herbaciana róża. To, co zobaczył, jednocześnie przyciągało i odpychało. Marianna przechwyciła jego spojrzenie, potem oblizwała wargi, kazała nalać sobie wina i usiąść obok... Usiadł, nic nie rozumiejąc i jednocześnie oczekując czegoś nieprawdopodobnego.

Jak i co wydarzyło się potem, Richard nie mógł sobie przypomnieć – porwany w jakiś jaskrawy, migoczący, pijany wir, wściekle pędzący z góry. Kiedy doszedł do siebie, usiłował uciec, ale nie wypuszczono go. A potem była noc, duszny mrok za oknami, płomień świecy, złote ptaki na suficie, zapach róż i wina, dziwne słowa, śmiech, jęki, splątane włosy. Rano znowu nie pozwolono mu odejść, a on, szczerze mówiąc, nie za bardzo rwał się do wyjścia. Marianna lubiła jeść śniadanie w łóżku, więc tam zjedli śniadanie, chociaż Dick czuł się skrępowany na widok służących z tacami.

Ktoś przysłał baronowej dwa kosze róż, tym razem purpurowych – szybko napisała liścik, camerista wzięła go, a baronowa ze śmiechem powiedziała Dickowi, że jej nie ma i nie będzie do jutra. Zaczął jej coś tłumaczyć, coś o swoim erze, Marianna pogłaskała pieska, który wskoczył na łóżko i zapytała, kiedy księżę Ockdell nie kłamie – kiedy mówi, że musi do domu, czy kiedy skarży się, że nikt na niego nie czeka. Richard patrzył na śmiejącą się kobietę, kobietę, która kosztowała wiele tysięcy tallów, a ta niespodziewanie przygryzła wargę i odtrąciła talerz z czereśniami, które rozsypały się po wspaniałym dywanie. Czereśnie zbierali potem razem i nawet zebrali, ale z dywanu nie udało im się wstać. Znowu powiedział, że na niego czas, ale Marianna uważała słowa za zbędne, wiedziała, czego chce, i on chciał tego samego... Dickon rozumiał, że powinien jak najszybciej zapomnieć o tym, co się wydarzyło, i przypomnieć sobie o Taligoi. U Marianny nie ma co robić. Nie ma! Jego życie to sprawa Rakanów, a jego serce należy do Katariny Arigau.

Młodzieniec wszedł po schodach do siebie, postać chwilę na środku pokoju, zdecydował, że poszuka sobie jakiejś książki, westchnął i skierował się do biblioteki, ale los przygotował mu inną rozrywkę. Kiedy Richard wszedł na drugie piętro, dało się słyszeć dzwonięcie przechodzące w szybką melodię, do której dołączył głos. Do Nadoru często trafiali minstrele, a w Ollarii Dick słuchał nadwornych muzyków, ale to było coś innego. Nic nieprzypominająca, zuchwała, żeby nie powiedzieć barbarzyńska piosenka została zastąpiona inną, nie mniej dziwną. Dickon trochę grał na lutni i gotów był przysiąc, że nigdy nie słyszał rozbrzmiewającego w domu instrumentu.

Kimkolwiek był grający, grał wyśmienicie, i śpiewał też, choć rwący duszę motyw w niczym nie przypominał poważnych starych ballad ani wykwinnych modnych piosenek, które tak lubili Esteban i jego kompania. Richard ostrożnie ruszył, kierując się na dźwięk. W tej części domu jeszcze nie był, ale zabłądzić raczej nie mógł.

Piosenka skończyła się, coś zabrzęczało, zaszeleściło, znowu brzęknęło i struny rozbrzmiały ponownie, kształtując znowu ten sam wściekły rytm. Muzyka dobiegała z oświetlonego tylko przez blask z kominka pokoju, do którego drzwi były uchylone. Dickon przestąpił próg i zobaczył swojego księcia.

Roke w czarnej, rozpiętej koszuli siedział przy kominku, obejmując jakiś dziwny instrument, a odbłaski płomieni płały po polerowanym drewnie. Przed księciem stał kielich, na dywanie wały się puste butelki. Juan kłamał, Alva nigdzie nie wyjechał, po prostu był pijany.

Dickon poruszał się bardzo cicho, ale księżę miał słuch kota – błyskawicznie uniósł głowę.

–Wchodź i siadaj.

Nie można powiedzieć, by Dickon chciał zostać sam na sam z marszałkiem, ale nie można było nie posłuchać i młodzieniec karnie przysiadł na jednym z obciążniętych skórą krzesel przy wejściu.

–Nie tam, chodź do ognia i nalej sobie, i mnie przy okazji.

Dick postłusznie nalał do dwóch kielichów. Marszałek skinął głową, ale nie pił, znowu pochylił się nad instrumentem i zaśpiewał w nieznanym Richardowi języku, dźwięcznym i dumnym. Niezrozumiała i jednocześnie trafiająca w samą duszę pieśń wciągała niczym wir, potem księżę przycisnął palcami struny i powiedział:

–Pij!

Dickon wypił, chociaż mateczka i Ivon uważali pijaństwo za jedną z najgorszych wad. Wino miało wyczuwalną goryczkę i było bardzo ciemne, jeszcze ciemniejsze niż „Czarna Krew”, ale Rakan osuszył kielich i posłuszny kolejnemu rozkazowi nalał znowu. Roke Alva pił i śpiewał, Richard Ockdell pił i słuchał. Już nie chciał odejść, zrobiło się ciepło i przytulnie, tylko ciemny, oświecony purpurowymi błyskami pokój zaczął wolno wirować. Dickon już nie nalewał ani sobie, ani księciu, ale wino w kielichu jakimś sposobem nie kończyło się, a potem skądś pojawił się nieznajomy człowiek z królewskim herbem na ramieniu i muzyka umilkła.

–Panie Pierwszy Marszałku! – posłaniec był wyraźnie oszołomiony. – Pan powinien być u Jego Wysokości.

–Nic nikomu nie jestem winien. – Roke odłożył instrument i wziął do ręki kielich. Wypił dużo, ale patrzył twardo i rozumnie. – Dzisiaj mam kaprys siedzieć przy kominku i pić „Złą Krew”. I będę siedział przy kominku.

–Jego Wysokość...

–W pałacu jest cała armia dworaków. Uważam, że są w stanie zająć czymś jednego monarchę. Proszę wracać i przekazać, że marszałek Roke jest pijany i proponuje, by wszyscy udali się do kotów i tak dalej.

–Ale, książę, ja nie mogę...

–No to proszę przekazać coś kurtuazyjnego. Chce pan wina?

–Nie...

–Kłamie pan. Chce pan, ale się boi... Dobra, proszę iść. – Roke odwrócił się do Richarda. – Może to pan uznać za lekcję, Dickonie. Nigdy nie należy pędzić na wezwanie, nawet do monarchów. Władców, kobiety i psy należy traktować surowo, bo w przeciwnym razie bezczelnieją. Zapewniam cię, że nie ma nic gorszego od bezczelnego króla...

–Ludzie Honoru służą swojej Ości... Ojczyźnie i swojemu królowi – płaczącym się językiem wymamrotał Richard.

–Ale cię sieknęło – westchnął Roke, dotykając po kolei strun. – Szczęśliwy ten, co po pijanemu krzyczy o nieszczęściach Ojczyzny...

Wiatr...

Wściekłość błyskawic, trwałość skał

Wiatr...

Krzyki mew, pianisty wał

Wiatr...

Czterech Jeden wezwał

Wiatr...

Skały...

Lód i Popiół, z gór lawina.

Skały...

Mgnienie – Wieczność, sztil i szkwał

Skały...

Czterech Jeden wezwał

Skąły...

–Skąd pan to zna?! – niemal krzyknął Richard, przysuwając do siebie kielich.

–Ja, przy całej swej podłości, z urodzenia jestem Człowiekiem Honoru – roześmiał się Alva. – Nic na to nie poradzę. Potrzebuję tego jak Moro piątej nogi, ale jestem Władcą Wiatrów, synem Wschodu i Południa i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej... Po prostu wszyscy o tym zapomnieli... Pan, ponieważ dla pana hańbą jest bycie w jednym zaprzęgu z potomkiem zdrajcy, a ja, ponieważ mdli mnie od taligojskiej tępoty.

–Pan... pan...

–Już się dogadaliśmy, młodzieńcze – skrzywił się Roke. – Naucz się trzymać szpadę, a otrzymasz satysfakcję. Zabić cię teraz – to nieprzyzwoitość... Poza tym pożera mnie ciekawość, czy można nauczyć Ockdella bić się jak Alva... Jeśli mi się uda, zabiorę się za Moro.

–Za Moro?

–Właśnie. Nauczę go grać na gitarze. To, na co pan wytrzeszcza gały przez cały wieczór, nazywa się gitarą. Wymyślili ją moi przodkowie Moriskowie i ma ona więcej duszy niż wszystkie lutnie i mandole świata. – Kruk roześmiał się i zagrał kilka akordów. – My, hołota, czasem bywamy sentymentalni, a czasem – weseli. Ludzie szlachetni są zawsze obrzydliwie poważni. Moja rada dla pana, Richardzie Ockdellu – mocne palce znowu przebiegły po strunach – jeśli nie chce pan zdechnąć z nudów, niech się pan trzyma z daleka od nadętych pawi typu Pridd czy Stancler.

–To jest urraz... ubraza – niepewnie powiedział Dickon.

–Tak? – Alva odłożył gitarę i nalał sobie wina. – Ufa pan conseillerowi, młodzieńcze?

–Oczywiście. – Dickon postanowił wstać i odejść. Wstać mu się udało, ale od razu się zachwiał i niezgrabnie opadł z powrotem na fotel.

–Za dużo pan wypił – skrzywił się marszałek – więc proszę spokojnie siedzieć. Nie chcę wiedzieć, co pan jadł na kolację, a jak zacznie się pan miotać – wyróci pana na nice. Ale wróćmy do pańskiego conseillera. On wie, co o nim sędzę, ale się nie odzywa. Pan też milczy. Bo inaczej pańskiego kochanego Stanclera przyjdzie uznać za tchórze przelękającego obrazę. Zresztą tchórzem to on i tak jest...

–Er Auugusst nie jest tórzem... tchórzem!

–Jest tchórzem! – odciął się Alva. – W przeciwieństwie do pańskiego ojca. Właśnie dlatego Egmont nie żyje, a August przeżyje nas wszystkich.

–Jak pan ś-śmie mówić o moim... oj... ojcu... Pa... pan...

–Śmiem, co chcę, młodzieńcze. I będę śmiał. Nie potrzebuję niczyjej łaski – ani Stwórcy, ani ludzi, jeśli uznać, że ludzie są do niej zdolni. Ale i ode mnie proszę jej nie oczekiwać.

–Ja nie ocz... oczekuję – obruszył się Dickon.

–Pewnie, pochłania ją pan z zaskoczenia. Był pan, Ockdell, rad, kiedy raz po razie odpędzałem od pana wilka. Rad i szczęśliwy. I słusznie – nie ma nic głupszego od śmierci w wieku siedemnastu lat z powodu idiotycznych fanaberii. Życie jest jedno, młodzieńcze, i należy je przeżyć do końca. Głupio samemu skracać to, co z zachwytem skrócą inni. Po jakiego smoka pan, ciągle nic nie rozumiejąc, pakuje się we wszystkie te spory i awantury? Co pana tak ciągnie jak pszczoły do miodu?

–Pa... pan nie zry... zrozumie...

–Wspaniały dowód! Lepiej wygląda tylko dumne odejście, ale to się panu w tej chwili nie uda. – Marszałek znowu pochylił się nad gitarą. – Proszę uważać, Richardzie Ockdellu: Dobro ma znakomicie wyostrzone kły i wiele trucizny. Zło jest jakieś bardziej serdeczne... Pij, młodzieńcze. Rano i tak ci będzie niedobrze, więc przynajmniej wyciągnij, co się da z wieczora. A ja panu zaśpiewam o wiatrach dalekich...

Richard nawet nie zdążył się zdziwić. Roke Alva nie zamierzał mu śpiewać, po prostu tymi słowami zaczynała się piosenka, książę natomiast stracił całe zainteresowanie swoim giermkiem. Dopijając wino, Dickon patrzył na rzeźbiony profil swojego era, bardziej niż kiedykolwiek przypominającego Obcego. Młodzieniec był zbyt pijany, by się złościć, przez jakiś czas jeszcze rozumiał, gdzie i z kim przebywa, potem człowiek z gitarą zniknął, ustępując miejsca dziwnym lśniący korytarzom, w których pętała się wstrętna i obojętna śmierć.

Dickon biegł, szedł, pełzł, słysząc z tyłu miarowy stukot. Ktoś go wzywał – nie mógł zrozumieć kto. Ciało było niezręczne i ciężkie, każdy ruch przychodził z trudem, potem z tyłu rozległ się wrzask przerażenia, przechodzący w jęk i jakiś koszmarny chrzęst. Dickon odwrócił się i nic nie zobaczył – za nim był mur. Wiedział, że jest uratowany, ale zamiast radości odczuwał palący wstyd, jakby popełnił jakiś niehonorowy czyn. Wszystko było złe, póki nie pojawiła się Katari. Królowa uśmiechała się czule i nie wiadomo dlaczego miała na sobie tę samą pomarańczową sukienkę, jaką miała na sobie pamiętnego wieczora Marianna, a na ręku płonął brylant Kileanów.

–Jeśli wiesz, że rano będzie źle, weź co się da z nocy – roześmiała się Katarina, rozsznurowując gorset.

Dickon rzucił się do niej, depcząc rozsypane po podłodze hiacynty. Przekleństwo, co to za stuk?!

–Panie...

Obcy i jego koty! Kto tu jest?

–Panie, tu jest woda do umycia się, a tu wywar goryszu...

Dickon z trudem rozkleił powieki i odkrył, że znajduje się w swoim łóżku. Jak doń dotarł, pozostawało zagadką, ale dotarł i nawet się rozebrał. Wykonawszy jeszcze jeden wysiłek, młodzieniec podniósł głowę i napotkał niezbyt życzliwe spojrzenie Juana trzymającego tacę. Wcześniej Kenallijczyk nie wysiłał się tak dla Dicka. Ten z miną męczennika wyciągnął rękę i wziął ciężki kubek. Gorysz rzeczywiście był gorzki, ale nie dało się oderwać od tego niezwykłego napoju. W głowie nieco się przejaśniło, młodzian wymamrotał:

–Er marszałek...

–Wyjechał.

Juan odsunął zasłony, wpuszczając popołudniowe słońce. Któraż to może być godzina?

–Piąta po południu, panie – oświadczył Kenallijczyk. – Może to pana zainteresuje – zaczęła się wojna.

Część trzecia

„Le Mat” [120]

Il n’y point d’accidents si malheureux dont les habiles gens ne tirent quelque avantage, ni de si heureux que les imprudents ne puissent tourner à leur préjudice. [121]

François de La Rochefoucauld

Rozdział 1

Ollaria

„Le Un des Épées” [122]

1

Quentin Dorac w paradnym stroju uroczyście przeszedł do kardynalskiego fotela, szykując się na wysłuchiwanie pustej paplaniny. Sala Triumfu, gdzie zasiadała Rada Miecza, słusznie uważana była za jedną z piękniejszych w Nowym Pałacu, ale kardynałowi było nie do brązu i marmuru – sytuacja była, delikatnie mówiąc, niezbyt prosta. Wiadomości z Warasty oznaczały jedno – wojnę. Najgorszy jej rodzaj, w którym wróg jest znany, jest wszędzie i przy tym nigdzie. Z armią, nawet przeważającą liczebnie, można sobie poradzić, zwłaszcza mając takich dowódców jak Roke i Warzow, ale jak sobie poradzić z oddziałami biriezyjskich narwańców? I co począć z wrogami, zajmującymi obite czarnym atłasem fotele Najlepszych Ludzi? Zlikwidować? Czy może jeszcze nie czas...

Na radę Pierwszy Marszałek Taligu raczył się pojawić, i wcale nie wyglądał na cierpiącego z powodu przepicia, chociaż jego wczorajszy postępek zadziwił nawet Stanclera. Można pogardzać królem, ale nie można mówić o tym posłańcom i służbie, nie mógł Alva tego nie rozumieć, właśnie, dlatego Sylwester uznał, że Kruk był śmiertelnie pijany. Kardynał z przyjemnością powiedziałby marszałkowi wszystko, co o nim sądzi, ale ograniczył się do pełnego rezerwy skinienia głową. Kenallijczyk w odpowiedzi ukłonił się, wytwornym gestem przytrzymałszy szpadę, usiadł między Priddem i Kileanem i coś wesoło powiedział do tego ostatniego. Ludwigiem wstrząsnął dreszcz. Roke był niepoprawny, ale teraz nie on był najważniejszy. Rozpoczętą wojnę Talig wygra albo przegra nie za pomocą stali, ale złota i inkaustu.

Zasyczał zegar, szykując się do wybicia godziny, z pierwszym uderzeniem otworzyły się ogromne drzwi z hebanu, zdobione pozłocenyymi nakładkami w kształcie zaostrzonych mieczy. Rozbrzmiały fanfary, do Sali Triumfu weszła królewska para i Najlepsi Ludzie wstali, witając Ich Wysokości.

Monarcha ubrał się na czarno i biało, królowa na biało i czarno, on wydawał się przejęty, ona wystraszona i zasmucona. Ciekawe, porozmawiała już z braćmi, czy jeszcze nie? Zresztą aktualnie kardynała bardziej zajmował Ollar. Sylwester przez dwadzieścia kilka lat oduczał Franciska państwowych nasiadówek i oduczył, ale wojna to wojna, a król jest królem, nawet, jeśli nie rządzi, a tylko wysiaduje na tronie. Według Kodeksu Franciska Jego Wysokość powinien prowadzić Radę Miecza i na jej zakończenie podpisać odpowiedni manifest.

Manifest był gotowy od wczoraj, każdy wers starannie przejrany, ale Dorac święcie przestrzegał form, wedle swojego uznania żonglując treścią. Ferdynand będzie musiał wysłuchać Najlepszych Ludzi i dopiero potem postawi pod dokumentem swój zawijas.

Wieczorem Jego Świątobliwość długo wyjaśniał Jego Wysokości, co, kiedy i jak ma mówić, a ten jakby to zapamiętał. Kardynał kolejny raz ze złośliwym zachwytem popatrzył na portret pierwszego z Ollarów, z łaski, którego kardynał Taligu na Radzie Mieczy musi milczeć. Maragończyk wychodził z założenia, że król jest wszystkim, kardynał – niczym, teraz te role się zmieniły, tak więc stary obyczaj trzeba będzie złamać. Oczywiście nie teraz, a po wojnie, kiedy wszystko się uspokoi.

Ferdynand podprowadził Katarinę do wysokiego fotela, poczekał aż usiądzie, ciężko opadł na fotel obok i z przydechem wypowiedział wyuczone słowa:

–Proszę siadać, panowie. Zebraliśmy Radę Miecza, żeby wysłuchać i przedyskutować nowiny z Warasty. Panie conseillerze, proszę zapoznać ze wszystkim, co panu wiadomo, Najlepszych Ludzi Taligu.

Stancler wystąpił przed Radę, na jego obliczu malowało się niezadowolenie, w rękę trzymał jakieś papiery. Wygląda nieciekawie nasz August, może wystarczy trochę poczekać i sam umrze? Ile ten stary cwaniak ma lat? Fok Warzow jest starszy od conseillera o rok czy dwa, ale marszałek to stalowa klinga, a Stancler – poduszka do igieł; inna sprawa, że nie bardzo było czym się napawać – wybierając się na Radę, Sylwester dobrze przyjrzał się własnemu odbiciu, usiłując przy pomocy aptekarskich sztuczek ukryć bladość i ciemne kręgi pod oczami. Trzeba więcej spać, pić mniej shaddi i zapomnieć o bzdurach typu zaginionego Aramony i oszalałego astrologa. Stanclera przeżyje, chociaż będzie to wymagało trochę wysiłku, ale najpierw doczekamy się wieści z Agarisu. Ciekawe, czy zmartwi się conseiller, dowiedziawszy się o śmierci Aldo Rakana, czy ucieszy? Raczej się ucieszy i postara przyciągnąć do siebie zwolenników wygnańca. I w tym momencie, jeśli się nie przegapi

odpowiedniego momentu, można ich capnąć wszystkich razem, raz na zawsze, a tymczasem niech sobie czyta te swoje papiery.

–Mój królu. – Proszę, jaki modelowany głos, z takim głosem mógłbyś być kaznodzieją, a nie bojownikiem o koronę! – Moja królowo, Wasza Świątobliwość, panowie. Otrzymaliśmy wielce niewesołe wieści z Warasty. Biriezyjscy wodzowie dokonali szeregu najazdów...

Co dokładnie zrobili Biriezyjczycy, Sylwester wiedział już przedwczoraj. Irbisy poczekały, aż spłynęły śniegi, i skoczyły. Pierwszej nocy zniszczono dwie wsie, drugiej – cztery, trzeciej – kolejne trzy. Biriezyjczycy pojawiali się znikąd, nie grabili, a tylko palili i mordowali. Słuchy o tym, co siwe dzikusy zrobiły sąsiadom, rozchodziły się z prędkością stepowego pożaru, wieśniacy porzucali domostwa i obsiane pola, mordowali bydło i uciekali. Gubernator Warasty donosił, że na jedną spaloną wieś już przychodzą trzy, jeśli nie pięć porzuconych, a to dopiero początek.

Tłumy wygłodzonych ludzi na drogach, strach, rozpacz, pretensje do władzy, która nie może obronić... Z tych nasion przed zimą wyrośnie niezły bunt. Oczywiście zostanie stłumiony, ale ile na to zmarnuje się sił i środków! Już teraz widać, że własnego ziarna nie wystarczy. Trzeba będzie za nie mocno przepłacać, przy tym nie przez rok czy przez dwa, ale przez co najmniej pięć.

Z biriezyjską zarazą można skończyć tylko jednym sposobem – zostawić Warastę i umocnić zachodni brzeg Rassanny, zmieniając wschodni w pustynię. Biriezyjczycy nie orzą i nie sieją, a tylko grabią, nie będą mogli nic zabrać ze zrujnowanej prowincji, a przez bystrą i zasobną w wodę rzekę się nie przeprawią, zwłaszcza, jeśli jej brzegi będą dobrze bronione. Między górami SAGRANNY i RASSANNĄ znowu powstaną dzikie ziemie, ale lepsze to niż przeciągające się walki, które pochłoną góry złota i tysiące żywotów. Kiedy zaczyna gnić palec, odcina się go, żeby uratować rękę, a kiedy zacznie gnić ręka, trzeba odciąć i ją, byle tylko uratować życie. Podatki oczywiście trzeba będzie podnieść. Ziarno to ziarno, armia armią, ale trzeba będzie też kanowi Holty zapłacić, niech Kulbabe nakarmi swoje konie w kageckich sadach, wtedy Biriezyjczycy będą musieli odwrócić się do Warasty plecami i ratować swojego Adgemara.

Stary lis bez wątpienia wie, co wyprawiają jego sojusznicy, problem tylko w tym, czy sam Adgemar spuścił ich z łańcucha, czy – oczywiście za jego zgodą – zrobił to koś inny.

Ktoś inny... Niewielki wybór. Drixen, Gaunau, Gaifa, Agaria. Inni po prostu nie mieli na to pieniędzy.

–Dowiedziawszy się o napadach, zechcieliśmy zobaczyć brata naszego, Adgemara Kageckiego – przerwał conseillerowi Ferdynand, którego nikt nie upoważniał do

zabierania głosu. Obowiązkiem monarchy było wysłuchać raportu i zaproponować, by przemawiali Najlepsi Ludzie.

Stancler skłonił się.

–Poseł królestwa Kagety, kazaron Burraz-lo-Wauchsar z rodu Gurpotaj, czeka za drzwiami. Z nim, zgodnie z prawem Złotego Traktatu,[\[123\] poseł imperium Gaify, konchesser\[124\] Markus Gambrin.](#)

–Chcemy z nimi porozmawiać. Niech wejdą.

Posel był piękny, dostojny – Kageci słusznie uważani byli za lud urodziwy. Obok postawnego Burraza przypominający marny grzybek Gaifianin wydawał się jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości, ale jego obecność była znacząca.

Gaifa była odwieczną rywalką Taligu. Po Wojnie Dwudziestoletniej, w której przodek Roke Alvy porządnie oskubał imperatorskiego pawia,[\[125\] Gaifa unikała bezpośrednich konfliktów, przedkładając nad aktywny udział wygrzebywanie żaru cudzymi rękami. Talig żył, walcząc jeśli nie na zachodzie, to na północy; teraz pożoga ogarnęła południową granicę i Sylwester wcale już nie wątpił, że dziękować za to należy Jego Wysokości Diwinowi Ósmemu.](#)

Konchesser Markus wykonał najgłębszy z możliwych ukłon i zajął miejsce na ławie poselskiej naprzeciwko Najlepszych Ludzi, wśród których (Sylwester w to nie wątpił) miał niemało sojuszników i donosicieli. Całym swoim wyglądem dyplomata prezentował neutralność i lekkie zatroskanie. Burraz-lo-Wauchsar trzymał się podobnie, ale Sylwester gotów był przysiąc, że Kaget czuje się kiepsko, mimo obecności Gaifianina. Nie tak łatwo przekonać pokąsanego sąsiada, że napadł nań nie twój pies, a cudza owca, ale kto ukąsił Ferdynanda – nie wiadomo. Król nie powinien był wspominać o Kagecie, a zaczął mówić, i to jak!

–Chcemy wiedzieć – Ollar zmierzył wezwanych ciężkim, prawdziwie królewskim spojrzeniem – czy nasz brat Adgemar wie o czynach swoich poddanych?

I tu popełnił błąd. Burraz i Markus to stare wygi. Zamiast odpowiadać sensownie, zaczęły tłumaczyć, że Biriezyjczycy nigdy nie byli niczymi poddanymi. Szczerze mówiąc, tak rzeczywiście jest, ale Jeanetta nie musi być żoną Jeana, by urodzić mu Jeanneau.

–Wasza Wysokość – kazaron długo żył w Ollarii i posługiwał się taligiem wyraźnie i prawidłowo – jestem przerażony potwornymi wyczynami biriezyjskich wodzów i dziękuję Stwórcy, że nie są poddanymi Kagety. Mój władca na pewno podziela smutek Taligu. Natychmiast pchnę do niego gońca, albowiem serce moje jest niespokojne. Wasza Wysokość, obawiam się, że tak Kageta, jak i Talig mogły zostać zaatakowane z gór.

Kaget łągał, ale nie można go było złapać na kłamstwie. Rozmowa z Burrazem doprowadzi tylko do jednego – Kageci, „obawiając się zagrożenia z gór”, zaczęły umacniać północnozachodnie rubieże. Przy pomocy „niczyich” Biriezyjczyków, rzecz jasna.

–Jesteśmy zdziwieni – przerwał wywód posła Ferdynand – że nasz brat Adgemar nie domyślił się zamiarów Biriezyjczyków, albowiem nawet nie dopuszczam do siebie

myśli, że przywódca przyjaznej nam Kagety nie poinformował nas o mających nastąpić napaściach, gdyby wiedzą o nich dysponował.

–Niewątpliwie, Jego Wysokość Adgemar napisałby do swojego brata – zapewnił go Kaget. – Ale biriezyjskie plemiona nie są jedną całością i nie mają jednego przywódcy. Mój kazar przyjął niektórych do służby, to prawda. Jesteśmy narodem spokojnym, ale zagrażają nam holtyjscy barbarzyńcy i musimy utrzymywać biriezyjską drużynę. Przez ostatnie trzysta lat na ziemiach Kagety powstało kilka biriezyjskich osad, w których mieszkają rodziny wojowników znajdujących się na służbie kazarki, ale większość Biriezyjczyków nadal żyje w górach wedle swoich starych praw. Ci, co wstąpili na służbę Kagety, nie mogą wiedzieć, co zamyślają i czynią ich dzicy współplemieńcy. Biriezyjczycy są wolnym narodem, jak wolne są narody górnej SAGRANNY. Nie mamy prawa wtrącać się do ich spraw.

A tu kazaron nawet nie musiał kłamać. Zgodnie z jednym z artykułów Złotego Traktatu, ani jedno z podpisujących go państw nie pretendowało do gór SAGRANNY i nie mogło samodzielnie wprowadzić tam wojsk.

–Niech mi wybaczy Jego Wysokość. – Grzybek z Gaify wstał ze swojego miejsca. – Wedle Złotego Prawa, proszę o głos.

Ferdynand milczał, Markus uznał to za przyzwolenie.

–Niestety – konchesser wyglądał na szczerze zasmuconego – mieszkańcy gór nie wierzą w Stwórcę, ich obyczaje zabraniają wybaczenia krzywd, nieważne jak dawno były wyrządzone. W swoim czasie taligojscy osadnicy wyparli Biriezyjczyków z ich rodzinnych ziem w góry i wcale nie wszyscy znaleźli schronienie w Kagecie. Potomkowie wygnańców mogli uznać, że nadszedł czas zemsty. Kto wie, skąd oni przybyli. Więcej, nie możemy nawet z pełnym przekonaniem twierdzić, że napaści dokonują właśnie Biriezyjczycy. W SAGRANNIE żyje kilka plemion zewnątrznie podobnych do siebie. Dopuszczam myśl, że w napadach na Warastę uczestniczą inni górale – napadnięci mieszkańcy mogli się pomylić. W każdym jednak przypadku mój Imperator jest przekonany, że Adgemar Kagetański nic nie wie i nie może wiedzieć o tym, co się dzieje w górnej SAGRANNIE.

–A pan, panie pośle – oczy Ferdynanda nie zapowiadały Markusowi Gambrinowi niczego dobrego – też nie wie, co się tam dzieje?

–Oczywiście, Wasza Wysokość. – Szczerości w spojrzeniu Gaifianina wystarczyłoby na tuzin splukanych do nitki gwardzistów kręcących się przy bogatej wdówe. – Mój Imperator święcie przestrzega Złotego Traktatu. Gaifa mogłaby wejść do SAGRANNY tylko w jednym jedynym przypadku – jeśli mieszkające w górach pokojowe plemię poprosiłoby nas o pomoc. Wtedy nasz esperatyjski obowiązek kazałby nam bronić słabszego i niesprawiedliwie skrzywdzonego, ale nawet w tym przypadku

wolelibyśmy działać za pomocą dyplomacji, zwracając się do wszystkich Złotych Ziemi z wezwaniem ukrócenia zła i przywrócenia sprawiedliwości.

A to już jest groźba. W przekładzie z poselskiego na ludzki oznacza, że jeśli Talig spróbuje dobrać się do Biriezyjczyków poza granicami Warasty, do działania przystąpi Gaifa i jej sojusznicy, a to będzie albo wojna z kilkoma przeciwnikami jednocześnie, albo, co prawdopodobniejsze, handlowa blokada, a własnego ziarna Taligowi w tej sytuacji nie wystarczy.

Poseł Imperium uznał swoją misję za spełnioną i skromnie odszedł za plecy Kageta. Burraz-lo-Wauchsar natychmiast przycisnął rękę do serca:

–Błagam Waszą Wysokość, by nie wątpił w uczucia kazara Adgemara i jego narodu.

Nie wiadomo, czy wątpił w uczucia Adgemara Ferdynand Ollar, ale przemawiał jak prawdziwy monarcha. Sylwester własnym uszom nie wierzył – król nie powtarzał wyuczonych słów, ale naprawdę przewodził Radzie!

Na razie Ferdynand nie popełnił jakiegoś poważniejszego błędu, ale był wyraźnie rozjuszony, a powiedziane i zapisane podczas Rady Miecza staje się prawem. Oczywiście wszystko można naprawić, ale to oznacza stracony czas i zmarnowane możliwości. Żeby tylko królowi wystarczyło opanowania i żeby nie zerwał z Kagetą – nie można z nią wojować, zwłaszcza teraz. W polityce nie ma nic gorszego niż ryk, gdy nie ma możliwości ugryzienia. Czy to rozumie niespodziewanie obudzony ze śpiączki Ferdynand?

–Proszę odejść, panie pośle. I proszę napisać bratu naszemu Adgemarowi, że oczekujemy wyjaśnień zarówno w sprawie jego działań, jak i jego beczynności. Konchesserze, zapamiętaliśmy pana słowa i dłużej pana nie zatrzymujemy.

Burraz-lo-Wauchsar z rodu Gurpotaj ukłonił się w kagetańskim stylu, konchesser Markus Gambrin w stylu mieszkańca Imperium szybko pochylił i podniósł głowę. W wykonaniu Kruka wyglądałoby to efektownie i obraźliwie, w wykonaniu konchessera wyszło śmiesznie, ale groźba wcale nie stała się mniej znacząca. Najgorsze było to, że wycofanie się za rzekę zostanie zinterpretowane, jako ustępstwo wobec Gaify.

Jego Wysokość milczał, póki za posłami nie zamknęły się drzwi i czarnobiali gwardziści ponownie nie skrzyżowali halabard. Potem spojrzenie władcy skierowało się na Najlepszych Ludzi. Zazwyczaj puste oczy Ferdynanda jakby ściemniały.

–Chcemy wysłuchać, co sądzą o Waraście Najlepsi Ludzie. W pierwszej kolejności wojskowi. Co powie nasz szwagier, marszałek Arigau?

Gui Arigau dowodził Armią Południową, tak więc to on powinien był uganiać się za Biriezyjczykami. Jeśli oczywiście tak czy inaczej nie poprze odejścia za Rasannę.

Jeśli conseiller i jego sojusznicy już wiedzą o manifeście, Gui będzie rwał się do bitki, której nie będzie, i na wszelkie sposoby wykazywał swoją odwagę. Jeśli zaś Ferdynand utrzymał dokument w sekrecie, to braciszek królowej będzie ostrożny. Gui jest wystarczająco wykształcony i mądry, by zrozumieć, że jego wojskową karierę może uratować tylko wycofanie się, zresztą znacznie przyjemniej jest knuć intrygi w stolicy, niż uganiać się po przedgórzu za biriezyjskimi bandami, ryzykując swoją ufryzowaną głowę.

–Wasza Wysokość! – Arigau poderwał się szybko i zgrabnie. W purpurowym rodowej szacie wyglądał jak jęzor płomienia. – Armię utrzymuje się po to, by walczyła. Grosza nie jesteśmy warci, jeśli nie ustawimy na swoich miejscach wszystkich tych, co się zapomnieli. Biriezyjczycy zostaną zniszczeni i niech Diwin i jego bogacze pękają ze złości.

Wie. Kto mu powiedział – sam król czy siostra? Czyżby małżonkowie widywali się nie tylko podczas ceremonii? To źle, klan Arigau może niepotrzebnie się wzmocnić. Gui trzeba sprzątnąć. Przekleństwo, wielu trzeba sprzątnąć, a tu Biriezyjczycy, imperatorskie ultimatum, Alva ze swoimi pijaństwami i pojedynkami, Rakanowie, astrologowie, stare bajki...

–Marszałek Południa jest gotów walczyć – z zadowoleniem powiedział Ferdynand. – Czy jest ktoś, kto się z nim nie zgadza?

Pierwszy podniósł rękę conseiller.

–Wasza Wysokość, panowie, drogi Gui! Biriezyjczyków należy przegonić, a jeszcze lepiej zniszczyć, inaczej będziemy mieli spore problemy. Ale – August zrobił pauzę – uważam, że marszałek Arigau nie poradzi sobie z tym zadaniem. Wojna z licznymi partyzanckimi oddziałami, mającymi niezawodne i nieprzystępne kryjówki, wymaga nie tylko odwagi i wiedzy teoretycznej, ale przede wszystkim zaskakujących decyzji. Przy całym szacunku do marszałka Południa, on tę kampanię przegra. W całym Taligu jest tylko jeden człowiek, który może wygrać narzuconą nam wojnę – Roke Alva. Przyznaję, że nie żywię do Pierwszego Marszałka Taligu specjalnie ciepłych uczuć, ale jeśli Warasty nie uratuje on, to nie uratuje jej nikt.

–O tak, panie! – Królowa porywczo odwróciła się do małżonka, chwyciła go za rękę. – Gdzie Kruk, tam zwycięstwo, to wiedzą wszyscy! Wyślij go i ludzie będą mogli powrócić do swoich domostw.

Król milczał, choć miał przygotowany manifest o wycofaniu się za Rasannę. Ferdynand miał powiedzieć, że nie wszystkie wojny wygrywa się siłą broni, a potem przeczytać dokument, ale Ollar siedział, przenosząc spojrzenie z Gui Arigau na conseillera i z powrotem.

–Wasza Wysokość – głos królowej błagał – musimy myśleć o ludziach. Nie możemy tracić czasu!

–A co powiedzą minister finansów i komendant Ollarii?

Leopold Manrik, mimo wieku ciągle rudy, jak i jego synowie, pokręcił głową.

–Tegoroczny urodzaj jest już nie do uratowania, a odtwarzanie jest zawsze kosztowniejsze od budowania. – Manrik starannie omijał gaifiańskie demarche. – Wydaje mi się racjonalne pozostawić zbójów za naturalną granicą, jaką jest Rassanna. Mogę zająć uciekinierów przy pracach drogowych, chociaż podatki i cła trzeba będzie podnieść. Ale jeśli wciągną nas do wojny, wydatki będą nieporównywalnie wyższe.

–Kilean?

–Mój panie, dopływ uciekinierów zwiększy niepomiarnie ilość przestępstw – twardo rzucił komendant stolicy. – Będzie nam brakowało ziarna, przyjdzie kupować je trzykrotnie drożej. Poza tym nie powinniśmy okazywać słabości przed obliczem naszych wrogów. Jeśli Roke Alva może oczyścić Warastę, to należy zaryzykować.

To był spisek. Teraz Sylwester nie wątpił, że o napaści conseiller wiedział wcześniej niż on sam. Dowiedział się i wymyślił, jak uderzyć. Teraz stronnicy wycofania się będą powszechnymi wrogami! Pewnie! Tchórze, którzy nie dość, że zostawili na pożarcie barbarzyńcom całą prowincję, to jeszcze podnieśli podatki i ceny.

Stancler i Arigau pozostaną czyści. Manifest podpisze monarcha, ale oskarżą o wszystko kardynała, i słusznie, bo to on decyduje. I będzie decydował, niech ich Obcy!

–Mogę coś powiedzieć? – Gdyby ośmiornice mogły mówić, robiłyby to tak jak Pridd.

–Proszę mówić, księżę.

–Wydaje mi się, że księcia Alvę należy wyposażyć w pełnomocnictwa Proemperadora Warasty. To ułatwi mu zadanie.

O, spisek nie tylko przeciwko Taligowi i kardynałowi, ale i przeciwko Roke. Proemperador nabiera pełnomocnictw króla, ale jeśli nie wypełni złożonej na jego barki misji, pozbawia się go głowy. Ludzie Honoru nieźle to sobie wykoncypowali – Roke jest szczęśliwy jak obdarowane dziecko, gdy mu się rzuca jakieś wyzwanie.

–Wasza Wysokość – znowu odezwał się Manrik. – Uważam wysyłanie armii na południe za niecelowe.

Na Ferdynanda żal było patrzeć. Obiecał jedno, a chciał czegoś innego. Któż go tak podkręcił? Królowa, nikt inny! Wykorzystała, że jest małżonką, może nie w łóżku, ale przy porannym stole. Jak dziwnie mu błyszczą oczy. Trzeba by się dowiedzieć, co jadł i pił przy śniadaniu. Cóż, wiemy na przyszłość, że z monarchą należy rozmawiać bezpośrednio przed Radą, a nie w przeddzień, a Katarinie Arigau czas udać się do klasztoru, a jeszcze lepiej do Ogrodów Przedświtu.

–Czy ktoś podziela opinię hrabiego Manrika?

Dalekowzrocznych ludzi na szczęście było niemało. Zwolenników wycofania było znaczeni więcej niż zwolenników wojny. Niezdrowy ogień w oczach władcy zaczął gasnąć, na nieszczęście conseiller też to zauważył.

–Wasza Wysokość – Stancler, jak zawsze, mówił ważkim i przekonującym tonem. – Najlepsi Ludzie chcą wysłuchać Pierwszego Marszałka Taligu. Czy jest gotów objąć armię, czy może uważa to przedsięwzięcie za nie do zrealizowania? Bo jeśli to drugie, to nie mamy o czym mówić.

–Roke Alva – głos Ollara drgnął – jeśli wyposażymy cię w nadzwyczajne pełnomocnictwa, obiecujesz nam, że przed jesienią w Waraście nie będzie ani jednego Biriezyjczyka?

–Czy możesz obronić nasz naród i naszą dumę? – zapytała z przejęciem królowa, znowu wczepiwszy się w małżonka i jednocześnie wpatrując się w oczy Alvy. – Możesz?

Kruk w wyszukany sposób uklonił się przed Ich Wysokościami.

–Obiecuję, że do jesieni w Waraście nie będzie ani jednego Biriezyjczyka zdolnego do szkodenia Taligowi.

–Tak będzie – uroczyście oświadczył Ferdynand Ollar. – Na czas kampanii Roke Alva, Pierwszy Marszałek Taligu, staje się Proemperadorem Warasty. Zwycięstwo albo śmierć!

–Zwycięstwo albo śmierć!

W niebieskich oczach Roke widniało wyzwanie. Dostał to, czego chciał.

Conseiller i jego zwolennicy też.

Rozdział 2

Ollaria

„Le Trois des Coupes”[\[126\]](#)

1

O tym, że umyślny przywiózł z Nadoru list do księcia, powiedziano Richardowi w stajni. Paco oczywiście nie wiedział, co było w liście, ale Dick wiedział. Ivon Larack pisał, że księżna Ockdell jest ciężko chora, choć nie zdaje sobie sprawy ze swojego położenia, i prosił Pierwszego Marszałka Taligu, by ten pozwolił synowi na spotkanie z matką. „Tego – zapewniał er August – nie odmówi nawet Alva”. Richard trochę bał się tego listu – stara Nan mawiała, że nie ma nic gorszego nad kłamstwa o zdrowiu krewnych, ale conseiller zapewniał, że tak trzeba i Dick zgodził się, ale nagle wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Kiedy list był pisany, w kraju panował spokój, teraz zaś wyjazd giermka będzie odebrany jak tchórzostwo, szczególnie, jeśli się wyda, że mateczka jest zdrowa.

Ockdell nie może tchórzyć, ale conseiller żąda, żeby Dickon wyjechał, a poza tym – czy coś tu od niego zależy? Kruk przeczyta list, uśmiechnie się i z zadowoleniem uwolni się od uprzykrzonego obowiązku.

Przez ostatni tydzień Alva był w domu tylko dwa razy. Pierwszy Marszałek miotał się między pałacem, skarbnicą i pobliskimi wojskowymi obozami. Roke otaczali adiutanci, ordynansowie, gońcy, wśród których nie znalazło się miejsce dla giermka. Pierwszemu Marszałkowi Taligu usługi Richarda Ockdella nie były potrzebne, a Taligoi i królowej jest on potrzebny żywy – ta wojna nie jest ostatnia! Dick westchnął i chwycił książkę – stare opowieści były tym nielicznym, co upiększało życie Katari, i Dick przekopywał bibliotekę w poszukiwaniu czegoś, czego królowa jeszcze nie знаła. Teraz poszukiwania się skończą – w Nadorze nie ma nic, czego by nie było w Gajare.[\[127\]](#)

Patrząc na starą miniaturkę, gdzie klęczący rycerz całował woal płaczącej damy, Richard zrozumiał, że nie chce do domu. Nie chce siedzieć niekończącymi się jesiennymi wieczorami w starej sali i słuchać, jak mateńka i Ivon albo wspominają minione czasy, albo narzekają na zapadający się dach. Dick nigdy nie lubił tych wieczornych spotkań, a po śmierci ojca stały się one w ogóle nie do wytrzymania. Jeśli wróci – wszystko zacznie się od nowa.

Wyobraźnia Dicka nie drzemała, w sekundę nakreśliła posępny, beznadziejny widok. Mateńka patrzy na syna tak, jakby to on był wszystkiemu winien, Ivon wzdycha i

skarży się na zdrowie, siostry milczą i klują się igłami w palce, chociaż nikomu niepotrzebnymi haftami zapchane są wszystkie skrzynie w Nadorze. Przy kominku jest gorąco, a o dwa kroki od niego – zimno, oczy łzawią od dymu, za oknami wyje wiatr, na suficie po każdej jesieni przybywa pęknięć i sadzy, a rodzina Ockdellów siedzi i czeka, kiedy nadejdzie ich czas, ale jak ma nadejść, skoro nic się nie robi?!

Er August powiada, że syn Egmonta nie ma prawa ryzykować, ale ojciec w młodości wojował o Talig i dosłużył się stopnia generała kawalerii. Święty Alanie, kto pójdzie za nieznanym tchórzem, który przesiedział całe życie za plecami matki?

Dick odsunął od siebie księgę o cudzych wyczynach i cudzej miłości i zamyślił się. Sługa, który przyniósł liścik od Nala, musiał kilka razy zagadać do panicza, zanim ten zrozumiał, o co chodzi. Kuzyn pojawił się akurat w porę i Richard, narzuciwszy pelerynę, wyskoczył na ulicę.

Reginald nie przyszedł bez celu. Conseiller chciał pożegnać się z młodym Ockdellem osobiście, ale miał bardzo mało czasu. Na rogu ulicy Świętego Robera i Czarnej na młodzieńców czekała karoca.

Pożegnać się... Pożegnać się i wyjechać, nie widząc Katari...

–Dick – Nal wyglądał na zaniepokojonego. – Masz kłopoty? Co się stało?

–Nie, wszystko w porządku. Nal, jak sądzisz, czy to, że wracam do domu, jest słuszne?

–August Stancler wie, co robi – szybko powiedział Nal. – Trzeba, żebyś wrócił do Nadoru.

–Komu to potrzebne? I po co? Zaczęła się wojna. Wszyscy pójdą na południe, a ja na północ? Przed kominek?

–No... Widzisz... – zaczął Reginald. – Ja... nie wiem.

–Na Stwory Zmierzchu! – zawołał Dick. – Może dość tego mamrotania, mów, co myślisz.

–No... – Nal, chyba, bał się sam siebie. – W sumie to... A! Dick, przysiągłeś Pierwszemu Marszałkowi. On pójdzie na wojnę, a ty pojedziesz do domu... Wiesz, są długi, które szlachcic musi zapłacić. Niechby nawet Alva nie był ci życzliwy, ale ratował cię, prawda? Dick, er August ci powiedział, że tym razem Roke wpadł?

–Mówił... Nal, chcesz powiedzieć, że kiedy ja wpadałem, to Roke mnie wyciągał z tarapatów?

–No – Nal był już kompletnie nieszczęśliwy – w sumie to... No tak, właśnie tak. Niedobrze, kiedy Ockdell zawdzięcza coś Alvie, tylko się nie złości... To wszystko takie tam, głupoty. Powinniśmy myśleć o Taligoi, to jest najważniejsze. Ciebie nikt nie będzie osądzał.

–Poza mną, tobą i wszystkimi porządnymi ludźmi. Masz rację, nie pojedę do Nadoru i niech się dzieje, co chce! A co do listu, to coś wymyślę albo wiesz, co... Pomożesz mi?

–Ja? – wytrzeszczył oczy Nal.

–Na Pociętego Smoka! Ty, właśnie ty. Przecież piszesz za ojca, kiedy mu palce sztywnieją. Więc napisz, że mateczka już zdrowsza, i tak dalej...

–Oszukać conseillera?!

–Nie conseillera, a Kruka, i nie oszukać, a naprawić kłamstwo. Napiszesz?

–Dick... wiesz...

–Nal, nie dyskutuj! Tak trzeba. No, napiszesz?

–Nie podoba mi się to...

–Nal!

–Nie mogę! – rozjęczał się kuzyn. – Nie powinniśmy... O! Karoca era... Dick, zdecydujemy w drodze powrotnej.

Woźnica zauważył ich od razu i wielka karoca z herbami na drzwiach wolno ruszyła w ich kierunku. Dicka zaproszono do środka, Nal usiadł na niewielkiego myszatego konika, którego trzymał służący, i pojechał obok. Jego zadanie polegało na dostarczeniu krewniaka z powrotem, co dziwnie wzburzyło Richarda, ale był zbyt dobrze wychowany, by pozwolić sobie na okazanie uczuć przy erze Auguście. Powóz ruszył z miejsca, Stancler położył dłoń na ramieniu Dicka.

–Wiem, co czujesz. Chcesz iść na wojnę i obawiasz się, że nazwą cię tchórzem?

–Tak, erze – nie wypierał się Dick. – Mój ojciec walczył.

–Tak, walczył – zgodził się conseiller. – Ale jak i z kim. Dick, chcę, żebyś mnie wysłuchał i postarał się zrozumieć. Jeśli ktoś się dowie, o czym rozmawialiśmy, będę miał kłopoty. I Jej Wysokość też, ale nie chcę, byś odjeżdżał z ciężkim sercem, uważając siebie za zdrajcę Taligoi. Nie wiem, dlaczego Biriezyjczycy napadli na Warastę właśnie teraz. Byli wiernymi wasalami Rakanów, ale uznać Maragończyka

nie chcieli. Ollarowie wysiedlili Biriezyjczyków najpierw w góry, potem za góry. Teraz ci wrócili, czy to dlatego, że uznali, iż są znowu wystarczająco silni, czy może chcąc się zemścić, chociaż niestety nie na tych, którzy są winni. Może poprosili ich Rakanowie. Nie wiem, czy mógłbym pójść na coś takiego nawet dla zwycięstwa, ale rzecz się stała, Warasta jest zrujnowana. Będziemy po dwakroć przestępcami, jeśli nie wykorzystamy tego. Rozumiesz, co ci mówię?

–Nie bardzo. Chcecie, byśmy przegrali wojnę?

–Ollarowie już ją przegrali i tylko od nas zależy, żeby jej nie przegrali Taligojczycy, my! Roke sam zapędził się w pułapkę, przysiągł przed zimą oczyścić Warastę, ale tego nie dokona nikt. Nikt! Wedle prawa Proemperadora, tego, który nie spełnił przysięgi, należy dekapitować, ale do tego nie dojdzie. Najprawdopodobniej pozwolą Roke uciec do Kenalloi. Po tym Kenalloa na pewno odłączy się od Taligu i zawrze sojusz z Moriskami. No i Leworęki z nimi! Kenallijczycy byli, są i będą obcymi, Moriskowie są im bliżsi niż my. Kenalloa weszła do Złotego Imperium po tym, jak skończył się ród Borrasca i Władcami Wiatru, na nieszczęście dla kraju, zostali krewni Alvy, którzy mieli w sobie więcej z shadow Purpurowych Ziem niż z Ludzi Honoru. Taligoja bez Kenalloi przeżyje, Dickonie, a Ollarowie bez Kruka – nie. Wzniesimy powstanie i zwyciężymy. Tym razem za nami pójdzie cały kraj.

–Cały?

–Cały, Richardzie. Warasta dawała krajowi jedną trzecią niezbędnego ziarna, teraz trzeba je będzie kupować, a kupcy, gdy widzą, że czegoś brakuje, podnoszą ceny. Żeby wykarmić rzeszę uciekinierów, z których nie ma żadnego pożytku, trzeba będzie podnieść podatki. To wzburzy wieśniaków i rzemieślników. Ludzie nie lubią ratować innych kosztem własnych dzieci. A jeśli nie będziemy karmić uciekinierów, to ci zaczną grabić i mordować, w pierwszej kolejności tych, którzy są słabsi. Rezultat może być jeden – kraj się otrząśnie i zrozumie, kto jest winny. Zacznie się wojna. Dorac i Ollarowie zostaną zmiecieni i oto na tej wojnie Richard Ockdell musi być jednym z pierwszych. Teraz rozumiesz, dlaczego musisz wrócić? Będzie głupio, jeśli przypadkowo, nie wiedząc, kto przed nim stoi, zabije cię Biriezyjczyk. Nie będziesz przecież wrzeszczał do niego, że nie jesteś wrogiem, a i wątpliwe, by ci barbarzyńcy, przy całym ich męstwie i szlachetności, znali Ludzi Honoru z imienia. Nie, Dickonie, niech sobie „gnojarsz” gania za „irbisami”, a ty wracaj do domu. Zapewniam cię, to będzie krótki okres spokoju. I daj mi słowo, że do tego czasu nie będziesz pakował się w żadne awantury, nawet jeśli będziesz miał na to wielką ochotę. Na taki komfort nie możesz sobie pozwolić.

Roke pojawił się w gabinecie kardynała ni to głęboką nocą, ni to wczesnym rankiem. Gdyby Sylwester nie wiedział, że dla marszałka była to trzecia bezsenna noc, nie domyśliłby się tego. Jego Świątobliwość podejrzewał, że to nie jest możliwe ot tak, zwyczajnie, że Alva wacha, a może już nawet pije sakottę, chociaż wtedy, mając swoje trzydzieści pięć lat, powinien wyglądać na pięćdziesiąt. Widocznie Roke zna inny napój, to do niego podobne – jego ojciec znał się na różnych truciznach nie gorzej od Morisków. Kardynał westchnął – pytać nie ma sensu, a on przecież dużo by dał, by nie spać po całych nocach i wyglądać przy tym, jakby wrócił z miłosnego spotkania. Ciekawe, czy Kruk zdążył skorzystać z wygranej, czy też Marianna będzie pozostawiona sama sobie aż do powrotu Alvy. O ile ten, rzecz jasna, wróci.

Po Radzie Sylwester nie mógł znaleźć sobie miejsca, czemu w dużej mierze sprzyjały zadowolone twarze Arigau i Kileana. Ci dwaj nie wątpili, że Roke w końcu przesadził i za chwilę skręci sobie kark. Na nieszczęście było to bardzo zbliżone do prawdy. Kardynał westchnął i wskazał spojrzeniem fotel.

–Siadaj, Roke. Napijesz się shaddi?

–Lepiej wina. Jutro wyruszamy, a dziś chcę się wyspać.

–Jak wino, to wino. Gdzie jest, pamięta pan? Proszę nalać sobie sam, nie jest zatrute, choć warto by było. Roke, co pan narobił?

–Wiele różnych rzeczy, ale dziś nie jestem skłonny do spowiedzi.

–Nigdy nie był pan do niej skłonny. Kiedy ostatni raz był pan w świątyni?

–Chyba wiosną, na czyimś pogrzebie.

–A jeśli odrzucimy ceremonie?

–Akurat dadzą się odrzucić... Ja, Wasza Świątobliwość, nie czynię różnicy między świątynią a placem. Tak samo, jak i pan. Tyle, że sprawy służbowe wymagają, bym częściej bywał na placu. Proszę się nie niepokoić, zanim wyruszymy pomnażać chwałę Taligu, uczciwie wysłucham należnych mi zaleceń...

–Niepokoi mnie, że pan nie pomnoży chwały Taligu ani swojej własnej – odciął się kardynał. – Znaleźliśmy się w nieprzyjemnym położeniu, a pański wyskok uczynił je jeszcze bardziej nieprzyjemnym.

–Mam nadzieję – Roke zdławił ziewnięcie – bo inaczej do czego bym był potrzebny?

–Roke, czy pan rozumie, w co pan wpakował siebie i innych?!

–Tak, i co?

–A to, że jeśli pan przegra, a przegra pan, to zetną panu głowę i nawet mnie się nie uda pana wyciągnąć z kabały. To znaczy – wyciągnę, oczywiście, ale będzie pan musiał uciekać do Bergmarku, o ile nie dalej. Czy do pana nie dociera, dlaczego Stancler wił się jak piskorz, żeby wcisnąć panu te przeklęte pełnomocnictwa?

–A może – wyraził przypuszczenie marszałek – on mnie nagle polubił? W jego wieku nie takie rzeczy się zdarzają.

–Roke Alva – niemal krzyknął Sylwester – biriezyjskiej szarańczy pan nie pokona. Owszem, jest pan najlepszym dowódcą naszych czasów, ale to właśnie pana zgubi. Pan zawsze wygrywał za pomocą szybkości, zaskoczenia, i – proszę o wybaczenie – zuchwałości i nie rozumie pan, że teraz ma pan przed sobą inną wojnę. Armia, nawet najlepsza, porusza się wolno. Pan będzie zmuszony do wymachiwania pięściami po bójce i uganiania się za cieniami. Gdyby Biriezyjczycy żyli na równinie, mógłby pan wziąć zakładników i za każdą spaloną wieś spalić trzy cudze, ale oni gnieźdzą się w górach, przy czym nie wiadomo czyich. Gaifa wyraźnie dała do zrozumienia, że jeśli wsadzimy nos do SAGRANNY, to – w najlepszym przypadku – zostawią nas bez ziarna na chleb. Poseł Kagety rozkłada ręce, Adgemar bez wątpienia zasypie nas współczującymi listami, a Warasta płonie i...

–Nie bardzo rozumiem – przerwał Roke. – Wasza Świątobliwość, pan chce, żebym wygrał tę wojnę?

–Oczywiście, ale...

–No to ja ją panu wygram.

–To niemożliwe. Takich wojen się nie wygrywa.

–„Niemożliwe” – uniósł brew marszałek – to głupie słowo. I tchórzliwe. Tegoroczny urodzaj zmarnował się, nie przeczę, ale przyszłoroczny, jeśli ktoś nam uszczypnie, to uczciwa szarańcza, a nie Biriezyjczycy.

–Roke. – Kardynał ze złością odepchnął pustą filiżankę po shaddi. – Nie myślałem, że przyjdzie mi cytować panu święte annały, ale „Chwalił się lew zwycięstwem swoim przyszłym nad królem komarów, i był ryk jego groźny, po czym przeszedł w jęk”.

–Proszę mi wybaczyć, Wasza Świątobliwość, ale ten lew był głupi. Wojować należy nie z komarami, a z bagnem.

–Roke, Złoty Traktat...

–Wasza Świątobliwość, przysięgam, że będę się odnosił do Złotego Traktatu jak do osiemdziesięcioletniej dziewicy, tak więc żadnym sposobem nie ucierpi. Jeśli to panu przyniesie ulgę, to wezmę ze sobą tekst traktatu i zapis prowadzony podczas Rady, i będę je nocami kładł sobie pod poduszkę. Oczywiście kiedy będę sam.

–No nie, z panem nie można poważnie rozmawiać! Proszę mi powiedzieć, czy ma pan przynajmniej jakiś plan?

–Mam. Wyjść z Ollarii i dotrzeć do Warasty. – Roke przykrył oczy dłońmi i szybko je odjął. – Proszę mi wybaczyć, trochę jestem zmęczony.

–Proszę się nie wykręcać, książę. Powinienem wiedzieć, co pan zamierza.

–Pożyjemy – zobaczymy.

–Zaczynam sądzić, że pan naprawdę zwariował.

–Dopiero pan zaczyna? Pamiętam, dziewięć lat temu w tym samym gabinecie nazwał mnie pan szaleńcem, ponieważ postanowiłem obejść się bez piechoty. Siedem lat temu ten zaszczytny tytuł potwierdzony został tym, że nie czekałem na wiosnę, a uderzyłem jesienią. Pięć lat temu zwariowałem, przebijając się przez bagna, które ktoś określił jako nie do przebycia, a wszyscy uwierzyli nie sprawdzając. Proszę mnie uważać za szurniętego, mnie to nie rusza, ale proszę nie przeszkadzać. Wojna to moja sprawa i tylko moja.

–Więc, co pan ostatecznie zamierza zrobić?

–Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Pierwszy Marszałek Taligu – ale coś na pewno zrobię.

–Monsignore czeka. – Brązowooki oficer był niewiele starszy od Dicka. – Dopiero co wszedł do siebie.

Dick skinął. No i już. Zaraz dowie się o chorobie matki i o tym, że dłużej nikt go nie zatrzymuje. Er wyruszy na wojnę z Biriezyjczykami, a giermek – do Nadoru i raczej już się nie zobaczą. Młodzieniec sam się zdziwił, jak go dotknęła ta myśl. Wiedział, co będzie dalej, a Roke – nie, Roke jest przekonany o zwycięstwie, ponieważ nigdy wcześniej nie przegrywał. Czyżby Kruk nie zdawał sobie sprawy, co go czeka, chociaż niby skąd ma wiedzieć? A już na pewno Pierwszy Marszałek Taligu nie będzie słuchał giermka, zresztą giermek nie ma prawa mówić takich rzeczy.

Przegrana Alvy była potrzebna dla zwycięstwa nad uzurpatorami, po to, by na miejscu spróchniałego, opartego na kłamstwie i bezprawiu Taligu odrodziła się Taligoja, wolna, wielka, sprawiedliwa. A Roke niech ucieka do swojej Kenalloi, niech się ożeni z córką moryjskiego shada i gra na gitarze. Alva nie są Taligojczykami i nigdy nimi nie byli – ich przodek, choć należał do Domu Wiatru, otrzymał przydział na samym skraju imperium nieprzypadkowo. Królowie z dynastii Rakanów wynieśli człowieka półkrwi, a Ramiro Alva odplacił im za to straszliwą zdradą, najgorszą znaną na Złotych Ziemiach. Alva jest rodem przeklętym, oni nie przynoszą szczęścia, dlatego niech odejdą...

Noga trafiła w pustkę i Dick omal nie upadł. Schody skończyły się, a on nawet tego nie zauważył. Nal ma rację, kiedy beszta go za roztargnienie – przeżyć pół roku w domu i nie zapamiętać, ile stopni prowadzi na drugie piętro... Więcej tu już nie przyjdzie, chociaż... Kiedy Ollaria znowu stanie się Kabitelą, będzie mógł wrócić, tylko w tym domu nikogo nie będzie. Ściany pozostaną, może ocaleją przedmioty, ale nie będzie ani Paco, ani Pele, ani Conchity, ani Juana...

Drzwi do gabinetu były otwarte. Roke ubrany do podróży, na stojąco przeglądał jakieś dokumenty i coś żuł.

–Proszę wejść, młodzieńcze. – Er, nie odrywając oczu od papieru, sięgnął do pióra, coś zakreslił, coś wpisał, podpisał i cisnął dokument na stół. – Otrzymałem list od pańskiego opiekuna. Kim on dla pana jest, tak przy okazji?

–Opiekun?

–Rozumiem, że nie wychowanek. Kim jest z rodu? Wuj? Dziadek?

–Hrabia Larack jest wujem mojego ojca.

–Nie ma pan bliższych krewnych pici męskiej?

–Nie. – Dick z wzrastającym zdziwieniem wpatrywał się w swojego era.

–Cóż – ni przypiął, ni wypiął zauważył Roke – w każdym dobru jest zło i na odwrót. Pański opiekun jest bardzo uprzejmym człowiekiem, tak się wyraża, że nawet niektórych tych słów nie znam...

Tak, Ivon wyróżniał się staromodną uprzejmością. Gdy jeszcze nie żył w Nadorze, ojciec śmiał się, że w wujowych epistołach można ugrzęznąć jak w melasie. Czy ojciec przysłałby synowi wezwanie, by go wyrwać od Kruka, czy nie? I co by zrobił na jego miejscu?

–Młodzińcze, proszę o odpowiedź. – Książę dotknął opuszką małego palca podpisu, sprawdzając, czy wysechł atrament. – Ale szczerze i bez zbędnego bohaterstwa. Czy pana bolą zęby?

–Nie.

–A brzuch, noga, ręka czy, strach pomyśleć, głowa?

–Nie.

–Czyżby pan się rozkleił z powodu wspomnień domu rodzinnego? Proszę się nie martwić, długo pan tam jeszcze nie trafi.

–Ale...

–Pan chyba chciał coś powiedzieć?

–Nie, to znaczy... Dom tu nie ma nic do rzeczy.

–Czyli skisł pan z powodu damy. To znaczy nie samej damy, a przewidywanej rozłąki. Proszę tak się nie martwić – marszałek zwinął papier i wsunął do futerału przy pasie – jesienią wróci pan do domu na białym koniu (koniu panu podaruję) i w pelerynie ze skór irbisa, a ona znowu pana pokocha. Albo uda, że kocha, co tak naprawdę nie stanowi żadnej różnicy.

–Pójdę na wojnę?

Święty Alanie, po co to powiedział?! Należy milczeć i udawać, że nic się nie wie. Roke nie uwierzył – Ivon nigdy nie umiał kłamać.

A może wygadał się Nal albo ktoś podsłuchiwał ich rozmowę z erem Augustem – Dorac ma przecież wszędzie szpiegów...

–Oczywiście. – Marszałek znanym gestem przesłonił oczy dłońmi, a potem gwałtownie je odsunął. – Pan, co by o tym nie mówić, jest moim giermkiem, tak więc

proszę się pakować – jutro wyruszamy. Proszę wpaść do stajni, poznać Sonę, to dobra dziewczucha, nie zrzuci pana.

–Monsignore...

–Proszę już iść, albo nie, poczekać. Teraz poznam pana z trzema młodymi ludźmi szlachetnego pochodzenia. Oni i pan będziecie musieli bez przerwy kręcić się przy mojej osobie w oczekiwaniu rozkazów. Proszę przyjąć ich filozoficznie, zwłaszcza jednego... Nie chcę pana straszyć, młodzieńcze, ale, między nami mówiąc, jest potworny.

Rozdział 3

Kageta

„Le Neuf des Deniers” [128]

1

Adgemar Kagecki był przystojnym i dostojnym mężczyzną. Purpurowe, wykończone białym futrem szaty opadały do ziemi, pozostawiając odsłonięte same czubki safianowych pantofli, migotały perły i granaty zdobiące kuty pas, matowo lśniło stare złoto. Kazar wspaniale trzymał zwieńczoną siwizną głowę i łaskawie się uśmiechał. Świeciło słońce, szczebiotały ptaki, obszerny taras, obsadzony różnymi gatunkami róż, wydawał się kawałkiem Ogrodów Przedświtu cudem przeniesionym na ziemię, ale Adgemar wyznaczał audiencje wśród róż wcale nie dlatego, że te były piękne. Tu, na otwartej, przenicowanym światłem przestrzeni, podsłuchać rozmawiających mogły tylko pszczoły i jaskółki.

–Jestem rad widzieć posła i przyjaciela mojego ukochanego brata Aldo Rakana. – Głos Adgemara, niski, szczery, byłby wspaniałym narzędziem każdego kapłana dowolnego boga.

Zaiste piękny i życzliwy był Adgemar, zbytnio życzliwy, żeby warto mu było wierzyć, ale też i nikt mu nie wierzył! Rzadko komu herb rodzinny tak pasował tak jak Białemu Lisowi, chyba tylko jeszcze Krukowi Roke, i wybierając między tymi dwoma, Rober Epineix wybrałby Alvę, mimo że ten był zły i cyniczny nad miarę. Alva był wrogiem i nie krył tego. Kagecki kazar uważany był za sojusznika i współwyznawcę, ale do czego tak naprawdę dążył, wiedział tylko Leworęki ze swoimi kotami.

–Jestem szczęśliwy, mogąc powitać Waszą Królewską Wysokość – wolno powiedział Epineix i nie pomylił się. Adgemar z gotowością przyjął zaproponowany tytuł. Przed swoimi poddanymi Biały Lis był Kagetą z Kagetów, ale w listach do obcych monarchów nazywał siebie królem. Taligiem i gai Adgemar władał znakomicie, nic dziwnego, że postanowił obyć się bez tłumacza. Inochodziec sam nie wiedział, cieszyć się z tego, że został zaszczycony rozmową w cztery oczy, czy nie? Lis uważany był za niepokonanego mistrza wszelkich pułapek, a udowodnić cokolwiek, nie mając świadków, trudno. Tak samo jak i odrzucić.

–Jak pan znajduje Kagetę, mój młody przyjacielu? – Wypielęgnowana dłoń czule dotknęła wspaniałej pomarańczowej róży, na której jeszcze błyszczały krople rosy.

Jak on znajduje Kagetę? Potworna. W Taligu, Bergmarku, Agarii żyło się różnie, ale

takiej przepaści między głupim przepychem i potwornym ubóstwem Epineix w życiu nie widział. Nieszczęśni wieśniacy i butni kazaroni, niekończący się kazaroni... Kazaroni w złocie, kazaroni w srebrze, kazaroni w owczych skórkach, kazaroni w szmatach. Chude owce i wypasione konie, głodne psy i syte karaluchy, góry jedzenia i pomarszczone twarze żebraków, róże, pomyje, duszący upał i nie mniej dusząca gościnność. Kurz, woń spalonego tłuszczu, wąsy, szable, gwar i chęć możliwie szybkiej ucieczki stąd, możliwie szybkiej i dalekiej.

–Wasza Wysokość, Kageta jest wspaniała.

–Czyli niedobrze ją pan obejrzał. To szalony kraj, ale z wielką przyszłością. Dziwi się pan, ale czemu? Temu, że nazwałem Kagetę szaloną, czy temu, że zacząłem rozmowę o jej wielkości?

No tak... Stary Warzow mówił: jeśli nie wiesz, co kłamać, mów prawdę. Może to nie Marszałek Zachodu powiedział, a ktoś inny, ale to jedyne wyjście.

–Jestem zdziwiony jednym i drugim.

–I jeszcze tym, że jestem tak szczery z kimś, kogo widzę po raz pierwszy. – Adgemar wytwornie opadł na marmurową ławę i gestem wskazał Epineixowi miejsce obok. – Ale ja wiem, z kim rozmawiam. Pan nie ufa Goganom, ja też. Skierowali pana do mnie Goganie, czyli nie powinien pan ufać mnie, a ja – panu. Mnie to nie urzęda, bo znam reputację Epineix, pan nigdy nie zrobi tego, co uważa za niegodne, czyż nie tak?

–Właśnie tak, Wasza Wysokość.

Adgemar nie uwzględnił jednego – Rober Epineix ufał Goganom, bo ci naprawdę chcieli zdobyć tron dla Aldo za nikomu niepotrzebne pierworództwo. Swojej przysięgi prawnuki Kabiocha dotrzymają, znaczy – spróbują dotrzymać, ale czy dadzą sobie radę z takim przeciwnikiem jak Dorac?

–Epineix są Ludźmi Honoru i dlatego odkrywam karty. Kageta to prowincja Złotych Ziem – wyraźnie oświadczył Biały Lis, patrząc w oczy Taligojczyka. – Wcześniej było to naszym atutem – ani Talig, ani Gaifa w czasach swojej świetności nie podbijali nas; teraz to nasze nieszczęście. Mamy wiele nieszczęść, ale największe z nich to kazaroni, którzy marnują wieśniaków jak wieśniacy owce, i wieśniacy, którzy tylko beczą. Trzymam w garści kazarońską hordę i karmię wieśniacze stado, ale to nie jest wyjście. Owszem, mam biriezyjskie owczarki, ale jeśli im dam trochę wolności, to zaczną im się wydawać, że są wilkami i że ich powołaniem jest rżnąć owce i nie słuchać pastucha. I nagle przychodzą Goganie i przynoszą złoto za to, że moje psy będą gryzły obce barany. Mnie to urzęda i ja się zgadzam. Kageta nigdy nie będzie wielka sama z siebie – niesprzyjająca lokalizacja i nie ten naród, ale jeśli się człowiek

potrudzi, wielkość można ułożyć z kawałeczków. Goganie są mocni przez złoto – biorę od nich złoto. Władcy Błyskawic są wielcy z powodu honoru, podpisuję z nimi sojusz w nadziei na zwycięstwo Rakanów. Przy okazji, mój drogi pośle, dlaczego Goganie płacą za Rakanów?

–Wasza Wysokość... Jeśli nie powiedzieli tego sami, ja nie mam prawa.

–Mnie nic nie powiedzieli, ale ja wiem, co powiedzieli wam. Pierworództwo pierworództwem, ale dzieci Gocha chcą dostać coś bardziej wymiernego. – Adgemar, uśmiechając się, położył ładną dłoń na ramieniu Robera i Inochodziec ledwo powstrzymał się, żeby jej nie zrzucić.

–Nie zostałem upoważniony, by o tym mówić, Wasza Wysokość.

–No to będzie pan słuchał. Kiedy zabijecie zwierza i zaczniecie dzielić skórę, przypomni pan sobie naszą rozmowę. A przy okazji i to, że niektóre zwierzęta zabija się nie dla skóry, a z powodu małego, mało widocznego organu, który kosztuje drożej niż dziesięć skór.

Potoczyste rozmowy o niczym nigdy nie były w guście Inochodźca, tonął w nich jak w bagnie, a Biały Lis wolno prostował fałdy odzienia, czule spoglądał na rozmówcę i mówił o Goganach, kazaronach, Holtyjczykach, różach, koniach, ślicznotkach. Rober westchnął i odprowadził spojrzeniem kreślącą łuk nad samą ziemią jaskółkę. Adgemar mógłby być ojcem Taligojczyka, ale ojciec i bracia położyli głowy w taligojskich bagnach, usiłując zatrzymać armię Kruka, a samego Robera życie cisnęło w to przesiąknięte zapachem róż i trucizny miejsce.

–Wkrótce zacznie się burza, przyjacielu Epineix. – Przed wzrokiem Kagety nie ukryło się spojrzenie rzucone na ptaszka o rozwidlonym ogonku. – Mocna burza, a błyskawice mają zwyczaj uderzać w najwyższe wieże. Nie warto szukać w nich schronienia, ale, jak mi się wydaje, mówiliśmy o pierworództwie? Czy zna pan gogańską herezję?

–Nie – skłamał Rober i sam się zdziwił, z jaką łatwością mu to przyszło. – Po co mi to?

–Choćby po to, by wiedzieć, że tych, których nazywamy demonami, niegdyś mieszkających w SAGRANNIE jagów zwali Wiecznymi, a nasi przyjaciele Goganie zwa dzieci Kabiocha. Demony czy nie demony, ale w swoim czasie oddali władzę nad Kertianą Rakanom z mocy prawa pierworództwa. Nie ma pierworództwa – nie ma władzy, proszę o tym pomyśleć.

–Wasza Wysokość – tym razem Inochodziec nie kłamał, naprawdę nic nie rozumiał. – Władzy i tak przecież nie ma. Pierworództwo to puste słowo.

–Goganin rozstanie się ze złotą monetą dopiero wtedy, gdy będzie wiedział, że otrzyma dziesięć. Nie oddajcie za tanio, kiedy będziecie dzielić skórę... Chce pan wiedzieć, dlaczego pana uprzedzam? Chce pan, przecież widzę! No więc, drogi przyjacielu, uważam za niebezpieczne, kiedy ktoś dostaje wszystko, czego chce. Poza tym – ręka Adgemara zacisnęła się w pięść tak, że półksiężyc na paznokciach pobielają – póki pierworództwo jest w rękach Rakanów, jest ono bezużyteczne, ale i nieszkodliwe. Kiedy różne narody na różnych końcach ziemi opowiadają te same bajki, oznacza to jedno – coś było na rzeczy. Albo, w naszym przypadku, Ktoś był. Ktoś, kto wznosił Pierścienie Galtary i cztery różne wieże. Ktoś, kto wybrał przodków Rakanów i obdarzył ich czymś, co zmieniło śmiertelników w półbogów. Teraz ten dar zniknął i nie trzeba go szukać, i tak mamy wszelkie szanse, by rozegrać swoją grę. O tym porozmawiajmy.

–Wasza Wysokość, słucham uważnie.

–Nie, księżę, to pan będzie mówił. Przecież jest pan posłem.

–Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem księciem.

–To kwestia kilku lat. Albo miesięcy. Albo tygodni. Pański dziadek jest stary, a pan jest jedynym prawowitym następcą rodu Epineix i przyszłym Władcą Błyskawic. A właśnie, młody człowieku, pan jeszcze nie związał się słowem i bransoletką z jakąś ślicznotką?

–Nie, Wasza Wysokość.

Słowem i bransoletką nie wiązał się z nikim, a o serce nikt go nie pyta.

–Moja najmłodsza córka jest piękna i wspaniale zna talig i gai.

–Wasza Wysokość...

–Może się panu ta rozmowa wydać przedwczesną, ale lepsza przedwczesna rozmowa niż spóźniona. Jeśli najlepszy przyjaciel i towarzysz nowego króla wstąpi w związek z córką monarchy i jeśli jest on przy tym najznamienitszym wielmożą, król może podarować młodym zrujnowane przez wojnę prowincje, uczyniwszy Władców Błyskawic suwerennymi książętami. Epineix graniczy z Warastą, nieprawdaż?

Ach, więc o to chodzi! Aldo, jeśli oczywiście zwycięży, będzie za dużym kęsem dla kageckiego kazarona, a Pierwszy Marszałek Taligoi i Władca Błyskawic – akurat. Śmieszne, ale jemu też to pasuje. Mellit kocha innego, ale małżonkę ze znacznego rodu przyszłemu księciu i tak narzuca, i to już niedługo. Umowa z Adgemarem to zwłoka, bo jeszcze pytanie, kiedy Aldo zwycięży, o ile w ogóle zwycięży.

–Wasza Wysokość, ale czy zgodzi się... – Leworęki, jak zwać córkę kazara, nie kaza

przecież?! – Czy zgodzi się księżniczka?

–Kiedy pan wróci, na pańską cześć będzie urządzona mała uczta. Zobaczy pan moją córkę Eteri, a ona zobaczy pana.

–Będę szczęśliwy, Wasza Wysokość, ale skąd i kiedy mam wrócić?

–Zapewne ku jesieni, kiedy przebywanie w górach przestanie być przyjemnością. Do tego czasu ja i moja córka wrócimy z Agarisu. Mam nadzieję, że na ceremonii wyboru Esperadora będę mógł osobiście zapewnić młodego Aldo o swojej przyjaźni i podziękować Jego Wysokości za radość, jaką mi sprawił, kierując na rozmowy ze mną prawdziwego Człowieka Honoru.

–Dziękuję, Wasza Wysokość.

–Ja nigdy nie ukrywam swoich uczuć – zapewnił go Lis – ale zacząłem opowiadać o SAGRANNIE. Jak pan wie, do Warasty z Kagety można dotrzeć czterema drogami. Jedna prowadzi przez Wąwóz Irbisa. Dwieście lat temu został on przegrodzony murem, stając się cytadelą nie do pokonania. Trzymam w Irbisich Wrotach mieszany garnizon, znacznie większy niż potrzebny jest do ochrony cytadeli. Uważam to za mądre posunięcie – taligojska armia, o ile mi wiadomo, też podzielona jest na oddziały, rozmieszczone w kilku prowincjach.

–Tak – przyznał Epineix. – Prawda.

–Północna myśl wojskowa wyprzedza południową, ale kiedyś armia Kagety stanie się jedną z lepszych w Złoty Ziemiach. Na razie niestety nasi wojownicy nie rozumieją, że swoje obowiązki muszą wykonywać również w czasie pokoju. – Kazar uśmiechnął się lekko. – Ludzi męczy beczynność. Kageci uczują i polują, ale Biriezyjczycy mają inne rozrywki i trudno jest nad nimi zapanować. Biriezyjczycy są wyśmienitymi wojownikami, ale nie mają pojęcia o dyscyplinie, do której przyzwyczajono regularne wojska. Być może w tajemnicy przekraczają góry. Może tam przechwalają się przed sobą swoją zuchwałością. Nic na ten temat nie wiem i nie mogę wiedzieć, ale o czym innym mówiłem. Irbisie Wrota to zadziwiająca twierdza. Tylko jeden mur w niej jest postawiony przez ludzi, pozostałe stworzyły duchy gór.

–Z przyjemnością skorzystam z pozwolenia Waszej Wysokości, by obejrzeć cytadelę.

–Pozwolenia? – Czarne brwi kazara uniosły się do góry. – Po co panu pozwolenie? Pan po prostu podróżuje, książę. Podróżuje, poznaje obyczaje, poluje, ucztuje. Sagrańscy kazaronowie obowiązkowo zaproszą pana do obejrzenia Irbisich Wrót, proszę się zgodzić i niczym się nie przejmować – wojna pana dogoni.

Clement radośnie pobiegł na spotkanie pana, ale w pół drogi zatrzymał się, stanął na tylnych łapkach, jakby węsząc, zwinął w kłębek i... wyszczerzył zęby. Rober ze zdziwieniem popatrzył na pupila – Jego Szczurowatość był rozjuszony. Epineix ze zdziwieniem odwrócił się do Kalliola.

–Co się z nim dzieje?

–Kto to wie – rozłożył ręce Goganin. – Z pałacu dochodzą dziwne zapachy, dziwne rzeczy i dziwne myśli. Kiedy gospodarz opuszcza dom, a jego pies wyje, to nie wróży nic dobrego i lepiej jest wrócić. Kiedy pan wraca, a jego pies wyje i cofa się do swojej budy, lepiej, by nie przekraczał progę rodzinnego, by nie przynieść do domu nieszczęścia.

–Myślisz, że ze mną jest coś nie w porządku?

–Z tobą. Albo z twoim szczurem. Albo z naszym światem.

–Ze światem na pewno coś jest nie tak – burknął Rober. – Inaczej co ja bym robił w tej lisiej norze?

–Przezacny nie jest rad ze spotkania z wielkim kazarem? – dziwnym głosem spytał Kalliol.

–Znowu? – poderwał się Inochodziec. – Jeszcze słowo i zabiję.

–Nie – roześmiał się Goganin, jak się wydało Epineixowi, z ulgą – z tobą wszystko w porządku. Z Clementem też. Zostaje nasz świat i to, co mogłeś przynieść z pałacu.

–Adgemar nic mi nie darował. Zamierza, co prawda, ale potem, po wojnie.

–Są ludzie, których dary należy przyjmować z ukłonem i natychmiast ofiarować świątyni albo odsyłać do wrogów – pokiwał głową Kalliol. – Ale syna mojego ojca niepokoi to, że nie przyniosłeś nic i przyniosłeś zło. Proszę cię, stań przy ogniu.

Rober usłuchał – Goganin był zaniepokojony, Clement rozjuszony, a i on czuł się jakoś dziwnie. Kalliol po czterokroć uniósł ręce, mamrocząc przy tym coś niezrozumiale w obcym, ale już jakby zwyczajnym języku, i podszedłszy do Epineix, zaczął rozpinać jego pas.

–Zwariowałaś? – nieco oszołomiony zapytał Rober.

–Patrzysz na boki i nie liczysz robaków, które miażdżą twoje buty. – Żeby odpowiedzieć, Goganin przerwał swoje manipulacje. – Mogli ci coś podłożyć do

ubrania.

–Sam mogę się rozebrać.

–Nie, jesteś za szybki. Jeśli do twojego odzienia włożono igłę, możesz się nią ukłuć. Nie przeszkadzaj mi.

Ostatni raz Epineix był rozbierany, gdy został ranny. Niewyraźnie pamiętał zarośnięte, brudne twarze, porywiście rzucane słowa, z których w pamięci zostało tylko „żyć nie będzie, a buty dobre”, posmak krwi w ustach. Potem stracił przytomność i przyszedł do siebie dopiero na wysłanej słomą furmance. Buty rzeczywiście mu zabrano, potem przypadkowo spotkał marudera, ciągle jeszcze paradującego w jego butach, ale nie odezwał się. Tamtą wojnę przegrali, ale sami. A tę, jeśli wygrają, to przy cudzej pomocy, i co z tego wyniknie? Jeśli po jednej jedynej rozmowie z Adgemarem Clement go nie rozpoznał, to co będzie po zwycięstwie?

Kalliol ostrożnie pociągnął but i Rober, oparłszy się o ścianę, podniósł nogę. Clement przeszedł na skraj stołu, czujnie obserwując działania Goganina. Wszystko to razem było głupie, poniżające i przerażające.

Tłumacz ściągnął drugi but, pantalony, koszulę. Epineix powątpiewająco popatrzył na stertę odzienia na podłodze.

–Podejdź do Clementa – polecił Goganin.

Rober podszedł. Kamienna kagecka podłoga chłodziła stopy, ale po tutejszym upale było to nawet przyjemne. Jego Szczurowatość podejrzliwie pociągnął nosem, potem zdecydował się i wlaź po ręce na ramię, drapiąc pazurkami gołą skórę.

–To, co przyniosłeś, nie dotknęło cię – stwierdził Kalliol.

Nie czekając na następną radę, Epineix podszedł do sterty odzieży. Szczur od razu zasyczał wściekle, wczepiwszy się w pańskie ramię.

–Ciągle jeszcze tam jest – cicho powiedział Goganin. – Musisz się ubrać, a gdy zgasną ognie, syn mojego ojca wyniesie twoje rzeczy i utopi w bystrej wodzie. Masz inne ubrania podobne do tych?

–Tak – skinął głową Taligojczyk.

–Nałóż je. Nie trzeba, by obcy domyślili się, że znaleźliśmy ich dar.

–Mam drugi wams i tuzin koszul, ale nie mam drugiej szpady. – Rober sięgnął do pasa, ale Goganin go wyprzedził, wyszarpnął broń i położył na ławie. Epineix z chichotem, choć na plecach czuł ciarki, podniósł szczura do broni, która Jego

Szczurowatości w żaden sposób nie rozdrażniła. Następnie Epineix uratował buty, rękawice i bieliznę, ale koszula, pantalony i wams z punktu widzenia Clementa były przesycone złem.

–Teraz widzisz, że każdy nasz krok przybliży nas do zguby albo ratunku. – Kalliol wydawał się zdenerwowany. – Uratowałeś Clementa, teraz on chroni ciebie.

–A może chodzi o to, że dochodzi ode mnie woń lisa? – Żart był głupi, ale jakoś nie bardzo chciało mu się wierzyć w całe to gadanie o rzeczach nie z tej ziemi.

Adgemar to chytry oszust, który myśli tylko o swoim zysku i bierze pieniądze od Gogan, ale nie jest czarodziejem. Magowie w ogóle nie istnieją, a jeśli nawet, to są zajęci swoimi sprawami. Pewnie śmiesznie musi wyglądać – w samej bieliźnie i butach, ale uzbrojony po zęby.

Kalliol ostrożnie, jakby miał do czynienia ze śpiącą żmiją, zebrał odrzucone przez szczura rzeczy i związał w węzełek.

–Syn mojego ojca wróci o świcie.

–Poczekaj – zatrzymał Goganina Rober. – Tylko Leworcki wie, co z nami będzie, ale na pewno nie uda nam się długo porozmawiać w cztery oczy. Chcę cię zapytać, przecież robisz nie to, co masz polecane przez swoich i Kagetów. Dlaczego?

–Nie robię niczego, na co nie pozwalałoby mi prawo Kabiocha – pokręcił głową Kalliol.

–Ale wasza starszyzna...

–Nie ma starszyzny ważniejszej od sumienia. Ci, którzy posłali syna mojego ojca z tobą, kazali cię chronić, i ja to czynię. Ja tylko nie opowiem czcigodnym tego, czego nie opowiem. Czy ty może żyjesz inaczej, choć nazywasz Stworzyciela Świata innym imieniem?

A przecież rudzielec ma rację. Tylko my sami decydujemy, co zrobiliśmy – podłość czy czyn bohaterski, tylko my i nikt inny! Ludzkie gadanie może osądzić bohatera i wynieść szubrawca, to się zdarzało, zdarza i będzie zdarzać, ale osądzić może tylko sumienie, a sumienie żąda, by zatrzymać wojnę, póki nie jest za późno, żąda, by posłać Adgemara do Obcego i wracać. Sumienie żąda jednego, zdrowy rozsądek czegoś innego, a dane słowo – jeszcze czegoś innego.

–Nie odpowiedziałeś mi.

–Odpowiedziałem, ale ty chcesz przedłużyć rozmowę i nie wiesz jak. No to ja ci zadam pytanie. Co cię wiąże z moim ludem? To nie pieniądze, nie korzyści, nie

służba swojemu suzerenowi, ale co?

Epineix usiadł na wysłanym złocistymi skórami łożu.

–Kalliol, co się dzieje, jeśli Goganni zakocha się w nie-Goganinie, a on w Goganni? Czeka ich śmierć?

–Mówisz o sobie, o swoim przyjacielu, czy po prostu jesteś przepelniony ciekawością?

O sobie, o swoim przyjacielu i o najpiękniejszej dziewczynie pod tym niebem. Ale musi skłamać, bo życia Mellit nie powierzy ani Kalliolowi, ani samemu Stwórcy. Swoje – proszę bardzo, ale jej – nigdy!

–O sobie. Kocham się w córce handlarza Gaimiola. Ona się nazywa Mellit.

–Mellit... To imię oznacza „wybrana na ofiarę”... Rzadko przynosi szczęście... – Goganin zamyślił się. – O prawnukach Kabiochowych wiadomo mało, a mówi się dużo. Myśmy tak chcieli i tak się stało. Owa Mellit kocha ciebie?

Nie, nie kocha. Kocha Aldo, dla niego łamie wszystkie zakazy, spaceruje po Agarisie w czasie tych ich przeklętych Nocy Księżycy, okłamuje swojego ojca i swojego boga. On też skłamię.

–Nie wiem. Ja ją widziałem tylko raz. Nie rozmawialiśmy.

–No to kochasz nie ją, tylko jej twarz i swój sen. Moja rada – zapomnij.

Zapomniałby, gdyby potrafił. Chociaż nie, nie zapomniałby!

–Nie odpowiedziałeś mi. Goganni, zakochaną w obcym, czeka śmierć?

–Kto wie... Nie pamiętam, żeby gdzieś kiedyś coś takiego przytrafiło się Goganni. Goganie nigdy nie wchodzili w związki z innymi kobietami, ale zdarzało się, że odchodzili ze wspólnot. Dla dzieci Gocha umierali, dla innych – żyli i mieli potomstwo. Odzienie i kolor włosów łatwo jest zmienić. Nie słyszałem, by takich, co odeszli, prześladowano, o ile po prostu zostawiali swój lud, nie okradając go, nie zabijając nikogo, nie posiadając tajemnej wiedzy. Wśród towarzyszy walki Franciska Ollara było trzech Gogan, ich potomkowie zostali taligojskimi szlachcicami, nikt im w tym nie przeszkadzał. O ile Mellit jest gotowa umrzeć dla rodziny i urodzić się dla ciebie, to raczej nic jej nie grozi poza zmianą imienia, ale jakim cudem ją zobaczyłeś?

–Wiesz, dlaczego tu jestem?

–Tak.

–Towarzyszyłem Aldo Rakanowi na spotkaniu z waszą starszą. Kiedy on się zgodził na wasze warunki, przysięga została przypieczętowana wedle waszego obrządku i przyprawiono dziewczynę. Mellit.

–Czy ona stała się Zastawem? – Głos Kalliola drgnął.

–Chyba Enniol tak właśnie ją nazwał.

–Zapomnij o niej! – Tak podnieconego swojego tłumacza Epineix jeszcze nie widział.

– Zapomnij! Ta, która stała się Zastawem, przestaje być kobietą, ona jest arkanem, tarczą i kopią dla tego, kto się z nią związał. Jej dziewiczość w oczach prawników Kabiochowych jest droższa niż całe złoto świata. Podnieść wzrok na tę, która jest Zastawem – to więcej, niż skazać się na śmierć.

–Na Stwory Zmierzchu! Co wyście jej zrobili? Za co?!

–Ona została wybrana na ofiarę – cicho powiedział Goganin. – Pogódź się z tym. Nie będzie należała do żadnego mężczyzny. Tego nie da się zmienić i naprawić.

–To niesprawiedliwe!

–Niesprawiedliwe – zgodził się Kalliol – w stosunku do niej. I do ciebie, skoro ją kochasz i nigdy nie posiadasz, ale co znaczy niesprawiedliwość w stosunku do dwóch osób w porównaniu z nabyciem przez nasz lud prawa do pierworództwa? Wybacz, syn mojego ojca musi iść. Wrócę, uwolniwszy się od tego, co przyniosłeś, i będziemy mogli porozmawiać.

Rober skinął głową. Musi zebrać siły, żeby wyciągnąć z Kalliola wszystko, co ten wie. Co to jest ów przeklęty Zastaw? Może Mellit wcale nie kocha Aldo, a została do niego przywiązana za pomocą magii i można ją uwolnić? Wyjście musi być.

–Wyjście być musi, co, Wasza Szczurowatość? – Epineix trącił palcem koniuszek ciekawskiego różowego nosa.

Clement kichnął i zaczął czyścić wąsy. Po wyniesieniu obrzydliwych przedmiotów czuł się wspaniale. Szkoda, że szczury nie potrafią mówić...

Epineix, nie zdejmując butów, rzucił się na łóżko i zamknął oczy. Ma ze dwie godziny czasu, potem wróci Kalliol... Sam Leworęki wie, gdzie ich zastanie następną noc, a on powinien wiedzieć wszystko, nawet najgorsze.

Szczury należy karmić, karmić należy wszystkich, inaczej umrą. Clement żądał jedzenia i miał rację. Rober Epineix odczepił od siebie wrzeszczącego przyjaciela i rozejrzał się po zalanej jasnym światłem sypialni. Nic do jedzenia – świece, nawet świece nie z tłuszczu, a z wosku. Czyli trzeba zejść na dół, tam czekają góry jedzenia i morza napojów. Inochodziec puścił do szczura oko, ale humor miał niezbyt dobry. Rober był z siebie niezadowolony – zasnął i chrapał do rana, a Kalliol go nie obudził. Szkoda. Ich rozmowa była ważniejsza od kilku godzin snu.

Taligojczyk pokręcił głową w poszukiwaniu ubrania, przypomniał sobie, że przyniósł z pałacu jakieś świństwo, a wams i pantalony trzeba było wyrzucić. Tłumacz radził ubrać się tak, by zmiana ubrania nie rzucała się w oczy. Na dole jest służba, mnóstwo służby, wśród nich na pewno jest szpieg, i to niejeden, co za obrzydlistwo! Głowa bolała, choć wcale nie pił wczorajszego wieczora. Nic straconego, wypije dziś, nawet teraz. Kageckie wina, chociaż ustępują kenallijskim, są całkiem niezłe. Inochodziec wyjął z agaryjskiego kufra pachnące lawendą ubranie, nałożył, posadził na ramieniu Clementa i wyszedł z sypialni.

Przeczenie go nie zawiodło – służby i jedzenia było nawet więcej niż się obawiał. Na domiar złego na szczycie stołu siedział chudy jak żerdź Kaget w fioletowych, wykończonych błękitem szatach i z twardymi, nawoskowanymi wedle tutejszego obyczaju wąsami. Gdyby Clementa ubrano w liliowy aksamit, wyglądałby nie gorzej.

–Wołam posła szlachetnego Aldo Rakana – zahuczał Kaget z mocnym akcentem. – Jestem szczęśliwy zaprosić go do SAGRANNY. Moje imię czyste jak maja szabla. Ja kazaron Rubazlo-Redinur z rodu Wabimkataj.

–Witam szlachetnego kazarona – Rober nie zaryzykował powtórzyć pierwszy raz usłyszanego imienia – i jestem szczęśliwy, że nasze konie pójdą obok.

Shczęśliwy, a jakże! Ten niespodziewanie narzucony przygłup nieźle zna talig, czyli porozmawiać z Kalliolem będzie trudno. Co prawda, nos ten osobnik ma w tonacji odzienia. Pijaczyna? Zaraz sprawdzimy. Jako gospodarz winien zaprosić fioletowego do stołu. Z drugiej strony sam jest gościem, gościem kazarona, więc to jego powinni zapraszać. I w ogóle – gdzie jest Kalliol? Clementa takie problemy nie interesowały – widząc pękający od jedzenia stół, Jego Szczurowatość opuścił Robera i podążył do półmiska z płaskimi słodkimi plackami.

–Jaki zwierzę – rozpląnął się w uśmiechu fioletowy – my będziemy przyjaciele my!

Clement nie miał ochoty na zaprzyjaźnianie się, chciał jeść i jadł, ale ten nowy człowiek nie wydał mu się niebezpieczny. Dobre i to! Epineix rozejrzał się po tłumie służby i odwrócił się do kazarona.

–Szlachetny przyjacielu, może dołączmy do mojego pupila.

Wyszło to może niezbyt po poselsku, ale Kaget z gotowością wziął się za sprawę. Co prawda, ku wielkiemu zdziwieniu Robera sięgnął nie po wino, a po jakieś dziwne jadownice zielone owoce.

–Napijemy się?

–Nie piję wina – odparł liliowy nos. – Wino czyni męża głupcem, a kobietę – szmata.

–Dobrze pan zna talig.

–Dobrze. Żyłem w Ollarii. Dobra miasta, ładne kobiety. – Kaget znowu włożył do ust kilka kawałków. Clement przy stole, a raczej na nim, zachowywał się z większym umiarem. Szczur zręcznie wyciągał placuszek, odbiegał na bezpieczną z jego punktu widzenia odległość, przysiadał na tylnych łapkach i trzymając łup w przednich, szybko i dokładnie ogryzał placek aż do końca, dopiero potem biegi po następny kawałek. Kazaron zaś nabijał usta tak, że nie mógł wypowiedzieć ani słowa. Odczekawszy, aż jego współbiesiadnik skończy z kolejną porcją, Epineix możliwie uprzejmie zapytał:

–Niestety, nie usłyszałem dobrze imienia mojego nowego przyjaciela, a mój tłumacz się oddalił.

–Pana tłumacz był Goganin? Tak? – Kaget skinął na sługę, a ten zwałił mu na ogromny talerz jakieś mięsne kulki i polał czymś białym.

–Tak.

–Utonął.

–Jak to utonął?!

–W rzeka. Upadł i – Kazaron, żeby rozłożyć ręce, aż odłożył łyżkę – i utonął. Głupio...

Kalliol nie żyje. Przypadek? Albo go zepchnięto. Kto? Swoi, ponieważ za bardzo zbliżył się do obcego, czy Kageci? A może ludzie Doraca? Głupio byłoby sądzić, że ich tu nie ma, ale w czym im przeszkadzał tłumacz? Gdyby go porwano, to jeszcze można by zrozumieć, ale zabójstwo?!

–Ty się nie przejmuj – rozpląnął się w uśmiechu Liliowy Nos. Na jego wąsach bieleły krople sosu – rudy ci już nie jest potrzebny. Ja i tak miałem cię prowadzić do SAGRANNY. Biriezyjczycy Gogan do siebie nie wpuszczają. Oni są dumne. My pokażemy ci takie polowanie...

Po co mu polowanie? Po co mu to w ogóle? Co się stało z Kalliolem? A przecież nie można pójść i zapytać. Nawet się z nieboszczykiem pożegnać nie może, bo co to dla posła taki tłumacz – przedmiot użytku. Jeśli zaczniesz okazywać zaniepokojenie, Kageci staną się czujni. A może powie, że mu coś zginęło? Nie, to jeszcze gorzej. Zaczną się pytania, a on w kłamstwach nie jest mocny.

Kalliola zabito – w to Inochodziec nie wątpił, zabito, kiedy Epineix chrapał, i nawet mu się żaden koszmar nie przyśnił. A jeszcze się mówi, że ludzie miewają jakieś przeczucia, widzenia. Bzdury to są i kropka!

Clement nażarł się aż po koniuszki uszu, odczołgał się od ciągle jeszcze wielkiej górki placków, kołyszącym krokiem dotarł do pana i wdrapał mu się na ramię. Kagec ciągle jeszcze jadł, a Rober stracił apetyt. Wypić, czy jak, za spokój duszy tego, który dopiero co opuścił ten świat, chociaż Leworęki zna tych Gogan, jak tam u nich to się odbywa.

–Jedz – z troską pozostałej w Agarisie Matyldy oświadczył Kazaron. – My długo jechać. Ty o SAGRANNIE słyszał?

–Mało.

Rzeczywiście mało wiedział, na dodatek nie chciało mu się rozmawiać. Niech ten Jak-Mu-Tam gada, a on będzie słuchał i zapamiętywał, ponieważ myślenie było ponad jego siły.

–Pojedziemy do Irbisich Wrót – oznajmił Kazaron, oblizując palce. – To najlepszy twierdza od strony Taligu.

–Cieszę się, mospanie, że zobaczę Wąwóz Irbisów.

–To ładne – rozpromienił się Kagec. – Tak ładnie. Z prawej – góry, z lewej – góry, na środek – droga. Dobra, handlowa, cztery powozy w szeregu przejadą. Ale przejadą, jeśli my zechcemy.

No tak... Mur z bramą, na ścianie armaty, gaifijskie oczywiście. Ciekawe, jak przypodobał się Adgemar imperatorowi Gaify, że ten przysłał mu armaty z puszkarzami zarazem. Czy to najemnicy? Gaifianie za darmo nie będą siedzieli w takiej dziurze.

Biriezyjczycy mogą do woli potrząsać swoimi siwymi czuprynami – i dla esperatystów, i dla ollarian są dzikusami. Nawet dla Kageców, po prostu poddani Adgemara nie za bardzo kochają wojaczkę – za mało w nich złości. Rozumu zresztą też. Cały ich rozum dostał się kazarowi.

Rozdział 4

Kageta

„Le Chevalier des Épées” [129]

1

Do północy w przedpokoju Proemperadora sterczał Gil i Richard mógł być wolny, inna sprawa, że i tak nie było dokąd pójść. Dzień był upalny i wszystko, co żywe, wlało do cienia. W tych okolicach po obiedzie przyjęta jest drzemka, ale Dick zdążył wyspać się po nocnym dyżurze i teraz nie wiedział, gdzie się podziać. Młodzieniec trochę poszwendął się po gubernatorskiej willi, gdzie zatrzymał się Proemperador, i wyszedł na owinięty dzikimi różami taras wychodzący na rzekę.

Rassanna wolno toczyła żółtawe wody do Morza Hołtyjskiego, odległy brzeg równym burozielonym pasmem oddzielał bladą wodę od wypalonego nieba. To, że Rassanna jest wielką rzeką, Richard wiedział z lekcji z panem Chablis, ale jak wielką, nie wyobrażał sobie, nie mógł sobie wyobrazić. Danar w porównaniu z nią był niemal rzeczułką, a co dopiero mówić o Nadzie, który latem przechodziło się w bród.

Za Rassanną leżała wschodnia Warasta, za Rassanną była wojna, ale w letni upalny dzień trudno było w to uwierzyć. Dickon rozumiał, że jak nie dziś, to jutro Południowa Armia opuści miasto Tronko, w okolicach, którego ulokowała się jeszcze w czasach, kiedy taligojska granica przechodziła po brzegu Rassanny, i wyruszy przez niekończące się stepy na spotkanie Biriezyjczykom.

Tronko wojna niemal nie dotknęła, choć na samym brzegu uzbierało się mnóstwo uciekinierów. Gubernator i jego dragoni zabraniali Warastanom przeprować się przez rzekę pod groźbą zesłania do rudni. Ludzie zresztą sami też nie za bardzo rwali się do Wielkiego Taligu. Lato dopiero się zaczynało i Warastanie mieli nadzieję, że przed mrozami Kruk skończy ze zbójami i można będzie powrócić do rodzinnych okolic.

Er Stancler uważał, że wojna zostanie przegrana, ale sam Dickon racji conseillera pewny nie był. Oficerowie i posłańcy, z którymi się stykał giermek Proemperadora, nie wątpili ani we własne siły, ani w talenta Alvy i jeśli na coś narzekali, to na upał i głupotę gubernatora, niepotrafiącego dać po łapach zmęczonym dzikusom.

–Dickonie! – Wesoły okrzyk spowodował, że chłopak powrócił do upalnego, zakurzonego dnia. Dick nie zaprzyjaźniał się łatwo, ale Oskar Fensoi-Trimain spodobał mu się od razu i na zawsze. Oskar miał dwadzieścia sześć lat, mając lat

dwadzieścia cztery za pomyślne działania podczas kampanii ludzkiej został generałem, mając dwadzieścia pięć został dowódcą awangardy Armii Południowej. Gui Arigau wysoko ocenił Fensoi-Trimaina i opuszczając armię, zaproponował mu wyjazd ze sobą do stolicy, wraz z innymi wysokimi oficerami Południowej, ale Oskar odmówił. Lato w obozach wojskowych pod Ollarią młodego generała nie kusiło, on, według własnych słów, chciał „pouczestniczyć w prawdziwej robocie”.

–Mój generale! – Richard podrzucił rękę w umyślnie dziarskim salucie.

–Kornecie Ockdell! – Fensoi wydał z siebie przenikliwy dowódczy wrzask. – Jak stoicie? Gdzie szacunek, pytam? Gdzie drżenie? Gdzie zachwyty? Pan ma pojęcie, kto przed panem stoi?! Moi przodkowie u samego Franciska Ollara gnój rozkładali! Ja pana... Ja... Powieszę, rozstrzelam, ześlę na galery... – Oskar zamilkł, nabrał w pierś powietrza, zamierzając dokończyć rozpoczętą tyradę, ale nie wytrzymał i roześmiał się.

Fensoi-Trimain prowadził długotrwałą, nieogłoszoną wojnę z dowódcą sztabu Armii Południowej Leonardem Manrikiem, który również nie podążył do stolicy za Arigau. W ogóle to w Tronko oczekiwano, że Proemperador wymieni całą kadrę awansowaną przez Arigau, ale Kruk tylko wzruszył ramionami i powiedział, że brat królowej sam uwolnił armię od tych, którzy przeszkadziliby wygrać wojnę. Ze sobą Alva przywiózł tylko trzech generałów i jednego pułkownika.

Rada Miecza obdarzyła Proemperadora prawem wzywania do siebie dowolnego oficera, ale Roke z tego prawa nie skorzystał, tak samo jak nie skorzystał z możliwości wzmocnienia Armii Południowej świeżymi rezerwami. Fensoi uważał ten ruch za błąd. Mimo swojego młodego wieku, wspaniale znał się na strategii i taktyce, a jego namiot wypełniały traktaty o sztuce wojennej, co zresztą nie przeszkadzało dowódcy awangardy żartować i wygłupiać się.

–Szczęśliwym rozstrzelać się i powiesić na rozkaz wielkiego Manrika – wyskandował Richard ulubiony w ich towarzystwie dowcip i też się roześmiał.

Zwyczaj Manrika straszenia podwładnych wszelakimi karami i jego pochodzenie od uciekiniera – gogańskiego kucharza służyły za nieustające źródło dowcipnych odzywek, którymi wymieniali się niezbyt lubiący „rudego głupka” oficerowie. Richard całkowicie podzielał zdanie Fensoi o tym, że Leonarda należy udusić, utopić i rzucić na żer stepowym yzargom, ale na razie musieli ograniczać się do żartów. Dickowi przypadł do serca Fensoi, Manrik – nie, a inni wysocy oficerowie Armii Południowej wywoływali u chłopaka mieszane uczucia.

Generał kawalerii, bliźniaczy brat kapitana osobistej gwardii królewskiej i starszy brat Arnoulda, Emil Savignac głośno się śmiał i słynął ze swej wybuchowości i miłosnych podbojów. W Południowej Armii zajął miejsce Jamesa Rocksleya, który nie

opuścił swojego dowódcy.

Savignac z pochodzenia należał do Ludzi Honoru, ale ten ród od samego początku przeszedł na stronę Ollarów, a sam Emil wraz z Roke Alvą uczestniczył w zdławieniu powstania Ockdella i był znany jako zaciekły apologeta wojskowych talentów Kruka. Gdyby nie te okoliczności, trzydziestoletni brat Arnould stałby się również jednym z ulubieńców Richarda, ale są rzeczy, których nie da się przekroczyć.

Z tych samych przyczyn Dick nie mógł zachwycać się markizem Jorge Diegarronem i pułkownikiem Horacio Badiglo, dowodzącymi kenallijskimi strzelcami. Diegarron i Badiglo byli z Alvą w bagnach Renkwahy, a wielka Taligoja była dla nich pustym dźwiękiem.

Ostatnim człowiekiem, którego Roke przywiózł ze sobą do Tronko, był starszawy już generał artylerii Kurt Weizel, dobrze znany Krukowi z torskich kampanii. Weizel wyróżniał się godną pozazdroszczenia ugodowością i był uprzejmy nawet w stosunku do posłańców. Weizel dawno przekroczył pięćdziesiątkę, był tu najstarszy i myślał tylko o armatach, prochu, kulach i konnych zaprzęgach.

Co do tych, którzy służyli w Tronko jeszcze za Arigau, to okazali się dość przeciętnymi osobnikami. Pułkownik muszkietarów Havyland trząsał się nad każdą monetą, dowódcy pułków piechoty Honore Mareau, Filiber Chenonso i Bonifacy Montre myśleli tylko o eroi, [\[130\] a komendant Tronko, generał Flavian Uess był stary i głuchy na jedno ucho. Zresztą żaden z nich nie zatruwał życia Dickowi, nawet Manrik, którego młodzian nienawidził raczej do towarzystwa Oskarowi i dlatego, że to było zabawne. Wyśmiawszy się do woli, Fensoi wesoło się uśmiechnął.](#)

–Nasz wypoczynek wkrótce się skończy. Przeprowa jest niemal gotowa, tak więc, kornecie, szykuj się do czynów bohaterskich.

–Oskarze. – Dowódca awangardy był dla Richarda odległym krewnym z linii matki i jako pierwszy zaproponował przejście na „ty”, w każdym razie kiedy nikt ich nie słyszy. – Naprawdę sądzisz, że zwyciężymy?

–Na Pociętego Smoka! Pewnie! Gdyby gubernator raczył podnieść swój tłusty tyłek i zająć się swoimi obowiązkami, a nie puszczał bańki, to dawno już by tu nie było Biriezyjczyków. To trochę poniżające – rzucanie bojowych pułków na dzikich, ale sprawy zaszły za daleko. Żeby uspokoić ludzi i zmusić ich do powrotu, trzeba będzie urządzić niezła paradę.

–Ja... – Dick lekko się zawahał, ale Oskarowi można było ufać, nigdy nikogo nie zdradził -... pewien... bardzo mądry człowiek mówił mi, że armia nie poradzi sobie z lotnymi oddziałami. Poza tym... Jeśli Ollarowie przegrają tę wojnę, to będzie to sprzyjało sprawie oswobodzenia Taligoj.

–Brednie – zdecydowanie odparł Fensoi. – Na każdy lotny oddział znajdzie się sposób. Należy zbudować wzdłuż gór umocnione obozy i regularnie wykonywać wypady kawaleryjskie. Mamy lepsze konie, a przeciwko naszym muszkietom i pistoletom dzikusy są całkiem bezradne!

–Nie należy nazywać ich dzikusami. Biriezyjczycy są naszymi sojusznikami i walczą o naszą wolność.

–Akurat jesteście im potrzebni z naszą wolnością! – Rysy twarzy Fensoi stwardniały. – Czytaj historię, młody człowieku, to jest pożyteczne. Biriezyjczycy zawsze rżnęli i grabili słabszych. Przed początkiem Kręgu Skał zniszczyli albo wypchnęli do jałowych ziem mniej wojownicze górskie plemiona i tym podcięli gałąź, na której siedzieli. Hodowlą bydła i uprawą roli Biriezyjczycy nie raczą się zajmować, a grabić już nie mieli kogo. Przyszło im odejść do Kagety pod pięść tamtejszych kazarów i zmienić się w psy łańcuchowe. W czwartym roku naszego Kręgu Francisk Ollar odwołał stare esperatyjskie veto, zabraniające osiedlania się w Waraście, i zwolnił osadników i ich potomków na czterdzieści lat z podatków. Warasta zaczęła się zasiedlać, ziemię tu są urodzajne, tak więc Warastanie szybko się wzbogacili. Biriezyjczycy zobaczyli to i postanowili zająć się starym dobrym zbójctwem. Najpierw działali ostrożnie, potem zbeczelnieli, za co teraz oberwą. Nie będę Fensoi, jeśli nie zapędzę do Rassanny pół tysiąca „oswobodzicieli” i nie utopię ich na oczach uciekinierów i durnia gubernatora. Żyję w wielkim kraju i nie pozwolę byle komu go oswabadzać. Jak trzeba będzie, to zrobię to sam i obejdę się bez najemników.

–Oskarze, zwariowałaś!

–Na Stwory Zmierzchu, to wyście powariowali. Świetna myśl! – Oskar rozgorączkował się nie na żarty, w ogóle był człowiekiem wybuchowym. – Oczekiwać pomocy od wrogów, którzy w każdym śnie marzą, że Talig okulał. Ollarowie to mierzwa, nie ma dwóch zdań, ale Rakanowie jeszcze gorsi. Kim oni są, by przychodzić do nas i nami rządzić?! Nie, Dickonie, kto zgłupiał i uciekł, ten zgłupiał i uciekł. Ferdynanda należy przepędzić na cztery wiatry, nie ma dyskusji, ale wyciągać kasztany dla księcia, którego nikt na oczy nie widział, nie będę. Korona powinna należeć do najsilniejszego i najodważniejszego. Oczywiście spośród rdzennych Taligojczyków.

–Ja cię nie rozumiem.

–Boś za młody. – Oskar Fensoi żartobliwie pociągnął Dicka za bandolet. – Teraz naszym zadaniem jest skruszyć Biriezyjczyków i zawojować przychylność osadników i zwłaszcza osadniczek. O! – Oskar umyślnie drgnął. – Pełźnie, potwór. Nikogo się nie boję, a Gila Ponsi – tak. Kobiety boją się myszy i pajaków, a ja jego.

Dick roześmiał się, patrząc na zbliżającą się do nich długą i chudą postać. Gil Ponsi

trafił do grona posłańców dowodzącego Armią Południową dzięki uporowi swojego dziadka, generała kawalerii, sława, którego kiedyś rozbrzmiewała w całym Taligu. Niestety, wnuk kawalerzysty wedle słów Oskara mógł zadrzeć każdą klacz do śmierci, nie dosiadając jej, tylko samym swoim widokiem. Roke nazwał Ponsiego strasznym i Dick tym razem całkowicie zgadzał się z opinią swojego era.

Ponsi zatrzymał się na parę kroków przed Richardem i Oskarem, i zaczął się gapić na rozmówców. Nie było w tym nic dziwnego – Gil rzadko zaczynał mówić pierwszy, zwykle stał jak słup, z wyrzutem patrząc na wybraną ofiarę, z którego to powodu ofiara gotowa była zapaść się pod ziemię.

–O co chodzi? – rzucił z rozdrażnieniem Oskar.

–Panie generale – rozdarł się Ponsi, co też było normą; kiedy posłaniec otwierał usta, słycać go było na drugim brzegu Rassanny – pana szuka pan dowódca sztabu Leonard Manrik.

–Dobrze – rzucił Fensoi, w mgnieniu oka zmieniając się z Oskara w pana dowódcę oddziałów awangardy. – Idę. Kornecie, proszę mnie odprowadzić.

Dick trzasnął obcasami. Dureń Gil nie pozwolił im dokończyć rozmowy, ale Oskar nie ma racji. Królem Taligoi może być tylko Rakan. Er Stancler mówi, że księżę jest prawdziwym Taligojczykiem, ale skąd niby ma to wiedzieć Fensoi? Conseiller rzadko komu odsłania sekrety. Dobra tam, z Oskarem jeszcze się nagadają.

Roke odpoczywał. Fensoi był zajęty, został Gil, ale z nim było gorzej niż bez niego. Richard zabił jeszcze kilka much, które nie zdechły mimo obecności młodego Ponsiego, i zamierzał pójść nad rzekę, ale w przedpokoju rozległ się hałas i do pokoju przyjąć wpadł Jego Świątobliwość biskup Warasty Bonifacy, za plecami, którego widniało dwóch bardzo wysokich mężczyzn o bardzo dziwnym wyglądzie. Dick podniósł się, przywitał uprzejmie biskupa, chociaż wizyta Bonifacego, delikatnie mówiąc, nie ucieszyła go.

Ollariańczyk słynął na całą prowincję z nieumiarkowanego umiłowania do wina, broni i cytowania świętych tekstów. Nic dziwnego, że po przyjeździe do Tronko Proemperadora biskup stał się stałym gościem gubernatorskiej willi. Alvę pijaczyna wyraźnie bawił, a Dick się nim brzydził.

–Gdzie Roke? – Bonifacy podreptał do marszałkowego fotela, na który się zwałił, obrzucił smutnym spojrzeniem stół, na którym nie było nic poza papierami, kałamarzem z piórem i pojemnikiem z piaskiem. Towarzysze biskupa zatrzymali się w progu. Z daleka mogli ujść za bliźniaków, ale z bliska różnili się jak dzień i noc. Jeden na pewno pochodził z północy, pozbawiony brwi, z nosem jak kartofel i małutkimi błękitnymi oczkami, drugi miał duży nos, czarne brwi i przypominał kawkę.

–Hej, pacholęta – znowu odezwał się Jego Świątobliwość – zawołajcie tu przywódcę czcigodnej armii, gdziekolwiek się znajduje. Ci godni mężowie są aduanami, [\[131\] opowiedzą o zbrodniach wyrządzanych na tamym brzegu Rassanny i o obyczajach okrutnych bezbożników.](#)

Ponsi, też stojący od momentu wejścia biskupa, nie poruszył się z miejsca, spode łba wpatrując się w gości. Przeleciała mucha, za oknem coś brzęknęło.

–Co pan tak patrzy, Gil? – nie wytrzymał Dickon. – Jest pan dyżurnym posłańcem, proszę iść do monsignora i zameldować, że przybył biskup Bonifacy.

Ponsi obrzucił Dicka niezyczliwym spojrzeniem, westchnął i wolno przestawiając długie nogi, powlókł się do drzwi. Bonifacy patrzył za nim, potem odwrócił się do Richarda.

–Górze ojcu i matce pacholęcia tego, albo dziecię ich wielce na głowę słabuje. Jako się stało, iż okazał się ów młodzian przy osobie marszałka?

–Jego dziad był generałem kawalerii – oświadczył Dick, ale ollarianina odpowiedź nie urządziła.

–Z konia nie urodzi się jagnię, ale z mądrego może urodzić się głupi, a ze śmiałego –

tchórzliwy. To nie sprawa kuć miecz z gliny i piec chleb z piasku.

Richard całkowicie i zupełnie zgadzał się z biskupem. Gil doprowadzał do szału każdego, kto miał pecha przebywać w jego towarzystwie dłużej niż pół godziny. Dlaczego popędliwy Roke trzymał przy sobie to nieporozumienie, nie rozumiał nikt. Możliwe, że podobało mu się, jak oficerowie na widok długiego posłańca zgrzytają zębami.

–Młodzieńcze – biskup surowo popatrzył na Richarda – na ulicy jest gorąco, wybacz, Stwórco, jak przy Bramach Zmierzchu, i męczy mnie i moich towarzyszy pragnienie.

–Białe? Czerwone? Likier? – zapytał Richard, naśladując Kruka, czym zasłużył na aprobujące spojrzenie pasterza.

–Widzę, że jesteś na miejscu, na którym jesteś potrzebny, i będzie z ciebie za czas jakiś wielki pożytek. Czerwonego! A wam, wojacy? I nie podpierajcie drzwi, wchodźcie i siadajcie. Marszałek jest co prawda ze starej szlachty, ale człowiek to rozumny, głupotą się nie zajmuje, nie to, co niektórzy inni.

–Słusznie, Waszwysokość – odezwał się ten z dużym nosem – dlatego do niego właśnie przyszliśmy. Trzeba wszak robotę robić.

Roke nie zajmuje się głupotami?! Przecież o jego wyczynach plotkuje cały Talig, dla niego nie ma nic świętego... Richard zacisnął zęby i zajął się winem, ale zdążył nalać tylko biskupowi – drzwi otworzyły się, na progu pojawił się Gil. Posłaniec poruszał się nieco szybciej niż zwykle, a na jego twarzy wyraźnie występowały czerwone plamy. Wnuk kawalerzysty stanął dokładnie na środku pokoju przyjęć i z oburzeniem zagapił się ni to na biskupa, ni to na Dicka, ni to na dzban z winem. Bonifacy uniósł siwiejącą brew.

–Co ci, dziecię? I gdzie Proemperador?

Gil Ponsi wciągnął nozdrzami powietrze, ale nic nie odpowiedział, tylko odwrócił się i całym swoim ciałem okazując oburzenie, wypłynął z gabinetu przez przeciwległe drzwi.

–Wasza Świątobliwość – pośpiesznie powiedział Dick – za pańskim pozwoleniem zostawię was na chwilę i zawołam monsignore.

–Idź, dziecię – zezwolił Bonifacy – a my tu na razie zaspokoimy swoje pragnienie.

Dick popędził mrocznym korytarzem, starając się nie zwracać uwagi na kamyk, który nie wiadomo jakim cudem znalazł się w bucie, i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. To było niepodobne do Roke, ale mogło się zdarzyć. Richard

kilka razy uderzył w uśmiechnięty lwi pysk.

–Pożar? – zapytał przez drzwi Kruk. – Czy potop?

–Nie – głupio wypalił Richard – ale... przybył... biskup i przywiózł jakichś celników. Powiada, że ważne.

–Może – zawołał Alva. – Każ podać Jego Świątobliwości wina i zwołajcie radę. Wkrótce przybędę.

–Już pije.

–A aduani?

–Oni też.

–Dobrze, młodzieńcze. Idź, dolewaj im i o ile ci nie sprawi ci to kłopotu, zatroszcz się, by przez pół godziny mnie nie niepokoili.

Richard odwrócił się, ale nie zrobił nawet kroku, jak przeklęty kamyczek dał o sobie znowu znać. Musiał zatrzymać się, zdjąć but i wytrząsnąć małego drania. Cichy kobiecy śmiech zastał młodzieńca stojącego na jednej nodze. Dick nie od razu uświadomił sobie, że śmiech dobiega zza drzwi. Ach, to dlatego Gil wyszedł z plamistym rumieńcem na obliczu! Richard zawahał się, patrząc na dziurkę od klucza, ale pokonał pokusę – jest szlachcicem, nie świnią, a Ponsi na pewno podglądał, to w jego stylu!

A jednocześnie wczoraj, widząc w ręku Dicka „Opowieść o grzesznej miłości rycerza Bartolomeo i pięknej Konstancji, małżonki margrabiego Tarnau”, wygłosił piskliwą perorę o niedopuszczalności tego typu pisaniny i niewybaczalnej rozwiązłości tych, co je czytają.

Richard musiał salwować się ucieczką, a kiedy wrócił, rozpustna grzeszna książka zniknęła. Dick sądził, że Ponsi spalił ją albo utopił w Rassannie, ale rankiem gubernatorski służący sprzątający pokoje posłańców wykrył obrzydliwą historię pod poduszką obrońcy cnoty. Czerwony jak rak Gil wrzeszczał, że to spisak i nieszczęsna „Historia” została mu podrzucona. Oskar w to nie uwierzył i miał rację – jeśli Gil podglądał Roke i jego kochankę, to książkę na pewno on zwinął.

Śmiech się powtórzył, przeszedł w szept, potem zza drzwi rozległy się dźwięki, bardzo przypominające Dickowi piękną Mariannę. Młodzian pośpiesznie naciągnął but i pobiegł do gości. Zdążył na czas – dzban właśnie pokazał dno.

–Monsignore jest bardzo zajęty – zapewnił biskupa Richard, zapalając świece – i nie może przyjść wcześniej niż za pół godziny. Prosił czuć się jak u siebie w domu. Gil,

**proszę posłać po Manrika, monsignore zbiera radę wojenną. Wasza Świątobliwość,
jeszcze wina?**

Alva i Weizel pojawili się jednocześnie, za nimi zaczęli napływać inni. Bonifacy nie miał najmniejszego zamiaru zwalniać fotela gospodarza, ale Alva, wcale tym nie skrępowany, usiadł na parapecie otwartego okna obok niewielkiego stolika, przy którym zazwyczaj siedzieli goście. Od Proemperadora dochodził ledwo wyczuwalny zapach orchidei i młodzieniec przypomniał sobie, że tak właśnie pachniała rudowłosa krewniaczka gubernatora. Gil miał na co popatrzeć! Młodzieniec napotkał ironiczne spojrzenie swojego era i opuścił oczy. Nie podglądał, ale jak to wyjaśnić Roke?

–Tak więc, Wasza Świątobliwość – beznamytnie zaczął Alva – pan i ci panowie chcieliście mnie widzieć.

–Ci woje – zrzędlawie rzekł biskup – przyszli z otwartą duszą, proponując pomoc, ale dumnie ich odepchnięto, a krótkowzroczni nie wysłuchali.

–Co może wiedzieć żołnierz – rzucił się w bój Manrik – który porzucił swój posterunek? Towarzysze tych bydlaków zginęli w boju, a oni uciekli. Potraktowałem ich przesadnie delikatnie, należało ich powiesić za dezercję.

–Proszę nie sądzić pochopnie – błysnął oczyma Bonifacy.

–Panowie – pojednawczo powiedział Weizel – skoro już tu są, to wysłuchajmy ich.

–Nie ma to większego sensu – odciął się Leonard.

–Dla was, ale nie dla nas – poderwał się Savignac. Generał kawalerii był starszy od swojego brata o trzynaście lat, ale Arnould wyróżniał się zrównoważeniem i rozsądkiem, a Emil nie uważał za słuszne hamować swoich uczuć.

–Mówcie, dzieci – postanowił Bonifacy, wypiwszy z tej okazji kielich.

Aduani wstali.

–My – zaczął ten z północy – żeśmy w danym momencie odeszli.

–Kto to może potwierdzić? – skrzywił się Manrik. – Nikt!

–Ale też nikt nie może zaprzeczyć – zauważył Fensoi.

Nic nie miał do aduanów, ale skoro szef sztabu czekał, to dowódca awangardy w odpowiedzi miauczał.

–Najpierw – przerwał mu Roke – proszę się nazwać. Imię, stopień, gdzie służyliście.

–Klaus Konner, młodszy tenant celni, posterunek Bakra.

–Jean Shemantal, młodszy tenant celni, posterunek Bakra.

–I dokąd to odeszliście?

–Na polowanie – opuścił oczy Klaus. – Na susły. Pan kapitan, niech mu ziemia lekka będzie, prosił zdobyć dziczyznę, a my mamy, że się ośmielę rzec, psa...

–Gdzie macie psa? – zapytał Roke, odrywając z kołnierzyka rudy włos. No tak, tuberoza...

–Pies? – nie zrozumiał Klaus. – Ten nasz, czy jak?

–Właśnie – potwierdził Proemperador – chcę go zobaczyć.

Po co erowi był pies tych prostaków, Richard nie wiedział, ale Roke po dziennych wyczynach wyraźnie był w łobuzerskim nastroju.

Jean i Klaus wymienili się spojrzeniami, znowu przypominając bliźniaków.

–Jeśli pan Proemperador nie żartuje... – wykrztusił Jean.

–Nie żartuję. – Alva wskazał Dickowi wino, biskupa i gości.

–Ośmielim się zameldować – pies czeka na ulicy. Proszę pozwolić przyprowadzić.

–Prowadźcie, dzieci – kazał Bonifacy, przyjmując z rąk Dicka pełny kielich.

Aduan, jeszcze się wahając, zniknął za drzwiami i zaraz wrócił, prowadząc za obrozę wielkiego, brudnobiałego, bezuchego i bezogoniastego psa z czarną plamą na pysku. Pies, jak i pan, był oszołomiony, nie wiedząc, czy ma warczeć, czy machać zastępującym mu ogon kikutem.

–Na polującego na susły mi nie wygląda – zauważył Alva, z zainteresowaniem oglądając kusego. – Powiedziałbym, że to wilczarz.

–Bo tak jest – potwierdził Jean – barkańska psina, ale, proszę mi wybaczyć, Lowo w stepie każdy trop znajdzie. Węch ma jak lis.

–Wspaniale – marszałek z aprobatą popatrzył na brzydala, który w odpowiedzi krótko machnął kikutem – czyli, Lowo... Każcie mu się położyć i mówcie dalej.

Celnik położył rękę na karku psa, a ten bez dźwięku ułożył się na gubernatorskim dywanie, położywszy pysk na wyciągniętych łapach. Klaus i Jean znowu wymienili spojrzenie.

–Panie Pryempiradorze, co tam gadać? Susła mi dobylim, a jak powracać poczli – patrzym – dym. Podjeżdżamy, zamiast posterunku – głównie tylko. Naszych było, proszę zauważyć, dwa tuziny, licząc kapitana i nas, grzesznych, a siwulców, żeby żabę ich słowika, cała łapa się zwała.

–Łapa? – zmarszczył brwi Weizel.

–No, siwulce tak swoje oddziały nazywają. Oniż, prosim wybaczenia, we łbie sobie wbili, że od irbisów pochodzą.

–Siwulcami w Waraście zwą Biriezyjczyków – wtrącił się Bonifacy. – Ci poganie rzeczywiście uważają irbisów za swoich prarodziców, a wygnani przez nich Bakranowie to jeszcze gorsi są – uważają się za dzieci kozła. Biriezyjczycy uważają za haniebną każdą sprawę poza wojenną, a jak pacholęta ichnie do wieku męskiego dochodzą, bezbożni kapłani coś im robią, od czego im włosy siwieją. Stąd i siwulce. Wędrują łapami, w każdej dwie setki pogan, a nad nimi główny ichni w skórze irbisa. Inni ludzie są dla nich gorsi od bydła...

–Pan, biskupie, wspaniale to odmalował. Siwi barbarzyńcy w irbisich skórach – to takie romantyczne, mój giermek niewątpliwie będzie zachwycony. Ale, o ile mi wiadomo, wyżej wspomniani siwowłosi po naszej stronie gór nie pozwalali sobie na jakieś specjalne występki. – Roke odwrócił się do aduanów. – Gubernator donosi, że w Waraście teraz jest ponad dwadzieścia tysięcy Biriezyjczyków, prawda to?

–Kłamstwo – odparł Klaus – dobrze jak się uzbiera ze dwadzieścia łap. A i więcej nie potrzebują – napadli, spalili, porznęli i hajda. Ich sprawa taka, zbójcka. Żeby możliwie cicho i szybko, dużymi hordami nie chadzają.

–Bardzo dobrze – skinął głową Roke. – Lowo, jakby co, wyczuje ich?

–A jeszcze jak! – Klaus z miłością popatrzył na swoją szkaradę. – On to taki, że każdego, kogo trzeba, wytropi.

–Dlaczego mnie szukaliście?

–Panie Prymperadorze – zaczął Jean, ale Bonifacy nie dał skończyć celnikowi.

–A dlatego, że ci woje wiedzą wiele z tego, co urodzonym nie w Waraście nie jest znane, i chcą odplacić okrutnym poganom za ich zbrodnie. Jean i Klaus zebrali celnych strażników, myśliwych i pastuchów, których los przygnał w okolice Tronko, i chcą położyć swoje żywoty na ołtarzu ojczyzny.

–Moi zwiadowcy obejdą się bez dezterterów – skrzywił się Leonard Manrik – bo ja nie ufam tym ludziom. Nam się wmawia, że przeciwko nam wystąpiły najwyżej cztery tysiące, podczas gdy dokładnie wiadomo, że w Waraście działa piętnastotysięczna

armia.

–Pan by, proszę wybaczenia, z taką wiarą to klerykiem by mógł być – wypalił nagle Jean. – Nie ma tam piętnastu tysięcy i nie było nigdy. Siwulce nie liczbą biją nas, a bezczelnością i naszą głupotą...

–Jeszcze jedno słowo, dezertarze... – Manrik podniósł się, jego twarz pobieleła jak kreda. Pies uniósł głowę i głucho warknął, biskup odstawił kielich, zamierzając coś odpowiedzieć, ale nie zdążył.

–Proszę usiąść, generale – Roke nawet nie pomyślał, by podnieść głos, ale „gnojacz” opadł na fotel. – Nikt panu tych ludzi nie narzuca. Czyli chcecie iść z armią?

–Tak jest! – wypalił czarniawy.

–Obaj tak zdecydowaliście? – Głos Alvy ciągle był spokojny.

–A jak – zdziwił się Klaus – my żeż wszystko razem.

–Rozkaz o waszym awansie na kapitanów i rozkaz dowodzenia dwoma oddziałami zwiadowców z grona byłych aduanów i warastyjskich ochotników będzie gotowy za godzinę. Panowie – Roke odwrócił się od osłupiałych Warastan – rano wyruszamy. Poza aduanami ze mną pójdzie dziewięć tysięcy ludzi – pięć pułków konnych, trzy piesze, Kenallijczycy i część artylerii. Hrabio Manrik, pan przejmuje dowództwo nad pozostałą częścią armii. Pańskie zadanie to obrona Tronko i osoby gubernatora. Szefem sztabu zostaje u pana Havyland. Mareau, Chenonso, Montre, panowie przechodźcie pod komendę Manrika. Baron Weizel, hrabia Savignac, markiz Diegarron, wicehrabia Fensoi-Trimain, pułkownik Badiglo, proszę wydać stosowne wskazówki swoim ludziom i przed północą wrócić do mnie po odpowiednie rozkazy. Wasza Świątobliwość, proszę przyjąć moje wyrazy wdzięczności, bardzo nam pan pomógł.

–Wyruszam z wami – nieznoszącym dyskusji tonem oświadczył biskup – aby wzmocnić ducha bogobojnego wojska i nieść obrzydliwym poganom światło ollarianizmu.

–Jak pan chce, Wasza Świątobliwość, ale wygod nie obiecuję.

–Ciało nasze podlega duszy naszej. – Bonifacy ciężko się podniósł i skierował do wyjścia. Roke z kamienną twarzą otworzył przed duchownym drzwi i wyszedł wraz z nim i Kenallijczykami.

Celnicy i ich pies wymknęli się za nimi.

–Mam nadzieję, że pan, generale, z dwudziestoma tysiącami utrzyma wroga za Rassanną do naszego powrotu? – Oskar Fensoi czule uśmiechnął się do Manrika.

–O ile wrócicie – odgryzł się Leonard. – Te tumany zaprowadzą was w pułapkę, to pewne, jak...

–Jak to, że pan trafi z pistoletu w przelatującą krowę – zauważył Savignac, naciągając rękawiczkę.

–Zły pistolet – burknął „gnojarz” – pan to wiedział i dlatego zaproponował zakład.

–Rzeczywiście znałem pistolet – nie ukrywał kawalerzysta – i znałem też strzelca.

–Proszę się uspokoić, panowie – podniósł głowę Weizel – może rozstajemy się na zawsze, nie warto na pożegnanie wspominać takich głupstw.

–Jakież to głupstwa? – Roke stał w progu, z leniwym zaciekawieniem wpatrując się w nabzdyczonego Manrika. – Chyba usłyszałem słowo „pistolet”.

–Takie tam! – machnął ręką Weizel. – Manrik założył się z Savignacem, że strąci jego pistoletem wróbla z sąsiedniego dachu, ale spudłował.

–Wszystko zależy od pistoletu! – upierał się Leonard.

Roke zrobił krok w kierunku Emila.

–Pistolet!

Kawalerzysta ochoczo podał Krukowi pistolet, nie odezwał się, ale jego oczy się śmiały. Roke wziął broń w prawą rękę, przełożył do lewej i niemal nie mierzając, wypalił w stronę okna. Pokój wypełnił prochowy dym, ale stojąca na parapecie butla nie ucierpiała.

–No i widzi pan – z zadowoleniem powiedział Leonard Manrik. – Ze złego pistoletu spudłuje nawet najlepszy strzelec.

–Prawdą jest też coś przeciwnego – Alva cisnął przedmiot sporu na stół – zły strzelec spudłuje nawet z najlepszego pistoletu.

Odpowiedzieć Manrik nie zdążył. Savignac z wrzaskiem „Leworęki i wszystkie stwory jego, to ci strzał!” – wyciągnął rękę w kierunku kominka. Trzy świece, stojące na półce nad kominkiem, zgasły.

Rozdział 5

Agaris

„La Dame des Bâtons” [\[132\]](#)

1

Swoich urodzin Matylda Rakan od dawna nie świętowała, a raczej niemal nie świętowała. Księżna wdowa nie wstydziała się ani z powodu swojego ubóstwa, ani swojego wieku, ale patrzeć na przyjaciół nieboszczyka męża – cherlawe mękoły, oplakujące nawet już nie wczorajszy, a przedwczorajszy dzień – było ponad jej siły. Od tych opowieści, jak czterysta lat temu taligojskie krowy doły się masłem, po ulicach chodziły pieczone kury wielkości gęsi, kobiety były wyłącznie pięknymi złotowłosymi dziewczycami, a mężczyźni – niezwykłymi i szlachetnymi rycerzami, księżnę mdliło. A przecież kiedy młodziutka arystokratka zakochała się w księciu-wygnańcu, Ludzie Honoru wydawali się jej niemal mieszkańcami niebios i każde wypowiedziane przez nich słowo było prawdziwe jak „Esperacja”.

Potem nastąpiło rozczarowanie. Matylda była w końcu córką rządzącego księcia nie takiego znowu małego państwa, na sprawach państwowych znała się od dziecka. Kiedy pierwsze oszołomienie minęło, świeżo upieczona księżna Rakan z przerażeniem zrozumiała, że znalazła się wśród ludzi, którzy niczego poza przeszłością i złością na cały świat w ogóle i niegdysiejszą ojczyznę w szczególności nie mają. To, co urodzeni w Agarisie szlachetni potomkowie opowiadali o „wielkiej Taligoi”, nie mogło być prawdą, takich krajów po prostu nie ma i nie może być.

Jeszcze głębsze były rozmowy o tym, co należy zrobić, by przywrócić ukochanej ojczyźnie jej minioną wielkość. Matylda nieźle znała historię Złotych Ziem. Dzisiejszy Talig był półtora razy większy i dziesięć razy silniejszy od tego zajętego przez Franciska Ollara stetryczącego, rozpadającego się na kawałki królestwa. Księżna usiłowała z księgami w ręku wyjaśniać mężowi i jego przyjaciołom, że można i należy mówić o zmianie dynastii i określonych reformach, ale nie o powrocie archaicznych porządków, ale w odpowiedzi słyszała: „To może zrozumieć tylko prawdziwy Taligojczyk i Człowiek Honoru”.

„Prawdziwi Taligojczycy” żyli z tego, że żona ich suzerena wyprzedawała swoją biżuterię, i tak patrzyli na córkę alackiego księcia z góry. Najpierw obrażała się o to niemal do łez, potem przyzwyczaiła się, potem machnęła ręką.

Najbardziej bała się Matylda tego, że jej jedyny syn zmieni się w taki sam ogryzek przeszłości, upajający się szarą, bezsilną nienawiścią do byłej ojczyzny, ale Ernani

wdał się nie w ojca, a w matkę. Był wesoły, uparty, pewny siebie, w następcy kipiała radość i żądza życia. To go zgubiło. Dwa miesiące po urodzeniu pierworodnego Ernani wyciągnął żonę, by popływać pod żaglem. Nadleciał szkwał, łódeczka wywróciła się i nastąpił koniec wszystkiego.

Matylda pozostała z niekochanym smętnym mężem i malutkim Aldo. Gdyby nie wnuk i krótkie spotkania z Adrianem, zwariowałyby albo kogoś zabiła. Najprawdopodobniej Honestiego i jego Ludzi Honoru, żyjących i zadymiających niebo, podczas gdy pełen życia i radości Ernani leżał na starym, obsadzonym cyprysami i berberyssem cmentarzu. Śmierć męża księżna przyjęła niemal jak zbawienie i pod pozorem długotrwałej i głębokiej żałoby zamknęła drzwi swojego domu przed darmozjadami szlachetnego pochodzenia.

Od tej pory jedynym kawalerem Matyldy podczas jej święta był wnuk. Kiedy Aldo był jeszcze chłopcem, księżna, jakkolwiek źle by się nie miały jej sprawy, rozpieszczała chłopca ciastem piaskowym z bitą śmietaną, zamawianym u najlepszego agaryjskiego cukiernika. Aldo zmiatał ciasto, babcia mu pomagała, nie zapominając popijać winem.

Kiedy Aldo skończył czternaście lat, Matylda zaczęła nalewać również wnukowi. Podczas głodnych lat spędzali czas po prostu wspaniale, ale Rakanowie zostali wyciągnięci z niebytu i o poprzedniej wolności musieli zapomnieć. Oto również dziś zamówione ciasto i dwie butelki starego kenallijskiego sieroco czekały w sypialni księżnej, a ona przyjmowała życzenia od tłumu przygłupów i lizusów, najobrzydliwszym, z których był Peter Hogberd, z okazji urodzin Jej Wysokości odziany w kamizelę koloru malwy, z uperfumowaną czymś obrzydliwym wstrętną dereszowatą brodą. Matylda kochała kwiaty, ale w ręku Hogberda nawet róże wyglądały jak sztuczne. Tym niemniej musiała dziękować, częstować winem, wysłuchiwać banałów.

–Wasza Wysokość, dziś jest pani szczególnie królewska!

Jak zwykle Hogberd był ucieleśnieniem uprzejmości i jak zwykle Matylda pomyślała, że gdyby znalazła się na bezludnej wyspie pod jednym drzewem w swoich najlepszych latach, to i tak by za nic...

–Dziękuję panu, baronie. Mówi pan, Roke Alva nie tylko objął dowództwo nad armią, ale przyjął tytuł Proemperadora?

–O tak! Ale nic nie może zrobić i Najlepsi Ludzie zażądają egzekucji.

–Nie widziałam w życiu księcia Alvy – burknęła Matylda, jednak zorientowała się i zmieniła ton – ale to, co o nim słyszałam, każe przypuszczać, że Kruk nie pozwoli skrócić się o głowę.

–Tak, ucieknij do Kenalloi i odcepi się od Taligu. Nam to na rękę – Kenallijczycy nie są najlepszymi poddanymi drogiego Aldo...

Drogię... Ha! Ten wieprz zna tylko jedno znaczenie tego słowa. Drogię jest mu tylko to, co można drogo sprzedać.

–A nie boi się pan, że Alva wygra i tę kampanię?

–To jest niemożliwe, nikt jeszcze nie poradził sobie z rozszanymi najazdami dzikusów – proszę choćby wziąć pod uwagę maryjskich korsarzy albo holtyjskich barbarzyńców czy buntowników z Leśnego Kraju. Gaunau i Drixen od setek lat nie mogą sobie poradzić z wolnymi strzelcami Torki. Tak, pewnie, niektórych łapią i wieszają, ale to kropla w morzu! Guerillę[133] można zdławić jedynie niszcząc gniazda najeźdźców, ale biriezyjskie wsie leżą po drugiej stronie SAGRANNY. Roke może do utraty tęża ganiać za lotnymi oddziałami, może zabić kilka dziesiątek czy nawet setek „irbisów” – Warasty to nie uratuje, a swojego ziarna i chleba Talig mieć nie będzie. Dorac będzie musiał zrezygnować z Alvy, a to stanie się początkiem jego końca.

O końcu Doraca i Ollarów Matylda słyszała setki razy. Od Ludzi Honoru, od Hogberda i innych uciekinierów, od Aldo, od swojego kapłana, od magnusa Clementa, cameristy, cukiernika, lichwiarza... Jediną istotą, która nie pchała się do niej z polityką, była Mupa. Biedna dziewczynka, nie mogła wysiedzieć w jednym pokoju z Hogberdem. O ile samą Matyldę mdliło od pachnideł, którymi bez umiaru oblał się ten wieprz, to co czułaby psina!

–Baronie, jak to się stało, że Dorac dopuścił do utytułowania Alvy, przecież powinien rozumieć...

–O – Peter wieloznacznie się uśmiechnął, stając się jeszcze bardziej wstrętnym osobnikiem – został ograny, i to jak ograny! Co prawda to już drugi raz nie przejdzie, ale gra była warta świeczki. Wszyscy wiedzą, że Ferdynand Ollar nie jest królem, a papugą. Powtarza to, co mu się powie. Dorac powiedział, ale nie uwzględnił jednej rzeczy – śniadania w towarzystwie Jej Wysokości. Katarina Arigau jest tak uczuciowa i litościwa, opowiedziano jej o cierpieniach Warasty, królowa przeplakała całą noc, a rano podzieliła się swoim uczuciem z małżonkiem. Ten wpadł w wojowniczy stan ducha i oto... Zresztą Dorac i jego stronnicy zrobiliby i tak wszystko po swojemu, gdyby nie sam Alva. Kruka zapytano, czy może wygrać tę wojnę. Sama pani rozumie, że odpowiedź mogła być tylko jedna. Dokładnie wiadomo, że Dorac usiłował go uspokoić, ale Alvę już poniosło. Dorac nie wątpi w porażkę...

–Chciałoby się, żeby w końcu miał rację. – Aldo z naręczem alackich lilii stał w progu. – Chcę cisnąć te kwiaty do stóp najlepszej z kobiet. Baronie, proszę wybaczyć, ale pretenduję do całkowitego zawładnięcia swoją księżniczką.

–Oczywiście, Wasza Wysokość. Mam nadzieję zobaczyć pana i Jej Wysokość wieczorem przy wejściu do świątyni Siedmiu Świec.

Hogberd podniósł się, wykonał najgłębszy z posiadanych w arsenale ukłonów. Było to niepodważalnym dowodem, że sprawa Rakanów jest mu droga. Tulipanowy baron spał i widział siebie jako conseillera albo w najgorszym razie skarbnika.

–Udusiłbym – przyznał się Aldo, patrząc w ślad za gościem. – Taki dzień zepsu!

–Nie zepsuł, a tylko nadpsuł – sprzeciwiła się Matylda. – Hogberda możesz przepędzić, ale wieczorna ceremonia...

–No tak – zgodził się wnuk – nie mogli sobie innego dnia wybrać, chociaż... Może chcą ci zrobić prezent.

–Bo do pełni szczęścia tylko nowego Esperadora mi brakuje – roześmiała się księżna, podnosząc srebrzystą lilię. Właśnie takie miała wyhaftowane na szalu przysłanym jej na ślub przez nieboszczyka Adriana. Anesti martwy, Adrian też, a ona żyła, po co? – Cudowne kwiaty, dziękuję, kochanie.

–Wiem, że je kochasz.

–Tak... Aldo, chciałabym znaleźć dla ciebie kobietę, do stóp, której zechcesz cisnąć wszystkie kwiaty świata.

–Och, Matyldo – księżę objął wdowę. – Jestem skazany na życie bez miłości, przecież ty jesteś moją babcią i innej takiej nie ma. A właśnie, gdzie nasze ciasto? Nie pójdę przecież na zebranie głodny!

–Rzeczywiście... Stół dawno już nakryty. Wszystko dobrze szło, aż pojawił się Hogberd. Dziękuję, żeś go pogonił.

–Poczekaj – obiecał wnuk – zostanę królem, to od razu zetnę mu ten łeb, żeby nie pakował się, gdzie go nie proszą, i się nie perfumował.

–No, nie wiem – Matylda w namyśle wciągnęła wargi. – Według praw Taligoj Ludzi Honoru można ściąć tylko za przestępstwa wymienione w Testamencie Ernani Pierwszego.

–No to go dekapituję za zdradę, a na dowód pokażę jego fizys. Człowiek z takim pyskiem po prostu musi być zdrajcą. No to co – idziemy świętować?

–Oczywiście, tylko pomóż mi zebrać swoje lilie.

–Nie moje, a twoje!

Lilie zostały zebrane, ale święto się nie udało. Słynne ciasto leżało na stole między dwoma butelkami „Wdowich Łez”, ale wspaniałe ozdoby z bitej śmietany i kandyzowanych owoców zniknęły. Wierzchnia warstwa była równa i z lekka wilgotna, jakby ją starannie wytarto mokrą ścierką. Matylda podniosła obrus, popatrzyła pod stół i napotkała wzrok pełen skruchy.

–Ach ty, niegodziwa! – Księżna usiłowała nadać swojemu głosowi możliwie dużo oburzenia. – Twoją kawalerię, coś ty narobiła, co?

Mupa, przepelniona skruchą, wpełzła jeszcze głębiej pod stół.

–Niedobry pies – w głosie księżnej słyhać było największą z możliwych czulość – i co ja mam teraz z tym zrobić?

–Oddać grzesznicy i niech się udławi – orzekł Aldo. – A my... My zamówimy nowe ciasto i zjemy je sami. I w ogóle winien jest Hogberd, bo gdyby się nie przyplątał, nic by się nie stało. Nie, koniecznie trzeba go ściąć.

Świątynia Siedmiu Świec była bodaj najmniejszą i najstarszą w całym Agarisie, ale znaleźć się w niej było wielkim honorem. Do świątyni wpuszczano tylko największych świata tego i zaszczyconych szczególną przychylnością Esperadora. Matylida Rakan bywała tu na corocznym Południowym Czuwaniu, [\[134\] ale nie jako księżna z domu Rakanów, a na osobiste zaproszenie nieboszczyka Adriana.](#)

Teraz ją i Aldo poproszono o przybycie na ceremonię wyboru nowego Esperadora, jako przedstawicieli jednego z najjaśniejszych rodów, a to oznaczało, że sytuacja Rakanów stała się lepsza. Należało się cieszyć, ale Matylida czuła tylko zmęczenie. Życie się kończyło, kobieta, mając sześćdziesiąt dwa lata, nie może już niczego zmienić i mieć na coś nadzieję. Chyba że na wnuka, ale jego życie to jego życie, a ona swoje przegapiła. Był Adrian, był przystojny shad, a i księżę Gaunau, którego swatał jej ojciec, był prawdziwym człowiekiem i monarchą, a ona wczepiła się w przystojniutkiego mazgaja.

–Wasza Wysokość, księżno, proszę iść za mną. – Bardzo poważny mnich ze znakiem Czystości na ramieniu [\[135\] poprowadził ją i Aldo do lewej ławki. Nie było to miejsce najbardziej honorowe, ale jedno z wygodniejszych – widzieli wszystko, a ich można było zobaczyć dopiero chcąc tego. Aldo nieco się obraził, Matylida poczuła, że ogarnia ją śmiech i smutek. Dzieciak! Tak chciał zagarnąć możliwie dużo honorów, ale jest tylko urodzonym na wygnaniu następcą dawno obalonego monarchy, a w świątyni zebrano się dobre półtora dziesiątka koronowanych głów i ich krewnych. To, że wśród nich znaleźli się też Rakanowie, oznacza jedno – postawił na nich ktoś bardzo, ale to bardzo potężny. Żeby to zrozumieć, doświadczenia Matylidy było aż nadto, ale jak to wyjaśnić Aldo? Być lalkarzem i być marionetką – zupełnie różne rzeczy. Kim więc jest ich patron? Imperator Gaify? Cesarz Drixen? Ktoś z książąt kościoła?](#)

Kimkolwiek jest, nie pomaga, a chce utracić Ollarów, a raczej Quentina Doraca. Pomysł pachnący beznadzieją. Znacznie lepsze dla Aldo Rakana byłoby ożenić się z następczynią którejś z koron, niechby nawet miał zostać tylko księciem małżonkiem, a potem się zobaczy, jak się kości ułożą. Flawiońska księżniczka Idalia ma dziewiętnaście lat, jej ojciec jest wystarczająco przewidującym monarchą, żeby trzymać następczynię z dala od swoich wielmoży... Może jakoś niechcący natknąć się na księcia i wprosić się do niego w gościnę, w końcu jest jego ciotką.

–Matylido – Aldo mówił szeptem – ten siwy to Adgemar?

–Tak... Nie patrz na twarze, a na herby i kolory.

Aldo skinął głową, ale z twarzy wnuka widać było, że starannie przypomina sobie,

czym się różnią imperatorzy Gaify od królów Agarisu i cesarzy Drixen. Kiedyś go tego uczyła, nie mając nadziei, że ta wiedza może się kiedyś przydać, i proszę – przydało się. Matylda starała się nie patrzeć tam, gdzie siedział otyły mężczyzna z czarno-pomarańczową szarfą przewieszoną przez ramię. Jej brat Albert, dziś książę Alacki. Albert wyrzekł się siostry naciskany przez ojca. Kiedy Honesty zmarł, napisała do domu, ale odpowiedzi i tak nie otrzymała.

–Jeśli podejdzie do nas – szepnął Aldo – dam mu w pysk...

–Nie podejdzie – odszepnęła Matylda – a jeśli podejdzie, zostaw go mnie.

–Ale...

–Milcz, twoją kawalerię! Zaczyna się...

Przeciągle i alarmująco zawyły organy, obok siedmiu zamkniętych drzwi, na których znajdowały się znaki zakonów, ustawili się nowicjusze z ogromnymi świecami z szarego wosku. Świece zapłoną, gdy Kościół będzie miał nowego Esperadora, najprawdopodobniej Juniusa... Rozdzwoniły się dzwony, zapowiadając przybycie magnusów i kardynałów, z których jeden już jest wyniesiony ponad innych i wie o tym.

Książęta Kościoła weszli, przestrzegając raz na zawsze zaprowadzonego porządku. Najpierw magnusowie zakonów, z których jako pierwszy kroczył magnus Sławy Leonid, przecież do tego zakonu należał zmarły Esperador. Za Lwem, jak to było ustalone wiek temu, szła Sowa.[\[136\] Magnus Wiedzy Diomidos walczy o zwycięstwo z Leonidem i Lucianusem. Jako trzeci pojawił się „Miłosierny” Junius, którego prowadził pod łokieć biskup Honore. Matylda po raz pierwszy zobaczyła słynnego kaznodzieję i cnotliwego męża. Wysoki, szczupły, z nieładną natchnioną twarzą, Honore naprawdę wydawał się wysłannikiem wyższej woli. To, że jemu, zawsze tylko wędrującemu biskupowi, powierzono podtrzymywanie słabowitego Juniusa, było wieloznaczne.](#)

Obok Honore magnus Prawdy Clement szczególnie nie rzucał się w oczy; no tak, wszyscy tam są tacy. Wypatrzeć Marinada i Justyniana Matyldzie się nie udało, przeszkadzały kolumny, ale magnusowie Domowego Ogniska i Czystości w potyczce o Jasną Pelerynę udziału nie brali. Magnus Sprawiedliwości Lucianus szedł jako ostatni, chociaż to miejsce w żaden sposób nie odpowiadało jego prawdziwym wpływom. Za „Jednorożcem” szli kardynałowie. Dziwne, zakonów jest siedem, kardynałów znacznie więcej, dlaczego ci nie sprzeciwiają się, że Esperadora wybiera się wyłącznie z grona magnusów? Obawiają się umocnienia wpływów ziemskich władców, czy nie życzą sobie wyniesienia równych sobie?

Dzwon zamilkł, znowu ustąpiwszy miejsca organom. Kiedy uroczysta muzyka

ucichła, Leonid przyjął z rąk ślepego mnicha wiklinowy kosz z pokrywką, wysoko unosił go nad głowę, a następnie, ugiąwszy kolana, opuścił go do stóp magnusa Miłosierdzia.

Niespodzianki nie było. Siły Leonida, Diomidosa i Lucianusa okazały się równe, więc Esperadorem został zmurszały Junius. Rozdzwoniły się dzwony. Clement i Honore jednocześnie rozłożyli Jasną Pelerynę i owinęli nią przygarbioną sylwetkę wybrańca. Świeca w ręku Esperadora zapłonęła i jednocześnie zgasły wszystkie pozostałe płomyki. W kompletnym mroku płonął jeden jedyny ognek.

„Mrok otacza nas. Mrok gęstnieje i tylko Wybrany stoi między nim a Kertianą” – zaśpiewał chór. Samotny ognek nieśmiało posunął się do przodu.

„Od Ognia Wybranego zapalają się świece wielu i od tych świec rozlewa się światło po całej Kertianie, i niosą go wybrańcy Stwórcy...».

Chór śpiewał coraz głośniejsze i głośniejsze, jakby podporządkowując się Słowu Nadziei, jeden po drugim zapalały się płomyki w rękach kapłanów. Pierwsza zapłonęła świeca Honore. Uderzył dzwon, i miły Stwórcy biskup zajął miejsce za Honore. Nowe uderzenie i obok z płonąca świecą w ręku staje Leonid, następny błysk – magnus Lucianus zajmuje miejsce za Honore. Esperador robi jeszcze jeden krok do przodu i świątynia zamiera, oczekując kolejnego wybrańca.

Matylda usiłowała zrozumieć, jak to się odbywa, i nie potrafiła. Dlaczego świece zapalały się wcześniej u jednych, później u innych, dlaczego w ogóle się zapalały? Boski kaprys? Jeśli tak, to dlaczego On wtrąca się do spaw ludzkich tak rzadko i w tak nieznaczący sposób? Matylda niemal była pewna, że świece były jakoś przygotowane, ale nie wyobrażała sobie, jak można na odległość zapalić knot, i to jeszcze w kompletnym mroku.

Hierarchowie jeden po drugim dołączali do procesji, potem zapłonęło siedem szarych zakonnych gromnic i nastąpiła kolej władców świeckich. Pierwszy wstał ze swojego miejsca imperator Gaify, drugim okazał się władca Gazarei, potem ognisty żółty motylek zatrzepotał w ręku Aldo, wnuk drgnął i poderwał się z miejsca. Z woli losu towarzyszem Aldo okazał się siwy i urodziwy Adgemar, jako kolejni wstawali Flawijczyk i cesarz Gaunau, ale Matyldę to już kompletnie nie obchodziło.

Księżna wdowa patrzyła na jedynego wnuka stojącego wśród władców Złotych Ziem i nie od razu uświadomiła sobie, że zapłonęła jej własna świeca. Było to co najmniej dziwne – tylko głowy dynastycznych rodów doznawały wyróżnienia i mogły iść za Esperadorem, ale... „Palec Stwórcy nie może się mylić”. Matylda obejrzała się i zobaczyła, że przyciąga spojrzenia wszystkich obecnych. Czyli to nie pomyłka i póki nie dołączy do procesji, nie będzie nowych ogników. Wdowa pośpiesznie przeszła między ławkami i ustawiła się placami Flawijczyka. Nowe uderzenie dzwonu, malutka

złota iskierka... Księżna wdowa zezem zerknęła na swojego sąsiada – obok niej stał jej brat. Tego tylko brakowało!

Matylda z całych sił ścisnęła świecę. Nie zamierzała rozmawiać z tym człowiekiem – wiele lat temu dano jej do zrozumienia, że dla rodziny umarła. Cóż, niech tak będzie.

Uderzenia dzwonu stały się częstsze, zlewając się w monotony, niekończący się dźwięk, mrok jakby zgęstniał jeszcze bardziej, płomyki świec nie były w stanie go rozproszyć, zrobiło się zimno jak w piwnicy, w twarz uderzył ni to wiatr, ni to przeciąg. Księżna wyciągnęła rękę, żeby osłonić płomyk, ale ten ani myślał trzepotać, zmienił barwę na martwą-zielień! Duma odeszła na dalszy plan. Matylda szybko odwróciła się do Alberta, ale brat zniknął, obok niej stała szczuplutka czarnowłosa dziewczuszka z hardym profilem! Ona sama! Właśnie taką była Matylda Alacka, gdy spotkała Honesty Rakana, spotkała i została z nim, zmarnowawszy, co teraz widziała całkiem wyraźnie, swoje życie.

Młodziutka Matylda nic o tym nie wiedziała, szła do przodu, nie rozglądając się, a świeca w jej rękach płonęła niedobrym zielonym ogniem. Księżna wdowa zawołała dziewczuszkę, ale dzwon zagłuszał wszystkie dźwięki. Matylda chciała upuścić przerażającą ją świecę, ale palce jej nie słuchały, nie udało się też opuścić procesji. Ciało księżnej już jej nie słuchało, Matylda mogła tylko wolno iść przed siebie, tam, gdzie widniały ogromne dwuskrzydłowe drzwi zdobione wizerunkami płonących świec. Między tymi, którzy przewodzili procesji, a portalem zostało dziesięć kroków, osiem, pięć, cztery... Drzwi zaczęły się wolno otwierać, oczom wdowy po Honesty Rakanie ukazał się ciemniejący, pokryty kłującymi roślinami step, na skraju którego płonął płomień zmierzchu.

I uratują się ci, których można uratować, i wejdą oni w kryształowe Wrota Świtu, i odetchną wśród róż Południa, i zapomną o tych, którzy odrzucili ratunek w hardości swej. I zapadną się hardzi w płomień Zmierzchu i lód Północy.

Idący przodem cesarz Drixen zatrzymał się i kichnął, ściągając Matyldę na grzeszną ziemię. Księżna z łomoczącym wściekłym sercem obserwowała, jak otworzyły się drzwi Świątyni Siedmiu Świec, nowy Esperador zrobił krok i wszedł na jasną plamę światła, a przebrane za aniołki dzieci zaczęły sypać mu pod stopy płatki białych róż. To był Agaris, to było światło, to było życie...

–Niechby Obcy trafił tego Esperadora, też znalazł sobie dzień na wybory – Matylda, opierając się na ramieniu Aldo, wysiadła z konnej lektyki. – Najpierw Hogberd, potem ci...

O tym, co jej się przywidziało, księżna nie wspomniała, nie chciała wspominać! Po prostu była bardzo zmęczona, chciała się napić i – w końcu – ma urodziny.

–Ale to już za nami – postarał się znaleźć coś dobrego w niedobrym wnuk. On też był nie w sosie. Czyżby i Aldo coś się przywidziało? Może coś takiego zdarza się każdemu, gdy zapala się jego świeca? Za dużo myślała o przeszłości i oto ta ją dościgła.

–Twoją kawalerię! Za kilka lat Junius umrze – księżna wdowa starała się wyglądać beztrosko. – Wszystko zacznie się od nowa.

–Mam nadzieję, że nas już tu nie będzie.

–Jeśli staniesz się królem, to tym bardziej będziesz musiał wlec się na wybory Esperadora – surowo powiedziała Matylda. – Dobra, co tam... Dzień i wieczór były okropne, należy to zapisać.

–Jeśli twoja suka, póki nas nie było, jeszcze wyłopała wino, to ja... to ja nie wiem, co jej zrobię! – roześmiał się Aldo.

No nie, coś za głośno się śmieje, coś jest nie tak, ale przecież nie będą przed snem rozmawiali o jakichś potwornych sprawach.

–Głupi – babcia szarpnęła wnuka za blond lok. – Jak może wypić, skoro butelki są zamknięte?

–Na Stwory Zmierzchu! Pies jest twój, to może i nauczył się otwierać.

Wino jednakże stało nienaruszone, tak samo jak dostarczone nowe ciasto, a obżarta Mupa wylegiwała się na łóżku gospodyni, położywszy pysk na nocnej koszuli Matyldy, i nawet nie raczyła przywitać pani. Księżna pokręciła z wyrzutem głową, ale nie zepchnęła bezczelnego zwierza z łóżka.

Wnuk i babcia zasiedli do wina w sypialni. Było ciepło i cicho, niepokojąco pachniały lilie, złociste światło gaifiańskich świec zmieniało haftowane na obiciach konie w bajkowe stworzenia. Kiedyś Aldo uwielbiał słuchać o niebiańskich wierzchowcach, których kopyta krzeszały skry.

–Wypijmy za Robera – księżna uniosła kielich. – Niech wróci cało.

–Za Robera – Aldo ochoczo uniósł kielich. – Tęsknię za nim, i nie tylko ja, a... A dlaczego nagle go sobie przypomniałaś?

–Nie wiem, popatrzyłam na obicia i przypomniałam sobie. Niepotrzebnie wysłaliśmy biedaka do Adgemara, dyplomata z niego kiepski.

–Nic mu nie będzie. – Aldo zręcznie pokroił ciasto. – Adgemar to bydlę, ale jest po naszej stronie. A właśnie, chce mnie jutro widzieć... A niech go Obcy! Wypijmy w końcu za ciebie. Kocham cię i żyj wiecznie!

Nowe ciasto było wspaniałe, tak samo jak wino. Wieczór niezauważalnie przeszedł w noc, troski i lęki ustąpiły, odeszły donikąd, rozplynęły w radosnym zmęczeniu. Gdzieś uderzył dzwon, po ścianach płąsały cienie, coraz mocniej pachniały lillie. Mupa na łóżku poruszyła łapą i pisnęła – pewnie jej się śniło polowanie.

Ostatni kielich babcia z wnukiem wypili jak prawdziwi Rakanowie, za przyszłe zwycięstwo. Aldo z szacunkiem ucałował dłoń Matyldy i odszedł, obiecawszy przysłać cameristę. Matylda pośpiesznie, póki nie weszła Paketta, podeszła do łóżka i trąciła Mupę.

–Wstawaj, już tu idzie niedobra Paka.

Mupa poruszyła się i wizgliwie szczeknęła.

–Wstawaj, obżartuchu! – Księżna wdowa jeszcze raz trąciła pupilkę, ale ta ciągle leżała.

–Mupa, co ci jest?!

Matylda potrząsała psem, ale z równym powodzeniem mogła potrząsać kołdrą czy poduszką. Mupa była miękka, ciepła i nieżywa. Wszystko już było jasne, ale księżna pogoniła Pakettę po lekarza. Przybiegł ubrany jak do wyjścia Aldo i został. Świece dopaliły się, zostały wymienione, a księżna wciąż siedziała, trzymając rękę na głowie martwej daity.

Głupia Paketta pewnie powiedziała, że to pani potrzebuje pomocy, bo chudy, łysy człowiek w lekarskiej oponce zaczął od tego, że usiłował chwycić przegub Matyldy, ta wyrwała rękę z lodowatym spokojem.

–Kiedy zachoruję, to sama o tym powiem. lej już nie można pomóc?

Lekarz melancholijnie uniosł powiekę psa i gwałtownie opuścił.

–Pani, co ona jadła?

Księżna popatrzyła na lekarza ze zdziwieniem.

–Jakie to ma znaczenie?

–Obawiam się, że duże, bardzo duże. Oczywiście mogę się mylić, zwłaszcza, że trucizna jest rzadka...

–Trucizna?!

–Znalazła pani swojego psa spokojnie śpiącego i usiłowała go obudzić?

–Tak.

–Oczywiście będę musiał przeprowadzić szereg doświadczeń, ale szanse dziewięć na dziesięć, że została otruta sennym kamieniem. Jak to mogło się stać?

Matylda nie zdążyła odpowiedzieć.

–Pożarła ciasto – wypalił Aldo.

Paketta rozjazgotała się na całe gardło i Matylda, nie poznając swojego głosu, okrzykiem uspokoiła pokojówkę.

–Cóż – rzekł lekarz – to wszystko ustawia na odpowiednich miejscach. Powinna pani dziękować Stwórcy. Gdyby nie przypadek, pani i pani wnuk bylibyście martwi.

–Co każe panu sądzić, że to trucizna?

Po co Aldo to wiedzieć? Zabójcy rzadko używają tych samych sposobów.

–Może słyszeliście starą legendę o tym, że Śmierć ma niebieskie spojrzenie i jego odbicie zamiera w oczach jej wybrańców? Proszę popatrzeć – lekarz jeszcze raz podniósł powiekę Mupy. Źrenice były wielkości szpilek, a białko stało się jasnoniebieskie, koloru kenallijskich szafirów.

–Sekret sennego kamienia uważano za utracony. Więcej, niektórzy uważali, że ta trucizna w ogóle nie istniała. Wiemy o niej tylko ze starych ksiąg. Wielce uczony Lambrianus opisywał jego działanie w następujący sposób: otruty w odpowiednim czasie kładzie się spać i spokojnie zasypia. Jeśli się go nie dotknie, to będzie spał bardzo długo. Czasem sen trwa nawet do siedmiu dób, potem następuje obudzenie i człowiek wstaje żywy i zdrowy. Ale jeśli się go spróbuje obudzić, to natychmiast umiera. Wykryć truciznę można tylko wtedy, gdy została przyswojona w bardzo dużej ilości. Wtedy białka stają się jasnoniebieskie. Pies ustępuje wielkością człowiekowi, ale zjadł porcję przeznaczoną dla dwóch osób i dlatego tylko udało mi

się wykryć, co się stało.

–Dziękuję panu – drewnianym głosem wypowiedziała księżna. – Jest pan bardzo kompetentnym człowiekiem.

–Ależ co też pani. To wie każdy, kto otrzymał dyplom Akademii. Uważam za swój obowiązek zameldować o wydarzeniu władzom Agarisu.

–Proszę meldować – zaskakująco zgodnie powiedziała księżna Matylda. Jej ręce drżały.

–Nalegam, by pani wypita środek uspokajający.

–Poproszę.

Księżna dwoma łykami osuszyła podany kielich, chciała postawić na stole – nie sięgnęła. Wytworny przedmiot upadł na podłogę, poturlał się i zatrzymał między kunsztownie wyhaftowanym pękiem purpurowych róż.

–Wasza Wysokość, byłoby bardzo pouczające móc zbadać trupa. Nie będzie pani miała nic przeciwko, żebym ją zabrał? To pozwoli...

–Proszę zabrać i odejść... Paketta zapłaci panu za fatygę.

–Nic nie mogłem zrobić i wynoszę stąd nową wiedzę. Nic mi pani nie jest winna.

Matylda siedziała i patrzyła, jak łysy, obcy człowiek zawija to, co było Mupą, w przyniesione przez Pakettę płótno. Gdyby nie przyszedł Hogberd, ona z Aldo byłiby martwi. Umarliby po wyborze Esperadora. Wszyscy uznaliby, że goście zasnęli z nudów, zaczęliby ich budzić – i koniec!

–Pani, usilnie zalecam, by się pani położyła. Dałem pani bardzo silny środek, wkrótce zacznie działać.

–Odejdźcie, zaraz się położę. Kiedy się pan dowie wszystkiego, proszę zwrócić mi Mupę. Powinam ją pochować.

–Oczywiście, Wasza Wysokość. Pani jest bardzo dobra.

–Proszę odejść.

W końcu odszedł. Wraz z Pakettą. Aldo zamknął drzwi na klucz i odwrócił się. Gdyby nie wypomadowany wieprz, chłopiec już by nie żył.

–Na Stwory Zmierzchu! – Księżna cisnęła poduszką w ścianę, opadła na podłogę i rozszlochała się, ocierając łzy rękawem jak dziewczynka z ulicy.

Aldo patrzył na nią rozszerzonymi z przerażenia oczami i księżna zrozumiała, że wnuk po raz pierwszy widzi ją płaczącą. Kiedy ostatni raz tak szlochała? Dawno, bardzo dawno temu... Jedna ze świec przechyliła się i omal nie wypadła z gniazda. Aldo ją zdmuchnął.

–Aldo – głuchym głosem powiedziała Matylda Rakan. – Teraz już nie mamy wyjścia. Twoją kawalerię! Musimy zdobyć tę przeklętą koronę, inaczej nie pożyjemy.

Rozdział 6

Warasta

„Le Quatre des Épées”[\[137\]](#)

1

Kilku jeźdźców, nie kryjąc się wcale, harcowało na szczycie płaskiego kurhanu, bezceremonialnie przyglądając się szykującemu popas wojsku. Z każdym wieczorem biriezyjscy zwiadowcy podchodzili coraz bliżej, można ich było już ustrzelić z muszkietu albo zraniwszy konie, wziąć do niewoli, ale było to zakazane. Tak samo jak samowolne opuszczanie obozu.

Oskar Fensoi ze złością popatrzył na tańczących Biriezyjczyków. Generał rwał się do walki, ale próby przekonania Kruka, by zacząć choćby polowanie na zwiadowców, były bezlitośnie ucinane.

–Ileż można to ciągnąć? – burknął Fensoi. Richard wcale nie był przekonany, że Oskar zwraca się do niego, ale na wszelki wypadek poradził, by nie zwracał na nich uwagi. To był błąd.

–Nie zwracać uwagi? A na co mam zwracać uwagę?! Na świerszcze? Na ryby w rzece? Jestem Taligojczykiem, a nie bocianem, i przybyłem tu walczyć! Walczyć, nie stokrotki zbierać! Dziesięć i pół tysiąca ludzi już trzeci tydzień zbiera stokrotki...

Dick nie odezwał się. Armia Proemperadora szła wzdłuż brzegu Rassanny, szła, nie tracąc sił i jednocześnie szybko, ponieważ Roke porzucił w Tronko wszystko, co mogło posuwanie się opóźnić. Marsz nie był trudny, czemu sprzyjała świetna pogoda. Konie miały do woli wody w rzece i paszy na porzuconych polach, ludzie też nie narzekali. Na popas zatrzymywano się za dnia na obszernych, przylegających do rzeki łąkach, rano wyruszano, nie zwracając uwagi na krążących dokoła Biriezyjczyków, których zresztą wielu nie było. Po kilku dniach irbisów, a właściwie ich konie zaczęto już rozpoznawać. Armie „odprowadzało” około trzydziestu górali, widocznie zwiadowcy. Fensoi nie wątpił – podstawowe siły Biriezyjczyków nadal grabiły Środkową Warastę, ale Proemperador uparcie prowadził wojsko zachodnią rubieżą prowincji. Oskara doprowadzało to do szału i można go było zrozumieć.

–Zrozum, Richardzie. – Fensoi jeszcze raz popatrzył na majaczących nieopodal jeźdźców i z obrzydzeniem odwrócił się w kierunku rzeki. – Zachwycąłem się Alvą takim, jakim był pięć, dziesięć lat temu, ale teraz... Najlepsze, co może zrobić, to zginąć w boju, póki nie zmienił się w taką samą nikczemną ruinę jak dziadek Ponsi.

Pamiętasz, jak zaczynał? Posłał do Leworękiego nieboszczyka Rocksleya z jego rozkazami i poszedł tyłami Gaunau. Gdyby nie pułkownik Alva, Rocksley utonąłby w kałuży!

Dick znał tę opowieść od ojca. Wtedy obaj – Egmont Ockdell i Roke Alva – znajdowali się w Armii Zachodniej, którą dowodził Henry Rocksley. Uważano go za doświadczonego dowódcę, ale najpierw nie docenił niebezpieczeństwa idącego ze strony króla Gaunau i pozwolił wciągnąć się w niewygodny bój na niewygodnych pozycjach, a potem spanikował i kazał się wycofać. Skrzydło generała Warzowa, gdzie znajdował się Egmont Ockdell, miało osłaniać odwrót. W rozkazach mówiło się właśnie tak, ale Warzow rozumiał – ma tylko dwa wyjścia: poddać się albo zginąć.

Przez cały dzień ariergarda w okropnych pozycjach powstrzymywała napór kilkakrotnie przeważających sił przeciwnika i kiedy już nie mieli na to sił, stał się cud. W tyły Gaunau uderzyły trzy konne taligojskie pułki, które prowadził pułkownik Alva. Tak Wolfgang fok Warzow stał się marszałkiem, a Roke Alva generałem. Wybaczone mu wszystko, nawet zastrzelonego z bezpośredniej odległości generała, który odmówił podporządkowania się Kenallijczykowi. Zwycięzców się nie sądzi, Gregory Carliona uznano za zabitego w pojedynku. Ojciec przyznawał, że Alva uratował wszystkich, chociaż takie działania nie mieszczą się w kodeksie działania Człowieka Honoru. Po pięciu latach drogi Egmonta Ockdella i Roke Alvy znowu się skrzyżowały.

–Wybacz, Dickonie – Oskar Fensoi położył dłoń na ramieniu młodzieńca. – To, co Alva zrobił z buntownikami, z wojskowego punktu widzenia było genialne. I miał rację! Nie kupuje się wolności za cudze pieniądze. Gaunau, Drixen i Gaifa płacą nie za zwycięstwo Taligoi, a za krach Taligu. Twój ojciec...

–Mówiłeś o Kruku! – przerwał mu Dick.

–Dickonie, powtarzam, współczuję ci, ale jesteś moim przyjacielem, jesteś mężczyzną i Taligojczykiem. Nie mam prawa cię okłamywać, ale co do jednej rzeczy masz rację. To jest ważna rozmowa, dokończymy ją w innym czasie i w innym miejscu. Teraz rzeczywiście mówimy o Kruku. – Oczy Fensoi błysnęły. – Alva sięgnął swoich szczytów, teraz może już tylko schodzić w dół. Jego czas przeminął, przepija go, a przecież mógłby stać się kimś znacznie większym, niż się stał. Talig ma już dość nieudolnego i słabego monarchy, ale i obcych nie chce. Roke miał wszystko – sławę, powodzenie, znakomite pochodzenie, armię, pieniądze nawet! Mógł uratować Talig, mógł odkupić to, co uczynił jego przeklęty przodek, ale on miał w nosie dobro kraju. Roke Alva zawsze kochał tylko Roke Alvę, lubił dowodzić armiami i walczyć, ale tylko póki był młody. Teraz pije, tarza się w rozpuście i nic nie robi. Cóż, to oznacza, że czas ustąpić miejsca młodszemu...

Oskar był przekonany, co do swojej racji, ale nie rozmawiał z erem Stanclerem. Jak wyjaśnić Fensoi, że to wszystko nie jest takie proste? Er August jest przekonany, że

takich wojen się nie wygrywa. Bezczytność Roke była niezrozumiała, ale Alva nigdy nie postępował tak, jak się tego od niego oczekiwało. Jeśli Biriezyjczycy myślą tak samo jak Oskar, to zachowanie Kruka zbije ich z pantafelku. Ale jaki jest tego prawdziwy cel? Zmusić wroga, by zwarf swoje siły w pięść, i zaatakować wtedy jako pierwszy?

–Nie byłeś na Radzie Mieczu, a ja byłem. – Fensoi zinterpretował milczenie Dicka po swojemu. – Alva został zapędzony w kąt. Gdyby nie Jej Wysokość, przyjąłby plan Doraca, a stara żaba chciała zamknąć się na zachodnim brzegu i oddać Warastę dzikusom. W Alvie została jeszcze duma, dlatego wdał się w ten marsz, ale obawia się tej wojny i nie czyni tego, co powinien.

–A jesteś pewien, że wiesz, co powinien?

–Tak, wiem. Należy wyposażyć myśliwych i wyłapać biriezyjskich zwiadowców – to nie będzie trudne, mamy lepsze konie i nasze muszkiety biją dalej. Kiedy dowiemy się nie z ust naszych uciekinierów-celników, którym ufa marszałek, bo tak mu wygodniej, a z pierwszej ręki, ilu Biriezyjczyków jest w Waraście i gdzie są, wybierzemy miejsce na ufortyfikowane obozy, skąd będziemy prowadzić rajdy. Przed jesienią oczyścimy prowincję, ludzie wrócą do domów, bo będą wiedzieli, że żyją w silnym państwie, które zawsze ich obroni. I obronimy! Nie możemy już im pobłażać, Dickonie. Jeśli nie weźmiemy wszystkiego w nasze ręce, to przegramy tę kampanię, nawet jej nie rozpoczynając. Musimy działać, i to natychmiast.

–Oskarze, mam nadzieję, że nie odejdziesz bez pozwolenia?

–Ja nigdy niczego nie robię ukradkiem. Oczywiście, że najpierw porozmawiam z księciem, i lepiej, by mnie zwolnił!

–Kruk się nie zgodzi.

–Na Stwory Zmierzchu, jeśli nie pozwoli, to wezmę trzystu ludzi, i pójdziemy na polowanie sami. Kiedy przyprowadzę jeńców, Alva nie będzie miał innego wyjścia, jak przerwać ten durny marsz. Dickonie, pójdiesz z nami?

–Nie, jestem giermkim marszałka i poza tym...

Co „poza tym”, Dick nie zdążył wymyślić, ponieważ z za najbliższego namiotu pojawił się Roke we własnej osobie. Krukowi towarzyszyli celnicy i Weizel, ale przy wejściu do swojego namiotu marszałek zwolnił ich. Oskar klepnął Dicka w ramię.

–To przeznaczenie! Teraz albo nigdy. Idziemy!

Dick wcale nie miał ochoty uczestniczyć w tej rozmowie, ale nie miał jak się wycofać, poszedł więc za Fensoi, przeczuwając kłopoty, i to wielkie. Roke powitał

Oskara dość przyjaźnie, ale to niczego nie oznaczało, wręcz przeciwnie.

–Rad jestem pana widzieć, generale. Sądząc z obłoków, jutro będziemy mieli ładny dzień.

–Możliwe, monsignore. Proszę o kilka minut na ważną rozmowę.

–Chętnie. – Alva wyglądał na nieco rozkojarzonego. – Richardzie, proszę nas zostawić.

–Monsignore, nie powiem niczego, co było tajemnicą przez księciem Ockdellem.

–Richardzie, proszę nas nie zostawiać. Tak więc, Fensoi, czego pan sobie życzy?

–Moi ludzie są zmęczeni tym spacerem.

–Już rozmawialiśmy o tym – przypomniał Proemperador. – Trzykrotnie.

–Czterokrotnie – poprawił go nagle zachrypnięty Fensoi.

–Tym gorzej, bo to znaczy, że jest pan jak rzadko mało rozumny. To nie najlepsza cecha dla generała, chociaż bandolet mało co zmienia. Generałom często zostają tylko kapitańskie mózgi.

–To, co mam rozumieć, rozumiem. – Głos Fensoi drżał z wściekłości, ale na Alvie nie robiło to najmniejszego wrażenia.

–A co w takim razie uważa pan za godne swojego rozumienia?

–To, że mieszkańcy Warasty oczekują naszej pomocy, a my ich zdradzamy. Póki pluszczemy się w Rassannie, pod Bakrą mordują i gwałcą. Naszym obowiązkiem jest pomóc ludziom, którzy pokładają w nas nadzieję.

–Myli się pan. – Roke twardo popatrzył na rozmówcę. – Moim obowiązkiem jest ustawić Biriezyjczyków na właściwym miejscu, a pana obowiązkiem jest podporządkować się moim rozkazom. Jutro będziemy kontynuowali poruszanie się wzdłuż rzeki...

–I przed jesienią staniemy przed Irbisimi Wrotami? – odezwał się Oskar.

–Wcześniej. Może pan odejść... generale.

–Monsignore, ja nie zamierzam uzależniać interesów Taligu od pańskiego kaprysu. Żądam, by zawrócił pan w stronę Bakry i żądam, by rozpoczęto polowanie na wrażych zwiadowców.

–Nie może pan niczego żądać, Fensoi-Trimain. Nie jest pan królem, nie jest brzemienną dziewoją i nawet nie jest pan przywódcą jakiegoś przedpotopowego domu, jak mój giermek. Proszę zostawić swoje żądania przy sobie i iść spać.

–Tylko to robimy, śpimy. Jeśli boi się pan polowania na zbójów, to uczynię to ja. Trzech setek ludzi wystarczy, by wyłapać tych zwiadowców, po czym awangarda zawróci w stronę gór.

–Oskarże Fensoi... – Roke nawet nie przyszło do głowy podnieść głos, ale gdyby w tym momencie ryknął, Richard czułby się bezpieczniej. – Jeśli pan złamie rozkaz, rozstrzelam pana przed szykiem i na tym się pana wyczyny skończą. Czy pan mnie zrozumiał?

–Tak, monsignore – ukłonił się Fensoi. – Bardzo dobrze pana zrozumiałem.

–No to pańskie szczęście, jeśli tak jest naprawdę.

Oskar zniknął przed świtem. Zmęczyło go czekanie, aż wojna przyjdzie do niego, i wyszedł jej na spotkanie. Dick widział, jak ludzie Fensoi, prowadząc wierzchowce za wodze, jeden po drugim znikają w przylegającym do obozu parowie. Być może do obozu nie dało się wejść, ale wyjść – bez trudu. Kiedy wiadomość o ich odejściu rozpowszechni się, na pościg będzie za późno. Richard miał nadzieję, że Oskar za kilka dni pojawi się w obozie z jeńcami lub bez nich. Oczywiście oberwie od Kruka, a może i nie – Roke w młodości chętnie sprzeciwiał się dowódcom i miał na koncie różne wariackie wyczyny, raczej tylko ukarze tych, co przegapili odejście trzech setek ludzi.

Znacznie bardziej zajmowały Dickona słowa Fensoi o tym, że Katari zmusiła Alvę do objęcia dowództwa nad armią. Czyli chciała wojny, ale dlaczego? Dlatego, że myśli jak er August, czy odwrotnie? Ma nadzieję, że Kruk oswobodzi Warastę? W słowach Oskara jest sporo racji, Biriezyjczycy zabijają nie „gnojarzy”, a prostych ludzi, którzy niczemu i nikomu nie zawinili. Oczywiście kiedy Ollarowie upadną, będzie się żyło lepiej wszystkim i Warasta szybko się podniesie, ale martwi pozostaną martwymi. Czy nie można było wytłumaczyć „irbisom”, że nie powinni mordować? Niszczyć zasiewy, kraść bydło, palić domy – to jeszcze dopuszczalne. Kiedy zagrabione przez Doraca i „gnojarzy” pieniądze wrócą do skarbcza, będzie można poszkodowanym wypłacić odszkodowania, ale żadne pieniądze nie zastąpią zamordowanych krewnych. Zresztą prostacy, jak ci przygarnięci przez Kruka aduanowie, raczej nie są zdolni do wysokich uczuć. Ich towarzysze zginęli tak niedawno, a oni śpiewają, piją, śmieją się z głupich i niewyszukanych dowcipów.

Dick widział, że Fensoi był urażony również tym, że jego awangarda musi się wlec z siłami głównymi, a zwiad prowadziła banda gołodupców. Oskar twardo postanowił utrzymać nosa Proemperadorowi i jego nowym pupilom, a wiedzący o tym Dick już się martwił, że Kruk domyśli się udziału giermka w wyskoku Fensoi. Udało się – Alva przez cały dzień jakby spał w marszu, wyglądało, jakby nawet nie zauważył, że jeden z generałów poszedł na samowolkę.

Powód takiego roztargnienia był oczywisty – dawały o sobie znać nocne opilstwa w towarzystwie Jego Świątobliwości. Richard po raz pierwszy w życiu przyłapał się na tym, że odczuwa wdzięczność do ollarianina, chociaż, jeśli mówić szczerze, sługa boży był z biskupa taki, jak z karalucha koń. Samemu Bonifacemu pijaństwa nie szkodziły – biskup z zadowoloną miną grzał się na słoneczku przy namiocie, od czasu do czasu nurkując we wnętrzu i wynurzając się z jeszcze bardziej zadowoloną miną.

Pętając się po obozie, Richard przeszedł obok ollarianina dobre dziesięć razy – nie dało się usiedzieć w jednym miejscu i czekać, kiedy stanie się wiadomym wypad

Oskara. A porozmawiać nie było z kim. Przecież nie będzie wchodził w komitwę, to już przesada, z Kenallijczykami czy aduanami! Młodzieniec włączył się na podobieństwo cienia między namiotami, póki nie przyłączył się do kółka Warastan, otaczających wąsatego chłopaka, z natchnieniem opowiadającego o przygodach jakiegoś złodzieja.

Richard Ockdell był wychowany w esperatyjskiej surowości i pamiętał, że złodziejstwo jest jednym z cięższych grzechów, ale opowieść okazała się tak zajmująca, że Dick na śmierć utknął wśród słuchaczy.

Er przypomniał sobie o giermku dopiero po kolacji, o czym powiadomił Dicka jakiś muszkieter, który oderwał młodziana od przygód nieuchwytnego Garreta. Bajka, przepelniona starymi sekretami, koszmarnymi potworami i niewyobrażalnymi przygodami, skończyła się. Trzeba było wracać do powszedniego żywota, pełnego zwrotów i krzywd. Richard nie wątpił, że zostanie zapytany o Oskara i swoim zwyczajem już, uprzedzając fakty przeżywał mającą się dopiero odbyć rozmowę. Niemal uwierzył w słowa, jakie wypowie jego er, i w swoją godną odpowiedź, ale wszystko oczywiście potoczyło się inaczej.

Roke Alva wylegiwał się na trawie przed wejściem do swojego namiotu. Czarne włosy marszałka skrywała zawiązana na kenallijski sposób chusta, leniwie bawił się kindziałem, ale szpady przy sobie nie miał. Roke nie przypominał teraz Proemperadora Południa, a rozbójnika z wielkiego gościńca. Mówiąc szczerze, powinien być urodzić się zbrojcem.

–Co się z panem dzieje, młodzieńcze? – Na poły senne spojrzenie marszałka przemknęło po twarzy Dicka. – Taki upał, a pan chodzi cały dzień po słońcu jak jakiś poeta. Proszę się przyznać, dlaczego. Udręki miłości, nieczyste sumienie czy myśli o próżności wszystkiego, co nas otacza?

Dick jak zwykle zmieszał się, ale Roke, nie czekając na odpowiedź, przymknął oczy i odrzucił głowę, podstawiając policzki pod zachodzące słońce.

Wieczór był piękny. Upał powoli opadał, wypalone niebo wypełniało się głębokim błękitem, w wysychającej trawie trwał koncert świerszczy. Obfitość przemierzających ich step ludzi i koni nie martwiła małych skrzypków, chociaż niosła też niezręcznym i leniwym zgubę pod kopytami i kołami. W Nadorze świerszcze były mniejsze i innego koloru – szare i jasnozielone... W Nadorze w tej chwili zbiera się jabłka i ogłasza się jesienne śluby. Trzeba by zaprosić Oskara do Nadoru. Wspaniale spędzą czas – będą jeździć na polowania, będą fechtować, strzelać. Trzeba się nauczyć gasić kulą świece. Ojciec mawiał, że jeśli jeden człowiek coś zrobił, drugi może to powtórzyć. A może Oskarowi spodoba się Iris i zostaną krewnymi, niemal braćmi. Nal to mazgaj, a Fensoi-Trimain, jakby coś się stało Dickowi, byłby godnym Władcą Skał.

–Monsignore, proszę mi pozwolić zameldować. – Dick drgnął i otworzył oczy. Zmierzch zgęstniał, ale Klausa młodzieniec rozpoznał od razu. – Koniec, żaba ich słowika! Można jechać.

–Jean jest tam? – W głosie Kruka nie słychać było już nawet cienia lenistwa.

–A gdzie jeszcze? Pilnuje ich najlepiej jak się da.

–Ilu ich?

–Jak myśleliśmy, trzy „łapy”. Świeżutkie, nażarte...

–A nasi?

–Zamierzają kimać. W zagajniku przy ruczaju. Znaleźli sobie miejsce, żaba ich słowika!

–Zdążymy?

–Lekko – zapewnił go celnik. – Tam klusem godziny trzy, nie więcej, a siwulce wcześniej jak pod świt nie leżą. Znam ja ich.

–Śledzą nas?

–Śledzili – burknął heros. – Trzech. Już nie śledzą.

–Ty?

–Dwóch ja, trzeciego – Lowo. Ja, monsenior, od razu waszych uprzedziłem, jak pan kazali.

–Dobrze. – Roke poderwał się z ziemi i chwycił leżącą obok opończę. – Idziemy, młodzieńcze, czeka nas spacer pod gwiazdami.

Dick posłusznie zszedł za swoim erem i Klausem do tegoż parowu, którym wymknął się z obozu Oskar. Na dole czekali gotowi do wyjścia Kenallijczycy i aduan, trzymający za wodze wierzchowce. Lowo, cicho pisnąwszy, wsadził pysk w dłoń pana, ale na tym poprzestał.

Pies wyraźnie wiedział i rozumiał więcej niż Dick – chłopak kompletnie nie miał pojęcia, dokąd i po co się wybierają, najpierw tym parowem, potem po ciemnym, tajemniczym stepie. Niebo było jasne, ale księżyc urodził się niedawno i niemal nie dawał światła, ale z przodu i po bokach zapalały się i gasły dziwne błękitnawe iskierki. Richarda dręczyło pytanie, co to jest, ale zapytać się nie odważył. Konie szły rześko, choć z takim samym powodzeniem mogły stać w miejscu – po Waraście można galopować całymi dniami, a dokoła będzie ten sam niekończący się, pokryty

twardą trawą step, z rzadka przecięty rzeczułkami i parowami.

Dick nie miał pojęcia, jak tu można trzymać się drogi, chyba że według gwiazd, ale celnik z niezachwianą pewnością prowadził oddział, nawet nie usiłując patrzeć w niebo. Przed nim biegł Lowo, potem jechali Roke i Klaus, a za nimi, po trzech w rzędzie, kenallijscy strzelcy i aduanowie.

Kruk był zajęty rozmową z Konnerem – wypytywał go o mieszkańców SAGRANNY i wydawało się, że był całkowicie pochłonięty opowieścią o jakichś bakranach. Dick słuchał jednym uchem, starannie wyobrażając sobie nadchodzące kłopoty. Dlaczego wymaszerowali w tajemnicy? Dokąd? Kogo śledzili Jean z Klausem? Co to w końcu wszystko znaczy?! Czyżby Kruk postanowił odszukać Fensoi? Alva nie lubi, kiedy się łamie jego rozkazy. Teraz już Dick nie wątpił, że Oskar mocno oberwie, a przy okazji i on, bo przecież wszystko wiedział, a nie powiedział.

–Młodzieńcze, proszę nie spać. – Po okrzyku Roke Dick drgnął.

–Nie śpię, ja... Zamyśliłem się.

–Współczuję. – Richard nie widział twarzy Alvy, ale nie wątpił, że ten uśmiecha się tym swoim nieprzyjemnym uśmieszkiem. – Klaus, ja rozumiem tak, że Bakranowie noszą miano od nazwy góry, ale mieszkają przecież w zupełnie innym miejscu. O co tu chodzi?

–A o to, monsinior – odparł Klaus – że, ośmielę się zameldować, Bakranowie wcześniej żyli pod samą Bakraną. Tam i polowania lepsze są, i okolica. Ale ich stamtąd Biriezyjczycy wywalili.

–Widzi pan, młodzieńcze – pouczającym tonem rzekł książę – jakimi wielkimi ignorantami jesteśmy. Historia jest rzeczą zadziwiająco pouczającą. Pańscy ulubieni Biriezyjczycy, których my, zgodnie z pańską wiedzą, pozbawiliśmy ojczyzny, w swoim czasie wyrzucili z rodzimych popielisk nieznanych nam Bakranów i być może nie tylko ich.

–W punkt pan patrzy, monsinior – wtrącił się celnik. – Poza onemi Bakranami w tych krajach żyli jeszcze Jagowie, ale ich już nie ma zupełnie. Oni odejść nie chcieli, bo się do gór modlili. Bakranowie, ci to w bogakozła wierzą, że niby wcześniej czy później ziemia się rozstąpi, wyjdzie z niej ognisty kozioł i wszystkich bakranowych wrogów zdepcze, a Biriezyjczyków, żaba ich słowika, jako pierwszych. I tym żyją. A Jagowie swoje kamienie bronili, no i się obronili... Góra została, a po nich śladu nie ma.

–A co jeszcze o tych Bakranach wiesz? Bywałeś u nich?

–Jak miałem nie bywać, oni nienadaremnie modlą się do kozła, kozy mają najlepsze,

jakie można wymyślić – i mleczne, i wełniane, i do jazdy. W górach to by nam było ciężko bez koziej wełny, no to do nich jeździmy, wymieniamy się i wszyscyśmy radzi. Biednie oni żyją, oj, biednie. Biriezyjczycy, żaba ich słowika, wypchnęli Bakranów za Górę Pylną i zakazali im się niżej pojawiać. Inaczej, powiadają, wszystkich porzniemy. I siedzą oni w górach tych...

–Ty po ichniemu gadasz?

–No – wzruszył ramionami celnik – dogadać się mogę. Ile my bierzemy, ile my dajemy... Starszy ichni po naszymu dobrze rozumie. Jeśli nie umarł, wiadomo. On jest do rzeczy, wie, na czym korzysta.

–A jak się nazywa?

–Bakna go wołają, ale, proszę wybaczyć, monsinior, nie wiem, imię to, czy może jaki tytuł.

–Cóż, wyjaśnimy to, Klaus. Długo jeszcze?

–Ale tam, już prawie dojechalim. Teraz by lepiej nie gadać.

Nie minęło pół godziny, jak Klaus skręcił w prawo. Droga zaczęła piąć się pod górę, dało się słyszeć ciurkanie wody, przed nimi pojawiła się czarna kudłata ściana zakrywająca gwiazdy. Jeszcze trochę i aduan zatrzymał konia i niemal niesłyszalnie gwizdnął. Lowo bezszelestnie runął do przodu i zniknął. Ludzie i konie wsłuchiwali się w napięciu w pachnącą goryczką ciemność. Czas zatrzymał się, niebo też zaniechało obrotów.

Słaby wiaterek wiał w twarz, przenosząc lekki zapach dymu, dokoła było cicho i spokojnie, ale serce Dicka łomotało jak przed pojedynkiem. Gdzie oni? Co się pali? Co wymyślił Roke? Co teraz będzie? Sona niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę, młodzieniec nerwowo ścisnął wodze, ale kenallijska kobyłka w odróżnieniu od Psoтника wiedziała, kiedy i gdzie można się wygłupiać.

Z dołu rozległo się jakieś sapanie i Dick nie od razu zrozumiał, że to wrócił Lowo z Jeanem. Kruk zeskoczył z konia, dając przykład pozostałym.

–Młodzieńcze – książę mówił bardzo cicho, niemal szeptał – pańska sprawa – konie. Proszę pozostać z Ariamem i Farabundo i niech panu nie przyjdzie do głowy pchać się do przodu. Jeśli rano pan nie zrozumie, to wyjaśnię to panu. Proszę dopilnować Moro, do niego też z trudem dociera.

Roke przemknął przez zarośla i zniknął, zniknęli wszyscy. Pozostały noc, niewiadoma i pobrzękujące wędzidłami konie. Wyszkolone wierzchowce, wiedzące, kiedy należy milczeć. Któryś, czy to Ariam, czy Farabundo, usiłował potarmosić Moro

za grzywę, ten wygiął łukiem szyję i skoczył w stronę bezczelnego mężczyzny, usiłując sięgnąć go kopytem.

–O, jaki! – z zachwytem wyszeptał aduan. – Całkiem jak pan.

Dick chciał odpowiedzieć – nie zdążył. Duszna cisza eksplodowała trzaskiem, wiejący w twarz słaby wiaterek usłużnie przyniósł woń kwaśnego prochowego dymu i krzyki. Moro szarpnął się, zapomniawszy, że jest przywiązany, skoczył w tył, parsknął i zaczął ryć ziemię. Zaraził niepokojem inne, stojące dotychczas spokojnie konie – zaczęły ciągnąć wodze. Celnicy rzucili się do nich, a Dick usiłował uspokoić Moro, ale ten wyszczerzył zęby i usiłował odwrócić się do chłopaka tyłem. Richard zdążył się już dowiedzieć, co to oznacza, i pośpiesznie odskoczył. Moro odwrócił się – w ciemnym oku odbiła się błękitnawa przedwieczorna gwiazda – i zachrypiał, swoim zwyczajem ryjąc ziemię.

–A monsinior kompletnie odjechał – zaczął narzekać Warastyjczyk – a jak zabłąkana kula, to co? Co my bez niego?

–Czego skowyczesz – odgryzł się drugi – jak pies? Kruk nie jest nieboszczykiem. Nic mu się nie stanie, on jest zaczarowany, sam Leworęki go pilnuje, nie inaczej. I lepiej milcz, bo nic przez ciebie nie słyhać.

–A co tam słuchać – odgryzł się pierwszy. – Cicho jest. Albo my ich, albo oni nas.

–Oj, bo jak zara huknę! „Oni nas”?! Pomyśl, co gadasz, baranie.

Baran obraził się i zamilkł, zrobiło się cicho, potem odezwała się jakaś zbudzona ptaszyna. Noc się kończyła, nieprzenikniony mrok stał się niebieski i przejrzysty. Zarośla przed nimi nadal wydawały się czarne, ale z tyłu, na skraju stepu, błyskawicznie puchło pomarańczowe pasmo, zapowiadając wschód. Sona westchnęła i położyła Richardowi głowę na ramieniu; było to przyjemne, ale też i strasznie ciężkie.

Co się dzieje za wysokimi, pachnącymi czymś korzennym krzewami, można było tylko zgadywać. Moro z zapalem grzebał kopytami w suchej, twardej ziemi. Dick poklepał ogiera po szyi i ledwo uniknął kopnięcia. Kary szarpnął się w stronę krzewów, wyraźnie zamierzając dać komuś popalić.

–Hej – rozległo się z gęstwiny. – Gdzieście są?

–Tu – zawołał czy to Ariam, czy Farabundo. – Czego się drzesz?

–A się drę, bo pan marszałek żąda konia i giermka.

–Pobili tych, czy jak?

–A pewnie! Wzięli ich, wybacz Stwórco, ciepłutkich, jakby z baby zdjętych.

–A baba to Fensza był, co?

–On, kochany, on. Siwulce tylko się na nich nacelowali, a my ich... Panie – nadchodzący dziarsko zasalutował, ale chłopakowi wydawało się, że aduan się z niego naigrywa – pan by się pośpieszył, bo się marszałek zeźlić mogą.

–Dokąd mam iść?

–A jak się przez krzaki pan przedrze, to już będzie wiadomo. Niedaleko i ogniska się palą, to nie spudłujecie.

Richard powątpiewająco popatrzył na Moro, miał wrażenie, że ogier uśmiechnął się kpiąco. Pomysł, żeby nań wsiąść, upadł od razu.

–Panie – przyszedł mu z pomocą aduan. – Proszę go prowadzić na wodzy, a kobyłka pana sama pójdzie, nie zaginie.

Dickon skinął z wdzięcznością głową i odwiązał moriska, który od gniewu przeszedłszy do przyjaźni, raczył przejść przez okraszone rosą gałęzie, co z powodzeniem zastąpiło poranne mycie. Sona spokojnie szła za panem. Tak więc, Biriezyjczycy rozbici, a Roke żywy i zdrowy. Kenallijczyk ma rację – co może się stać Krukowi?

Ścieżka była wąska, nad głową splątały się gałęzie – jeździec musiałby przylgnąć do szyi wierzchowca. Moro niespokojnie zezował, całym swoim wyglądem oznajmiając, że droga mu się nie podoba, a na widok oleście połyskującej kałuży w ogóle zaparł się i nie chciał zrobić ani kroku. Dick najpierw nie zrozumiał, o co chodzi, potem zobaczył niezręcznie wygiętą nogę w dziwnym bucie bez obcasa, a potem już leżącego na ziemi siwego mężczyznę. Miał podcięte gardło, ciemnopurpurowa rana wydawała się drugimi ustami. Dick już wcześniej widział śmierć, ale kałuża zakrzepłej już krwi, uśmiechnięta rana, woskowa obca twarz...

Młodzieniec wypuścił wodze, chwycił się za gardło – nie pomogło, zwymiotował. Moro, nie omieszkawszy wykorzystać okoliczności, przeskoczył przez trupa i zniknął w krzewach. Richard wyciągnął chusteczkę, jakoś się powycierał i przylgnął twarzą do szyi Sony. Kobyła drżała, ale nie usiłowała wyrwać się i uciec. Uspokoiwszy się trochę, Dickon popatrzył przed siebie. Moro zniknął, zabity oczywiście nie. Richard odrzucił w krzewy beznadziejnie zabrudzoną chusteczkę, pośpiesznie zerwał z najbliższego krzewu kilka listków i wsunął do ust. Liście były okropnie gorzkie, ale o to chodziło, byle tylko nikt nie domyślił się, co przeżył. Sona niepokoiła się, chciała odejść z tego straszego miejsca, młodzieniec wskoczył w siodło i puścił wodze. Kobyła poszła, przyspieszając ciągle – gdyby Dick nie ściągnął wodzy, zerwałyby się do galopu.

Krzewy skończyły się, miał przed sobą nieckę, dobre miejsce przy źródełku, tylko woda w nim długo będzie śmierdziała krwią. Richard z przerażeniem wpił się wzrokiem w trupy, ich nogi były na brzegu, a głowy w wodzie. Nie ma tego złego... Gdyby nie wymiotował w krzakach, zrobiłby to tu.

–Ockdell! – Okrzyk Kruka oderwał Dicka od wpatrywania się w ciała.

Marszałek siedział w siodle. Moro odszukał swojego pana bez postronnej pomocy.

Wszystko było bardzo proste. „Irbisy” udawały, że jest ich około trzydziestu, a było ich dwadzieścia razy więcej. Chcieli wyciągnąć z obozu taligojski oddział i zaskoczyć go, i udało im się, ale zajmąwszy się polowaniem na Fensoi, nie zauważyli idących tropem aduanów i psa. Wieczorem zmęczony pościgiem Oskar urządził się na popas, Klaus i Lowo ruszyli po wsparcie, a Jean został na straży.

Roke uderzył na Biriezyjczyków z tyłu, gdy ci najmniej tego oczekiwali. Rzeź była błyskawiczna i bezlitosna – górale stracili ponad pięciuset zabitych, a sześćdziesiąt trzy irbisy trafiły do niewoli. Nie uszedł nikt. Potwierdzały to węch Lowo i liczba przywiązanych po drugiej stronie lasku koni.

Taligojczycy stracili trzydziestu dwu ludzi, czterdziestu dziewięciu było rannych, czterech najprawdopodobniej śmiertelnie, ciężko, ale to było zwycięstwo, niewielkie, ale przekonujące. Kenallijczycy i celnicy promienieli jak dopiero co wybite monety, a ludziom Fensoi było nie do żartów. Poszli po wełnę, a wrócili ostrzyżeni – czy to nie hańba?

Młodzieniec popatrzył na Oskara – generał z wyzywającym wyrazem twarzy stał ze swoimi gwardzistami. Gdyby ponieśli klęskę, byłoby to łatwiejsze do zniesienia, a tak... Nawet dobrze nic nie zrozumieli. Kiedy zaczęła się strzelanina, gwardziści Fensoi spokojnie spali, nie wiedząc, że ich wartownicy już są wycięci, a ich samych od haniebnej śmierci czy niewoli dzieli kilka minut.

Dziwna sprawa, Dick nie walczył, przypadła mu najprostsza rzecz – konie, ale młodzieńcowi wydawało się, że nigdy jeszcze nie był tak zmęczony. Dokoła krzatali się ludzie, krzyczeli i wszystko to zlewało się w przykry, męczący sen przy otwartych oczach.

Sumienie żądało, by podjechał do Oskara i coś mu powiedział, ale najpierw musiał zapytać Roke, czy ten nie ma jakichś rozkazów, a sił nie miał na nic. Richard tępo siedział na grzbiecie Sony, przenosząc spojrzenie z zachwyconych pysków aduanów i Kenallijczyków na zmieszane twarze zhańbionych wojaków. Gdzieś obok byli jeńcy, ale jakoś nie ciągnęło młodzieńca do oglądania legendarnych „irbisów”. Chciał tylko jednego – zwalić się i zasnąć, ale to było wykluczone.

Z mroku wynurzył się markiz Diegarron, coś powiedział do Roke, Dick nawet nie zrozumiał, czy w taligu, czy po kenallijsku. Głowę generał miał owiniętą szalikiem, przez tkaninę przesączała się krew. Roke wysłuchał, skinął głową i poruszył wodzami. Moro machnął ogonem i skręcił w stronę strumienia, Sona posłusznie ruszyła obok.

–Nie wygląda pan dobrze, młodzieńcze – lodowatym tonem zauważył Roke. – Gdy

wrócimy, proszę iść do siebie i położyć się. Obejdę się bez pana.

Dick w roztargnieniu skinął głową, senna mgła wciągała jak bagno, a poza tym było mu zimno. Aramona na pewno kradnie przeznaczone dla unarów drewno, a mury opactwa wysysają ciepło i wraz z nim życie...

Oni wszyscy należą do Laik, nie wyrwą się, nie ma nawet, co próbować. „Okólnik” nie wypuszcza ze swych objęć nawet po śmierci, zaraz Richard Ockdell weźmie świecę i zajmie swoje miejsce w niekończącej się procesji, nie będzie pierwszy i nie będzie ostatni.

Dźwięk dzwonu, czas iść. Czy ojciec nie obejrzy się? Jak zimno...

–Panie Pierwszy Marszałku...

Oskar?! Co on tu robi? Dick z trudem rozkleił powieki. Już nie był w Laik, to był sen, po prostu zasnął w siodle. Wracają z nocnego wypadu. Biriezyjczycy rozbici, a Fensoi coś chce powiedzieć Krukowi.

–Monsignore – młody generał był straszliwie blady – proszę dać mi minutę. Chcę złożyć wyjaśnienia.

–Nie – pokręcił głową Roke – będzie pan wyjaśniał nie mnie, a Stwórcy, o ile oczywiście zechce pana wysłuchać. Kiedy wrócimy do obozu, otrzyma pan pół godziny na testament i osobiste listy, potem zajmie się panem Jego Świątobliwość, po czym zostanie pan rozstrzelany.

Oskar nie powiedział już ani słowa więcej, zasalutował, zawrócił wierzchowca i zniknął.

–Er Roke! – Z podniecenia Richard zapomniał o tym, że do Alvy należy się zwracać przez monsignore, i o tym, że rozkazy Proemperadora nie podlegają dyskusji. – To niesprawiedliwe. Za co?

–Za lekceważenie rozkazów, które to lekceważenie mogło mieć fatalne konsekwencje – raczył odezwać się Kruk. – Myślę, że poprzestaniemy na tym sformułowaniu.

–Ale nie miało – wyszeptał rozbity Dick.

–Gdyby miało, należałoby rozstrzelać mnie.

Alva odwrócił się. Rozmowa była skończona. W każdym razie Dick nie miał już sił, by ją kontynuować, w ogóle nie miał sił na nic. Sona szła obok Moro, świeciło słońce, z przodu po żółtawej trawie przemykały, stopniowo się skracając, cienie dwóch

jeźdźców. Gdzieś daleko stąd płynęła Rassanna, a w obozie oczekiwano na ich powrót. Pierwszy bój skończył się zwycięstwem, ale co będzie dalej? Z Oskarem, z rannymi, z jeńcami, z nimi wszystkimi?

Rozdział 7

Warasta

„Le Cinq des Épées” [138]

1

Biskup Bonifacy, rozczochrany i pachnący jak kram winiarza, podpłynął do Proemperadora i oskarżającym gestem podniósł palec.

–Nie obudził mnie pan, książę, choć ja pokornie nieraz przemawiałem, że pragnę zobaczyć, jak się naucza zbójców, co Stwórcę zapomnieli.

–Niestety, Wasza Świątobliwość – oświadczył niez mieszany Roke – powinni byliśmy poruszać się bardzo szybko i bardzo cicho. Na dodatek położył się pan spać i sądząc z tego, co słyszałem, przechodząc obok pańskiego namiotu, spał pan bardzo mocno.

–To prawda – skinął głową Jego Świątobliwość, wyjmując manierkę – spałem i widziałem sny, a mile bogu wojsko walczyło z przekłętymi i nieczystymi. Za pańskie zwycięstwo, książę! Mówią, że było głośno?

–Niezbyt. Wasza Wysokość, jeśli już pan się obudził...

–Obudziłem – skinął głową biskup – jak róża pod promieniami wewnętrznego słońca i jak słowik pieszczony letnim wiatrem.

–Tym lepiej. Pojawili się wśród nas ludzie, potrzebujący spowiedzi i przedśmiernej pociechy.

–Zaiste, wszystko przemija! – Bonifacy starannie zakręcił manierkę i wsadził za cholewę zgoła nie pasterskiego buta. – Ale ginący za wiarę znajdą pociechę we wspaniałym ogrodzie wśród bladych róż, smakując... Nieważne, co, najważniejsze, że znajdą pociechę. Kto ranny jest, książę, znam ich?

–Rannych jest sporo, a czterech najprawdopodobniej śmiertelnie, ale najpierw przyjdzie panu wypowiadać skazanego na śmierć.

–Proszę mnie nie mylić – obruszył się biskup – co innego spowiadać odchodzącego brata mojego w ollarianizmie, a co innego nawracać pogan, którzy zaprą się, jako te muły, znam ci ja ich. A niechby ich, choć z drugiej strony, to moje zajęcie. – Bonifacy z westchnieniem popatrzył na but, ale pokonał pokusę i dumnie rzekł: – Jestem

gotów nieść światło i pociechę.

–Najpierw pociechę – poprawił go Alva. – Światło potem. Przyjdzie panu wypowiadać generała Fensoi.

–Zwariował pan? – Gęste brwi biskupa uleciały ku górze. – To znaczy, gdzie pańskie miłosierdzie, książę? Za co?

–Roke – rzucił się w bój milczący dotąd Weizel. – Czas kończyć z tymi żartami. Osioł dostał za swoje, ale nie można naigrywać się z tajemnicy spowiedzi.

–A generalską szarfę należy z niego zdjąć, do kociej matki – wtrącił się Savignac – niech pochodzi w randze pułkownika, nie zaszkodzi mu...

–Nie, panowie. – Głos Proemperadora brzmiał całkowicie spokojnie. – Nie żartowałem, to nie są rzeczy do żartów. Oskar Fensoi umrze, to najlepsza rzecz, jaką może zrobić.

–Ale to jeszcze dzieciak! – Weizel wyraźnie nie wierzył swoim uszom.

–Cóż, znaczy, będzie miał szczęście umrzeć młodo, mogę mu tylko zazdrościć, mnie się nie udało!

–Zgadzam się, że młody Fensoi jest winien. Nie wypełnił rozkazu, omal nie doprowadził do zguby swoich ludzi i siebie samego, ale kierował się jak najlepszymi pobudkami. Młodość jest gorąca, udręczyła go beczynność, zachciało mu się czynów. Poza tym chętnie za nim idą ludzie i z czasem...

–Gdyby ludzie za nim nie szli – lodowatym tonem zauważył Roke – można by było się jeszcze zastanowić. Jeśli Oskar Fensoi nie zostanie dziś rozstrzelany, to „z czasem” zaprowadzi w pułapkę nie pluton, a armię. Wtedy już będzie za późno.

–Dobrze powiedziane – wtrącił się biskup – jeno ten, kto spoziera na błoto na cudzych butach, na swoje częściej patrzeć powinien. Ile razy, Roke, lekceważył pan rozkazy?

–Naprawdę nie pamiętam. Ale, Wasza Świątobliwość, lekceważąc rozkazy, wyciągałem swoich generałów i marszałków za uszy z bagna, w które pakowali się z własnej głupoty. Gdyby Fensoi miał tyle rozumu, by łamać rozkazy i zwyciężać, stałby się marszałkiem, a tak będzie nieboszczykiem.

–Małe okrucieństwo bywa zaporą na drodze krwawej rzeki – wymamrotał biskup. – Cóż, „poszedł on pouczać cofającego się, aby ominęła go otchłań straszliwa, otchłań płomienna, przepaść zmierzchu... „,

–Czy to możliwe – westchnął Weizel – że kiedyś prorokowano mu kardynalski kapelusz... Roke, ale i tak nie ma pan racji!

Proemperador nie odpowiedział, tylko wolno uniósł głowę i popatrzył prosto w oczy artylerzysty. Richard dobrze znał to spojrzenie swojego era – spode łba, oczekujące i jednocześnie obojętne.

–Roke – Emil Savignac denerwował się wyraźnie – nie można tak... Przecież pan to sam wymyślił. Podniecił pan tego durnia, zatrzymał się pan przy tym przeklętym parowie, przecież pan wiedział, że skorzysta z tego... Pan zrobił z Fensoi... Zrobił...

–Prosiaka na przynętę – podpowiedział Proemperador. – Tak, uczyniłem to i schwytałem, kogo chciałem. No i co?

–To nieludzkie! – westchnął Weizel. – Własnymi rękami popchnąć człowieka na drogę błędu i potem jeszcze go za to ukarać.

–Niech się nie daje popychać. Kurt, Emil, znamy się nie pierwszy rok, czyżby do tej pory nie dotarło jeszcze do was, że mam w nosie honor, dobre imię i inne głupoty? Moja sprawa to wojna! I wygram ją, ku powszechnemu rozczarowaniu taligojskich gorliwców i gaifiańskich handlarzy.

–Niech pan postępuje wedle swojej woli – machnął ręką generał. – Z panem nie da się dyskutować.

–To niech pan nie dyskutuje. Może pan nie uczestniczyć w egzekucji.

–Nie, Roke. Powiedziałem panu wszystko, co myślę. Ale jestem tylko generałem, a pan – Pierwszym Marszałkiem i Proemperadorem. Nie należy pokazywać wojsku, że są między nami tarcia. Jeszcze żyję.

–Mogę tylko powtórzyć słowa barona – twardo oświadczył Savignac. – postępuje pan obrzydliwie, ale zwycięża, a ta wojna, wydaje mi się, będzie najobrzydliwszą w moim życiu.

–Dziękuję wam, panowie. Richardzie? – Wyglądało na to, że Kruk dopiero teraz zauważył giermka. – Chyba pana zwolniłem. Proszę iść spać.

–Monsignore. – Dick sam się zdziwił, że mówi tak twardo i spokojnie. – Proszę o wyrażenie zgody na widzenie z Oskarem Fensoi. Jest moim przyjacielem i...

–Niech pan idzie, gdzie chce – machnął ręką Roke. – Tylko proszę po drodze znaleźć Klause albo Jeana, są mi potrzebni.

–Miałem nadzieję, że przyjdiesz. – Oskar dość udanie udał uśmiech. – Napijesz się?

–Jeśli poczęstujesz. – Dick też usiłował się uśmiechnąć.

–Poczęstuję.

Fensoi sięgnął po szklankę, ale niezręcznie – trącona, poturlała się po blacie stolika i spadła na podłogę, ale nie potłukła się.

–Parszywe szkło – pokiwał głową wicehrabia, sięgając po czystą szklankę. – Ale wino niezłe. Na pogrzebie ujdzie.

–Oskarze – zawołał Richard. – Nie mów tak! Nic ci się nie stanie, Kruk żartuje.

–Nie – pokręcił głową Oskar. – Chce mnie zabić i zabije. Ośmieliłem się pokochać królową, Richardzie Ockdellu, a to jest karane śmiercią. Roke Alva nikomu nie pozwoli patrzeć na Katarinę Arigau. Zapamiętaj to, jeśli chcesz żyć. Nie śmieję kochać królowej, nie śmieję być odważniejszy, nie śmieję być młodszy.

–Młodszy?

–Roke jest dobrze po trzydziestce, a ja mam dwadzieścia sześć. Za dziesięć lat on będzie pijaną ruiną, a ja byłbym marszałkiem. Jego zwycięstwa są za nami, moje – przed nami. Moje zwycięstwa, moja miłość, moje życie... On to zrozumiał i sprzątnął mnie. Kruk jest zazdrosny i zawistny, wkrótce to zrozumiesz. Roke przegra tę wojnę, ponieważ się boi! Wcześniej, nie przeczę, dobrze wojował, ale starzeje się i za dużo pije. Od miesiąca wlecemy się wzdłuż rzeki i nie wiemy, co dalej. I on też nie wie. Trzeba było wyłapać zwiadowców i iść ku góróm, a on...

–Oskarze, ale... Wybacz, ale to Biriezyjczycy was schwytali, a nie wy ich... A Kruk schwycił Biriezyjczyków. A poza tym – ostrzegał cię.

–Masz rację. – Oczy Oskara przygasły. – Myliłem się. Przywykłem do innej wojny, ale Roke chciał, żebym wpadł, dlatego wyznaczył postój przy tym parowie. Dlatego pozwolił mi mówić przy tobie – potrzebował świadka. Od początku śledzili mnie ci jego prostacy! Kto przeszkadzał Roke puścić mnie na zwiad z celnikami? Nasze konie są lepsze od Biriezyjczyków. Z psem byśmy ich wytropili raz-dwa!

To była prawda. Kruk powinien był tak postąpić, ale czy on kiedy grał uczciwie?

–Milczysz? – Fensoi podniósł szklankę. – Bo mam rację. A niech to wszystko

pochłonie Płomień Zmierzchu! Wypijmy, Richardzie Ockdellu. Za ciebie i twoje przyszłe życie. Żyj i bądź szczęśliwy. Weź od życia to, czego nie wziąłem ja. Jeśli uda ci się spotkać królową, powiedz jej, że Oskar Fensoi-Trimain umrze z jej imieniem na ustach, ale... Tylko raczej jej nie zobaczysz.

Zobaczy, zobaczy i powie. Katari o wszystkim się dowie, jest to winien Oskarowi, ale czy Roke naprawdę jest zazdrosny? O Fensoi? O człowieka, do którego Jej Wysokość nie powiedziała ani słowa?

–Ja... Ja wszystko przekażę – wymamrotał Richard. – Ja... Ja chciałem zaprosić cię do Nadoru...

–Nie było pisane. – Oskar wychylił duszkiem kielich, chciał nalać sobie jeszcze, ale się rozmyślił. – Nie chcę umierać pijany, to tchórzostwo. Przekleństwo, niechby to już się stało! Nie wiesz, kiedy to będzie?

–Nie – pokręcił przecząco głową Dick. – Weizel i Savignac się nie zgadzają.

–Nie zgadzają się, ale się zgodzili. Nasza słynna szlachetność – powiedziałeś na głos, że jesteś przeciwny, i możesz się uspokoić. Jeśli mam być szczery, to Kruk ma rację, że na wszystkich pluje – ważna jest tylko siła, a reszta... A, niech to wszystko Leworęki! – Oskar poderwał się i od razu usiadł, rozłączył dłonie, matowo błysnął kamień rodzinnego pierścienia.

Oskar ma czterech braci, ród przynajmniej nie wygaśnie. Za ścianą coś zaszeleściło, płachta odchyliła się, wpuściwszy Klausa. Czy Roke nie mógł przysłać nikogo innego?

–Panie. – Pysk celnika był jak z kamienia. – Czy pan gotów?

–Tak – rzucił Oskar Fensoi-Trimain. – Gdzie i jak się wszystko odbędzie?

–W parowie.

–Będzie mi wolno pożegnać się z moimi ludźmi?

–Nie wiem. Proszę zapytać monsiniora.

–Czy mój przyjaciel Richard Ockdell może pozostać przy mnie?

–Nie wiem. Proszę zapytać monsiniora.

–W takim razie idźmy.

Za ścianami namiotu czekało dziesięciu aduanów. Gdzieś z boku żałośnie grała trąba i grzmiał bęben, ale przestrzeń przed namiotami oficerów była pusta. Tylko

wygnieciona żółta trawa, granie świerszczy i nieunikniony pył. Słońce stało w zenicie, i dzień wydawał się nie mniej straszny od nocy. Richard oddałby wszystko, żeby tylko znaleźć się daleko od tego obozu, tych ludzi, tej wojny. Rozumiał, że to tchórzostwo, podłość, słabość, ale nie potrafił nic na to poradzić. Pozostawanie z Oskarem było udręką, odejście było wykluczone.

Fensoi i celnicy milczeli. Po twardych, burozielonych kwiatkach, nazwy których młodzieniec nie znał, pełzały, snując pajęczynę, malutkie czarne gąsienice, przeskakiwał z gałązki na gałązkę, jakby odprowadzając idących, kłótliwą czarnobiałą ptak, pod nogami chrzęściły, osypując się, drobne ostre kamyczki.

Czy jakby Oskar uciekł, to ścigaliby go? Chociaż gdzie tu uciec, Biriezyjczycy są mu wrogami. Przepłynąć Rassannę, szukać ochrony w Ollarii? Czy aduani zaczną strzelać? Z Klausem jest ich jedenastu, znają tutejszą okolicę jak swoje pięć palców, a Oskar jest sam. Sam? Nie dwóch? Richard Ockdell odżegnuje się od przyjaciela? A co on może? Wystrzelić w plecy idącemu przed nim Klausowi i rzucić się w krzaki? Czy Oskar jest gotów uciekać? Broni mu nie odebrano, nie jest związany, czyli to on musi zdecydować, a może Weizel i Savignac przekonali jednak Kruka?

Droga, wydawało się, nie miała końca, ale skończyła się szybko. Dno parowu było suche i pokryte pyłem, pokryte pyłem było tu wszystko, zwłaszcza w dzień. Roke siedział na dużym brudnobiałym głazie, u jego stóp rozwalił się z wyciągniętym jęzorem Lowo. Było gorąco i Proemperador znowu ubrał się na sposób kenallijski. To było drastycznym naruszeniem etykiety, ale całe życie księcia było łamaniem zasad boskich i ludzkich, co się więc dziwić, że zrzucił generalski mundur. Dick nie wątpił – jutro wszyscy albo niemal wszyscy oficerowie pójdą jego śladem. Savignac na pewno się przebierze.

Dowódca artylerii stał tuż obok, ramię w ramię z Weizlem, generałowie jakby wspierali się wzajemnie, a zarumieniony Bonifacy ulokował się w cieniu krzewu, zajmąwszy jeszcze jeden głaz. Obok niego siedział Jorge Diegarron. Dick, dziwnie zubożniały, pomyślał, że Kenallijczyk zmienił opatrunek i krwi już na nim nie było.

Oskar twardym krokiem podszedł do Kruka, zasalutował. Nie odstępujący osądzanego Dick stanął obok, ale zrozumiawszy, jakie to niezręczne, odszedł na bok.

–Generał Fensoi-Trimain melduje się na egzekucji.

–Czy uporządkował pan swoje sprawy?

–Tak.

–Czy ma pan prośby lub życzenia?

–Proszę nie zawiązywać mi oczu i zatroszczyć się o mojego konia. Drakko

potrzebuje jeźdźca z miękką ręką. Moje listy zostały w moim namiocie.

–Będą dostarczone, jak tylko wrócimy do Taligu. Generał Weizel zatroszczy się o to.

–Panie Weizel – głos Oskara, zachrypnięty, przerywany, Dick rozpoznał z trudem. – Panie Savignac, jestem panom wdzięczny i życzę, byście nigdy nie znaleźli się na moim miejscu. Panie Diegarron, osobiście nie żywię do pana żadnej nienawiści. Richardzie, panu wszystko powiedziałem i pan mi coś obiecał... Monsignore, nie przeklinam pana, ponieważ i tak jest pan od dawna przeklęty. Kiedyś zostanie panu odplacone z nawiązką. Jestem gotów. Gdzie mam stanąć?

–O, tam. – Kierujący egzekucją Klaus Konner wskazał na środek wysypanej żwirem łysiny; po deszczach na pewno tworzyło się tam coś na kształt małego jeziora, ale deszczy od dawna tu nie było.

Savignac i Weizel w milczeniu wpatrywali się w grunt pod stopami. Wszystko, co mogli powiedzieć wcześniej – powiedzieli i poddali się. Bonifacy burknął coś ollariańskiego i wycofał się. Oskar został sam. Wicehrabia był kompletnie spokojny i nawet niespecjalnie blady – może wpłynął na to upał, a może wypite wino. Dziesięciu aduanów wystąpiło i podniosło ciężkie muszkiety.

Jeśli Roke odwoła egzekucję, to teraz. Dick rzucił ukradkowe spojrzenie na Kruka, niebieskie oczy były zimne i spokojne. Tak Roke Alva patrzył w willi Marianny, odebrawszy cudzą miłość, i w porzuconym opactwie, odebrawszy cudze życie. Klaus Konner zbliżył się do Kruka, ciągle jeszcze nie umiał zachowywać się jak gwardzista. Prostak zostanie prostakiem, choćby nie wiem jaką został szarfą przepasany!

–Monsinior. Znaczy się... Gotowe wszystko.

–Dobrze. Daną mi władzą proszę wykonać wyrok.

Twarz Fensoi stała się natchniona, zrobił krok do przodu:

–Przyjaciele, czyńcie swoją powinność. Jesteście żołnierzami, na waszych rękach krwi nie będzie.

Sygnалу Richard Ockdell nie zobaczył, ponieważ zamknął oczy. Rozbrzmiał wystrzał. Richard zacisnął pięści tak, że paznokcie wpiły się w ciało. Nic się nie stało! Pociski były ślepe, strzelcy spudłowali. W ogóle – strzelali w powietrze...

–Na śmierć. – Głos Weizel brzmiał obco.

–Tyle przynajmniej dobrego – wymamrotał Savignac.

Richard otworzył oczy, ale zobaczył tylko szarą ziemię i swój but.

–Nie oplakujcie niczego, albowiem wszystko dzieje się z woli Stwórcy – i wiosna, i jesień, i życie, i śmierć. Tak przemija sława ziemską, tak przemija ziemską miłość, tak mija ziemską nienawiść...

Przekleństwo, czy ten pijaczyna kiedykolwiek mówi własnymi słowami?!

Dick szybko policzył do dziesięciu i zerknął tam, gdzie stał Oskar. Były dowódca awangardy leżał na plecach, a obok stali trzej aduanowicze, coś rzeczowo mierząc. Błysnęło odbijające się od łopaty popołudniowe słońce, natrętnie buczał giez. Trzeba było podejść do Oskara, uklęknąć, ucałować martwego w czoło, ale nogi młodzieńca przyrosły do ziemi. Bonifacy, ocknąwszy się, wstał i pośpiesznie odbębnił ostatnie pożegnanie, na zawsze odcinając martwego od tych, którzy jeszcze żyli.

–Panowie... – Dick pośpiesznie i nawet z pewną ulgą odwrócił się do Roke. Alva stał obok głazu, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. – Wieczorem czeka nas jeszcze jedna mało przyjemna rzecz, a na razie jesteście wolni.

Weizel, Diegarron i Savignac odeszli razem. Emil podtrzymywał rannego Kenallijczyka, Kurt, garbiąc się, szedł z tyłu. Bonifacy zwlekał chwilę, ale potem raźnie podreptał po stromej ścieżce. Celnicy wzięli się za łopaty – robota szła im szybko, po kilku minutach kopacze byli już po kolana w ziemi. Richard jednak przemógł się, podszedł do Oskara i ukląkł, ale słowa modlitwy jakby mu ktoś usunął z pamięci, a dotknięcie umarłego było ponad jego siły. Zły z niego przyjaciel, tchórz i podlec, ale nie może tego zrobić, nie może i już!

–Tak nie przychodzi ziemską sławę. – Dick drgnął i pośpiesznie poderwał się. Kruk stał obok, w zamyśleniu patrząc na rodzącą się mogiłę. Któryś już raz w ostatnich dwóch dniach młodzieniec najchętniej uciekłby, ale drogę zastąpili Jean i Klaus.

–Monsinior. – Shemantal wyglądał na nieco zmieszanego. – Myśmy tu...

–Powiedzieć chcielibyśmy – przyszedł przyjacielowi z pomocą Klaus. – Pozwoli pan?

–Mówcie. – Roke Alva zasłonił oczy, przejechał palcami po brwiach do skroni, opuścił ręce i popatrzył na celników. – Słucham was.

Głos Kruka nie wyrażał żadnych uczuć, ale Dick przeraził się. Aduan zdecydowali, że odejdą, zrozumiał. Święty Alanie, sam by z przyjemnością odszedł, ale Roke nikogo nie zwolni.

–My tak kumamy, że słusznie pan to czyni – wypalił Jean – i z tymi, i z tymi. Jednego durnia skończy się, to inni tak nie zrobią, z siwulcami nie ma żartów. Chytre oni są, i sumienia nie mają całkiem.

–Ja też nie mam sumienia – oschle rzucił Roke, wyciągając monetę. – Komu smok, komu reszka?

–Ja za smoka – po krótkiej chwili namysłu oświadczył Klaus.

–No to dla mnie reszka – zgodził się Jean.

Złoty krążek błysnął w powietrzu i opadł na wydeptaną trawę obok butów Dicka.

–Młodzieńcze, co wypadło?

–Reszka, monsinior.

–Jean Shemantal!

–Tu jest!

–Od tej chwili jesteś generałem i dowódcą awangardy, a Klaus – pułkownikiem, pańskim pomocnikiem i dowódcą zwiadu.

–Monsinior... – Ogromny aduan najbardziej przypominał teraz wyjętą z wody wielką rybę. – Myśmy tego... Nie dworzanie, nie uczeni niczego...

–Sonety układać nauczycie się po wojnie. – Roke zwinnie podniósł się z trawy. – Generale Shemantal, pułkowniku Konner, proszę przystąpić do wykonywania swoich obowiązków. I żeby mi tu ani jeden siwy kocur nie przemknął. Rozkaz jasny?

–Jaśniejszy być nie może – skinął głową Klaus i potrząsnął ramieniem druha. – Wyżej głowę, stary koniu, jak służyć, to służyć! Dziękujemy, monsinior.

–Tam, na górze, wszystko gotowe?

–Jeszcze jak – wyszczerzył zęby świeżo upieczony generał. – I drzewa mocne, i sznury w porządku.

Rozdział 8

Warasta

„Le Trois des Épées” [\[139\]](#)

1

Sześćdziesięciu trzech siwowłosych wojowników o czarnych wąsach ponuro patrzyło przed siebie. Łokcie ich były mocno ściągnięte, a nogi spętane tak, że jeńcy mogli robić zaledwie maleńkie kroczki, ale i tego było mało – za plecami Biriezyjczyków rozlokował się szereg gotowych do strzału muszkieterów.

W czasach Rakanów w Taligoi do jeńców odnoszono się rycersko. Po przyjsciu Ollarów wszystko się zmieniło – tych, którzy nie byli cennymi zakładnikami i których nie wykupili krewni czy suzeren, zsyłano na galery lub do rudni, ale Biriezyjczycy nie mogą żyć w niewoli. August Stancler pomylił się – w pierwszą pułapkę wpadł nie Kruk, a „irbisy”.

Milczenie przedłużało się. Wielkie czarnoniebieskie muchy szybko zrozumiały, że związani ludzie nie zrobią im nic głupiego, i obsiadły tych, którzy mieli otwarte rany. Brzęczenie coraz bardziej natrętnych owadów w upalnej ciszy wydawało się koszmarne.

–Na Stwory Zmierzchu – skrzywił się książę. – A tu co, zleciały się wszystkie muchy Warasty?

–Nie – pokręcił głową Weizel – to tylko szpica.

–Nie ma sensu czekanie na nadejście głównych sił. Pan, Wasza Świątobliwość, nadal nalega, żeby pogawędzić z tymi piękniśkami?

–Jeżeli o mnie chodzi, mogą szczeznąć w Płomieniach Zmierzchu – burknął biskup, cały mokry w swojej sutannie – ale prawo nakazuje nawracać pogan, gdy nawiną się pod rękę.

–Oni nie rozumieją taligu – przypomniał Savignac, oganiając się kapeluszem.

Alva dobrze znanym gestem poklepał Moro po szyi i powoli pojechał wzdłuż szeregu jeńców, obojętnie przyglądając się napiętym obcym twarzom. Świta marszałka podążyła za nim.

–Mamy dziś dość gorący dzień – światowym tonem zauważył ksiązę, zrównawszy się z wysokim Biriezyjczykiem z rozoranym policzkiem – nieprawdaż?

Czarne oczy błysnęły nienawiścią, ale jeniec nie miał zamiaru odpowiedzieć.

–Świetnie – z jawnym zadowoleniem powiedział Kruk. – Klaus, Jean, jesteście?

–Tak, monsinior – dziarsko oznajmili celnicy. Na nich upał nie robił wrażenia.

–Powiedźcie, na co nasi siwogłowi przyjaciele reagują najbardziej chorobliwie?

–Monsinior? – Klaus pytająco obrócił się do Alvy. Jean okazał się bardziej domyślny.

–To znaczy, jak im bardziej dopiec? No... No, jeśli powiedzieć, że pan, tego, ich mać, proszę wybaczyć, tego...

–Na Stwory Zmierzchu – wzruszył ramionami ksiązę – starczy już tego. Czego jak czego, ale sodomii nie zarzucają mi nawet najbardziej honorowi spośród Ludzi Honoru.

–Roke – szepnął Kurt Weizel – oni pana zrozumieli, w każdym razie niektórzy. Proszę spojrzeć na ich twarze!

–Zrozumieli? – Alva z niedowierzaniem przyjrzał się jeńcom. – Nie przypuszczam, żeby te pastuchy rozumiały ludzki język, ale...

Dokończyć Alva nie zdążył – jeniec szarpnął się do przodu i z rykiem splunął w stronę Roke, ale ten albo oczekiwał czegoś podobnego, albo w nim ani na moment nie zasypiał szermierz. Alva zręcznie uchylił się przed plwociną i klepnął artylerzystę w ramię.

–Miałeś rację, Kurt. Te kozopasy rozumieją nie tylko koźli...

–Prędzej kozły zaczną polować na irbisy – wysyczał jeniec – deszcz poleci do góry, a żaba obrośnie sierścią, niż dzieci irbisa zaczną paść bydło!

–Sierścią, powiadasz? – Pierwszy Marszałek Taligu ziewnął, przesłoniwszy usta ozdobioną pierścieniami ręką. – Przypominam sobie, że jakiś filozof (wypadło mi imię) nie radził wiązać ludzkiego losu z kapryсами przyrody. Ale dlaczego by kaprysu człowieka nie postawić ponad Los? – Roke zwrócił się do adiutantów. – Potrzebuję cyrulików. Wszystkich, których znajdziecie, i nie sztabowych, a żołnierskich.

Oczy młodych ludzi zaokrągliły się, ale zadawać Proemperadorowi pytania – to było nie do przyjęcia. Dwaj gwardziści spięli ostrogami konie i znikli. Roke znów poklepał

Moro po wypielegnowanej szyi i zamarł, patrząc w górę poprzez koronkowe gałęzie drzew niedających cienia. Drzewa były w zмовie z wiatrem, który właśnie się pojawił – pierwsze nie chroniły przed słońcem, drugi nie przynosił ochłody. Dick, przytrzymując długo pozostającą bez ruchu Sonę, patrzył na Biriezyjczyków, ich porażone wściekłością twarze znowu stały się spokojne i dumne – „irbisy” nie bały się śmierci i pogardzały swoimi wrogami.

Młodzieniec ze wszystkich sił starał się zapomnieć, po co spędzono jeńców na skraj tego zagajnika. Biriezyjczycy nienawidzili Ollarów i byli starymi sojusznikami Rakanów, dlatego porzucili swoje góry, wdając się w cudzą wojnę. Dla „irbisów” wszyscy ludzie w czarno-białym byli ollariańskimi żołnierzami, ale Dick nie miał wątpliwości, że gdyby oni znaleźli się w niewoli, nie ruszono by ich. Zgodnie z biriezyjskimi obyczajami jeńcom proponowano honor lub życie i wypuszczano tych, którzy błagali o litość. A Roke Alva litości nie zna.

Szum, który się rozległ, wieścił pojawienie się dziesiątki niczego nierozumiejących cyrulików. Roke jeszcze chwilę popatrzył na niebo, na którym szybował samotny ptak, i wrócił na grzeszną ziemię.

–Kochani – niebieskie oczy po kolei zatrzymywały się na każdym mistrzu – widzicie tych przystojniaków? Trzeba ich ogolić. Na łyso. Wąsy i brwi też im nie będą potrzebne. Na każdego z was przypada po sześciu tych wszarzy i zostanie dwóch. Nimi zajmą się ci, co najprędzej skończą ze swoją robotą. Kto skończy pierwszy, otrzyma dziesięć tallów, drugi – pięć, pozostali po jednym tallu. Przystępujcie do roboty, a zwiadowcy ich przytrzymają.

–Roke – rozkaszał się Emil. – Po co takie komplikacje?

–Komplikacje? Skądże znowu. Po co czekać, aż żaba obrośnie włosiem, skoro łatwiej przywrócić ich do stanu wyjściowego. – Marszałek odwrócił się do Dicka. – Proszę zapamiętać, młodzieńcze: rzadko, które stworzenie bez włosia i pierza wygląda dobrze.

Jeńcy sprzeciwiali się jak szaleni, cała ich obojętność gdzieś zniknęła, a wśród Taligojczyków zaczęły się rozlegać chichoty. Jeden z cyrulików wrzasnął, Biriezyjczyk wywinął się jakoś i ucapił go zębami w rękę, wyostrzona brzytwa ześliznęła się i chlasnęła „irbisa” przez ucho. Bryznęła krew.

–Prawdziwie powiedziane jest – zahuczał Bonifacy, przypinając się do manierki – że zło, pozbawione wspaniałych pokryć, słabnie.

–Żebyś tak sam nie osłabł, ojciec – z wyrzutem powiedział Savignac – w takim upale.

–Kto silny duchem – oświadczył, zakręcając manierkę, kapłan – ten za nic ma upał lata i mróz zimowy.

–Amen – podsumował Roke. – Kończą. Na którego z mistrzów postawicie? Ja na tego krzywonogiego.

–Na którego? – sprecyzował brat Arnould. – Jest tu trzech takich.

–Na tego w żółtym.

–Nie – pokręcił głową Bonifacy. – Jego poganin wije się jako ta pijawka.

–Może i racja – zgodził się Emil.

–Monsinior – rozwrzeszczał się mały człowieczek z przypominającym gruchę nosem. – Ja skończyłem! Ja pierwszy! Ja!

–Bardzo dobrze – pochwalił skinieniem głowy mistrza Roke. – Obiecałem dziesięć?

–Tak, monsinior.

–Dostaniesz piętnaście. Za niewygody. Też mi „irbisy”. Drą się jak skubane koty.

–Monsinior – przyjaźnie krzyknął drugi golibroda – my też gotowi.

–Świetnie. Podzielcie się pozostałymi i otrzymacie każdy po dziesięć.

Zachwyceni cyrulicy przy akompaniamencie aprobujących okrzyków gwardzistów rzucili się do kolejnych ofiar. Żołnierze rozkoszowali się widokiem albo zagrzewając mistrzów brzytwy, albo jeńców. Utyłani w pyle, pozbawieni wspaniałej siwizny Biriezyjczycy sprawiali znacznie gorsze wrażenie niż godzinę temu. Nadal błyskali oczami, ale to już tylko śmieszyło. Nocne duchy, dumni woje, wywodzący swój rodowód od Boga-Zwierzęcia, zniknęli, pozostała kupka głupio wyglądających ludzi z opalonymi twarzami i podrapanymi białymi czerepami.

Pierwszy Marszałek beznamiętnie popatrzył na Shemantala.

–A teraz – powiesić. Po kolei, poczynając od – księżę na chwilę zamyślił się – od najbardziej uszatego.

–Wszystkich? – sprecyzował rzeczowo świeżo upieczony generał.

–Wszystkich – potwierdził Proemperador i wyjaśnił: – W ukochanej ojczyźnie wszyscy i tak usiłują uszczęśliwić krewnych z kasy państwa. Ja idę za powszechnym przykładem i zamierzam nakarmić do syta miejscowe kruki. Przy czym nie za pieniądze mojego monarchy, a jego wrogami. Widzicie różnicę?

–Ale dlaczego pan chce zacząć od tego z największymi uszami? – Weizel nienadaremnie słyszał ze swojej rzeczowości.

–Wszystko powinno mieć swój sens, a najlepiej dwa. Już ich ostrzygliśmy, czyli należy tę okoliczność wykorzystać. Aha, proszę zebrać włosie, niech się nie marnuje.

Biskup Bonifacy hałaśliwie wciągnął powietrze i podrapał się po karku.

–Książę Alva, odwołuję się do pańskiego miłosierdzia.

–Po co, ojcze? – uśmiechnął się Kruk.

–Bo powinienem – wyjaśnił kapłan – najpierw odwołać się do miłosierdzia silnych świata tego, a potem spróbować nawrócić pogan, ale – grubas z obrzydzeniem wyduł wargi – oni się nie nawrócą... A właśnie, co do miłosierdzia, nie ma pan przy sobie kasery?[\[140\]](#)

–A pańska już się skończyła? Wydawało mi się, że razem napełnialiśmy manierki?

–Niestety, synu mój – ze smutkiem pokiwał głową ollarianin. – Wszystko, co piękne w tym życiu, kończy się szybko...

–... jak i samo życie – zakończył książę, podając manierkę. – Shemantal, na co pan czeka?

–Wasza Świątobliwość... Worki im na głowy nakładać, czy jak?

–Nie – odparł książę. – Te kocury to jednak wojownicy, niech umrą z odsłoniętymi oczami.

–Tak zrobię – powiedział celnik i odjechał.

–Uratował mnie pan – powiedział biskup, wkładając manierkę marszałka do torby przy siodle.

–Czas kończyć – powiedział Weizel, ocierając czoło. – Przeklęty upał...

–Monsignore – Święty Alanie, w co on się pakuje?! Po tej nocy, po scenie w parowie?! – Monsignore, Biriezyjczycy wypuszczają jeńców, nie możemy... Nie powinniśmy... My...

–Richardzie Ockdellu – głos Alvy mógł konkurować z lodem – jestem gotów wypuścić lubych twemu sercu „irbisów”, jeśli podejmiesz się osobiście dopilnować, by ich wykastrowano, pozbawiono prawej ręki i, poza jednym, oślepieno. W takim stanie mogą się stąd wynosić na wszystkie cztery wiatry.

Dick sądził, że się przesłyszał. W gardle mu zaschło i zaczęło drapać, oddychał z trudem... A wydawało mu się, że już na zawsze wyzbył się dziecinnej przypadłości.

–Młody człowiek – pojednawczo odezwał się ollarianin – widocznie nie widział jeńców wypuszczanych przez tych zbójów.

–Wielu rzeczy jeszcze nie widział. No to jak, Ockdell, pańskie słowo?

Dick przez jakiś czas milczał zmieszany, otwierając i zamykając usta, a potem dał ostrogę klaczy. Sono, parsknąwszy z oburzeniem, skoczyła do przodu i pomknęła w step. Przeklęty lasek został z tyłu, w twarz uderzył rozżarzony, pachnący goryczką wiatr.

Stara wieża wyciągała się ku rozpalonemu wieczornemu niebu. Kto i kiedy postawił ją tutaj, na środku płaskiego, odkrytego na wszystkie wiatry stepu, Richard nie wiedział, ale stanęła na jego drodze, ciemna i tajemnicza jak nadpełzająca noc. Młodzieniec z pewnym zaskoczeniem wpatrywał się w mocne mury, opasujący górną platformę krenelaż, na którym, wydawało się, osiadła krwawoczerwona kula słoneczna, na wirujące nad strzelnicami szerokoskrzydłe ptaki.

Step błyskawicznie mroczniał, Sona niecierpliwie przebierała nogami – pewnie chciała pić. Trzeba było na coś się zdecydować, a Richard nie mógł oderwać spojrzenia od rozżarzonej otchłani, która kiedyś zabierze Kruka. Kiedyś, ale nie teraz... Patrzyć w niebo w chwili zmierzchu, i to takiego, to na pewno ściągnąć na siebie nieszczęście, ale nieszczęście już się zdarzyło. Oskar jest martwy, jeńcy martwi, a on sam zgubił drogę i nie wie, dokąd go zaniósł. W dzień z wysokości wieży może dojrzy Rassannę, ale co może mu dać rzeka poza wodą? Powrót do Kruka nie wydawał się możliwy. Udać się do Tronko? A co tam powie? Wedle wszelkich prawideł jest teraz dezenterem.

Odszukać Biriezyjczyków? „Irbisy” powinni wiedzieć o Ockdellach, ale po wczorajszym zabiją go, zanim zdąży się wytłumaczyć.

Najmądrzejszym wydawało się przedostanie do Gaify, a stamtąd do Agarisu, ale do granicy jest strasznie daleko, a Dick nie miał przy sobie nawet peleryny czy manierki z wodą. Poza tym ucieczka do Rakanów oznacza zdradę w oczach rządzących w Taligoi, a to wywoła ciosy skierowane w mateczkę, siostry, Ivona, Nala, era Augusta i... Katari. Jeśli Dorac dowie się, że syn Egmonta Ockdella i królowa spotkali się w klasztorным ogrodzie, Katari zginie. Nie, uciekać nie wolno.

Ojciec mawiał, że jeśli się nie wie, co robić, należy zacząć od tego, co konieczne. Należy napić Sonę. Aduanowie mówili, że ich konie potrafią wyczuwać wodę, ale Sona wyrosła w stajni, a nie w stepie. Może jednak podjechać do wieży, może tam ktoś jest, no i nie przypomina ruiny, wszystkie zęby na murach całe i na swoim miejscu...

Młodzieniec szarpnął wodze i w tym samym momencie czarna kolumna na purpurowym aksamicie zadrżała i znikła. Dick otworzył i zamknął oczy, nie wiedząc, kiedy stracił rozum – teraz czy pół godziny temu, a potem napłynął strach. Pożar, który ogarnął pół nieba, przywodził na myśl Płomień Zmierzchu, czekający grzesznych i występnych.

W dzieciństwie Dick bał się patrzeć przez okna wychodzące na zachód – przecież stamtąd, z ognistej grani, do Kertiany docierają potwory. Niania mówiła, że po

zmierzchu nie wolno ufać nikomu – spokojny wędrowiec może okazać się metamorfem, który przyjął postać znajomego człowieka, kocur czy kotka – rycerzem-wilkolakiem albo grzeszną ślicznotką, która zabiła własnego męża. Na poły zapomniane nadorskie lęki odżywały w pamięci, jak odżywiają wiosną węże i żaby. Usłyszane kiedyś opowieści nagle zaczęły się wydawać prawdziwe, a w ciemniejszym stepie czaił się ktoś potworny i wszechpotężny.

Obcy pomaga swoim wybrańcom. Jeśli człowiek przekracza granicę, oddzielającą małe zło od wielkiego, to po śmierci unika Pierwszego Sądu.[\[141\] Stwory Zmierzchu włączą się po ziemi, zmieniając wygląd. Boją się tylko esperatyjskiej modlitwy, ale Francisk Ollar zniszczył opactwa, przegnał duchownych i kapłanów, zakazał nosić Esperę.\[142\] Dick został w sekrecie przyjęty do kościoła esperatyjskiego, ale jego Gwiazda została w Nadorze, a słowa modlitwy, jak na złość, wypadły z głowy. Młodzian przypomniał sobie tylko sam początek: „Stwórco Wszystkiego, w pokorze i drżeniu oczekujemy cię... „„](#)

Dalej w pamięci była dziura, a zniekształcone czy nieprawidłowo wypowiedziane słowa „Stwórco” przyciągają sługi Leworękiego, jak przelana krew przyciąga drapieżne ryby południowych mórz.

Dick znieruchomiał w siodle, bojąc się nie tyle poruszyć, ile oddychać. Po plecach ściekał mu zimny pot, serce waliło jak wściekłe, a oczy nie mogły oderwać się od krwawego pasma, w jakie zmienił się horyzont. Strach jeźdźca przeniósł się na Sonę, kobyłka drżała, nawet nie usiłując sięgnąć trawy, a potem wskoczyło na nich coś jasnego i dużego. Święty Alanie, Lowo!

Sona zachrypiała i cofnęła się, pies machnął obrąbkiem ogona i zadarł pysk, ale nie zaszczekał. Radość, już ogarniająca Dicka, nagle zmieniła się w przerażenie – przecież to nie Lowo, a sługa Leworękiego! Zabili dziś wielu, ich krew przyciągnęła Stwory Zmierzchu...

–Znalazł się, żaba ich słowika!

Piękniejszych słów Richard Ockdell nie słyszał jeszcze w swoim życiu. Lowo naprawdę był Lowo, pojawił się Klaus, a za nim widać było jakichś piętnastu aduanów. Młodzieniec przełknął nerwowo ślinę, przeżyte chwile przerażenia musiały wydostać się na zewnątrz, nieważne jak.

–Jak mówisz do księcia Ockdella?!

–Jak wypadło, tak i mówię. Ja ci, basalyku głupi, po pysku nie dałem tylko dlatego, żeby chłopaki nie widziały, jak giermka monsiniora grzmocę.

–Monsignore... – zatchnął się falą niespodziewanej wściekłości Dick – twój monsignore... to zabójca i nasienie zdrajcy.

–Tak, tak, mój! I jego – celnik wskazał ręką na jednego ze swoich ludzi – i jego, i jego też! Bo my mu ufamy. Nie przyszedł tu smarować stepu swoimi smarkami, a tłuc siwulców, a już my mu pomożemy.

–Wy jemu? – Dick ze złością i – jak mu się wydawało – z dumą się roześmiał. – Wy dla niego nawet nie jesteście ludźmi!

–Może nas ma i za gówna – odciął się Konner, dając do zrozumienia, że rozmowa się skończyła. – Ale wy, szczeniaki, nie jesteście mu droższe, a dla twojego nieboszczyka to tylko my byliśmy gównem. Kończ się ciskać, obiecałem, że cię przywlokę i przywlokę, a będziesz się wygłupiał, to i w poprzek siodła przywiążę. Jak barana.

Że to nie żart, Dick zrozumiał w jednej chwili. Młodzieniec usiłował możliwie obojętnie wzruszyć ramionami, ale na Klausie wrażenia to nie zrobiło. Aduan, nie patrząc na Dicka, zawrócił konia i trzeba było iść jego śladem.

Zachód zgasi całkowicie i noc ostatecznie zawładnęła Warastą. Skądś z boku dobiegł dziki, zgrzytliwy wrzask, ale celnik nie zwrócił nań żadnej uwagi. Widocznie darło się jakieś zwierzę. Teraz Dick wstydził się przeżytego przed chwilą ataku przerażenia. W ogóle się wstydził.

Aż do obozu Konner nie wypowiedział ani jednego słowa. Przemierzali czarny, nieprzytulny step pod ironicznymi gwiazdami i milczeli. Wszystko – mrok, zapalające się na horyzoncie niebieskie iskry, zapach piołunu, płynny kłus Sony – wszystko to dokładnie powtarzało minioną noc, i to Dicka omal nie zemdlilo. Młodzieniec nigdy jeszcze tak mocno sobą nie gardził. Musiał się tak zhańbić? I co teraz z nim będzie?

Richard gorączkowo usiłował wymyślić, co powie Roke, ale nic mądrego do głowy mu nie przychodziło. Oskarżyć marszałka o zabójstwo Oskara? Za późno. Richard Ockdell stchórzył i nie zrobił nic, żeby uratować przyjaciela, a zamiast tego, żeby wystąpić w obronie jeńców i honoru Taligoi, haniebnym sposobem zwał i na dodatek zablądził. Nie miał ani wody, ani jedzenia, ani ognia. Dick rozumiał, że bez Klause i Lowo dygotałby teraz ze strachu w czarnym stepie. Złość minęła, młodzian zezował na aduana, rozumiejąc, że powinien przeprosić, ale skrucha nijak nie mogła pokonać dumy. Kiedy w oddali w końcu pojawiły się obozowe ogniska, Dick w końcu się zdecydował.

–Panie pułkowniku, muszę pana przeprosić.

–Bzdura tam – machnął łapą Klaus – każdemu się zdarza. Na wisielców patrzeć rzeczywiście niewielka radość, tylko, że z siwulcami, żaba ich słowika, po ludzku się nie da.

–Ja... ja nie tylko z ich powodu.

–No wiadomo – zabuczał Konner – nieboszczyka często ja z panem widziałem. Ale, wybacz mi, panie, od takich przyjaciół lepiej się z dala trzymać. Sami toną i innych ciągną.

Dick westchnął. Za bardzo był zmęczony, by się spierać, ale zgodzić się z tym, co mówił Warastanin, nie mógł. Oskar Fensoi był dobrym przyjacielem i wspaniałym człowiekiem. Kruk postąpił z nim okrutnie i podle, ale co może rozumieć taki pachol, który ma w głowie tylko przepiękną swą Warastę?

–Panie pułkowniku, wysłał was monsignore?

–Nie – Richard miał wrażenie, że celnik się rozweselił – artylerysta z kawaleryjcem. Ale i bez nich ja by pojechał – przesz nie zostawiać cię w stepie było. Wieża, powiedzmy, nie pożarłaby cię, ale yzarg na pewno...

Czyli nie Roke! Czyli można nie iść do era, a przynajmniej nie od razu. Z Savignacem i Weizlem rozmowa będzie łatwiejsza, oni są swoi, zwłaszcza Savignac.

Obu generałów Dick zauważył przy pierwszym ognisku i zrozumiał, że czekają właśnie na nich. Tak też się okazało, ale żadnej satysfakcji z powodu własnej przenikliwości młodzieniec nie zażył.

–Chwała Stwórcy – w głosie Savignaca słyhać było szczerą ulgę. – Znalazł się! Konner, pan jest bezcenny!

–Nie ja, Lowo – wzruszył ramionami aduan. – Bierzcie swojego panoczka, a ja pójdą się zająć końmi.

–Dziękuję, pułkowniku – z godnością powiedział Weizel. – Jesteśmy panu bardzo zobowiązani.

–Co tam – machnął łapskiem Klaus. – A co mielim robić – porzucić go na noc? Warasta to nie stolica, poźrą człeka, ani pisnąć zdąży.

Dick zacisnął pięści, ale przemilczał. I tak zachował się jak głupie chłopię. Nic głupszego niż pędzić na złamanie karku w step nie dałoby się wymyślić.

–Panie generale – młodzieniec miał nadzieję, że głos mu za bardzo nie drży. – Złamałem przysięgę i jestem gotów ponieść karę.

–Milcz mi tu – zawołał Savignac. – Nie wiem, co postanowi Alva, ale ja bym cię zastrzelił. Znalazł sobie czas na fochy.

–Nie gorączkuj się, Emilu – cicho powiedział Weizel. – Byliśmy z panem o włos od tego samego. Richard jest młody, a nieboszczyk Oskar był jego przyjacielem.

–Dobra – machnął ręką Savignac. – Co robimy?

–Alva jest z Diegarronem?

–O ile wiem, tak. I Shemantal też tam jest.

–Cóż, to idźmy tam razem.

–Męska decyzja. – Emil roześmiał się trochę sztucznie. – Miejmy nadzieję, że Proemperador dziś już zabił wszystkich, których chciał.

To był żart, ale Dick zadygotał. Młodzieniec rzucił szybkie spojrzenie na Savignaca i zrozumiał, że tamten nie czuje się pewnie.

Namiot marszałka był jasno oświetlony. Wejścia pilnowali Kenallijczycy, z których jeden na widok gości zniknął we wnętrzu i wyłonił się natychmiast z powrotem. Żołnierze rozsunęli kopie. Dick odruchowo przysunął się do Savignaca, tamten puścił do niego oko i weszli.

We wnętrzu spokojnie płonęły świece, na połowym stoliku stała butla z kaserą i leżały wojskowe placki. Roke w rozpiętej czarnej koszuli obracał w dłoni pustą w połowie szklankę, naprzeciwko marszałka ulokował się nieodłączny Bonifacy, trzecim był Jean Shemantal, czwartym markiz Diegarron, oklapnięty, z płonącymi gorączką oczami.

–Panie Proemperadorze... – zaczął Kurt Weizel, ale Roke tylko machnął ręką.

–Zadziwiająco na czas się zjawiacie. Akurat miałem po was słać...

Nogi Richarda przyrosły do ziemi. Savignac wziął giermka pod rękę i dosłownie dociągnął do stołu. Weizel z pochyloną głową szedł obok. Roke przez jakiś czas w zadumie przyglądał się całej trójcy, potem tyknął kasery i zapytał:

–No i jak, młodzieńcze, nazachwycił się pan zmierzchem? Był dziś nad podziw czerwony, czy nie tak?

–Widziałem wieżę – oświadczył zdziwiony swoimi słowami Dick.

–Bzdura – pośpiesznie powiedział Shemantal. – Proszę go nie słuchać, monsinior, nie ma tu żadnej wieży i nigdy nie było. To złudzenie.

–Bierzcie szklanki, panowie, i siadajcie. – Roke miał nad podziw pokojowy humor; gdyby nie poprzednie pytanie, można by pomyśleć, że ucieczki giermka w ogóle nie zauważył. – Richardzie, proszę być tak miłym i podzielić się swoimi wieczornymi wrażeniami. Jak wygląda owa zapadająca w duszę budowla?

–No... – Dick zmieszał się nieco, obawiając się pułapki, ale wyglądało na to, że Alvę naprawdę nieznana wieża interesuje bardziej niż postępek giermka. – Nie przyjrzałem się dokładnie. Już zmierzchało, niebo było czerwone, a na nim rysował się jakby czarny słup, nad nim słońce, takie, że można było na nie patrzeć. I dokoła krążyły ptaki, a potem słońce zaszło i wszystko zniknęło...

–Mowa ludzka nosi plotki jak wiatr kurz – cicho powiedział Bonifacy. – Ja sam tej wieży nie widziałem, ale coś w tym na pewno jest. Widzą ją ludzie w różnych miejscach, ale opowiadają o niej jednakowo. Pojawia się w stepie taki, przebacz Stwórco, czarny słup, na szczycie ma albo słońce, albo księżyc, albo gwiazdę, i zawsze jakby we krwi.

–W pustyniach i stepach – niezbyt głośno powiedział Diegarron – często powstają miraż. Ja, gdy byłem w Purpurowych Ziemiach, sam widziałem widmowe miasto, a warastańskie stepy nie tak bardzo różnią się od maryjskich. Z drugiej strony...

–Może byś pomilczał, Jorge – przerwał Kenalijczykowi Weizel. – Z pańską raną należałoby leżeć.

–Nie mam czasu leżeć – pokręcił głową markiz i skrzywił się z bólu. – Stwory Zmierzchu, zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

–Mówił pan o złudnych widokach – podpowiedział Bonifacy.

–Legenda o znikającej wieży mogła trafić do Warasty z Priddy albo Epineix – dołożył się wiedzą Weizel. – Tu jest wielu potomków przesiedleńców z centralnych hrabstw, przywieźli ze sobą nie tylko imiona, ale i bajki.

–Dlaczego od razu bajki? – rzucił Roke Alva, rozlewając kaserę. – Taka wieża naprawdę istnieje, ale zachowuje się spokojnie, o czym przekonałem się, kiedy odwiedziłem Galtarę.

–Ja też sobie przypominam. – Savignac podał szklankę Weizlowi. – Czytałem i o Pierścieniach Galtary, i o wieży Benyasca, ale nie wzbudziło to we mnie chęci odwiedzenia tych błogosławionych krain.

–Ja się nudziłem – niemal zaczął się usprawiedliwiać Alva. – Wojna się skończyła, nie było co robić. Sądzę, że wpadła mi w ręce ta sama książka, co i panu, Emilu. Koszmarna starość, ale, jakkolwiek dziwne to, starożytny leniuch niemal nie kłamał.

–To znaczy jak? – Shemantal nie potrafił ukryć zdziwienia. – Czyli widział pan tę przeklętą budowlę?

–I nawet dotykałem. – Roke zdjął jeden ze swoich licznych pierścieni i zaczął przyglądać się kamieniowi. – Nic niezwykłego. Kamień jak kamień.

–No to czemu w takim razie spaceruje? – podejrzliwie zapytał aduan. – I co tutaj robi? Gdzie Galtara, a gdzie my...

–W książce stało – przypomniał sobie Savignac – że początkowo były cztery wieże, po jednej na każdą z ziem Złotego Imperium. Potem trzy z nich gdzieś się zapodziały, a jedna ocalała.

–To, co widzi się w Waraście, Epineix i Priddzie – Roke nałożył pierścień na palec – najprawdopodobniej jest mirażem, takim jak te, o których mówił generał Weizel. Scjentyści objaśniają ten fenomen tym, że światowy eter ma zdolność zapamiętywania tych ciał, które przez długi czas są przezeń omywane. Sam przedmiot może zniknąć, ale pamięć o nim pozostaje i kiedy powstają sprzyjające warunki, a najczęściej ma to miejsce w godzinach wieczornych i porannych, widzimy odblaski tego, co niegdyś istniało. Eter płynie, dlatego zwidy powstają to tu, to tam, ale zawsze we względnej bliskości miejsca, w którym niegdyś istniały realne przedmioty.

–„Zaiste człowiek głębszy jest od nurtu rzecznego i nigdy nie wiadomo, co kryją

owe głębin” – oświadczył Bonifacy, wpatrując się w swój pusty kubek.

–Rzeczywiście, Roke – poparł biskupa Kurt Weizel – nigdy nie myślałem, że pana interesują takie rzeczy.

–Już powiedziałem – błysnął oczami Alva – nudziłem się, bo nie było wojny, a teraz jest, tak więc mamy o czym gadać i bez spacerujących ruin. Mam nadzieję, że rozumiecie, że nasza taktyka musi ulec zmianie?

–Oczywiście – skinął głową Savignac. – Zakłada pan, że teraz Biriezyjczycy zostawią w spokoju osadników i będą się mścili na nas i tylko na nas?

–Nie – roześmiał się Roke. – Zakładam, że mścić to się będą na Biriezyjczykach. I nawet wiem, kto.

Rozdział 9

Sagranna

„Le Deux des Bâtons” [143]

1

Po obu stronach drogi piętrzyły się pochlastane żółtymi i czarnymi wypłuczynami skały, których czepiały się pełzające rośliny z białymi, jakby ulepionymi z wosku kwiatami. Na występach rosły drzewa ze srebrzystymi koronami; zupełnie dobrze uszłyby za sosny, gdyby u tamtych w miejscu szpilek rosły małe, okrągłe listki. Na górze, wysoko, wysoko, złociły się oblane słońcem śniegi, na dole szumiał strumień, na spotkanie, którego z ciemnej rozpadliny wymykała się ni to mała rzeczulka, ni to duży strumień.

Sagranna... Słynny pas Złotych Ziem! W tych czasach, po których nie zostało nic poza bajkami, Sagrańskie Pasma oddzielało Złote Imperium od groźnego niegdyś królestwa Saimuru. Teraz po obu stronach gór wierzy się w tego samego Stwórcę, ale miejscowe plemiona uparcie czczą starych bogów. Dla jednych są to irbisy, dla innych orły, dla jeszcze innych kozły.

Richard nie miał pojęcia, po co Roke potrzebni są Bakrani, ale Proemperador najpierw wysłał do kozopasów Klausa z dziesiątką aduanów, a potem wyruszył sam, uprzednio wydawszy rozkazy pozostającemu w Waraście Diegarronowi i błyskawicznie podążającym ku Wentozce Weizlowi i Savignacowi. Richard wolałby zostać z Savignacem, ale er wziął giermka ze sobą i teraz młodzieniec usilnie kręcił głową, przypatrując się okolicy, przez którą jechali.

Sagranna urzekała, wypierając z serca wszystkie uczucia poza zachwytem nad potęgą sił, które skierowały ku niebiosom kamienne grzebienie. Metr Chablis mówił kiedyś, że tutejsze góry dyszały niegdyś ogniem, ale teraz smoki są martwe i płomień ustąpił miejsca lodowi. Zresztą cel Roke znajdował się znacznie poniżej krawędzi śniegów. Polwara, gdzie mieszkali Bakrani, znaczyło w przekładzie „Pylna góra”, ale w rzeczywistości było nagromadzenie niewysokich żółtoszarych gór i dolin, w których szalały mętne rzeki.

Gdy oddział Proemperadora wszedł do Polwary, Dick zrozumiał, dlatego to miejsce zwie się właśnie tak. Drobnny szary pyl skrzypiał między zębami, wlaził do oczu i nosa, chmurami wzbijał się w górę przy najmniejszym podmuchu wiatru. Rosnące wzdłuż drogi żalosse krzaczki wydawały się szare, końskie kopyta głęboko zapadały się w przypominający mąkę proszek, smoliste włosy Alvy po pół godzinie już stały się

siwe, a i cała reszta wyglądała na uzbrojonych po zęby szalonych młynarzy.

–Ciekawa okolica – pobłażliwie skwitował krajobraz Alva. – Te góry zbudowane są, jak mi się zdaje, z miękkiego kamienia. Kreda, albo i gorzej, Osobiście wolę granit. Tak więc nasi biedni Bakrani zmuszeni są tu żyć?

–A gdzie się mają podziać? – wzruszył ramionami Klaus. – Naprzeciwko siwulców, żaba ich słowika, nie strzymią, a ci kazali im żyć tu. Oczywiście, co odważniejsi to ganiają stada za Regalonę, ale baby z dziećmi trzymają tu. Co prawda, wyżej będzie mniej pyłu.

–Nie wątpię – skinął głową Alva. – Bo więcej to już być nie może. Wyobrażam sobie, co się tu dzieje podczas deszczy.

–Toną – ucieszył się celnik. – Jak w błocie. I ludzie, i kozły. Jak wiosną pojedziesz, na pewniaka spotkasz szkielet. Widzicie skałę, co jak martwa głowa wygląda – więc z ojcem nieboszczykiem tydzień na niej siedzielim, czekalim aż wyschnie, mało kobyłkę moją nie zjedliśmy. A zaraz za skalą i droga będzie, właściwie ścieżka, ale przejechać swobodnie można. Tam nas koźlarze i czekać będą.

–Dziwne miejsce, ta Sagranna – w zamyśleniu orzekł Alva. – Dlaczego zwierzęta tu są większe niż gdzie indziej? Susły, te wasze, dzikie koguty, kozły... Mówisz, że w kłębie mają do pięciu beau?

–Coś koło tego. Ludzi swobodnie noszą.

–Młodzieńcze – w tym bladobłękitnym miejscu niebieskie oczy Alvy były przerażająco jasne. – Nie chciałby pan przejechać się na koźle?

–Nie! – Dick wykrzyknął to szybciej, niż pomyślał.

–Wspaniała ortodoksyjność Ockdellów... Zapamiętaj, młodzieńcze. Nie doceniać kozłów jest niebezpiecznie, przeceniać irbisy głupio. Wkrótce się pan o tym przekona.

Dick ledwo powstrzymał się, żeby nie wzruszyć ramionami. Od dawna już nawet nie usiłował zrozumieć Kruka. Aduan głupio zarechotał, podmuch wiatru wzbił w powietrze kolejny pyłowy tuman, okutał kawalkadę od stóp do głów, skądś z góry doleciał ich wyjący gęsi odgłos.

–O ile rozumiem, jesteśmy na miejscu – zauważył Alva. – Rzeczywiście, robi wrażenie. Richardzie, odrzuć swoje przesady i zerknij na te zwierzęta, czyż nie są piękne?

Jakkolwiek dziko to brzmiało, jednak Kruk miał rację. Znieruchomiali na skalach

jeźdźcy na potężnych rogatych stworzeniach przypominających i nieprzypominających znane Dickowi wiejskie kozły, wydawali się tworem tych gór, jak skały i kamieniste piargi.

–Mój przyjaciel Bonifacy poradziłby panu, młodzieńcze, nie sądzić pochopnie. – Roke wysunął się naprzód i na znak powitania uniósł nad głową złączone ręce.

Jeźdźcy, jakieś półtorej dziesiątki, odpowiedzieli dziwnym gestem, jakby wykreślając lewą ręką okrąg.

–Czekają nas – wyjaśnił Klaus – zanocujem w dolnej wsi, akurat przed zmierzchem dojedziemy, a jutro, żaba ich słowika, wzniesiemy się do ich głównej wsi. Bakna obiecał zebrać całą starszyznę, a on zawsze dotrzymuje słowa.

–Ci na kozłach zjadą do nas?

–Nie, będą nas prowadzili górą i odpędzali kamienne duchy. Monsinior – widać było, że celnik waha się – jeśli siwulce się dowiedzą, że Bakrani z nami się spiknęli, wyróżną ich. Co do sztuki.

–Oni – Alva machnął ręką w stronę Bakranów – to wiedzą?

–A jak.

–I mimo to zdecydowali się na spotkanie. To dobrze.

Dobrze?! A jeśli kozopasy wytną ich w nocy albo wydadzą Biriezyjczykom? Jeśli oni cały lud zapędzili w te zapyłone góry, a ten lud to przełknął, to znaczy, że jest godzin swojego losu. Bakrani to tchórze, a tchórze, żeby przeżyć, gotowi są na wszystko.

–Monsignore.

–Tak, młodzieńcze?

–Pan... Im ufa? Oni, żeby się uratować, mogą zmówić się z Biriezyjczykami i nas wydać.

–Na Stwory Zmierzchu – westchnął książę. – I to są słowa Człowieka Honoru! Richardzie Ockdell, pańscy idole, żeby przywrócić zeszlóroczny śnieg, czyli czas Rakanów, gotowi są na ugodę nawet z Leworękim. Bakrani, żeby się stąd wydostać i dosolić Biriezyjczykom, gotowi są na znacznie więcej. Ludziom, młodzieńcze, należy ufać. W każdym razie, kiedy nienawidzą twoich wrogów bardziej niż ty sam.

Wieś pokazała się ich oczom, gdy słońce dotknęło ośnieżonych szczytów, ubarwiwszy je purpurą, a w dolinach zaczęła rodzić się mgła. Na górze rzeczywiście pyłu było mniej, ale miejsce i tak było straszliwie przygnębiające – ani drzewka, ani krzaczka, tylko szary i brudnoszary kamień i gruby, chrzęszczący pod stopami piach. Osadę opasywał ułożony z głazów niewysoki gruby mur, ale wież na nim nie było. Zza muru sterczały wysokie żerdzie ozdobione kozimi czerepami.

–Ołtarz Bakry – szepnął Klaus, wyraziście kiwając głową w stronę kozich jeźdźców.
– Takie są w każdej wsi. Najważniejszy był na górze Bakra, ale go Biriezyjczycy rozwalili.

–Bez sensu – zauważył Roke. – Ołtarze należy burzyć w ostatniej kolejności, chociaż wtedy to ma jeszcze mniejszy sens: nie ma ludzi, nie ma bogów.

–Tak to jest – przytaknął Klaus. – Nawet susła nie należy bez potrzeby drażnić.

–Zaiste – Roke z zainteresowaniem popatrzył na trzy postacie, stojące przy czymś przypominającym bramę. – To, jak rozumiem, powitanie?

–Tak. Ten z długą brodą – Lakwa, tutejszy przywódca. Z nim jest jego syn, Ucha, i przemądra Gassa. Musimy się pośpieszyć.

Roke, nie odzywając się, zeskoczył z Moro. Klaus i Richard poszli w jego ślady. Lakwa wystąpił przed pozostałych i coś powiedział.

–Czeka na nas dach i pożywienie, a rano Lakwa i Ucha zaprowadzą was do domu Bakny.

–Podziękuj im jak należy.

Celnik wygłosił kilka krótkich, dziwnie brzmiących zdań. Lakwa zakreślił lewą ręką krąg i dotknął policzka. Starucha uniosła dłoń i zdmuchnęła z niej jakieś pyłki, odwróciła się do gości plecami i wolno ruszyła przed siebie. Lakwa wziął pod łokieć Roke, Ucha – Klaus. Dicka nikt nie brał, musiał prowadzić trzy konie. Na szczęście Alva jakimś cudem wytłumaczył Moro, że nie warto się szamotać, i morisk bez incydentów wszedł do osady kozopasów, niechętnie łypiąc fioletowym okiem, w czym jakoś dziwnie przypominał Gila Ponsi.

Mnóstwo psów, wydających się być rodzonymi braćmi czy siostrami Lowo, ujadając, wyskoczyło na spotkanie gości, ale szybko uznały, że przyjezdni nie są wrogami. Pozbawiony towarzystwa Klaus, Richard zmuszony był polegać wyłącznie na swoim wzroku, a oczy mówiły mu, że trafili do osady dzikusów, przy tym

dzikusów żalonych. Dominowała tu woń pyłu i nawozu, za ścianami rozlegało się wieloznaczne beczenie. Chałupiny z ich płaskimi dachami i brakiem kominów wyglądały na potwornie ubogie, nędzy nie krył nawet błyskawicznie zapadający południowy zmierzch.

Korzystając z ostatnich jasnych minut, Dick z ciekawością przyglądał się ułożonym z kamieni i kamiennych płyt chablom, [\[144\] otoczonym kamiennymi murami na wysokość człowieka, na szczycie których gromadziły się półnagie dzieciaki i nieruchomo stały kobiety w czarnych i kolorowych spódnicach oraz mężczyźni w chałatach z niefarbowanej wełny. Jeśli Biriezyjczycy zapuszczali długie włosy i wąsy, to Bakrani strzygli się krótko i nosili brody, krótkie młodsi, a długie i obfite – starcy. Mieszkańcy wsi w milczeniu przyglądali się dziwnym gościom, ale nie czynili prób zejścia z murów i dołączenia do procesji.](#)

Szopa, do której w końcu dotarli, należała do samego Lakwy, ale jej wnętrze potwierdziło najgorsze obawy Dicka.

Przestrzeń między ogrodzeniem i budynkiem było czymś w rodzaju chlewu, w przeciwnym kącie szaleńczo darła się szykująca do porodu koza, dokoła której krzątały się dwie staruchy. Wnętrze rezydencji bakrańskiego możnowładcy wyglądało niewiele lepiej. Jedyłą jego zaletą były może tylko spore wymiary. Kąty chabli ginęły w mroku, gdzieś tam płakało niemowlę, a na ławkach bawiła się jeszcze piątka czy szóstka dzieciaków.

Dach opierał się na czterech okopconych słupach, pośrodku w zagłębieniu tliły się węgle, nad którymi coś się smażyło. Pozostało tylko dziękować losowi, że nie trafili tu w ulewę. Na szczęście wiatr ucichł i dym szczęśliwie uchodził przez otwór w powale. Przy ogniu szamaniała coś duża baba, do pomocy mając kilka nastoletnich dziewczynek. Mężczyźni przywlekli prymitywnie zbite kozły, położyli na nie deski, które z kolei zostały przykryte niedbale wyprawionymi skórami.

Richard z pewnym zadziwieniem obserwował, jak na stole wyrasta sterta dość podejrzanie wyglądającego jedzenia. Przed wjazdem do wsi Dick sądził, że połknie kozła z kopytami i rogami, ale patrząc na nabite czymś jelita i żołądki i okropnie śmierdzące głowy sera, zrozumiał, że wcale nie jest głodny.

Najgorsza jednak okazała się czara z jeszcze parującą krwią i czyjeś oczy, z wyrzutem patrzące z płaskiego glinianego talerza. Młodzieniec, starając się nie patrzeć na poczęstunek, wczepił się wzrokiem w swojego era. Alva poradził giermkowi zachować spokój i nie okazując żadnych uczuć, spokojnie usadowił się na wskazanym miejscu, każąc Dickowi ustawić się za nim.

Richard nie od razu zrozumiał, że jest uratowany. Oczywiście, mateczce by się to nie podobało – następca Egmonta Ockdella nie powinien usługiwać podczas uczy

potomkowi zdrajcy, ale księżna Mirabela była daleko, a talerz ze straszliwymi oczami przed samym nosem. Proemperador Warasty pewną ręką włożył do ust zeszkłone przerażenie i popił krwią. Dick cudem powstrzymał mdłości. Za żadne skarby świata nie zgodziłby się zamienić miejscami z Krukiem, a ten jak gdyby nigdy nic poprosił Klausa, by przekazał gospodarzom, że nigdy nie zapomni ich gościnności. Święty Alanie, czy można zapomnieć taki koszmar?!

Dicka nie skusiło nawet pieczone na węglach mięso. Po pierwsze, dodawano do niego jakiegoś jadowicie zielonego zielska, przypominającego bagienną lokurę, i jakieś przypominające wojłok świństwo, zastępujące w tych okolicach chleb, a po drugie, młodzieniec niechcący zerknął na ręce podającej jedzenie kobiety. Na szczęście uczta się nie przeciągnęła – zapowiadał się trudny dzień i gospodarz zwolnił gości dużo przed północą. Richard z przerażeniem wyobraził sobie nocleg w śmierdzącej chabli, ale strategiczny talent Alvy uratował ich i tym razem. Kenallijczyk w zaufaniu zwierzył się Lakwie, że prowadzi swój rodowód od Władców Wiatru i dlatego on i jego towarzysze winni spać pod gołym niebem, bliżej gwiazd. Gospodarz pokiwał ze zrozumieniem głową, a jego domownicy, podporządkowując się poleceniom, powlekli gdzieś mocno nabite worki i kozie skóry.

Roke z roztargnieniem przyglądał się krzątaniu i nagle stanęły przed nim trzy kobiety. Dwie starsze i jedna całkiem młodzianka w czarnej spódnicy z purpurowym szlakiem na obrzeżu. Głowę Bakranki opasywała haftowana wstążka, spod której na plecy opadały ciemne włosy, tak gęste, że z powodzeniem mogłyby zastępować płaszcz. Staruchy coś mamrotały, dziewczyna milczała, patrząc na gościa pełnymi nadziei oczami. Alva odwrócił się do Klausa:

–Czego one chcą?

–Monsinior... Obyczaj tu mają grzeszny taki.

–Aż tak? – uniósł brew Kruk. – Ciekawym.

–No, krótko mówiąc, dziewczka ta to wdowa. Ale i tak dziewczka, bo Bakrani, żaba ich słowika, za mąż wydają, jak dziesięć lat skończy, a życie młoda z mężem zaczyna, jak starsza w domu pozwoli. A ta nie miała szczęścia – męża siwulce wykończyły, kiedy ze stadem za Regalonę poszedł. I tak ona, proszę o wybaczenie, o dziecko prosi. Wierzą, że jeśli baba zaciąży od cudzego, którego więcej nie zobaczy, to jakby ichni Bakra męża jej na widzenie wypuścił. Żeby, znaczy się, męską robotę doprowadził do końca.

–Wspaniale. Nie mam nic przeciwko temu, by wyrządzić tej kózce przysługę.

Krukowi udało się w końcu zadziwić przeklętego aduana. Klaus zaczął się gapić na Kenallijczyka tak, jakby go zobaczył po raz pierwszy.

–Monsinior, poważnie? Onaż przecież do kozia się modli.

–Ale sama przecież kozą nie jest – wzruszył ramionami Alva. – Dziewucha niebrzydka, a ja nie mam zwyczaju odmawiać ładnym kobietom takich przysług. A poza tym, jeśli ten... Wakra?

–Bakra – poprawił go Klaus mrugając bez przerwy.

–Jeśli ten Bakra uważa, że tak trzeba, to dlaczego by nie polepszyć tutejszej rasy? W końcu brak bastardów w naszych czasach to prostu nieprzyzwoitość. Jak po bakrańsku jest „tak” i „chodźmy”?

–„Olli” i „bajmun”.

–Dziękuję, pułkowniku. Pani – Alva ukłonił się przed Bakranką z haftowaną wstążką jak przed księżną. – Olli, bajmun!

Dziewczyna drgnęła, w ogromnych oczach odbiły się płomienie ogniska, a potem na gości z trzech stron runął słowny wodospad. Roke podniósł oczy na Klause, a ten szybko powiedział:

–Dziękują, żaba ich słowika, że pan nie odmówił. Powiadają, że Wielki Bakra nie będzie szczędził panu swojej życzliwości.

–Bardzo to miłe z jego strony. Bez miłości Bakry na pewno zginę. Księżę uśmiechnął się do kobiety, tej zapłonął wzrok, ruszyła w głąb chabli. Alva ruszył za nią, ale odwrócił się.

–Richardzie, proszę iść na dach i kłaść się spać.

–Ożeż, wariat! – szepnął z zachwytem Warastanin, patrząc w ślad za księciem. – No, teraz trzymaj się, kózko!

Dickon nie podzielał uczuć aduana, wręcz przeciwnie. Po... po najlepszej kobiecie świata – prowincjonalna szlachcianka, a teraz to już w ogóle... Święty Alanie, gdyby choć raz miał takie szczęście... Richard postarał się odpędzić sprzed oczu obraz Katari, tej, która przywidziała się młodzieńcowi po wieczorze w towarzystwie Roke Alvy, ale rozpalona wyobraźnia ciągle i ciągle rysowała królową w sukni kurtyzany. Sam ten sen był już obrazą, ale jeszcze większą były myśli, z powodu których Richard obracał się z boku na bok na kozich skórkach i nie mógł zasnąć.

Obok głośno chrapał Klaus, nad głową migotały ogromne gwiazdy, na dole wzdychały i czymś pobrzękiwały kozy. Dla przyzwyczajonego już do obozowego życia Dicka była to cisza, ale sen nie nadchodził. Noc wlokła się nieskończenie, kilka razy młodzieńcowi udało się zapaść w krótką drzemkę i za każdym razem

przychodziła doń Katarina Arigau, bezwstydnie śmiejąca się i pachnąca tuberozami. Od tych snów kręciło się w głowie, a budząc się, Dick myślał albo o malowanym suficie Marianny, albo o tym, co teraz dzieje się na dole.

Alva przyszedł, gdy zaczynało świtać. Księżę poruszał się bardzo cicho, ale młodzieniec wyczuł jego zbliżanie się, tak jak konie wyczuwają zbliżanie drapieżnika. Klaus też przestał chrapać i coś cicho powiedział, Roke w odpowiedzi rzucił niezrozumiałe słowo i obaj roześmiali się cicho. To było ostatnie, co pamiętał Dick, zanim zwałił się w kamienny sen.

Kiedy po kilku godzinach został obudzony, Roke był już na nogach. Czarne włosy księcia błyszcząły od wody, w niebieskich oczach pląsały kocie iskry. Klaus, też mokry, zapinał pas, coś przeżuwał w biegu i wyraźnie wymawiając grubo ciosane słowa, które Roke od razu powtarzał. Richard poderwał się pośpiesznie. Konie i kozły były już osiodłane; młodzian ledwie zdążył wylać sobie na głowę wiadro wody i przełknąć kilka przyniesionych przez Klausea podłomyków i zaraz powiększony o Bakranów oddział ruszył w drogę.

Przy wiejskiej bramie Richard zobaczył wczorajszą dziewczynę. Wstążki we włosach już nie miała, ale Dick od razu zrozumiał, że to ona. Bakranka stała na kamiennym murze, jej włosy były zaplecione w warkocz i owinięte dokoła głowy, a szyja obnażona tak, że widać było obojczyki. Roke odwrócił się do Klausea.

–Co jej powinienem powiedzieć?

–A to, co zawsze się onej dziewoi gada.

–Czyli to nie jest obyczaj?

–Jaki tam! Widać zapadł jej pan w duszę, to i wyszła odprowadzić. – Widać było, że Klaus też chciał o coś zapytać, Dick, szczerze mówiąc, również. Alva roześmiał się, postawił konia dęba i pomachał ręką. Bakranka skoczyła do przodu, Dick wystraszył się, że spadnie z muru, ale kobieta zatrzymała się na samym brzegu, modlitewnie składając ręce.

–Trzeba by wprowadzić w Taligu bakriaństwo – zauważył Alva. – Ileż szlachetnych wdów Taligu mogłoby być pocieszonych, i przy tym nie musiałyby łącać na spowiedzi ani kupować rozgrzeszenia. Jeśli wdowa jest ładna, to otworzyłyby się przed nią takie wspaniałe możliwości!

–Monsinior – Klausea dusił śmiech. – Ale pan, żabę ich słowika, powiedział.

–Pułkownik Konner – oblicze Proemperadora było bardzo-bardzo poważne – wróćmy do naszych zajęć. Proszę mi powtórzyć kilka razy, co powinien mówić dobrze wychowany człowiek podczas spotkania z gospodarzem. Miejscowa etykieta

wymaga ofiar.

Klaus „hmyknął” i wypowiedział kilka słów, Kruk powtórzył je, aduan rozplynął się w uśmiechu. Dick obejrzał się, dziewczyna ciągle jeszcze stała na murze i patrzyła w ślad za nimi.

Może to i było coś na kształt bakrańskiej stolicy, ale Richard uznał osadę za równie żalną jak poprzednia – pył, psy, kozły, ubogie chable, tyczki z kozimi czerepami... Młodzian z trudem rozumiał, po co ich tutaj przyniosło, ale szczegółów zamysłów Kruka nie znalazł nikt poza Krukiem.

Gości witał ów Bakna, o którym tyle się wcześniej mówiło. Słynny przywódca starszyny Bakranów okazał się szczupłym, niewysokim staruszkim w odzieniu z koziej wełny, przepasanym splecionym ze skóry pasem i w skórzanych butach bez obcasów. Dicka zdziwiło, że dość dobrze mówi w taligu.

Wedle Bakrana kozopasy byli szczęśliwi, mogąc zobaczyć syna Wiatru przynoszącego im nadzieję. Roke w odpowiedzi wygłosił wyuczony zestaw niezrozumiałych bakrańskich słów. Bakna rozpromienił się i zaczął mamrotać po swojemu. Alva pokręcił głową i wypowiedział jeszcze kilka wyuczonych słów. Bakran przyłożył obie ręce do policzków, Proemperador powtórzył gest i zeskoczył z konia. Za marszałkiem pospieszyli celnicy i Ucha. Dick odczekał chwilę i także zlął z grzbietu Sony.

–Richardzie, proszę zatroszczyć się o konie. Nie wątpię, że nasi gościnni gospodarze znajdą dla pana chleb i ser.

Kozi ser! Może Kruk zgadza się to jeść, ale Władca Skał nie będzie jadł tego, czym gardzą nawet wieśniacy.

–Monsignore, jestem najedzony.

–Jest pan głodny, młodzieńcze – z naciskiem powiedział Roke. – Bardzo głodny.

Dick ponuro skinął głową – kiedy Alva zaczynał mówić takim tonem, można było zjeść żywego jeża, nie zauważając tego. Zresztą w smaku kozi ser był znacznie mniej obrzydliwy, niż tego Richard oczekiwał, może dlatego, że rzeczywiście był głodny. Młody aduan, wyznaczony przez generała Shemantala na adiutanta, wsuwał bakrańskie jedzenie, napychając je sobie za policzki jak wygłodniały suseł. Chociaż czego można oczekiwać od Warastanina, który wyrósł obok kozopasów?

Najadłszy się, Richard strząsnął z kolan okruchy i popatrzył w niebo. Słońce powoli kierowało się na zachód, ale do wieczora było daleko. Nie było kompletnie nic do roboty, młodzieniec zaczął z nudów przeglądać rozwieszane pod dachem ogłowia. Siodła wyglądały zwyczajnie, wojskowe, ale wędzideł nie było, wodze mocowano do szerokiego pasa, pierścień obejmował pysk zaraz za dolną wargą zwierzęcia. Potniki nie wiadomo dlaczego zrobione były z bardzo grubego wojłoku i na dodatek obszyte futrem. Dick odruchowo wzruszył ramionami, celnik uznał to za zaproszenie do

rozmowy.

–Z nimi, znaczy – z kozłami, inaczej się nie da. Jakbyś nie karmił, zawsze grzbiet wypiera, jakbyś na płocie siedział.

Mateńka i Ivon pewnie by nie zaaprobowali rozmowy z warastańskimi prostakami, mającymi fatalny zwyczaj rozmawiania z każdym jak z równym, ale Richard po pierwsze, był zaintrygowany, po drugie, jednak był bardzo samotny.

–A jeździłeś na nich? – zapytał z pewnym niepokojem.

–Nie – pokręcił głową chłopak – one ino panów uznają, ale za to jak psy za nimi biegają. Ale – co tam gadać – dbają oni o te kozy, a każda stwora chce się do kogoś przyczepić.

Każda stwora... Ciekawe, co by na to powiedział marszałek. Takiemu Roke to na pewno nikt nie jest potrzebny, chyba że Moro, a i to dopóki ktoś go nie prześcignie. A Katari? Oskar powiedział, że Alva jest zazdrosny, czyżby więc kochał? Nie, Kruk nie jest zdolny do miłości, a Katari nigdy nie odda swojego serca zabójcy.

–Nie wyobrażam sobie, jak oni nimi kierują?

Lepiej rozmawiać o kozłach, niż myśleć o Kruku i o tym, co powiedział Oskar.

–Proste jak świński ogon. Chcesz w prawo, ciągniesz jego łeb w prawo i sam się w siodle skręcasz, trzeba w lewo – ciągniesz w lewo, kozioł cię nigdy nie poniesie, nie robią żadnych świństw, żadnych wykrętów. A mądre jak nie wiem co. – Aduan zaproponował roгатemu piękniśowi kawałek podpłomyka, który ten schrupał z widoczną przyjemnością. – W nocy widzą nie gorzej od kota, żrą, co popadnie, i kuć nie trzeba.

–Konie są szybsze – niemal obraził się za wierzchowce Dick.

–Akurat w górach potrzebna ci szybkość – machnął ręką Warastanin. – Tu się skacze po kamieniach i nie wolno bać się wysokości. No i rogi, wiadomo, nie zaszkodzą, zwłaszcza jak się na siwulców trafi.

–Wszystkie są kastrowane?

–Co? – nie zrozumiał aduan.

–No – Dickon zmieszał się; zarówno mateczka, jak i ojciec nie znosili wulgarnej mowy. – Czy robią im tak, by nie mieli potem potomstwa?

–A, czy skopią? Ależ słówka wy macie, że bez kasery człek nie zrozumi. Tych, co

pod wierzch idą, skopi się. Kozioł nie koń, żeby dwa lata czekać. Wiosną się urodził, jesienią – chlast i nie ma. Żeby się nie bił i nie capił, bo bodliwe są Nielicho... Aha, panie, mnie Marianem zwa, jakbyś nie wiedział.

Richard Ockdell nie miało nic lepszego do roboty, jak zapamiętywać z imienia wszystkich Klausów i Jeanów! Jeśli Roke lubi kolegować się z chamami, to nie znaczy, że... Ale ojciec mówił, że Człowiek Honoru powinien znać po imieniu tych, z którymi idzie do boju.

–Zwa mnie Richard – nieco ceremonialnie rzekł młodzian. – Richard Ockdell.

–Dyć wiem – rozpląnął się w uśmiechu Marian. – Pan przy Pryimpyrdorze jest. Och, zuchwały on jest, aż strach! Orzeł! My, muszę przyznać, całkiem głowy już poopuszczali – bo gdzie nam do siwulców. Gubernator nasz, jak podatki zdzierać – to pierwszy, a jak coś zrobić – łeb po ławkę, tylko zadek wystaje. No nic, z Pryimpyradorem to my z siwulców skórę zedrzemy.

–Podoba ci się... – jak określić Roke, żeby nie było głupio – monsignore?

–Pryimpyrador? A jak! On się wszystkim naszym podoba, my za nim czy w góry, czy w rzekę. Słuszny on jest, nie robi nic niepotrzebnie!

–Ale przecież rozstrzelał generała Fensoi!

–No, ustrzelił, tak. – Celnik jakby się zdziwił. – Ale co za sprawa? A ty się wydurniaj i wypindrzaj? Jak nie wiesz, jak się chodzi po stepie, to zapytaj, ale on nie! Dumny bardzo... No i poszedł robaki karmić...

Biedny Oskar! Zasłużyć na takie epitafium. Trzeba by było dać bezczelnemu prostakowi po pysku, ale... Ale to „trzeba” zostało w kolejce innych. Nie zrobił wielu rzeczy, które powinien był zrobić, i narobił wiele takich, których robić nie należało.

Richard nienawidził siebie za słabość, ale uderzyć tego chłopaka, który sam nie wiedział, co plecie, nie mógł, Ten Marian niedaleko odszedł od zwierzęcia, skąd ma wiedzieć, co to honor, sprawiedliwość, litość? Wszyscy oni, od „generała” Jeana do ostatniego chłopca, nie widzą nic poza swoimi stepami, wszystko im jedno, co się dzieje za Rassanną, a Roke, Roke traktuje ich jak równych sobie.

Pewnie, Ludzie Honoru Kruka nie znoszą, a ci mu z ręki jedzą... „Pryimpyrador”... Trzeba by wpuścić to słówko do Ollarii, jeśli tam oczywiście wrócą...

–A ty, Richard, nie masz co się dziwić. – Warastanin serdecznie huknął Władcę Skał w ramię, moc miał chłopak jak niedźwiedź. – My ich przed śniegami wymłócimy, zobaczysz!

Dick skinął głową, przycupnął na ułożonej z kamieni ławie i przymknął oczy. Nie to, żeby mu się chciało spać, ale jeśli palnie aduan coś jeszcze – nie wytrzyma. Richard słyszał, jak rozmówca przysiadł się obok, po jakimś czasie dało się słyszeć lekkie pochrapywanie; było to nieprzyjemne, ale bezpieczne. Dick ostrożnie wstał, przespacerował się po podwórzu, odwiedził Moro i Sonę. Klacz położyła głowę na szyję ogiera, na widok pana parsknęła przyjaźnie, ale na tym poprzestała. Też mi przyjaciółka! Dick z wyrzutem popatrzył na zdrajczynię, przypomniał sobie nie wiadomo dlaczego, jak Ponsi podglądał Roke i „tuberozę”, i roześmiał się. Dobrze, że Roke podsunął Gila Manrikowi, choć ci, co zostali w Tronko, pewnie przeżyją. A oni, z łaski Kruka, wleżą w paszczę Stworów Zmierzchu.

Czas płynął, purpurowe już słońce dotknęło krawędzią zębatej grzędy na horyzoncie, rozrośnięte cienie poruszyły się, wyciągając ręce do tego, co w dzień im się nie należało. Celnik obudził się, podrapał po głowie, ziewnął i znowu zamknął oczy. Dick siedział na kamieniu i czekał, z nudów przyglądając się kozłom. Kozły zaś spokojnie stały przy płocie i w zamyśleniu patrzyły na Dicka wielkimi oczami w kolorze topazów.

Kiedy drzwi chabli otworzyły się, dzień niemal całkowicie zgasł, ale światła było aż nadto, by zobaczyć połyskujące zęby i oczy bakrańskiej starzyzny. Bakna chwycił za ramię przebiegającego obok chłopaka i wyryczał jakiś rozkaz. Chłopiec dziwnie potrząsnął głową, jakby chciał bodnąć kogoś, i rzucił się do biegu.

Dick chwycił Mariana za rękaw.

–Co on powiedział?

–Zwariował – splunął celnik. – Nie inaczej. Krzyczy, żeby mu przez noc schwyтали lisa, samca. Inaczej, powiada, kozia wasza mać, wszystkich zdepcze.

Rozdział 10

Sagranna

„Le Quatre des Bâtons” [\[145\]](#)

1

–Obrzydliwy widok – zauważył Roke Alva, patrząc na rozpaczliwie klapiącego zębami czworonoga z ogolonym ogonem. – Powiedziałbym nawet, że nieprzyzwoity.

Richard całkowicie się zgadzał ze swoim erem, trudno było sobie wyobrazić istotę dziwniejszą i nieprzyjemniejszą niż ogolony lis. Ze wspaniałego zwierzaka zmienił się we wstrętą jaszczurkę, cyrulik (ten sam, który zwyciężył w zawodach pod szubienicą) oddalił się, unosząc ze sobą dziesięć monet, a jego ofiara, wizgliwie poszczekując, miotła się po wąskiej, w pośpiechu skleconej klatce.

–„Jakże żałośni są władcy ziemscy, pozbawieni władzy swojej – Bonifacy z zadowoloną miną wyciągnął zza cholewy płaską manierkę. – Podobni oni są do zwierzęcia pozbawionego skóry i drzewa ogołoczonego z liści”.

–To z Pisma? – zainteresował się Proemperador.

–„Słowo o przemijaniu wszystkiego ziemskiego”.

–No proszę, nie sądziłem, że podsuwam Biriezyjczykom i ich panu zbawcze teksty, ale to nawet lepiej. Klaus, liczę na pana!

–Będzie wykonane, monsinior. – Aduan aż promieniał. – Niech pan nie wątpi.

–Odwiezie pan i natychmiast wraca. Słyszysz pan – natychmiast. Jest mi pan potrzebny.

–Będzie wykonane – powtórzył pułkownik Konner, z miłością patrząc na Proemperadora. Warastanie powariowali – wszystko, co robił albo mówił Alva, wprawiało ich w zachwyty.

–Roke. – W głosie Savignaca rozbrzmiewało zwątpienie. – Czy warto zmieniać wojnę w komedię?

–Niech się pan tak nie przejmuje, Emilu – Roke odprowadził spojrzeniem Klauza, odnoszącego klatkę z ogolonym lisem. – Wszystko idzie dobrze. Jest granica, po przekroczeniu, której nic ci nie może zaszkodzić. Chodzi tylko o rozmach. Jeśli dama

za swoją, powiedzmy, miłość otrzymuje prowincję, to nikt jej nigdy nie nazwie szmatą. Jeśli przygotujemy z Adgemara frykasy, nikt nas nie nazwie komediantami, nawet jeśli wjedziemy do Ollarii wierzchem na kozłach czy na lazaronach, ja zresztą szczególnie wielkiej różnicy nie widzę.

–Tak więc postanowił pan nie rąbać gałęzi, ale karczować pień – wymruczał Bonifacy. – To mądre. Biriezyjczycy przychodzą z Kagety, czyli idziemy na Kagetę.

–Według mnie to oczywiste – roześmiał się Alva, odrzucając połę namiotu. – Słońce zaszło, panowie. Proponuję udać się nad wodospad.

–Nie powinniśmy marnować czasu – wtrącił się Kurt Weizel. – Nasza jedyna przewaga – zaskoczenie i szybkość. Po co nam to przedstawienie z ogolonym lisem i ultimatum? I tak jest nas aż obrzydliwie za mało...

–Kurt – Roke z leniwą gracją podstawił rękę pod lodowatą strugę – proszę się uspokoić, napić wody. Niech na razie nieogolony jeszcze Lis miota się, umacnia obronę, zbiera ruszenie, a jego poddani niech wymachują pięściami i wszystkim, hm, pozostałym. To się im przyda.

–Nie wątpię, że Adgemar wykorzysta ten czas sensownie. W odróżnieniu od nas. Roke, pan zawsze słynął z szybkości i naporu. Możemy przekroczyć SAGRANĘ, omijając ochraniane przełęcze? Co mówią Bakrani?

–Generale – pokiwał głową Alva. – Łazić po górach jest bardzo niewygodnie, poza tym Emil ma konie, a pan – armaty. Po co mamy łamać sobie nogi i kaleczyć niewinne zwierzęta, skoro jest wspaniała droga?

–Roke – roześmiał się głośno Savignac. – Mam nadzieję, że nie zamierza pan podejść do Irbisich Wrót i zażądać, by nas przepuścili?

–Brawo, Emilu – uśmiechnął się Pierwszy Marszałek Taligu. – Rozgryzł mnie pan, właśnie tak postąpię. Inne przełęcze nie są tak wygodne i znajdują się za bardzo na wschód od miejsca, które... Ale o tym potem. Najpierw Irbisie Wrota.

Savignac i Weizel wymienili wymowne spojrzenia. Tak patrzą na siebie ludzie, widząc, że ich towarzysz chce przegrać w kości ostatniego konia albo ożenić się z kurtyzaną. Kruk roześmiał się, chlusnął wodą w przelatującą ważkę.

–Roke – zaczął Kurt – jako artylerzysta powinienem cieszyć się z wyboru jedynej nadającej się dla konnej artylerii drogi, ale...

–... pańskie sumienie – Alva wywrócił oczami – nakazuje uświadomić mi, że Irbisie Wrota pilnowane są przez dwanaście tysięcy Biriezyjczyków, wawóz przegradza kamienny mur, na którym znajdują się ciężkie gaifiańskie armaty, które obsługują nie

mniej gaifiańscy artylerzyści.

–Wąwóz jest szeroki i prosty niczym pałacowa aleja. Spudłować w nim się po prostu nie da – burknął Weizel. – W Irbisich Wrotach przechowywana jest dziesiąta część skarbów kageckich kazarów. Że tak powiem, na czarną godzinę. Adgemar uważa za pewne nie tylko to miejsce, ale i komendanta, i garnizon.

–Tak jest. – Emil Savignac wyraźnie się denerwował. – Nikt mnie jeszcze nie nazwał tchórzem...

–I nie nazwie – zapewnił kawalerzystę Roke. – Tak więc, mój panie, proszę się nie obawiać i śmiało opowiedzieć mi o armatach na przydrożnych skałach. Są tam też przygotowane głazy, żeby strącić je na głowy szturmujących. A teraz, Kurt, nadeszła chwila, żeby pan westchnął i oświadczył, że my swojej artylerii nie możemy wykorzystać podczas szturmów, ponieważ armaty z twierdzy ostrzeliwują drogę daleko do przodu i zmiotą każdą baterię, a my mamy tylko lekkie działa i moździerze. No więc, panowie, będziecie mi przypominali o zaletach gaifiańskich kulewryn i półkulewryn, czy może uwierzycie na słowo, że jestem świadomy ich możliwości?

–Nie zamierzam powtarzać tego, co pan już wie.

Na twarzy generała artylerii poruszyły się mięśnie, zacisnął szczęki.

–Dziękuję, Kurcie, bardzo jestem zobowiązany. Tak więc, po skróconych z powodu zaufania do mojej skromnej wiedzy artyleryjskich cierpieniach, słuchamy arii Savignaca o tym, że jedyna droga obejścia jest bardzo niewygodna. Emilu, proszę być tak uprzejmym i wytłumaczyć mojemu giermkowi, że oddział, który zaryzykuje obejście, zostanie zniszczony podczas zejścia, a jeśli nawet przeskoczy, to obrońcy murów zdążą się odwrócić i wszystkich wyciąć w pień.

–Zapewniam pana, Roke, księżę Ockdell to rozumie – sztywno rzucił Weizel.

–Najważniejsze, żeby to zrozumieli nasi kageccy przyjaciele. – Roke chlusnął wodą w kolejną ważkę. – Daję im dwa miesiące. Niech się upewnią, co do niedostępności swojej przełęczy.

–Dwa miesiące? – jęknęli chórem obaj generałowie. – Pan zwariował!

–Znowu ta wizja... Od dziesięciu lat słyszę o swoim szaleństwie, wymyślcie coś nowego. Zapewniam was, przez te dwa miesiące ani Irbisie Wrota ani Adgemarowe złoto nigdzie się nie podzieją.

–Dwa miesiące? – Uważnie przysłuchujący się rozmowie Bonifacy chytrze zerknął na Proemperadora. – Dlaczego właśnie dwa?

–Dlatego, że z Kagetą musimy skończyć przed mrozami. Zaskoczenie, Wasza Świątobliwość, jest dwojakiemu rodzaju. Kiedy się pana jeszcze nie spodziewają i kiedy się pana już nie spodziewają. To, co słyszałem o naszych kochanych „irbisach” i nie tak kochanych kazaronach, każe mi wątpić w ich cierpliwość. Najpierw się rozszaleją, ale po miesiącu wszystko to im się znudzi. Wojałom odechce się spać w ubraniach i powstrzymywać od pijatyk. Należy sądzić, że cały tłum, nie mając wroga zewnętrznego, skieruje swój zapal na siebie.

–Liczy pan na rozłam w kageckiej armii? – szybko zapytał biskup.

–Liczę, że rozegram swoje rozdanie.

–Roke – wychylił się do przodu Savignac – po co mamy czekać, skoro możemy uderzyć od razu? Nasze pojawienie się tam będzie kompletnym zaskoczeniem. Biriezyjczycy są przekonani, że jesteśmy jeszcze w Waraście.

–Jorge zna się na robocie. Za dwa miesiące będą o tym przekonani jeszcze bardziej. A ja potrzebuję Bakranów, Emilu, a oni wcześniej niż przed końcem lata nie zdążą.

–Pan jest wspaniałym dowódcą, Roke. – Kurt Weizel robił wrażenie człowieka, który nagle przypomniał sobie coś bardzo nieprzyjemnego. – I zgadzam się, że pomysł, by uderzyć w pierwotną przyczynę naszych nieszczęść, jest bardzo dobry z punktu widzenia militarnego. Więcej nawet, jestem gotów uwierzyć, że zdobędzie pan Irbisie Wrota, ale nie możemy walczyć z Kagetą. Nie mamy dowodów jej związku z najazdami Biriezyjczyków, a według Złotego Traktatu nie mamy nawet prawa nawet wejść w góry, nie mówiąc o szturmowaniu przełęczy. Jeśli to zrobimy, na Talig rzucą się wszyscy.

–Rzeczywiście – Savignac był wyraźnie zaniepokojony. – Jakoś o tym zapomniałem.

–Za bardzo bezpośrednio podchodzicie panowie do sprawy – skrzywił się Roke – stąd takie wyniki rozumowania. Och, panowie, panowie... Pana rozumiem, Kurt, pan jest przykładną głową rodziny, kompletnie wyzbytą grzesznych skłonności, nie można więc mieć do pana pretensji, ale pan, Emilu! Przecież pan grywa, i to o spore stawki, powinno do pana dotrzeć, że z szulerami należy grać po szulersku. Gdyby Gaifa i jej przydupasy wypowiedzieli wojnę Taligowi, to by była uczciwa gra, ale oni chcieli oszukiwać. Wspaniale. Niech myślą, że trzymają pulę, i niech podnoszą stawki, nie będziemy im przeszkadzać.

–A potem? – gwałtownie zapytał Kurt Weizel.

–A potem – przeciągnął się Roke – albo podmienię talię, albo zrzucę karty ze stołu.

Kozły były wielkie, żeby nie powiedzieć ogromne. Rober Epineix takich potworów nie tylko nie widział, ale i nie wyobrażał sobie, że gdzieś się takie hoduje. Tym niemniej kudłate stwory istniały i nawet waliły rogami we, jeśli tak można się wyrazić, wrota Irbisich Wrót. Działania stworów wyglądały na przemyślane – cofały się, pochylały głowy, dobrze się rozpędzały i waliły w wierzeje, po czym cofały się do nowego ataku. Oczywiście nie mogło im się udać przebicie okutych miedzią grubych desek, ale upór i rozmiary nie wiadomo skąd przybyłych stworów robiły wrażenie. Widok był interesujący, zwłaszcza jeśli się uwzględniło, że grzbiety kozłów okrywały peleryny ze skór irbisów, na jednym rogaczu twarzą do ogona siedział kompletnie łysy jeździec, a na grzbiecie drugiego znajdowała się klatka, w której rozpaczliwie tłukło się coś kompletnie niepojętego. Jeszcze dziwniejsze rzeczy działy się w samej cytadeli. O ile Roberowi było raczej do śmiechu, to zazwyczaj niewzruszeni Biriezyjczycy stanowiący połowę garnizonu wpadli w szal, a Kageci chodzili z opuszczonymi oczami. I nikt niczego nie przedsiębrał!

Rober rozejrzał się w poszukiwaniu Rubaza czy kogoś innego, kto mógłby wyjaśnić, co się dzieje, ale przeklęty kazaron gdzieś się zawieruszył. Epineix już potrafił jakoś dogadać się z Kagetami, ale co innego rozmawiać o czymś prostym, a co innego analizować miejscowe dziwactwa. Napotkany gaifiański artylerzysta też nic nie rozumiał, a kozły ciągle tępo waliły głowami we wrota. Taligojczyk wymienił spojrzenie z Gaifianinem, razem zeszli na dół. Przylegającą do przegradzającego Wąwóz Irbisa muru przestrzeń wypełniali Biriezyjczycy i Kageci. Mieszkańcy cytadeli na coś czy na kogoś czekali, starając się nie patrzeć w stronę wrót, w które waliły bez przerwy potężne rogi. Kiedy w końcu pojawił się kazaron Maszirlo-Saunik, będący tu czymś w rodzaju komendanta, oczekiwanie stało się nie do wytrzymania.

Maszir przyszedł wraz z Milżą Zawatna, przyrodnim bratem naczelnika Purpurowej Straży Kagety i niepisany przywódcą przygranicznych biriezyjskich oddziałów. Obaj wspaniale znali talig, ale Rober uznał wypytywanie ich za niewłaściwe. Tym niemniej kazaroni, obejrzawszy zgromadzonych, skierowali się właśnie do niego. Lo-Saunik był niewysoki i chudy, skroń i policzek miał oszpecone blizną po cięciu szablą, a nierozmownością i beznamiętnością bardziej przypominał Biriezyjczyka niż Kageta.

–Drogi gościu! Jestem zmuszony prosić cię o przysługę.

Denerwuje się, bardzo się denerwuje, inaczej nie przeszedłby na kageckie „ty”.

–Czym mogę pomóc?

–To... To dotyczy naszych zwyczajów i wierzeń... i biriezyjskich też. Zabij człowieka

siedzącego na kozle, a potem same zwierzęta. Wszystko ci wyjaśnię potem.

–Ale przecież to jeniec! Może jeden z waszych.

–O nic nie pytaj – wszystko potem.

–Dobrze – powiedział Epineix, który nagle poczuł ziąb – mam ich zabić w jakiś specjalny sposób, czy mogę po prostu strzelić?

–To wszystko jedno.

–No to potrzebuję jeszcze jednego pistoletu.

–Proszę wziąć moje – zaoferował się Gaifianin. – Mogę panu pomóc, czy to zabronione?

–Nie – szybko powiedział Kazaron i dodał jeszcze raz: – Nie!

–No to pan strzela do człowieka, a potem razem strzelamy do kozłów.

–Zgoda.

–Ale żeby to zrobić, trzeba wyjść. – Maszir jakby przeproszał. – Strzelać ze środka nie wolno.

–Dobrze – zgodził się Rober.

Potem wypyta o wszystko, teraz nie czas.

Wolno przedfilowali obok setek ludzi o pełnych podniecenia twarzach, ciężko sapnęła furtka, pod nogami zaskrzypiał drobny żwir. Kozły, widocznie zdecydowawszy się odpocząć, stały o dwadzieścia kroków od wrót. Na widok idących drogą ludzi jednoznacznie pochyliły głowy. Jeniec – bo jak jeszcze można nazwać spętanego człowieka, na śmierć przywiązanego do siodła? – siedział tak nieruchomo, że wyglądał jak woskowa lalka, ale niepojęte zwierzę w klatce zawarczało z wściekłością. Najbardziej stwór przypominałby oskubaną kurę, gdyby ta miała cztery nogi i długi szcurzy ogon, ale pysk miał niemal psi.

–Lis – domyślił się Gaifianin. – Samiec, ale co z nim zrobiono?

–Ogolili go, jak sędzę – odezwał się Rober.

Ktoś przysłał do Irbisich Wrót dwa kozły, ogolonego człowieka, ogolonego lisa, czymś wypchaną torbę i list, bo na szyi jednego z kozłów majtał się wyszukany futerał na posłania, zdobiony dziwnie wyglądającą pieczęcią.

Rober uniósł pistolet i natychmiast opuścił.

–Nie przywykłem strzelać w plecy.

–Rozumiem, ale obiecał pan. Jeniec się nie odwróci; gdyby chciał, byśmy go zobaczyli, już by to zrobił.

–Tak, zapewne tak. Strzelamy jednocześnie. Ja z obu rąk, pan z jednej.

–Zostanie jeszcze lis.

–O nim nic nie mówiono. Niech decydują sami.

Epineix skinął głową. Trzy wystrzały zwały się w jeden. Człowiek i jeden z kozłów byli martwi, drugi tłuł się w agonii, usiłując wstać. Drugi wystrzał Robera nie był celny – Inochodziec niezbyt dobrze władał lewą ręką. Krzyki rannego kozła zwały się w jedno ze szczekaniem lisa. Epineix zaczął przeładowywać pistolet, ale nie zdążył – Gaifianin wystrzelił i zwierzę uderzyło pyskiem w szary żwir. Przywiązany do kozła trup sprawiał dziwne wrażenie, wydawało się, że na środku drogi ktoś porzucił połamaną jarmarczną zabawkę. Rober nie chciał podchodzić do ciała, ale przemógł się.

–Dziwny kraj – Gaifianin schował pistolet. – Kiedy jechałem tu, żeby zarobić pieniądze na ślub, nie sądziłem, że trafię do babcinej bajki. Wszystko tu jest dziwaczne i wiele czyha niebezpieczeństw.

–Podzielam pańskie uczucia...

–Tenant Lambros z Newanty, do usług.

–Rober Epineix, miło poznać. Co robimy dalej?

–Nie wiem. Ale idzie tu już komendant.

Maszirlo-Saunik był sam, nie wiadomo – tak należało, czy nikt nie zaryzykował wyjścia z nim. Lambros ma rację – rzeczywiście, znaleźli się w głupim śnie. Wszystko tu inne, nawet imiona, choć Rober zaczął już się do nich przyzwyczajać. Zapewne dla Biriezyjczyków i Kagetów talig brzmi nie mniej dziko niż dla Taligojczyków kaget i biri.

Kazaron pochylił się nad zabitym zwierzęciem, zdjął klatkę, futerał na posłania i torbę, rozwiązał i tak samo pośpiesznie zawiązał skórzane troczki. Rozpaczliwie, ale tak samo wizgliwie zaryczał lis.

–Bądź moim świadkiem, gościu – Maszir odwrócił się do Robera. – Wziąłem z zabitego zwierza to, co wziąłem. Proszę cię, popatrz, czy są w środku listy.

Mogła tam znajdować się jadowita żmija czy igła z trucizną, ale Epineix nie zawahał się. Pokrywka zdjęła się łatwo, a we wnętrzu były dwa zwoje. Pierwszy pokrywały litery, których Rober jeszcze nie widział, drugi list napisany był w taligu, ale nie język spowodował, że zęby Inochodźca zwały się ze zgrzytem, a charakter pisma. Charakter pisma i pieczęć, które Rober zapamiętał na całe życie.

Rober Epineix jak na jawie zobaczył prosty wiejski stół, żółtawy arkusz papieru, pierwsze wersy i pieczęć z lejącym Krukiem. ... *Jeśli pan naprawdę wierzy w stare przesady, to skrzyżujemy szpady, w przeciwnym przypadku czeka pana królewski sąd, a ja umywam ręce...*

Egmont Ockdell wierzył w stare przesady, podjął wyzwanie i zginął jak Człowiek Honoru i Przywódca jednego z Wielkich Domów. Rober usiłował powstrzymać księcia, ale ten zrobił po swojemu. Cóż, uniknął przynajmniej egzekucji.

–Co się z panem dzieje? Zobaczył pan ducha? – Gaifiański tenant z niepokojem wpatrywał się w Taligojczyka.

–Można powiedzieć, że tak właśnie jest.

Teraz Rober Epineix wiedział, kto stanął przeciwko nim. Wojna, i prawdziwa wojna dla następcy Domu Błyskawic zaczęła się dopiero te raz. Do tej pory była to polityka, która zaowocowała podróżą, obłudą, niepojętymi obyczajami, obcymi ludźmi, którzy stawali się nie tyle swoimi, ale – przynajmniej – zrozumiałymi. Gdzieś za górami leżał Talig, w tym kierunku wyruszali siwi wojownicy w skórach irbisa, a tu krążyły górskie ptaki, brzęczał strumień i zachodzące słońce zalewało ośnieżone szczyty krwią. Dziś wszystko się zmieniło – wojna wspięła się w góry i wszystko zrobiło się proste – z jednej strony oni, z drugiej – Kruk.

Irbisie Wrota są nie do zdobycia? Wojny z partyzantami nie można wygrać? Topiele Renkwahy też wydawały się nie do przejścia, ale robienie rzeczy niemożliwych stało się dla Kruka zwyczajem, nienadaremno dewiza rodu Alvy, która stała się przekleństwem Taligoi, w przekładzie z kenallijskiego oznacza „pod wiatr”.

–Wszystko w porządku, panowie. Po prostu rozpoznałem charakter pisma człowieka, który napisał list. To Roke Alva – Pierwszy Marszałek Taligu. To wyśmienity dowódca, może najlepszy z żyjących obecnie.

Roke Alva często podśpiewywał w drodze, ale tę pieśń Richard słyszał pierwszy raz i wcale nie przypominała ona dobrze już znanych Dickowi kenallijskich kantylen. Melodia była jednocześnie niepokojąca, śpiewna i bardzo obca, właściwie nie tyle obca, ile niezwykła. Dick sam nie wiedział, kiedy zaczął podśpiewywać erowi, dziwna melodia zagarnęła całego młodzieńca, wypchnęła wszystkie myśli, pozostał tylko on i wijąca się wśród skał usiana kamieniami ścieżka. Ileż tu kamieni – wielkich i małych, okrągłych jak pociski armatnie i ostrych jak noże, twardych i gotowych rozsypać się na pył.

Chaotyczne nagromadzenia kamieni na zboczach gór tylko wydają się nieruchome, w rzeczywistości są to rzeki, kamienne rzeki. Zaczynają się od strumyków, małych osypisk, potem rosną, wchłaniają w siebie rzeczki z innych żlebów i wąwozów. Jedne kamienie spływają w dół, ich miejsce zajmują inne. Ludzie nie widzą, jak płyną, ludzie są zbyt pośpieszni, nie lubią czekać. Woda też nie lubi czekać, śpieszy się w dół, zawsze w dół. Padają deszcze, topnieją śniegi, woda przesącza się pomiędzy kamieniami, niesie ze sobą il i pozostawia go na skalnym łożu. Dno rzeki staje się miękkie i śliskie, łatwiej się spełza za spływającą wodą, wraz ze spływającą wodą, na spotkanie wielkiej płynącej wody.

Kamienie są związane z rzeką, wypełniają jej koryto, lodowata woda pędzi po kamieniach, opływa skały, przeskakuje przez głazy, ciągnie z sobą żwir, rumosz, piasek...

Wysłuchawszy się, można usłyszeć, jak kamienie rozmawiają ze sobą, raz głośniejsze, raz ciszej. Im silniejszy jest prąd, tym głośniejsze i bardziej złe są ich głosy, są niezadowolone, że przeszkadza im się spać, ciskają się z boku na bok, zderzają ze sobą. A po deszczach kamienie krzyczą, ich krzyki zagłusza głos rzeki. Twardy kamień kłóci się z wodą, na starość staje się okrągły, ale nadal jest cały, kamienie z miękkimi i rozbitymi sercami woda miele na piach. Niedobrze, gdy serce jest pęknięte, ono powinno być twarde.

–Monsinior – głos Shemantala niemal rozjuszył Dicka, ale złość niemal od razu zgasła – Ucha mówi, że niedobrze śpiewać tę pieśń przy rzece. W ogóle niedobrze jest śpiewać tę pieśń.

–Mnie też się tak wydaje – zgodził się Roke – ale trudno jej nie śpiewać. O czym to jest?

–Nie wie pan?

–Skąd? Usłyszałem ją kiedyś w nocy od wdowej kózki, a moja znajomość bakri, jak pan wie, skończyła się na trzecim dziesiątku słów. Więc o czym śpiewają nasze

kochane kozopasy?

–O narodzinach Górskiego Zwierza. Kamień wstępuje w związek z wodą i rodzi się Zwierz. Jego bieg to bieg Śmierci, jego gniew – gniew Kamienia, jego szaleństwo to szaleństwo Wody.

–Wasi nowi przyjaciele, Roke, są bardzo poetyccy – uśmiechnął się Weizel. – „Górski Zwierz” – to przecież tylko i wyłącznie potok błotny. Nieraz widziałem to w Torce, na szczęście z bezpiecznej odległości. To naprawdę śmierć, i to straszna. Rodzi się w górach i pędzi w dół, zmiatając na swojej drodze wszystko. Z łatwością turla głazami wielkości stogu siana albo i domu. Po ulewach od rozpadlin i osypisk należy trzymać się jak najdalej, ale teraz, chwałą Stwórcy, od dawna nie ma tu deszczy.

–Tak, na razie mamy szczęście.

–Roke – generał wyraźnie się wahał – pan wie, jestem człowiekiem gorliwym i z ogromnym szacunkiem odnoszę się do pańskich wojskowych talentów, ale tym razem nie wszystko rozumiem. Na co pan liczy? Sześć i pół tysiąca ludzi do naszej dyspozycji – to mniej niż nic.

–Zapomina pan o naszych nowych sojusznikach, Kurt. Klaus przysięga, że są gotowi i dotrą na miejsce przed nami.

–Proszę mi wybaczyć, Roke, ale to niepoważne.

–A co jest poważne? Pan potrzebuje stu tysięcy wymusztrowanych idiotów i pół tysiąca królewskich kulewryn? Z takimi siłami to nawet Aramona by kogoś zwyciężył. Na przykład ślimaka. A Bakranów pan nie docenia, oni mają wspaniałe kozły, już nie mówię o ich damach i niektórych obyczajach.

–Pan jest niepoprawny – z wyrzutem pokiwał głową artylerzysta. – Też mi czas na takie rozmowy.

–Ja nie lubię długo obywać się bez kobiet, Kurt. A pan ciągle dochowuje wierności Julianie? Tyjąca żona, co rok to prorok... Na Stwory Zmierzchu, jakież to nudne!

–Roke – oburzył się generał – przysięgałem przed obliczem Stwórcy.

–Cnotliwi ludzie są tacy dziwacznici. – Roke w zamyśleniu popatrzył na Weizla – nie da się pojąć, dlaczego jesteście wierni swoim żonom – kochacie je, czy boicie się Stwórcy?

–Książę – Weizel jeszcze się powstrzymywał – proszę nie bluźnić!

–Niech się pan nie ciska, Kurt, ja naprawdę nie rozumiem, po co do stosunków dwojga wplątywać trzeciego, i to jeszcze bez jego zgody. Oczywiście, jeśli Stwórcy podoba się podglądać niewierne żony, to... – Proemperador machnął ręką i wrócił do śpiewu. Tym razem była to znajoma Dickowi piosenka o morzu. Tę Alva śpiewał częściej niż inne.

–*Opowiedz mi o morzu, marynarzu.* - Kenallijska kantylena na kamienistych ścieżkach SAGRANNY brzmiała dziwnie, dziwniej nawet niż niesamowity bakrański motyw. – *Przecież z mojego okna nie zobaczę go. Opowiedz mi o morzu, marynarzu, przecież nic o nim nie wiem...*

Część czwarta

„La Force”[\[146\]](#)

La plupart des hommes s'exposent assez dans la guerre pour sauver leur honneur. Mais peu se veulent toujours exposer autant qu'il est nécessaire pour faire réussir le dessein pour lequel ils s'exposent.[\[147\]](#)

François de la Rochefoucauld

Rozdział 1

Wąwóz Irbisa

„Le Trois des Bâtons”[\[148\]](#)

1

Słońce zaszło i od razu nad światem zapanowała noc – zmierzchu letnia SAGRANNA nie znała. Z wąwozów wypełzła mgła, zagłuszając dźwięki, kryjąc to, co pozostało na dole. Bardzo dogodna do ataku noc, nie gorsza niż wczorajsza, przedwczorajsza, niż ta sprzed trzech dni...

Rober Epineix położył dłoń na lufie gaifiańskiego działa. Metal był chłodny, teraz było to przyjemne dotknięcie, ale rano zmusi do drżenia z zimna. Taligojczyk wstał i wolno ruszył od armaty do armaty. Nikt ich nie pilnował, po co? Na Stwory Zmierzchu, jakże daleko dotarł?

Uczepiony pana Clement krzątał się na ramieniu, futro szczura łaskotało policzek. Na dole śpiewano. Richard już dość dobrze znał Kaget, ale nie udawało mu się w męskim wielogłosie rozróżnić znajomych słów; melodia, piękna i smutna, tylko wzmacniała poczucie samotności i pustki. Epineix nie wiedział, jakie pieśni śpiewają Goganie i czy w ogóle śpiewają, ale Mellit kageckie piosenki na pewno by się spodobały. Mogliby, on i ona, mieszkać w górach – ona chodziłaby po wodę do lodowatego ruczaju, on polowałby, dokoła ich domu rosłyby dzikie róże... Bzdury, żadnych róż i żadnych saren nie będzie w jego życiu, tak samo jak nie będzie miłości i szczęścia, tylko wojna, polityka i samotność. Nawet jeśli się ożeni z księżną Eteri czy z jakąś inną panną, nawet jeśli Aldo zwycięży, w życiu Inochodźca Epineix mało co się zmieni – będzie spełniał swój obowiązek i krył przed wzrokiem innych swój ból.

–Nie śpisz? Ja też nie mogę.

Maszir znakomicie znał talig, ale komendant czy, jak się tu mówiło, haratan Irbisich Wrót, używając obcego języka, zostawał Kagetem. Po pięciu miesiącach na skraju ziemi Rober przywykł do wielu rzeczy, ale nie do tego, że do rozmówcy, nieważne jak był stary czy dostojny, należy zwracać się na „ty” i tylko z imienia. Kageci i Biriezyjczycy nie rozumieli stosowania słowa „pan”, a swoją przynależność do tego czy innego rodu zgłaszali tylko przy zawieraniu znajomości albo prąc do zwady.

–Nie śpicie? – Epineix ciągle nie potrafił „tykać” człowieka mogącego być jego ojcem. – Dlaczego?

–Nie wiem. – Kazaron milczał chwilę. – Duszno... Na cokolwiek popatrzę – wydaje się czerwone. Zły omen. Pewnego wieczora mojemu ojcu czarna zasłona wydała się czerwona, rano znaleziono go z nożem w piersi... Nie boję się śmierci, ale zmęczyło mnie czekanie.

Wszyscy byli zmęczeni. Dwa miesiące czekania! Kruk rozbił obóz nad Polworą i czeka. Na co? Biriezyjczycy, mimo całej swoje osławionej zręczności, nie mogli wziąć ani jednego języka, a sami stracili przez lato niemało swoich myśliwych i cztery pełne łapy.

Taligojczycy nie usiłują powstrzymać grabieży, nie miotają się od jednej spalonej wsi do drugiej. Uważa się, że Armia Południowa powinna oczyścić Warastę z partyzantów, ale Alva nic takiego nie robi. Rozłożył się jak krokodyl z Purpurowych Ziem przy wodopoju i leży niczym opancerzona belka. Tylko paszcza na cztery beau i trzy rzędy zębów... Jeden z biriezyjskich wodzów spróbował ukąsić krokodyla i znalazł się przy Irbisich Wrotach. Ogolony i wierzchem na koźle.

–Biriezyjczycy się boją. – Kazaron przykucnął przy dziale. – Powiadają, że jeniec przywiózł ze sobą bakrańskie nieszczęście.

–Nie znam tutejszych legend, kazaronie. U nas wierzy się, w co innego i czego innego się boimy.

–Ja też nie tu się urodziłem, a nad morzem – pokręcił głową Maszir. – Chciałbym jeszcze raz kiedyś je zobaczyć. Nasz zamek, mały i stary, stoi nad samym brzegiem. Z murów widać skałę przypominającą wychodzącego z morza byka, kiedy wieje silny wiatr, przelewają się przez nią fale, wczoraj mi się śniła. Moi rówieśnicy uganiaли się za gołębiami, a ja karmiłem mewy...

Egmont Ockdell podczas swojej ostatniej nocy opowiadał o Nadorze, o tym, jak w skałach na wiosnę kwitną dzikie wiśnie, i o dziewczynie, z którą nie mógł się ożenić. Miała na imię Iris, była córką jakiegoś „gnojara”. Biedny Egmont...

–Nie słuchaj mnie, gościu. Zrobiłem się gadatliwy jak stara baba.

–Po prostu nie wiemy, co zamierza wróg. – Rober odsunął wysuwającego się zza kołnierza Clementa. W Irbisich Wrotach do udomowionego szczura odnoszono się bardzo miło i ten zbeczelniał ostatecznie. – Dlatego się denerwujemy. Kozły z ultimatum zostały przygnane tutaj, więc oczekujemy ataku, ale Irbisie Wrota bardzo trudno będzie wziąć. Minęły dwa miesiące, taligojska armia stoi, gdzie stała, a bakrańskie wioski opustoszały. Nic tak nie dręczy jak oczekiwanie.

–To prawda – matowym głosem rzeki Kaget. – Tylko szaleniec odważy się szturmować Irbisie Wrota. Wróg uderzy, jeśli uderzy, przez Jodłowe Pasma albo Ścieżką Pyłu.

„Tylko szaleniec”, ale Roke Alva jest szaleńcem. Nikt nigdy nie wie, co przedsięwzięmie ten człowiek za chwilę. Kazar otrzymał ultimatum napisane ręką Kruka, ale w imieniu nowo objawionego króla Bakranów.

Niejaki Bakna Pierwszy wyliczał krzywdy zadane jego narodowi przez Biriezyjczyków i żądał od kazar przegnania ich z Kagety. W przeciwnym przypadku Bakna obiecywał wojnę. Obiecywał przed odlotem błękitnych żurawi zdobyć Irbisie Wrota i przez Równiny Daramskie przejść do wewnętrznej Kagety. Według Bakny władcę Kagetów, jeśli nie przyjmie ultimatum, czekał los przysłanego przez Bakranów lisa.

Rober nie widział oblicza Adgemara, gdy otrzymał list i ogolonego potwora w klatce, ale groźby kazar potraktował poważnie. Rawiat wezwał na pomoc wszystkich, którzy mogli trzymać broń. Epineix nie uważał tego za dobre pociągnięcie, ale miał nadzieję, że Biały Lis wie lepiej. Kazaroni z drużynami spływali ku Daramie, nie wątpili, że rozdepczą bezczelnych kozopasów i marne taligojskie tysiące. Biriezyjczycy... To byli wspaniali wojownicy, ale coś załamało ich pewność siebie. „Irbisy” w milczeniu ostrzyły swoje szable i czyściły muszkiety, były gotowe do walki, ale walki beznadziejnej. Rober, który przeżył rzeź nad Renkwahą, patrzył na górali, a widział Egmonta i swoich braci. Rober usiłował porozmawiać o tym z Milżą, ale ten nie reagował albo odpowiadał, że wszystko zależy od woli Wielkiego Irbisa.

Jakkolwiek to było, z taligojskiego obozu nie spuszczano oka, a przejścia do Kagety strzeżone były z niebywałą starannością, zwłaszcza te, co przechodziły nieopodal bakrańskich ziem. Właśnie stamtąd należało w pierwszej kolejności oczekiwać ataku, co potwierdziłby każdy, nawet kiepsko znający się na sztuce wojennej człowiek. Wszystko było zrobione dobrze, ale Roke Alva obiecał zdobyć Irbisie Wrota „przed odlotem błękitnych żurawi”.

–Roke Alva nigdy nie skłamał. – Po co on to mówi Maszirowi? – Chociaż jego słowa można zrozumieć różnie.

–Kruk przełożył słowa kozopasa, które były zwyczajną przechwałką. Ty dużo

mówisz o tym człowieku, ja go niemal widzę. Śmiał się, kiedy zapisywał słowa Bakrana...

Maszir miał rację, to był żart dokładnie w stylu Alvy. Nie skłamać i nie powiedzieć prawdy – niech wrogowie popłaczą bakrańskie groźby z planami samego Roke i czekają na atak w Irbisim Wąwozie, ściągawszy tam możliwie dużo sił. W tym wyjaśnieniu było tylko jedno „ale” – Alva nie mógł wiedzieć, że w Kagecie jest człowiek znający jego zwyczaje.

Epineix wezwał na pomoc cały swój rozsądek i wyobraził sobie Irbisie Wrota. Cytadela, stworzona przez samą SAGRANNĘ, żeby otrzymać niedostępną, nie do zdobycia twierdzę, Kageci musieli tylko zbudować jeden jedyny mur i postawić na nim działa, chociaż... Chociaż, gdyby to on był na miejscu budowniczego Irbisich Wrót, kazara Elizbara, Rober Epineix nie poprzestałby na jednym murze, a zamknąłby wąwóz po dwakroć. Pierwszy raz – tam gdzie zostało to zrobione, i jeszcze raz – przy wodospadzie powyżej okrążającej ścieżki. Inochodziec rozumiał, że Wrota były pierwszą kagecką osadą na niegdyś słynnym handlowym szlaku, a drugi mur przeszkadzałby w jego rozrastaniu się, ale mimo wszystko, twierdza powinna mieć cztery ściany, a nie trzy!

–Może powinniśmy umocnić strażę na okrążającej ścieżce?

–Myślałem o tym. – To pytanie wcale nie obraziło kazarona. – Na pierwszy rzut oka nie ma takiej potrzeby, ale rozmawiałem z Milżą. Postawił tam dwa razy więcej ludzi niż wcześniej.

–Biriejczycy są zaniepokojeni, widzę to.

–Ten, kto przysłał tu włosy jeńców i posadził dowódcę łapy na okrytym opończą koźle, wiedział, co robi. Biriejczycy czekają na nieszczęście, i to dobrze, są czujni, bo z kolei moi współplemieńcy radują się myślą, że Taligojczyk się wystraszył. Ucztują i piją. To jest głupia radość i głupia duma, ale nic nie mogę na to poradzić.

–Usiłuję zrozumieć, o czym śpiewali, zanim weszliście na mur, ale nie mogłem. Ładna pieśń, ale niewesoła. – Inochodziec usiłował odtworzyć melodię, co prawda nigdy nie błyszczał głosem, ale Kaget zrozumiał.

–Stara pieśń. – Maszir poruszył ustami, dobierając potrzebne słowa. – On kocha ją i zawsze będzie kochał, ale nie mogą być razem. Urodzili się pod różnymi gwiazdami, i ona kocha innego. On zabronił sobie myśleć o niej, ale jutro idzie w bój i nie może nie wspominać. Patrzy w niebo i myśli o niej i o śmierci, która zabierze jego i jego życie, i jego miłość.

–Tak sobie też pomyślałem. – Dawno temu zmarły Kaget, który stworzył tę pieśń, patrzył w niebo. Taligojczyk, usiłujący spierać się z losem, popatrzył w dół. Nic tam

nie było widać poza mgłą. On też zabrania sobie myśleć o Mellit. On także kocha i zawsze będzie kochał. Nie jemu pierwszemu przydarzyło się takie nieszczęście, coś takiego zdarza się od tysięcy lat i będzie się zdarzać, zdarzać...

–Kiedyś wydawało mi się, że to o mnie śpiewają – powiedział zamyślony Maszir – teraz już nie pamiętam tego. Życie okazało się dłuższe od miłości. Poczekaj... Coś jest nie tak!

Rober wychylił się za mur, ale nie zauważył nic poza nadpełzającą niemal do samych wrót mglistą falą.

–Nie tu – tam!

Epineix posłusznie odwrócił się – nieopodal w dół po zboczu turlały się dziwne zielonkawe ogniki, potem błysnęło pomarańczowo i niemal od razu rozległ się grzmot. Maszir rzucił się do drabiny, Rober skoczył za nim, ale Kazaron krzyknął:

–Zostań tu i szykuj działa!

Dick do ostatniej chwili bał się, że Roke zostawi go z Savignacem i Weizlem, ale Kruk nic nie powiedział i młodzian, jak inni wspinacze odziany w czerń, poszedł wraz z Kenallijczykami. Nie bał się. Niemal. Najważniejsze – nie patrzeć w dół i starannie sprawdzać, gdzie stawia się stopę. W Nadorze Dick był dumny ze swojej umiejętności łażenia po okolicznych turniach, ale co znaczą prawdziwe góry, zrozumiał dopiero w SAGRANNIE. Dziś decydowało się, czy nadaje się Richard Ockdell do czegokolwiek, czy nie. Śmierci czy kalectwa się nie bał, ale okryć się hańbą w oczach Roke i Kenallijczyków... Kurt Weizel przy wszystkich poradził Richardowi, by zostawił wspinaczom wykonanie zadania i poczekał, kiedy nadejdzie kolej na przyzwoitych ludzi, ale Richard w odpowiedzi odezwał się dość nieprzyzwoicie. Postąpił głupio, niech będzie, żeby tylko nie zapomnieć, nie postawić nogi na osypisku albo niepewnym występie. Ściana nie była przesadnie wysoka, szczelin i pęknięć było w niej sporo; ta skała, na której wspinali się w obozie, była znacznie bardziej stroma.

Dwa miesiące w tajnym górskim obozie nie minęły daremnie. Roke przypomniał sobie o swojej obietnicy osobistego kształcenia giermka i zabrał się za to, zdaniem ucznia może nawet przesadnie gorliwie. Sprawa się nie skończyła na szpadzie, Roke ganiał Dicka bezlitośnie, zmuszał do robienia rzeczy mato pasujących do Człowieka Honoru. Teraz młodzian łaził po skalach nie tylko w dzień, umiał upadać i podnosić się, wiedział, gdzie i jak uderzyć nożem, by zaatakowany nie zdążył wszcząć alarmu. A strzelanie Dickowi szło fatalnie, zwłaszcza na słuch i z lewej ręki. Mógł tylko się pocieszać, że w ogóle mało kto tak umiał. Z szermierką poszło lepiej, ale niewiele. Po tym, jak Roke kolejny raz „zakłuł” Savignaca, przyjmującego porażki kompletnie bez złości, młodzieniec zrozumiał, że Alvie nie dorówna nigdy.

Dziwna sprawa, teraz wcale to jakoś Dicka nie irytowało. Richard musiał kilka razy dziennie przypominać sobie, że Kruk i ci dokoła niego – to wrogowie i dla oswobodzenia Taligoi konieczny jest pogrom i głód. Niestety! Młodzieniec raz po raz łapał się na myśli, że chce kompletnie czegoś innego, a mianowicie zwycięstwa!

Wojsko kochało Pierwszego Marszałka i ufało mu – dla Dicka to byto prawdziwym odkryciem, ale tak to było. Savignac, choć spierał się z Alwą, uznawał jego wyższość, a przecież Emil był Człowiekiem Honoru! Młodzieniec kilka razy rozpędzał się, by porozmawiać z generałem szczerze, ale bał się zdradzić Stanclera i Katari. W końcu nie wszczynał rozmowy, a czas płynął i Richardowi coraz trudniej było czuć się wilczkiem w psiarni. Kiedy wszyscy gotują się do boju, nie wątpią w sukces i wierzą w szczęśliwą gwiazdę swojego wodza i w siebie wzajemnie, trudno jest się oprzeć i nie poddać ogólnemu entuzjazmowi.

W końcu pojawił się nieobecny przez jakiś czas Klaus, z zadowoloną miną

zameldował, że wszystko gotowe i znowu zniknął.

Tego samego wieczora Roke zebrał wszystkich, których przez dwa miesiące ganiał po okolicznych skatach.

–Wszystko jest bardzo proste. – Wiatr od lodowca rozwiewał czarne włosy marszałka. – To my będziemy musieli zacząć. Wyruszymy dwoma oddziałami – pierwszy poprowadzę ja, drugi – pułkownik Badiglo. Nasze zadanie to poderżnąć gardła tym, co siedzą przy kamieniach. Nie sądzę, by było ich więcej niż dwudziestu, może trzydziestu ludzi z każdej strony wąwozu. Potem zajmiemy się działami na murach. Koniec. Kto miał zły sen, może nie iść.

Dick miał sny, co prawda nie potrafił określić – dobre czy nie. Widział albo wieżę o zmierzchu i krążące nad nią ptaki, albo galerie i korytarze Laik, albo śmiejącą się Katari, która, ledwie jej dotknął, zmieniała się w kogoś albo zniknęła, a noc przed szturmem Richard znalazł się w Nadorskim Zamku. Nad dziedzińcem, niemal zahaczając o bruk, latały białe północne jaskółki, okno w Wieży Herbowej było otwarte, a w nim ojciec w barwach Katariny Arigau obejmował matkę. Richard nigdy nie widział rodziców w takiej sytuacji, wstyd mu było ich podglądać, ale nie wytrzymał, podszedł bliżej i zrozumiał, że to Roke i bakrańska dziewczyna, na szyi której płonął purpurowy kamień. Dokładnie taki, jaki Kruk podarował Katari.

–Pan, młodzieńcze, nigdy nie będzie miał powodzenia w grze. – Marszałek uśmiechał się, a w oczach dziewczyny błyszczały łzy. Richard przyjrzał się – drogocenny kamień na białej skórze okazał się plamą krwi. Nie jej – Kruka, po prostu krew na jego czerwonych szatach nie była widoczna. Bakranka drgnęła i zaczęła wolno opadać, Roke podchwycił ją, ręce Proemperadora zalewała krew, ale z daleka wyglądało, jakby miał na rękach czerwone rękawiczki. Richard przeniósł spojrzenie na twarz kobiety – to była Iris, i to jednak był ojciec! Książę Egmont trzymał na ręku martwą córkę, uśmiechając się uśmiechem Roke Alvy, i oczy jego zrobiły się niebieskie. Wciąż jeszcze się uśmiechał, kiedy Richarda obudził obozowy gwar. Swoja krew śni się na swoje nieszczęście, obca – na obce, Alva jest wrogiem Ockdellów, no to zły to sen czy dobry, i czym się skończy dzisiejsza walka?

Następny kamień nie wzbudzał zaufania, a obok miał osypisko. Nic strasznego, poszukamy szczelin, pełno ich tu! O, jest szczelina, piękna, głęboka, na pewno na wiosnę rośnie w niej kamielamka. Dobrze, że jest ciemno. Ciemno i mgła – wspaniali sojusznicy, ale trzeba się śpieszyć. Klaus wkrótce zacznie, a Roke mówił, że najważniejsze to zrobić wszystko jednocześnie. Marszałek pewnie jest już na górze, chociaż Savignac i Weizel przekonywali go, by nie ryzykował. „Wiem, kiedy należy iść na czele” – oto wszystko, co generałowie wyciągnęli z marszałka.

Ręka trafiła w pustkę, ściana skończyła się szybciej niż się spodziewał. Richard wyszedł na nierówny placyk, na górze były gwiazdy, na dole dyszała biała mgławica,

wkrótce mgła wypłynie z granic Irbisiego Wąwozu i zatopi okoliczne szczyty. Było cicho. Richard wychylił się z placyku, usiłując wypatrzeć tych, którzy jeszcze się wspinali. Jak cicho... Czyżby on był ostatni? Na to wygląda. Nie czekali na niego i poszli do przodu. Uraza i lęk napłynęły jednocześnie, ale Richardowi udało się zapanować nad jednym i drugim. Wycofać się i tak nie mógł, czyli należy szukać swoich.

Richard ostrożnie i szybko poszedł wzdłuż urwiska, nie zapominając obmacać miejsce, na którym zamierzał postawić stopę. Na pierwsze ciała natknął się po jakichś osiemdziesięciu krokach. Obok wznosiła się sterta głazów, których obrońcy cytadeli nigdy nie zwałą na Savignaca i jego jeźdźców. Obszedłszy niegroźną już piramidę, młodzieniec ruszył dalej. Oddalony grzmot i wybuchy zastały go przy trzeciej z kolei kamiennej piramidzie, u podnóża której wały się kolejne ciała. Dick gotów był założyć się, że wszyscy zostali zabici uderzeniem w gardło. Teraz młodzieniec wiedział, jak to się robi, chociaż i jeszcze ani razu życiu nie zabił.

Rober przebiegł od działa do działa, odruchowo powtarzając swój niedawny szlak. Teraz Taligojczyk nie myślał ani o gwiazdach, ani o nieszczęśliwej miłości. Niepokoił się tylko, czy proch jest suchy i czy pociski są na miejscu. O tym, co się dzieje na niebronionym końcu wąwozu, Inochodziec starał się nie myśleć, a potem pojawili się gaifiańscy artylerzyści i poinformowali, że na dole wrzeszczą o jakichś demonach.

Lambros był ubrany niedbale – spał, jak i jego towarzysze. Ci, co nie spali, ucztowali, co było jeszcze gorsze. Podchmieleni Kageci miotali się po dziedzińcu, potrząsając bronią, z góry przypominało to rozgardiasz na ptasim dziedzińcu. Dodatkową przeszkodą była mgła – jeśli w niej ukrywa się wraże wojsko, zobaczą je dopiero wtedy, gdy będzie już pod samym murem.

–Poświecimy? – Lambros podszedł do moździerza, obok którego leżały pociski oświetlające.

–Mgła...

–Ale coś tam zawsze będzie.

Huknął wystrzał, pocisk eksplodował w powietrzu, płomień rozjarzył falującą białą kurtynę, czarne pionowe mury, zanikający we mgle kawałek drogi. Wszystko było jak zwykle, jak zawsze.

Usłyszeli tupot, po drewnianym pomoście do znajdujących się poniżej armat wspinało dobre półtorej setki Kageców.

–Pójdę, sprawdzę. – Lambros miał bardzo kiepskie mniemanie o swoich uczniach. – I tak stąd nic nie widać.

Epineix skinął głową i pozostał sam przy stygnącym moździerzu. Lambros zniknął i w tej samej chwili na dziedzińcu wdarły się demony. Ollariańscy kaznodzieje mogliby triumfować, przecież udowodniali, że towarzyszami Leworękiego są nie koty, a widmowe rogate stwory z ognistymi oczami. Takie jak te, które z wyciem wyskoczyły z przeklętej mgły.

Ogromne, oświetlone zielenią z zaświatów widma błyskawicznie zbliżały się, nabierając kształtów. Rober widział już groźnie opuszczone łby otoczone płomiennymi aureolami, szerokie barki, kształtne, silne nogi. Jedne stwory pędziły same, inne niosły jeźdźców bez w twarzy w ognistych koronach, a za ich plecami rozpościerały się nietoperzowe skrzydła. Dziwny zimny płomień lizał ciemne ciała, ale potwory tego nie zauważały, tylko pędziły przez wypełnioną wrzaskami i przekleństwami noc.

Ręka Robera skoczyła ku Esperze, ale Taligojczyk powstrzymał się wysiłkiem woli i chwycił rękojeść szpady. Epineix witają niebezpieczeństwo nie modlitwą, a bronią. Ostrzegawczo rozwrzeszczał się Clement, trzy ostatnie demony, na grzbietach których nie było jeźdźców, błyskawicznie przemknęły między oszalałymi ze strachu ludźmi i zniknęły z oczu. Niemal jednocześnie rozległy się trzy wybuchy, które zlały się w jeden. Mur drgnął, dał się słyszeć hurkot spadających kamieni, drewniany pomost prowadzący do dolnych dział zapalił się, złożone w piramidy pociski poturlały się we wszystkie strony i posypały w dół, ale oszołomiony Epineix tym się nie przejmował. To był wybuch, zwyczajny wybuch – proch, i to dużo prochu! Oto, moi panowie, wasze demony!

Rober roześmiał się głośno. Stojący obok niego gaifiański artylerzysta odsunął się – uznał, że Taligojczyk z przerażenia zwariował, a Rober tylko zamachał rękami. To był śmiech rozpaczy i zaskoczenia. Z oczu Epineixa płynęły łzy, usiłował powstrzymać się, ale nie mógł, a na dole ciągle eksplodowały granaty i coś poważniejszego od nich. Jakże mógł być tak niedomyślny? Przecież widział kozły trykające łbami we wrota... Roke nie łągał, obiecał, że przyjdzie pod Irbisie Wrota, i przyszedł. Opanowawszy jakoś śmiech, Epineix skoczył do dział, przy których bez sensu przestępowali z nogi na nogę Gaifianie i Kageci.

–Zapalić lonty!

Kageci puścili komendę obok uszu, ale Gaifianie nienadaremnie pobierali żołąd. Epineix odwrócił się plecami do ognistego szaleństwa i wychylił się w dół; mgła dopełzła do samej bramy, ale ani ona, ani rozlegające się z tyłu wrzaski i wybuchy nie mogły całkowicie zagłuszyć tupotu tysiąca kopyt. Brama już nie istniała, a do powstałego wyłomu galopowała wraża kawaleria. Szerokość i prostota drogi, które wcześniej czyniły ze szturm samobójstwo, teraz zwróciły się przeciwko Irbisim Wrotom. Taligojczycy w pełnym galopie zbliżali się do wyłomu – jeszcze chwila i wpadną do środka twierdzy.

–Kartacze! – wrzasnął Epineix.

–Tu są tylko zwyczajne pociski – odpowiedział Gaifianin. – Kartacze są na dole.

–Na Stwory Zmierzchu! Dwudziestu ludzi na dół. Biegiem. Walcie nie celując, nie da się spudłować.

Po co on to mówi? Na dole jest Lambros, ten się nie zagapi.

–Ognisty pocisk!

Pomarańczowy wybuch, morze mgły, wyrastające z niego cienie.

–Ognia!

Dwie z ośmiu kulewryn charknęły ogniem, posyłając pociski w gęstwinę wrogiej kawalerii, Rober na chwilę stracił słuch, ale nie to przecież było najważniejsze. Nie miał nawet czasu popatrzeć, czy trafił w coś, i w co – trzeba było strzelać. Co się dzieje pod byłą bramą? Może Maszir da radę zatkać je czymkolwiek? Ech, żeby kartacze tu były!

–Ładuj!

Nad Epineixem pochylił się jakiś Gaifianin.

–Żyjesz, panie?

–Niestety! – Epineix jakoś się podniósł. – Tu nie mamy już nic do roboty... Wszyscy na dół.

Gaifianin skinął głową, Rober rozejrzał się – rozbite działa, trupy – całe i rozdarte na strzępy, porzucona broń... Większość ocalałych, nieważne ilu ich było, dała drapaką nie czekając rozkazu, z Epineixem pozostała szóstka. Na dole coś płonęło, wybuchały pociski, rozlegał się huk wystrzałów.

–Wszyscy do ostatnich schodów!

Ostatnie schody przylegały do ściany wąwozu, powinny były ocaleć. Siedmiu ludzi, pochylając się, rzuciło się w ich kierunku. Nie zauważono ich, albo nie uznano za niebezpiecznych. Już stojąc na pierwszym stopniu, Rober zrozumiał, że zniknął gdzieś Clément. Szukanie szczura byłoby szaleństwem, ale zostawić go tutaj?! Rober machnął ręką do Gaifian – uciekajcie.

I zawrócił.

Rozdział 2

Irbisi Wąwóz

„Le Quatre des Coupes” [\[149\]](#)

1

Mgła mieszała się z dymem prochu i wonią płonącej siarki. Łzawiły oczy, w piekielnym zamgleniu miały się jakieś cienie, przypominające bardziej uwolnione ze Zmierzchu demony niż ludzi. Przy rozbitych działach, na schodach i drabinach, na pomostach wały się trupy, broń, jakieś odłamki. Na dole walka jeszcze trwała, co rusz rozlegały się wybuchy, ale bój błyskawicznie odsuwał się od muru. Dick znowu się spóźnił i sam nie wiedział, cieszy się z tego, czy nie. Młodzieniec po krótkiej zwłoce przekroczył ciało Biriezyjczyka ściskającego w garści ułomek szabli i natychmiast potknął się o beczki, które z hukiem poturlały się po tłącym się drewnianym pomoście. Z boku wystrzeliło jakieś ocalałe działo. Dick szybko odwrócił się i zobaczył, jak zgasł płomyk – strzelający zdeptał lont. W co trafił pocisk i czy w ogóle trafił w coś, młodzian nie wiedział. Po schodach pobiegło kilku ludzi. Ktoś upadł, ktoś coś krzyknął.

Richard niepewnie skierował się do pomostu, ale drogę zagrodziła mu ciemna postać. Na dole coś huknęło, na chwilę zapłonął czerwony płomień, ale Richarda nie interesował w tej chwili pożar. Przed nim stał Biriezyjczyk z obnażoną szablą. Czarne wąsy, siwe włosy, ciemny, przepasany w talii strój. „Irbis” był sam, tak jak Richard, ale nic to nie znaczyło – Roke Alva na oczach giermka w jednej chwili rozpędził całą siódemkę.

Biriezyjczyk błysnął oczami i coś ryknął – nie było wątpliwości co do jego zamiarów. Może górale szanowali Rakanów, ale dla tego siwulca w tej chwili Richard Ockdell był Taligojczykiem, którego należało zabić. Tylko jednym sposobem można było uniknąć śmierci – zabić samemu. Dick odskoczył i wyszarpnął szpadę.

Siwulec (Richard nawet nie uświadomił sobie, że nazywa w myślach Biriezyjczyka po warastańsku) skoczył na wroga. Richard wystawił przed siebie szpadę, jak go uczył kapitan Rut, ale „irbis” najwyraźniej znał taligojski oręż i rozumiał, że nie należy nadziewać się na ostrze. Gwałtownie zmienił kierunek, zatrzymał się i wykonał szybki wypad. Młodzieńca uratował Roke, a raczej jedna z jego lekcji udzielonych giermkowi. Richard odgadł zamiary siwulca: ten chciał odsunąć klingę przeciwnika, by od razu zadać decydujący cios. Proste i niezawodne, o ile przeciwnik nie odgarnie zamiaru i nie zdoła odpowiedzieć. Dickon zdołał. Młodzieniec okręcił się wokół swojej

osi, unikając ciosu i jednocześnie unosząc szpadę. Biriezyjczyk uniósł szablę, ale szpada Dicka już przeskoczyła pod jego ręką, trafiając dokładnie pod pachę. Tkanina pękła, w purpurowym niespokojnym świetle błysnęła kolczuga, jakich w Taligu nie noszono już chyba od stu lat. Gdyby jednak nie ona, Biriezyjczyk zostałby ranny, ale kolczuga wytrzymała, a szpada – nie. Siwulec roześmiał się, zrobił krok do przodu i... upadł do stóp Dicka. Ubranie „irbisa” błyskawicznie przesiąkało krwią. Kolczuga może ochronić przed ostrzem, ale nie przed pociskiem, dlatego właśnie wyszły z mody. Dick z trudem oderwał spojrzenie od zabitego i napotkał spojrzenie... młodego Epineixa!

–Michel! – Młodzieniec nie uwierzył własnym oczom. – Żyjesz?

–Czyli się nie pomyliłem. – Zbawca zaczął przeładowywać pistolet. – To ci przypadek – twarzą w twarz z Egmontem. Jesteś Richard, nieprawdaż? Richard Ockdell? A ja jestem Rober Epineix, Michel nie wy dostał się z Renkwahy. Żyję za czterech, Dickonie. Tylko czy zasłużenie?

Dickon mógł tylko skinąć głową. Rober podszedł bliżej. Nie zmienił się jakoś szczególnie, był tylko starszy. Braci Epineix było czterech i wszyscy oni byli jak skóra zdjęta z ojca, obcy odróżniali ich tylko według wieku. Teraźniejszy Rober ludzako przypominał swojego brata Michela, takiego, jakim go pamiętał Dick.

–Pan... – Richard zmieszał się, nie wiedząc, co powinien powiedzieć. Rober Epineix mógł tu znaleźć się tylko w jednym celu, ale zabił Biriezyjczyka. Zabił swojego?

–Niestety. – Inochodziec roześmiał się. – Wszystko dobrze zrozumiałeś – jestem gościem i sojusznikiem Kagetów, cytadela wzięta przez Kruka, w Taligu jestem wyjęty spod prawa, a z Alvą mam swoje porachunki.

–Jestem jego giermkim – wypalił Dick.

–Giermkim? Rozumiem... Dzień Świętego Fabiana i takie tam. – Epineix uśmiechnął się raz jeszcze. – Dlaczego więc jesteś tutaj, i to sam?

Bo został za swoimi, a ci na niego nie czekali, bo Roke ma go w nosie, bo wszędzie i zawsze się spóźnia i nie wie, dokąd powinien iść, chociaż – dlaczego niby nie wie? Jego miejsce jest przy Roberze. Epineix nigdy nie robią niczego niegodnego...

Za plecami Inochodźca coś się poruszyło. Dick raczej domyślił się niż wypatrzył, że to jeden z aduanów, i krzyknął: „Z tyłu!”.

Rober błyskawicznie odwrócił się, huknął wystrzał, aduan, beładnie machnąwszy rękami, odpadł od muru i poleciał w dół, W tym momencie Dick go poznał. Marian, ten sam, z którym rozmawiał na podwórku bakrańskiego seniora.

Młody Ockdell wrzasnął: „Z tyłu!”, Epineix opuścił kurek, ktoś wysoki i barczysty zakołysał się na skraju muru, spazmatycznie chwytając powietrze, nie utrzymał się i zniknął z oczu. Rober popatrzył na dymiący pistolet, potem na młodzieńca.

–Jesteśmy kwita, Dickonie.

Kwita, ponieważ ratując Richarda, zabił wojownika Milży, a Dick odruchowo przyczynił się do zabicia kogoś ze swoich, chociaż, czy oni obaj mogą tu używać słowa „swoi”? Czas uciekać, i to im szybciej, tym lepiej. Irbisie Wrota zostały zdobyte niemal w ciągu godziny. Nikt, komu się opowie, nie uwierzy! Niedostępna cytadela została rozbita jak pusty orzech!

–Erze Roberze... Pójdę z panem.

–Nie, Dickonie.

Nie, bo bycie zdobyczą jest jeszcze gorsze niż bycie myśliwym. Nie, ponieważ Rober Epineix nie ma prawa wciągać w brudną grę jedyne go syna Egmonta, a ta gra jest brudna i przerażająca. Chłopiec nie musi znać adgemarków, hogbertów, elementów i innego gówna.

–Pan... Pan mnie nie weźmie?

Co mu powiedzieć, żeby nie poczuł się skrzywdzony? Prawdę? A czy ty sam ją znasz? Kto ma rację? Ty, czekający, aż Biriezyjczycy zostawią Talig bez ziarna na chleb, czy Kruk, szturmujący SAGRANNĘ z garstką zuchwalców?

–Dickonie, złożyłeś przysięgę giermka. Złożyłeś dobrowolnie i teraz sam do siebie nie należysz. Syn Egmonta nie może być krzywoprzysięzcą!

–Ale ja... ja już!

–Nic nie „już”! Uprzedziłeś mnie o tym, że ktoś jest z tyłu. I już. A tego człowieka zabiłem ja. Ja, nie ty. Muszę iść, Dickonie. Mam nadzieję, że się jakoś zobaczymy.

Richard chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził Clement, któremu udało się jakimś cudem odnaleźć swojego pana. Szczur skrzeczał z oburzeniem, wczepił się Roberowi w nogawkę. Inochodziec pochylił się i włożył przyjaciela za pazuchę.

–Kto to? – W Richardzie obudził się chłopiec widzący udomowione zwierzątko.

–Clement. Mój przyjaciel. Wybacz, ale naprawdę czas na mnie, bo znowu przyjdzie mi kogoś zabić. – Inochodziec wyciągnął dłoń i syn Egmonta ją uścisnął. Starał się

panować nad sobą, ale był zmieszany i samotny. Żeby tak Obcy wziął tego Kruka!
Zostawił chłopaka bez nadzoru!

–Powodzenia, Dickonie.

–Do... Do widzenia, panie.

A teraz w dół, obok martwych i rannych, swoich i obcych. Szukać Shada nie ma sensu, trzeba będzie uciekać pieszo, albo, jeśli się uda, złapać byle jakiego konia.

Schody zmieniły się w wąską ścieżkę, rzadko była wykorzystywana, zaśmiecona, ale nie było wyboru. Z jednej strony pięły się w niebo skały, z drugiej – ciągnęły się tylne, głuche mury bud, w których spali kageccy żołnierze; spoza budowli waliły kłęby dymu, wstrętnie śmierdziało siarką i spaloną sierścią. Rober pośliznął się, ale wolał nawet nie sprawdzać na czym. Z oczu płynęły łzy, w gardle drapało, choć na sercu było mu jeszcze gorzej.

W końcu budynki skończyły się, pożar został za nim, łatwiej było oddychać. Gdzieś tu zaczynała się ścieżka do strumienia, z którego pobierano wodę na potrzeby cytadeli. A to co znowu?! Z mgły wyszedł ogromny osiodłany kozioł, który najwidoczniej stracił swojego jeźdźca. Rogi zwierza świeciły obrzydliwym zielonym światłem, przez grzbiet i dokoła oczu przebiegały niepokojące błyski. Ciekawe, czym go wysmarowano? Kozioł był gotów do walki, ale nie upierał się przy niej. Inochodziec wolno odsunął się – zwierzę nie poruszył, widocznie zmęczony. Gdyby to był koń, Rober by się nie wahał, ale pewności, że poradzi sobie z tym stworem, Epineix nie miał. Taligojczyk wsłuchał się – z tyłu było cicho, z przodu nadal rozlegał się szczeł i wrzaski. Tak więc zapewne znalazł się na tyłach atakującej armii. Weszło, nie ma co... Właściwie ma tylko jedno wyjście – zdjąć opończę z jakiegoś Taligojczyka, zdobyć wierzchowca, korzystając z mgły i z tego, że o jego obecności w Kagecie nikt nie wie, przebić się do pierwszych szeregów i przejść do wycofujących się Kagetów, o ile jeszcze ktoś się wycofuje.

Ci, co ocaleli, wycofują się na Daramskie Równiny, by połączyć się z Adgemarem, innej drogi nie mają. Czyżby Kruk miał spełnić również drugą obietnicę nieznanego Bakny i ruszyć na spotkanie całej kageckiej armii? Taligojczyków wszak jest nie więcej niż dziesięć tysięcy, a Adgemar ma samej Purpurowej Straży dwadzieścia, i to nie licząc kazarońskich drużyn! Chociaż akurat ci nie śpieszą się do bitki.

Jeśli Alva potrafił zdobyć Irbisie Wrota, to niewykluczone, że da radę dobrze przetrzepać skórę Adgemarowi, oderwać się od pościgu i wrócić do Warasty inną przełęczą. Chociaż, do Leworękiego z Krukiem! Czas pomyśleć o swoich problemach. Czy Milża i Maszir żyją? Pierwszy – może, ale kazaron... Źle, że przed bitwą wszystko wydaje i się czerwone, a jeszcze gorzej, jeśli zaczynają się przypominać rodzinne okolice i zapomniane miłości. Maszira pewnie już nie ma. Tacy

zawsze giną pierwsi, w jakiegokolwiek by armii nie służyli i do jakiegokolwiek by się boga nie modlili.

Gwiazdy krążyły po jaśniejącym niebie i gasły jedna po drugiej, i tylko przepaście pozostawały ciemne. Odległe szczyty, tak podobne i przy tym nieprawdopodobnie różne, płonęły jasnymi odświętnymi ogniami, ale samo słońce zasłaniała ciemnogrnatowa góra, dziwna, jak na oko Dicka – z jej boków spływały mgliste strumienie, a na samym szczycie ułożyła się chmura, ciemna jak nocne niebo.

–Przed wieczorem zdarzy się nieszczęście – nieznajomy aduan popatrzył tam, gdzie Dick. – To jest Gunamassa, po naszymu Zła Góra. Ale to nic, przed wieczorem będziemy w dolinie. Paniczu, Proimpyrador pana pytali. My już z nóg się walimy, nosami ziemię ryjemy, a wy tu jesteście.

No proszę, Roke przypomniał sobie, że ma giermka! A jakby nie Epineix, już by go nie było wśród żywych, z Biriezyjczykiem w kolczudze nie poradziłby sobie! Młodzieniec wskoczył w siodło, ale nie wytrzymał – odwrócił się, spojrzął na zakopcony mur z rozbitymi wrotami. Teraz wcale nie wydawało się to niedostępne. Dymił dopalające się pomosty i schody, działa i moździerze milczały. Gdzieś tam leżał martwy Marian. To nie Dick go zabił, a jednak zabił, kiedy Rober zabijał Biriezyjczyka. Czy udało się Inochodźcowi przebić się do swoich? Młodzieniec w duchu poprosił Stwórcę, by uchronił Epineixa przed wszelkimi nieszczęściami i przeniósł go nad przepaścią ognistą. Słońce w końcu wydostało się zza przerażającej góry, teraz widniało nad nim krwawe pasmo. Richard odwrócił się do aduana.

–Gdzie jest monsignore?

Warastanin natychmiast rozpląnął się w uśmiechu.

–Z przodu, a gdzie ma być?! Ale żeśmy ich nieźle potupali, co? Za rogi i do obory! Siwulce pewnie myślały, że my do nich z drabinami i taranami będziemy się pchali, a tu masz – guza!

Podniecony zaczął opowiadać, zachłystując się słowami, szczegóły nocnego boju. Dick słuchał uważnie – w Ollarii będzie wypytywany o wzięcie Irbisich Wrót, nie przyzna się przecież, że niczego właściwie nie widział, chociaż ataku kozłów widzieć nie mógł – wspinacze I Bakrani uderzyli z różnych miejsc.

Teraz Richard wiedział, na co tak długo czekali, i czym zajmował się Klaus. Celnik układał Bakranów, Bakrani układali kozły, a Roke z Weizlem zastanawiali się, jak zmontować miny i umocować na grzbietach rogatych samobójców, zmieniając ich w żywy taran. Myśleli, myśleli i wymyślili, i wykonali. Ale tego było mało! Kruk postanowił zmienić kozły i ich jeźdźców w Stwory Zmierzchu!

–Ale śmiechu było – wspominał celnik. – Siwulce, co ścieżki pilnowali, jak ich zobaczyli, skamienieli do cna. Ale by każdy skamieniał, jak z ciemności coś takiego wyskoczy. A Pryimpyrador jeszcze kazał Bakranom skrzydła sobie doczepić, a mordy i ręce sadzą wysmarować, no to i strach wyszedł! Niby że ubranie jedzie w siodle, a w środku – pusto, i jeszcze te skrzydła i korony na łepetyny. My sami, jak ich pomalowali, popatrzyli, znaczy się, co wyszło, i wystraszyli się. No i żeśmy te kozły wyposażyli i jeźdźców, oni po górnej ścieżce pognali. Siwulce pilnowali przed pieszymi, koń tam nie przejdzie, a kozły pognały, że tylko szacunek im złożyć. Ludzie by po jednym szli, powoli, ich by porznęli pojedynczo, ale przeciw kozłej kawalerii obrońcy nie strzymali. No, krótko mówiąc, zdeptali nasi ich posterunek i ruszyli do muru! I zaczęło się wesele! Jeźdźcy jednych sieką, innych depczą, ale przede wszystkim bombami i granatami działali, ale nie zwyczajnymi, tylko chytrymi – monsinior je wymyślił! Prosty granat – co tam – trzeszczy trochę, podskoczy, huknie i koniec, a monsinior wymyślił, żeby do niego wsadzać ładunek drugi. Natłuszczone pakuły się obsypuje miedzianymi opiłkami, kawałek siarki do środka i gotowe! Pierwszy granat wybucha, a tu z niej drugi wylatuje. Śmierć! A śmiechu było co niemiara, zanim my kozopasów nauczyli nie bać się wybuchów. Kozły to prościej było nauczyć, aci – jak tylko huknie, to na ziemię się wałą zadkami do góry i tylko swojego Bakrę, czyli Wielkiego Kozła wzywają. Ale nic to, przez miesiąc się przyzwyczaili, a potem się im nawet spodobało. Tak w ogóle to oni nie są źli, tylko ich Biriezyjczycy stłamsili, ale nic to, teraz się trochę odkują na siwulcach.

–Wrota to kozły, znaczy, wysadziły?

–One. Przyuczyli piątkę kozłów na bramę się rzucać, a tym się nawet spodobało. Bo one trykać się lubią, a z kim czy z czym, to im wszystko jedno. Inne zostały na armaty nauczone, ale te, co pod siodłem – na pieszych. Taka paniczu, wyszła nam kasza, no. A co się na górze działo, to panu lepiej wiadomo. Zdrowoście tych, co na skalach siedzieli, zdejmowali, a z armatami to w ogóle – rozkosz. Zdrowo po murze rypnęło i to akurat na czas! Siwulce tyko dwa razy zdążyli palnąć – i już, a tu Savignac się dołączył i zaczęła się radocha. Z osiem tysięcy wyrżnięte, na pewno. Nie mniej. O, a tu monsinior. No to paniczu, bywajcie. Jak co nie tak – wybaczenia proszę Kruk pochłonięty był rozmową z Weizlem, nie miał głowy do Dicka, ale młodzieniec podjechał doń, niechcący wychwytnij ostatnie słowa:

–Kurt, przyznaję tu swój błąd. Trzeba było wziąć ze sobą nie Richarda, a Ponsiego. Stałoby pod drzewem, popatrzył na Adgemara, ten by się zasromał, pokajał i wojna by się skończyła.

–Roke, pan jak zwykle szarżuje.

–Oszczyństwo. Nie zawsze szarżuję, a tylko w razie konieczności. Dzień dobry, młodzieńcze. Jak pan spędził noc?

Dick, jak zwykle, zaniemówił – ciągle nie potrafił nauczyć się odpowiadać na pytania swojego era, ale Roke – też jak zwykle – nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się do Weizla: – Kurt, mamy mało czasu, proszę więc pośpieszyć się z przygotowaniami.

–Ja tego nie zrobię – twardo oświadczył generał.

–Dobrze – wolno powiedział Kruk – ja to zrobię sam.

–Pan? – Weizel z całej siły zacisnął palce na wodzach.

–Na Stwory Zmierzchu! Pana to dziwi? Znam się na wybuchach nie gorzej od pana.

–Ale... Nie może pan być jednocześnie w dwóch miejscach.

–Słusznie, nie mogę, dlatego pan zostanie z armią. Potrzebujemy czasu, sześć dni nam wystarczy.

–To niewyobrażalne! Sześć tysięcy przeciwko stu!

–Trzeba, czyli – wyobrażalne. – Głos Roke stwardniał jeszcze bardziej. – Pańskie zadanie to zatrzymać Lisa na Daramie, nie musi go pan zwyciężać.

–Położyć pokotem najlepsze nasze pułki!

–No to proszę nie kłaść! Dość tego, Kurt! – Oczy Kruka rozbłysły niesamowitym wewnętrznym światłem. – Zwycięstwo wykuwa się z tego, co wpadnie w ręce – choćby i z koziego nawozu albo z utopionych niemowląt.

–Pan mi nie zostawia innego wyjścia. – Twarz Weizla pokryły blade plamy. – Niech będzie jak pan chce, i niech pana porwie Leworęki!

–Może i porwie, ale nie dziś i nie jutro. Z panem, poza pańskimi ludźmi, pójdą zwiadowcy Konnera i Bakrani.

–Przygotuję wszystko – Kurt Weizel opanował się już. – Ale to, co pan zamyślił, to szaleństwo.

–Niewątpliwie – zgodził się Proemperador. – Jak to powiedział nie pamiętam, kto, problem tylko, czy jest to wystarczająco szalone, by zadziało.

Rozdział 3

Równina Daram

„Le Valet des Deniers” [\[150\]](#)

1

Ojciec, kiedy po raz pierwszy wziął udział w walce, miał o rok mniej niż Dick. Siły przeciwników były mniej więcej równe, a fok Warzow, wtedy jeszcze generał, wykonał zaskakujący manewr i Gaunau zmuszone było wycofać się. Zdarzało się, że zwyciężali słabsi, ale dzisiejsza bitwa mogła mieć tylko jeden koniec.

Richard uczestniczył w składaniu przez Shemantala raportu i nie wątpił, że Roke szans żadnych nie ma. Przeciwno taligojskim sześciu i pół tysiącom i pół setce dział i moździerzy Adgemar wystawił dwadzieścia tysięcy Biriezyjczyków i około stu tysięcy kageckiego pospolitego ruszenia. Święty Alanie, dwudziestu na jednego! A Kruk, zamiast na wszelkie sposoby unikać bitwy, zamiast zadawać wrogowi błyskawiczne uderzenia i wycofywać się, zdecydował o wydaniu decydującej bitwy! Szaleństwo! Dick nieźle znał teorię wojny i rozumiał, że decyzja Alvy jest samobójstwem. Co prawda mówi się, że jeśli Stwórca chce kogoś ukarać, to odejmuje mu rozum. Roke zasłużył na swój los, jego porażka stanie się krokiem do odrodzenia Taligoi, ale jednak szkoda... Szkoda tego sukcesu w Irbisim Wąwozie, szkoda tych, co nie unikną śmierci, ponieważ Proemperador ostatecznie oszalał, szkoda samego siebie. Richard widział tylko jedną bitwę, ale i tego wystarczyło, by posmakować zwycięstwa. Bardzo nie chciał zmieniać się z triumfatora w zwyciężonego, nawet jeśli porażka Kruka jest konieczna do przyszłego triumfu.

Młodzian westchnął raz jeszcze i przyjrzał się równinie, miejscu nadchodzącej bitwy. Ich jedyną przewagą były dwa niewielkie zagajniki, w znikomym stopniu kryjące ich przed okiem nieprzyjaciela, ale Roke nie wiadomo dlaczego wyprowadził piechotę w pole i sformował coś na kształt warownego kageckiego obozu. I to człowiek, którego uważa się za nieprześcignionego stratega! Dick przez całą noc zbierał się na odwagę i dobierał słowa, jakich użyje w rozmowie z Proemperadorem, ale widząc Kruka, wykrztusił tylko poranne powitanie.

Roke, który z okazji batalii nałożył na czarną kenallijską koszulę marszałkowską szarfę, w roztargnieniu skinął głową i zwrócił się do grubego czerwoniczego żołnierza, w którym Dick ze zdziwieniem rozpoznał Bonifacego. Biskup wcale nie pasterskim gestem potrząsnął dłonią marszałka i ryknął:

–Bądź błogosławiony, dziecię. Ciągłe upierasz się przy swoim szaleństwie i

niegodziwych myślach?

–Upieram – potwierdził Roke. – A ty upierasz się przy swoim życzeniu dowodzenia obozem?

–Jeśli Stwórca pozwolił dzieciom swoim wojować, niegodnie byłoby kryć się za plecami trzódki. – Ollarianin przeciągnął się z przyjemnością. – Dawno już nie miałem w ręku pistoletu.

–A szpada, ojcze, władasz? – zapytał zbliżający się Savignac.

–Nie – z żalem pokręcił głową Bonifacy. – Grzesznym jest i niedoskonały, dźgać się nie nauczyłem, ale księgi wojskowe czytałem. Napisane w nich, że wedle wszystkich prawideł strategii i taktyki czeka nas nieunikniona porażka.

–Wedle prawideł – skinął głową Alva – czeka. – Tak więc, panowie, proszę o regułach zapomnieć. Co Lis może nam przeciwstawić poza liczebną przewagą? Nic!

–Żeby to ja miał pańską niezachwianą pewność. – Emil był napięty jak struna. – Panu jest lżej, pan już się pakował w takie awantury.

–Nie – błysnął zębami Kruk. – Nie pakowałem. Jeśli ma pan na myśli Altheks, to nas tam było siedmiu na jednego, nawet mniej.

–Miałem na myśli pańską ulicę Winną...

–Ach, pan o pojedynkach... Zapewniam pana, że koniec możliwości człowieka to dwunastu. W najgorszym przypadku – czternastu wrogów, o ile, rzecz jasna, potrafią oni trzymać szpadę. Zresztą – Roke zamyślił się – nie wiem, czy tego typu kombinację można nazwać pojedynkiem.

–Proszę nie być obłudnym, książe, pan już położył dwukrotnie większą liczbę...

–No – przeciągle rzucił Alva – to były okoliczności specyficzne, ale wracajmy do naszych kazaronów. Zostaję z piechotą, Jego Świątobliwość broni „bezbronego” obozu, a pan, Emilu, czeka na wzgórzu. Richardzie, proszę iść z Savignacem. Pańskie zadanie to stać i patrzeć. Jak się zacznie bój, skacze pan do Jego Świątobliwości, który będzie na drugim końcu zagajnika. Nie zabłądzi pan?

Zabłądzić? W tym lasu?! Jakby Kruk zobaczył nadorskie lasy...

–Nie, monsignore!

–No to świetnie, dziecino – mruknął biskup. – Prześwięta Oktawio, czy nie widzą oczy moje saragojskiej rozpustnicy?!

–Nie, Wasza Świątobliwość – niewzruszenie spokojnie wyjaśni! Alva. – To tylko generał Shemantal. Po prostu dzisiaj, jak i pan, zmienił szaty.

To było delikatnie powiedziane! Richard patrzył na byłego aduana i nie rozumiał, kto tu zwariował – Kruk, Shemantal czy on sam. Głowę myszowatego ogiera, na którym zasiadał dowódca awangardy, zdobiła zdobyczna kazarońska korona, zręcznie przymocowana do końskiego ogłowa, do korony przymocowano trzy pary kobiecych przywieszek, w grzywę – nie wiadomo po co – wpleciono bransolety i pierścienie, a w ogon – amulety chroniące przed urokiem i umacniające męską potencję. Inna korona pyszniła się na głowie Shemantala, przy czym celnik zuchowato przesunął złotą obręcz na bakier, jak warastański beret. Na szyi Jeana majtało się kilka sznurów kamieni i bogaty naszyjnik z monet, a na pasie pobrzękiwały wiązki sygnetów.

–No i jak, monsinior? – pisnął olbrzym, kokietująco wywracając oczami.

–Zachwycająco – skinął głową Roke. – Trzeba by pomyśleć nad nowymi mundurami dla awangardy. Mam nadzieję, że pańscy ludzie nie wyglądają gorzej?

–Dla wszystkich nie starczyło koron – Jean z trudem powstrzymywał śmiech. – Ale poza tym – dobrze. Konie, jak je zdobiliśmy – milczały, a dwunodzy – rechotali, pewnie w lisim obozie było ich słychać.

–Nie wątpię, że nasi kageccy przyjaciele pana docenią – błysnął oczyma Roke.

–Postaramy się, monsinior. Już my im taniec urządzimy, nie pożałujemy sił.

–A dlaczego, dziecino – wtrącił się Bonifacy, o kapłaństwie, którego przypominała dziś tylko tonsura – nie włożyłeś na konia swojego ryngrafu? Widziałem skarbiec, co go wzięliśmy w Irbisich Wrotach, i były tam nie tylko ozdoby dla kobiet i władców ziemskich, ale i esperatyjskie zabawki.

–Zastanawialiśmy się, Waszświątobliwość, ale uznaliśmy, że to niedobrze... Osobliwie z panem. W jednego Stworzyciela wierzymy!

–Stwórca jest jeden, tak. Ale my wierzymy słusznie – uniósł palce Bonifacy. – A agaryjscy heretycy – nie. Tak, więc nakładajcie, dzieci, ich ozdoby na rącze swoje konie. Dobrze błyszczą, z daleka widoczne będą.

Oblicze Milży było nieprzeniknione, ale Rober zdążył już przywyknąć do Biriezyjczyków i rozumiał, że taramowi[151] niezręcznie jest stać obok przywódcy kazarońskiego ruszenia. Epineix całkowicie podzielał jego uczucia – obwieszony bronią postawny przystojniak we wspaniałych szatach był niepodważalnie głupi i zakochany w sobie. Epineix nigdy by nie powierzył dowodzenia prawą flanką temu pawiovi w pozłacanych butach, których widok załamał Inochodźca, ale Adgemar był innego zdania.

–Zmieszam taligojskiego bękarta z końskim nawozem – oznajmił wspomniany paw.

Chyba zwał się Tuhhuplo-Marapon i był z tego samego rodu Paraskside, co Wissif, który witał Robera na granicy. Wissif ze swoimi ludźmi też tu był, tak samo jak Seron i jego pochłaniający winne ślimaki krewniak. Lis zebrał wszystkich, kogo można było i nie można, w wyniku czego na równinę Daram spłynęła niemal stutysięczna horda.

Przybyli wszyscy, od znacznych i sławnych posiadaczy wielotysięcznych drużyn do gołodupców, za którymi ciągnęło kilku tępawych wieśniaków na roboczych konikach. Na szczęście na to, by oddzielić żebraków od wojowników, Adgemarowi wystarczyło wyobraźni. Najnędnniejszych, których nazbierało się dobre dziesięć tysięcy, postawił w drugą linię na prawym skrzydle, na oko Robera i tak zbyt mocnym. Piętnaście tysięcy na lewej flance i siedemdziesiąt na prawej, nie licząc tej żebraczej, za pozwoleniem, rezerwy. Po co?!

Inochodziec nie rozumiał tego – Purpurowa Straż przewyższała siły Kruka dwukrotnie, jeśli nie więcej, „irbisy” szykowały się do walki nie na życie, a na śmierć, a horda kazaronów i ich drużynników mało przypominała armię. Na polu walki bezsensownie miotający się tłum może tylko pomieszać szyki, Epineix widział, jak Kruk pod Altheks pogonił drikseńską jazdę na własną piechotę i co z tego wyszło! A trzeba pamiętać, że kawaleria cesarza słynęła z dyscypliny i wyszkolenia! Rober usiłował porozmawiać o tym z Adgemarem, ten pokiwał głową, jakby zgadzając się, i zrobił po swojemu.

Zastukały kopyta oznajmiając pojawienie się dowódcy lewego skrzydła. Też głupota. Epineix nie widział jeszcze Lullaka w działaniu, ale wedle słów Milży, bratanek Lisa znacznie bardziej nadawał się na dowódcę niż Tuhhup i sam kazar. Oczywiście butnym kazaronom, z których większość już przekroczyła pięćdziesiątkę, nie spodoba się zależność od człowieka, który mógłby być ich synem, ale Adgemar siedzi na tronie mocno. Może i powinien nie zwracać uwagi na posykiwanie ze szczelin, w końcu zwycięstwo droższe.

Lullak, tak samo postawny i urodziwy jak Adgemar, zeskoczył z konia i skrzyżował

ręce na piersi, witając monarszego wuja. Młody strateg wydawał się zatroskany.

–Taligojska piechota w nocy wyszła w pole i ustawiła się naprzeciwko obozu w pobliżu mojego skrzydła. Czy cała, czy w lesie jeszcze się coś kryje, nie wiemy. Sądzę, że się kryją, bo coś ich za mało.

–Wdepczemy najeźdźców w końskie gówno! – ryknął niecierpiący na różnorodność myśli Tuhhup.

Wszystko w nim, począwszy od rasowego orlego nosa do połyskujących złotem przekłętych butów z cholewami, promieniowało zachwytem nad własną osobą – uczucie przed bitwą, delikatnie rzecz biorąc, nie przystające, zwłaszcza jeśli przeciwnikiem jest Roke Alva.

–To jest mądra decyzja. – Biały Lis popatrzył na wymachującego rozpuszczonym ogonem przyglupa z niemaskowanym zadowoleniem. – Niech twoi woje zmiotą najeźdźców z oblicza ziemi.

Atak z lewego skrzydła lub środka jest wygodniejszy, co ma do tego Tuhhup?! Jego w ogóle powinno się związać i wsadzić do wora, żeby nie narobił bałaganu. Epineix w swoim życiu widział już sporo durniów, w tym durniów na poważnych wojskowych stanowiskach, ale w porównaniu z przywódcą kazaronów tamci byli skarbcami mądrości. Śmiało mógłby wyjąć z torby przy siodle Clementa i kazać mu dowodzić jazdą, szkód byłoby mniej.

–Kazarze – rzucił się do starcia Lullak – moi ludzie stoją bliżej przeciwnika. Pozwól nam zacząć uderzeniem z boku, a Purpurowi niech uderzą od czoła.

–Młodość powinna ustępować mądrości – odparł Adgemar. – Bój zacznij i zakończ odważny Tuhhup. Nasze wtrącanie się raczej w ogóle nie będzie potrzebne, będziemy tylko świadkami jego sławy.

Oczywiście odważny Tuhhup w odpowiedzi wyrzeszczał tekst o końskim nawozie. Biały Lis rozpląnął się w miodowym uśmiechu, kazaron malowniczo wskoczył na grzbiet cisawego ogiera. Siodło i oporządzenie były wspaniałe, ale sam koń zdaniem Epineixa przekarmiony. Można na takim przyjmować defilady, ale nie walczyć. Rober przyglądał się, jak dowódca prawego skrzydła w towarzystwie półtorej dziesiątki wystrojonych wojowników opuszcza obóz, i napotkał spojrzeniem Lullaka. Bratanek kazarona wyraziście wzniósł oczy do nieba i Taligojczyk odruchowo uśmiechnął się w odpowiedzi.

Tuhhuplo-Marapon z przestawnego rodu Parasksidi był dumny i szczęśliwy. Z sześciuset dziewięćdziesięciu dwóch kazarów przybyłych na Równinę Daram, kazar wybrał właśnie jego. Przez całe swoje życie Tuhhup uważał ród Hisranda-Handa, do którego należał Adgemar, za parweniuszowe plemię, a samego kazara za chytrusa i zazdrośnika, ale dzisiejszego dnia wiele win zostało odkupionych. Chociaż – dlaczego niby odkupionych? Adgemar nie ma innego wyjścia – do Kagety przyszła wojna. Adgemar jest takim samym tchórzem jak jego ojciec, Wardschewaz, dziad Lullaka, i wszyscy mężowie rodu Hisranda-Handa.

Wystraszony kazar rzucił się po pomoc do prawdziwych wojowników, a czyj ród w Kagecie może równać się sławą z rodem Parasksidi?! Ale i wśród nich są lepsi i gorsi. Lis jest tchórzliwy, ale rozumu mu nie brak. Ze wszystkich wybrał Tuhhupa i dał mu armię, której Kageta jeszcze nie miała. Bratanek kazara odważył się sprzeciwić, szczeniak bezczelny i głupi. Wyobraża sobie, że skoro potrafił rozpedzić holtyjskich dzikusów, to poradzi sobie z najlepszym strategiem Taligu?! Akurat, to nie zwierzyna dla Lullaka. Tu potrzebny jest wielki rozum, wielkie doświadczenie i wielka odwaga...

Kazaron wiedział, jak będzie postępował. Najpierw wygra bitwę, potem wojnę, a potem, potem ani mu w głowie rozpuszczać powierzoną mu armię. Korona kazarona winna zdobić głowę najślawniejszego z mężów Kagety, a nie chytrusa i obłudnika, niepotrafiącego obronić swojego narodu. Właśnie tak! Uratuje Kazarię, rozbroi Biriezyjczyków i przegoni ich w te ich własne góry. Nie tak znowu mocne są te „irbisy”, skoro nie potrafiły utrzymać wąwozu, o którym wszyscy wiedzieli, że jest nie do zdobycia, i haniebnie uciekły. Nowy kazar nie będzie się krył za dzikusami, którzy nie wierzą w Stwórcę i czczą dzikiego zwierza.

Swojego pierwszego irbisa Tuhhuplo-Marapon zabił mając piętnaście lat – dziki kot przyzwyczał się do porywania jagniąt w okolicach rodowego zamku Marapon i zapłacił za to. Mając pięćdziesiąt cztery lata, kazar Tuhhuplo-Marapon uwolni od drapieżników inne stado, przecież kazar to przede wszystkim pastuch, któremu Stwórca kazał paść i opiekować się ludzkim stadem. No i strzyc, oczywiście, ale to potem. Najpierw trzeba rozbić, wdeptać w nawóz bezczelnego najeźdźcę, który ośmielił się swoją tu obecnością skalać stare ziemie Kagety!

Podjeżdżając do swojego skrzydła, Tuhhup przeczesał wąsy i poprawił się w siodle. Zaraz zbierze kazaronów i przypomni im o ich obowiązku wobec ojczyzny, o byłych czynach i odwadze rodu Parasksidi. Potem marapoński biskup przywoła na głowy wojaków błogosławieństwo Stwórcy, po czym kagecka jazda zmiecie z powierzchni ziemi wraź piechotę. Roke Alva, zajmwszy pozycję naprzeciwko głównego obozu, sam wybrał sobie jako przeciwnika Purpurową Straż. Nic z tego! Taligojczyk dowie

się, co to znaczy skrzyżować miecze z kageckimi kazaronami. Alva chyba nosi przydomek Kruk – cóż, będzie miał do czynienia z orłami. Właśnie tymi słowy przyszedł kazar zakończył swoje przemówienie, a potem – wiatr w twarz, uniesione klingi, pełzający w błocie wrogowie...

Przedstawiciel sławnego rodu Parasksidi uniósł podbródek, patrząc w przód i tylko w przód, tam, gdzie wśród sztandarów innych kazaronów powiewał na wietrze jego własny. Złoty orzeł potrząsał ogromnym toporem. Szlachetnemu ptakowi brakowało tylko kazarskiego wieńca zdobiącego nikczemnego lisa. No nic to, czas orła jeszcze nadejdzie!

Tuhhup, zachowując wspaniałą postawę, starał się nie patrzeć na boki, ale i tak kątem oka widział malinowe opończe Buschuschi-lo-Marzuka i zielone Marahonalo-Baraha, a nos kazara wychwytywał aromat pieczonego mięsa. Dziwne, skąd ci biedacy mają tyle wojowników, tyle koni i tyle złotogłowi na peleryny? Lisa wszyscy uważają za chytrusa, ale w Marzuce i Barasze wodzą za nos poborców podatkowych. Kiedy na tronie w Rawiacie zasiądzie potomek orlookiego Parasksidi, wszystko się zmieni! Kazar nie pozwoli się okradać, zatajanie dochodów i tajne uzbrajanie drużyn będzie karane śmiercią. Oszukujący kazara oszukuje Stwórcę, a okradający kazara okrada Jego.

Przyszły monarcha zmierzył spojrzeniem mających na sumieniu grzeszki kazaronów, ale przemilczał. Nie czas.

–Szlachetny kazaronie!

–Mów, wojowniku! – Przekleństwo, jakże nie w porę!

–Szlachetny kazaronie, zbliżają się do nas obcy jeźdźcy.

–Szaleńcy sami sobie zgotowali los – rzucił Tuhhup, okręcając wierzchowca. To, co zobaczyły oczy przyszłego monarchy, wydarło z jego gardła wściekły ryk. Z przodu, na odległość strzału z pistoletu, harcowali jeźdźcy w... kazarońskich koronach! Przekłęte bydło ośmieliło się nałożyć szlachetne nakrycia głowy nie tylko na swoje, ale i na końskie łby. Już samo to było niesłychaną obrazą, ale to jeszcze nie wszystko.

Jeźdźcy i ich wierzchowce byli od kopyt do głów obwieszani kageckim złotem, tym złotem, które przechowywane było w Irbisich Wrotach!

–Hej, wy tam, barany! – wrzeszczało bydło po kagecku – może już dość tego chowania się za wyleniałym kocurami? Wychodźcie. Trykniemy się!

–Meee!

–Nie chcecie złotka?

–Nie, nie chcą. Sianko to co innego!

–Po co siano? Lepsze gówno!

–Będziecie do południa chrapali, czy jak?

–Może was połaskotać?

–Możemy!

–Meee! Bee!

–Bierz go!

–Cuta uta Bacuta![\[152\]](#)

–Dajcie nam swojego Lisa, my go...

–Powiedzmy, że ogolimy!

–I kazaronów waszych przy okazji! Po co wam tyłu?

–Na rozplód!

–Akurat! Kagetki wolą z capami niż z Kagetami!

–No pewnie, ale lepiej już z kobyłą niż z Kagetką!

–Wasze ozdoby bardziej naszym koniom pasują niż waszym babom!

–Beeeee! Meeeee! Bacuta!!!

–BEEEEEEEEEEEEEE!

Długo tak trwać nie mogło. Przyszły kazar powinien ukarać obrażających, ale taligojska piechota! Jak postąpić z nią i z rozkazami? Decyzja zapadła w mgnieniu oka – Tuhhuplo-Marapon nienadaremnie był wyśmienitym strategiem. Dowódca ryknął groźnie:

–Na koń!

Drużynnicy i tak już porzucili niedojedzone śniadanie, rzucili się do koni. Ludzie rwali się do boju z całych sił, a obcy galopowali tam i z powrotem, pobrząkując kradzionym złotem. Bogata zdobycz, ale też nie do podziału na wielu. Szkoda... Dla

wszystkich nie wystarczy!

Dowodzący prawym skrzydłem odwrócił się do stojących obok:

–Musimy ukarać bluźnierców, którzy nałożyli na swoje klacze święte Insignia, ale musimy myśleć o wielu rzeczach. Dlatego rozkazuję! Ja i moja drużyna pomścimy bluźnierców naszej wiary i naszych świętyń! Buschuschalo-Marzuk, Marahonlo-Barah, Seronlo-Giskular, Wissiflo-Lallion, prowadźcie swoich ludzi na taligojska piechotę i wdepczcie ją w nawóz. Z wami pójdą kazaroni Dolnej i Średniej Kagety. Ja skończę z bluźniercami, przejdę skrajem lasu i uderzę na skrzydło wroga. Kazaroni Górnej Kagety i ludzie Haramylo-Madihscha pozostają na miejscu do otrzymania rozkazu. Powiedziałem. Słyszeliście.

–Mój kazarze. – Młody Lullak przemawiał do monarszego wuja z szacunkiem, ale bez lizusostwa, i to się Roberowi bardzo podobało. W ogóle ten młody dowódca mu się podobał, nie to, co ten onegdajszy pozłacany bałwan.

–Mów, synu siostry.

Na szczęście Rober znośnie już rozumiał kaget i biri. W każdym razie tłumacza z fioletowym nosem Taligojczyk żałował znacznie mniej niż zaginionego Shada. Nowy koń, jakiego dał mu Milża, był niezły, ale Epineix ciągle jeszcze tęsknił za zaginionym przy Irbisich Wrotach moriskiem. Rober miał nadzieję, że koń żyje, Taligojczycy nie wojują z końmi. O tym, z kim i dlaczego wojują, Epineix starał się nie myśleć.

–Chcę zaprosić naszego gościa, by obejrzał moje skrzydło. – Prośba Lullaka była jak najbardziej na czasie, Epineixa męczyła bezczynność i konieczność zachowywania się dyplomatycznie.

–Wolałbym, by szlachetny Rober pozostał przy mnie – zaśpiewał Biały Lis i Epineix pogratulował sobie, że nie pochwalił się przed kazarem swoimi językowymi sukcesami.

Rozmowę przerwał wysoki Biriezyjczyk, który zameldował, że na prawej flance pojawili się dziwnie wyglądający wraży jeźdźcy. Adgemar niespiesznie i z godnością ruszył do wieży widokowej, wszedł na piętro, wziął z rąk służącego gaifiańską lunetę, jakiś czas w milczeniu przyglądał się harcownikom, potem przekazał lunetę Roberowi.

Rzeczywiście – wyglądali dziwnie. W pierwszej chwili Rober uznał, że w czasie jego nieobecności taligojscy gwardziści zmienili mundury, ale potem zrozumiał, że ludzie i konie obwieszeni są migoczącymi w słońcu błyskotkami. Niedawno podziwiany tu kazaron wyglądał przy nich niemal jak asceta.

„Złoty szwadron” zuchwale harcował niemal pod samym nosem kageckich drużyn. Jeźdźcy ani na sekundę nie pozostawali w jednym miejscu i Epineix gotów był przysiąc, że zostały uruchomione wszystkie perły żołnierskiego dowcipu.

Taligojczycy wyglądali na tak łatwo osiągalnych i słabych, że Inochodziec nie żywił najmniejszych wątpliwości, iż kazaroni rzucają się w pościg, oraz co do tego, że właśnie o to Krukowi chodzi. Epineix nie widział twarzy jeźdźców, ale widział konie i tego było mu dość. Półkrwi moriski!

Oto i odpowiedź, do czego był potrzebny Alvie Irbisi Wąwóz – musiał przez góry przeprowadzić wierzchowce. Kageci dogonią półkrwi moriski, tylko jeśli zechcą tego

ich jeźdźcy, a raczej jeśli będzie to leżało w planach Alvy. Oczywiście przewaga sił Adgemara jest potworna, ale Roke to Roke. Wiele raz przed bitwami nazywano go szaleńcem i jeszcze nigdy – po.

Rober z jakimś pełnym goryczy zainteresowaniem wpatrywał się w byłych rodaków. Dziwne uczucie – stać wśród obcych i czekać na bój ze swoimi, bo oni są swoimi, nie uda się od tego wykręcić! Nie zawahał się wystrzelić pod Irbisimi Wrotami w plecy drużynnikowi Milży, chociaż młodzian całkiem dobrze mógł się okazać wrogiem, a „irbis” był sojusznikiem. Tak samo teraz – Epineix rozumiał, że powinien uprzedzić Adgemara, że nie wolno pozwolić durniowi Tuhhupowi wpaść w pułapkę, ale z jakiegoś powodu zwlekał, niemal ze spokojem obserwując, jak kageckie tysiące ruszają w pogoń za beczelnymi harcownikami. Dobrze przynamniej, że nie wszyscy!

Pościg podzielił się na dwie grupy. Mniejsza rzuciła się za nosicielami złota, większa sadziła nieco po skosie, zamierzając uderzyć na wraź piechotę, ale potem na polu zaczęło się dziać coś dziwnego. Roberowi zdarzało się brać udział w konnych manewrach, uczestniczył też w kawaleryjskich atakach, ale coś takiego, co widziały teraz jego oczy – jeszcze się nie przydarzyło.

Kazarońska jazda rozciągnęła się po równinie, po czym zaczęło się wszystko potwornie mieszać. Z pół tysiąca jeźdźców raptownie oderwało się od sił głównych, wisząc Taligojczykom na ogonach, ale potem ktoś na srokatym koniu przerwał pościg, zeskoczył na ziemię i zaczął coś zbierać. Za jego przykładem poszedł drugi, trzeci, dziesiąty... Ze trzydziestu z tych, co wysforowali się do przodu, przerwało pościg i zawróciło konie. W to też miejsce, mając w nosie pierwotny cel, ruszyli pojedynczy jeźdźcy i całe oddziały z grona atakujących piechotę.

Do tego czasu „złoty szwadron” ominął już zagajnik i wraz z najbardziej zawziętymi prześladowcami zniknął z oczu, ale zamieszanie trwało. Grzebiących w trawie nakryła druga fala jazdy – jedni zbieracze ponieśli śmierć po kopytami towarzyszy broni, inni chwyтали za szable. Ktoś wystrzelił do rodaka, któryś z nowych spieszył i dołączył do pelzających w błocie. Nadciągnęła nowa lawina i zetknęła się z tymi, którzy postanowili zawrócić. Piesi i konni stłoczyli się na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, tu i tam wybuchały bójki, najpierw pojedyncze, potem Rober z obrzydzeniem zobaczył, że uderzyły na siebie dwa niewielkie oddziały. Teraz Epineix nie wątpił, że „uciekający” Taligojczycy wyścielili swój szlak złotem. Na Pociętego Smoka! Porozrzucane po równinie „niczyje” skarby nie mogły nie przyciągnąć najbardziej chciwych, a chciwość wyzwalała w ludziach zwierzęta.

Grono poszukiwaczy złota ciągle rosło; ci, co znaleźli się w wymarzonej miejscy, rozpaczliwie bronili go przed obcymi, w nosie mieli kazara, a tym bardziej wroga. Ci, natomiast, którzy ciągle jeszcze usiłowali zaatakować piechotę Roke, straszliwie zmieszali szyki. Tym niemniej bez szczególnych przygód minęli pierwszy lasek, ale potem część jeźdźców gwałtownie skręciła i pognęła wzdłuż brzegu.

–Durnie – warczał Lullak i w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie wyjaśnił w taligu: – Tam jest duży obóz. Widoczny jak na dłoni...

To raczej nie było błędem, obóz Kagetom również podsunięto z wyrachowaniem! Obóz i złoto. Na Stwory Zmierzchu, jakie proste i jakież niezawodne!

–Mój kazarze. – Lullak mówił porywiście i oschle. – Pozwól uderzyć z prawej.

–Nie – odparł Adgemar, na mgnienie oka tracąc swój zwykły spokój. – Tuhhup ma wystarczająco dużo sił.

Lullak wściekle błysnął oczami, ale przemilczał, udając, że całkowicie pochłania go przyglądanie się wydarzeniom. Zagajnik zasłonił poszukiwaczy złota i część kazaronów, ale przed obozem trwał walka w obronie skarbów, do którego dziesiątkami i setkami dołączali pozostawieni w rezerwie gołoducy. Stamtąd, gdzie lupiono obóz, dotarło kilka wybuchów, ale co się tam działo, nie było wiadomo. Pozostali tuhhupowcy zmieszonym tłumem przesuwali się ku taligojskiemu czworobokowi i Rober w końcu zrozumiał, na czym polega tragedia kazarońskiej kawalerii. Poza głupotą, oczywiście.

W Taligu pułkowe wierzchowce są mniej więcej jednakowe. Oczywiście bogatsi oficerowie kupują sobie moriski i maklany, ale synchronizują ich krok z możliwościami innych wierzchowców, a jeźdźcy i konie znają swoje miejsce w szyku. Kageci zaś nigdy nie walczyli w takiej masie. Owszem, wielu z nich było wspaniałymi kawalerzystami, a wielu miało świetne konie, ale było też pełno przekarmionych i odwrotnie – na poły zdychających z głodu.

Kazaroni, chcąc pochwalić się liczebnością swoich drużyn, przywlekli ze sobą wszystkich, kogo znaleźli. Naturalnie z brzegu ustawili wojowników na dobrych koniach i dobrze odzianych, ale we wnętrzu szyku, gdzie ich nie było widać, znajdowali się jeźdźcy niemal na klaczach wozowodów. Póki drużyny stały w miejscu, wyglądało to przekonująco, kiedy jednak ruszyły galopem, stało się to, co stać się musiało. Przedni jeźdźcy, duma i ozdoba kazarońskich drużyn, wyprzedzili mocno pozostałych, za nimi pędzili, bezlitośnie smagając konie, ci gorsi, przez których przebijali się kawalerzyści na dobrych koniach z tylnych szeregów. Różnokolorowe oddziały mieszały się ze sobą, swoi przeszkadzali swoim, Alva musiał tylko pogłębić zamieszanie, co też wykonał z właściwą sobie przemyślnością.

Ubożsi Kageci na widok wdeptanego w ziemię złota nie wytrzymali i zaczęli je zbierać. Pędzący z tyłu bogatsi jeźdźcy nie mogli lub nie chcieli powstrzymać wierzchowców i zmiatali biednych i chciwych. Jeszcze przed potyczką pozbawione jeźdźców konie miotły się bez sensu po równinie, powiększając rozgardiasz. Kazaroni, jeszcze nie przystąpiwszy do walki, już podzielili się na trzy części, zmieszali szeregi i zdołali połamać sobie wzajemnie kości, chociaż i tak pozostało ich

jeszcze wielokrotnie więcej niż Taligojczyków.

–Mój kazarze. – Lullak drżał niczym pies myśliwski. – Najwyższy czas. Powinniśmy ich dostać!

–Dostanie ich Tuhhup – wzruszył ramionami Adgemar. – Albo zginie, walcząc za Kagetę. To piękna śmierć.

Rozdział 4

Równina Daram

„Le Chevalier des Bâtons”[\[153\]](#)

1

Dick patrzył na Savignaca, a Savignac leżał na trawie i żuł źdźbło trawy. Gaj, w którym kawaleria czekała na swoją godzinę, był spokojny, zacieniony i zadziwiająco przytulny. Gdyby drzewa i krzewy mogły mówić, to obruszyłyby się szczerze, że jacyś dwunodzy, których życie jest tak krótkie, pojawili się w tak cudownym miejscu, by się wzajemnie pozabijać. Sona, pobrzękując wędzidłem, oskubywała niewysoki, obwieszony miękkimi strączkami krzaczek, inne konie też nie marnowały czasu. Dick rozumiał, że za chwilę dwa pułki Savignaca ruszą do boju z wrogiem, który dziesięciokrotnie przewyższa ich liczebnością, ale jakoś w to nie mógł uwierzyć.

Ostatni tydzień w ogóle wydawał się snem. Nocny bój, kageckie złoto, pożegnanie z Weizlem, Badiglo i Bakranami, błyskawiczny marsz na Daramę na spotkanie stutysięcznej armii. Dick był pewien porażki, Savignac wątpił w zwycięstwo, ale żołnierze święcie wierzyli w szczęśliwą gwiazdę Alvy i kpili z uciekających przed pomalowanymi kozłami siwulców. Przypadkowe zwycięstwa upajają, ojciec nieraz mówił to Dickowi, ale czy była przypadkową wiktoria w wąwozie? Raczej nie, przecież przygotowywano ją przez dwa miesiące!

Wściekły tętent koni, zakłóciwszy szelest liści, ptasi szczebiot i szemranie strumyka wydał się czymś brutalnym i ubliżającym. Jeździec osadził konia tuż przed butami Emila Savignaca. Dick rozpoznał gońca – jeden z aduanów Shemantala. Oczy Warastanina płonęły wściekłym blaskiem, był napięty niczym idący krwawym tropem myśliwski pies. Koń celnika – gniady mierzyn z białą gwiazdką na czole – wyraziście zerknął na strumień, ale jeździec był nieubłagany.

–Idą? – uniósł brew Emil, wyraźnie naśladując marszałka.

Jakieś przekleństwo, każdy, kto pozna Roke Alvę, przejmuje jego maniery!

–Pędzą – prychnął celnik. – Ile sił.

–Ilu?

–Było wielu. – Celnik pogłaskał gniadego między uszami. August tak chyba zwał się goniec – już nie przypominał Drzewa Urodzaju[\[154\]](#) – [zniknęło całe złoto i](#)

kosztowności. – Rozmazały się durnie jak smarki na rękawie. Jedni mają konie marne, inni łapy drżące z chcicy, inni pognali obóz złupić... Mamy na ogonie trzy tysiące, nie więcej, i jeszcze z osiem tysięcy z tyłu się wlecze.

–Wspaniale. – Emil podniósł się z gracją i gwizdnął, przyzywając swojego moriska. – Panowie, na koń. Nasze zadanie – zawrócić ten tłum i pogonić na własnych ludzi. Już coś takiego robiliśmy.

Tysiąc dwustu ludzi szybko, ale bez zamieszania, ostatni raz sprawdziło oporządzenie i broń, wsiadło na konie, zajęło swoje miejsce w szyku. Dick nie odstępował Emila, przekonując siebie, że do biskupa jeszcze za wcześnie. Myśli o tym, że Kageci są sojusznikami – zniknęły, tak samo jak nienawiść do Roke. Młodzieńca ogarnęła fala podniecenia, znacznie silniejsza niż ta, kiedy przegrywał w karty. Dickon drżał z podniecenia nie gorzej niż Sona, co rusz zerkając na brzeg. Savignac przechwycił spojrzenie młodziana, roześmiał się i ruszył wodze, sotnie naśladowały ruchy swojego generała. Kawaleria szybko i cicho zajmowała pozycje wyjściowe. Nikt się nie rozpychał, nie sprzeczał, nie plątał bez celu, wszystko było sprawdzone i wyliczone poprzedniej nocy.

Emil westchnął z satysfakcją i odwrócił się do otaczających go adiutantów, gotowych do przekazania oddziałom ostatnich rozkazów.

–Przypominam. Sygnał do ataku – mój wystrzał. Potem – kartacze. Strzelamy z bliska i naprzód! Wcinajcie się, gdzie nagromadzenie wroga. Jechać oddzielnie, wrzeszczeć tak, jakby nas było dziesięć tysięcy. Każdy za siebie, ale i na boki się rozglądać! Na rozkazy nie czekać, przed szereg się nie wysuwać, od swoich nie odłączać się dalej niż na sto beau. Nasze zadanie to popędzić ich, a nie otoczyć. Jasne?! Niech wieją, a my ich odprowadzimy. Usłyszycie róg warastański – koniec, bal skończony, a póki milczę – zabawa na całego! Bij, tnij, kłuj – nie żałuj! Koniec. Idziemy.

Adiutanci, błyskając oczami, rzucili się do swoich, tupot kopyt zlał się ze stukotem serca.

–Dickonie – generał puścił oko do Richarda – ty masz się trzymać za mną. Pamiętaj, to nie pojedynek, a bijatyka. Uderzasz i do przodu – nie czekasz na ripostę. Rozumiesz?

Richard skinął głową, ale odpowiedzieć nie zdążył. Zza zakrętu wypadli „złoci” jeźdźcy. Ładny był ich galop. Dickowi wydawało się, że aduani niemal ochwacili swoje konie, ale Emil roześmiał się i powiedział, że półkwi moriski mogą pędzić i pędzić, i są umyślnie powstrzymywane. Przeleciała obok ostatnia dziesiątka, w gronie której gnał Jean Shemantal, i pojawili się prześladowcy – ci poganiali swoje konie poważnie. Richard ze zdziwieniem wpatrywał się w dziwny widok. Nazwać

regularną kawalerią to, co wrzeszcząc i błyskając w słońcu, waliło na oddział Savignaca, było trudno.

Kazaroni przypominali ni to tłum przebierańców, ni to Dzikie Łowy[155] ze starej baśni, ale nie strasznej, tylko głupiej. Różnej maści konie, różnej rasy, różnokolorowe stroje, najprzeróżniejsze uzbrojenie... Jeden machał prostym mieczem, drugi krzywym, duży grubas potrząsał buławą z kolcami, obok jakiś kurdupel w ogromnej czapce szybko kręcił morgensternem, błyskały topory, siekiery, siekierki, dźgały niebo piki i jakieś haki, trzepotały peleryny, pióra, włosy, różnokolorowe ogony, zwierzęce skóry.

Jedne konie wydawały się świeże, inne pokrywała piana i te się potykały, ale jeźdźcy nieustannie je smagali biczami. Jeśli ktoś odstawał, to na jego miejscu pojawiał się inny, zręczniejszy. Wszyscy zajęci byli pogonią i tym, by wyprzedzić towarzyszy, na boki nikt nawet nie myślał patrzeć.

Emil roześmiał się i uniósł pistolet. Wystrzał generała złał się z innymi, spudłować w pędzący niczym wał tłum było nie sposób. Artylerzyści wystrzelili po minucie. Cztery ustawione na brzegu lasu armaty charknęły kartaczami; Dick miał wrażenie, że ani jeden szrapnel się nie zmarnował. Konie i jeźdźcy dziesiątkami walili się na ziemię, ci z tyłu, nie zdążwszy powstrzymać koni, wpadali na leżących. Savignac nie czekał, aż Kageci zrozumieją, co się dzieje.

Złocisty generalski inochodziec runął z miejsca w cwał, wypadł na równinę, od razu powaliwszy czyjś białego konia. Ten upadł, jeździec wyleciał z siodła. Dick nieco spóźnił się i odstał od generała; błysnęła myśl, że należy pędzić do Bonifacego, ale zamiast tego młodzian w jakiś niewytłumaczalny sposób znalazł się w gęstwinie potyczki. Na szczęście dla jeźdźca Sona uczestniczyła już w walce. Klacz wyzywająco zarżała, przeskoczyła między dwoma Kagekami, uderzyła kogoś tylnymi kopytami. Błysnęły czyjeś wytrzeszczone oczy, coś różowego upadło na ziemię, przysunęło się coś zielonego, błysnęła warastańska szabla i zielone zniknęło. Dick dźgnął z całej siły, ostrze weszło w coś miękkiego i ugrzęzło – zaskoczony Richard wypuścił rękojeść, wyręczyła go owinięta dokoła przegub skórzana pętla.

Sona, nie przestając rzeć, stanęła dęba i puściła w ruch przednie kopyta. Obok pojawił się ktoś w czerni i bieli, coś krzyknął, ale Dick nie zrozumiał co. Między nich wpadł duży Kagek z malutką zdobioną siekierką. Młodzieniec zapatrzył się na dziwną broń, zagapił się, ale klacz nie zawiodła, bryknęła tyłem. Obcy koń, otrzymawszy bolesnego kopniaka, skoczył w bok, siekierka świsnęła tuż obok ucha Dicka, rozległ się strzał. Kagek jak worek zwałił się pod nogi koni, a gwardzista, który go zastrzelił, pognął dalej i zniknął między setkami ludzi i wierzchowców.

Wrzaski Kageków i Taligojczyków, końskie rzenie, tupot, jakiś bulgot, kurz, ostra oszałamiająca woń. Dick rozpaczliwie machał szpadą, potem przypomniał sobie o pistolecie, wypalił z niego prosto w czyjąś rozdziawioną gębę. Bój przypominał jarmarczne koło, dokoła Richarda wrzeszczeli, strzelali, cięli, upadali, miotali się tam i z powrotem obcy i swoi, parskały konie, strzelały tylnymi kopytami, rżały, stawały dęba, trzeszczały piki, gwizdały klingi...

–Masz!

–Bij bydło!

–Bacuta!

–Ach, ty Stworze Zmierzchu!

–Kageeeeetaaa!

–Masz jeszcze!

Kątem oka Dick zauważył, jak Kaget w turkusowej szacie wycelował pikę w pierś gwardzisty. Uderzenie – pika przecięta, drugie – turkusowy wali się w dół głową, utknąwszy nogą w strzemieniu. Upada ranna w pierś klacz, spadły z konia Taligojczyk szepił się ze spadłymi z koni Kagetami, spada ugrzęzła w ciele wroga, czarnobiałe nie stracił głowy, przyłożył nacierającemu nań olbrzymowi pięścią, wyrwał dziwnego kształtu topór z otworami na całej powierzchni, uderzył...

–Pocięty Smok!

–Talig! Talig!

–Kazea!

–Warasta i Kruk!

Jakimś cudem Richard znalazł się obok Emila, generał i jego koń byli zbryzgani krwią, wyraźnie obcą. Savignac coś wrzasnął, wesoło błysnąwszy oczami, Dick go nie zrozumiał. Obok przemknął jakiś celnik, na całe gardło wyrzaskując dwa słowa: „czas” i „Shemantal”. Savignac skinął głową i wszystko zakołowało znowu, ale w potyczce nastąpił wyraźny przełom.

Gdyby Dick był szybującym w obłokach jastrzębiem, to zobaczyłby, że Kageci z pierwszych szeregów usiłują zawrócić i stawić czoła wyskakującemu z lasu przeciwnikowi, który jak „złoty szwadron”, wykonawszy pętlę, uderza we flankę tych, co się szepili z Savignacem. To stało się kroplą, która przepelniła czarę. Coraz więcej i więcej Kagetów zawracało wierzchowce, usiłując ratować się ucieczką, aż w końcu zapanowała powszechna panika. Nie tak dawni prześladowcy, straciwszy ostatecznie głowę, rzucili się do ucieczki po własnych śladach.

Savignac pędził uciekinierów bezlitośnie. Z każdą minutą stawała się wyraźniejsza przewaga taligojskich rumaków nad kageckimi końmi, nawet najlepszymi – dziesiątka Taligojczyków z łatwością powalała nawet trzy dziesiątki Kagetów. Richard pędził obok Savignaca, krzyczał coś niewyobrażalnego. Chłopcu wydawało się, że wyrosły mu skrzydła. Był szczęśliwy i nieśmiertelny, wszyscy oni byli w tym momencie nieśmiertelni i potężni. Wróg uciekał, należało go dogonić, zniszczyć, wdeptać w żółtą, pokrytą pyłem ziemię i wtedy przyjdzie zwycięstwo, najwyższe szczęście darowane mężczyźnie i wojownikowi. Kopyta Sony wybijały ostry rytm, nad głową trzepotał sztandar ze Zwycięskim Smokiem i Richard Ockdell nie uważał go za obcy. To był jego sztandar, to byli jego towarzysze broni, to było jego zwycięstwo...

–Czasem rozumiem swojego wuja – ze złością rzucił Lullak, parząc na równinę. –
Muły! Bezmózgie muły!

Rober Epineix nie mógł zgodzić się z tym stwierdzeniem – muły, zdaniem Inochodźca, były bardzo rozumnymi i miłymi stworzeniami. W odróżnieniu od kazaronów. Co się stało z tymi, którzy połamali się na „porzucony obóz”, nie było wiadomo, ale Inochodziec gotów był założyć się, że maruderzy wpakowali się w poważne kłopoty. Za to los ścigających „złoty szwadron” nie był dla obserwatorów sekretem. Pechowi prześladowcy częściowo zostali wycięci, częściowo uciekli, wywracając ruszające im na pomoc rezerwy, a poważną liczbę konnych idiotów wdeptali w tak lubiany przez Tuhhupa koński nawóz towarzysze i rodacy. Ci natomiast, którzy jednak dotarli jakoś do taligojskiej piechoty, odkryli całkowity brak swojego przygotowania do ataku.

Atak na ustawioną w karo piechotę konnym szykiem jest ryzykiem, zaś rzucanie się na najeżoną pikami żywą cytadelę, bez żadnego szyku – samobójstwem. Rober podejrzewał, że gdyby Taligojczycy ustawili się u podnóża wzgórza czy góry, kazaroni wykazałyby się dostateczną głupotą, by zwalić się na nich w galopem w dół po zboczu; zresztą na równinie wyszło to niewiele lepiej, tyle że nie połamali nóg koniom.

Epineix widział, jak atakujący raz po razie odbijali się od wrośniętych w ziemię czarnobiałych czworokątów, płacąc za każdy bezsensowny atak daninę z dziesiątków ludzkich i, co szczególnie rozjuszało Robera, końskich żywotów. Taligojska piechota działała bezbłędnie – salwy muszkietów rozlegały się raz po razie, były jednoczesne i celne, pierwsze szeregi trzymały szyk, nie ustępując ani na krok, jeśli nawet ktoś został ranny czy zabity, to jego miejsce natychmiast zajmował świeży żołnierz. Wprawa i zimna krew piechoty robiła szczególnie silne wrażenia na tle kretyńskiej zaciekłości kawalerzystów. Odrzuceni jeźdźcy wpadali na tych spóźnionych i na podejściu do taligojskich pozycji powstała spora sterta ciał. Adgemarowi znudziło się to w końcu i kazar lekko poruszył ręką.

–Synu mojej siostry, pomóż im!

Lullak runął do schodów, ale Lis powstrzymał go:

–Nie sam. Wypraw gońców z rozkazami. Dwie trzecie – do boju, jedna trzecia – tu. –
Książę chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i zniknął.

Kazar odwrócił się do Epineixa i przeszedł na talig:

–Mam wrażenie, że przyszłość należy do piechoty i muszkietów, a nie do kawalerii i

mieczy.

–Zgadzą się, ale tylko częściowo. Nieregularna kawaleria jest skazana, ale...

–Tak, nieregularna kawaleria jest skazana – potwierdził Adgemar, nie odrywając wzroku od panującego na równinie szaleństwa.

Epineix mógłby przysiąc, że kazar jest zadowolony z tego, co się dzieje, chociaż nie było niby z czego się cieszyć. Kawalerzyści ginęli całymi setkami, nie posuwając się ani o krok do przodu, więcej nawet – powstający przed Taligojczykami wał z ludzkich i końskich ciał gasił impet, jeźdźcy musieli długo zastanawiać się, jak pokierować wierzchowcami, a pociski w tym czasie zbierały swoje żniwo.

Powrócił nachmurzony (pewnie, nie puścili do walki!) Lullak. Rozkaz wykonał, ale na urodziwym obliczu młodego Kageta malował się niepokój. Adgemar uśmiechnął się do bratanka przyjaźnie.

–Dowódca nie powinien sam chwytać za szablę, synu mojej siostry. Jego broń to umysł.

–Wybacz mi moje zuchwalstwo, ale atak piechoty od strony obozu byłby bardziej na miejscu.

–I będzie – uśmiechnął się Kazar. – Może.

I nagle Rober zrozumiał wszystko. Głównym wrogiem Adgemara był nie Alva, a kazaroni, którzy przeszkadzali mu zrobić to, co uważał za słuszne i potrzebne. Lis chciał być królem, a nie kazarem, chciał władzy absolutnej i zdobywał ją dla siebie na Równinie Daram.

Do Alvy też się zabierze, ale na razie Adgemar chciał pozbyć się kłód pod stopami – żywych ludzi, których z zimną krwią wysyłał pod obce kule. Nieważne, jakimi ludźmi są ci kazaroni, są Kagetami, przyszli na wezwanie swojego kazara bronić ojczyzny, nie wiedząc, że są pędzeni na ubój. Lullak to rozumie, i to mu się nie podoba, ale milczy. Ciekawe, gdyby Kruk nie zdobył Irbisich Wrót, co zrobiłby Adgemar z kazaronami? Wytruł, wyrznął, rozpuścił do domów? Czy urządziłby rzeź, przebrawszy część Biriezyjczyków w czarnobiałe stroje, i rzuciłby się do gaifiańskiego imperatora i Esperadora ze skargami na łamiących Złoty Traktat?

–Moi! – Ręka Lullaka wskazała na jeźdźców lewej flanki, będących od Taligojczyków już tylko o kilka kroków. Karo zaczynało być ściskane z dwóch stron, ale nagle wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Piechota błyskawicznie i precyzyjnie przeformowała się, przepuszczając Kagetów. Ci, czy to nie mogąc powstrzymać impetu, czy obawiając się, że powalą ich pędzący za nimi, przemknęli żywym korytarzem i wpadli na jazdę prawego skrzydła, potęgując rozgardiasz i nie od razu

nawet rozumiejąc, co się stało. Piechota za plecami kawalerii Lullaka natychmiast zwarła ponownie szeregi i atakujący okazali się odcięci od obozu.

Roke działał na pewniaka – po obu stronach przekłętego czworoboku ciągnęły się pasy skopanej ziemi i sterty więdnących gałęzi, niewątpliwie kryjące wilcze doły. Obejście jest niemożliwe, to dowodzący atakiem kazaron zrozumiał. Gorączkowo usiłował się przeformować, ale przeszkadzali mu swoi. Tym niemniej ludzie Lullaka jakoś się rozwinęli i w tym momencie w ich bok wciął się oszalały tłum – ci, co rzucili się wcześniej łupić obóz. Sądząc ze wszystkiego, pechowi maruderzy spotkali się z gorącym powitaniem. Biedacy okładali swoje konie, tak jakby za nimi pędziły Stwory Zmierzchu. Do przodu nie patrzyli i oczywiście ostatecznie załamali z takim trudem rodzący się ład.

To, co zostało z wielotysięcznej kawalerii, bezsensownie dreptało pod taligojskim kulami; jednocześnie z lasu trzema strumieniami wylała się czarnobiała jazda.

Epineix nie wierzył własnym oczom. Taligojczycy pędzili moriski prosto na pułapki – i... nic się nie stało. Min i wilczych dołów tam wcale nie było, Alva kolejny raz oszukał wszystkich! Świeże tysiące zwały się na oszalałych Kagetów, ci rzucili się za taligojskie kopie, odbili się od niedającego się poruszyć szyku i kolejny raz uderzyli w swoich. Lullak głośno zaklął. Adgemar odwrócił się do bratanka i rzucił lodowatym tonem:

–Synu siostry, mam nadzieję, że zrozumiałeś, gdzie jest właściwe miejsce dowódcy?

Książę coś wykrzyknął, tych słów Epineix nie znalazł, ale na twarzy Lisa nie drgnął ani jeden mięsień. Następne słowa kazara usłyszał tylko Lullak i stojący w pobliżu Rober, który ciągle jeszcze nie powiadomił Lisa o swoich sukcesach w przyswajaniu kageckiego. Adgemar wyraził się krótko i dokładnie, właśnie tak przemawiali władcy z przeszłości, o których Rober czytał w młodości.

–Dzisiaj syn mojej siostry widzi nie koniec kageckiej kawalerii, a – tu głos Adgemara stał się uroczysty – początek kageckiej państwowości. Należy nie szlochać, a cieszyć się.

Richard ocknął się dopiero, gdy któryś z aduanów chwycił Sonę za uzdę. Resztki kageckiej kawalerii trzeci raz uciekały swoimi własnymi śladami. Emil Savignac roześmiał się mściwie i strząsnął z klingi krew.

–Życie jest piękne, Dickonie. – General włożył ostrze w pochwę. – Ale myśmy się nieco zagalopowali. Musimy odnaleźć Alwę.

Okazało się to nietrudną sprawą, Roke znajdował się wśród muszkieterów. Twarz marszałka pokrywała warstwa sadzy, ale był żywy i cały, podobnie jak Bonifacy z Shemantalem. Emil zeskoczył z konia, rzuciwszy wodze któremuś z żołnierzy. Dick poszedł za przykładem generała. Młodzieniec obawiał się bury z powodu nieposłuszeństwa, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi. Alva w zamyśleniu przyglądał się przez lunetę obozowi Kagetów, Shemantal z ubóstwieniem w oku przyglądał się Proemperadorowi i bawił się złotym kageckim amuletem, biskup promieniał niczym słońeczko po deszczu, i opowiadał, jak to miłośnicy łupów rzucili się na „bezbronny” obóz, gdzie czekały ich wilcze doły, miny, ukryci w wozach muszkieterzy i inne niespodzianki.

–Myśl, żeby nafaszerować puste beczki siarką, drobnym żwirem, kozim smalcem i prochem była zaiste luba bogom – perorował Bonifacy. – Serce moje radowało się, gdy zapalały się one i turlały pod nogi niegodziwcom. Widziałem też ci ja głupców i heretyków, co wtykali w ziemię kopie, by powstrzymać bieg ognistej beczki. Wylatywali oni w powietrze, a z nimi jeszcze ze dwudziestu heretyków za grzechy swoje z płomienia ziemskiego przesuwanych do Płomienia Zmierzchu.

–Amen! – Alva opuścił lunetę i odwrócił się do Savignaca. – Radem pana widzieć, Emilu.

–Monsignore – powiedział z uczuciem kawalerzysty, salutując – rozkaz został wykonany. Nie minęła godzina, jak cały tłum oddalił się z pola walki, tracąc wszystko, co można i czego nie można.

–Proszę się nie radować, Emilu. – Roke trzymał lunetę w opuszczonej dłoni; jego twarz nie wyrażała nic, chyba tylko oczy miał jaśniejsze niż zazwyczaj. – Rozpędziliśmy susły, to prawda, ale jestem niemal pewny, że Adgemar też tego chciał.

–Chciał?! – Savignac wyraźnie nic nie rozumiał.

–Jeśli nie chciał, to znaczy, że jest pełnym ignorantem w sztuce wojny, ale to nie jest tak. Lis całkiem nieźle wojował z Holtą i z własnymi buntownikami, nieźle zna się na taktyce i strategii. Nie mógł się tak mylić.

Dwaj generałowie i biskup w milczeniu patrzyli na Alvę, nic nie rozumiejąc, więc Roke raczył wyjaśnić:

–Dlaczego kazar nawet nie próbował powstrzymać nieładu i nie utrzymał na łańcuchu choćby rezerw? Dlaczego nie rzucił ich do walki w odpowiedniej chwili? Dlaczego nie uderzył z obozu na tyły naszej piechoty, przecież miał niemal bajeczną możliwość? Dlaczego tak podzielił siły? I ostatnie dlaczego. Dlaczego w ogóle zebrał takie stado?

–Po Irbisich Wrotach... – zaczął Bonifacy.

–Irbisie Wrota nic tu nie mają do rzeczy – odparł Alva. – Adgemar zaczął zwoływać pospolite ruszenie, kiedy otrzymał ultimatum, a przełęcz była wzięta tydzień temu. W tym czasie można było zaledwie porozsyłać gońców.

–Kiedy tak pan mówi, to rzeczywiście wydaje się to dziwne.

–Pan, Emilu, jest wyśmienitym generałem, ale intrygantem, proszę mi wybaczyć, żadnym.

–Jak i pan. – Savignac wydawał się być lekko urażony.

–Nieprawda. Ja nie znoszę polityki, ale się na niej znam. Adgemar jest Lisem, nie może nie spróbować połknąć od razu i kaczki, i kury. Zapewniam pana, że wojownicy o wolność Taligoi w Tronko i Ollarii postarali się powiadomić sojusznika o naszej armii bardzo dokładnie. O wszystkim, co sami wiedzieli. Swojej przewagi liczebnej Adgemar jest świadomy, o ostatecznym zwycięstwie nie wątpi, no to dlaczego nie miałby rozegrać podwójnej gry? Biedak ma już dość bycia pierwszym wśród wielu i z naszą pomocą pozbył się zbędnych kazaronów. Połowa zamysłu spełniona, pozostaje mu tylko wygrać bitwę, tyle – pierwszy Marszałek Taligu poprawił szarfę – że jej nie wygra.

Rozdział 5

Równina Daram

„Le Dame des Épées” [\[156\]](#)

1

Plan Adgemara był prosty i niezawodny. Pozostać w umocnionym obozie pod osłoną artylerii, doczekać wrażego ataku, odbić go i przejść do ofensywy. Lis zakładał, że decydująca bitwa odbędzie się jutro lub pojutrze – Taligojczycy muszą odetchnąć po potyczce z kazarońską kawalerią – nie miał też dokąd się śpieszyć. Adgemar wyraził swoje niezadowolenie, kiedy ocalały kazaron z wytrzeszczonymi szalonymi oczami i niewymawialnym imieniem zameldował o straszliwych stratach i zniknięciu i śmierci czterech z hakiem setek innych kazaronów, łącznie z Tuhhupem i jego butami, ale Rober nie wątpił ani przez chwilę – Lis by zadowolony. Kazaroni Kagety zostali zmieceni, a Adgemar został jednym władcą, który może nie oglądać się już na pstrą, bezczelną hordę. W jakiś pokrętny sposób miał rację, stare obyczaje Kagety ciągnęły ją do tyłu, ale i tak było to działanie podle.

Złoty przedjesienny dzień dopiero się zaczął, po pokrytej trupami równinie wałęsały się konie i oberwańcy z rezerwy, w oczach stający się majątnymi ludźmi. Pozbawione przywódców rozproszone drużyny częściowo podciągały do obozu lewej flanki, częściowo wracały na pozycje wyjściowe, ale w ogromnej większości po prostu odchodziły, żeby nie powiedzieć, rozbiegały się. Nikt ich nie powstrzymywał – nie byli potrzebni, kazar miał do dyspozycji około setki dział, sześć tysięcy jazdy i dziesięć piechoty, a Roke miał ludzi dwa albo i trzy razy mniej, a kawalerią nie dysponował w ogóle.

Adgemar, ostatni raz przyjrząwszy się równinie, schował lunetę i wolno, dostojnie zszedł z wieży. Świta kazarona deptała mu po piętach. Rober nie miał ochoty na obłudne krzatanie się przy władcy, został trochę z tyłu i znalazł się obok Biriezyjczyków. Milżę znał dobrze – razem wycofywali się od Irbisich Wrót ku Daramie, ale jego przyrodniego brata Warażę, dowódcę Purpurowej Straży, widział tylko kilka razy. „Irbisy” nie miały pojęcia o zamiarach Lisa i były ponure. Epineix nie wątpił, że uspokoją się, dopiero zemściwszy się za utratę Wrót i przeżyty tej nocy koszmar. Rober ich rozumiał, a siebie – nie. Adgemar rozgrywał swoją grę, Biriezyjczycy mścili się, Gaifianie – zarabiali. Inochodziec reprezentował swojego księcia i jak mógł, pomagał sojusznikom, ale patrzeć, jak strzela się do Taligojczyków, było ciężko.

W czasie powstania wszystko było inne, tamta wojna była pojedynkiem, a tu starli się rodacy i ci, którzy nigdy nie życzyli Taligoi dobrze i usiłowali upiec przy tym ogniu swoją pieczeń. A poza tym wśród czarnobiałych mundurów był Dickon, Richard Ockdell, syn Egmonta, którego nie wziął ze sobą. Chłopak mógł przecież łatwo zginąć od przypadkowej kuli czy cięcia szabłą. Oczywiście, jest giermkim Kruka, ale jakoś nie wyglądało, by Alva trzymał go przy sobie, a nawet gdyby – Alva zawsze pakował się w samo piekło, uważano, że jest zaczarowany, ale jego konie i jego adiutanci co rusz ginęli. Może dlatego w Irbisim Wąwozie posiał chłopaka na tyły. Ciekawe, po jakiego smoka Kruk wziął syna zabitego przez siebie człowieka i dlaczego Dickon przysiągł zabójcy ojca?

–Milża. – Biriezyjczyk odwrócił się. – Chcę prosić ciebie i twój ród o przysługę.

–Mów. – Oblicze Milży pozostało kamienne, ale Rober nie zwrócił na to uwagi.

Wyczuwał w „irbisie” przyjaciela, razem wycofywali się ku Daramie, a wspólne wycofywanie się wiąże mocniej niż trzy zwycięstwa.

–U przywódcy – Rober zająknął się, ale słowa „wróg” nie mógł wymówić; dobrze – ciągle kiepsko zna biri – ich przywódca ma giermka, to jeszcze chłopiec. On jest zakładnikiem, synem mojego przyjaciela. Proszę o zachowanie go przy życiu.

–Znajdziemy go – skinął głową Milża – i przyprowadzimy do ciebie. Jesteś naszym przyjacielem, syn twojego przyjaciela jest pod naszą ochroną. Jak mamy go poznać?

–Ma szesnaście lat, wysoki, włosy nie jasne, ale i nie czarne, szare oczy, gęste brwi. Powinien mieć na sobie czarne i niebieskie barwy, jak jego pan.

–To wystarczy. Nie zabijemy nikogo o takim wyglądzie. Idziesz z nami?

–Jeśli pozwoli kazar. Jestem jego gościem.

–Jesteś nie tylko jego, ale i naszym gościem – raczył rozchylić wargi Waraża.

Rober wiedział od nieboszczyka Kallocha, jak rzadko Biriezyjczycy przyjmują obcych. Gdyby wiedzieli, że ich gość wykończył „irbisa”, żeby uratować Dickona...

Coś gwizdnęło nad głowami, wbiło się w stojące nieopodal wozy i eksplodowało. Jednocześnie gruchnęło z prawej i lewej. Rober odwrócił się. Wieża, z której przed chwilą zeszli, płonęła, płonął w kilku miejscach otaczający obóz częstokół, z za którego gradem sypały się bomby i kule. Jedna, sycząc, upadła niemal pod nogami Robera, ten odruchowo odskoczył, chociaż widział, że to nie granat i nie bomba. Kula pokręciła się trochę i znieruchomiła. Była niewielka, takimi strzelają armaty z górnych pokładów okrętów. Okręt bojowy na równinie Daram?! Majaczenie! Rober rzucił się do palisady, a raczej do pomostu, na którym ustawione były działa.

Stamtąd rozciągał się porażający, bardzo nieprzyjemny widok. Alva miał jednak ruchomą artylerię i jakże nie przypominała ona tego, co rozumiano pod tym słowem!

Ogromnych dział, które z trudem wlecze kilka par byków lub ciężkich koni, nie było wcale. Po polu miały się lekkie parokonne zaprzęgi z niewielkimi działkami i moździerzami, między którymi poruszali się konni muszkietierowie i wozy z amunicją i pojemnikami z żarem. Epineix w oszołomieniu przyglądał się, jak na ukos od ich baterii zatrzymał się powóz, z którego wyskoczyło kilku ludzi. Ich ruchy były precyzyjne i szybkie, jak w tańcu albo w czasie pojedynku. Artylerzyści zdjęli z wozu nosze z moździerzem, ustawili na ziemi, szybko wycelowali, włożyli kulę, wstawili zapalnik. Działo drgnęło, nad Roberem przeleciał ognisty wąż i jakby w odpowiedzi rozległ się grzmot – wybuchła beczka z prochem. Rozległ się krzyk Lambrosa – Gaifianin żądał, by odwrócono działo. Obsługa i stojące obok „irbisy” natężyli się, ciężka machina wolno obracała gardziel w stronę zuchwalców, ale ci chwycili swoje nosze, wrzucili na wóz, wskoczyli nań, woźnica przeciągnął konie batem, syta para gniadoszy skoczyła z miejsca. Można było się już nie śpieszyć!

Obozowe działa strzelały uczciwie, ale ich wysiłki przypominały polowanie z kilofami na komary. Taligojscy woźnice powodowali, że wysiłki artylerzystów przynosiły zerowy skutek. Zaprzęgi miały się po polu niewyobrażalnymi zygzakami, zbliżały się, wycofywały, zmieniały miejsca. Kule, bomby i ładunki zapalające sypały się niczym grad i nie było czym na to odpowiedzieć. Obóz błyskawicznie zmieniał się w kopię piekła – wybuchał pożar za pożarem, wybuchały beczki i antałki z prochem, rżały poparzone konie i krzyczeli ludzie. Palisada i rów osłaniały przed kawalerią, ale nie przed ostrzałem, zresztą w częstokole widniały spore wyrwy, a na prawo od Robera już płonął.

Lambros i jego ludzie usiłowali odpowiadać ogniem, ale do kawaleryjskiego pojedynku z tak szybkim przeciwnikiem gotowi nie byli. Rober jak mógł pomagał w obracaniu dział, ale jak na razie wszystkie wysiłki spełzały na niczym.

–Co tu się dzieje? – Adgemar wynurzył się z ognistej zadymy, niemal krzyczał, ale ogłuszony Rober z trudem rozumiał, co ten mówi, choć Lis z okazji ostrzału przypomniał sobie talig. – Macie setkę dział, powstrzymajcie tych łajdaków!

–Robimy wszystko, co jest możliwe w tych okolicznościach. – Gaifianin, mimo szalejącego dokoła piekła, wyglądał godnie i dostojnie – ale nie możemy wiele przeciwstawić taktyce wybranej przez przeciwnika. Ogień z obozu jest mało efektywny. Nasze armaty stoją w jednym miejscu i nie mogą z powodzeniem ostrzeliwać ruchomych celów, taligojska piechota i kawaleria są zbyt daleko, a przeciwnik ma wyśmienitych artylerzystów.

–To nie jest odpowiedź. Płaci się wam...

–Nam się płaci, a my strzelamy. – Artylerzysta pozostał niewzruszony – ale bój jest przegrany. Ten, kto dowodzi wrażą armią, wyprzedził nasze czasy o sto lat, o ile nie więcej. Nie wątpię, że jego wynalazki będą podstawą nowej nauki wojskowej przyszłości.

–A niech on płonie Ogniem Zmierzchu! – eksplodował stojący za plecami Lullak.

–Splonimy my – wolno powiedział Biały Lis, przechodząc z taligu na kaget. – Jeśli czegoś nie przedsięwzięmiemy. Gariża! – Wysoki Biriezyjczyk w purpurowej, podbitej irbisim futrem pelerynie podniósł głowę. – Wyprowadzaj jazdę. Zniszcz ich zaprzęgi i artylerzystów i wracaj.

Roke sam odmierzył szuflą odpowiednią ilość prochu, wycelował działo i przysunął lont. Działo odpowiedziało radosnym szczeknięciem, kula wbiła się w palący się płot, płonące pale runęły, powstała porządna dziura. Alva roześmiał się i poklepał armatę po błyszczącym boku niczym konia. Richard z zachwytem obserwował działania swojego era. Rano młodzian gotów był przysiąc, że nie ma nic piękniejszego na świecie ponad kawaleryjski atak, ale walka artylerzystów okazała się nie gorsza. On z marszałkiem i trzema setniami konnych muszkieterów miotali się między zaprzęgami, wskazywali nowe cele. Roke co rusz sam ustawiał armatę na cel, a w obozie wroga rozlegał się na to wybuch albo coś się waliło, a Proemperador wskakiwał na Moro i pędził do drugiego zaprzęgu. To było przerażające i... zachwycające. Richard miał straszną ochotę sam wystrzelić, ale po pierwsze, nie potrafił, a po drugie, proszenie byłoby poniżej jego godności.

–Młodzieńcze! – Twarz Alvy była czarna od sadzy, jak nigdy zasługiwał na swoje przezwisko.

–Tak, erze.

–Nie ma pan ochoty urządzić małego fajerwerku?

–Tak – wysunął się do przodu Dick. – Ale... Jak er każe.

–Er każe zejść z konia i strzelać. Irytuje mnie ta rzecz. – Roke skinieniem głowy wskazał wznoszący się nad obozem maszt, szczyt, którego zdobiła błyskająca pozłotą kula otoczona pękiem powiewających wstęg, tworzących coś na kształt ni to lwiej głowy, ni to morskiego anemonu.

Dick skinął głową i zeskoczył z Sony obok stojącego nieopodal zaprzęgu. Roke też się spieszył. Młodzieniec niezdecydowanie sięgnął po szuflę, ale er nic nie powiedział, tylko stał z tyłu. Może było to dziwne, ale nie irytowało i nie rozdrażniało. Richard zaczerpnął prochu i wsypał w gardziel działa.

–Dodaj jeszcze z ćwiartkę – podpowiedział Alva.

Nad głowami przeleciał ze świstem pocisk, ale Krukowi nawet nie drgnęła brew. Dick poczuł się odrobinę nieswojo, pośpiesznie dosypał prochu.

–Nie śpiesz się... Bierz przybitkę... Przybij mocno. Dobrze. Teraz kula.

Krótkie podpowiedzi Alvy przypominały ich szermiercze lekcje i Richard uspokoił się, chociaż kageckie kule ciągle cięły powietrze. Roke, lekko zmrużywszy oczy, popatrzył na otoczoną wieńcem szarf kulę.

–Celuj. Spokojnie... W lewo... Jeszcze w lewo... Teraz w prawo... Dobra!

Alva leciutko dotknął armaty – jeśli przesunęła się, to o włos – i nieoczekiwanie potarosił Dicka za czuprynę.

–Dawaj!

Richard chwycił lont, zapalił się proch w zapale, armata szarpnęła się, jakby przymierzając do skoku, zresztą na swojej lawecie rzeczywiście przypominała siedzącą żabę. Z lufy wyskoczył kłęb ognia.

–A teraz – patrz! – krzyknął Roke. – Ale nie na armatę, do przodu!

Młodzieniec uczciwie wlepił wzrok w lśniącą kulę. Nie musiał czekać długo – znak, informujący o obecności kazara, rozleciał się w drzazgi. Dick w zachwycie odwrócił się do era, ten roześmiał się i wskoczył na siodło.

–Brawo, Dickonie! Pierwszy strzał i taki cel! To... – Nagle twarz Alvy stwardniała w pół słowa. – Nie wytrzymali... No i dobrze! Wycofujemy się!

Richard nie od razu zrozumiał, o co chodzi, a zrozumiawszy, poczuł, jakby liznął go po plecach czyjś zimny jęzor – pędziła na nich jazdy wroga i to było straszne. Co innego z bronią w ręku gonić wycofującego się wroga, a co innego – widzieć, jak na człowieka wali lawina jeźdźców. Młodzian odwrócił się do era – Roke był spokojny, ale uśmiech już zniknął z jego oczu. Zniknął człowiek, został Pierwszy Marszałek Taligu. Harcujący obok Alvy muszkietier, zgodnie z rozkazem wysoko uniósł na kopii niebieską szarfę, którą od razu podchwycił i wyprostował wiatr. Woźnice chlasnęli konie, zaprzęgi pomknęły ku najeżonej stałej piechocie, ale Roke i jego jeźdźcy zostali. Zostało też kilka zaprzęgów odwróconych w stronę czworoboku piechoty. Dick powstrzymywał Sonę, serce młodzieńca waliło szaleńczo, przenosił spojrzenie z wrogów na era i z powrotem. Kruk, nie odwracając spojrzenia od zbliżających się Biriezyjczyków, wolno uniósł szpadę, a potem gwałtownie ją opuścił. Świsnęła przecinająca powietrze klinga, huknęła salwa, pierwsze szeregi jazdy zmieszały się, jeźdźcy przelatywali przez głowy walących się koni, leżących miażdżyły kopyta pędzących z tyłu.

–Czego stoisz?! – Alva był już obok Dicka. – Za mną!

Sona zareagowała szybciej niż jej pan, rzucając się za Moro. Richard widział, jak figurki żołnierzyków w czerni i bieli rosły w oczach. Sona pędziła z całych sił, wyprzedziła nawet Moro, Roke pędził obok, zostając o pół długości z tyłu. Błysnęły piki. Piechota rozstała się, jeźdźcy i zaprzęgi wpadły w czworobok. Roke zeskoczył z konia, Dick skoczył za swoim erem, który wesoło się uśmiechając, niespiesznie szedł pomiędzy szeregami swoich żołnierzy.

–Spokojnie! Rozwałą sobie o nas łby... Widły przed siebie! Strzelać tylko na rozkaz... Jazda to betka... Zaraz załadujemy armaty szrapnelami... Strzelać tylko na rozkaz... Tylko na rozkaz.

Dick siedł obok Roke, starają się trzymać blisko ozdobionego czarnobiałą szarfą ramienia. To był cud, ale był! Tam, gdzie przechodził Roke, ludzie unosili głowy, a w oczach zapalał się ogień. Żołnierze nie tylko przestawali się bać, wierzyli w zwycięstwo i chcieli walki. Marszałka jakby otaczała aureola siły i pewności, której promienie zagrzewały do boju innych, i Dick czuł się częścią tej mocy. Kagecka, a raczej biriezyjska kawaleria była już blisko, obok era i Ockdella przebiegli ludzie z rohatynami – dziwnymi konstrukcjami z zaostrzonych pali wykonanych w czasie dwumiesięcznego siedzenia w górskim obozie. Dick kompletnie nie rozumiał, po co były ciągnięte tu pracowicie, a marszałek, jak się okazało, przewidział i to. Dziwne, ale rano rohatyny nie były jeszcze stosowane, wystarczyły muszkiety i gaifiańskie halabardy.[\[157\]](#)

Jeźdźcy byli tuż obok. Richard widział już spienione końskie pyski, błyszczące w słońcu klingi. Biriezyjczycy zupełnie nie przypominali pstrego tłumu, który rano wyskoczył do lasu. Tamci byli śmieszni, ci – przerażający. Młodzieniec rzucił okiem na Proemperadora. Roke puścił do niego oko i uniósł szpadę. Kiedy ją opuści, rozlegnie się salwa.

Biriezyjczycy bezsilnie tłukli się o taligojskie karo, rozstrzeliwano ich i nadzieowano na piki, a Roberowi wydawało się, że on sam zginął już setki razy. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby Lis nie wziął gogańskich pieniędzy, zadufany w przewagę liczebną nie pozwoli! Roke zemleć na mąkę kazarońskiej jazdy i zwrócić się twarzą ku nowemu przeciwnikowi.

Roke... Epineix ostatni raz widział Proemperadora Warasty rok przed powstaniem. Wtedy był to kpiarski przystojniak, miłośnik broni i koni, wszystko traktujący jak rozrywkę. W tamtym czasie Epineix nie żywił do Kruka nienawiści, chociaż rozumiał, że dla dobra sprawy Taligoi należy go zabić. Nie udało się i Roke Alva stał się przekleństwem Ludzi Honoru, ale czy stał się przekleństwem Taligoi? Egmont postępował uczciwie, wzniesając powstanie, a on i Aldo – nie, a płacili za to wszystko inni – Warastanie, Kageci, Biriezyjczycy.

Jazda rzucała się do szturmu na żywe twierdze, potem znowu odezwały się taligojskie armaty. Tym razem waliły szrapnelami i szyk Biriezyjczyków drgnął, zawrócili swoje konie. W odróżnieniu od nieszczęsnych kazaronów „irbisy” wycofywały się w ordynku, nie kalecząc się i nie depcząc wzajemnie. Gdyby mieli do czynienia z samą piechotą, wszystko byłoby w porządku, ale Roke rzucił do boju kawalerię. Czarnobiali wcięli się w purpurowych; było ich mniej, ale purpurowi byli już zmęczeni i – Rober widział to wyraźnie – nie wierzyli już w zwycięstwo. A mimo to Gariza robił wszystko co możliwe i niemożliwe: Biriezyjczycy ostatkami sił uderzyli na wroga, ale ci nie mieli zamiaru wdawać się w bój. Czarnobiali wycofali się pod osłonę czworoboku i artylerii i „irbisy” wpadły w pułapkę. Krwawy taniec zaczął się od nowa.

–Mój kazarze – Lullak pokąsał sobie całe wargi. – Pomogę im.

–Nie! – odparł Adgemar. – Nie mogę ryzykować tobą, jesteś moją ostatnią rezerwą. Z piechotą musi poradzić sobie piechota.

–Mój kazarze. – Rober nagle uświadomił sobie, że stoi obok Lullaka i mówi jak Kagec i w kagecie. – Pozwól mi iść z Milżą.

Jeśli Adgemar się zdziwił, to nie okazał tego.

–Idź, gościu!

Epineix sam widział, że w tej chwili nie powinno się atakować. Jazda z całych sił pędziła pod osłonę obozowych dział, a na jej ogonach wisiła czarnobiała jazda na półkrwi moriskach. Ludzie Milży ledwo zdążyli przerzucić przez rów mostki. Zastukały kopyta. Prześladowcy zostali z tyłu. Wysoki Biriezyjczyk, skrzyżowawszy ramiona na piersi, znieruchomiał przed kazarem.

–Zrobiliśmy, co mogliśmy. Gariza jest martwy. Wielu jest martwych.

–Dobrze – pochylił głowę Adgemar. Bał się, ale był zbyt mądry, by pozwolić strachowi zaważać wolę. – Wyprowadźcie piechotę.

Dziesięć tysięcy ludzi ruszyło pięcioma kolumnami. Rober maszerował obok Milży w czwartym szeregu, powiewał nad nimi obcy sztandar, w tej chwili będący dla Taligojczyka swoim. Epineix nie wiedział, komu co udowadniał, ale pozostając w obozie, straciłby prawo do nazywania siebie nawet nie Człowiekiem Honoru, ale zwyczajnie – człowiekiem.

Wraża jazdy wycofała się; Roke nie zamierzał wyrzynać swoich ludzi, i tak miał ich mało. Mało? Prawda wychodzi przy porównaniu! Rano taligojska armia wydawała się malutka, a teraz Kageci stracili tyłu, że ich siły stały się porównywalne.

Przeciwnik miał cztery czworoboki i Milża podjął decyzję – uderzyć na drugi od prawej dwiema kolumnami. To była słuszna decyzja, niedobre było tylko to, że szczupły Biriezyjczyk prowadzący sąsiednią kolumnę, pośpieszył się i zginął jako jeden z pierwszych. Jego ludzie stracili szyk i nieważne, czy powodem był strach, zmieszanie czy nienawiść.

O stracie zameldował żołnierz z zakrwawionym ramieniem, Rober rzucił się na pomoc. Pewnie zapomniał, że „irbisy” uznają za ludzi tylko „irbisów”. Pewnie „irbisy” zapomniały, że nie jest „irbisem”, a może szło o to, że zmieszani ludzie gotowi są podporządkować się każdemu rozkazowi wydanemu pewnym i spokojnym głosem.

Epineixowi udało się odtworzyć ład, ze szpadą w ręku poprowadzi! Biriezyjczyków na Taligojczyków. Wiedział, co to karo, znał wartość muszkietów, pik i halabard. Kiedyś Rober Epineix nosił czarnobiały mundur i stał w takim samym karo, a na nich walili żołnierze Heinricha Tłustego. Wtedy wszystko było słuszne i zrozumiałe, teraz... Teraz Inochodziec zabijał swoich i mógł tylko modlić się do Stwórcy, by nie było wśród nich weteranów górskiej wyprawy. Gdzieś obok był Richard Ockdell. Mimo wszystko miał rację, nie wzięwszy chłopaka ze sobą – lepiej już umierać pod swoim sztandarem niż pod obcym.

Epineix wypalił z pistoletu do taligojskiego muszkietera. W powstałą lukę runął któryś z „irbisów” i natychmiast upadł, ale zastąpił go inny, trzeci, czwarty. Czarnobiały szyk drgnął i cofnął się. Epineix parł do przodu, kłut szpadą, wykrzykiwał rozkazy, myśląc słowa i języki, ale rozumiano go i słuchano. Udało im się mimo wszystko rozbić to karo, ale Taligojczycy nie uciekli, a dwoma klinami zaczęli się przebijać do swoich. Niektórym się to udało...

Na Stwory Zmierzchu, żeby tylko Richard był w innym miejscu. Milża dotrzyma słowa, zawsze dotrzymuje, ale kto w tym piekle rozpozna chłopaka z ciemnoblon

włosami w czarnoniebieskich barwach?! Kto tu patrzy w twarze?

Złączyli się z Milżą przy rozbitym wozie z moździerzem, ale ich malutkie zwycięstwo było jedynym i ostatnim. Wciśnięty między dwa karo oddział trafił pod ostrzał z dwóch stron, a z trzeciej przybyła konnica i zaprzęgi z działami. Salwa z kartaczy zabrała setki żołnierzy, potem poszły w ruch klingi: u Kruka kawaleria, artyleria i piechota były jednością.

Dla Epineixa i będących teraz jego wojskiem żołnierzy bój stał się jakąś martwą kotłowaniną. Wycofywali się, przebudowywali szyk, znowu parli do przodu, do wspólnego, beznadziejnego ataku. Potem jeszcze raz do jeszcze bardziej ogólnego ataku i jeszcze bardziej beznadziejnego; wszystko było już jasne, ale nadal walczyli. Obok Robera padali i umierali obcy, w ostatniej chwili życia będący swoimi. Nieznajomy Biriezyjczyk zdążył rzucić się między Taligojczyka i czarnobiałego muszkietera, wzięwszy na swoje ciało kulę przeznaczoną dla tego, którego „irbisy” uznały za swojego dowódcę. Epineix chciał zabić zabójcę, ale oderwał na chwilę od niego spojrzenie i stracił z oczu ostatecznie. Atak załamywał się i w końcu załamał się ostatecznie. Wycofywali się jako ostatni, zachowując coś na podobieństwo szyku, a z prawej i z lewej znowu haniebnie uciekano.

Tych, z którymi Rober wyszedł z obozu, niemal już nie było, ale ich oddział nie stał się mniejszy: zabitych zastępowali ci, co pozostali z tyłu uciekających kolumn.

–Przyjacielu – Milża dotknął ramienia Robera – patrz!

Uratowało ich to, że nie zdążyli wrócić do obozu.

Alva wykorzystał to, że wszyscy, kto tylko mógł, poszli do ataku, i zajął ogrodzoną do połowy spalonym częstokołem przestrzeń, zasypawszy rów faszyną.

–Póki są w obozie, przeskoczmy do byłego obozowiska kazaronów – krzyknął Milża. – Tam mamy drogę na Parasksidi.

–A kazar? – Po co o niego zapytał? Po co mu Adgemar, który przechytrzył samego siebie, swoją armię i swój kraj?

–Z nim jest Lullak. – Milża miał przeciętą brew, twarz zalewała mu krew.

Tak, rzeczywiście, wujaszek jest pod opieką bratanka i jego ludzi, nieuczestniczących w boju. Głupio pomyślał, że Lis nie zatroszczył się o siebie.

Rober Epineix skinął głową:

–Przebijamy się na Parasksidi.

Byli gotowi na ostatni śmiertelny atak, ale zostali przepuszczeni niemal bez walki, ledwie wystrzelili w plecy kilka salw z kartaczy.

–Koniec. – Bonifacy odetchnął pełną piersią. – Wieją i nie dadzą się zatrzymać! A ja, jak ruszyli, myślałem, wstyd się przyznać, że zostanie po nas tylko mokra plama.

–Ja też, przyznaję, ja też – przyznał się Savignac. – Nie, dopuszczałem, że jakoś się wykręcimy, dotrzemy do lasu, przecież zostawiliśmy tam zasieki, ale na zwycięstwo nie miałem nadziei.

–No to niesłusznie – podsumował Shemantal. – Monsinior wie, co robi. Nasze to nikt w ogóle nie wątpili. Co innego przed wąwozem – tam, przyznaję, trochę my nie wierzyli, a tu – nie. Gdzie monsinior – tam zwycięstwo.

–Pochlebia mi pan, Jean. – Roke przyłożył do oczu dłoń i niemal natychmiast odsunął je. Dick zapamiętał ten gest już od ich pierwszej rozmowy, ale nadal nie wiedział, czy to był po prostu nawyk, czy Kruka naprawdę bolały oczy.

–A pewnie, monsinior – obruszył się Shemantal. – Jak jest, tak gadam.

–Ma rację. – Bonifacy wyglądał na zmęczonego i w ogóle jakoś dziwnie. – Pan, Roke, po prostu wyczynia cuda. Żebyśmy tak my dysponowali pańskim opanowaniem. Ja przecież do końca nie wierzyłem.

–Ja też. – Alva wyciągnął rękę. – Biskupie, daj kasery, jeśli trochę masz.

–Nie wierzył pan? – Savignac wyglądał jak trafiony w samo serce. – No to jak pan...

–A tak... Dziękuję, Wasza Świątobliwość. Naszym zadaniem było odciągnąć Lisa od Weizla, dalej nic nie zakładałem. Konner i Bakna wiedzieli, co mają robić, a my, panowie, na trzy czwarte byliśmy samobójcami, tak więc gratuluję ponownych narodzin.

–Na Stwory Zmierzchu – wymamrotał Bonifacy, odbierając manierkę i przysysając się do jej szyjki.

Dick patrzył na Kruka i nic nie rozumiał. Nie wierzył w zwycięstwo? Szykował się umrzeć i położyć ze sobą trzy czwarte armii? Roke przechwycił spojrzenie giermka i roześmiał się:

–Nie należy tak się przejmować, młodzieńcze. Wojnę wygralibyśmy w każdym przypadku, a Zmierzchu nikt nie uniknie, rok wcześniej, rok później... Jean, to pańscy ludzie?

–Tak.

Sześciu jeźdźców jechało kenterem, na czele z aduanem, który znalazł Dicka w Irbisim Wąwozie i przyprowadził do Kruka. Gdyby wiedział o Marianie...

Celnicy osadzili wierzchowce, znajomek Dicka spieszył się i kołyszącym krokiem podszedł do Shemantala.

–No – zapytał ten. – Co tam?

–Wieją – lakonicznie oświadczył aduan. – Z przodu kazaroni. Ilu ich – nie wiem, ale nie do wojny im, to pewne. Sam ich nie widziałem, ale koni ochwaconych jest tam kupa, podobialiby przynajmniej, czy co... Bydło!

–Czyli nie mamy co czekać na ich powrót? – sprecyzował Savignac.

–Gdzie tam, kicają jak zające. A siwulce, ci wycofują się grzecznie. Ich, tak myślę, ze sześć tysięcy ocalało, piesi i konni. Rannych wielu... Lis, wiadomo, w środeczku, a siwulców Kageci osłaniają. Kto prowadzi – nie wiem, ale w portki nie nawalił.

–Kageci osłaniając Biriezyjczyków? – zapytał Kruk – Coś nowego.

–Aha – skinął głową zwiadowca. – Też mi dziwno.

–Mogą przeformować i uderzyć nas w plecy? – Savignac odruchowo dotknął rękojęści.

–Nie będą zawracać. – Alva zdjął pękniętą na szwie rękawiczkę, szczupła dłoń pokryta była krwią, najpewniej cudzą. – Lis ma teraz tylko jedną drogę – do Rawiatu. Pociągnie tam wszystkich, którzy mu jeszcze zostali. Taki władca najpierw myśli o koronie, a dopiero potem o kraju.

–Będziemy ich ścigać?

–Nie – wolno powiedział Proemperador i powtórzył: – Nie, nie będziemy. Dziś wszyscy odpoczywają, a jutro się rozstaniemy. Emilu Savignac, proszę przejąć dowództwo. Jego Świątobliwość panu pomoże. Wracajcie przez Irbisi Wąwóz, a potem wracajcie do góry Bakra, stańcie tam obozem i dajcie znać Bakranom, niech wyłażą ze swoich kryjówek.

–A Badiglo?

–Badiglo będzie musiał posiedzieć we Wrotach jeszcze trochę. Na wszelki wypadek.

–I to wszystko? – Emil wyglądał na rozczarowanego.

–Wszystko. Stańcie tam i czekajcie na rozkazy. Dam wam znać, najpewniej gdzieś za tydzień, w najgorszym przypadku za jakieś dziesięć dni. Jean, jutro pana ludzie

muszą być gotowi. Wyjeżdżamy o świcie. Richardzie, pan jedzie ze mną.

–Co pan wymyślił, Roke? – zainteresował się Savignac.

–Świństwo – westchnął Alva. – Oczywiście, że wymyśliłem świństwo, i to niewyobrażalne.

Lambros prowadził za uzdy dwa załadowane konie i był bardzo poważny. Artylerzysta jeszcze nie otworzył ust, a Rober już wiedział, co usłyszy. Gaifianien odchodzili. Słusznie mawiają, że oni jak szczury – pierwsi opuszczają tonący statek. Inochodziec odruchowo uśmiechnął się – szczur akurat na statku został, co prawda tylko jeden. A właśnie, ciekawe, dlaczego współplemieńcy Clementa zwiali z Agarisu, miasto przecież nie zamierza ani tonąć, ani się zapadać.

–Wesoło panu? – Artylerzysta zdziwił się trochę.

–Nie powiedziałbym. – Inochodziec, żeby być bardziej przekonujący, pokręcił głową.
– Po prostu przypomniła mi się jedna rzecz. Zadziwiająco bezsensowna.

–Zdarza się. Zbliżamy się do Parasksidi. Tu droga się rozgałęzia. Kazar, o ile dobrze go zrozumiałem, kontynuuje wycofywanie się, a my skręcamy na trakt na Gaifę. Ja i moi rodacy nie mamy zamiaru dłużej siedzieć w Kagecie, to byłby brak przezorności. Tak wyszło, że walczyliśmy razem, i chcę panu zaproponować udanie się do Gaify. Stamtąd może pan wrócić do Agarisu albo stać się jednym z nas. Dobrzy oficerowie są wszędzie w cenie.

Kusząca propozycja dla następcy jednego z Wielkich Domów. Dołączyć do gaifiańskich najemników i za jakieś dwadzieścia lat zapewnić sobie godną starość. Nie tak źle, a na pewno lepiej, niż żyć z pieniędzy Esperadora i Gogan. Sprzedaż swojej klingi jest bardziej godna niż sprzedawanie honoru czy ojczyzny. Cokolwiek mówią Enniol i Clement, Ollarowie trzymają się mocno, tak więc Rober Epineix raczej nie usłyszy, jak na wieży rodowego zamku skrzypią wiatrowskazy ze skaczącymi końmi. I, co najsmutniejsze, nie jest przekonany, że chce wracać. Taki na przykład biedak Maszir, ten marzył o domu, ale nie udało mu się zobaczyć morskiego byka...

–Nie zobaczył morskiego byka – wykrztusił Epineix.

–Co? – nie zrozumiał Lambros.

–Tak sobie gadam – machnął ręką Inochodziec. – Przypomniałem sobie komendanta Irbisich Wrót. Miał złe przeczucia i zginął...

–Nigdy nie należy lekceważyć przeczuć – pokiwał głową Gaifianin. – Ale jeśli ich nie ma, należy się kierować zdrowym rozsądkiem. Ja wierzę w ludzkie opinie. O marszałku Roke mówi się, że jest niezwyciężony. Widocznie tak właśnie jest. Alva obiecał zdobyć niezdobytą przełęcz i zdobył ją. Jego następną obietnicą było rozgromienie Adgemara. I to właśnie uczynił. Przyjechałem do Kagety wzbogacić się, a nie zginąć. Moi towarzysze myślą tak samo. Roberze, usilnie namawiam pana – proszę przyjąć moją propozycję, a kazara zostawić jego losowi. Zapewniam, że na

naszym miejscu postąpiłby właśnie tak.

Zapewnić Robera Epineix nie było trzeba, on sam doskonale wiedział, że Adgemar przehandluje wszystko i wszystkich, ale i tak usłuchać mądrej rady Inochodziec nie mógł. Inni rozumieją, ale on sam sobie nie wybaczy, jeśli ucieknie, porzuciwszy tych, którzy umierali wraz z nim.

–Dziękuję, tenancie. Zostanę z tylną strażą, przynajmniej do Rawiatu. Lullak ma mało doświadczonych oficerów.

–Szczерze życzę panu powodzenia, Epineix – westchnął Gaifianin. – Ale popełnia pan błąd.

–Wiem – zgodził się Rober. – Ale lepiej czuć się głupcem niż podłym. Proszę nie brać tego do siebie, pan tu przyszedł po pieniądze, a ja po pomoc. To są różne rzeczy.

–Bezwarunkowo. – Gaifianin ani myślał się obrażać. – Nie chce pan przesłać ze mną jakiegoś listu czy przedmiotu?

Może napisać do matki, dziadka, Aldo, Mellit... Napisałby, gdyby dokładnie wiedział: umrze tu czy wróci. Przedśmiertny list, jeśli autor ocaleje, wyda się głupi i śmieszny. Jeśli go zabiją, a on napisze tylko to, co zawsze piszą żywi, Mellit zapamięta go głupiego i rześkiego. Nie, nie trzeba nic pisać, a podarować nie ma co, chyba że Clementa, ale Lambros go nie dowiezie, Jego Szczurowatość zwieje od każdego. Rober wyciągnął do artylerzysty rękę.

–Nie będę pisał listów, ale jeśli pan napisze do księcia Aldo, gdzie i w jakich okolicznościach mnie widział, będę bardzo wdzięczny.

–Napiszę, że nigdy wcześniej nie spotkałem takiej szlachetności i takiej głupoty – roześmiał się Lambros. – Żegnaj, mój taligojski przyjacielu.

Przyjacielu? Może. Gaifianin, jak wszyscy Gaifianie, najpierw myślał o pieniądzach, potem o sobie i dopiero w trzeciej kolejności o przyjaciółach, ale był na swój sposób uczciwy.

–O czym rozmawiał z tobą ten yzarg? – Milża podszedł niezauważalnie i patrzył w plecy Lambrosa bez czułości.

–Namawiał, bym pojechał z nim.

–Odmówiłeś – z zadowoleniem powiedział Biriezyjczyk.

–Tak.

–Czyli będziesz moim gościem. Jedziemy teraz do Tekki. To moja wieś, tam żyje ojciec mojego ojca. Jestem jego ostatnim wnukiem.

–Postanowiłeś porzucić kazara?

–Nie, chociaż serce jego z pomiotu jest zrobione. Młody Lullak byłby lepszy, ale nie jest jeszcze gotowy uwolnić swój dom od zgnilizny. Adgemar chce się dogadać z naszym ludem. Potrzebuje ludzi, a my wysłuchamy jego słów. Mamy dość mężczyzn, by mścić się na swoich wrogach, żywić swoje kobiety i utrzymać swój ród. Dzieci Kozła powitają wiosnę, ale nie zobaczą lata.

Rozdział 6

Sagranna i Kageta

„Le Dix des Épées” [158]

1

To była bajka – przejrzyste głębiny jeziora, czarne przybrzeżne skały, szmaragdowa zieleń górskich jodeł, śnieżne szczyty zakrywające horyzont. Słynne Siedem Oczu Sagranny, siedem jezior dających początek pięciu głównym rzekom Kagety. Pan Chablis włożył niemało sił, wbijając w unarskie łby geograficzne mądrości, ale za to teraz Dick mógł opowiedzieć wszystkim i każdemu, że właściwie byłoby podzielić system jezior na dwa. Pierwszy składa się z pięciu jezior, drugi – z dwóch. Największe jezioro, Czarne Oko, wchłania mnóstwo górskich strumyków i rzeczułek, ale wypływają z niego tylko cztery rwące potoki, z których każdy kończy się jeziorem. Te jeziora z kolei dają życie czterem rzekom, w tym Rouku, na brzegach której stoi stolica Kagety. Dwa inne jeziora, zwane Oczami Irbisa, utworzyły się na miejscu starych zawałisk, przegradzających nurty dwóch niewielkich rzek – Gairy i Biry.

–Oczy Irbisa są mniejsze od pozostałych jezior. – Er Roke polecił, by opowiedział wszystko, co Dick pamięta, a ten z gotowością przekazywał Weizlowi, celnikom i ponuremu Bakranowi wykute dane. – Lewe Oko ma długość około sześciu tysięcy beau, szerokość – dwa tysiące, a głębokość – trzysta. Prawe Oko jest płytsze, około dwieście beau, ale szersze. Oczy Sagranny nie tylko zaopatrują Kagetę w wodę, ale bronią jej też od zgubnych powodzi, wchłaniając w siebie wody z topniejących śniegów i wody deszczowe.

–Ten wasz Chablis to sensowny człowiek. – Roke, bawiąc się rękawiczkami, wpatrywał się w szmaragdową toń. – Miał pan szczęście, młodzieńcze. Kiedy ja byłem w Laik, owych nauk nauczał absolutny idiota. Kurt, jest pan pewien, że jedna sztolnia i cztery pomocnicze wystarczą?

–Nie jestem niczego pewien, a najmniej tego, co pan zamyślił, zwłaszcza teraz. Adgemar jest rozbity i uciekł. Najwyższy czas przystąpić do pertraktacji i zażądać...

–Czego zażądać, Kurt? Żeby Biriezyjczycy wynieśli się z Warasty? A co mają nasi siwi przyjaciele do nie mniej siwego Lisa? Zapewniam pana, że kazar wyprze się wszystkiego. Nic nie wie, jest absolutnie niewinny, Biriezyjczycy sami wpadli na ten pomysł, robią co chcą, a jako dowód ich samodzielności wykonają pod naszym nosem dziesięć-dwadzieścia nowych napadów... Zaraz! – Roke uniósł dłoń,

osłaniając nią oczy przed słońcem. – Wygląda na to, że Wielki Bakra postanowił wtrącić się do naszej dyskusji. W górach mamy burzę, i to potężną.

Kruk miał rację. Słońce nadal świeciło nad szmaragdową tonią, ale szczyty gór zniknęły w ołowianych chmurach. Roke przeciągnął się z gracją i podszedł do krawędzi urwiska.

–Co mówił nasz niezrównany Chablis o tutejszych burzach?

–Na początku jesieni są szczególnie silne – posłusznie zameldował Dick, który najchętniej poszukałby jakiegoś schronienia. – Trwają krótko i z reguły towarzyszą im bardzo silne wiatry, a na ziemię spada wielka ilość wody. W gęsto zaludnionych okolicach mogłoby to mieć smutne konsekwencje. Burzom często towarzyszą lawiny oraz tak zwane siele, czyli lawiny błotne, poza tym spełzanie piargów i niszczące, choć krótkotrwałe powodzie, w czasie których rzeki toczą wielkie i małe kamienie, pnie drzew i gałęzie połamane przez wiatr. Er Roke, może odejdziemy od brzegu?

–Czyżby nie chciał pan, młodzieńcze, osobiście zobaczyć, jak Oko Irbisa „wchłania w siebie wody z topniejących śniegów i wody deszczowe”? Pan Chablis byłby zachwycony.

Dick nie był zachwycony. Przeciwnie – bał się i wstydził swojego strachu. Richard od dzieciństwa bał się burz, ale przecież nie mógł się do tego przyznać Alvie, i to przy aduanach i bakrańskich dzikusach. Co do Kruka, to ten wyraźnie rozkoszował się zbliżającą niepogodą. Klębiąca się mgła nadlatywała nieodwracalnie, słyhać było głuche, ochryple odgłosy gromu. Książę odwrócił się do Weizla i jakby nigdy nic kontynuował rozpoczętą rozmowę:

–Pan, Kurt, ma całkowitą rację, kiedy mówi, że nasze sześć tysięcy w tym kraju – mniej niż nic. Dlatego Lisa należy schwytać tak, żeby się nie mógł wywinąć. Jeśli ma pan inne pomysły – czekam, płonąc z niecierpliwości.

–A niech pana Leworęki, Roke, nie mam żadnych pomysłów, ale wedle wszelkich reguł powinniśmy mu posłać ultimatum. Po Irbisim Wąwozie i Daramie nikt już nie pomyśli, że żartujemy.

–Ma pan wielkie serce, generale – pokręcił głową Alva – i wyląduje pan w raju wśród bladych róż i aniołków, ale najpierw – potop, ultimatum – potem. Niech Adgemar z kompanami zrozumieją, że mamy w nosie wszystkie smarki i łyzy tego świata. Wtedy kazar przepelźnie do nas na kolanach, żeby go jego ludzie nie rozszarpali.

–Roke, niech się pan opamięta! Tam są nie tylko żołnierze, tam...

–Właśnie – przerwał mu Roke. – Tam są kobiety, dzieci, konie, ranni, jeńcy. Wszystko to prawda. Oduczyć brania zakładników można tylko jednym sposobem –

nie szczeni tych, którym się nie powiodło. A oduczyć Lisa wykręcania się i kantowania można tylko zabijając bez uprzedzenia!

–Monsinior – wtrącił się Klaus – nie czas nam zajmować się zabawami w czystych rękawiczkach. Pan general – człowiek bogobojaźliwy, a my byle siwulców mogli, żaba ich słowika, raz i na zawsze wywalić stąd, czyli niech się wszystko pali Płomieniem Zmierzchu. Bo my wiemy, co do czego!

–Słusznie mówi – skinął głową Jean. – Niech dostaną za przeszłość i na przyszłość. A jeńcy, cóż... Nie mieli szczęścia. Jakby mnie złapali, to bym się do Stwórcy modlił, żeby siwulców zmyło razem ze mną.

Richard dopiero teraz zrozumiał, co zamyślił Kruk. Wysadzić w powietrze skalne osypisko, żeby wody jeziora spłynęły w dolinę Biry! Oszołomiony młodzieniec patrzył na swojego era. Rozstrzelanie Oskara i egzekucja jeńców ostatecznie przekonały Dicka, że Roke jest zdolny do wszystkiego, ale po Irbisich Wrotach i Daramie młodzieniec zaczął zachwycać się swoim erem. W ogniu bitwy przez głowę Dicka przemknęła myśl, że Kruk nie jest może takim złym człowiekiem, po prostu jest graczem i najważniejsza dla niego jest zawsze wygrana, nieważne z kim ani za jaką cenę. Jeśli się z nim porozmawia, to może zrozumie, że służy złej sprawie i postara się naprawić zło, jakie kiedyś wyrządził. Święty Alanie, jakże naiwnym trzeba było być, by wymyślić coś takiego! Alva nigdy i nikogo nie żałował i nie pożałuje, dla niego nie istnieją prawa i zakazy! A dzikusy i celnicy się radują. Czerń jest okrutna, bo brakuje jej wyobraźni, kto to powiedział?

–O co chodzi, młodzieńcze?

–Ja...

–Pan nie kocha topielców i rozumiem pana. Przy okazji, pański mentor nie opowiadał o miejscowym ludojadzie?

–Nie – odparł Dick, oczekując jakiejś pułapki.

–Szkoda. Weizel, jest pan pewien, że pańscy ludzie nie uciekli?

–Wykluczone, monsinior – wtrącił się Klaus. – Coś wciągnęło ich do wody. Lowo się to nie podobało.

–Podzielam jego uczucia, ale ludojada będziemy chwyтали później. O ile oczywiście się nie utopi. Kurt, proszą przygotować wszystko do wysadzenia. Skoro pan nie jest w stanie zapalić lontu, to ja to uczynię. Nie mam co robić w raj, a pan się uratuje.

Generał wbił oburzone spojrzenie w marszałka, ale w pojedynku na spojrzenia Kruk okazał się lepszy. Weizel spuścił wzrok, chciał coś odpowiedzieć, ale tylko machnął

ręką i szybko pomaszerował wzdłuż brzegu. Roke odwrócił się do jeziora, z zainteresowaniem obserwując nadejście szkwału. Mętny, szalony potok, tak niepodobny do porannej łagodnej rzeczki, niósł do jeziora piasek, żwir, połamane gałęzie. Wody przybywało błyskawicznie, zakrywała już przybrzeżne głązy, szmaragdowe zwierciadło rozbiło się, pofalowało mętnymi, burymi falami, a Roke Alva stał na samym brzegu przepaści. Dick poczuł przerażenie na myśl, że może w tej chwili skończyć z przekleństwem Taligoi. Kimkolwiek Kruk jest, upadku z takiej wysokości nie przeżyje. Jak łatwo uratować setki niewinnych istnień. Jedno pchnięcie – i koniec.

Roke odwrócił się do giermka.

–Oto jest, ów górski potwór. W całej krasie. Rzeczywiście, robi wrażenie. Proszę podejść bliżej, bez obawy. Sama burza do nas nie doszła, to tylko woda.

Słowa marszałka utonęły w narastającym ryku. Na przeciwległym brzegu jeziora w oczach narastał czarny połyskujący wał. Oto dotarł do ujścia rzeczutki, na chwilę znieruchomiał jak zwierz przed skokiem i runął w zburzone jezioro. Fale odbiły się od brzegu, cofnęły i znowu rzuciły się na skały. To był tylko początek, za pierwszym walem nadszedł drugi, trzeci, czwarty. Jezioro oszalało, wodne góry waliły w brzegi, na dole rozlegało się bulgotanie jak w potwornej wielkości kotle, a niebo pozostawało jasne, wysokie i obojętne.

Gdy Dick odezwał wzrok od rozszalałego żywiołu, Alvy już obok nie było. Bakran i celnicy także zniknęli, Dick był sam, jeśli nie liczyć szarpiących się na uwięzi koni.

Jezioro ryczało i tłukło się niczym żywa istota. Skalne echo raz po razie odbijało ryk górskiego potwora, ale, dziwna sprawa, przez burzę dźwięków uporczywie przebijała melodia, ta sama, którą Roke śpiewał po nocy w bakrańskiej wsi. Tym razem śpiewały ją kamienie, kamienie przepelnione gniewem, wściekłością, chęcią oderwania się od swojego leża i rzucenia się przed siebie, by zmiatać i kruszyć wszystko napotkane na drodze. To było przerażające i... piękne! Dick też chciał zerwać się i biec, rozpląnąć się w biegu, stać się ruchem, siłą, przepelnioną szaloną radością, płynącą ze świadomości własnej potęgi.

Ręka młodzieńca wczepiła się w twardą grzywę. Dick wskoczył w siodło i w tej samej chwili, z lewej i z prawej, rzuciła się ku niebiosom czarnofioletowa chmura. Głuchy huk zagłuszył ryk rozszalałego jeziora, pieśń kamieni na chwilę się urwała i rozległa ponownie, jeszcze silniejsza, jeszcze bardziej szalona. Teraz tłukła się w niej dzika nieokiełznana radość, radość, która ogarnęła i Dicka. Młodzieniec, sam nie wiedząc, co robi, wbił ostrogi w boki Sony, i klacz niczym strzała pomknęła po wąskiej ścieżce, kończącej się na szczycie przypominającej wieprza skały, gdzie wypływająca z jeziora rzeka gwałtownie skręcała, omijając kamiennego potwora. Sona, drżąc, zatrzymała się na skraju przepaści. Dick popatrzył w dół i wszystko zrozumiał –

Weizel znał się wybornie na swojej robocie, a Roke nie był z tych, co ustępują. Stojąca od tysiącleci tama zatrzymałaby rozszalałą wodę, ale z prochem kamień przegrywa, w starym osypisku utworzył się wyłom, woda z rykiem rzuciła się w dół po wąwozie, ale wpadła na nową przegrodę. Wybuch poruszył plamistą skałę zwisającą nad nurtem rzeki i odłamki zasypały wąwóz, zamykając drogę rozszalałemu strumieniowi.

Richard Ockdell spazmatycznie ścisnął wodze, szaleństwo odeszło, spadł nań dziki, pętający ręce i nogi strach. Młodzieniec nie mógł oderwać oczu od wyschniętego koryta i sterczącej nad osypiskiem ogromnej czarnej ściany. Wiekowy sosnowy las u ujścia Biry był zmięty i złamany jak trzcina, w której harcowało stado dzików, a oszaląła rzeka dorzucała na wal wciąż nowe głazy i pnie drzew.

Wał narastał, z góry napierały wciąż nowe masy wody i błota i zator nie wytrzymał. Lawina kamieni i błota, wzbierając mocą, runęła w dół. Teraz siel szalał na dole, pod samymi stopami Richarda, koryta zalała masa przypominająca roztwór, którym murarze spajają poszczególne kamienie. Na szczęście rozpadlina była wystarczająco głęboka, a jej ściany – trwałe.

Siel spływał obok. Ożywione kamienie milczały jak przestraszone byki, strumień doganiał je, na chwilę zamierał, jego poziom wznosił się, przesuwając przegrodę albo przeskakując ponad nią, pędził dalej, a z ryczącej czarnej ściany wyskakiwały inne kamienie-byki, żeby z kolei błoto i je dogoniło. Zbudzony przez Kruka górski potwór, przybierając na sile, pędził w dół, a na dole żyli ludzie. Wprawdzie wrogowie, dzikusy, poganie, ale żyli. Irbisie Oczy skutecznie chroniły ich przed nieszczęściem – ci, co osiedlali się wzdłuż prądu Biry, nie bali się swojej rzeki, a ta ich zdradziła.

Lullak i Milża setny raz przywoływali przekleństwa na głowę Alvy, Adgemara, kazaronskich durniów, którzy zdołali podeptać sami siebie, i uciekających yzargów z Gaify. Rober Epineix starał się nie słuchać, ale mimo jego woli do umysłu rozżarzonymi szpilami wpijało się...

–Gdyby te kapłony nie rzuciły się po złoto...

–Gdyby Gaifianie umieli strzelać...

–Gdyby twój wuj...

Gdyby, gdyby, gdyby!... Na Stwory Zmierzchu! Gdyby Alva nie był najlepszym dowódcą Żółtych Ziem, gdyby Lis nie wymyślił, że z jego pomocą zmniejszy ilość kazaronów, gdyby Biriezyjczycy rozumieli, że piechota, kawaleria i artyleria powinny stanowić jedność... No, ale co teraz machać rękami! Najważniejsze to dowiedzieć się, co robi Alva.

Adgemar obawiał się pościgu, a Lullak twierdził, że pogoni nie będzie, i miał rację. Im dalej wniknie armia Taligu w głąb Kagety, tym łatwiej będzie sobie z nią poradzić. Trzeba unikać bitew, urządzać nocne wypadu, wykorzystując znane tylko miejscowym ścieżki, i posłać po wsparcie do Gaify. Za miesiąc, może za dwa, zaczną się mrozy, przełęcz staną się niedostępne i Roke znajdzie się w pułapce, właściwie – znalazłby się, ponieważ ten ani myślał pędzić za wycofującym się wrogiem. Kruk nie mógł nie pojąć tego, co było oczywiste dla bratanka kazara i przyszłego marszałka przy przyszłym królu, choć nie wyglądało, by Aldo zbliżył się do korony.

Rozległo się znajome postukiwanie i na stole przed samym nosem Robera pojawił się Clement. Zazwyczaj takie pojawienie się oznaczało żądanie jedzenia, ale tym razem szczur był raczej zjeżony. Epineix sięgnął po placek, ale Clement kompletnie zignorował przysmak. Taligojczyk odwrócił się do okna, ale Jego Szczurowatość nie miał zamiaru ustępować – podbiegał do pana, chwycił zębami i „włókł” do drzwi, sycząc przy tym ze złością.

–Nie chcesz, to nie – burknął Rober i wyszedł, omal nie uderzywszy głową o futrynę. Dom, w którym zostali ulokowani, uważany był za duży i zamożny, ale w oczach Taligojczyka był i pozostał szopą.

Kiedy Rober przecinał wewnętrzne podwórko, zwariowana niewolnica wypełzła ze swojej nory i zaczęła krzyczeć. Epineix przyspieszył kroku – bał się staruchy, chociaż możliwe, że nie była wcale staruchą. Rober nie miał pojęcia ile szalona ma lat – trzydzieści czy sześćdziesiąt. Wysuszona, z niewyobrażalnym kołtunem na głowie, odziana w łachmany, wspinała się na dach swojej chatki i siedziała, objawszy rękami

kolana, i skowyczała cicho. Litość wymagała by ją zabić, ale nie pozostawało nic innego, jak przechodzić obok, udając, że wszystko w porządku.

Szaleni niewolnicy w tych okolicach wycenieni byli wyżej niż dziewice i silni, zdrowi mężczyźni. Szaleniec na łańcuchu odstrasza od domu Zło. Ta kobieta krzyczała i wyła nie dlatego, że źle ją traktowano – nikt nie wiedział, gdzie błądzi jej duch. Z niektórych słyszanych przez Epineixa słów wynikało, że ma przed sobą Taligojkę, ale czy zwariowała w czasie najazdu, czy była taka od urodzenia, nie wiedział.

We wsi było kilkuset niewolników i niewolnic. Inochodziec starał się omijać ich możliwie dużym łukiem i nie otwierać przy nich ust. Nic dla jeńców zrobić nie mógł, w każdym razie nie teraz. A czy będzie mógł potem? Epineix miał nadzieję, że tak, porozmawia z Goganami – niech Taligojczycy wrócą do domów, wiedząc, że wolność zawdzięczają Aldo Rakanowi. Enniol powinien zrobić dla nich przynajmniej tyle, przecież wielu dostało się do niewoli z jego winy. Zresztą Biriezyjczycy porywali ludzi i łupili taligojskie i gaifiańskie karawany również wcześniej, po prostu tym zajmowali się młodzi mężczyźni, dla których rozbój był okazją do wykazania się odwagą przed starcami, i zbierali tym sposobem pieniądze na ożenek i dom. Szalona kobieta żyła w tej wsi siedem lat. Kiedy przywieziono ją i uwiązano na łańcuchu, Enniol nie myślał nawet o Aldo, a sam Inochodziec dopiero zamierzał przyłączyć się do powstania Egmonta. Za to, co się stało z kobietą, nie ponoszą odpowiedzialności, ale to wcale nie przynosiło ulgi.

Jak zawsze, kiedy robiło mu się smutno, Rober poszedł do koni pasących się na obszernej łące na brzegu Biry. Pilnowało ich kilku młodzieńców, którzy dopiero mieli posiwieć. Na przeciwległym brzegu płonęły ogniska, tam był obóz Adgemara. Rano Rober miał iść do kazara, ale teraz nie chciało mu się myśleć o Lisie. Taligojczyk wolno ruszył wzdłuż brzegu. W górach padały deszcze, rozbrykana Bira wesoło płaśała między kamieniami, co rusz pryskając na Epineixa zimnymi bryzgami, ale przy tutejszym upale było to przyjemne.

Noc była piękna – lśniły gwiazdy, wiaterek poruszał gałęziami wysokich wiązów, donosząc zapach piołunu i miodu, a nad odległymi wzgórzami wisiał niemal pełny księżyc. Wkrótce kolejna święta noc i Mellit wymknie się z domu, żeby zobaczyć swojego księcia. Epineix miał nadzieję, że Aldo jest dostatecznie szlachetnym człowiekiem, by nie nadużyć uczuć dziewczyny, ale Goganni była piękna, zbyt piękna... Żeby tylko księżę jej nie skrzywdził!

Od myśli o Mellit Robera oderwało niespokojnie rzenie, do którego dołączyło szczekanie psów. Konie, nie zwracając uwagi na młodych Biriezyjczyków, stłoczyły się na środku łąki. Wyraźnie były bardzo zaniepokojone. Roke? Wątpliwe.

Epineix od dziecka miał do czynienia z końmi, wydawało mu się, że je dobrze rozumie, ale teraz Inochodziec nie wiedział, o co chodzi. Bojowe rumaki coś

wystraszyło i nie był to obcy czy drapieżnik. W młodości Rober ratował kilka razy siebie i ojcowski tabun ze stepowego pożaru, przed tamtym nieszczęściem konie zachowywały się podobnie. I pies wyje.

–Czy gość rozumie, co oni chcą? – Młody Biriezyjczyk był zaniepokojony.

–Nie – pokręcił głową Rober – ale coś jest nie tak.

Bo coś naprawdę było nie tak. Clement niespokojny, konie i psy też.

Niech konie będą blisko jeźdźców. Rober chwycił za grzywę podarowanego przez Lullaka bułanka i wskoczył na jego grzbiet. Shad Drugi zatańczył, usiłując ruszyć cwałem, i poskromienie go kosztowało Epineixa sporo trudu. Shad z wyrzutem popatrzył na pana i płynnym galopem ruszył do wsi, skąd rozlegało się nieustające psie wycie. Wyciem i stukotem kopyt wypełniła się cała noc. Na Stwory Zmierzchu, oto przyczyna! Chodzi o Birę, a właściwie o to, że zamilkła. Epineix wsłuchał się – no tak, rzeczka wyschła. Na wszelki wypadek Inochodziec podjechał pod sam brzeg. Księżycowe światło odbijało się od mokrych kamieni, gdzieś tam błyszcząły większe i mniejsze kałuże – i to wszystko!

Dobrze, że konie zostały napojone, bo tu nie kopie się studni, ale co się mogło stać z rzeką? Pewnie, Bira to nie Danar i nie Rassanna, ale żeby tak w jednej chwili wyschła? Rober patrzył jeszcze chwilę na kamieniste koryto, wsłuchując się w narastające wycie. Psy wyją, gdy ma ktoś umrzeć. Zły omen, jeden z najgorszych...

Od przyszłych trosk oderwał Taligojczyka Clement, który odszukał pana. Jego Szczurowatość był bardzo niezadowolony, szczyrzył zęby i głośno piszczał. Rober wychylił się z grzbietu Shada, podniósł przyjaciela i skierował wierzchowca do domu Milży. Clement umilkł, Epineix odetchnął z ulgą, jak się okazało, przedwcześnie. Wystarczyło, by Taligojczyk zeskoczył na ziemię, jak Jego Szczurowatość capnęła pana za ucho. Inochodziec wysyczał imię Leworękiego i strącił bezczelnego druha. Szczur pomknął do drzwi, stanął na tylnych łapach, oparł się przednimi o byle jak zheblowane drewno i rozwrzeszczał się.

–Sił-sił-siła, kotka szczura zadusiła – bardzo wyraźnie powiedziała wariatka, o której Epineix kompletnie zapomniał.

Kobieta roześmiała się. Rober mocno trącił drzwi – Milża i Lullak jeszcze się spierali, na stole płonął świeca i leżały placki.

–Musimy uciekać.

Rober sam nie wiedział, skąd ma tę pewność.

–Kruk? – wychylił się w jego stronę Lullak.

–Raczej nie, ale konie i psy są zaniepokojone... Bira zniknęła. Coś się stanie.

–Bira? Niemożliwe!

–Możliwe. – Epineix chwycił wczepionego w but Clementa. – Zwierzęta wyczuwają to lepiej niż my, nie możemy tu zostać. Kazałem pastuchom wrócić do wsi.

–Dokąd uciekniemy? – wzruszył ramionami Milża. – Obawiasz się, że zabraknie nam wody? Czy boisz się Zła? Ale ziemia, na której stoi Tekka, jest broniona. Może Zło chce, byśmy wyszli poza granicę wsi, wtedy będziemy w jego władzy. Musimy poczekać do świtu.

–Nie!

–Na Stwory Zmierzchu, skąd ta pewność?!

–Jeśli zostaniemy tutaj, nie dożyjemy do świtu. Clement to wie, konie to wiedzą, i ta kobieta na podwórku...

–Co powiedziała ochraniająca? – zaniepokoił się Milża.

Powiedziała coś o kotce i szczurze, ale co to ma za znaczenie.

–Powiedziała, że ci, co nie odejdą teraz, nie odejdą nigdy. Budźcie ludzi i wyprowadzajcie, a ja pędzę uprzedzić Adgemara.

–Dobrze, udamy się do Lakki.

–Nie. Trzeba odejść od rzeki. – Skąd on to wie, skąd?! – Po lewej mamy wzgórze, trzeba tam.

Lullak coś odpowiedział, ale Rober nie zrozumiał. Chwyciwszy Clementa, wyskoczył do ryjącego ziemię kopytem Shada. Szczur wrzeszczał, póki Epineix siodłał wierzchowca, jego wrzaski przeplatały się z nieustającym wyciem psów, a obok śmiała się i dzwoniła swoim łańcuchem szalona kobieta.

–Kicia szczura zadusiła, siła-siła, siła-siał... – Rober wskoczył na siodło, a ogier, nie czekając na polecenia, runął ku rzece, przeskoczył wyschnięte koryto i pomknął dalej, ku rudym postrzępionym ogniskom. Chwałą Stwórcy, Adgemar był tchórzem. Chwałą Stwórcy, uciekinierzy z daramskiego obozu prawie nie mieli żadnego dobytku. Chwałą Stwórcy, uwierzyli mu. Biały Lis zdecydowanie odmówił wysłania ludzi do Tekki, ale sam przygotował się chyżo. Purpurowi siodłali wystraszone konie, zwijali nieliczne namioty, zadeptywali ogniska.

Jeśli noc minie i nic się nie wydarzy, to jego uwiążą na łańcuchu, ale to lepsze niż

tępo czekać na nieszczęście. Wszyscy siedzieli już w siodłach, gdy w oddali dał się słyszeć głuchy huk. Adgemar pierwszy dał ostrogi swojemu inochodźcowi, za nim ruszyli pozostali. Huk narastał, oszalałe konie pognały przed siebie, nie wybierając drogi. Za nimi było nieszczęście – niepojęte, nieodwracalne, piorunujące. Jeźdźcy wpadli na wzgórze, zbocza były wysokie, na szczyty prowadziło nie tak znowu wiele ścieżek, ale zdążyli. Stojąc na szczycie Rober z przerażeniem patrzył, jak w dolinę runęła potworna czarna fala.

Richard oddałby pół życia, żeby obudzić się i zobaczyć przejrzystą zieloną wodę, czule pieszczącą senne skały, wiekowe jodły na zboczach, złociste przybrzeżne trzciniowiska, ale niczego takiego nie było i nie mogło być. Irbisie Oko zniknęło z powierzchni ziemi raz na zawsze. Ciągle jeszcze mętna, ale spokojnie wyrażnie Bira toczyła swój nurt między śliskimi kamieniami w kierunku wylomu i postrzępionym wodospadem spadała w zrujnowaną dolinę.

Młodzieniec szedł wzdłuż zwałów mokrych, brudnych kamieni. Kamienie milczały, jak to czyniły od wieków. Wczorajszy szalony zryw wydawał się snem, i to snem haniebnym, z tych, których się nikomu nie opowiada, a może snem było podsychające na upalnym przedjesiennym słońcu błoto. Gdzieś w labiryncie skalnych odłamków uwijali się celnicy, których miał znaleźć i przyprowadzić do Kruka.

Poszukiwania wyglądały na beznadziejne, ale pomógł mu Lowo. Pies wyskoczył na spotkanie Richarda zza bujnej od umierających wodorostów skały. Jego pan też tam był. Klaus i Jean stali nad martwym zwierzęciem, bardzo przypominającym rzeczną wydrę, tyle że ta wydra była długa na osiem beu, a jej pysk zdobily potworne kły. Zwierzę miało złamany grzbiet, a wspaniałe furto zachlapane było wstrętnym szarym błotem. Jean odwrócił się, słysząc szczekanie, i powitał Dicka uśmiechem ludojada.

–Oto jest, jeziorny potwór. Dla takiego przegryźć człowieka to na raz, a futro dobre.

–Wzywa was monsignore – wykrztusił Richard.

–Już teraz?

–No... Powiedział, że jak was znajdę.

–Dickon, bądź przyjacielem – dziś familiarność Jeana była szczególnie nieprzyjemna, ale prostak był generałem, a księżę Ockdell tylko giermkim – przekaz monsiniorowi, że my migiem. Rozumiesz, to samica i to z mlekiem. Trzeba kociąt poszukać, jeśli są żywe, to bezcenne, a jak zdechłe – po co ma się marnować futro!

–Przekażę – obiecał Dicka.

Proszę, myślą po futrach, a nie o zabitym jeziorze i nie o ludziach, którzy zginęli. Plebejusz nawet z generalską szarfą jest plebejuszem. I saperzy Weizla zadowoleni – pewnie, Roke obiecał nagrody dla wszystkich, a Bakrani to już niemal tańczą. Słusznie Biriezyjczycy uważają ich za bydło, tylko bydło może się radować i śpiewać, kiedy tylu ludzi zginęło straszliwą śmiercią.

Richardowi wcale nie chciało się wracać do Kruka, ale kto go kiedykolwiek pytał, czego on chce? Wysiano go do Laik, zmuszono, by został w Ollarii, oddano zabójcy ojca... Znaczący, niezupełnie oddano, po prostu porzucono na łaskę losu, a Roke go podniósł. Na złość conseillerowi i wszystkim Ludziom Honoru. Dick westchnął, czując obrzydzenie do samego siebie. Trzeba było odmówić, a on nie potrafił, w ogóle nic nie potrafi, tylko grzęźnie coraz głębiej i głębiej. Dobry mi Władca Skał, od którego nic nie zależy! Jest pustym miejscem i nikt temu, poza nim samym, nie jest winien. Można było zasłonić sobą Oskara, uciec do Biriezyjczyków, zepchnąć Roke ze skały, a on tylko wykonuje polecenia swojego era i milczy.

Gdyby Katari wiedziała, jakim jest zerem, nawet by z nim nie rozmawiała, ale widzi w nim syna Egmonta Ockdella, przywódcę Domu, Człowieka Honoru. Co on powie swojej królowej, gdy wróci? Ze pętał się swojemu erowi pod nogami? Ze się nim zachwycił? Stancler ma rację – Kruk nie ma ani sumienia, ani duszy, jest zabójcą i szaleńcem, ale zwycięża, jest urodziwy jak demon i jest ojcem wszystkich dzieci Katari.

Sona powitała Dicka radosnym rzeniem, Moro stał obok, zezując fioletowym okiem i ryjąc ziemię kopytem. Czyli Roke jest w pobliżu, ale gdzie? Młodzieniec podszedł do Sony i położył jej rękę na kłębie, szukając pociechy u jedynej bliskiej mu istoty. Najpierw Dick rozzłościł się na Alvę, który przesadził giermka na klacz, ale teraz był z tego powodu niezmiernie szczęśliwy. Sona, mimo że była na poły siostrą Moro, wyróżniała się opanowaniem, dobrym charakterem i w ogóle była mądra, piękna i była najlepszym koniem na świecie! Erowi Augustowi się nie spodobało, że Richard Ockdell wziął konia od Kruka, ale od konia na wojnie zależy życie jeźdźca. Conseiller nie jest żołnierzem, nie może więc tego zrozumieć, a Alva jest żołnierzem do szpiku kości. Dick przypomniał sobie swojego era, jak wyglądał na równinie Daram; gdyby Roke zawsze był taki, to...

Richard Ockdell urwał niebezpieczne myśli – nie zdradzi pamięci ojca, Taligo, Katari. Za dwa lata będzie zwolniony z przysięgi, a na razie musi czekać, nie zapominając, kto jest przyjacielem, a kto – wrogiem. Roke Alva jest wrogiem Taligo i wrogiem Ockdellów i z tym nic nie da się zrobić. Chłopak westchnął i ruszył na poszukiwania Proemperadora. Jakiś saper poinformował go, że monsignore jest przy wodospadzie z panem Weizlem, i Dick posłusznie powłókł się we wskazanym kierunku. Miner nie oszukał go – Roke rzeczywiście siedział na leżącym pniu, z uprzejmą uwagą patrząc na stojącego przed nim Weizla.

–Roke – głos artylerzysty brzmiał sucho jak wydobyty z drewnianego gardła. – Nie przyszło panu do głowy przejechać się w dół rzeki?

–Nie. – Roke spokojnie wytrzymał spojrzenie generała. – A co tam mamy? Jabłonie zakwitły?

–Tam jest to samo, co tu! Błoto, kamienie i nic żywego!

–Tak myślałem – ciągle z kamiennym spokojem odpowiedział Kruk. – Jaki sens ma patrzenie na to?

–To myśmy zrobili! To ja opowiedziałem panu o błotnych lawinach i ja założyłem ładunki!

–I wspaniale pan założył. – Roke podniósł się. – Kurt, proszę skończyć z tą histerią. Jeśli pan czeka, że rozszlocham się z panem i zacznę turlać po ziemi i wrzeszczeć, jaki to jestem podły, to rozczaruję pana. Zrobiłem to, co uważałem i uważam za słuszne. Co zaś do pańskiego sumienia, to proszę się z nim dogadywać szybciej. W końcu jest pan żołnierzem i wykonywał pan rozkazy. Kiedy wrócimy, może się pan przenieść do świątyni i walić głową o podłogę, ile się żywnie podoba, a teraz proszę szykować sztolnie do wybuchów.

–Roke!

–Każdemu swoje. Pan – zakłada miny, ja piszę ultimatum.

–Jakie ultimatum po tym, co pan wyczynił!

–Pan mnie nudzi, Kurt, a ultimatum jest bardzo proste. Jeśli Adgemar nie przyjmie naszych warunków, to Rawiatowi przydarzy się to samo, co dolinie Biry.

–To niemożliwe! Tam jest zupełnie inny grunt i...

–Właśnie – z zadowoleniem sapnął Kruk. – Mówiąc o robocie, błyskawicznie pan mądrzeje. Nie gorzej od pana widzę, że Smocze Oko nie tak łatwo jest wysadzić – no to co? Po tym, co zrobiliśmy z Irbisim, Kageci kupią każdą groźbę. Każdą! Co było do udowodnienia. Nawet gdyby Adgemar zrozumiał, że blefuję, to kazaroni nie pozwolą mu stanąć okoniem. Bo na miejscu biriezyjskich wsi będą widzieli swoje zamki.

–Dobrze – westchnął znużony sporem Weizel. – Nie mam siły się z panem sprzeczać, ale po co robić coś nadaremnie?

–Bo jak się gra znaczonymi kartami, to należy grać uczciwie. Sztolnie muszą być wykonane sumiennie, a nasi bakrańscy przyjaciele nie mogą wątpić, że w ich rękach jest życie i śmierć Kagety.

–Bakrani? A co oni mają do tego?

–To mają, że Płaskowyż Jezior należy do królestwa Bakrii, tak samo, jak Irbisi Wąwóz, przełęcz Okila i Garza i przedgórze Dargat. Niech „kozy” bodą „irbisów”,

to im się przyda. Siwulce hodowali sobie wrogów niemal od czasów Galtary i wyhodowali. Ta nienawiść obroni Warastę lepiej niż dziesięć twierdz, chociaż władzę Proemperadora rozdadam przedgórza naszym wspaniałym celnikom, a ich samych zrobię baronami. Tak na wszelki wypadek.

–Widzę, że nienadaremnie mówią, że jest pan potomkiem Leworękiego.

–Ja jednakowo władam obiema rękami – wzruszył ramionami Alva – a najmiłsi Adgemar, Stancler i Sylwester – w żaden sposób nie należą do mojego przeklętego rodu, choć grają wedle tych samych reguł. Czyli bez reguł! Wygrałem tę wojnę, a jakim sposobem – moja sprawa.

–Żal mi pana, Roke Alva – westchnął Weizel. – Teraz rzeczywiście pan zwyciężył, ale potem...

–Potem wszyscy umrzemy i dość o tym. Richardzie, może pan wyjść z krzaków, tak żywo interesująca pana rozmowa skończona. Gdzie nasi wspaniali celnicy?

–Znaleźli zdechłego zwierza... Tego, co ludzi pożerał, to samica...

–I poszli szukać szceniąt? Mądrze, bo jeśli ludojada się przyzwyczai, to można go karmić nieproszonymi gośćmi. Proszę iść, Kurt, i szykować sztolnie.

–Będzie, jak pan sobie życzy – pochylił głowę generał. – A kto zawiezie ultimatum?

–Albo Jean, albo Klaus. Kto, nie wiem, niech ciągną losy.

–Celnicy?!

–Właśnie. Nie będą się wdzięczyli do Białego Lisa i czerwienili się, wspominając moje zbrodnie. Kagetę należy chwycić za gardło, pan tego nie potrafi, a oni potrafią.

–Adgemar, jakimkolwiek by nie był człowiekiem – jest monarchą i ma prawo do naszego szacunku.

–Nie, nie ma – odparł Kruk. – Przegrał i rozumie to. Zapewniam pana – Kageci będą pełzali przed celnikami na brzuchach, chociaż... Możemy ich uszanować! Poselstwu będzie przewodził członek panującego domu Bakrii, a baron Shemantal będzie mu towarzyszył. Czas pokazać w Rawiacie kozie plemię. To w końcu sąsiedzi!

Róże jeszcze nie przekwitły, wciąż były piękne i dumne ze swojej urody, a Adgemar był tak samo szlachetny, tylko błogość na jego obliczu zastąpiła żaloba. Biały Lis opłakiwał zabitych, ale Rober Epineix w ten smutek kazara nie wierzył. Lis miał w nosie zabitych, i utopionych w dolinie Biry, jego zmartwienie jest inne – jak utrzymać zachwianą władzę. Epineix patrzył na smutnego siwego urodziwca, a przed oczami miał ogromny, wysmarowany biotem głaz, spod którego wystawał kawałek łańcucha i zmiażdżona kobieca noga. Lullak i Milża uciekli sami i wywieźli na swoich koniach dzieci i kobiety. Pewnie, że nie wszystkich. Wrócić po resztę już się nie dało. Roke rozbił armię Kagety, ale dobił ich siei, jakiego nigdy jeszcze w tym kraju nie było. Dolina Biry długo jeszcze nie odżyje, o ile w ogóle odżyje.

Taligojczyk starał się odpędzić od siebie natrętne widoki. Kiedy Adgemar zakończy swoje szloch, trzeba będzie przedostać się do Gogan i pożyczyć od nich pieniądze na drogę powrotną. On, Epineix, zrobił tu już wszystko, co mógł, wyżej pasa nie podskoczy, nawet przyroda jest po stronie Kruka... A przecież kiedyś w Taligoi wierzono, że Rakanowie są mili Kertianie i w pomoc im idą skały i fale, błyskawice i wiatry. No i właśnie pomogły! Miał rację Ernani, który odżegnał się od pogaństwa, ale jak mógł Stwórcę dopuścić do czegoś takiego?! Można karać silnych, ale dzieci, kobiety, zwierzęta nic nie są winne, albowiem są stworzone tak, jak zostały stworzone.

Biały Lis ciągle perorował o koszmarze i stratach, które dosięgły Kagetę. Gdyby Rober nie był na Daramie i nie zjechał rano do zrujnowanej wioski, słowa Adgemara wstrząsnęłyby nim, ale widział jedno i drugie, dlatego też nie chciał słuchać, nie chciał myśleć, nie chciał wspominać. Zrobiwszy wysiłek, Rober zaczął rozmyślać o elemencie. Jego Szczurowatości może się znudzić czekanie na pana i ruszy na spacer, a po Rawiacie biegają hordy głodnych psów i jeszcze głodniejszych kotów.

Żebraków też tu nie brak, ale Kageci, chwałą Stwórcy, szczurów wciąż jeszcze nie jedzą. Należało jednak zamknąć Clementa w skrzyni, choć mogło mu się to nie spodobać. Ale to nic – posyczałby i przestał, spryciarz rozumie, że nie ma co się oburzać, jak się nie jest słyszany. Chociaż taki Adgemar – gada i gada, i, może, coś ważnego.

–... byłem wstrząśnięty, przeczytawszy ten list, wstrząśnięty i załamany. Oto on, nie mam przed panem tajemnic, a poza tym ci, co przywieźli list, nie kryją jego treści. To jest kolejne poniżenie – przysłać do mnie dzikusa w skórkach, którego zmuszony jestem nazywać księciem, i prostaka, któremu Roke Alva władzą Proemperadora nadał tytuł barona.

A Stancler miał nadzieję, że Roke Alva przegra, a Proemperadora, który nie spełni

pokładanych w nim nadziei, czekać będzie egzekucja. Dlatego właśnie conseiller tak nalegał, by Roke otrzymał pełnomocnictwa. Należy sądzić, że Roke i Sylwester długo jeszcze będą się śmiali.

–Wasza Wysokość, chce pan, żebym przeczytał list od Roke Alvy?

–Tak. – Kazar wyciągnął rękę z papierem. – Oto on.

Pismo Kruka i jego osobistą pieczęć Epineix poznał od razu, nie było wątpliwości, że to nie jest podróbka, ale też nie mogła być prawdą jego treść:

Zgodnie z poleceniem Jego Wysokości króla Bakrii Bakny Pierwszego, ja, Roke książę Alva, ogłaszam warunki, po spełnieniu których królestwo Bakria zgadza się podpisać pokój z kagecką kazarią.

Bakria nalega na uznanie swoich praw do władania odwiecznie należącymi do Bakranów ziemiami po obu stronach świętej dla jego ludu góry Bakra, a także Płaskowyżem Jeziornym, Irbisim Wąwozem, przełęczami Okila i Garza, przedgórzem Dargat i ziemiami na przedgórzach aż do Orgi. Jego Wysokość Bakna Pierwszy żąda zerwania sojuszu między Kagetą i wrogimi Bakrii Agarią i Gaifą. Bakria gotowa jest podpisać traktat pokojowy nie wcześniej niż dwunastego i nie później niż dziewiętnastego dnia miesiąca Jesiennych Wiatrów, u południowego podnóża góry Bakra.

Jeśli warunki te nie będą przyjęte, Jego Wysokość ze smutkiem powiadamia, że będzie zmuszony wysadzić w powietrze brzeg jeziora Smocze Oko, tak jak wysadził w powietrze jedno z Irbisich Oczu, aby ukarać wrogich bakrańskiemu ludowi Biriezyjczyków, którym dzieci Wielkiego Bakry zawdzięczają niezliczone nieszczęścia, i przekonać wątpiących i niedowiarków o swojej twardości.

Czyli błotna lawina nie była przypadkiem? To robota Kruka, ponieważ bakrańskie kozopasy na pewno nie wiedzą, co to proch. Ale kim on jest, że może czynić takie zło?! O Alvie mówiło się, że jest szaleńcem, demonim nasieniem, katem, nikczemnikiem, ale te określenia są dla niego zbyt delikatne. Trzeba go zabić jak wściekłego psa... Łatwo powiedzieć, zabić, tego potwora broni sam Leworęki!

–Wasza Wysokość – Rober poczuł, że drżą mu dłonie. – Ja... to... jest niewyobrażalne!

–Nie wierzy pan w ich groźby!

–Wierzę! Na Stwory Zmierzchu! Wierzę! Od Kruka można oczekiwać wszystkiego. Jeśli to, co napisał o Birze, jest prawdą, to...

–Nie ma wątpliwości. Dlatego nie poszli za nami.

Po co on pyta. Przecież i tak wiadomo, że to prawda. Roke nie wlaźły z sześcioma tysiącami w paszczę irbisa, gdyby nie wiedział, że może uwiązać zwierza na łańcuchu. Po Birze już nikt nie ośmieli się go nie posłuchać.

–Wasza Wysokość, co pan zamierza zrobić?

–Muszę ratować swój naród – z uczuciem powiedział kazar – i dlatego nie poskapię niczego i nikogo. Gdyby za cenę mojego życia można było odsunąć niebezpieczeństwo od Kagety, to nie wahałbym się ani chwili, ale obowiązek wymaga, bym nie umierał, a żył i działał. Nie mogę dopuścić, by Rawiat spotkał ten sam los, co dolinę Biry. Roberze Epineix – przyjmę ultimatum. Pojadę do góry Bakry i będę poniżał się przed dzikusami i potworem, w którym nie ma już nic z człowieka.

Biały Lis miał rację, Bakrani byli dzikusami, a Kruk – nieczłowiekiem, ale Adgemar niedaleko od niego odszedł. Gdyby zmiecenie z powierzchni ziemi całego miasta było dla niego korzystne – zrobiłby to, nie wahając się.

–Wasza Wysokość, pańska ofiarność przynosi panu zaszczyt.

–O ileż łatwiej jest składać nam ofiarę z siebie niż z innych, ale władca nie może sobie na to pozwolić. Muszę zmusić Kruka, by opuścił Oczy Sagranny, albo przynajmniej wyprowadził stamtąd bakrańskich barbarzyńców. Niech tam zostanie generał Weizel ze swoimi ludźmi, to jest szanowany człowiek. A pana, Epineix, muszę prosić o przysługę, nie, więcej niż o przysługę...

Czego chce Lis? Żeby spotkał się z Weizlem, czy napisał do niego? Nadaremnie. Kurt zawsze był uczciwym i prostodusznym żołnierzem, właśnie dlatego Roke Alva go nie usłucha.

–Zamieniam się w słuch.

–Drogi przyjacielu – głos Adgemara drgnął – nie ryzykowałbym rozmowy z panem o tym... Jest pan moim gościem, dwukrotnie ratował mi pan życie, ale wiem, że znalazł pan przyjaciół również wśród moich poddanych i wśród Biriezyjczyków, i wiem, że nie chce pan, by dosięgnął ich los tych, których życie zabrał siei.

No, z tym nie da się polemizować. Bakrani nienawidzą Biriezyjczyków i nie sprawi im problemu spuszczenie drugiego jeziora, wtedy nie ocaleje nikt.

–Co mam zrobić?

–Ciężko mi się zwracać do pana z tą prośbą, proszę mi wierzyć, ale widzę tylko jedną możliwość odsunięcia zagrożenia – udowodnić swoją lojalność Taligowi. Niech Ferdynand Ollar i Najlepsi Ludzie dowiedzą się, że Kageta jest niewinna temu, co się wydarzyło w Waraście. W Ollarii muszą uwierzyć, że ja, a tym bardziej mój naród, nic

nie wiedzieliśmy o najazdach. Roberze, muszę znaleźć winnych i wydać ich Taligowi!

Czyli zapłacić głową Milży i jego wojowników? To do Lisa podobne. Biriezyjczycy, żeby obronić resztki swoich rodów, zgodzą się na wszystko. Piwa nawarzył Enniol, ale wypiją je inni, choć Goganin też nie jest winny – nie znał Kruka. Ale Stancler powinien był to przewidzieć!

–Czego pan oczekuje ode mnie?

–Po Daramie Milża mi nie ufa, ale pan jest jego przyjacielem. Proszę mu wytłumaczyć, że jedynym sposobem uratowania ocalałych i pozbycia się Bakranów jest przyznać się do winy, nie obciążając Kagety. Na generale Weizlu można polegać, on nie pozwoli Roke ukryć naszego gestu, wierzę w serca Najlepszych Ludzi Taligu.

Raczej wierzy w to, że Stancler zrobi wszystko, by zdyskredytować zwycięstwa Roke. To może i możliwe, ale conseiller potrzebuje na to czasu.

–Porozmawia pan z Milżą?

„Porozmawia”... Należy przyjść i wypalić: kochany, tak i tak, kazar chce wykupić się twoją głową i ma rację, innego wyjścia nie ma, mówię ci to jak przyjaciel. A Milża jest ostatnim wnukiem starego Križi i ciągle jeszcze nie jest żonaty.

–Rober, ja wiem dobrze, o co pana proszę.

Wie?! Na Stwory Zmierzchu, rozumie?! Człowiek, który nigdy nie miał ani przyjaciół, ani sumienia, ani honoru. Tylko korzyści i sojuszników, których zdradzał na prawo i na lewo.

–Wasza Wysokość, Milża i jego ludzie uratowali pana.

–Tak, ale nie uratowali Kagety. Ja nie cenię własnego życia, ale nie ja dokonałem najazdów na Warastę, a oni.

Lis nie ceni własnego życia?! Lis nie dokonywał najazdów na Warastę? Pewnie, sam nie mordował i nie palił, wydał tylko rozkaz.

–Owszem, posłałem Milżę, najlepszego z moich wodzów, i zrobiłem to z przyjaźni do brata mojego Aldo, którego marzyłem zobaczyć na tronie przodków.

Z przyjaźni?! Za gogańskie złoto, ale... Ale przyczyną był właśnie Aldo, więc jeśli być szczerym...

–Wasza Wysokość, mamy inne wyjście! Proszę oddać Krukowi mnie.

–Pana?! – Adgemar chwycił się za serce. – Nigdy. Pan jest moim gościem,

gościnnie jest u nas święta i dwukrotnie ratował mi pan życie.

–Milży jest pan zobowiązany co najmniej tak samo. W końcu wszystko zaczęło się w Agarisie. Proszę powiedzieć Krukowi, że w tajemnicy przeniknąłem do Kagety, bo tak zresztą było. Ze to ja przekupiłem biriezyjskich wodzów, imion których pan nie zna, ponieważ te klany panu nie służą, a potem wszyscy oni zginęli w błotnej lawinie. Pan dowiedział się o wszystkim, gdy było już za późno... Dowiedział się pan od Lullaka i Milży i przekazuje pan podżegacza, na dodatek będącego w Taligu wyjętym spod prawa, Pierwszemu Marszałkowi Taligu. W winę Milży Kruk może nie uwierzyć, ale mnie zna i Dorac mnie zna. Będą szczęśliwi, mogąc ściąć mi głowę na placu i oddać posiadłość Epineix „gnojzarzom”.

–Doceniam pańską szlachetność, Roberze, ale są granice, których Kaget nie przekroczy, jeśli nie chce, by nazwano go yzargiem. Gość jest święty. Dług życia – święty po dwakroć.

–Jestem gotów przed obliczem Stwórcy przysiąc, że nadużyłem zaufania gospodarza i błagam o możliwość odkupienia swojej winy. Wiem, że jeśli dwunastu kazaronów poświadczy moje słowa przed obrazem świątobliwej Kagii, to nikt nie ośmieli się powiedzieć, że to się nie wydarzyło. Aldo napiszę, że zmusiłem pana do wyrażenia zgody. On jest Człowiekiem Honoru, postąpiłby tak samo.

–Niechże oszczędzi cię Stwórca. – Głos Kageta drgnął, a w kącikach oczu pojawiły się prawdziwe łzy. Czyżby Epineix się mylił i Lis czasem pozwala sobie na bycie człowiekiem? A dlaczego nie? Lullak jest bratankiem Adgemara, przecież krewni muszą mieć coś wspólnego.

–Wasza Wysokość, proszę kazać podać pióro i papier i poprosić kazaronów, by się zbrali.

–Ty... Ty chcesz, żeby to się odbyło od razu?

–Im prędzej, tym lepiej. Tylko... Mogę prosić Waszą Wysokość o jedną przysługę?

–Dla mnie każda twoja prośba jest święta.

–Milża nie może dowiedzieć się o tej naszej rozmowie, w ogóle nie powinien nic wiedzieć!

–Klnę się na Stwórcę, nie dowie się, chociaż wolałbym...

–Wasza Wysokość, obiecał pan!

–Niech tak będzie. – Adgemar podniósł się z wysiłkiem; chyba naprawdę był zmieszany.

Czyli to oni błędzili i mylili się, a kazar motał, kręcił i zdradzał nie dla siebie, a dla Kagety? Na swój sposób miał rację – kazaroni rzeczywiście ciągnęli Kagetę do tyłu. A Ludzie Honoru? Czym oni są dla Taligu – skrzydłami czy kowadłami u stóp?

Inochodziec odprowadził wzrokiem postawną postać w purpurowych szatach, przeniósł spojrzenie na róże, a potem dalej, gdzie widniało miasto. Jeszcze dziś rano Epineix przeklinał Rawiat na czym świat stoi, a teraz stolica Kagety wyglądała w jego oczach niemal pięknie. W każdym razie nie powinna zmienić się w stertę oblepionych łem ruin. Kiedyś może w tym kraju będzie się żyło lepiej, a nawet jeśli nie będzie... Błoto, bójki i biedota nie są powodem, by zmiatać miasto z powierzchni ziemi, i w ogóle – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdyby on zamknął Clementa, to zginąłby, a tak lego Szczurowatość wykaraska się z tego zamieszania żywy, znajdzie sobie koleżankę, założy rodzinę...

Przyszedł służący, z pokłonem rozłożył na marmurowym stole kałamarz, naczynie z piaskiem i arkusze czerpanego papieru i odszedł. Rober wziął pierwszy arkusz i umoczył pióro w inkauscie. Pisał, nie zastanawiając się, jak żył:

Aldo, przegraliśmy wojnę, i to dwukrotnie. Kruk rozbił Adgemara, chociaż armia tego ostatniego dwudziestokrotnie przewyższała liczebnością wojsko Alvy. Niestety, Kageci, w odróżnieniu od Alvy, nie potrafili zsynchronizować działań piechoty, artylerii i kawalerii i straszliwie przecenili swoje siły, za co zapłacili, ale nie to jest najgorsze. Nazywaliśmy Kruka nasieniem demona i on naprawdę człowiekiem nie jest. Zajął mianowicie Jeziorny Płaskowyż i wysadził skały w miejscu, w którym wypływa rzeka Bira. Strumień wody, błota i kamieni pomknął doliną rzeki, zmiatając na swojej drodze wszystko. Zginęli wszyscy – dzieci, kobiety, ranni, taligojscy niewolnicy, choć – jeśli mam być szczery – śmierć jest lepsza od tego żywota, jaki tam pędzili.

Teraz Alva grozi, że zrobi to samo z doliną, w której leży Rawiat, i może te groźby spełnić. Pomocnicy Kruka warci są swego pana: opiera się na górskim plemieniu, w swoim czasie wypchniętym z rodzinnych ziem, i na warastańskich ochotnikach, którzy gotowi są zniszczyć całą Kagetę. Nie mogę do tego dopuścić. Jedyne sposob, by zmusić Roke do odejścia, to udowodnić, nawet nie jemu, a jego generałom i towarzyszącemu mu biskupowi Warasty, że Kageta nie jest winna napaści na Talig. Przyjmuję winę na siebie i oświadczę przed dwunastoma kazaronami, że Adgemar o niczym nie wiedział. Powiem, że przekupiłem biriezyjskich wodzów, którzy zginęli w błotnej lawinie, i wydadzą mnie Taligowi. Innej możliwości ratowania ludzi, dla których przyczyną nieszczęść była nasza krótkowzroczność – nie widzę.

Oto wszystko, co chciałem powiedzieć. Przekaż wyrazy szacunku księżnej Matyldzie i, jeśli jednak zostaniesz królem Taligoi, oddaj Epineix godnemu człowiekowi. Nie chcę, by Władcą Błyskawic został Albin. I jeszcze jedno – dowiedziałem się od człowieka, któremu można ufać, że twoje życie jest

nierozzerwalnie związane z życiem tej, którą odprowadzałeś do domu w nocy przed moim wyjazdem. Strzeż jej.

Twój wierny przyjaciel i wasal, który jednak marszałkiem nie został...

Epineix właśnie posypywał list piaskiem, gdy na tarasie pojawili się wojownicy w czerni i purpurze. Kazar dotrzymał słowa, Milży wśród nich nie było.

Rozdział 7

Bakria

„Le Neuf des Bâtons” [\[159\]](#)

1

Zrozpaczone spojrzenie młodego Ockdella, czarne rękawice Kruka, obojętne twarze kozopasów, kaprysem Alvy wyniesionych na szczyty zwycięstwa. Oto i koniec, Inochodźcze Epineix, i to nie tylko twój. W tym wychłodzonym parowie haniebnie kończy się wojna, której nie można było przegrać. Czy nawet teraz w Agarisie i Ollarii nie rozumieją, że Roke Alvy nie można zwyciężyć? Rozumieją, łaski nie robią, i wyślą kolejnego zabójcę, ale Leworęki potrafi bronić swoich wybrańców.

Milczenie przeciągało się. Zwycięzcy i zwyciężeni patrzyli na siebie, z gór wiał lodowaty wiatr, rozwiewając flagi z kozłimi głowami, z których niedawno jeszcze rechotała cała Kageta. Teraz w Kagecie nikt się nie śmieje. Wściekle świeci słońce, świeci i nie daje ciepła, po jasnoniebieskim niebie płynie jakiś ptak. Orzeł? Najpewniej tak, ale Rober sądził, że tym królem gór jest kruk.

Na Stwory Zmierzchu, jak tu zimno! Brakowało tylko, by pomyśleli, że drży ze strachu. Jedno tylko pociesza – Roke go zna i też jest południowcem. Pewnie też marznie, więc dlaczego to przeciąga?!

Kruk i jego towarzysze ani myśleli się odzywać i Biały Lis wykonał pierwszy ruch. Przegrał wojnę, ale nie stracił głowy, ni zresztą sprytu.

–Kageta padła. – Rober nie widział twarzy Adgemara, ale wyobrażał sobie, jaką ten ma minę. – Jesteśmy pokojowym krajem i nie byliśmy gotowi przeciwstawić się temu gniewowi, jaki zważył na nasze głowy brat nasz Ferdynand...

Pod nogami niemile zachrząścił jesienny płatek lodu, jakże przypominający tłuczone szkło. Niechby już szybciej nastąpił koniec, choć dla niego to dopiero początek końca. Egmont miał szczęście, umarł szybko i ze szpadą w ręku. Fanaberia Kruka uratowała księcia przynajmniej od tortur i hańby, ale Roke nie powtarza swoich wybryków. A nawet gdyby Władca Wiatrów zechciał wyrządzić Władcy Błyskawic tę samą przysługę, co Władcy Skał, to nie uda mu się. Adgemar wydaje Robera Epineix przy świadkach królowi Taligu, zatem drogi do Ollarii nie uda się uniknąć.

Powrót w kajdanach przez cały kraj, pysk Doraca, kaci, sąd Najlepszych Ludzi, którzy nie sądzą, a skazują, trzy przeklęte tygodnie w oczekiwaniu egzekucji, szafot i

nowy kat, ostatni w jego życiu i w jego rodzie... Więcej Epineixów na Złoty Ziemiach nie będzie.

–Zbyt późno dowiedziałem się – Adgemar ze smutkiem pokiwał srebrną głową – kto był winien najazdom na Warastę. Ogłoszony przez brata mego Ferdynanda za człowieka wyjętego spod prawa, niejaki Rober Epineix wstąpił w zbrodniczy spisek z bezbożnymi gogańskimi lichwiarzami i w sekrecie przybył do Kagety. Człowiek ten wykorzystał naszą gościnność i naiwność i za pomocą złota oraz kłamstw przeciągnął na swoją stronę kilku biriezyjskich wodzów. Głupcy, za moimi plecami zaczęli dokonywać najazdów na Warastę, o czym jak...

Wojownik w purpurze podniósł coś. Rober nie od razu zrozumiał, że to głowa. Długie siwe włosy – Biriezyjczyk! Kazar skinął głową, przyboczny zrobił krok i cisnął straszliwy przedmiot do nóg Roke, ale nie udało mu się. Kruk stał na wzniesieniu, głowa poturlała się do tyłu i znieruchomiła tuż u stóp Robera.

Milża! nie tylko on. Kazar wywoływał imię po imieniu! Wszyscy, którzy wyrwali się z daramskiego piekła i przeżyli błotną lawinę. Wszyscy! I nawet Lullak... Oczywiście! Po pogromie zbyt wielu zaczęło mówić, że bratanek Lisa byłby lepszym kazarem niż wuj.

Teraz Rober już nie wiedział, kogo bardziej nienawidzi, zwycięzców czy Adgemara, chociaż czemu tu się dziwić? Kazar ratuje swój tron, a jeśli w tym celu trzeba ściąć głowę ojcu, żonie, córce – zetnie. Lis mówił i mówił, a nieopodal stały muły objuczone złotem, może gogańskim nawet, a może wyciągniętym z osobistych kryjówek Adgemara. Dużo złota, dużo słów, skrzynka kageckich i biriezyjskich głów i jedna taligojska, wraz z ciałem. Jeszcze. Prawdą jest, że Stwórca trzykrotnie ostrzega – Epineix ocalał po pogromie Egmonta, przeżył Daramę i siei, ale czwarty cud nie nastąpi.

–Mam nadzieję, że moje wyjaśnienia brat mój Ferdynand uzna za wyczerpujące. – Głos kazara stał się jeszcze bardziej przejęty. – Rozumiem, że teraz nie czas mówić o tego typu rzeczach, ale gwarancją mojej szczerości może być ręka mojej młodszej córki. Eteri jest piękna, zna talig, wychowywałem ją w szacunku do naszego wielkiego sąsiada. Brat mój Ferdynand ożeniony jest z piękną Katariną z rodu Arigau, ale ręki Władcy Wiatrów nie obciąża ślubna bransoleta.

Tak. Biały Lis to Biały Lis! Na dodatek do złota, słów i krwi idzie córka. Czy wie księżniczka Eteri, że kolejny raz zmienia narzeczonego? Adgemar wykupi się, czym tylko może, a może w tej chwili niewiele. Uciszeni na jakiś czas kazaroni gotowi są rozerwać kazara na strzępy, Biriezyjczycy są złamani, a Bakranom gogańskie złoto nie jest potrzebne, ich się kupić nie da. Alva obudził w kozopasach demona i demon ten się nie uspokoi, póki nie odplaci za stulecia poniżeń. Biały Lis to rozumie, dla niego najważniejsze jest, żeby Kruk odsunął dzikusów możliwie daleko od jezior...

–Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Srebrna głowa pochyliła się na chwilę. – Jesteśmy spokojnym narodem, usiłowaliśmy się obronić i nie daliśmy rady, to był nasz błąd, mój błąd. Czekam na odpowiedź Taligu, albowiem w jego ręku nasze życie i nasza śmierć. Co powie zwyciężonym Proemperador Warasty?

Co powie? Weźmie złoto, głowy i jeńca. Czy weźmie księżniczkę, to jest pytanie. Jeśli wyobrazi sobie minę Stanclera, jak usłyszy, że Kruk został zięciem panującego monarchy, weźmie, a Biały Lis zaliże rany i zacznie żdźbło po żdźbło zbierać to, co stracił, a potem zagarnie jeszcze i to, czego nigdy nie miał.

Przygięte pod brzemieniem winy ramiona kazara widniały przed Roberem, stanowiąc pomnik obłudy. Proemperador Warasty przez jakiś czas twardo wpatrywał się w Adgemara, potem znudzone spojrzenie przemknęło po pozostałych Kagetach i przesunęło się w dal, ku ostrym fioletowym skałom.

–Wasza Wysokość, pan się myli. – Jak dawno Rober Epineix nie słyszał tego głosu. – Pretensje Jego Wysokości Ferdynanda do biriezyjskich wodzów nie mają nic wspólnego z powodami, dla których powierzone mi wojsko tu się znajduje. Talig przyszedł z pomocą zaprzyjaźnionej Bakrii. Nie jestem nikim więcej niż dowódcą podlegającym Jego Wysokości Baknie Pierwszemu. Znajdujemy się na ziemi Bakrii i tylko jej monarcha i jej naród mogą wysuwać żądania i podpisać pokój.

Brawo, Kruk! Więcej niż brawo! Jeśli to wymyślił Dorac, to jest geniuszem, jeśli to twój pomysł, Dorac cię otruje, ponieważ taki ruch może wykonać tylko wielki gracz. Kazar Kagety i biriezyjskie „irbisy” powinny poniżać się przed wczorajszym kozopasem! No co, Biały Lisie, oddasz córkę Bąknie Pierwszemu, czy jak mu tam?

–Jestem szczęśliwy mogąc powitać brata mojego Baknę – wciąż takim samym uroczystym tonem zapewnił Adgemar. Leworęki wie, co ma Lis wypisane na pysku, ale głos ma odpowiedni. – I mam nadzieję, że skłonię go, by wysłuchał nas, ale schwytany przez nas przestępca należy do Taligu i przekazuję go...

Bakna Pierwszy, szczupły staruch z ciemną, pomarszczoną twarzą, ozdobioną tak pogardzaną przez Biriezyjczyków i Kagetów brodą, zachowywał dumne milczenie. To było najlepsze, co mógł zrobić. Wiejski starosta, który stał się monarchą! Kruk wykonał niezły numer, będzie o czym wspominać po drodze do Ollarii.

–Wasza Wysokość widocznie ciągle niewłaściwie interpretuje sytuację – wolno wyrzekł Proemperador. Do kogo on to mówi, do Lisa czy do Kozła? – Wszyscy jeńcy i wszystkie trofea należą do Bakrii. My zaspokoimy się tym, co Jego Wysokość Bakna uzna za słuszne nam przekazać.

Jego Wysokość Bakna jakby nieco niepewnie wystąpił do przodu, poruszył ustami i zaczął mówić w taligu. W SAGRannie wszyscy znają talig, nawet kozły, nawet ci, co

udają, że nie znają i nie chcą znać.

–Mój naród mocno i długo cierpiał – zaczął władca – a winę ponoszą biriezyjskie koty i kageckie yzargi, ale nadszedł nasz dzień i Wielki Bakra wskazał nam drogę do zwycięstwa. Zwróciliśmy sobie to, co straciliśmy, ale to za mało. Nie odejdziemy z Jeziornej Doliny, należy i będzie należała do naszego ludu, nie zwrócimy Irbisiego Wąwozu, zdołamy uczynić drogę na zachód drogą przyjaźni, my...

Roke dobrze ustawił kozopasa – to, co ten mówił, nie pozostawiało Adgemarowi żadnego, najmarniejszego nawet wyjścia. Lis został zapędzony do nory, a zapasowe wyjścia zostały zawałone kamieniami. Oczywiście zacznie wykopywać nowe, ale czy zdąży?

–Nasz lud pamięta nie tylko zło, ale i dobro. Nie pozwolimy wyleniałym kotom szkodzić Taligowi. Wrogowie naszych wrogów są naszymi wrogami. Przyprawdźcie tego, który przyprawdził Biriezyjczyków do Warasty.

Może jednak zabiją tutaj, po swojemu, po barbarzyńsku? Lepiej umierać przez jeden dzień niż przez pół roku. Dzikusy są wybuchowe, jak się ich dobrze obrazi, na pewno go wykończą. Co powiedzieć temu koziemu królowi?

Epineix ciągle jeszcze się zastanawiał, kiedy dwaj kazaroni chwycili go pod łokcie i pociągnęli do przodu. Jaki honor! Kiedy do zwycięzców zostało nie więcej niż kilka kroków, Kageci cofnęli się i któryś mocno pchnął jeńca w plecy. Niespodziewający się tego Rober upadł do stóp Kruka. Chyba mocno się potłukł o kamienie – jak się ma pecha, to na całego. Inochodziec usiłował wstać, ale przeszkadzały pęta i buchająca z nosa krew.

Krzepki kazaron trącił Robera w plecy, ten upadł, i to bardzo nieszczęśliwie, twarzą w ostry kamienny odłamek. Kageci ani myśleli pomagać, Bakrani milczeli.

–Młodzieńcze – w głosie Alvy słychać było niezadowolenie – pomóżże mu w końcu! Sam nie wstanie i nigdy nie będziemy mogli stąd odejść!

Dick rzucił się do jeńca, powinien był to zrobić sam i od razu. Jakaż tak naprawdę z niego szmata, tchórzliwa szmata!...

–Dziękuję, Dickonie. – Epineix jakoś się podniósł, ale krew płynęła dalej. – Nie ryzykuj niepotrzebnie...

Gdybyż zaryzykował, a nie stchórzył. Święty Alanie! Nawet teraz nadal gapiłby się na związanego przyjaciela, gdyby nie rozkaz era, który chce zakończyć tu sprawy i się napić.

–Posadźcie go! – zawołał Kruk. – Niech odchyli do tyłu głowę, a na nos – lód. I rozwiążcie go! Nie jest Kagetem, nie ucieknie...

Krew przestała płynąć, ale pęta nie poddawały się, Dick chlasnął po nich rodzinnym kindżalem.

–Klinga Egmonta – wyszeptał Inochodziec, rozcierając przeguby. – Nie sądziłem, że jeszcze ją kiedyś zobaczę. Jest starsza niż Kabitela, teraz takiej nie znajdziesz.

Nikt ich nie słyszał, odłamek skały, na którym chłopak usadowił jeńca, znajdował się dość daleko od rozmawiających ludzi, jednakowo wrogich i Dickowi, i Roberowi.

–Roberze – wypalił młodzian. – Szykuj się. Musisz uciekać, drugiej szansy nie będzie.

–Tej też nie ma. – Epineix pokręcił głową. – Daleko nie zajdę.

–Nie rozumiesz, ja z tobą!

–Nie!

–Er Epineix, ja...

–Dickonie – Inochodziec wydusił z siebie coś na kształt uśmiechu. – Nie uciekniemy dalej niż do tego wzgórza.

–Lepiej umrzeć walcząc...

–Złote słowa, ale masz matkę i siostry. I w ogóle lepiej żyć i być na jakiegokolwiek wolności, niż być martwym.

–Ale...

–Zamknij się! Nie pozwolę synowi Egmonta umrzeć przez moją głupotę. I nie będę robił z siebie tchórza. Epineix nie uciekają i nie pełzają u stóp jakiegoś bydła. Wykończą mnie tu – dobrze. Jak nie – pomożesz mi, ale nie dziś. Podrzuć mi nóż, ale nie swój, a zwyczajny, i niech się zastanawiają, jak go zdobyłem.

–Roberze!

–Cii! Dickonie! Idą ku nam. Dziękuję ci, ale nie było pisane.

Nie było pisane... Oskar Fensoi też powiedział, że nie było pisane.

–Może iść? – Potężny Bakran powątpiewająco popatrzył na opartego o głaz Epineixa.

–Tak – twardo powiedział jeniec.

Góral wyciągnął do jeńca rękę, ale Rober w odpowiedzi pokręcił głową i wstał, z trudem, ale bez postronnej pomocy. Czyżby już teraz mieli go zabić? Nie, raczej nie. Powiozą do Ollarii, a po drodze wszystko może się zdarzyć. Rober dojdzie do siebie, opuszczą góry, a od Rassanny do Gaify rzut pierogiem. Cokolwiek by nie mówił Epineix, uciekną razem i niech się dzieje co chce.

Dick wsunął do pochwy kindżał i poszedł obok Robera, całym swoim ciałem pokazując, że ten, kto podniesie rękę na jeńca, będzie miał z nim do czynienia.

–Jesteś winien przestępstw przeciwko Taligowi? – Głos starego Bakrana był twardy i zimny, jak głos jego pięknych gór, gdyby te nagle odezwały się. – Pomyśl i odpowiedz.

Myślał. Myślał od chwili, kiedy dowiedział się, że Adgemar za gogańskie złoto zgodził się zrujnować Warastę. W oczach Ollarów było to bez wątpienia przestępstwo, ale poszli na to dla dobra Taligoi. Ollarowie i Sylwester niszczą kraj, a co robią oni? Czy mógłby Aldo ze Stanclerem powstrzymać poruszoną przez nich lawinę, czy nakryłaby ona prawych i grzesznych, nowe i stare?

–Jesteś winien? – podniósł głos starzec.

Powiedzieć prawdę o Białym Lisie, o krwawym Lisie? Żeby Kruk i jego Bakrani utopili jeszcze sto tysięcy ludzi. Nie, niech żyją! Ale jakże Milża pozwolił się zabić, czy... Czy kazar zmusił go, by uwierzył, że ratuje swój lud i... swojego przyjaciela?!

–Jesteś winien? Musisz odpowiedzieć.

–Zrobiłem to, co powinienem był, i niczego nie żałuję, ale tylko Stwórca wie, czy było to Dobro, czy Zło.

–Dobra odpowiedź. – Kozopas w końcu odwrócił się i popatrzył na Roke. – Sądzę tego człowieka na ziemi Bakry i według praw Bakry, niech więc Wielki Bakra zdecyduje o jego losie. Nasze prawa są proste. Krew zabitych oskarża, a Bakra sędzi. Oskarżonemu na głowę kładzie się owoc abecho, oskarżający powinien je strącić. Może być najlepszym strzelcem i nie chcieć krwi, ale Bakra skieruje jego rękę i zabije. Może też wziąć luk po raz pierwszy do ręki, ale Bakra pokieruje jego ręką i strąci owoc. Jeśli abecho zostanie strącone, oskarżony jest uniewinniony, jeśli umrze, jest winny, jeśli strzelec spudłuje, próba będzie powtórzona. I tak codziennie, póki Bakra nie podejmie decyzji. Synu Wiatrów, jesteś krwią Taligu i ty jesteś oskarżycielem.

–Rozumiem – uśmiechnął się Roke. – Ale ja nie strzelam z luku. Zgodzi się Bakra na pistolet?

–Śmierć przyjmuje różne oblicza.

–Wspaniale. – Roke wyjął broń. – Roberze, proszę pomodlić do Stwórcy, by Bakra rozsądził sprawiedliwie i ukazał właściwego winnego nieszczęść Taligu i innych nieszczęść, obecnych i przyszłych.

„Leworęki i jego stwory – ze smutkiem pomyślał Epineix, idąc za odmierzającym

kroki milczącym Bakranem. – Przecież on jest pijany. Też mi sąd boży. Gdyby Kruk był trzeźwy, zastrzeliłby mnie bez oporów, a teraz... W głowę Alva nie spudłuje, nie ma takiej ilości wina, ale do tego głupiego owocu – na pewno, nawet jeśli po pijanemu przyjdzie mu do głowy oszczędzić mnie... „,

–Richardzie – książkę zwrócił się do swojego giermka – pan też niech się pomodli, i to dwukrotnie – po ollariańsku i po esperatyjsku. Pan jest istotą niezepsutą i nawet chwilami błogostawioną. Może pana usłyszą.

Sławetny owoc został zerwany z rosnącego tuż obok krzywego drzewka. Takimi drzewkami na górze Bakra zarośnięte są wszystkie parowy, ale w innych miejscach Epineix ich nie widział. Samego abecho Inochodziec nie zobaczył – coś czerwonego i okrągłego, większego od wiśni i mniejszego od jabłka. Trafić niełatwo, ale Leworęki czasem sobie żartuje. Alva wyraziście popatrzył na niebiosa, wolno uniósł rękę z pistoletem, wycelował, potem po pijacku roześmiał się i zrobił kilka kroków w bok.

–Jeśli to jest sąd Bakry, niech widzi wszystkie szczegóły!

Widzi? Ach, Bakra patrzy na świat z góry, której nadał swoje imię. Alva znowu wznosił pistolet. Wystrzelił ten potwór kiedyś, czy nie?!

–Niech się spełni czyjś los – oznajmił Kruk, niedbale przekładając pistolet do lewej ręki. Huknął wystrzał, nad głową Robera coś gwizdnęło, rozległ się dziki krzyk. Inochodziec, przedzierając się przez otaczającą go rozdzwonioną mgłę, z trudem uniósł rękę, dotknął twarzy, uniósł do oczu. Nie krew – sok, choć czerwony. Roke jednak stracił przekłety owoc, dlatego wszyscy wrzeszczą. Wygląda więc, że Bakra go uniewinnił? Właśnie Bakra, przecież Kruk nie celował, wygląda na to, że w ogóle nacisnął spust niechcący, przekładając pistolet. Te drikseńskie kurki tak łatwo się ześlizgują... Dziwne, on został uniewinniony, a wszyscy patrzą za niego. Dickon aż zzieleniał. Na Stwory Zmierzchu, co się dzieje!?

Obrócić się było trudno, jeszcze trudniej niż unieść rękę, ale Epineix w końcu się odwrócił.

Adgemar Kagecki nieruchomo leżał na ziemi. Połowa twarzy kazara była zalana krwią, krew zalała zarówno szlachetną siwiznę, jak i białe futro odzienia.

Był nieodwołalnie martwy.

Rozdział 8

Bakria, Kageta, Warasta

„Le Six des Bâtons” [\[160\]](#)

1

Roke był konsekwentny – wobec dzikusów i prostaków zachowywał się jak wobec Ludzi Honoru, a wobec Ludzi Honoru – jak wobec dzikusów. Dick, z trudem maskując obrzydzenie, patrzył, jak jego er rozmawia z bakrańską wiedźmą – przerażającą staruchą z brązową twarzą i krzaczastymi czarnosiwymi brwiami. Wiedźma zwała się Przemądra Garra, wlokła się za wojskiem, żeby odszukać stary bakrański ołtarz, i znalazła.

Ołtarzem okazała się czarna kamienna płyta, zasypana stertami żwiru i kamieni. Bakrani odkopywali świątynię już dwa dni i w końcu potworny gład, płaski jak stół i błyszczący niczym lustro, pokazał się w całej swej wątpliwej krasie. Dokoła wkopano szesnaście tyczek, na które nasadzono koźle czerepy, przyozdobione czarnymi i czerwonymi wstążkami. Widok był całkiem-całkiem, przemawiający do wyobraźni; Taligojczycy, przechodząc obok, przykładali rękę do ust i pochylali głowy, odsuwając zło, Bakrani widzieli zaś w tym oznakę szacunku do swojej świątyni, nie obrażali się więc. Zadowolony i dumny Bakna zaproponował Alvie, by popatrzył w oczy Wielkiemu Bakrze, a Kruk się zgodził. Dick, sam nie wiedząc po co, przywłókł się za swoim erem, ale na pewno mający się odbyć rytuał wywoływał w młodzieńcu chorobliwą ciekawość.

Alva wysłuchał wiedźmy, wziął do ręki ozdobione dość prostym rysunkiem skórzane wiadro i poszedł do góry po krętej kamienistej ścieżce, przechodzącej w coś na kształt schodów, kończących się przy niewielkim wodospadzie. Książę wszedł po niedbale wyciosanych w skale stopniach, podstawił wiadro pod strugę, a potem szybko i zręcznie zbiegł na dół, jakby pod stopami miał pałacowe schody, a nie jakieś byle jak ociosane śliskie głązy.

Bakna i wiedźma czekali przy ołtarzu. Starucha coś powiedziała, książę odpowiedział i wylał przyniesioną wodę na kamień. Dickon, rozpaczliwie bojąc się, że zostanie przepędzony, podszedł bliżej i stanął za plecami swojego era, ale górale nie zamierzali przeganiać giermka swego idola. A może wcale nie uważali, że przeszkadza, a Roke, jak zwykle, kompletnie nie przejawiał zainteresowania Richardem Ockdellem.

Czerwone słońce dotknęło górskiego szczytu. Bakna trzykrotnie uderzył mieczem w

tarczę. Wiedźma wyciągnęła ręce i rozwrzeszczała się paskudnie. Nagle pojawił się wiatr, zakręcił szarym kurzem, rozwiął czarne włosy Proemperadora, potarł wstążki przywiązane do koźlich czerepów. Alva klęknął i położył dłonie na mokrym kamieniu. Kamienne zwierciadło odbijało przez chwilę jego dumne, piękne oblicze, potem wszystko zniknęło w purpurowych rozbłyskach, które rozsypały się iskrami po kamieniu, zawirowały we wściekłym wichrze. Iskry blakły, stały się śnieżynkami, burza rosła w siłę, spoza niej próbował wyłonić się ktoś ciemny i skrzydlaty. Przez ryk i wycie wiatru dochodził zły głos kamieni, stając się coraz to silniejszy i coraz bardziej natrętny. Kamienie gniewały się, ich cierpliwość była ograniczona – i tak czekały już za długo i oto doczekały się.

Coś pchnęło Richarda w plecy, a potem porwało i pociągnęło. Młodzieniec wyczuwał obcą nienawiść i pogardę, pieśń kamieni zlewała się z rechotem wiatru, twarz Dicka musnęły jakieś skrzydła, pióra były twarde i ostre jak kindżały. Richard czuł, jak z jednego ze skałeczeń sączy się krew, ale nie mógł jej otrzeć. Teraz rozumiał, kim jest – jednym z kamieni pędzących w potoku sielu. Przed nim spali ludzie, zwierzęta, drzewa, wszystko żywe, niewiedzące, jaki los je czeka. A on miał zabić. Richard szarpnął się do tyłu, ale zyskał tylko tyle, że wyprzedziło go kilka innych kamieni. Na niskim, czarnym niebie pojawił się błysk, potem kolejny, i jeszcze jeden. W świetle bez przerwy rwących mrok błyskawic lecące do przodu głązy wydawały się złote. Błyskawiczny, wszystko burzący bieg, w którym są wszyscy razem, nic nie można zmienić, wszystko jest określone raz i na zawsze. Jesteś jeńcem i jesteś wolny, jak wolna jest sama śmierć!

Zakręć i na drodze pojawia się lasek. Mimo potwornej wichury drzewa stoją nieruchomo. Na tle płonącego nieba Richard widział potężne pnie z naroślami, wczepione korzeniami w szare skały. Drzewa widziały, co je czeka, ale czekały na śmierć, nie poruszywszy nawet jedną gałązką. Śmiercionośny strumień głucho ryknął, Dick z przerażeniem i zachwytem uświadomił sobie, że jego krzyk wplata się w wielogłosowy ryk. Krzyczał, nienawidził tych drzew, które rzuciły wyzwanie nieodwracalnemu. Wściekły ponad miarę, Richard Ockdell rzucił się w dół, wyprzedzając innych...

Odzyskał przytomność w namiocie. Płonęła świeca, na jasnym płótnie namiotu rysowały się trzy cienie – jeden wytworny i dwa szerokie, grubo ciosane.

–Jak na mnie – Richard rozpoznał głos Klause – siwulców należało w ogóle potopić wszystkich, tylko dużo by było z tym roboty, a tu raz – i gotowe.

–Jasne – oczywiście, że to Shemantal! Aduan, z łaski Kruka generał, wpatrzony w Alvę jak w samego Stwórcę – dobrze to zrobione. Teraz to oni ani pisną, osobliwie, że bez kazara. No, monsinior, ale z pana szalony człek! Raz – nie ma armii, dwa – nie ma jeziora, trzy – nie ma Lisa!

–A pan jest poetą, Jean. Takie metafory... – Trzeci cień należy do Alvy. – Ale co ja mam z tym wspólnego? Zostało powiedziane – wszystko rozsądził Wielki Bakra. Ja zresztą się z nim zgadzam. Adgemar przynosił znacznie więcej szkody niż mój przyjaciel Epineix.

–Pan, żaba ich słowika, naprawdę go wypuszcza?

–Oczywiście, przecież Bakra go uniewinnił.

–O patrzajta – wtrącił się Jean. – Nasz giermek się odczmychał.

–Naprawdę?

Coś zaszeleściło, Dick zobaczył swojego era ze szklanką w ręku. Koszula Kruka była rozpięta i młodzieniec widział srebrny medalion na starym łańcuszku. Znak przywódcy Wysokiego Domu! Richard miał podobny, ale nosił go krótko – przed wyjazdem do Laik mateczka zabrała relikwię w obawie, że będzie zbezczeszczona.

–Co się panu stało? – zapytał Alva. – Powaliła pan błyskawiczna miłość do Przemądrej Garry?

Dick pokręcił głową i spróbował usiąść. Udało mu się, choć w uszach rozległo się silne dzwonięcie. Kruk podsunął giermkowi swoją szklankę.

–Wypij, bo jesteś blady jak hiacynt. No to co się nam przydarzyło?

–Nie wiem.

Przecież nie będzie opowiadał Alvie i tym prostakom, że był kamieniem pędzącym na czele sielu! Czy przeżyło uderzenie choćby jedno drzewo? Maligna, niczego takiego nie było, żadnych drzew, żadnych kamieni! To tylko pamięć o zniszczonym jeziorze i o śnie, jaki śnił mu się jeszcze w Laik.

–Młodzieńcze – Dick nawet nie wiedział, czy Roke słyszał jego odpowiedź. – Jaki ma pan stosunek do dalekich przygód?

–Monsignore? Przepraszam...

–Innymi słowy, czy nie chce pan wrócić z Roberem Epineix?

To pułapka, czy Roke żartuje? A może on się zwyczajnie Krukowi znudził? Dick, nic nie rozumiejąc, wpił się wzrokiem w marszałka.

–Chce mnie pan odesłać?

–Ja od dawna już niczego nie chcę – oschle oświadczył Alva. – Poza winem,

kobietami i wrogami, ale pan, jeśli chce, może wyruszyć czy to do Agarisu, czy do Gaify, czy choćby do Płomienia Zmierzchu.

Święty Alanie, Kruk nie żartuje, rzeczywiście go zwalnia. Jego wyjazd nie będzie zdradą. Inochodziec jest Człowiekiem Honoru, bohaterem powstania, powinien wiedzieć dużo o ojcu, o wszystkich...

Rober nie będzie patrzył przez syna Egmonta, jakby go nie było, nie będzie zadawał niezrozumiałych pytań, szydził z tego, co święte dla każdego prawdziwego Taligojczyka. Zobacz Alda Rakana, księżną Matyldę, Esperadora... Ale Katari zostanie w Ollarii. Katan... Czy Fensoi miał rację i Kruk odsyła go z powodu królowej? Nie! Alva nie może wiedzieć ani o jego uczuciu, ani o spotkaniu w klasztornej ogrodzie. Odjechać – znaczy stracić Katarinę Arigau...

–No to co pan powie na to, młodzieńcze?

–Monsignore, chcę zostać.

Roke wzruszył ramionami i odwrócił się do celników. Coś zabułgotało i wino polało się do szklanek, roześmiał się Klaus, za ścianą namiotu sennie parsknął Moro.

Nawet konia dał mu Proemperador. Drakko niedawno stracił pana, co wywołało u Robera szczególną czułość w stosunku do wierzchowca, przecież był mu niemal bratem w nieszczęściu. Rudy ogier półkrwi ani krokiem, ani wytrzymałością, ani postawą nie ustępował zaginionemu Shadowi Pierwszemu. Drakko przyjął nowego jeźdźca nieufnie, ale z kim jak z kim, z końmi Inochodziec zawsze sobie dawał radę. Chociaż o to, że poradziłby też sobie z koniem Kruka – nie założyłby się.

Moro tylko budowę miał konia, a charakter ni to smoczy, ni to koci. Wśród morisków czasem trafiały się bestie zabijające jeźdźców jednego po drugim. Epineix nie zasługiwałby ani na swój herb, ani na przezwisko, gdyby nie znał tych cech, które pozwalają już w trzymiesięcznym żrebacku określić przyszłego zabójcę. W Purpurowych Ziemiach zostawiano takie na rozplód, a w Złotyach najczęściej zabijano. Uważano, że może na takim jeździć tylko demonie plemię, co więc się dziwić, że Moro i Kruk znaleźli siebie wzajemnie.

Rober nie wątpił, że Alva zastrzelił kazara umyślnie, chociaż taki wystrzał graniczył z cudem. Z lewej ręki, niemal nie mierząc, strącić owoc z głowy człowieka i wybić oko drugiemu! Teraz dzikusy wrzeszczą o woli swojego kozłoboga, Kageci nie wiedzą, co robić, a on został wypuszczony na cztery wiatry.

Proemperador dokonał słusznego wyboru, Adgemar, nawet na łańcuchu, był niebezpieczny, a teraz o Kagecie można było zapomnieć. Obręcz pękła, beczka rozsypała się, w nieuniknionej drace wszystkich ze wszystkimi, nikt nie wpadnie na pomysł knowań przeciwko Taligowi, zresztą kto by miał intrygować? Syn Lisa liże Krukowi buty, a ocalali kazaroni tępi są jak barany. Tych, którzy cokolwiek rozumieli, wyciął w pień Adgemar, a Biriezyjczycy zostali oddani na rozszarpanie swoim odwiecznym wrogom, nie do wojen im teraz i nie do zemsty, muszą ratować dzieci! Roke, oby spłonął w Płomieniu Zmierzchu, wszystko wyliczył znakomicie...

Drakko potknął się o kamień i zaczął kuleć. Trzeba było zeskoczyć z konia i wydłubywać utkwiony w podkowie kamyczek, sama podkowa się utrzymała. Kageci i Bakrani ani myśleli pomagać, dobrze, że zatrzymali się i poczekali. Rober na wszelki wypadek sprawdził pozostałe podkowy i wskoczył na siodło. Zmierzchało, z gór ciągnęło chłodem i jesienią. Bakran coś powiedział, chyba nawet w taligu, ale Epineix go nie zrozumiał. Dzikus powtórzył. Chwalił swoje kozły, które nie potrzebują kucia. Inochodziec zgodził się, że w górach wygodniej jest jeździć na kozłach, taktownie przemilczawszy, że on sam siądzie na kozła, dopiero jeśli będzie mowa o życiu lub śmierci, przy czym nie jego własnej, a kogoś bliskiego.

Kozopas z zadowoleniem skinął głową i pogłaskał swojego rogatego wierzchowca. Bakrani opiekowali się tym, którego uniewinnił Bakra. To było poniżające, ale

przydatne. Sam, na dobrym koniu i z drogą bronią, nie dotarłby do Rawiatu, a z bakrańskim poselstwem nic mu nie groziło poza wstydem.

Najmądrzej byłoby, nigdzie nie zajeżdżając, runąć ku gaifiańskiej granicy, ale Rober Epineix postąpił głupio. Nie mógł porzucić Clementa na pohybel, choć szukanie go po rozdygotanym, wypełnionym uciekinierami Rawiacie było bardziej beznadziejne niż szukanie monety na dnie rzeki – ta przynajmniej będzie leżała tam, gdzie upadła. I jeszcze powinien odszukać krewnych Lullaka i Milży i wypić z nimi Czarę Bólu.

Inochodziec wiedział, że postępuje jak ostatni głupiec, ale inaczej nie mógł. Jego wyjazd od samego początku był łańcuszkiem lęków, strat i niepowodzeń, a pomysł Enniola zaowocował tysiącami śmierci, i to kompletnie bez sensu. Aldo jest jeszcze dalej od tronu, przyjaciele pojawiali się tylko po to, by zaraz zginąć, a on sam żyje i jest wolny tylko z łaski największego wroga. Rober już wiedział, że całej prawdy o tym, co się z nim działo, nie pozna nikt, może tylko Mellit, jeśli zechce go wysłuchać. Nie będzie nikomu kłamał, po prostu co nieco przemilczy. Na przykład spotkanie z Richardem Ockdellem i szaloną rozmowę z Krukiem, rozmowę, którą ciągnie w myślach już szósty dzień. Powiedział Krukowi, że jest nieczłowiekiem, a ten w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

–Uważa pan, że wyrzynanie wsi jednej po drugiej w większym stopniu należy do natury ludzkiej? Może... Rzeczywiście, topi się u nas rzadziej, niż pali.

–Rozumiem, że Waraście nienawidzą Biriezyjczyków, ale...

–Nienawidzą – przerwał mu Kruk. – Ludzie z reguły nie kochają tych, którzy im szkodzą, i szanują tych, którzy z nimi piją. Gdybyście się znaleźli na naszym miejscu, odkrylibyście kupę zalet w Bakranach i ich kozłach.

–A pan, znalazłszy się na naszym?

–Ja? Ja bym okiełznał „irbisów” tak samo jak i „kozłów”, ale po waszej stronie nie mam co robić.

–Ma pan rację. Nie jest w obyczaju Ludzi Honoru podnosić rękę na kobiety i dzieci.

–Widocznie, dlatego robili to za was wasi siwi przyjaciele. Zresztą oni jakoś tam mają rację. Mieli. Jeśli ktoś uważa siebie za irbisa, a innych za bydło, to wcześniej czy później narwie się na myśliwego.

–Kiedyś pan też narwie.

–Możliwe, życie jest wielkie. Cóż, będę żył nadzieją, że kiedyś jakieś moce skierują pana rękę.

–Raczej nie będzie to panu potrzebne, książę. Ma pan już opiekuna, i to od dawna.

–Och tak – roześmiał się Roke, naciągając rękawiczki. – I okazuje zadziwiającą stałość. To mnie niepokoi. Mogę mu się znudzić.

Po niebie szybował czarny ptak. Niebo wisiało nisko, było szare i beznadziejne jak sama jesień, a może rzecz była nie w jesieni, a w tym, że czekała ich zima w Tronko, Gil, krewniaczka gubernatora ze swoimi tuberozami, celnicy, karty, pijany Roke, jeszcze bardziej pijany Bonifacy i tęsknota. Wróg rozbity, Talig zwyciężył, ale co z tego? Taligoja znowu przegrała. Teraz Richard żałował, że nie odjechał z Epineixem, ale przecież nie wiedział wtedy, że armia zostaje na południu – myślał, że wracają do Ollarii. Do Ollarii... Proszę, sam już zaczął nazywać stolicę wymyślonym przez „gnojarzy” imieniem. Co się dziwić, kiedy dokoła celnicy i ollarianie. Weizel oczywiście jest baronem, ale też nie jest nie wiadomo czym – w Górnej Marchii baronów jest więcej niż wieśniaków.

Młodzieniec przysłuchiwał się rozmowie prowadzonej przez Alvę i Weizla. No tak – zimowisko, święta dla mieszczan i żołnierzy, żołąd, nagrody... A do stolicy z doniesieniami pojedzie Manrik, Jean i jakiś kozopas. Dobrze, że przynajmniej bez Bonifacego się obejdzie!

Richard nie wątpił, że Roke swoim zwyczajem postanowił drażnić swoich wrogów, dlatego wysłał do pałacu plebejusza i dzikusa. Teraz generał prostak i ledwo znający talig syn Bakry zobaczą Katari, może będą nawet całować jej dłoń. Katari... Tęsknota i miłość krążyły nad Dickiem niczym czarny samotny ptak i będą kołowały, póki żyje. Młody człowiek uniósł głowę, obserwując niebiańskiego wędrowca. Ten wolno przepłynął nad pełną między kurhanami kolumną i poleciał ku sięgającym srebrzystej dali wzgórzom. Dick nie wiedział, skąd się wziął drugi ptak, wielki i wściekły, wydawało się, że zrodziły go przepelnione jesienią obłoki. Kruk cudem uniknął nieuniknionego, wydawało się, uderzenia, ale zamiast uciec, rzucił się ku niespodziewanemu wrogowi.

Czarno-złoty kłęb niczym kamień runął u podnóża trzeciego z kolei wzgórza i w tej samej chwili Alva dał Moro ostrogi. Moro, od samego rana niezadowolony z tego, że przyszło mu wlec się kłusem, wyciągnął się we wściekłym galopie. Koń i jeździec zniknęli między kurhanami i Richard, sam nie wiedząc, co czyni, posłał Sonę w ślad za erem. Klacz runęła z miejsca i pognała, depcząc wysrebrzone przed zimą suche łodygi.

Alvę znalazł niemal od razu, raczej Sona znalazła Moro, ryjącego ziemię u podnóża poplamionego czarno-czerwonymi krzewami wzgórza. Książę stał nieco dalej, przy samej granicy zarośli, u jego stóp leżały dwa ptaki – czarny i złocisty. Wrogowie albo zginęli w powietrzu, albo rozbili się o ziemię, łapy złocistego były wolne, ale nawet śmierć nie mogła zmusić kruka, by wyprostował szpony. Obsypane czerwonymi jagodami gałęzie sięgały martwych ptaków. To były jagody, ale Dickowi wydawały się kroplami krwi, a tkwiące w gęstwinie czarne i złote pióra – cudem ocalałymi liśćmi.

W zaroślach coś zaszeleściło, Roke wyszarpnął zza pasa pistolet i nie patrząc, wystrzelił. Rozległ się krótki, przeraźliwy wrzask i nastąpiła cisza. Dick z pewną obawą rozsunął gałęzie i znalazł pod nimi dziwne zwierzę. Stwór najbardziej przypominał obrośniętego niemal ludzkim włosiem węża na krzywych krótkich nogach. Zwierz był martwy, kula przetrąciła mu grzbiet.

–Stepowy yzarg – Roke podszedł popatrzeć, co upolował. – Uznał, że ma szczęśliwy dzień, ale się pomylił.

Księżę odczepił od pasa manierkę z kaserą, wziął kilka głębokich łyków, resztki wylał na ptaki i skrzesał ognia. Kasera zapłonęła niebieskim płomieniem, do nozdrzy doszła woń palonego pierza. Roke zaczął łamać suche gałęzie i rzucać w ogień, Dick skoczył mu na pomoc. Tak się nie rozpala ognisk, ale im się udało. Płomień przeskoczył na najbliższe krzewy, zrobiło się gorąco. Z płonących krzewów wypełzło jeszcze z piętnaście yzargów, włosy na jednym z nich płonęły. Stwór ni to pobiegł, ni to przepełził dziesięć kroków, przewrócił się na plecy i zaczął się turlać, pokazując łysy, szary brzuch. To był błąd – znajdująca się nieopodal parka innych yzargów wczepiła się w pechowego krewniaka, zamierzając widocznie przed ucieczką przekąsić pieczenia.

Roke, nie mówiąc ani słowa, wskoczył na siodło, spiął Moro dęba, zmusił do opuszczenia na obrzydliwy, syczący żywy kłęb kolczastych zimowych podków, a potem, nie patrząc ani na ognisko, ani na zdeptane yzargi, ani na giermka, runął w stronę drogi. Dick skoczył do rżącej Sony, nie chcąc ani sekundy zostawać przy tym, nagle napawającym lękiem, wzgórzu. Chwytając za lęk, popatrzył na swoją rękę – była zakrwawiona: krzewy z czerwonymi jagodami miały kolce. Sona, ledwo Richard popuścił wodze, pognęła za Moro. To było niemożliwe, ale zjeżdżając ze zbocza, Alva zwolnił do klusa, a słysząc z tyłu tętent, w ogóle zatrzymał wierzchowca.

–Wierzysz w znaki?

Dick wierzył, ale martwy kruk, który nie wyprostował szponów, i niebieskooki człowiek w czerni z nieprzeniknioną twarzą...

–Nie, monsignore, nie wierzę.

–Ja też. Szkoda.

Szkoda?! Conseiller ma rację, Roke przechadza się na krawędzi szaleństwa, o ile już tej krawędzi nie przekroczył. Chyba takie zwątpienie odbiło się na twarzy Dicka, a może marszałek po prostu chciał sobie pogadać.

–Dziwne, że ciągle jeszcze uważasz śmierć za coś strasznego. Gdyby to był omen, cieszyłbym się. Kruk nie ma szans ze złotym orłanem, ale ten był zbyt głupi i młody i kruk mu nie przepuścił. Powinien był umrzeć sam, ale zginęły oba. Nie przegrać,

kiedy zwyciężyć nie można! Lepszego znaku nie ma i być nie może.

Richard milczał. Czarny ptak mógł odlecieć, a nie rzucać się na przeciwnika, który był niemal dwukrotnie większy od niego. Po co kruk rzucił się na orłana? Pan Chablis uczył, że wszystko żywe postępuje rozumnie, składając w ofierze życie tylko dla ratowania dzieci, poza ludźmi. Tylko ludzie! Czy nie tym różnią się od zwierząt? Tym, że cenią życie mniej niż honor, miłość, władzę, złoto?

Moro i Sona szły łeb w łeb, depcząc podmarznięte źdźbła. Roke najpierw milczał, potem półgłosem zaśpiewał o morzu. Kenallijska pieśń dziwnie pasowała do końskiego kłusa, chrzęstu deptanych łądyg, krążenia małych płatków śniegu. U podnóża górskiego pasma spotkali aduanów z psem – pierwszy ku nim skoczył Lowo, ale pułkownik Konner niewiele odstał od swojego pupila.

–Gdzie to pana poniosło, monsinior?

–A tak – machnął ręką Alva. – Chciałem popatrzeć, oba czy jeden?

–Oba?

–Tak... Tam krzewy aż się ruszają od yzargów.

–Rozmnożyły się, znaczy, żaba ich słowika. – Klaus pokręcił głową. – Nie ku dobremu to, kiedy takie świństwo się mnoży. Monsinior, pan to by uważał trochę na siebie... Bo to tak jedno do drugiego – stara wywróżyła, wyjechaliśmy – wiatr w twarz, koń się pod panem potknął, Lowo co noc wyje, a teraz jeszcze te ptaki. Nie powinien pan w drogę ruszać, przeczekać trza! Niech pan odpisze królowi, że tak i tak, zimuję z armią w Waraście i nie ma o czy gadać. No i co pan tak milczy, przebacz Stwórco, jakby jakiś bałwan?

–A, bo to ja jadę do Ollarii zamiast Manrika, a w Tronko niech Weizel z Jeanem rządzą. Młodzieńcze – niebieskie oczy błysnęły – niech pan pisze sonety do swojej damy. Wianek sonetów! Obiecałem panu białego konia i irbisi czaprak? Skóry są, a konia kupimy po drodze. Zobaczymy, czy tak jest mądra ta Przemądra Garra.

Tytuł oryginału

Krasnoje na krosnom

Copyright © W. W. Kamsza, 2004

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2006

Projekt okładki

Sławomir Maniak

Redaktor

Krzysztof Wójcikiewicz Korektor

Janina Gerard-Gierut

Redaktor techniczny

Jacek Sajdak

Dział Handlowy: tel. (071) 7859054, Promocja: (071) 7859050

www.wd.wroc.pl

Wrocław 2006

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o.

ul. Podwale 62

50-010 Wrocław

ISBN 83-7384-513-5

ISBN 978-83-7384-513-8

[1] „Le Temple foudroyé” – „Wieża” („Uderzenie Pioruna”) – Wielki Arkan tarota. W sąsiedztwie dobrych kart oznacza zakończenie czarnego pasma w życiu, wybawienie od ciężaru. Przy niekorzystnym układzie ta karta przepowiada utratę szczęścia, zagładę, chaos. Odwrócona karta wskazuje na zależność od istniejących okoliczności, ograniczenie możliwości. Jesteście zmuszeni iść starą drogą, nie macie sił, by cokolwiek zmienić.

[2] Człowiek nie jest nigdy tak szczęśliwy ani tak nieszczęśliwy, jak to sobie wyobraża.

[3] „Le Valet des Épées” – „Giermek Mieczy” (Żywioł – Powietrze) – dworska karta tarota. Symbolizuje młodego człowieka, dociekliwego, niedoświadczonego, niekiedy infantylnego, którego chętnie otacza się opieką. Odwrócona karta oznacza wątpliwości, strach, niepewność.

[4] Kalendarz Kertiany prowadzony jest od Stworzenia i dla wygody dzieli się na następujące po sobie 400-letnie kręgi (epoki) – Skał, Wiatru, Fal i Błyskawic. Uważa się, że przechodzeniu z epoki do epoki towarzyszą wojny i kataklizmy. Rok w

Kertianie składa się z 16 miesięcy po 24 dni, a każdy z miesięcy dzieli się na cztery tygodnie, zgodne z fazami księżyca. Rok zaczyna się w dniu Przesilenia Zimowego. Poniżej podane są nazwy miesięcy według esperatyjskiego i ollariańskiego kalendarza. Miesiąc Zimowych Skał (ollariański miesiąc – Nefrytu), miesiąc Zimowych Wiatrów (miesiąc Ametystu), miesiąc Zimowych Fal (miesiąc Malachitu), miesiąc Zimowych Błyskawic (miesiąc Granatu), miesiąc Wiosennych Skał (miesiąc Agatu), miesiąc Wiosennych Wiatrów (miesiąc Szmaragdu), miesiąc Wiosennych Fal (miesiąc Akwamarynu), miesiąc Wiosennych Błyskawic (miesiąc Diamentu), miesiąc Letnich Skał (miesiąc Turkusa), miesiąc Letnich Wiatrów (miesiąc Topazu), miesiąc Letnich Fal (miesiąc Perel), miesiąc Letnich Błyskawic (miesiąc Bursztynu), miesiąc Jesiennych Skał (miesiąc Krwawnika), miesiąc Jesiennych Wiatrów (miesiąc Szafiru), miesiąc Jesiennych Fal (miesiąc Morionu), miesiąc Jesiennych Błyskawic (miesiąc Rubinu).

[5] Złote Ziemie – państwa powstałe na terenie, który, zgodnie z legendą, niegdyś zajmowało wielkie Złote Imperium.

[6] Yzarg – niewielki stepowy padlinożerca. Uważany za symbol tchórzostwa.

[7] Conseiller – kanclerz.

[8] er – (rodz. żeński – erea) – pierwotnie oznaczał wielkiego posiadacza ziemskiego, następnie zaczął wskazywać na przynależność do starej ollariańskiej arystokracji.

[9] W opisywanych czasach Ludźmi Honoru nazywali siebie potomkowie starych arystokratycznych rodów, znajdujących się w jawnej czy tajnej opozycji do rządzącej dynastii.

[10] Na Złotych Ziemiach panuje monoteistyczna religia esperatyjska, zgodnie, z którą Stwórca stworzył Naszyjnik Światów, nanizawszy go na Nić Świata, po której wędruje. Kiedy odwiedza kolejny świat, to przez szesnaście lat wędruje po nim nierozpoznany, a następnie sędzi żywych i umarłych, po czym znowu wyrusza w podróż, by kiedyś znowu tu powrócić. Esperatyści żyją w oczekiwaniu powrotu Stwórcy i jego sądu. Na czele esperatyjskiego kościoła stoi dożywotnio wybierany przez konklawe Esperador, a najważniejszym ośrodkiem kultu jest Agarns – miasto-państwo znajdujące się na półwyspie wpadającym w Morze Pomarańczowe. Kiedy Francisk Ollar zajął Taligoję, Esperador odmówił mu swego poparcia. W odpowiedzi Ollar ogłosił siebie przywódcą nowego Ollariańskiego Kościoła. Ollarianizm różni się od esperatyizmu tym, że jego głową jest monarcha, własnoręcznie wyznaczający kardynała zarządzającego sprawami kościoła. Francisk nakazał przełożyć święte księgi na język współczesny, odrzucił kanony malarstwa religijnego i architektury świątynnej i dokonał szeregu innych religijnych reform.

[11] Suan – drobna srebrna moneta.

[12] Aluzja do czarnych szat ollarian. Esperatyjscy kapłani, poza Esperadorem, noszą się na szaro.

[13] unar – młody szlachcic, pobierający nauki w szkole giermków.

[14] Prawdziwy (Miłosierny, Wszechwiedzący, Wszechprzebaczący, Wszechłaskawy, Oczekiwany) – imię Stwórcy.

[15] Tak będzie – zwyczajowy zwrot używany przez ludzi honoru

[16] Obcy – (Wróg, Zielonooki, Leworęki, Władca Kotów) – eufemizmy oznaczające antagonistę Stwórcy, idącego jego śladem i odsuwającego ludzkie dusze od prawdy.

[17] Esperatyści między sobą nazywają ollariańskich kleryków ich świeckimi, a nie kapłańskimi imionami.

[18] „Le Chevalier des Coupes” – „Rycerz Pucharów” (Żywiół – Woda) – dworska karta tarota. Z Rycerzem Pucharów wiążą się nowe możliwości, zaproszenie, zyskowna propozycja. Jest ucieleśnieniem uroku i postępu. Odwrócona karta wskazuje na przebiegłość, podstęp, dwulicowość, może seksualną obsesję.

[19] Markiz Er-Prieux – tytuł następcy książąt Epineix.

[20] „Gnojjarze” (gnojowy hrabia, gnojowy książę, itd.) – pogardliwe przezwisko, jakim starzy taligojscy arystokraci obdarzyli potomków nieszlacheckich popleczników Franciska Ollara, otrzymawszy z jego rąk tytuły.

[21] Goganie – (sami używają określenia „Gochchoni”) – uciekinierzy z Purpurowych Ziem, wyznający własną religię. Mieszkają w zamkniętych wspólnotach, znaczna część interesów bankowych i kredytowych przechodzi przez ich ręce.

[22] Zgodnie z legendą Złote Imperium zostało utworzone w wyniku sojuszu czterech państw. Potomkowie ich władców utworzyli Wielkie Domy Taligoi i na ich herbach oraz herbach ich najznacniejszych wasali, związanych z suzerenami więzami krwi, zachowały się symbole starych państw (Skała, Wiatr, Fała, Błyskawica), a przywódcy rodów nosili tytuł władcy odpowiedniego żywiołu. Po zwycięstwie esperatyzmu sakralny sens tytułów został zapomniany, ale samo pojęcie Wielkich Domów ocalało aż do upadku Taligoi. Opozycyjnie nastawieni potomkowie starej arystokracji w opisywanych czasach ciągle jeszcze przywiązani byli do starych tradycji i rytuałów. Wielkim Domom przewodzą następujące rody: Dom Błyskawicy – księżęta Epineix (herb – dwa walczące ogiery, biały i czarny, na purpurowym polu przeciętym złotą błyskawicą); Dom Fali – księżęta Pridd (uniesiona przez falę złota ośmiornica na fioletowym polu); Dom Wiatru – księżęta Alva (lecący pod wiatr czarny

kruk na niebieskim polu); Dom Urwiska – księżęta Ockdell (złoty dzik u podnóża czarnej skały na purpurowym polu).

[23] W Agarisie handel uliczny dozwolony jest wyłącznie w dzień. Jego początek i koniec wyznaczane są przez specjalne sygnały, wykonywane przez znajdujących się w służbie miejskiej trębaczy.

[24] Agaris był nie tylko ośrodkiem esperatyzmu, ale dużym handlowym portem. Święty Tron był zainteresowany handlem i dlatego przez palce patrzył na łamanie niektórych kościelnych kanonów przez kupców i najemników ochraniających statki handlowe. W szczególności w czasie postu w szeregu oberży, oficjalnie utrzymywanych przez innowierców (przede wszystkim przez Gogan), podawano wino i mięso. W mowie potocznej takie lokale nazywano „nieczystymi”. Oczywiście ich właściciele płacili odpowiedni podatek.

[25] Wiara Gogan zabrania im dotykania prześcieradeł i ręczników.

[26] Goganie żyją w odosobnieniu, ludzie innej wiary mogą przebywać wyłącznie w „służbowej” połowie domu, oddzielonej od reszty korytarzem, w którym w kadzielnicach tli się specjalna mieszanka poświęconych wonności, pozwalających zachować wymaganą czystość.

[27] Kabioch – tak Goganie nazywają Boga-Rodzica, któremu w esperatyzmie odpowiada Stwórca.

[28] Goganie, opuszczając swoje domostwo, ubierają się wedle zwyczaju kraju, w którym żyją, ale w domu noszą narodowe szaty. Przywódca wspólnoty nosi szatę w kolorze żółtym, szesnastu najczcigodniejszych Gogan – żółto-czarne. Pozostali dorośli mężczyźni chodzą w czarnych, nieobrobionych szatach z żółtym pasem na dole.

[29] Magnus – tytuł przywódcy jednego z siedmiu czołowych esperatyjskich zakonów.

[30] Zwrot grzecznościowy w stosunku do szanowanego Goganina.

[31] Jawny (w odróżnieniu od sekretnego) tytuł przywódcy Gogan.

[32] Zwrot analogiczny do „czterdzieści beczek aresztantów”

[33] Najlepsze złoto Kertiany przywożone jest z Wuary, gdzie znajdują się osławione kopalne złota. Wuarskie sztabki słyną z tego, że nie ma w nich praktycznie żadnych domieszek.

[34] Goganni – kobieta z plemienia Gogan

[35] ara – ołtarz (gogański)

[36] Maragoński bastard – pogardliwy przydomek Franciska Ollara, który był nieślubnym synem pomniejszego maragońskiego księcia.

[37] „Le Cinq des Bâtons” – „Piątka Buław” (Żywiół – Ogień) – Mały Arkan tarota. Piątka Buław symbolizuje rozerwanie starych więzów, uwolnienie, może wskazywać na zatajoną wrogość i wraz z tym na nowe możliwości. Odwrócona karta obiecuje niesprawiedliwość, komplikacje w stosunkach, nieokreśloność pozycji społecznej.

[38] Herb Ollarów – jeździec na białym koniu rażący mieczem czarnego smoka. Oficjalna nazwa – Zwycięzca Smoków.

[39] Rytualny ollariański gest. Esperantyści wykonują to samo, ale lewą ręką.

[40] Święty Tankred – jeden z siedmiu twórców esperantyzmu, adept Wiedzy.

[41] Znakiem zakonu Prawdy jest mysz ze świecą w łapkach. Płonąca świeca jest symbolem całego esperatyjskiego kościoła.

[42] Fabian – jeden z pierwszych ollariańskich świętych, był wychowawcą młodej szlachty i zginął, zasłaniając własnym ciałem jedyne syna Franciska Ollara.

[43] Czarno-biali – przezwisko taligojskich gwardzistów, noszących (poza Osobistą Gwardią Jego Wysokości) czarno-białe mundury.

[44] Gaunau – królestwo wojujące z sojuzniczą z Taligiem Górską Marchią o szereg ziem.

[45] Tenant – stopień odpowiadający mniej więcej porucznikowi.

[46] Alan Ockdell był przyjacielem i towarzyszem broni króla Rakana Ernaniego Jedenastego, zabitego przez księcia Alvę, który wpuścił do stolicy Franciska Ollara. Właśnie Alan Ockdell wyprowadził królową i następcę za mury miasta, ale nie podążył za nimi do Agarisu, tylko wrócił, by ukarać królobójcę i zdrajcę. Alan Ockdell zabił Ramiro Alvę i został skazany na śmierć z rozkazu Franciska Ollara. Zaliczony przez kościół esperatyjski do grona świętych.

[47] Księga Oczekiwania – przetłumaczona na współczesny język i zredagowana za życia Franciska Ollara święta esperatyjska księga „Esperatia”.

[48] Pludry – wierzchnie krótkie spódnico-spodnie z bardzo szerokimi nogawicami, zebranymi na pasku i spływającymi do kolan szerokimi, podłużnymi fałdami. Zakładane były na przylegające do nóg pończochy, aby nogi sprawiały wrażenie kształtnych.

[49] „Le Huite des Bâtons” – „Ósemka Buław” – Mały Arkan tarota. W tym układzie może oznaczać konieczność szybkiego podjęcia ważnej decyzji. Odwrócona karta, wskazuje na niebezpieczeństwo.

[50] Kuny – tak czasem nazywa się Gogan, wśród których wielu ma ciemnorude włosy, a ci, którzy mają inny naturalny kolor owłosienia, farbują brody i włosy na głowie (ciemnowłosi – henną, jasnowłosi mieszają hennę z czarną farbą).

[51] Szczury – jedno z przezwisk adeptów najbardziej ortodoksyjnego z esperatyjskich zakonów, zakonu Prawdy, którego znakiem była mysz ze świecą w łapkach. „Prawdziwcy” uważają każdą prywatną tajemnicę za obrazę dla Stwórcy.

[52] Magnus w kościelnej hierarchii równy jest kardynałowi, stojącemu na czele esperatyjskiego kościoła w suwerennych państwach, stąd tytuł Wasza Świątobliwość.

[53] Torkwiniusz – założyciel zakonu Prawdy.

[54] Znajdujący się na wygnaniu potomkowie Ernaniego Rakana nosili tytuły książąt i księżnych, ponieważ Esperador, chcąc uniknąć konfliktów z Talikiem i niepotrzebnych wydatków na utrzymanie dworu na wygnaniu, nie udzielał zgody na ich koronację.

[55] Dajta – rasa psów myśliwskich.

[56] Wela – złota moneta bita w Gaifie i uznawana na całych Złotych Ziemiach.

[57] Noc Księżyca – noc, podczas której księżyc przechodzi z jednej fazy do drugiej. Goganie uważali, że każda z Nocy Księżyca poświęcona jest jednemu z synów Kabiocha. Nów – Flochowi, Pierwsza Kwadra – Wentochowi, Pełnia – Ollochowi, Trzecia Kwadra – Rochowi. Podczas Nocy Księżyca Goganie nic nie jedzą, nie piją, nie uprawiają miłości i nie opuszczają swoich pokoi.

[58] Goganie uważają, że urodziwa jest tylko pulchna kobieta. Kiedy dziewczynka zaczyna dorastać, daruje się jej Pas Narzeczonej, który stopniowo jest wydłużany. Kiedy Pasa nie udaje się już zawiązać, uznaje się, że dziewczyna jest wystarczająco dobrze zbudowana, by pokazać ją narzeczonemu.

[59] Księga, w której zebrano sekretną wiedzę i wierzenia Gogan. Wykazy Kubjerty przechowywane są w pięciu najszacowniejszych domach gogańskiej wspólnoty i specjalnym małym pokoiku obok Komnaty Czterech i Jednego.

[60] „Le Neuf des Coupes” – „Dziewiątka Pucharów” – Maty Arkan tarota. Bardzo niejednoznaczny, można go rozważać tylko w kontekście całego rozkładu. Dziewiątka Pucharów może oznaczać eksplozję przecuć, powodzenie, ale jednocześnie

trudności, choroby. Odwrócona karta mówi o błędach, niedoskonałości, pomieszaniu dobra i zła i jednocześnie o szczerości, naiwności, otwartości.

[61] Sosnowe gałęzie otaczające tarczę z herbem wskazują na tytuł hrabiego, jodłowe – na barona, cyprysowe – księcia, a cedrowe – króla.

[62] Wszystkimi siłami zbrojnymi Taligu dowodził Pierwszy Marszałek, mianowany przez monarchę i tylko jemu podlegający. Pierwszy Marszałek nosił czarnobiałą szarfę i hełm z czarnobiałą kitą, a gdy pancerz zaczął odchodzić do lamusa, czarny beret lub kapelusz z białym strusim piórem. Następnym w wojskowej hierarchii byli Pierwszy Admirał Taligu i dowodzący armiami w stopniu marszałków, noszący szarfy i pióra w kolorze królowej (w opisywanym okresie – purpurowe), następnie szli dowodzący eskadrami (barwa niebieska) i generałowie rodzajów wojsk, odpowiednio noszący zielone (piechota), żółte (kawaleria) i pomarańczowe (artyleria) szarfy.

[63] Najsilniejszy ze znanych w Kertianie środek przeczyszczający.

[64] Czarnymi żmijami nazywano czasem ollarian z powodu ich czarnych szat.

[65] W Taligu nauki dzieliły się na duchowe i świeckie, w których z kolei wyróżniane były nauki opisowe (piśmiennictwo, historia, geografia) – za dowody służyła w nich wiedza; logiczne, w których dowodami były rozumowanie i hipotezy (filozofia, matematyka, magia teoretyczna: wyższa, abstrakcyjna) i stosowane (medycyna, alchemia, astrologia, magia stosowana).

[66] Wielki tyłek (dialekt bergmarkski).

[67] Zancha – plac w Ollarii, gdzie przeprowadzane były egzekucje przestępców z grona arystokracji.

[68] „Le Huite des Épées” – „Ósemka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Jedna z najbardziej kryzysowych kart w rozkładzie. Symbolizuje konflikty, pokonanie. Odwrócona karta wskazuje na zdradę, depresję, nieszczęśliwy wypadek, niezdolność do działania. Może oznaczać czynniki fatalne.

[69] Sowa i płonąca świeca to symbole zakonu Wiedzy.

[70] Zgodnie z kanonami tłem esperatyjskich ikon jest czerń. Francisk Ollar nakazał malarzom przedstawiać świętych na tle realistycznych krajobrazów, a posłuszni mu twórcy zostali przeklęci przez Esperadora i wyrzuceni z łona Kościoła.

[71] Procesja ze świecami, gdzie jako pierwsi idą święci, potem pasterze duchowi, a za nimi świeccy monarchowie – ulubiony temat esperatyjskich religijnych malowideł ściennych.

[72] Qualdeto cera – kenallijskie przekleństwo.

[73] Drikseński bykołap – rasa psów, znana ze swojego chwytu i uporu.

[74] Czerwone wzmacniane wino. Ludzie o dobrej pozycji uważali picie tinty za wulgarne, tym niemniej był to bardzo popularny napój wśród zamożnych mieszczan.

[75] „Le Six des Épées” – „Szóstka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje dążenie do ulepszenia świata poprzez aktywną działalność, może oznaczać daleką drogę, pokonanie trudności. Odwrócona karta wskazuje na egoizm, zastój, wykorzystanie innych ludzi.

[76] Shaddi – napój orzeźwiający, przygotowany ze zmielonych ziaren krzewu shaddi rosnącego w Purpurowych Ziemiach.

[77] Shad (moryjski) – książę.

[78] Franima – prowincja w Sanacie. Franimczycy wyróżniają się niewielkim wzrostem i szczupłą budową ciała, ale mają słabość do kapeluszy o szerokich rondach, przez co czasem są nazywani opieńkami.

[79] Krew i Łzy – gatunki najcenniejszych kenallijskich win, czerwonych („Krew”) i białych („Łzy”).

[80] „Le Dix des Bâtons” – „Dziesiątka Buław” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje problemy w przededniu ich rozwiązania, wzlot po trudnym okresie, chęć znalezienia sensu w życiu, utwierdzenie się na nowym poziomie. Odwrócona karta oznacza intrygi, dwulicowość, trudności w realizacji idei.

[81] Linaryjczyk – ogier linarskiej rasy, słynącej z urody i skoczności, ale ustępujący morskim wierzchowcom pod względem wytrzymałości i szybkości. Rasa bardzo popularna w wyższej arystokracji. Linaryjczyki były wykorzystywane przede wszystkim do konnych przejażdżek.

[82] Marikjara – wyspa na Morzu Pomarańczowym, oddzielona od Wschodniej Kenalloi przesmykiem Maljito. Marikjara przyłączyła się do Kenalloi za panowania Franciska Ollara. Dzięki wyspiarzom flota Taligu stała się najlepszą w Złotych Ziemiach. Marikjarscy admirałowie i kapitanowie otrzymywali najwyższe tytuły Taligu i włości na kontynencie, ale, tak samo jak Kenallijczycy, zachowywali swoją niezależność i swój język, chociaż taligojskim władali doskonale.

[83] Jako przeciwwagę do Ludzi Honoru Francisk Ollar nadal członkom utworzonej przez siebie Wysokiej Rady tytuł Najlepszych Ludzi.

[84] Barwa Kileanów-ur-Lombachów i Arigau.

[85] Ernani Dziewiąty – monarcha z dynastii Rakanów, jego panowanie uważa się za szczyt rozkwitu Królestwa Taligoj.

[86] Przed zawładnięciem tronem przez Ollarów królową Taligoj nazywano Taligojską Różą, a króla – Taligojskim Lwem.

[87] „Le Roi des Deniers” – „Król Denarów” (Żywiół – Ziemia) – dworska karta tarota. Wskazuje na doświadczonego lidera, twardego, czasem gwałtownego człowieka o wspaniałym i chłodnym umyśle. Odwrócona karta oznacza skorumpowanego polityka, może też oznaczać obłudę, niebezpieczeństwo, spacer nad przepaścią.

[88] Jasna Peleryna – atrybut władzy Esperadora.

[89] Urzędnik Kancelarii Królewskiej, odczytujący oficjalne dokumenty.

[90] „Le Roi des Épées” – „Król Mieczy” – Mały Arkan tarota. Oznacza położenie fundamentów przyszłego działania albo silnego człowieka. Król Mieczy – lider, potwierdzający swoją władzę za pomocą metod siłowych, bardzo namiętny człowiek. Odwrócona karta źle szacuje swoje możliwości, stąd albo nadmierna odwaga, albo nieuzasadniona ostrożność.

[91] Purpurowy goździk uważany byt za królewski kwiat.

[92] „La Roue de Fortune” – „Koło Fortuny” – Wielki Arkan tarota. Symbolizuje odwieczne zmiany, stałe zderzenia i zniszczenia, niestałość zarówno szczęścia, jak i niepowodzenia. Karta uważana jest za symbol postępu, a postęp nie przychodzi za darmo. Do zwycięstwa niezbędne są świadoma chęć, zuchwałość i nieustraszonosc. Karta może oznaczać nieoczekiwany uśmiech losu, ale należy też pamiętać, że obrót koła powoduje obracanie się przedmiotów i wydarzeń. Odwrócona Karta mówi o tym, że pozycja życiowa jest świadoma, możecie zacząć się trudzić, a zmiany pojawią się później. Może także oznaczać nieadekwatne działania w nieoczekiwanych okolicznościach, opór w stosunku do zmian, które mimo to muszą zajść.

[93] Najniebezpieczniejsi są ci źli ludzie, którzy nie do końca pozbawieni są dobroci.

[94] „La Dame des Coupes” – „Dama Pucharów” – dworska karta tarota. Symbolizuje rodzące się uczucie albo odwrotnie, pewien krok oddalający ludzi od siebie. Może to być przyjazna, czuła, atrakcyjna kobieta, kochana przez wielu, wspaniała matka i wierna przyjaciółka. Karta ta może także oznaczać bardzo dobrego przyjaciela (niezależnie od płci). Odwrócona Karta – okrutny człowiek, sprzeczność, nieuporządkowanie, uczucia nieodpowiadające wydarzeniom.

[95] Horna – miara odległości, około 5 km.

[96] „Le Deux des Épées” – „Dwójka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje kompromis, wyrównanie sił, współpracę, możliwość ruchu do przodu. Odwrócona karta – dwulicowość, fałsz, spadek mocy, zdradę, bezczeszczenie, fałszywych przyjaciół.

[97] Zgodnie z esperatyjskim podaniem, kiedy Stwórca wrócił do Kertiany i przegnał cztery demony, które ją zajęły, wszystkie stworzenia dzienne i nocne pokłoniły się przed Nim i oddały Mu cześć. Wszystkie poza kotem, który odwrócił się do niego tyłem i zaczął się myć. Za swoją pychę kot został przegnany na skraj wszechświata, gdzie wiecznie płonie Płomień Zmierzchu. Tam, zamiast odkupić swój grzech pokorą, odszukał przejście w wielkim płomieniu i wskazał je Obcemu, na złość Stwórcy, uznając Obcego za swojego pana.

[98] „Le Neuf des Épées” – „Dziewiątka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Oznacza lęk przed przyszłością, beznadzieję, niespokojną miłość, cierpienie, rozczarowanie. Odwrócona karta – zagrożenie chorobą i gwałtem, wątpliwe propozycje.

[99] Według prawa Taligu cała utytułowana szlachta to wasale króla, ale Ludzie Honoru w swoim gronie kultywują starą hierarchię, zgodnie z którą każdy baron, hrabia czy marszałek należał do jednego z czterech Wielkich Domów Taligoi i był wasalem jego przywódcy, a przywódcy Domów z kolei byli wasalami króla Rakana. W danym przypadku Richard Ockdell miał na myśli to, że hrabiowie Arigau byli wasalami i krewnymi Władców Błyskawic, książąt Epineix.

[100] Irbis na purpurowym, przecięty błyskawicą polu jest herbem rodziny Arigau.

[101] Scjentyfik – uczyony znajdujący się w służbie państwa.

[102] Beau – jednostka długości, ok. 30 cm.

[103] Pessana – jednostka wagi, ok. 0,8 kg.

[104] „Le Huite des Coupes” – „Ósemka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Wskazuje na wzajemne stosunki rozumu i uczuć albo na ich uzgodnienie, albo odwrotnie. Symbolizuje nieśmiałość, skromność, cnotę, honor, pragmatyzm, umiejętność kreowania harmonijnych stosunków z ludźmi. Odwrócona karta – smutne prezenty, trudne do spełnienia życzenia, wyobcowanie.

[105] „Le Cinq des Deniers” – „Piątka Denarów” – Mały Arkan tarota. Karta zazwyczaj oznacza utratę czegoś materialnego i wskutek tego nabranie życiowego doświadczenia. Często oznacza erotyczne przygody, związki, flirt. W rozkładzie wskazuje na komplikacje albo prowadzące do sukcesu na nowym poziomie, albo cofające. Odwrócona karta – utrata energii, rezerw, słabość, strach, dysharmonia w miłosnych stosunkach.

[106] Tonto – gra karciana przypominająca fardo.

[107] Lis w norze – taligojskie powiedzenie. Mniej więcej znaczy tyle, co „ciemny koń” czy „kot w worku”.

[108] Kolo – w tonto pojedyncza partia.

[109] Wjeharron – dość prymitywna gra karciana, wymagająca od graczy nie tyle mistrzostwa, co opanowania i umiejętności blefu.

[110] „Le Six des Coupes” – „Szóstka Pucharów” – Mały Arkan tarota. Pojawienie się w rozkładzie tej karty może oznaczać, że sytuacja wymaga od nas prawdziwej duchowości, cierpliwości i wzniesienia się ponad krzątaninę. To miłosierdzie, pomoc, dobroć. Symbolizuje także wspomnienia, minione namiętności, wyblakłe obrazy. Odwrócona karta – otwierające się nowe możliwości, rozszerzenie światopoglądu, przewidywanie przyszłości. Być może plany w najbliższej przyszłości będą wymagały korekty.

[111] Bagerlee – osławiony więzienny pałac, w którym trzymano szczególnie niebezpiecznych przestępców.

[112] Wśród graczy Taligu istnieje legenda o tak zwanym kocim słowie, znając które, gracz zna też karty rywala.

[113] „Le Huite des Deniers” – „Ósemka Denarów” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje prawo, logikę, bezpośredniość, bezkompromisową sytuację. Ta sama karta oznacza ogromne ambicje, dobrze ukrywane, pohamowanie w uczuciach, umiejętność czekania. Odwrócona karta – fałsz, świętoszkowatość, przeciętność, intryganctwo.

[114] Jeanneau Mokry – kwiatek, na płatkach którego zbierają się kropelki wilgoci.

[115] „Le Valet des Bâtons” – „Giermek Buław” – dworska karta tarota. Oznacza, że działanie już ma swoje wyniki, stało się realnością. Karta może oznaczać uczciwego człowieka, tego, któremu ufają, nosiciela nowin finansowych, jego działania zazwyczaj odnoszą się do sfery społecznej. Odwrócona karta oznacza, że zamysły są skazane w przyszłości na fiasko. Jest to człowiek, który przejawia niezdecydowanie w osiągnięciu celu, nie bierze na siebie odpowiedzialności. Czasem jest to nosiciel złych nowin, rujnujący cudzy spokój i komfort.

[116] „Le Deux des Coupes” – „Dwójka Pucharów” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje narodziny uczucia między dwojgiem ludzi, to miłość, namiętność, piękno, przyjaźń, harmonia, zrozumienie. Odwrócona karta oznacza niezaspokojone, chciwość, zazdrość, chuć. To fałszywi przyjaciele, trudny romans, przeciwieństwo, niezrozumienie.

[117] Mark i Lakoniusz – główne postacie legendy opowiadającej o grzesznym życiu starego Lakoniusza i młodego Marka.

[118] Pasadana – stara miara długości, 3,14 km, potem zastąpiona wygodniejszą horną (ok. 5 km).

[119] „Le Un des Bâtons” – „As Buław” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje nową ideę, przejście na nowy poziom rozumienia albo położenia, impuls, twórczą myśl, powodzenie, wybicie się, sławę. Odwrócona karta oznacza brak nowych pomysłów, nieprzyjęcie nowego, wsteczność, nieodpowiednie pojmowanie sytuacji, błędzenie, utratę sensu i celu.

[120] „Le Mat” – „Błazen” – Wielki Arkan tarota. Symbolizuje początek nowego cyklu życia, nieoczekiwane wydarzenia, które mogą wszystko wywrócić na nice. Może także oznaczać kaprys, niedojrzałość, bezbronność, ukąszenia sumienia po każdym postępku, nieuchronność odkupienia, nieumiejętność wyliczenia konsekwencji. Odwrócona karta wskazuje na zakończenie cyklu, osiągnięcie celu. Może wskazywać na to, że wybór był niewłaściwy, utrata sił niepotrzebna, decyzja może mieć fatalne konsekwencje.

[121] Nie istnieją okoliczności na tyle niedobre, by mądry człowiek nic mógł wyciągnąć z nich dla siebie jakichś korzyści, ale nie istnieją też i tak pomyślne, by nierozumny nie mógł wykorzystać ich przeciwko sobie.

[122] „Le Un des Épées” – „As Mieczy” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje ziarno mocy, nowe działanie, akt woli. To zdecydowanie, męstwo, inicjatywa. Odwrócona karta – samozagłada, degradacja, osłabienie sił życiowych.

[123] Złoty Traktat został zawarty w 178 roku Kręgu Skał z inicjatywy królestwa Taligu i imperium Gaify i podpisany przez wszystkie istniejące w tym czasie państwa Złotych Ziem oprócz Holty i Kir-Riaku. Celem Traktatu było utrwalenie równowagi sił wytworzonej w wyniku Wojny Dwudziestoletniej i sformułowanie zasad ułatwiających prowadzenie dyplomatycznych pertraktacji i rozwiązywanie spornych kwestii. W szczególności Złoty Traktat przewiduje „prawo obecności”, to znaczy w ekstremalnych sytuacjach dyplomata prowadzący rozmowy na obcym terytorium może zaprosić w charakterze obserwatora i osoby trzeciej przedstawiciela dowolnego kraju-sygnatariusza Złotego Traktatu.

[124] Konchesser (gai) – radca – jeden z najwyższych urzędników w gaifiańskiej hierarchii.

[125] Na herbie imperium Gaify znajduje się paw w wieńcu ze złotych róż.

[126] „Le Trois des Coupes” – „Trójka Pucharów” – Mały Arkan tarota. Oznacza, że pierwotny emocjonalny impuls przyjmuje akceptowalny kształt. To rozwiązanie

problemu, wyzdrowienie, pomyślne zakończenie niezbyt ważnej sprawy, osiągnięcie kompromisu. Odwrócona karta – nadmiar, skłonność do przesady, niezrozumienie sytuacji. Zakończenie sprawy z mizernymi skutkami.

[127] Gajare – rodowy zamek Arigau.

[128] „Le Neuf des Deniers” – „Dziewiątka Denarów” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje pewność, bezpieczeństwo, dobroć. Oznacza proces nasilający się w obecności dużego potencjału. Odwrócona karta – niebezpieczeństwo, utrata wiary, stracone złudzenia.

[129] „Le Chevalier des Épées” – „Rycerz Mieczy” – dworska karta tarota. Oznacza, że znajdujesz się w drodze do celu, już można zobaczyć wyniki, jeśli to człowiek, to energiczny, jego sferą są konkretne sprawy. Szybko podejmuje decyzje, ale brak mu szerokich poglądów. Odwrócona karta – znajdujesz się w stadium początkowym. Oznacza także człowieka, który nie potrafi określić, po czyjej jest stronie.

[130] Eroi – karciana gra hazardowa dla trzech uczestników.

[131] Aduan – członek sformowanej przez Franciska Ollara celnej straży nadgranicznej, do której wstępowali ochotnicy, przeważnie z okolicznych mieszkańców. Oficerem straży celnej mógł zostać również nieszlachcic, dlatego szlachta Taligu odnosiła się do aduanów pogardliwie.

[132] La Dame des Bâtons” – „Dama Buław” – dworska karta tarota. Oznacza, że wydarzenia, opisywane przez inne karty, już się rozpoczęły. Karta może także symbolizować przyjazną, rozumiejącą, atrakcyjną osobę. Jest ona praktyczna, kontroluje siebie, posiada urok i czar, czasem jest wybuchowa, ale szybko gniew jej mija. Odwrócona karta – spełnienie życzenia najprawdopodobniej jest niemożliwe. Może oznaczać osobę, która nas dyskredytuje, albo rozpieszczonego, ekscentrycznego człowieka.

[133] Guerilla – wojna partyzancka.

[134] Najważniejsze esperatyjskie święto, mające miejsce nie wcześniej niż w Dniu Równonocy Wiosennej i nie później niż w Dniu Letniego Przesilenia. Esperatyści wierzą, że właśnie w południe tego dnia może wrócić Stwórca, i przygotowują się na Jego powitanie.

[135] Hierarchowie kościoła esperatyjskiego, począwszy od przeorów dużych klasztorów, nosili na piersiach znaki składające się z symboli esperatyjskich i znaku swojego zakonu. Zwyczajni mnisi znak zakonu haftowali na prawym ramieniu.

[136] Wszystkie zakony są równe sobie i tworzą okrąg, w którym każdy zajmuje

określone miejsce w stosunku do innych, ale odliczanie zaczyna się od tego zakonu, z którego wyszedł aktualny Esperador. Za zakonem Sławy (symbol – Lew ze świecą) zawsze idzie Wiedza (Sowa ze świecą), Miłosierdzie (Gołąb ze świecą), Prawda (Mysz ze świecą), Ognisko Domowe (Pies ze świecą), Czystość (Jagnię ze świecą) i Sprawiedliwość (Jednorożec ze świecą).

[137] „Le Quatre des Épées” – „Czwórka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje chwilowy odpoczynek, pustelnictwo, zbieranie duchowych i fizycznych sił przed nowym etapem walki. Odwrócona karta – działanie w nieodpowiednim czasie.

[138] „Le Cinq des Épées” – „Piątka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Siła Piątki Mieczy skierowana jest na zniszczenie, zmiecenie z drogi wszystkiego, co przeszkadza jej w poruszaniu się. Jest to łamanie światopoglądu, zmiana kierunku drogi życiowej. Odwrócona karta – niepotrzebne zniszczenia, okrucieństwo, nadużycie siły.

[139] „Le Trois des Épées” – „Trójka Mieczy” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje dążenie do niedostępnego ideału, odmowę rzeczywistości i niezdolności odejścia od niej. Stąd – żal, obrzydzenie, rozczarowanie, rozłąka, niedostępność. Odwrócona karta nasila moment niezgody z rzeczywistością, powstają mylne sądy, pomyłki, iluzje.

[140] Kaseira – winogronowa wódka domowego wyrobu.

[141] Esperatyści uważają, że po śmierci odbywa się Pierwszy Sąd, po którym grzeszników czeka kara, a ludzi zacnych – rozkosz. Po powrocie Stwórcy wszystkich, i żywych, i martwych, czeka Ostatni Sąd, po którym los niektórych grzeszników, których winy nie były znaczne i o zbawienie których wznoszone były modlitwy ludzi dobrych, ulegnie odmianie. Ostatni Sąd poprzedzać będzie wygnanie przez Stwórcę Obcego i zniszczenie jego świąty.

[142] Espera (Gwiazda Obronna) – medalion w kształcie czteropromiennej srebrnej gwiazdy ze znajdującymi się na środku esperatyjskimi symbolami albo obliczem jednego ze świętych. Nakładano go na szyję podczas obrzędu Jednoczenia, wprowadzającego człowieka na łono kościoła esperatyjskiego. Noszenie Espery przez osoby nieduchowne (z wyjątkiem niektórych dokładnie wymienionych przypadków) nie było ściśle obowiązkowe.

[143] „Le Deux des Bâtons” – „Dwójka Buław” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje człowieka z ideami, ambicjami, zmuszonego do szukania kompromisu z innymi ludźmi, mającymi też idee i ambicje. To jest konstruktywna współpraca, połączenie celów i środków, konieczności i życzenia, twardości, odwagi w przedsięwzięciu. Odwrócona karta – niepokój, zależność od innych, utrata zaufania, poniżenie.

[144] Chabla – domostwo sagrańskich górali.

[145] „Le Quatre des Bâtons” – „Czwórka Buław” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje zdyscyplinowaną myśl, dążenie do uporządkowania, poczucie wpływu na wydarzenia. Odwrócona karta wskazuje na niestabilność, poplątanie myśli, pośpiech, niechlujność, niezdolność do mobilizacji.

[146] „La Force” – „Moc” – Wielki Arkan tarota. Symbolizuje afirmację życia, dumę, namiętność, miłość do uciech cielesnych. To siła życia, chęć wytrwania, nawet jeśli sprawia ból. Żeby być silnym, należy zmusić serce do milczenia, trzeba uprzytomnić sobie swój obowiązek i zachowywać się godnie. To odwaga, potrzebna w walce z przeciwnościami losu. Odwrócona karta mówi o niepewności siebie, czasem o lęku. Może oznaczać ingerencję w nasze życie postronnych albo to, że nasze plany skazane są na niepowodzenie.

[147] Na wojnie większość ludzi ryzykuje życie dokładnie w takim stopniu, w jakim to jest konieczne, by nie splamić swojego honoru, ale tylko nieliczni gotowi są zawsze ryzykować tak, jak tego wymaga cel, dla którego ryzykują.

[148] „Le Trois des Bâtons” – „Trójka Buław” – Mały Arkan tarota. Wskazuje na to, że idea nabiera kształtu. To jest pragmatyczna wiedza, powodzenie, zuchwałość. Odwrócona karta – zależność w interesach, zdrada, niewłaściwy stosunek do proponowanej pomocy, asekuracja, koniec pasma problemów, wytchnienie, nieokreślony status społeczny.

[149] „Le Quatre des Coupes” – „Czwórka Pucharów” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje powszechne przebaczenie, chęć służenia swojemu idolowi, czasem fanatyzm religijny, jest to jednak podwójna karta, a jej niższy aspekt to rozczarowanie w miłości i ludziach, zmęczenie, początek pustego okresu w życiu, stałe problemy. Odwrócona karta – nowe możliwości, nowe znajomości, nowa wiedza, nowe usiłowania rozwiązania problemu.

[150] „Le Valet des Deniers” – „Giermek Denarów” – dworska karta tarota. Symbolizuje kompetencję, nowe idee, nowiny albo człowieka potrafiącego się skoncentrować na tym czy innym problemie. Odwrócona karta – krzątanina, stracone złudzenia. Zakłócenie działania jest nieodwracalne.

[151] Taram (biri) – wódz, dowódca, strateg.

[152] Kageckie wyzwisko.

[153] „Le Chevalier des Bâtons” – „Rycerz Buław” – dworska karta tarota. Symbolizuje zachwyty, zryw, możliwość nowego rozwoju wydarzeń. To przyczyna natchnienia i natchniony, zręczność w interesach i uduchowanie. Może także oznaczać osobę zdolną do zmiany sytuacji. Odwrócona karta to przeszkoda w realizacji planów, konieczność zmiany czegoś, nieprzyjemny człowiek, przynoszący

wielkie kłopoty.

[154] Drzewo Urodzaju – młode drzewo, którego gałęzie w święto urodzaju stroi się wstążkami, dzwoneczkami i specjalnymi ozdobami, pokrytymi płatkami złota.

[155] Dzikie Łowy (czasem Dzikie Gon) – zgodnie z germańskimi podaniami w wigilię Bożego Narodzenia po zimowym niebie pędzą Dzikie Łowy – sfera złych duchów szukających zdobyczy. Wedle innych danych to mit skandynawski, opowiadający o grupie widmowych jeźdźców ze sforą psów. Widma karzą grzeszników i leniwych. Dzieci zmarłe bez chrztu stawały się zabawą dla psów, które pędziły je do piekła. W angielskich baśniach procesją tą kierował Henry Myśliwy, czyli diabeł, czasem – Francis Drake, widziany w karecie w towarzystwie bezgłowych psów i demonów. W kornwalijskim wariacie legendy Dzikie Łowy to sfera psów Dandy’ego Diabła. Ostatni raz Dzikie Łowy widziano w 1940 roku w Samhein (przyp. tłum.).

[156] „La Dame des Épées” – „Dama Mieczy” – dworska karta tarota. Symbolizuje wykonanie w jakimś działaniu pierwszego kroku i podążanie tylko do przodu. Jeśli jest to człowiek, to jest on bardzo ukierunkowany, władają nim emocje (miłość, nienawiść), stale jest maksymalistą. Odwrócona karta – nieuzasadnione ryzyko, pusta strata sił, poplątanie myśli.

[157] Gaifiańskie halabardy wyposażone były w kłujące ostrze i haki do spieszenia jeźdźców.

[158] „Le Dix des Épées” – „Dziesiątka Mieczy” – Mały Arkan tarota. – Symbolizuje pewną przeszkodę, pokonanie której jest konieczne. Pokonanie otwiera drogę na nowy poziom. To łzy, cierpienie i jednocześnie miłość, dom, świat. Odwrócona karta – wygodna, powodzenie, władza, autorytet i wraz z tym nieumiejętność posuwania się dalej.

[159] „Le Neuf des Bâtons” – „Dziewiątka Buław” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje przenikanie na wyższe poziomy świadomości, posiadanie wyobrażenia o sobie samym, na poziomie społecznym i wybranie dla siebie fałszywego systemu wartości. To nadchodzące problemy, wrogość, zniszczenie. Odwrócona karta – wąskie poglądy, utrata łączności z rzeczywistością, szwankujące zdrowie, przeszkody, problemy.

[160] „Le Six des Bâtons” – „Szóstka Buław” – Mały Arkan tarota. Symbolizuje natchnienie, duchowe dorastanie, służbę, uświadomienie swojej drogi. Na niskim poziomie może oznaczać zależność, podporządkowanie. Odwrócona karta – duma, strach, błędna ocena swoich możliwości i jednocześnie wraz z tym oczekiwanie, nadzieja.

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/